BIBLJOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1518 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych prośb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

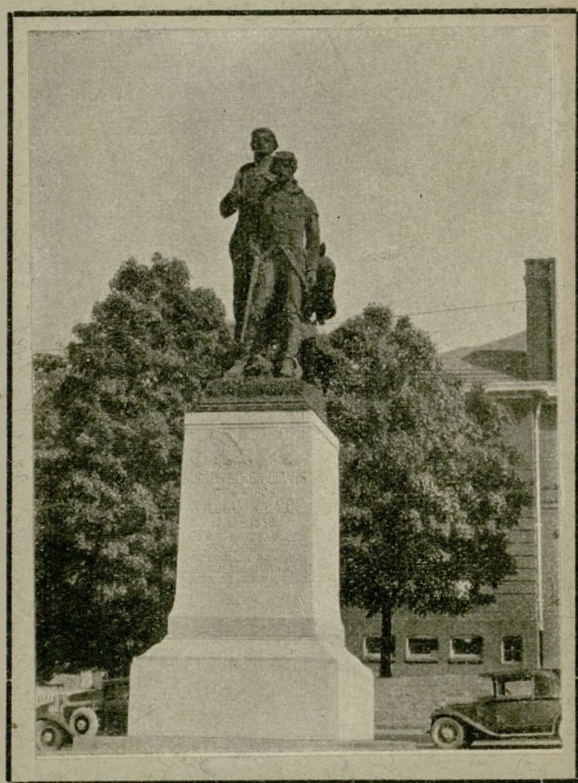
DYREKCJA.


347

S. A. ICIEK

SAMOCHODEM PRZEZ STANY ZJEDNOCZONE

TOM II.

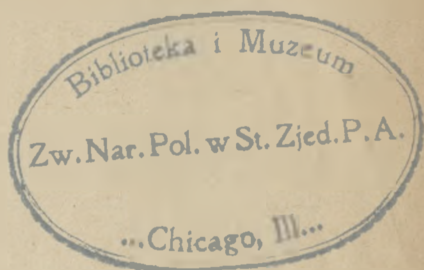


MIEJSCE PIASTOWE — 1934

NAKŁADEM TOWARZYSTWA ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA



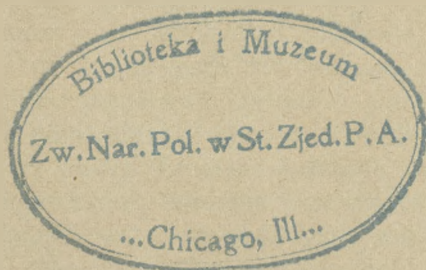
SAMOCHODEM PRZEZ STANY ZJEDNOCZONE



S. A. ICIEK

SAMOCHODEM
PRZEZ
STANY ZJEDNOCZONE

TOM II.



MIEJSCE PIASTOWE — 1934

NAKŁADEM TOWARZYSTWA ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA

»See America First« — Wprzód zobacz Amerykę

Miłośnikom turystyki i przyjaciołom Ameryki niniejszą pracę poświęcam.



DRUKARNIA TOW. ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA W MIEJSCU PIASTOWEM.

Rozdział I.

POWRÓT.

Żegnam stare, grube mury San Gabriele, zwracam się ku wschodowi, rozpoczynając — katabasis czyli drogę powrotną.

Dotychczas zrobiłem około dziesięciu tysięcy mil dlatego, że włóczyłem się po górach i dolinach, niby przysłowiony „Marek po piekle".

Wracając, zobaczymy także dużo ciekawych szczegółów i zabytków historycznych, szczególnie w stanach nad oceanem Atlantyckim położonych.

Przepiękną Passadenę opuszczam wspaniałym bulwarem, a właściwie rządową drogą Nr. 66. Jadę wśrod alei palm i sadów pomarańczowych. Miasteczka Monrovia, Glendora, Upland i Fontana — są to mniejsze lub większe osady, w zupełości oddane kulturze pomarańcz, cytryn i „grapefruitów" (jest to skrzyżowanie pomarańczy z cytryną, a wydaje duży, żółty i nieco kwaskowaty owoc). Ta część Kalifornji i okolice stąd na południe położone hodują ogromną ilość owoców.

Przy drogach widać liczne stragany z owocami na sprzedaż. W przeciągu kilku mil naliczyłem ich około trzydzieści. Rozłożono całe stosy skrzyń z pomarańczami, figami, melonami i winogronami. Wszystko bardzo smaczne, cotylko z drzewa zerwane, przytem bardzo tanie. Za dziesięć lub piętnaście centów tak cię obładują temi łakociami, że nie możesz wszystkiego unieść.

Opowiadali mi przydrożni handlarze, że u nich bieda panuje. Ceny na owoce są niskie, a koszta produkcji wysokie. Hodowla pomarańcz i t. zw. cytrusowych owoców jest dosyć skomplikowana i droga. Grunt kosztuje od czterystu do sześćset dolarów za akier, ma się rozumieć z drzewem owocowem. Potrzeba kilka gatunków sztucznych nawozów i to co roku innych. Jednego roku używają

nawozu zajęczego lub owczego, następnego zaś kurzego czy też od trzody chlewnej, trzeciego znów sypią nawozy sztuczne w silnej kombinacji z solami chemicznemi. Czwartego roku nic nie dodają. Ziemia wtenczas wypoczywa i że tak powiem — trawi te wszystkie mieszaniny nawozów. Po czterech latach znów rozpoczyna się ten sam porządek. Prócz tego, trzeba wszystkie sady owocowe nawadniać. Koszt od akra wynosi kilkadziesiąt dolarów na rok, zależnie ile ogrodnik zużyje wody. Płaci od kubicznej stopy i od ilości akrów, które nawadnia.



Narodowa wystawa pomarańczy w San Bernardino.

To jeszcze nie koniec. Prócz starannej uprawy, wszędzie pod drzewami zauważyłem piecyki do palenia olejem. Gdy stacje meteorologiczne wyślą ostrzeżenie przed mrozem, cała okolica w paru godzinach pokrywa się gęstą chmurą dymu. Zapomocą tych pieców na tyle podnoszą temperaturę w sadach, że chronią owoc przed zmarznięciem. Wyszło nowe prawo co do ogrzewania.

Ogrodnicy w przeciągu pięciu lat mają zastąpić piece olejne, obecnie używane, piecami do palenia koksem. Olej tak dymi, że nieraz samochody nie widzą drogi przed sobą i zdarzają się częste wypadki i katastrofy.

W ostatnich kilku sezonach przymrozki poczyniły olbrzymie szkody tutejszym hodowcom. Pokazano mi pomarańcze uszkodzone mrozem. Na zewnątrz niczem się nie różnią od zwykłych i trudno je czasem rozróżnić. Gdy atoli ją rozkroisz, zauważysz, że pomarańcza zmarznięta jest jakby wyschła i nie ma dobrego smaku i soku. Czasami tylko mała cząstka jest mrozem uszkodzona. Jeżeli to był ciężki przymrozek, to i skóra owocu nabiera cośkolwiek zielonkowatego koloru.

Napotykam przy drodze ciekawy skład z polnych kamieni zbudowany i na biało pomalowany. Szeroka piazza zdaje się zapraszać turystę, aby się tu zatrzymał. Nad budynkiem duży napis, zapewne w nocy bogato oświetlony „Honneyville". Czytałem o tem miejscu w mych miesięcznikach pszczelarskiah. To może największy detaliczny skład miodu na świecie.

Ponieważ od lat z przyjemnością bartnictwu się oddaję i posiadam dwie pasieki, a każda ma około dwudziestu pięciu pni, więc też chętnie się tu zatrzymałem. Właściciela nie zastałem: był w jednej z licznych pasiek, ale jego zastępca, bardzo miły i sympatyczny, wszędzie mnie oprowadził i ten ciekawy sklep pokazywał.

W Connecticut najlepszy miód zbieramy w lipcu z kwiatów szumaku. Zdaje się, że to jest drzewo octowe, jesienią ma piękne czerwone listki i pęki czerwonych nasion, cośkolwiek podobnych do małych winogron. Miód jest bardzo smaczny i złotawego koloru, przez smakoszy skrzętnie poszukiwany. Ponieważ mój szef sztabu i zastępca ks. Topór listownie zapewnił mnie, że zbiory zapowiadają się świetnie i będę miał jakie dwie tony pierwszorzędnego miodu, z tem większą ochotą zaszedłem do owego Honneyvillu — miasteczka miodu.

Najlepszy gatunek miodu produkowany w tych stronach jest z kwiatów pomarańczowych, następnie dopiero zielonkowatego koloru — sage honey, zbierany z krzewu pustynnego — sage-bylicy. Zarządca pokazał mi listę „kostumerów" czyli klientów, którzy od niego miód kupują. Rozchodzi się on po całej Ameryce, a nawet wysyłają wiele paczek do Europy. Najlepszy

gatunek jest nalewany do szklanych jedno-funtowych słoików. Do każdej butelki dają mały kawałek miodu z woskiem i w tem jest zatknięty kwiatek pomarańczowy. Za taką butelkę jedno-funtową wraz z przesyłką i opakowaniem, żądają dolara. Za szkłem pokazywano mi olbrzymi rój, z potężnemi plastrami miodu. Znaleźli go gdzieś na pustyni.

San Bernardino, do którego dojeżdżam nad wieczorem i zatrzymuję się na noc, jest stolicą pomarańczy. W obecnym sezonie sprzedawali małe, ale bardzo słodkie pamarańcze gatunku „valencia". Najlepsze dojrzewają nieco później i wysyłają je na rynek w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Chociaż pierwszymi odkrywcami byli Hiszpanie pod wodzą Juan Bautista de Anza, stałą osadę utworzyli Mormoni. Wracali tędy z wojny meksykańskiej. Spodobał im się ten uroczy kawał doliny i postanowili się tu osiedlić.

W roku 1849-tym kapitan Jefferson Hunt sprowadził tu pierwszy transport osadników, składający się ze stu osób. Chcieli właściwie się dostać do nowoodkrytych kopalni złota, ale z powodu głębokich śniegów ruszyli w kierunku południowym i tu się zatrzymali.

W sezonie zimowym słynny jest tutejszy karnawał pomarańczowy. Urządzają z tej okazji bardzo piękną wystawę owoców cytrusowych.

Turysta, chcący się tu dłużej zatrzymać, powinien odbyć stumilową podróż drogą ciągnącą się szczytem wspaniałych wzgórz — „Rim of the World Highway". Przed okiem turysty w dzień jasny roztacza się cudna panorama na górskie jeziora, lasy, pustynie, urocze miasteczka, ogrody pomarańczowe, drogi palmami obsadzone. Hen na krańcu — ciągnie się pas ciemnozielony to — ocean Spokojny.

Każdemu rzuca się w oczy dziwny deseń na zboczu jednej z gór sąsiednich, w formie indjańskiej strzały. Nazywają to Arrowhead. Ten dziwny kształt utworzyła roślinność daleko bledsza, niby wypłowiała w porównaniu z otaczającą ją zielenią.

Przy dużem jeziorze zbudowano letnisko dla turystów.

Przy niedzieli poszedłem do kościoła na mszę św. Wszystko tu krótko i węzłowato, jak się tu mówi, „short and sweet". Objechałem główne ulice tego schludnego miasteczka. W jednem z sąsiednich miasteczek zauważyłem wspaniałą aleję drzew euka-

liptusowych, które w południowej Kalifornji napotyka się bardzo często. Posiadają jedną ciekawą właściwość, mianowicie, że latem tracą korę, poprostu „linieją“. Podobno protestancki pryczer czyli ksiądz sprowodził je tu z Azji. Rosną bardzo szybko, dostarczając opału i cienia. Wydobywają z nich także olej używany w medycynie.

San Bernardino leży nad brzegiem olbrzymiej pustyni, obejmującej dziesiątki tysięcy mil kwadratowych. Można powiedzieć,

California, San Bernardino. Strzała na zboczu góry.

że cała szeroka dolina na wschód od gór Sierrów, aż do gór Skalistych, obejmująca część Kalifornji, całą Nevadę, część Arizony, Uty, Oregonu jest jedną ogromną pustynią.

Ziemia piasczysta pokryta małemi kamieniami, porosła bylicą. Tu i ówdzie napotyka się niewielkie drzewa od czterech do sześciu cali średnicy, a jakie od piętnastu do dwudziestu stóp wysokie. Krótkie przy grubym pniu konary zakończone są pękami



długich, nibyto palmowych, a właściwie szpilkowych liści. Zdaleka myślałbyś, że to jakiś nieznany gatunek kaktusa. Miejscami rosną dosyć gęsto, a niekiedy zrzadka się je napotyka. Nazywają te drzewa „Yucca".

Zaopatrzywszy się dobrze w oliwę, gazolinę i wodę, ruszam około czwartej po południu w tę nieznaną, a strasznie gorącą pustynię. Doskonałą asfaltową drogą suniemy szybko w głąb pustyni Mohave. Mijamy niewielką osadę Cajon. Tędy przybyli Mormoni. Jadę ich szlakiem, następnie Victorville, Oro Grande i dojeżdżam do większego miasteczka na pustyni Barstow. Po



Kwatera miodu.

drodze zauważyłem dużą cementownię i kilka małych pieców do wypalania wapna.

Nie zatrzymuję się jednak w Barstow, węźle kolejowym i drogowym. Tu się krzyżują drogi samochodowe. Nr. 91 idzie w kierunku pułnocno-wschodnim przez Las Vegas do Uty i miasta Salt Lake, a druga Nr. 66 prowadzi w kierunku południowo-wschodnim, przez Needles do Williams i Flagstaff w Arizonie. Dopełniłem znów zbiornik gazoliną i ruszam naprzód, aby jak

największą przestrzeń pokryć o chłodzie. Gorączka niekiedy dochodzi na pustyni do stu dwudziestu, a w Death Valley — dolinie śmierci — do stu trzydziestu stopni Fahrenheita.

Mapa wskazuje, że następną stacją, gdzie się można zatrzymać, jest Baker o 50 mil dalej na wschód. Trzymam samochód ne szybkości 45 do 50 mil na godzinę, chociaż możnaby pędzić daleko szybciej, gdyż nie napotykam żadnego ruchu, a droga na pustyni jest doskonała, co bardzo ułatwia podróż. Wolę jednak takie ogromne przestrzenie przebywać w umiarkowanem tempie, gdyż obozowanie pod gołem niebem na bezludnej pustyni wcale mi do gustu nie przypada.

Po kilkugodzinnej podróży zrobiłem sto kilkadziesiąt mil. Zatrzymałem się na — kolację w pustyni. Z walizek dobywam butelkę z kawą i nieodzowne „sandwiche“, poczem zasiadam na przydrożnym kamieniu i z wielkim apetytem, zdala od ludzi, zajadam mój obiad niedzielny.

Dziwna rzecz... kilka razy spotykałem ludzi żyjących na tych bezludnych obszarach. Gdym się ich pytał, dlaczego na takiej pustyni mieszkają, zawsze dawali tę samą odpowiedź: „Nam się tu podoba“. Niejeden wyjeżdżał do miast, wpadał w potężny strumień życia ludzkiego. Nie wytrzymał... Zahipnotyzowała go, niby czarodziejka, owa bezbrzeżna, spokojna, a potężna pustynia.

Gdym patrzał na czerwoną łunę zachodzącego słońca, dziwnym blaskiem malującego kontury wzgórz pustynnych, jakaś dziwna i niewytłumaczona ogarnęła mnie tęsknota, której opisać nie potrafię. Przedewszystkiem uderzyła mię ta niczem niezmącona cisza. Nie widzisz ani domu, ani ludzi, ani zwierząt, ani ptaków... Na horyzoncie niewielkie wzgórza, wydmy piasczyste i pustynne, szaro zielone krzewy — bylicy. Jesteś tu sam wobec tego bezbrzeżnego morza piasku i kamieni... Przecież w tych amerykańskich pustyniach możnaby umieścić z łatwością ogromną część Polski, wpakować Niemcy, dorzucić Włochy, a próżne miejsca możnaby zawalić małemi państewkami, jak Belgja, Holandja, Szwajcarja i temi nadbałtyckiemi drobiazgami, a jeszczeby dużo wolnego obszaru pozostało.

Nie dziwuję się świętym, że szli na pustynię. Nie widzę w tem nic trudnego. Owszem, kto chce rozmyślać, kto chce żyć wobec tego potężnego, spokojnego majestatu natury, niech idzie na pustynię. Tam dozna zupełnie innych wrażeń, aniżeli w jakim-

kolwiek innym zakątku przez ludzi „zapaskudzonym". Powiedziałbym tylko tyle: — jeżeli kto chce umysłowo wypocząć, coś pisać, o czemś poważnem, a wzniosłem myśleć, niech idzie na pustynię i zamieszka daleko od ludzkich siedzib... Gdy to piszę, już kilka miesięcy upłynęło od chwili, gdym przez tę pustynię jechał, a jeszcze czuję, jak mnie do siebie ciągnie, niby wzrok węża, który do siebie wabi słabego ptaszka... Poprostu tu tęsknię za pustynią i chciałbym do niej jeszcze kiedy wrócić i czas dłuższy na niej spędzić. Ci, co tu mieszkają, mają słuszność — „It will get you". „Ona cię dostanie".

Już się doskonale ściemniło gdy na wzgórku ujrzałem gęsto rozrzucone światełka elektryczne. Był to postój dla podróżnych w Baker. Restauracja, dwie stacje gazolinowe, małe pole lotnicze, używane w razie wypadku t. zw. „emergency flied" i kilkanaście skromnych kabin dla turystów tworzyły cały kompleks osady. Było już po dziewiątej, zanim do tego punktu dotarłem, a gorączka wciąż dopiekała, a ciepły wiatr o tej późnej godzinie wiele nie chłodził.

W pobliżu mały motor spalinowy huczał całą noc, zaopatrując pole lotnicze i kilka domów w światło elektryczne. O spaniu nie było mowy, zresztą muchy, komary także tu coś miały do gadania.

O godzinie czwartej rano, przed wschodem słońca, ruszam w dalszą drogę do Las Vegas, o sto mil stąd oddalonego. Dzień zapowiadał się pogodny i gorący. Mijam kilka stacyj gazolinowych i bardzo biednych kabin dla turystów. Przy drodze stoi samochód, niby pustynny dromader, którego właściciele obwinąwszy się w koce, spali snem błogim pod gołem niebem, na gorącym piasku. Zapewne było im chłodniej i taniej, aniżeli w biednej i niewygodnej, przytem gorącej kabinie turystycznej.

Pospieszam, aby jak najprędzej dostać się do Las Vegas. Po godzinnej podróży przekraczam granicę Kalifornji i znów wjeżdżam do Nevady. Poprzednio zwiedziłem północną część tego stanu, teraz jestem w jej południowym odcinku, gdzie klinem się wrzyna między Kalifornję i Aryzonę. Rzeka Colorado na trzy części dzieli stany, a właściwie jedną ogromną pustynię.

Około pięćdziesiąt mil na północ, długim pasem, równoległym do granicy Nevady, ciągnie się po stronie kalifornijskiej słynna Dolina Śmierci — „Death Valley". Zdaje się, że tu kiedyś było morze, gyż dolina miejscami sięga głębokości przeszło 250

stóp poniżej poziomu oceanu. Ile tam ludzi zginęło z pragnienia i gorączki! Setki prospektorów zabłąkało się tu w poszukiwaniu za złotem. Zamiast żółtego metalu, znaleźli śmierć w gorących, żółtych piaskach pustyni. A jednak i złoto się tu znajduje. W Tonopah i innych miejscowościach na pustyni odkryto bogate pokłady żółtego metalu. Z Death Velley wydobywają boraks i inne sole.

Słyszałem ciekawą historję przez radjo o jednym z pionierów w tej okolicy, którą tu powtarzam.

Zapuścił się daleko w pustynię ów obywatel i miał wrócić w pewnym oznaczonym czasie. Gdy się na miejsce nie stawił, zarządzono poszukiwania i znaleziono nieżywego wraz z końmi. Od gorączki i pragnienia zginęli.

Trzeba było urządzić pogrzeb na pustyni. Wykopano grób, owinięto nieboszczyka kocem i złożono do rozpalonej ziemi. Wtenczas jeden do drugiego z przyjaciół powiada: „Słuchaj! przecież trzeba urządzić jakąś ceremonję pogrzebową?"

— Kiedy ja nawet pacierza nie umiem, a cóż dopiero o jakiemś nabożeństwie mi gadasz!

— No to coś powiedz o naszym koledze, jakieś dobre słowo i przynajmniej pustynia coś dobrego o nim usłyszy. Przecież nad trumną wypada coś powiedzieć...

Ten odchrząknął i taki wygłosił panegiryk: „Well John, żyłeś w gorączce. Umarłeś z gorączki. Poszedłeś do piekła, gdzie ci będzie jeszcze goręcej!"

Na tem zakończył. Grób zawalono i uczestnicy osobliwego pogrzebu wrócili do swoich.

Przy drodze mijamy olbrzymie zagłębienia, gdzie dawniej było jezioro. Pozostała szeroka płaszczyzna, pokryta dziką trawą i nic więcej. Napotykam również w tej pustyni małą osadę przy kopalni wapienia, czy jakiegoś innego minerału. Widać, że tu ludzie wciąż szukają i „węszą" za ukrytemi skarbami. Pusty step wcale ich nie zraża ani nie odstrasza.

Tu i ówdzie lekkiemi skrętami przeciskam się przez niewielkie łańcuchy wzgórz gołych, kamienistych. Nad samą granicą Kalifornji i Nevady jest nieco wyższy szczyt, zwany Devils Peak — wzgórze djabła. Nie ma się biedaczysko czem pochwalić; widać, że ktoś miał tu trudności i djabłu tę pustą górę w testamencie zlecił.

Las Vegas możnaby nazwać oazą pustyni. Zdaleka już zaprasza dosyć duże miasteczko, otoczone zielenią drzew, poprzerzynane prostemi i czyściutko utrzymywanemi ulicami. Jedynym raison d'être do widzenia w tej pustynnej oazie były warsztaty kolejowe; teraz jest tama na rzece Colorado — Boulder Dam. Ma się rozumieć, że dla turystów jest to nader wygodny przystanek i zdaje się, że mieszkańcy to należycie wykorzystują. W miasteczku natrafiam pełno wygodnych, gustownie, w hiszpańskim stylu zbudowanych kabin, z wszelkiemi urządzeniami dla turystów. Można sobie dowolnie wypocząć o ile to jest możliwe w strasznych upałach pustyni.

Zatrzymałem się na śniadanie. Zaopatrzyłem się równocześnie w wodę, olej, gazolinę i ruszam szeroką, bitą drogą do Boulder Dam, gdzie rząd wspólnie z sześcioma poważnemi konsorcjami buduje olbrzymią tamę.

Zanim jednak dojedziemy do Czarnego Kanjonu, na rzece Colorado, w którym od lat pracują nad jedną z największych „tam" na kuli ziemskiej, chciałbym cośkolwiek szerzej o tej sprawie czytelnika poinformować. Patrząc na dobrą, szczegółową mapę Stanów Zjednoczonych, można zauważyć dwa równoległe pasy gór. Jeden tworzą góry Cascades, przez Stany Waszyngton i Oregon, a poniżej w tym samym kierunku ciągną się Sierry, po których się parę tygodni włóczyłem. Drugiem pasmem, o jakie pięćset mil dalej na wschód są góry Skaliste — Rocky Mountains, ciągnące się od Kanady przez Montanę, Wyoming, Idaho, Colorado, Ute, Arizonę aż ku granicy meksykańskiej.

Między jednem i drugiem pasmem powstała olbrzymia dolina, a właściwie pustynia, obejmująca przeszło miljon mil kwadratowych. Wysokie góry mają coś z tem do czynienia, że bardzo rzadko, jeżeli wogóle deszcze tu padają. Jak to już kilkakrotnie nadmieniłem, przy zastosowaniu sztucznego nawodnienia, olbrzymie te pustynie przemieniają się w urodzajne pola, ogrody i zielenią pokryte parki.

Potężny, a na dwieście mil szeroki pas gór Skalistych jest w porze zimowej pokryty śniegiem. Na wiosnę topnieją śniegi, spływają do oceanów trzema wielkiemi korytami: rzeką Missouri, która wpada przy mieście St. Louis do rzeki Mississippi i pędzi do zatoki meksykańskiej. Drugiem korytem dla górskich rzek i potoków jest Columbia, o której wspomniałem w poprzednich

rozdziałach. Ta płynie na zachód, między stanami Oregon i Waszyngton i wpada do oceanu Spokojnego w Astorja. Trzecie ujście i zlew tworzy rzeka Colorado z tych trzech najdziksza i najciekawsza. Ta z licznemi dopływami wali przez sam środek gór Skalistych w kierunku południowym i wpada do zatoki Kalifornijskiej w Meksyku.

Wiosenne roztopy nie tylko, że unoszą kolosalną masę wody, tak niezbędnej do nawodnienia pustynnych terenów, ale w dodatku powodują wylewy i wyrządzają kolosalne szkody. Dlatego rząd już od wielu lat pracuje nad tem, aby te wody skontrolować. Zapomocą olbrzymiej tamy chce wykorzystać rzekę do nawodnienia urodzajnych obszarów, do wytwarzania taniej siły wodnej, a równocześnie zamierza dostarczyć miastom nad oceanem położonym więcej wody do użytku domowego.

Miasta jak Los Angeles, San Diego i wiele innych podwoiły i potroiły swą ludność w ostatnich dziesięciu lub piętnastu latach. Jeżeli będą miały zapewnione stałe i dostateczne źródło wody, napewno mogą się dalej rozwijać i prosperować. Można powiedzieć, że woda w tym wypadku jest kamieniem węgielnym ich rozwoju i dobrobytu. Przy taniej produkcji elektryczności na rozrzuconych olbrzymich przestrzeniach będzie można tem łatwiej zużytkować bogate pokłady kruszców w pustynnych stepach Nevady, Kalifornji i Arizony.

Tuż przy Yellowstone Parku napotkałem jedną z kilku tam, w tym celu przez rząd zbudowanych. Podobne przedsiębiorstwa znajdują się w Idaho, Colorado, Arizonie i innych okolicach górskich. Największym z tych projektów dotyczącym bezpośrednio sześciu ze sobą sąsiadujących stanów jest Boulder czyli Hoover Dam, na granicy między Arizoną i Nevadą. Jest on obecnie w toku budowy.

Przed urzeczywistnieniem tego potężnego, a ze wszech stron pożytecznego projektu potrzeba było zgody i współpracy sześciu stanów, Wyoming, Colorado, Uty, Arizony, Kalifornji i Nevady. Każdy stan chciał dla siebie wyciągnąć jak największe korzyści, każdy w inny sposób pragnął tę potężną kwestję rozwiązać. Lata całe nad tem obradowano i debatowano. Nareszcie przy pomocy i współpracy rządu wszystkie trudności załatwiono i przystąpiono do dzieła.

Półtora roku temu z Waszyngtonu wysłano depeszę do głównego inżyniera Walker R. Young rozkaz Nr. 436, „You are directed to commence construction of Boulder Dam today“ — Rozkazujemy ci dziś rozpocząć budowę tamy Boulder Dam, Podpisano, Elwood Meade, komisarz reklamacji.

Na rozpoczęcie robót wstępnych rząd wyasygnował dziesięć miljonów sześćset sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Cały projekt ma kosztować około sto sześćdziesiąt pięć miljonów dolarów. Możliwe, że ta kolosalna suma nie pokryje całkowicie kosztów budowy. Ponieważ rząd takich robót nie przeprowadza, sześć największych firm konstrukcyjnych się złączyło, aby projekt wspólnie z rządem wykonać. Rząd ma dostarczać wszystkich potrzebnych surowców, kompanje zaś będą nadzorować i prowadzić roboty.

Już dwa lata pracują tu tysiące ludzi przy robotach wstępnych. Zbudowano szeroką i wygodną drogę przez pustynię, ostatnie kilka mil wyrąbano w skale. Trzeba było także podprowadzić kolej trzydzieści mil długą, aby sprowadzać maszyny i potrzebne materjały. Drogę i kolej już wykończono.

Na kilka mil przed miasteczkiem Boulder City zatrzymuje mię policjant; tu się bowiem rozpoczyna rezerwacja rządowa. Zapytuje o cel podróży, czy mam przy sobie broń i czy nie transportuję wódki na terytorjum rządowe? Tuż za kwaterą zauważyłem pełno potłuczonych butelek. To kontrabanda, biednym robotnikom zabrana i zniszczona. Zapewniłem oficjalistę, że chcę tylko zabaczyć miejsce, gdzie tamę budują; dał przepustkę, na samochodzie przylepił kartkę i polecił się „okazać“ szefowi policji w miasteczku.

W przeciągu półtora roku na bezludnej pustyni powstało piękne nowoczesne miasteczko. Wymierzono szerokie ulice i parki. Zbudowano już pocztę, ratusz, teatr, szpital, gmach straży ogniowej; zaprowadzono kanalizację, wodociągi światło elektryczne. Masz tu bracie te same wygody, co w Warszawie, a daleko lepsze od tych, przynajmniej co do kanalizacji, na jakie się mogła zdobyć Łódź w stuletnim żywocie. W jednej dzielnicy powstały szeregi obszernych, wygodnych mieszkań dla robotników; na przeciwnym zaś końcu budują okazalsze dla urzędników. Sklepy korzenne, składy z ubraniami, teatry, a nawet

kościoły rozlokowano w odpowiednich dzielnicach. Liczą że tu będzie zamieszkiwało kilka, a może kilkanaście tysięcy ludzi.

Zaraportowałem się szefowi policji. Ten kartkę podpisał z poleceniem, abym wracając oddał ją urzędnikowi przy bramie wjazdowej. Do miejsca, w ktorem budują tamę, mam jeszcze jakie trzy mile. Jadę obok olbrzymich składów żelaza, belek, drzewa budulcowego, kamieniołomów i rozmaitych materjałów potrzebnych do wykończenia tego potężnego dzieła genjuszu ludzkiego.

Zbliżam się do brzegu ogromnej przepaści. Zatrzymuję samochód w odpowiedniem do tego miejscu i spoglądam w głęboki jar. Na dole, niby wąska, srebrzysta taśma, pędzi rzeka Colorado. Z jednej i z drugiej strony rzeki wznosi się potężny mur skały wulkanicznej, tworząc wąski gardziel 350 stóp szeroki u spodu, a na wysokości siedmiuset stóp, w górę od łożyska rzeki, rozszerza się do 850 stóp. W tem miejscu budują olbrzymią tamę ze stali i konkretu, która ewentualnie wstrzyma wody tej wartkiej i niebezpiecznej rzeki. Końce tej półokrągłej ściany będą wpuszczone na sto pięćdziesiąt stóp wgłąb gór, piętrzących się po obu stronach rzeki.

Zanim można było przystąpić do budowy właściwej tamy, należało przewiercić w obu ścianach górskich cztery ogromne tunele: dwa po każdej stronie, aby woda mogła bez przerwy płynąć. Każdy tunel ma pięćdziesiąt stóp średnicy i jest cztery tysiące stóp długi. Pojemność tych czterech tunelów jest daleko większa, aniżeli przypływ wody w rzece Mississippi milę szerokiej, w okolicach miasta St. Louis.

Już ukończono wiercenie tuneli. Chociaż bito je w twardej skale każdy jest nadto wycementowany i stalowemi prętami w cemencie umocniony; potem do tuneli wsunięto olbrzymie stalowe rury, któremi woda płynie. Rzekę już skierowano do nowego łożyska a obecne koryto zawalono tymczasową tamą i rozpoczęto budowę największej a właściwie najwyższej tamy na świecie.

Z punktu inżynierji tama Boulder Dam przedstawia kilka ciekawych i oryginalnych problemów. Jednym z najważniejszych jest temperatura świeżo zmieszanego cementu. Działalność chemiczna świeżej mieszaniny cementowej, oraz bardzo wysoki stopień ciepła w kanjonie dochodzi nieraz od 120 do 130 stopni

Fahrenheita. Do zredukowania temperatury cementu w normalnych warunkach według obliczeń inżynierów potrzebaby co najmniej od stupięćdziesięciu do dwustu lat. Co gorsza, mogłyby nastąpić pęknięcia i osłabienie całej ściany.

Drugim oryginalnym problemem jest budowa tej ściany ponad siedmset stóp wysokiej a u samego wierzchu czterdzieści stóp szerokiej.

Głęboko w skalnem łożysku rzeki, już rozpoczęto jej budowę. Nie będzie to właściwie jedna solidna masa cementu, ale serja przeszło siedmset stóp wysokich olbrzymich kolumn spojonych ze sobą. Kolumny w formie półkola tak są budowane, że olbrzymie parcie wody tem bardziej je do siebie spycha, tworząc wprost do nieprzełamania zapory. Jest to zastosowanie klinu. Im silniejsze parcie, tem silniejsza ściana. A to tem bardziej, że ściana jest poprostu wcięta w te odwieczne, skalne brzegi. Trzebaby całą górę wyrwać, zanimby się tama rozpadła. A teraz, jak rozwiązano problem ochłodzenia tej olbrzymiej masy cementu, obliczonego na siedm miljonów ton, a przeszło pięć miljonów metrów kubicznych. Dziennie leją ponad siedm tysięcy ton do przygotowanych form.

Otóż każda z tych wież zawierać będzie olbrzymie zwoje rur stalowych, niby kiszki w ludzkim organizmie. Temi rurami, niby krew w żyłach i arterjach przez pewien czas popłynie woda o temperaturze 80 stopni. Tym sposobem ogromna masa cementu stale się ochładza. Gdy temperatura dosięgnie jakich 85 stopni, wodę zastąpią rozczynem amonjaku czy innej ochładzającej mieszaniny o temperaturze kilka stopni powyżej zera. Poprostu każda cementowa kolumna stanie się do pewnego stopnia chemiczną lodownią. W przeciągu kilku miesięcy chemiczna działalność obniży temperaturę do 40 stopni Fahrenheita. Gdy to nastąpi, będzie można skonstatować, czy w tym monolicie nastąpiły jakieś pęknięcia. Te znów zaleją specjalnie spreperowaną masą, niby klejem. Rozczyn z rur stalowych, które w prostej linji sięgałyby 750 mil, wypompują, a wleją masę cementową i tak stworzą jedną olbrzymią bryłę betonową, której temperatura więcej się nie zmieni.

Jeszcze tu na jeden szczegół należy zwrócić uwagę. Cała robota jest znakomicie „zesynchronizowana" czyli, że każdy dział tak jest prowadzony, aby innej pracy nie opóźniał. Dla-

tego robota postępuje naprzód w bardzo szybkiem tempie. Według pierwszych obliczeń, dotychczas przyspieszono budowę o rok czasu, co oczywiście jest olbrzymią oszczędnością i korzyścią dla wszystkich.

Wierzch tamy będzie stanowił rodzaj pomostu, czterdzieści stóp szerokiego. Tędy poprowadzi wspaniały bulwar, łączący Nevadę z Arizoną. Tam, gdzie dotychczas zaledwo orły w powietrzu bujały, gdzie może zrzadka Indjanin się zapuszczał, polując na dziką zwierzynę, za kilka lat, tysiące turystów pojadą z wszelkiemi komfortami i bezpieczeństwem podziwiać ten cud genjalnej pomysłowości człowieka.

Po obu stronach rzeki, poniżej tamy, budują olbrzymie elektrownie, w najwyższym rozwoju mogące dostarczyć elekryczności na miljon ośmset tysięcy koni. Prąd tu wytwarzany rozchodzić się będzie po całej południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych.

Aby ten olbrzymi rezerwoar napełnić, potrwa od 6 do 8 lat, zależy od nadwyżki wody w sezonie wiosennym.

Powstanie tu jezioro sto dwadzieścia mil długie, a blisko tysiąc stóp głębokie. Według umów i traktatów, nie można całkowicie zatrzymać wody w rzece. Pewna część zawsze popłynie, gdyż jest potrzebna do irygacji pól, zaopatrywania miast i wiosek, więc tylko nadwyżkę wody, po gwałtownych ulewach i wiosennych roztopach, wstrzymają do czasu, aż się to potężne jezioro wypełni. Wtenczas będzie nią rząd dowolnie dysponował do celów nawadniania, do zaopatrywania miast w wodę do picia i wytworu siły elektrycznej.

Patrząc na ludzi, niby na małe robaczki, uwijające się po tych skalnych przepaściach, przeciętny turysta nie zdaje sobie sprawy z ogromu tego przedsięwzięcia. Tu widzisz inżynierów taśmami i instrumentami znaczących pomiary, linje i krzyżyki na skale. Tam zaś kilkunastu ludzi niby wielkie komary świdrują twardą skórę ziemi stalowemi świdrami, pędzonemi ściśnionem powietrzem. Opodal sapiący czołg szeroką, stalową łopatą spycha odłamy skały w przepaść; nieraz tak blisko się do jej krawędzi podsuwa, że zdaje się, iż sam za temi skałami na złamanie karku poleci. I tak wszędzie pełno kurzu, dymu, huku dynamitu i zajadłej, wytrwałej, ludzkiej pracy i znoju. Zastosowano najnowszego systemu kopaczki, świdry i maszyny do mieszania cementu.

Taka intensywna praca trwać będzie lata całe, zanim napozór wąziutka przepaść i niby ta mała rzeczka nie zostaną ujarzmione i oddane do użytku miljonom ludzi.

Sekretarz Spraw Wewnętrznych wypowiedział następujące zdanie o projekcie: „Tama Boulder Dam oznaczać będzie nasze narodowe zwycięstwo nad wielką amerykańską pustynią. Zapomocą pieniędzy, ludzi i talentów inżynierskich zbudujemy wielki narodowy majątek. Stworzymy nową geografję i rozpoczniemy nową erę w południowo-zachodniej części Stanów Zjednoczonych".

Inżynierowie twierdzą, że tama dostarczy dla celów nawadniania roli szesnaście miljonów „acre-feet". Zdaje się, że to jest ilość wody potrzebnej do zalania jednego akra roli na stopę głęboko.

Skoro tamę wykończą, rozpoczną budowę wodociągów, o jakich się cesarzom rzymskim nawet nie śniło. Mają sprowadzić wodę do Los Angeles, San Diego i innych miast, nad oceanem położonych. Aby to uskutecznić, trzeba będzie tunelami przebijać pasmo górskie, przerzucać wodociągi przez parowy i kanjony, wciągać wodę ponad poziom tamy ogromnemi pompami. Odległość od Boulder Dam do Los Angeles wynosi przeszło trzysta mil, a do San Diego jest jeszcze dalej. Ten projekt będzie kosztował około dwieście pięćdziesiąt miljonów dolarów.

Zanim tama, wodociągi, elektrownie, rowy irygacyjne i wszelkie inne dodatkowe roboty będą skończone, upłyną lata całe. Koszta tego największego projektu w historji świata wyniosą ponad pięćset miljonów dolarów czyli pół miljarda.

Amortyzacja tej kolosalnej sumy jest rozliczona na dziesiątki lat a może pół wieku upłynie, zanim ostatni dolar wydany przez rząd się wróci. Dochody podzielą. Część przyniesie siła elektryczna, która znajdzie bardzo szerokie zapotrzebowanie, część wpłynie z opłaty za wodę do irygacji, a reszta z dostawy wody do picia miastom, z których Los Angeles obecnie liczy półtora miljona mieszkańców, a San Diego sto sześćdziesiąt tysięcy. Prawdopodobnie, mając nieograniczony zapas wody, stanowiący najważniejszy czynnik w rozwoju i dobrobycie całej połaci pustynnego, ale żyznego kraju, ludność tutejsza w krótkim czasie się podwoi. Powstaną nowe miasta, fabryki, kopalnie, letniska, uzdrowiska, sady i farmy. Pod dotknięciem magicznej

różdżki Boulder Damu, także zwanej Hoover Dam, pustynia przeistoczy się w raj.

Gdy człowiek to wszystko ogląda, oblicza koszta i zastanawia się nad ogromnemi korzyściami, jakie z tej pożytecznej budowy i pracy odniosą miljony ludzi i to przez wieki całe, nasunęła mi się myśl ciekawa.

Budowa tamy potrwa z wszystkiemi dodatkami od sześciu do ośmiu lat. Ma kosztować z wodociągami około pół miljarda dolarów. Pieniądze pójdą do kieszeni robotnika, a z jego pracy pokolenia całe odniosą korzyści.

A teraz weźmy chociażby tylko jeden rok wojny światowej. Miljony ludzi pracowały, walczyły, cierpiały, ginęły na „polu chwały". Za co wpakowaliśmy na całe pokolenia taki ciężar, że go unieść nie będą mogły? Z powodu wojny mamy pełno kalek, szpitale zapełnione inwalidami, lud obciążony podatkami. Nie wspominam nawet o tych miljonach, co legły we wspólnych i po całym świecie rozrzuconych, nieznanych mogiłach!...

Gdyby tak można w te odludne pustynne góry przyprowadzić wszystkich generałów, królów, dyplomatów, szowinistów, co się lubują w wojnie i podboju narodów, którzy parki „upiększają" rozbitemi armatami, a pokoje zdobią bagnetami, i pokazać im ten triumf dobrej, kosztownej, ale pożytecznej pracy; gdyby wszystkim ludziom bez wyjątku, bez różnicy narodowości, zapatrywań politycznych, poglądów religijnych można wytłumaczyć znaczenie i pożytek tego dzieła, gdyby im można do głowy i do sumienia wpakować tę jedną potężną, zbawczą myśl, że wojny nas i ludzkość prowadzą do ruiny, a uczciwa, zbożna, rzetelna praca przynosi każdemu pokój i dobrobyt, cóżby to za wielka nauka była dla ludzkości.

„Meliora video proboque, deteriora sequor" — widzę i pochwalam rzeczy lepsze, a czynię gorsze — powiedział dawno rzymski poeta. Nic się od tego czasu nie zmieniło. Chyba to, że ludzie zamiast być logiczniejszymi, rozsądniejszymi, spokojniejszymi, kulturalniejszymi, bardziej humanitarnymi, stają się dzikszymi i wciąż dążą do walki, grabieży i ruiny moralnej i finansowej... Czy jest ktoś w stanie wytłumaczyć tę dziwną psychikę tego zwierzęcia dwunożnego, które filozofowie określili jako „animal rationale" — zwierzę rozumne?!...

Ktoś, czy nawet niejeden z polskich dyplomatów powiedział, że najprzód trzeba się rozbroić moralnie. Trzeba się wyzuć z tych obaw ciągłych walk i napadów. Trzeba w szkołach za wzory podawać, jako bohaterów nie koniecznie tych, co krew przelewali za ideały, gdyż w narodach kulturalnych powinniśmy sprawiedliwość i bezpieczeństwo narodowe osiągnąć drogą pokojową, a nie krwi rozlewem. Należałoby raczej za wzór podawać ludzi uczonych, którzy dla nauki, dla sztuki, dla ludzkości rzucili swe życie „na losu stos".

Ale co ja tu będę rozwodził się o tych sprawach. Niejeden powie, że gada jak Piekarski na mękach. Więc też schowam swe poglądy do kieszeni i ruszam w dalszą drogę.

Oddałem na granicy rezerwacji rządowej „przepustkę". Kiwnąłem urzędnikowi ręką „good bye", i wio z powrotem do Las Vegas. W stacji gazolinowej skarżę się posługiwaczowi na zbytni upał, gdyż pot się leje ze mnie, jak bym był w tureckiej łaźni. Ten zaś z ironicznym uśmiechem powiada, że dziś jest chłodno, bo mamy tylko 98 stopni Fahrenheita, kiedy indziej to i 112 dochodzi, a nawet więcej". Zaraz mi się chłodniej zrobiło, a należycie zaopatrzony w paliwo i wodę ruszam w dalszą pustynną drogę.

Następne piećdziesiąt mil nie mają nam nic ciekawego do pokazania. Wszędzie ta sama pustynia, gdzie niegdzie biedna stacja gazolinowa, maluteńki „lunch room" — przydrożna restauracyjka, i nic więcej. Zdaleka widać niskie, pustynne wzgórza, po lewej stronie drogi to Las Vegas Range, po prawej Griffith Summit, 3500 stóp wysoki. W Glendale przekraczam rzeczkę — Muddy — błotnistą. W innej porze roku byłby to zapewno suchy rów, (w sezonie letnim wiele rzek zupełnie tu wysycha) dziś jednak pędzi szerokiem, miałkiem korytem struga brudnej wody. Dwa dni temu w Uta spadły ogromne ulewy i tu widzimy ich skutek. Rzeki wezbrały, a suche parowy zmieniły się w rwące potoki.

W Bunkerville, o trzydzieści pięć mil dalej na północny wschód, dojeżdżam do Virgin River — dziewiczej rzeki. Po ulewach i oberwaniu się chmur owa „dziewica" strasznie się rozbrykała. Już w San Bernardino cośkolwiek o tem słyszałem. Spotkałem bowiem turystę, który zawrócił około trzysta mil drogi dlatego, że Virgin River ogromnie wezbrała i zniszczyła most w szalonym zapędzie.

Przypuszczałem, że nawet najgwałtowniejsza rzeka, a tem bardziej taka, która nosi dziewiczą nazwę, jakoś się „ustatkuje“ w przeciągu dwóch dni. Wody już znacznie opadły. Po obu stronach rzeki stał jeszcze długi rząd samochodów, czekając na konie i wozy. Te nowoczesne Charony dzień i noc pracowały przewożąc turystów w samochodzie nogą suchą na brzeg przeciwny. Niektórzy już tu od dwu dni czekają na przeprawę. Stan dostarczył koni, któremi bezpłatnie samochody przeciągano przez szeroką, ale nie zbyt głęboką rzekę.

Kilku przedsiębiorczych farmerów przywiozło wóz, zbudowali na nim podłogę i tak przewozili samochody. Za przewózkę żądali dwa dolary od każdego. Niemasz złego, któreby komuś na dobre nie wyszło. Przez parę dni zebrali fortunę. Konkurencji nie było, gdyż nikt na tej pustyni nie mieszka. Poprostu turyści znaleźli się jak tu mówią — betweem the devil and the deep sea — między djabłem, a głębokiem morzem, a właściwie rzeką. Przejechać nie było można, a wrócić się i szukać innej drogi — także było niemożliwe, gdyż trzebaby okrężnie jechać setki mil.

Ponieważ napotkałem już kilkanaście samochodów, jadących w przeciwnym kierunku, była pewność, że się jakoś przez tę ogromnie rozbrykaną dziewiczą rzekę przegramolę. Zastałem po jednej i drugiej stronie kilkadziesiąt samochodów, czekających, niby w mitologji greckiej, zmarli na czółno Charona, aby ich przez Styx przeprowadził za opłatą jednego obola — my zaś dwu dolarów.

Bojaźliwi i troskliwi o swe samochody czekali na wóz, który ich miał przewieźć. Odważniejsi kazali się końmi przewlec za darmo na drugą stronę a właściwie na kant stanu Nevada. Zanim się na krok stanowczy w tej sprawie zdecydowałem, poszedłem zbadać teren, a co ważniejsza — zrobić kilka zdjęć — na pamiątkę. Zauważyłem, że woda już znacznie opadła. W najgłębszych miejscach sięgała jakie dwie stopy. Więc też nie chcąc tracić zbyt dużo czasu, przytem nie mając ochoty pozbyć się dwóch dolarów, stanąłem w rzędzie tych, co nie jechali „ani na wozie ani pod wozem“, ale we własnym samochodzie; tylko zamiast mych ośmiocylindrowych stu koni ciągnęły dwie dosyć zwykłe szkapy.

Farmer zajechał, łańcuch założył, na błotnik lewy usiadł, z bicza trzasnął i wio do wody. Takiej przeprawy w życiu nie

miałem. Zagapiłem się na mego „kuczera“ i rwącą rzekę. Ten kazał mi kręcić na lewo ku przeciwnemu brzegowi i drodze, ja zaś trzymałem kierownicę na linji prostej tak, że biedaczysko na środku rzeki nie mógł ani skręcić ani jechać. Dopieroby to była frajda, gdybym tak na tej „dziewicy“ zarznął w piasku i błocie?... Gdy jednak się do mnie odwrócił i porządnie po angielsku zaklął, zaraz się domyśliłem, o co mu chodzi i odpowiednio pokierowałem samochodem. Gdyśmy się szczęśliwie „suchą nogą“ dostali na brzeg przeciwny, poprosiłem „tymstera“ — woźnicę, aby się wraz ze szkapami zatrzymał na swem siedzeniu aż wezmę jego „pykcier“ — obrazek. Chętnie się na to zgodził.

Dalsza droga już nie przedstawiała żadnych większych trudności. Tu i ówdzie można było zauważyć wyrwy i kamienie wyrzucone przez powódź. Wszędzie gromady robotników przeszkody usuwały, drogi naprawiały i wszystko wracało do dawnego porządku.

Parę mil za Mesquite przekroczyłem granicę Nevady i jechałem przez mały kącik Aryzony, która tu graniczy z Nevadą i Utą. Zatrzymałem się w małym hoteliku, gdzie podawali zimne, prohibicyjne piwo Pabsta z Milwaukee, a także przekąski, aby się ochłodzić i nieco sił nabrać. Po chwilowym wypoczynku ruszam w dalszą podróż.

Jadąc w kierunku północnym, wjeżdżam w granicę stanu Utah. Wciskam się między wzgórza Beaver Dam Mountains, przez rezerwację indjańską, Shebit. Jednak żadnego Indjanina tu nie napotkałem. Dojeżdżam szczęśliwe do większego miasteczka St. George. Ponieważ słońce jeszcze było wysoko na niebie, więc nie zatrzymuję się, ale pospieszam do mety, którą jest jeden z parków narodowych Zion National Park.

Jadę teraz bardzo urodzajną doliną, obficie w wodę zaopatrzoną z Virgin River, która turystom tyle narobiła kłopotu. Ogromne pustynie dają tej okolicy bardzo ciepły klimat i dlatego już od wielu lat w tej dolinie Mormoni uprawiali bawełnę i hodowali doskonałe owoce.

W Anderson skręcam w bok z głównego traktu U. S. 91, zwanego także „arrowhead road“ — droga strzały. Odtąd zmienia się okolica. Z pustyni wjeżdżam w sferę rolniczą. Znów napotykam zabudowania farmerskie, bydło, sady owocowe i ludne wioski, jak Toqueville, Virgin, Grafton, Rockville i Springdale,

gdzie zakwaterowałem się na noc, tuż u bram Zion National Parku. Od czwartej rano z licznemi przerwami zrobiłem 330 mil.

Ciekawą i malowniczą napotykam tu krainę. Przedewszystkiem góry, a właściwie płaskowzgórza zasługują na uwagę turysty. Coś się tu kiedyś stało, gdyż z jednej strony mamy dosyć prostopadłe szczyty, utworzone z bogatych w kolory pokładów piaskowca, wapienia i t. zw. shale. Jest to mieszanina mułu, drobnego kamienia, który się napotyka warstwami między kamieniem wapiennym, piaskowcem i innemi pokładami. Nieraz ów „shale" obfituje w rozmaite sole, ropę i minerały.

Rozdział II.

ZION PARK.

Cała Utah a szczególnie jej część południowa, należy do najbardziej malowniczych części Stanów Zjednoczonych. Przedewszystkiem można tu podziwiać ogromne i bardzo bogate w kolory żłobienia wykonane w ciągu wieków przez wodę rzeźbiarkę.

Ta część stanu tworzy olbrzymie płaskowzgórze, miejscami o wysokich, spadzistych wyżynach. Geologowie przypuszczają, że nastąpiło tu pęknięcie, a może usunięcie i zawalenie się potężnej bryły ziemskiej. To jakoby odkryło wysoki prostopadły niemal bok czy też ścianę, w której odróżnia się wszystkie bogate w kolory pokłady. Takie pęknięcie i częściowe obniżenie się powierzchni nazywają w terminologji geologicznej — „fault".

Żłobienie — erosion — przez wodę idzie w dalszym ciągu, bez przestanku. Warstwy mułu i piasku się usuwają, twardsze pokłady zostają i przybierają dziwne kształty i formy. Woda spływająca po ich ścianach, piaskiem, niby pilnikiem spiłowała ostre szczyty i złomy, nadaje im nieraz dziwne formy, kształtami przypominające świątynie, wieże, statuy i tym podobne dziwy.

Rano wjeżdżam do parku Zion — Syon. Na wstępie, jak zwykle, spotyka turystów urzędnik, zapisuje numer samochodu, wręcza książeczkę rządową o atrakcjach tego zaczarowanego kącika, przylepia jeden więcej znaczek, a goście wzamian dają przepisanego dolara. Załatwiwszy krótkie formalności, wjeżdżam w tę zaczarowaną dolinę rzeki — teraz ostrożnie z językiem, bo rzeka nazywa się po indjańsku — Mukuntuweap.

Pierwszymi białymi odkrywcami tej wprost zaczarowanej doliny byli oczywiście Mormoni, którzy ten stan zupełnie dziki, wzięli w swe posiadanie i panowanie. Ale o nich napiszę ob-

szerniej w następnych rozdziałach. Byli to ludzie o głębokich przekonaniach religijnych, więc też widząc prostopadłe szczyty w formie ołtarzy, kolumn, wież, wyobrażali sobie, że są w jakiejś ogromnej, bezludnej a imponującej świątyni. Dlatego nazywali ją — Syon, na pamiątkę owego Syonu, o którym mówi Pismo św. Zawsze lepiej wymawiać Syon niż Mukuntuweap, po polsku ta indjańska nazwa brzmi mniej więcej, jak gdyby ktoś powiedział — „muchą — go — w łeb“.

Niewielki to park, jeżeli się ma na względzie obszar, gdyż nie przekracza nawet stu tysięcy akrów. Główną atrakcję stanowi wąska dolina rzeki, z jednej i z drugiej strony otoczona prostopadłemi ścianami, o bogatych, ciemno-czerwonych, amarantowych, blado-różowych, kremowych i zupełnie białych kolorach. Ktoś trafnie powiedział, że to jest druga dolina Yosemete, tylko w kolorach. Tam podziwiać było można tej samej wielkości prostopadłe granity jednostajnego, siwego koloru, tu zaś oglądasz góry o prostopadłych ścianach, dwa tysiące pięćset stóp wysokich, które są jakby malowane na rozmaite kolory.

Po prawej stronie drogi, niby stróże doliny, piętrzą się dwie góry ze sobą złączone; nadano im dlatego nazwę — Bliźnięta, 6,151 stóp. Zaraz przy nich wznosi się góra zwana „Mountain of the Sum“ — góra słońca. Na przeciwnej zaś stronie rzeczułki wzbijają się trzy wysokie szczyty zrośnięte z sobą zwane „Three Patriarchs“ — trzech patrjarchów, 6,825 stóp wysokości ponad poziom morza. Zaraz obok jest Lady Mountain, a następnie ogromny Castle Dome — w formie olbrzymiej kopuły.

Między temi niebotycznemi skałami, w niedostępnych szczelinach, odkryto przedchistoryczne mieszkania rasy, o której zaginęły wszelkie ślady. Widać, że to niebardzo wojowniczy był naród, gdyż szukał schronienia w niedostępnych skałach, gdzie ich trudno było znaleźć, a jeszcze trudniej zdobyć ich twierdzę. Nazwano ich „cliff dwellers“. Posiadali dosyć wysoką kulturę, uprawiali rolę, zaprowadzili sztuczne nawodnienie. Pozostało po nich dużo sprzętów, naczyń, świątyń i mieszkań w skale wykutych. Najliczniejsze zabytki po tych ciekawych ludziach znajdują się w Colorado, w parku Mesa Verde, a także koło Colorado Springs.

Za porządkiem po lewej stronie rzeki, idą Majestic Mountain — góra majestatyczna, Spear Head — ostrze strzały, Cathedral

Mt. — góra katedralna, Angels Landging — stopień anioła i Great Organ — wielki organ.

Po prawej stronie, za Górą Słońca, jest główna kwatera parku. Tam można się zaopatrzyć w żywność, pocztówki, pamiątki, filmy i inne potrzeby turystyczne. Tuż obok jest obszerna polanka, na której turyści mogą obozować, a jak to się mówi, „kempować“ tak długo, jak im się podoba. Mają wszelkie ku temu wygody i przecudne górskie otoczenie.

Za kwaterą, po prawej stronie rzeki, ciągnie się ogromna ściana gór. Pierwsza z rzędu jest Red Arch — czerwony łuk, następna i może najbardziej imponująca ze wszystkich, nosi nazwę nadaną przez Mormonów — The Great White Thorone, — Wielki Biały Tron. Tu oczywiście mieli na myśli tron samego Boga i zapewne na Jego cześć tak nazwali tę wspaniałą górę, której biały, wapienny szczyt przypomina olbrzymi ołtarz, na którym w starym zakonie składano całopalenia. Poza temi są jeszcze Cable Mountain i Weeping Rock — płacząca skała. W tych skałach znajdowały się mieszkania — „Cliff Dwellers“ — skalnych mieszkańców, o których .wyżej wspomniałem. Widać, że mieszkali tu sobie po sąsiedzku w tym zaczarowanym kąciku.

Tu już kończy się droga, gdyż ściany gór tak blisko do siebie dochodzą, że mała rzeczka z trudnością się wśród nich przeciska. Dla wygody turystów, rząd zdudował szeroką ścieżkę. Można nią jeszcze milę w głąb tego parowu się zapuścić. Idąc między temi potężnemi skałami, zadzierasz głowę do góry, gębę rozdziawiasz i podziwiasz te cuda natury, niby nowo przybyły do Nowego Jorku, zachwyca się jego gmachami. Tam też masz wąskie kanjony ulic, do których słońce nigdy nie dochodzi. Tam również trzeba głowę zadzierać, aby zobaczyć najwyższe piętra i wieże.

W jednej części parku znajduje się las skamieniałych drzew. Najsłynniejszy las tego rodziaju znajduje się w Arizonie. Uczeni twierdzą, że te skamieniałe drzewa istniały miljony lat temu. Dostały się na dno morza i przez wieki całe były pokryte grubą warstwą piasku i mułu. Pod ogromnem ciśnieniem wody i piasku nastąpiła ciekawa przemiana. Drzewo poprostu znikło, a na jego miejsce utworzył się — kamień, przyjmując ten sam kształt, nawet do najmniejszej obrążki i żyłki.

Turyści, jubilerzy i inni jegomoście — wandale, zaczęli te ciekawe i drogocenne okazy, rozrzucone na piaskach pustyni,

rozbijać, niszczyć i zabierać. Rząd położył na nie swą ochronną rękę. Teraz nikomu nie wolno ruszyć tych potężnych kloców kamiennych.

Tę uroczą dolinę przypisują niezmordowanej pracy małej rzeczki Mukuntuweap. Górskie atrakcje, przez turystów z zachwytem oglądane, o których wspomniałem, utworzyła mała rzeczka — rzeźbiarka. Płynie tu ogromnym na piętnaścieset stóp głębokim parowem. Przeciętna szerokość parowu jest od pięćdziesięciu do ośmdziesięciu stóp. Dwie rzeczki — rzeźbiarki, Merced w Yosemite, a Mukuntuweap w Zion pracując nieustannie tysiące lat, dały nam te dwie przepiękne doliny — Zion i Yosemite. Z tych Yosemite jest większa i bardziej imponująca, zato Zion, daleko piękniejsza z powodu bogatych kolorów. Pamiętam zdanie z pierwszej klasy: „Gutta cavat petram", czy coś tego rodzaju — kropla wody drąży skałę. Nigdzie nie znajdziecie takich arcydzieł drążonych, rzeźbionych przez krople wody, jak w południowej części Uty, w Kalifornji, a przedewszystkiem w północnej Arizonie, dokąd się stąd wybieram.

O drzewach wspominać nie potrzeba. Rosną gęsto świerki i sosny, a także nie brak osiny, z którą się w tej okolicy dosyć często będziemy spotykali.

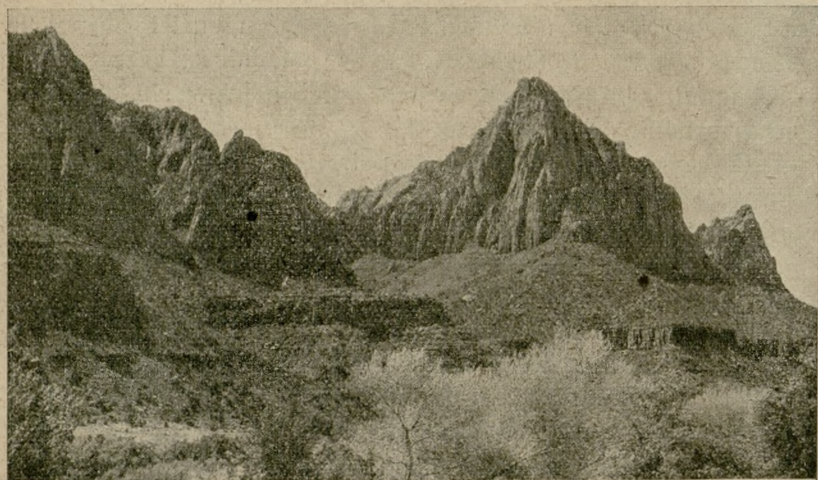
Obejrzawszy wszystkie w żywych kolorach rzeźbione piękności natury, ruszam w dalszą wędrówkę.

Na szczególniejszą uwagę turysty zasługuje sama droga, którą wyjeżdżam z parku. Nazywa się Mount Carmel Highway — Droga Góry Karmelu. Rząd wydał na jedenaście mil budowy dwa miljony dolarów, a z tego poszło półtora miljona na paru milowy odcinek w obrębie samego parku.

Był kłopot z tem, jak się najłatwiej i najprędzej wydostać z tej zaczarowanej czeluści? Inżynierowie drogowi mieli trudne zadanie do rozwiązania i trzeba im oddać wielkie uznanie i pochwałę za tak kunsztownie zbudowaną drogę. Kunszt polega na tem, aby z uroczej doliny rzeki „muchą — go — w łeb" wydostać się na olbrzymi płaskowzgórz kanjonem małej rzeczki Pine Creek. Głęboki parów rzeczki jest zaledwie milę długi, a pół mili szeroki. Dlatego zapomocą ciągłych zygzaków „switch-backs" robimy trzy i pół mile, o 5 procentowej pochyłości. Docieramy do szczytu tej ściany, ale teraz mamy olbrzymią górę przed sobą. Wjeżdżamy do wspaniałego tunelu 5,607 stóp długiego, wierco-

nego niby ogromna obręcz naokoło góry ale w jej wnętrzu. Wspinam się wciąż stopniowo ku jej szczytowi i wysokiemu płaskowzgórzu. Od czasu do czasu w ścianie wycięto otwory, niby okna, z których przed turystą roztacza się czarujący krajobraz. W Szwajcarji, zdaje się w okolicy Zurychu, jest podobnie w skale bita droga zw. „Axen Strasse“, ale to jak tu mówią „nawet się nie umyje“ do tego wspaniałego tunelu. Nad Columbia River są także tunele z wyciętemi oknami na rzekę, ale ten, przez który teraz jedziemy jest daleko dłuższy, a widok, jaki można z tych „okien“ tunelu podziwiać, jest nad wyraz cudowny. Ponieważ coś tu naprawiano, więc się tam długo nie zatrzymałem.

Dużo już w tej podróży widziałem pięknych dróg i malowniczych okolic, ale ten południowo-zachodni kąt Uty jest zupeł-



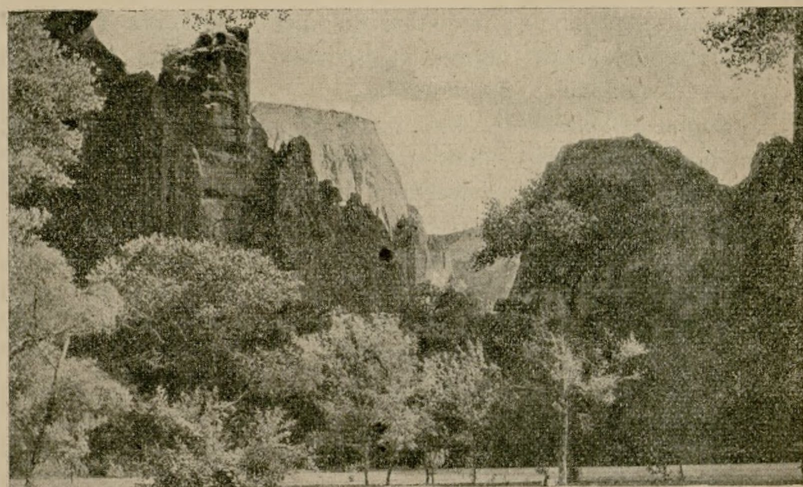
Zion Park.

nie odmienny od wszystkich innych. Każda góra i dolina jest poprostu malowana i to nieraz w kilku kolorach i odcieniach. Przeważają farby ciemno czerwone i blado-różowe. Między te wpadają równoległe pasy białe. Pola i zielone lasy dodają pejzażowi tło ciemno-zielone.

Druga osobliwość turyście podpadająca w oczy — to kształt skał, gór i parowów. Nie spotykasz ostrych i twardych konturów, jakie się widzi w górach granitownych. Kiedyś ta połać kraju za-

lana była wodą. Morze po pewnym czasie stopniowo ustępowało, zostawiając po sobie te dziwne rzeźby skalne.

Idąc brzegiem jeziora, można często zauważyć małe wyżłobienia, rowki, górki usypane z piasku przez wiatry i wody. To samo, tylko na daleko większą skalę widzi się tu w górach. Można z łatwością odróżnić każdy zrąb, taflę, pokład skały żłobiony przez stopniowo opadające fale wody. Wszędzie migają się dzieła rzeźbiarki — wody, która tu przez nieobliczone wieki zostawiła na pamiątkę arcydzieła w czerwonym piaskowcu i kamieniu wa-



Zion Park.

piennym. Niekiedy te ciekawe formacje przypominają stogi naleśników, jeden na drugim złożonych.

Dwadzieścia mil drogi z Syonu do Góry Karmelu, mówię oczywiście o Utah, a nie o Palestynie, są wprost przeładowane pięknościami krajobrazu. Napróżno zadawałby sobie turysta fatygę opisać to wszystko lub odfotografować. Najlepszą radą, jaką mogę podać, jest ta: Przyjedź... oglądaj... podziwiaj!!!

Dojeżdżam wreszcie do rządowej drogi Nr. 89 i skręcam na prawo, w stronę Aryzony, ku jednej z największych atrakcyj na świecie — Grand Canyon of the Colorado — Wielki Kanjon Rzeki Colorado. Zaopatrzywszy się w paliwo, które jest coraz droższe, znów przekraczamy, ale tym razem uczciwym mostem, rzekę Vir-

gin, która mi poprzednio tyle kłopotu narobiła. Płynie ona w kierunku południowo-zachodnim, przez piękną dolinę — Virgin Valley. Blisko swych górskich źródeł nie jest tak niebezpieczna, jak na drugim, szerokim końcu, gdzie wpada do rzeki Colorado.

Okolica staje się mniej malowniczą i stopniowo zamienia się w zwykłą, szarą pustynię, pokrytą dobrze nam znaną — bylicą.

Przy głównym trakcie mijam wioskę Kanab, o indjańskiej nazwie. Jej mieszkańcy trudnią się hodowlą bydła i owiec. Pustynne wzgórza i doliny przy małych strumykach i źródłach do tej hodowli się nadają. Jadąc w kierunku południowym, przekraczam granicę Aryzony i docieram do małej mieściny Fredonia. Stąd już niedaleko do ogromnej, a bardzo ciekawej rezerwacji leśnej — Kaibab National Forest.

Zanim jednakowoż obszerniej opiszę tę ciekawą okolicę, warto podać chociażby kilka ważniejszych faktów o stanie, do którego już po raz drugi wjeżdżam. Poprzednio zahaczyłem tylko o mały rożek tego olbrzymiego, a z wielu względów interesującego kraju. Teraz znów się wdzieram do niego przez pustynię, aby zobaczyć jedno z najciekawszych zjawisk natury na całym świecie.

Rozdział III.

ARIZONA I GRAND CANYON.

Odkrywcami tej olbrzymiej połaci kraju, objętej stanem Arizona, — wymawia się Aryzona — byli Hiszpanie.

Bogate zdobycze Corteza Pizarry w Południowej Ameryce, gdzie poprostu ogniem i mieczem zniszczono kulturalne plemiona Azteków i Inkasów, rozpaliły wyobraźnię Hiszpanów. Sądzili, że w Północnej Ameryce także znajdą bogate miasta, opływające w dostatki, błyszczące od złota, srebra i drogich kamieni.

Nie znaleźli atoli ani drugiego Peru, ani Meksyku, a ten stan, który zasłynął ze swych złotodajnych rzek i strumyków — Kalifornja, zbytnio ich nie zaciekawił.

W roku 1528-ym rząd hiszpański wysłał pod wodzą gubernatora Panfilo de Narvaez dobrze wyekwipowaną ekspedycję do Florydy. Mieli się posuwać wzdłuż brzegów tego półwyspu i szukać owych wymarzonych w złoto bogatych miast nowej półkuli.

Bardzo się jednak owi poszukiwacze żółtego metalu zawiedli. Wpakowali się w bagna i olbrzymie moczary, pełne wężów, krokodyli i dokuczliwych owadów. Większość od chorób i z wycieńczenia zginęła. Okręty wśród burz zatonęły. Został się jeden człowiek i rozbitek z tej ekspedycji, nazwiskiem Cabeza de Vaca.

Przez ośm lat błąkał się wśród rozmaitych plemion indjańskich, zamieszkujących w terytorjach obecnie objętych stanami Texas, New Mexico, Aryzona i Kalifornja. Dostał się wreszcie do osad hiszpańskich w Sonora, Meksyko. Opowiadał im o swej tułaczce i przygodach, jako człowiek niemal z obcej planety. Opisywał im ludzi dzikich lub na pół-cywilizowanych, odzianych w ubrania płócienne, które sami przędli, mieszkających w kilkupiętrowych domach, budowanych z drzewa, cegły i kamienia.

Znów się zapaliła wyobraźnia Hiszpanów, łapczywych na złoto i bogactwa. Wysłali w te strony zakonnika Fra Marcos, który w towarzystwie czarnego sługi przybył w okolicę dziesiejszej południowej części Aryzony. Było to w roku 1539-tym.

Gdy ów mnich wrócił, zaczął opowiadać o siedmiu miastach, zbudowanych z kamienia i wapna. Za ozdoby kolumn i progów używano tam zielonych kamieni, w jego mniemaniu prawdopodobnie turkusów. Używali także skór z bydląt podobnych do krów o kędzierzawej sierści. W rzeczywistości były to osady i wioski szczepu Zunni, który jeszcze podziśdzień w tych okolicach i w takich lepiankach zamieszkuje. Do wnętrza domów wchodzili przez okna i dachy zapomocą drabin, które zapewne na noc dla wszelkiego bezpieczeństwa, za sobą do góry wciągali. Zamków widocznie wtenczas nie znali.

Te poniekąd prawdziwe opowieści zakonnika, który może był „cośkolwiek źle poinformowany“ przez towarzyszy, może też trochę i „przeholował“ ogromnie zaciekawiły Hiszpanów. Pamiętali starą opowieść o biskupie z Lizbony, żyjącym w ósmym wieku. Ten, będąc prześladowany przez dzikich Arabów, miał wyjechać na jakieś odludne wyspy i tam założyć siedm miast. Gdy się dowiedzieli, że Indjanie też mieli podobną historję o swem przybyciu w te stony, byli święcie przekonani, że wreszcie natrafili na ślad bogatych miast Cibola. Ma się rozumieć, że każdy coś od siebie do tej historji dodawał. Mówiono, że w jednem z tych miast, które gdzieś na pustyni się znajdują, były łyżki, noże i wszelkie sprzęty domowe ze szczerego złota.

Namiestnik hiszpański Mendoza, w roku 1540, wysłał znakomicie wyekwipowaną ekspedycję, pod wodzą młodego arystokratycznego Velasqueza de Coronado, na zdobycie tych miast. W lipcu tegoż roku przybył Coronado do mniemanego Cibola, a właściwie do siedmiu małych wiosek szczepu Zunni. Zaraz rozpoczął oblężenie największej wioski, położonej na wysokiem, skalnem wzgórzu. W dolinie, na spotkanie wojowniczyh Hiszpanów, wyszli mieszkańcy ze sąsiednich wiosek, zbrojni w łuki i kamienne toporki.

Odważni Hiszpanie odrazu przypuścili do tej gromadki zaciekawionych tubylców atak ciężką husarją, zakutą w żelazne pancerze, zbrojną w potężne dzidy. Takich potworów Indjanie jeszcze w życiu nie widzieli. Zdaje się, że nawet koni nie znali.

Więc też czem prędzej zwiali z pola bitwy, aż się za nimi kurzyło. Trzeba pamiętać, że to była bardzo „gorąca“ bitwa. Dzielni rodacy Don Kiszota, zakuci byli w ciężkie, stalowe pancerze, a na pustyni latem gorąco, jak w piekle. Tamci, ma się rozumieć „gwoli gorąca“ wystąpili do bitwy w stroju Adamowym, więc też mogli dobrze na bosaka po gorącym piasku uciekać do swego „pueblo“, z czego też niezwłocznie skorzystali.

Hiszpanie, wojowniczym zapałem uniesieni, przypuścili szturm do glinianej wioski. Tamci zaś, zwalali potężne kamienie na stalowemi hełmami pokryte głowy najeźdźców. To niby miała być ciężka artylerja. Ale i to nie powstrzymało zapalczywych Hiszpanów i bohaterskiego Don Coronady, który o mało nie dostał w łep kamieniem. Po godzinnym „szturmie“, w którym lała się obficie nietyle krew, co „pot“, z walecznych żołnierzy, Hiszpanie zdobyli ową wioskę Indjan.

Wielki jednak był zawód naszych kulturalnych bohaterów. Zamiast złota i drogich kamieni, znaleźli zwykłą, brudną wioskę tubylców, którzy o złocie i brylantach nawet nie słyszeli. Biedny Fra Marcos, który tej wyprawie towarzyszył, widząc ogromne rozgoryczenie wojowniczych ziomków, nie mogących swego triumfu i fatygi niczem okupić, chcących więc na nim się pomścić, zwiał w nocy tam... gdzie rosną kaktusy.

Takie były początki gospodarki białych w okolicach obecnej Aryzony.

Valasquez de Coronado w dwuletniej ekspedycji zwiedził ogromną przestrzeń kraju. Był nie tylko w Aryzonie, ale także w New Mexico, Kansas, dotarł do Colorado i zwiedził brzeg rzeki Colorado zwany Grand Kanjon. Pierwsza osada katolicka i „misja“ powstała w roku 1732, pod wezwaniem San Xavier del Bac i San Miguel de Duevavi. Po długoletniej, napozór bezowocnej pracy zarzucono te placówki.

Skąd pochodzi nazwa Arizona — trudno powiedzieć. Historycy rozmaite podają źródła. Jedni twierdzą, że to jest nazwa indjańska osady obfitującej w bogate pokłady srebra w Meksyku, poniżej granicy tego stanu. Inni zaś chcieliby to połączyć z łacińskiem określeniem suchej strefy — arida — hiszpańskiem — zona — ale to tylko przypuszczenia.

Najprawdopodobniej jest to stara indjańska nazwa wioski w powiecie Sonora w Meksyku, skąd pierwsi osadnicy hiszpańscy

przybili w te strony. Miało to oznaczać miejsce, w którem się znajdują bogate bryły srebra. Ponieważ niemal każdy stan ma swój przydomek, Arizonę nazywają stanem Apaszów, nie tych paryskich, tylko tu tych naszych rodowitych Indjan. Inni nazywają go „sunset state“ — stan zachodu — zachodzącego słońca.

Co do obszaru należy do największych. Obejmuje blisko sto czternaście tysięcy mil kwadratowych. Ludzi zato niewiele, gdyż zaledwo czterysta trzydzieści pięć tysięcy mieszkańców.

Na herbie, a może trzebaby powiedzieć — na urzędowej pieczęci Aryzony widnieje motto łacińskie „Ditat Deus“ — Bóg wzbogaca. Wcale piękne motto. Urzędowym „kwiatem“, bo każdy nasz stan ma także właściwy kwiat, jest — saguro. Na ogromnych, a nieraz bardzo malowniczych pustyniach Aryzony rośnie wysoki kaktus, podobny do olbrzymiego, trójramiennego lichtarza. Dosięga niekiedy pięćdziesięciu stóp wysokości, a niektóre stare okazy mają ponad dwieście pięćdziesiąt lat. Otóż ów kaktus, zwany saguro jest oficjalnym „kwiatuszkiem“ Aryzony, a kwitnie tylko w nocy. W Ameryce jest powszechnie znany pod nazwą „giant cactus“ — kaktus olbrzym.

Kopalnie srebra, złota i miedzi stanowią bogactwo Aryzony. Pozatem hodują tu olbrzymie stada bydła i owiec. Naogół można powiedzieć, że jest to stan górzysty i pustynny. Na uwagę turysty zasługują ciekawe okazy skamieniałych lasów — petrified forests — a także bogate kolory pustyni, która przecudnie się obrazuje głównie przy zachodzącem słońcu.

W południowej części stanu, niedaleko granicy meksykańskiej, w okolicy miasta Tuscon (wymawia się Tuson) znajdują się ogromne szpitale i uzdrowiska dla suchotników. Wysokie położenie, suche powietrze i dużo słońca ma znakomicie działać na wszelkie choroby płucne. Nawet zahartowany i odporny bakcyl suchotniczy nie może wytrzymać w tych ciepłych, powiedziałbym gorących pustyniach.

Po tej króciutkiej historji i lekcji z geografji o stanie Arizona zapuścimy się w głąb kraju, aby się bliżej zapoznać ze słynną atrakcją Grand Kanjonu rzeki Colorado.

Minąwszy na granicy małą osadę Fredonia, jedziemy przez pustynię, wjeżdżając w granice rezerwacji leśnej — Kaibab National Forest. Nazwa Kaibab jest oczywiście pochodzenia indjańskiego, oznacza „górę leżącą“ albo „płaską górę“, co po naszemu

jest — płaskowzgórzem. Ciekawy to i jeden z najpiękniejszych lasów, jakieśmy w naszej podróży spotkali.

Nasamprzód to jest zadziwiające, że na pustyni znajduje się taka olbrzymia oaza leśna, obejmująca ponad siedmset tysięcy akrów. Na tem płaskowzgórzu od pięciu do dziewięciu tysięcy stóp ponad poziomem morza, rośnie kilka gatunków sosny i świerków, jak Engelman spruce, Duglas fir, niebieskie świerki — blue spruce, zachodnia żółta sosna, pinion pine, sosna południowa, jałowiec, cedry i bardzo piękne zalesienia osiny. Obliczają tę rezerwację w samych drzewach ponad stopę średnicy na półtora miljarda stóp — desek.

Z tego, co można było zauważyć przy drodze, należy przypuszczać, że jest to las stosunkowo nie stary. Tych olbrzymów, dźwigających na sobie setki lat w tych okolicach nie napotykałem. Zato w lasach czyściuteńko, niby w jakimś olbrzymim parku. Pochwaliłem kilku zarządców, że tak wszystko wzorowo trzymają. Ci zaś mówią, że nic pod tym względem nie robią. Tu i ówdzie spotykamy olbrzymie łąki i polanki zielone, na których się pasą stada saren zw. „mule deer“. Nazwę swą wywodzą od dużych uszu.

Urzędnicy obliczają, że w tej rezerwacji żyje około trzydzieści tysięcy saren. Żyją w tym lesie ogromnemi stadami i dlatego nie widać nigdzie zarośli. Widocznie sarny to wszystko ostremi ząbkami obcinają.

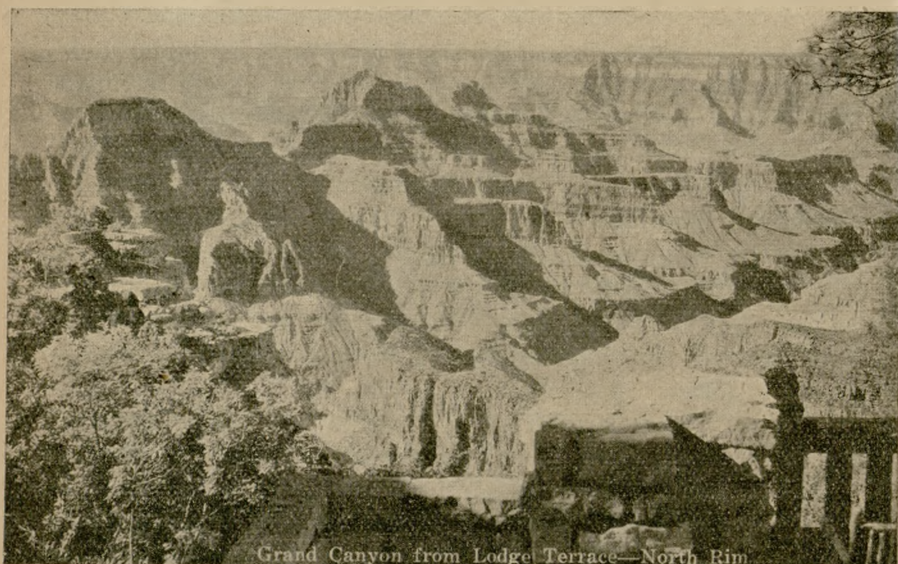
Urzędnicy stanowi i rządowi każdego roku badają stan trawy i roślin leśnych, służących za pożywienie sarnom. Ponieważ nie wolno na nie polować, a poza obrębem lasu jest pustynia, więc też z natury rzeczy zwierzyna się trzyma niby w jakiemś naturalnem ogrodzeniu. W lesie jest życie, a poza lasem bezbrzeżne pustkowie.

Roczny przyrost zwierzyny obliczają na dziesięć tysięcy łbów. Sarny jeszcze nic nie wiedzą o „ograniczeniu urodzin“ czyli tak powszechnie praktykowanem — race suicide — samobójstwie rasy. Dlatego też urzędowo chwytają nadmiar saren i transportują do innych lasów i parków.

Dawniej dzikie koty i pumy — mountain lions — niszczyły dużo zwierzyny. Rząd pozwolił polować na te „górskie lwy“ i na ten sport zjeżdżali się myśliwi z dalekich okolic. Zredukowano ilość drapieżców do minimum, więc teraz swobodnie mnożą się nadobne sarenki.

Jeszcze jeden ciekawy okaz zamieszkuje tu i zdaje się, że to tylko tu i nigdzie indziej. Tem ciekawem zwierzątkiem są dosyć duże, a bardzo płoche wiewiórki o dużych, puszystych, białych ogonach, z małemi kępami włosów na końcach uszu. Żywią się nasieniem żółtej sosny i tylko wśród sosen można je zobaczyć.

Całe płaskowzgórze stanowi gąbkowaty kamień wapienny. Dlatego też na tej przestrzeni nie napotykałem żadnej rzeczki, chociaż popadują tu dosyć częste deszcze, a zimą cała okolica jest pokryta grubą warstwą śniegu. Wody szybko wsiąkają wgłąb



Grand Kanjon.

ziemi i zaledwo tu i ówdzie napotyka się niewielkie jeziorko. Te zaś powstają jedynie dlatego, że wierzchnia warstwa wapienia pokryła się piaskiem lub mułem i nie pozwala na szybkie wsiąkanie wody do wnętrza, skąd podziemnemi żyłami spływa do rzeki Colorado.

Przy końcu olbrzymiej polany, otoczonej zewsząd ciemnym lasem, dojeżdżam do bramy wjazdowej narodowego parku Grand Canyon of the Colorado. Powszechnie używają pierwszej połowy

tej nazwy i mówią — Grand Canyon, reszta się już samo przez się rozumie. Mamy coprawda inne wspaniałe kanjony, jakie już zwiedziliśmy w Yellowstone — i słynny jest także kanjon rzeki Arkansas, w pobliżu miasta Colorado Springs, w stanie Colorado. Ale o tem — potem.

Kwatera rządowa, jak w innych parkach z okrąglaków artystycznie zbudowana, stoi na samym środku drogi. Z jednej i drugiej strony rodzaj bramy, prez którą trzeba przejeżdżać. Urzędnik umundurowany wychodzi na spotkanie. Przylepia na aucie do rzędu znaczków jeden więcej a każdy park ma odmienny kolor i obraz zwierzęcia. Chociaż wszystkie znaki są tego samego rozmiaru, sześciokątne, z ostrzeżeniem, aby jechać powoli, na jednym jest niedźwiedź, na drugim sarna, na trzecim kozica i tak wszystkie zwierzęta w parkach żyjące są na tych znaczkach upamiętnione. Mój samochód posiada teraz cały rząd tych „orderów" i przypomina rosyjskiego generała z rzędami dekoracyj na piersi.

Załatwiwszy krótkie formalności, zatrzymałem samochód, wydobyłem aparat fotograficzny, aby zrobić zdjęcie tej bramy i kwatery rządowej, gdyż się to wszystko malowniczo przedstawiało. Urzędnik stanął na „Habt acht", „Augen" miał w obie strony — rechts und links, gdyż zdaje się był trochę zezowaty. Nacisnąłem guzik Graflexsa i już kwatera, urzędnik i samochód przeszły do „potomności".

Mamy jeszcze półtorej mili do celu naszej podróży. Za parę minut stajemy w obrębie tej zaczarowanej okolicy. Szerokie drogi, czyściuteńko utrzymane, obłożone kamieniami. Wśród lasu napotykam rozrzucone domki obszerne i wygodne dla turystów. Niektóre są wprost luksusowej konstrukcji, z wszelkiemi wygodami i pierwszorzędnem urządzeniem, ale to za wysokie progi na nasze nie tyle nogi, ile kieszenie.

Tuż nad samą przepaścią rzeki czyli kanjonem zbudowano wspaniały hotel. Siedząc na wygodnym kolebaczu, z werandy mógłbyś tu godzinami patrzeć niby na olbrzymi kalejdoskop, w którym, dzięki promieniom słońca, zmieniają się kontury brzegów i kolory skał. Piszę „mógłbyś", gdyż w dwa dni po moim pobycie hotel spłonął doszczętnie.

Zatrzymałem samochód w przygotowanym na to zajeździe i z drżeniem wyciągam oba aparaty, lornetkę Zeissa i czem prędzej spieszę nad brzeg tej ogromnej przepaści, a właściwie parowu,

którym płynie rzeka Colorado. Nikt tego nie zakwestjonuje, że widok, jaki się przedstawia oczom widza, jest odrazu imponujący i przerażający.

Wyszedłem ścieżką na mały cypel, niby skalne wzgórze, zwane Bright Angel Point i tu mogłem podziwiać ogrom tej szerokiej na piętnaście mil przepaści.

Gdym popatrzył na mój aparat fotograficzny z jego soczewkami, filtrami, kliszami najlepszego gatunku, zdawało mi się, że jestem bezbronny. Żaden aparat pod słońcem nie jest w stanie oddać tego ogromu i majestatu czeluści, jaka się przed nami roztoczyła. Patrzałem na tę znikomą zabawkę Zeissa i Grafleksa, niby polownik, który ma w ręce mały flobert na wróble, a tu mu przed ślepie wyłazi olbrzymi słoń lub tygrys. Nic mu nie zrobisz.

Tak samo i pióro nie jest w stanie tego wszystkiego opisać. Tu całe lata spędzali pisarze. Postawili sobie szałasy, włóczyli się po przepaściach, skałach, wzgórzach, aby to wszystko opisać i innym ludziom o tym cudzie natury opowiedzieć. Żaden stąd nie odszedł i nie mógłby powiedzieć: „Opisałem wszystko, jak należy, jestem ze siebie zadowolony". Każdy czuł bezsilność słowa jak ja odczuwałem bezsilność najlepszych aparatów fotograficznych, aby oddać to, co się w oczy z taką potęgą rzucało.

Trzeba pamiętać, że Grand Kanjon jest to olbrzymia dolina, wyrwana w odwiecznej skale przez rzekę Colorado. Ta dolina jest przeszło milę głęboka, około piętnaście mil szeroka, a kilkadziesiąt mil długa. Może nie wszystkie jej części są tak imponujące, jak ta, którą tu oglądam.

Przed nami w ciemno-niebieskich kolorach, niby mgłą lekkiego dymu pokryte ukazują się góry całe, doliny głębokie, przepaści straszne, a tam hen — na spodzie wije się niby srebrzysty strumyczek — rzeka Colorado. Uczeni twierdzą, że ta rzeka, z tej ogromnej wysokości przypominająca szary strumyczek, unosi codziennie w swem korycie miljon ton mułu i piasku.

Możnaby powiedzieć że Grand Kanjon jest głęboką raną, wyciętą przez szybko pędzącą rzekę, która piaskiem i mułem, niby nożem, wrzyna się w najgłębsze pokłady odwiecznej skały. Ta rana Matce Ziemi zadana nigdy się nie zabliźni, owszem, coraz to głębiej wżera się do jej wnętrza.

W jednej z wąskich granitowych przepaści, tak zwanej „Granite Gorge" przecina trzy odmienne pokłady skalne. Najwyższy

Paleozoic zawiera w sobie inkrustacje morskich żyjątek i pierwsze ślady życia, jakie dotychczas odkryto na kuli ziemskiej. Poniżej tej strefy wpada druga i z nią się częściowo miesza. Nazywają tę strefę Algonkian i jest rozrzucona w mniejszych i większych masach i żyłach w kilku częściach Kanjonu.

Najgłębszy pokład, do jakiego rzeka dotarła, gdyż jej to wszystko żłobienie przypisują, jest strefa archaiczna zwana „gneiss". Geologowie twierdzą, opieram się na źródłach rządowych, że ta strefa utworzoną została półtora biljona lat temu. Jest to, każdy przyzna, niemały okres czasu. W tej strefie nie znaleziono żadnych form życia. Wielkie musiały zajść zmiany, aby te rozmaite pokłady skał, znajdujących się kiedyś na dnie morza pokryć grubemi warstwami innych formacyj i to wszystko wypchnąć w górę, przeszło milę ponad poziom morza, a potem mętną wodą rwącej rzeki do tej głębokości znów wydrążyć.

Nie mogę tu zbyt szczegółowo opisywać tych pokładów, skał, przepaści, gdyż nie jestem dość biegły w geologji. Czytałem swego czasu dzieła słynnego Francuza Quaterfagea, z dziedziny geologji, ale to mi już dawno z łepetyny wywiało, w dodatku przyznam się, że niewiele z tego zrozumiałem. Więc też nie chcę, abyście mi tak przypadkowo nie przypomnieli polskiego przysłowia — w którem Marcin drugiego uczył, a sam się na przedmiocie nie znał. Ja to już bez „rymu" podaję.

W każdym razie, z tego, co chociażby tylko pobieżnie widziałem w tym czy innym parku, przychodzę do przekonania, że geologja jest daleko ciekawsza i bardziej zajmująca, niż teologja. Ma się rozumieć, że chcąc się uczyć geologji z zainteresowaniem, należałoby jeździć po kuli ziemskiej, niby mucha po twarzy śpiącego człowieka i badać to wszystko na miejscu. Jestem nawet święcie przekonany, że każdy student gimnazjalny nic nie miałby przeciwko temu, aby pojechać do Yosemete, Zion, Grand Kanjon i innych przecudnych miejsc na lekcję geologji. Zapewne słuchacze teologji na tej samej podstawie chcieliby także „pojechać" do nieba i z samym Panem Bogiem o stworzeniu świata i innych zawiłych kwestjach teologicznych pomówić. Ale to, jak mówi Moskal, „nie idiot".

Co tu za koziołki Matka Ziemia wywracała, to nawet uczeni nie mogą dokładnie odgadnąć. Było napewno kilka ciekawych geologicznych przewrotów. Zresztą w tak długim czasie nie tylko

w polityce, ale nawet w geologji mogły nastąpić poważne zmiany. Tu się liczy nie na tysiące ani setki tysięcy, ale na tysiące miljonów lat.

Według twierdzenia znawców, cała okolica w ostatnim okresie zmian geologicznych stale się w górę podnosiła, a może nawet i teraz w minimalnym stopniu ta praca postępuje naprzód. Miejscami musiały nastąpić pewne pęknięcia w powierzchni, któremi płynęły rzeczki tworzone przez topniejące śniegi i lodowce. Tym sposobem powstały ogromne parowy, tworzące obecne dopływy rzeki Colorado. Sama rzeka, niby cienka, ale ostra piła, szybkim pędem, miejscami do dwadzieścia mil na godzinę, zbrojna w ogromną ilość ostrego żwiru, poprostu wrzyna się i wciąż rzeźbi to nadzwyczajne zjawisko natury. Zaznaczyć wypada, że rzeka płynie bokiem ogromnego płaskowzgórza. Brzeg północny, z którego tę przepaść oglądamy, jest wyższy od brzegu południowego. Im dalej posuwamy się na południe, tem więcej daje się zauważyć stopniowa pochyłość pustyni.

Jeden z uczestników wyprawy Hiszpanów, pod wodzą Coronady dotarł tu i zdaje się jest pierwszym białym człowiekiem, który oglądał te przecudne olbrzymich rozmiarów rzeźby. W swych notatkach wspomina, że dotarł do ogromnej przepaści, która miała więcej, niż trzy lub cztery „ligi“ długości w linji powietrznej — que auia mas de tres o quarto leguas por el ayre“. Przez dłuższy czas o tym cudzie natury zapomniano, zresztą turystów w owych czasach nie było. Hiszpanów więcej interesowało złoto, aniżeli piękno przyrody.

Dopiero w roku 1776 jeden z księży, Padre Garces, przybył w te okolice, aby głosić słowo Boże Indjanom z plemienia Hopi. Otóż w swych pamiętnikach pisze, że napotkał i zatrzymał się nad ogromnym kanjonem, który ciągnie się na dłuższą odległość, a którym płynie rzeka Colorado. Ksiądz Escalante chcąc się przeprawić na drugą stronę rzeki, po dłuższych poszukiwaniach, a może idąc za wskazówkami tutejszych Indjan, napotkał bród, którym od wieków Indjanie przeprawiali się przez rzekę. Nazwano to przejście El Vado de los Padros — przejście księży czy Ojców, zapewne Franciszkanów.

W roku 1825 przybyła w te okolice partja myśliwych pod wodzą Jamesa Pattie. Przez trzynaście dni szli wzdłuż brzegów kanjonu, ale nie mogąc nigdzie znaleźć miejsca do przeprawy na

przeciwną stronę rzeki „odeszli z tych strasznych gór“. Później generał Ashley ze swą partją zabłąkał się tutaj, ale nie mógł przedostać się przez rzekę.

Jeden z towarzyszy słynnego Coronady, nazwiskiem Alarcon, łodzią wdarł się w te niebotyczne ściany kanjonu, ale także „daleko nie zajechał“. Później coraz więcej ekspedycyj i podróżników w te strony przybywało. Niektórzy okrętami dotarli do miejsca, gdzie obecnie budują tamę, o której poprzednio wspominałem. Jeden z tych eksploatorów zapędził się tu małym parowcem ale także nie dał sobie rady. Nazywał się Ives. „Zdaje się“, mówił Ives, „że natura chce tego, ażeby rzeka Colorado w większej części swej smętnej, a majestatycznej drogi, nie była przez ludzi widziana i zwiedzana“.

Dopiero w roku 1858 po raz pierwszy od czasów księdza Escalante, odkryto przejście przez rzekę od strony północnej. Jeden z Indjan z plemienia Ute przeprowadził i wskazał urzędnikowi, a zarazem misjonarzowi Mormonów przejście, którego kiedyś używali księża Franciszkanie — El Vado de los Padros. Ów Mormon, nazwiskiem Jakób Hamblin, kilkakrotnie przekroczył ten niemal miejscami prostopadły kanjon i głęboką, zdradziecką a nadzwyczaj wartko pędzącą rzekę.

Kilkunastu ambitnych i odważnych ludzi chciało popłynąć rzeką od jej źródeł aż do jej ujścia, ale przez dłuższy czas okazało się to niemożliwem. Indjanie opowiadali im o strasznych wodospadach, porohach i ciemnych, a bardzo niebezpiecznych tunelach. Oczywiście nie zapomnieli także wspomnieć o wszechpotężnych duchach, które tylko czyhały na ofiary, aby je w wartkich falach rzeki zatopić. Więc też przez dłuższy czas ludzie dali za wygraną. Brzegi najdzikszej z naszych rzek, prostopadłe kanjony, wodospady, porohy były zasłonięte głęboką tajemnicą.

Dopiero w roku 1869 Major John Wesley Powell, jednoręki bohater z Wojny Domowej, — stracił rękę w bitwie pod Shiloh — podjął się tej niebezpiecznej i pod każdym względem ryzykownej wyprawy. W maju wyekwipował cztery łodzie i zabrał ze sobą dziewięciu mężczyzn do pomocy.

Płynęli rzeką nieznaną, przedzierającą się przez ogromne góry, wąskie cieśniny, w których koryto rzeki było zawalone potężnemi skałami tworząc wirujące zatory. Nieraz nie widzieli światła dziennego z powodu pionowych ścian kanjonów. Czę-

stokroć płynąc po wartkim strumieniu rzeki, wśród kamieni, nie wiedzieli, co ich czeka na skręcie: — może wodospad i śmierć, która ich wszystkich chwyci w wilgotne objęcia.

Trzeba było przepłynąć w tak niebezpiecznych warunkach kilkaset mil, srogich setkami porohów — „rapids“. Po nich już i tak szybko płynąca rzeka, waliła naprzów jeszcze w większem tempie. Od Green River City do morza spad rzeki wynosi przeszło sześć tysięcy stóp. Łodzie wywracały się często, tracili dużo zapasów żywności i część instrumentów mierniczych. Suchej nitki nie mieli na sobie całemi tygodniami. Parli jednak naprzód bez ustanku.

Trudności piętrzyły się wciąż przed nimi. Najodważniejsi tracili ochotę i odwagę.

Rozpoczęli niebezpieczną wyprawę 24 maja, a w sierpniu ich zapasy żywności były albo zużyte, albo też zniszczone przez wilgoć i wodę lub utonęły w rzece. Głód zaczynał im dokuczać, a tu z jednej i z drugiej strony sterczały niebotyczne ściany „granitowej czeluści“ — granite gorge. Trzech jego współtowarzyszów widząc beznadziejną wprost sytuację, postanowiło ekspedycję opuścić i szukać ratunku w pustyni.

W swych pamiętnikach Powell powiada, że „raz myślałem, że będę musiał zaniechać wyprawy, o której marzyłem całe życie“. Jednak kilku odważniejszych widząc strapienie majora, zapewniło go, że z nim wytrwają do końca. Dezerterzy wydostali się na kraniec kanjonu, na pustynię i wszyscy zginęli z ręki wojowniczych Indjan. Reszta z nową otuchą postanowiła dopiąć celu lub zginąć w nurtach rzeki.

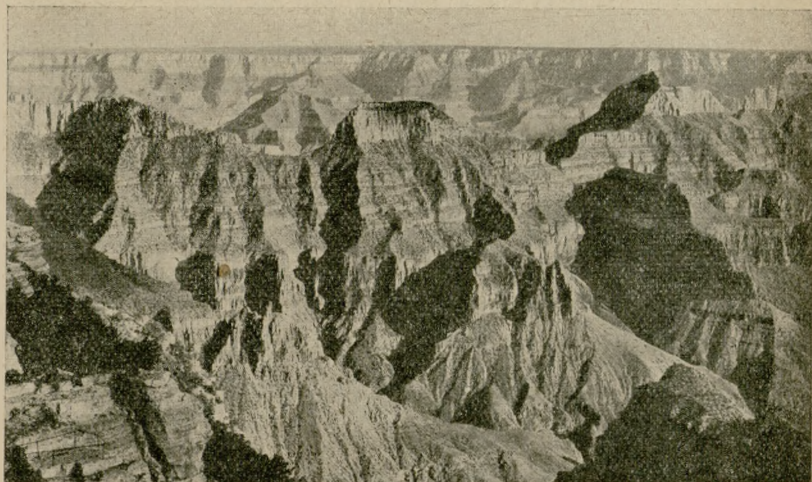
Punkt, w którym trzej towarzysze opuścili swego dowódcę, nazywa się po dziś dzień „Separation Point“ — punkt rozłąki. Ruszyli w dalszą drogę po falach mętnej i wciąż wzburzonej rzeki. Jakie było ich zdziwienie i radość, gdy po dwudziestu czterech godzinach wydostali się z niebezpiecznych kanjonów na szeroką pustynię, odkąd rzeka płynie już szerokiem i spokojnem korytem.

Zbudowano na tem miejscu pomnik ku upamiętnieniu tej odważnej, a tak niebezpiecznej wyprawy. Na granicie wyryto nazwisko majora Powella i jego pięciu towarzyszy czyli jego „wiernej piątki“. Tamci, co niemal z nimi dopięli celu, zostali pominięci, w dodatku przez Indjan, zamordowani. Spełniły się poniekąd słowa Pisma św. „Kto wytrwa do końca, zbawion będzie“.

W kilka lat później Major Powell przeprowadził jeszcze drugą ekspedycję, a od tego czasu kilka podobnych wypraw zrobiono dla gruntownego zbadania koryta rzeki celem porobienia wymiarów potrzebnych przy budowie olbrzymiej tamy w Boulder City, zwanej Boulder albo Hoover Dam.

O kilkadziesiąt mil na północ od punktu, z którego podziwiamy ten wspaniały i poprostu przerażający cud natury, przerzucono most, którym turysta może się łatwo przedostać z jednego brzegu na drugi.

Po obu stronach kanjonu rząd i kolej Southern Pacific wystawili luksusowe hotele i kwatery dla turystów. Do najpiękniejszych punktów obserwacyjnych prowadzą wygodne drogi i ścieżki



Grand Kanjon.

zwane „trails". Jedna z nich, Bright Angel Trail, rozpoczyna się tuż przed nami i prowadzi wgłąb milę głębokiej przepaści, nad sam brzeg rzeki Colorado. Turyści mówią, że ścieżka jest siedm mil długa w stronę dołu, a gdy wracają w górę, ta sama droga zdaje się być siedmdziesiąt i siedm mil długa. Niejeden, mając słabe nerwy i serce, z wielkim trudem taką wycieczkę odbywa. Niemal w każdej ekspedycji ktoś zesłabnie i trzeba go na mule lub noszach odstawić na punkt zborny.

Duży wygodny hotel, zbudowany nad krawędzią czarującej

przepaści, spalił się doszczętnie w dwa dni po mym pobycie. Zostały tylko zgliszcza. Zdaje się, że go więcej nie odbudują, gdyż turyści przyjeżdżają samochodami, zaglądną do tej krawędzi, popatrzą w prawo i lewo, powiedzą „isn't that nice“ — czyż to nie piękne — przytykną kilka razy tanim aparatem fotograficznym i jadą dalej!...

Chcąc Grand Canyon dobrze poznać i zbadać poszczególne pokłady odwiecznej skały, trzebaby tu zamieszkać przynajmniej miesiąc. Rząd swym kosztem utrzymuje doświadczonych przewodników, którzy turystom wszystko pokażą i szczegółowo objaśnią.

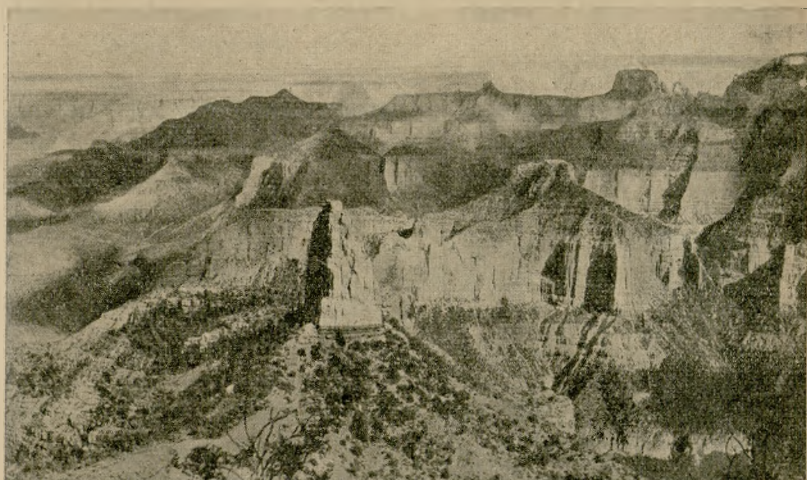
Opuszczając tę zaczarowaną kotlinę rzeki Colorado, wracam tą samą drogą do Kanab, małej wioski na pograniczu Uty i Aryzony. Zakwaterowałem się w niej na noc dla dwóch powodów: najprzód, że na sto mil wokoło lepszej kwatery nie było, chociaż ta, którą znalazłem, była niewygodna, powtóre, że z oponą samochodową miałem kłopot. Od samej Dakoty nie natrafiłem więcej ani na jeden gwóźdź, zato teraz na ulicy wjechałem na trójkątny pilniczek i ma się rozumieć, trzeba było oponę zmienić i dać naprawić. Ponieważ ten wypadek zdarzył się naprzeciwko garażu, skinąłem na mechanika, a ten chętnie wszystko załatwił. Założył zapasowe koło, a rano gumę naprawił i dał nową dętkę, gdyż tamtę pilnik okropnie zmasakrował. Mimochodem nadmieniam, że to była trzecia i ostatnia „pana“, jaką miałem w całej podróży. Dwie były przy garażach, a trzecia w pięknych górach w Południowej Dakocie, więc też skarżyć się na takie kłopoty nie będę.

Ponieważ jestem na ogromnem i wysokiem płaskowzgórzu, chociaż to sezon letni, wieczory jednak są chłodne, a nocami panują przymrozki. Trzeba było w tej niewygodnej kwaterze bardziej podobnej do szopy, aniżeli mieszkania, rozpalić ogień, aby się rozgrzać, oczywiście na zewnątrz. Na wewnętrzne chłody, zaziębienia i wszelkie dolegliwości zabrałem ze sobą kilka butelansów na wszelką ewentualność, aby ratować się przed zimnem i wszelkiem nieszczęściem, zagrażającem życiu turysty.

Przez wioskę Mount Carmel jadę rządową drogą Nr. 89 w kierunku północnym, do następnego zkolei parku narodowego — Brices Canyon National Park. Nadmienić wypada, że w tych pustynnych, półdzikich okolicach wszystko jest bardzo drogie. Za galon gazoliny, mniej więcej dwa litry, płaciłem po 34 centy. W innych częściach kraju, szczególnie na wschodzie, można tę

samą ilość kupić za pół tej ceny. Tłumaczono mi, że dlatego gazolina taka droga, gdyż trzeba ją sprowadzać blisko sto mil cysternami samochodowemi, powtóre — sezon jest bardzo krótki i należy drzeć turystę, póki się da. Cóż zrobisz? Bez gazoliny nie ujedziesz, więc płacisz, co każą i wyrywasz tam, gdzie taniej kupisz.

Tu i ówdzie przy drodze widzę niewielkie zabudowania tutejszych „cowboyów". Przeważnie hodują w tych stronach owce. W pustyni zauważysz wóz okryty płótnem — to główna kwatera cowboya.



Grand Kanjon.

Poszedłem obejrzeć takie „mieszkanie", tem bardziej, że właściciel zapuścił się gdzieś daleko na stepy. Przed wozem stały konwie od wody i mleka. Muchy wszystko kompletnie obsiadły. Z boku wozu wisiał kubeł do wody, mydło i grzebień. To wszystko, czego potrzebuje do toalety nasz pastuch. Wewnątrz stał mały piec kuchenny, szafa, w której na policach leżała nieodzowna „bacon", pudełko jajek. W Ameryce niektórzy bez pacierza rannego mogą się obyć, ale bez „bacon and eggs" nigdy. Śniadanie z jajek i słoninki niejednemu zastępuje pacierz. W małej spiżarce była w blaszance kawa, konserwy, chleb i trochę innych przypraw. W tylnej części wozu, napoprzek było rozłożone posłanie pa-

stucha, dosyć brudne. Nie można przecież wymagać od koczującego obywatela, aby na takie drobnostki zwracał uwagę. W każdym razie, miał pewne wygody: żywności poddostatkiem i nikt mu zapewne w jego rozmyślaniach nie przeszkadzał. Takiemi wozami przed ośmdziesięciu laty jechali nasi pionierzy na zachód.

Po paru godzinnej podróży przez okolicę górzystą i pustynną, gdyż zaledwo tu i ówdzie napotkałem biedną chałupinę osadnika, zwracam z głównego traktu na wschód. Drogowskaz i mapa zapewniają, że mam jeszcze dwadzieścia mil do następnego parku narodowego — Bryce Kanjon.

Przydrożne skały z różowego piaskowca, wodą wyrzeźbione w fantastyczne statuy, kolumny, łuki i wieże każą domyślać się, co za przepyszny widok turystę czeka u końca mozolnej, ale ciekawej pielgrzymki.

Park, do którego zbliżam się, otrzymał nazwę po pierwszym białym „setlerze“ w tych okolicach. Mormon, Ebenezer Bryce założył swe ognisko domowe w tem miejscu przeszło sześćdziesiąt lat temu. Nie jest to właściwie „kanjon“ w całem tego słowa znaczeniu, ale raczej olbrzymi, gdyż trzy mile długi a dwie mile szeroki amfiteatr, wobec którego Koloseum rzymskie i nasze nowoczesne atletyczne „bowls“ — półmiski — są drobnostką.

Po załatwieniu zwykłych formalności przy bramie, wjeżdżam na terytorjum rządowe, obejmujące zaledwie trzydzieści sześć tysięcy akrów. W wygodnym hotelu zmieniłem klisze fotograficzne, aby być przygotowanym na wszelką ewentualność.

Dzień był piękny, letni, ciepły, a niezbyt gorący, niebo pokryte lekkiemi chmurami, a słońce w całej pełni swego blasku oświecało ten cudowny amfiteatr naturalny, stworzony przez artystkę — wodę. Nie zapomnę pierwszego wrażenia, gdym z brzegu spojrzał na to olbrzymie, tysiąc stóp zagłębienie. Niczego podobnego w życiu nie widziałem. Wprost jakieś oślepiające, oszołomiające robi na widzu wrażenie. Zdaje ci się, że jakiś olbrzym — rzeźbiarz z różowego piaskowca wyżłobił tysiące o przecudnych kształtach wież, ołtarzy, łuków, statuj, kolumn, pałaców, zamków i wszystko to porozstawiał misternie w tym kolosalnym amfiteatrze dla podziwu widza. Wszędzie leżą zwały całe gruzów i odłamów, które po skończeniu tej przecudnej rzeźby pozostały. Wśród tej blado-różowej masy niekiedy lekko wyróżniają się strefy białe, dodając tem samem jeszcze większego

uroku temu wprost niezrównanemu zjawisku. Takie się to zdaje być żywe, takie ciepłe, podobne do firmamentu, oblanego różową barwą zachodzącego słońca.

Trudno było oczy oderwać od tego nad wszelki wyraz przepięknego zjawiska. Takie to miłe, ciepłe, takie urocze, że zdaje ci się, iż to cudna, nieopisana zjawa — sen...



Fragment „Bryces Kanjon".

Scieżki starannie utrzymane prowadzą wgłąb amfiteatru, a drogowskazy i napisy informują turystę o bardziej artystycznych i przecudnych zakątkach tego nadzwyczajnego, zaczarowanego kącika.

Wysokie brzegi z różowego piaskowca, poprzedzielanego wąskiemi pasami wapienia, są zasypane u spodu czerwonym piaskiem. To najwymowniej świadczy, że robota — erozja — przez wodę, lody, śniegi i słońce już od wieków prowadzona, jeszcze się nie skończyła. Elementy, niby olbrzymi rzeźbiarze i rytownicy dalej, bez przestanku i wytchnienia swą pracę prowadzą. Każda skała i rzeźba wciąż zmienia kontury. Jedne powoli nikną, niby cyple lodu przy cieple wiosennego słońca. Zato na ich miejsce z solidnej ściany wyłaniają się nowe filary i kontury. Kiedy się to wszystko skończy i w olbrzymie rumowisko zamieni, nikt powiedzieć nie może. Tysiące lat tworzyło się to i zapewne dzie-

siątki tysięcy lat po nas zmiany te, w dalszem powolnem tempie postępować będą.

Ząb czasu wspaniałego dokonał dzieła. Załączona ilustracja zaledwo małe pojęcie dać może o tych rzeźbach i konturach, nigdy jednak nie potrafi oddać tych miłych, ciepłych, olśniewających blaskiem kolorów, jakie w tej przestrzeni się napotyka.

Nie da się to opisać. Rzuca się w oczy ogromna tonacja barw, powiedziałbym całe spektrum, w którem kolory ciepłe szczególnie czerwone, lekko różowe i białe przeważają. Pod tym względem Bryces Kanjon jest nieprześcigniony.

„Dobrze jest nam tu być“ i chociaż nie projektuję budowy „trzech przybytków“, gdyż je rząd dla wygody licznych turystów przygotował, mimo to trzeba ruszać w dalszą podróż.

Warto było zrobić okrężne ośmdziesiąt mil, aby choć parę godzin popatrzeć na ten cud natury. Wracam tą samą drogą Nr. 89 do małej wioski Gravel Spring Junction. Skręcam na zachód w rezerwację leśną w Dixie National Forest.

Główny trakt prowadzi teraz olbrzymiem płaskowzgórzem, blisko dziesięć tysięcy stóp ponad poziom morza. Po obu stronach drogi ciągną się olbrzymie lasy sosnowe, osiny i świerków. Tu i ówdzie szerokie, zielone pastwiska, na których widać tysiące owiec i pastuchów na koniach, pilnujących trzód. Pod lasem wstrzymują turystę obszerne, a wygodne zabudowania u dosyć zamożnego „ranchiera“ właściciela tysięcy owiec.

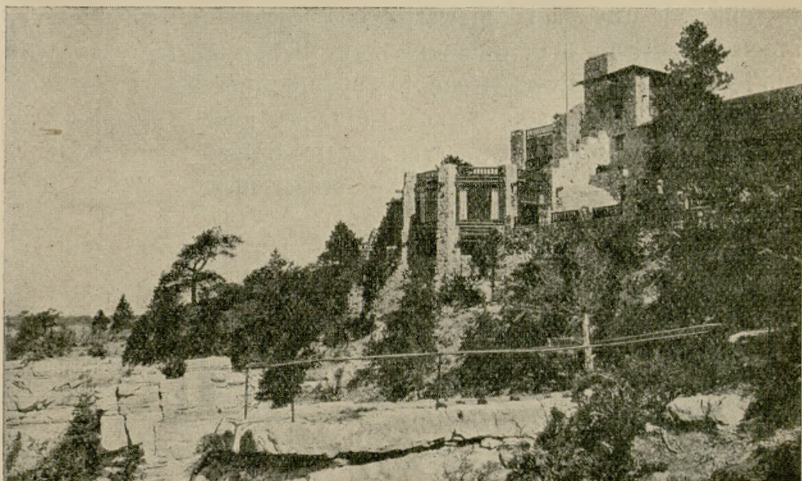
Przejeżdżam obok bardzo ciekawego pola. Zdaleka sądziłbyś, że to uajpiękniejszy czarnoziem, cotylko zorany i widzę przecież olbrzymie, czarne bryły urodzajnej gleby. Tymczasem gdy dojechałem do tego mniemanego pola, zamiast czarnoziemu, sterczą potężne bryły czarnego kamienia. Zdaje się, że to przedhistoryczny olbrzym pługiem tę czarną skałę zorał i grudy i bryły zostawił. Mówiono mi, że to wulkaniczna skała.

Co chwila zatrzymywałem się, aby zapomocą szkieł Zeissa podziwiać uroczą i bardzo ciekawę okolicę, częściowo przez wulkany i lądolody utworzoną. Zrobiłem kilka zdjęć z tutejszych cowboyów i ogromnych trzód owiec. Mówili mi pasterze, że w jednej gromadzie, która się pasła przy drodze, było dwanaście tysięcy owiec. Tu i ówdzie widać jeziora wśród lasów, lub szumiące rzeczki. Jest to wprost idealny teren na hodowlę bydła. Trzeba jednak pamiętać, że tam, gdzie hodują owce, nie trzymają

bydła i odwrotnie. Nieraz z tego powodu przychodziło między cowboyami do poważnych zatargów i krwi rozlewu. Owce tak wyjedzą trawę, że dla bydła nic nie pozostaje. Były wypadki, gdzie jedni drugim trzodę do nogi wystrzelali.

Zbaczam tu cośkolwiek z głównego traktu, aby zobaczyć ciekawe formacje bardzo podobne do tych, cośmy niedawno oglądali w Bryces Canyon. Nazywa się ten ogromny, czerwony, niby do czerwoności rozpalone żelazo, amfiteatr — Cedar Brakes. Mijam wygodną kwaterę dla turystów i zatrzymuję się z samochodem przed barjerą, zbudowaną z olbrzymich kłód.

Kilkunastu turystów z rozmaitych części kraju gapi się i podziwia te przepiękne cuda natury. Erozja wyżłobiła w czerwonym



Hotel przy Grand Canyon spalił się 2 dni po moim przybyciu.

piaskowcu olbrzymi amfiteatr, którego strome brzegi miejscami niemal pionowe — sięgają tysiąc dwieście stóp wysokości lub głębokości, zależy od tego, czy się patrzy wdół, czy też z dołu w górę. Ponieważ to jest poniekąd powtórzenie poprzedniego parku, który cotylko zwiedziłem, więc też szczegółowy opis uważam za zbyteczny.

Tabela wykazuje, że Cedar Brakes jest dziesięć tysięcy pięćset stóp ponad poziom morza. Biorąc zapas gazoliny, zapytuję się o dalszą drogę i dowiaduję się, że w następnych dzie-

sięciu milach trzeba się spuścić przeszło pięć tysięcy stóp... Nie zapomnę tych dziesięciu mil.

Tuż za parkiem, przy drodze, stoi jak wół ogromna tablica ostrzegawcza, nakazująca zmianę szybkości, powolną jazdę, trąbienie na skrętach i trzymanie się zawsze prewej strony. Wiem już, co to znaczy. Droga wąska, kręta i spedzista, w dodatku niezbyt starannie utrzymana.

Zjeżdżam ogromnym, spadzistym a wąskim kanjonem w dolinę. Na szczęście niewielu napotykam turystów, a jeszcze mniej mieszkańców, gdyż okolica dzika i bezludna. Więc też wlokę się powoli, wywijam to w prawo, to w lewo, trąbię na skrętach i Boga proszę, aby mi jakie bydlę w ludzkiem ciele nie wlazło w drogę. Gdy na drodze spotkam czarnego kota, nic sobie z tego nie robię, ale gdy na takim warjackim a wąziutkim, niby brama, skręcie, napotkam starą, zdenerwowaną babę, jadącą rozturkotanym fordem w przeciwną stronę, to zupełnie inna sprawa. Z jednej strony masz prostopadłą ścianę góry, a o kilka stóp dalej — przepaść, no i kobietę ze starym fordem. Sytuacja nie do pozazdroszczenia. No — ale się tak jakoś przecisnęliśmy, chociaż ręki nie włożyłbym między oba samochody.

Strasznie się zmachałem, zanim szczęśliwie wydostałem się z tych gór i przepaści. Serce mi z przemęczenia i przerażenia chlebotało. Dojechawszy szczęśliwie do szerszej i równiejszej drogi, zatrzymałem samochód na parę minut, aby przecie raz na te straszne czeluści górskie popatrzeć i zrobić zdjęcie z tej karkołomnej drogi. Bez dalszych trudności dotarłem szczęśliwie do Cedar City i drogi Nr. 91, którą dzień przedtem jechałem przez pustynię, hen do Los Angeles.

Rozdział IV.

UTAH — JUTA.

Już drugi dzień włóczę się po tym ciekawym stanie, a jeszczem ani słówkiem o jego historji i bogactwach nie wspomniał. Przecież należy go przedstawić. Wiedziałem, gdzie byłem i co tu warto zobaczyć. Może inni pojadą w moje ślady.

Powiedziałby, że Utah — wymawia się — „Juta“ — to malowany stan. Zapewne — nigdzie nie znajdziesz takich kolorów i malowniczych krajobrazów, jak w południowej jego części. Nazwę swą wywodzi od szczepu autochtonów, którzy go zamieszkali i których jeszcze się spotyka.

Jako pierwszych białych odkrywców tej połaci kraju historja wymienia dwóch hiszpańskich zakonników, księży Dominguez i Escalante. Przybyli w okolice jeziora Uta w roku 1776-tym. Indjanie opowiadali im, że dalej na północ było olbrzymie jezioro słonej wody, które pragnęli poznać. Ponieważ zapasy żywności były zbyt skąpe, zaniechali dalszej podróży i wrócili do Aryzony. Szukali przejścia i krótszej drogi do Kalifornji. Zdaje się, że kilku żołnierzy ze słynnej wyprawy, pod wodzą Coronady, w te strony także się zabłąkało. W każdym razie Hiszpanom należy się pierwszeństwo, jako odkrywcom ziemi obiecanej Mormonom.

Pół wieku upłynęło, zanim nadciągnęli traperzy, polujący na drogocenne futra bobrów. Jednym z najsłynniejszych był Jim-Dzim Bridger. Przybył nad brzeg Słonego Jeziora — Salt Lake w roku 1824-tym mocno przekonany, że dotąd sięga odnoga oceanu Spokojnego.

To były tylko — pierwsze jaskółki. Właściwa historja Juty rozpoczyna się z przybyciem w te puszcze sekty religijnej Mormonów w lipcu 1847-go roku. Była tu wtenczas dzicz zupełna.

Z ogromnemi walczyli trudnościami, jednakowoż — finis coronat opus. Mormoni z bezludnej pustyni zrobili jeden z najbogatszych i najbardziej malowniczych zakątków Ameryki. Wychodzi tu poza obręb książki turystycznej opisywać ośmdziesięcioletnią pracę Mormonów, ale warto byłoby obszerniej to streścić, aby ich praca służyła Polakom za wzór wytrwałości i hartu, jaki oni w swej przedsiębiorczości wykazali. Zresztą, na innem miejscu szerzej o tem wspomnę.

Ostatni urzędowy spis ludności stawia Utę na czterdziestem miejscu, gdyż ma zaledwo pół miljona ludności. Co do obszaru jest na dziewiątem miejscu; obejmuje niecałe ośmdziesiąt pięć tysięcy mil kwadratowych. Za motto służy jeden wyraz: „Industry" — przemysł. Wzorem dla obywateli stanu jest — pszczoła. Na herbie i pieczęci stanowej umieszczono starodawną, słomianą koszkę czyli ul, co bardzo miłe wrażenie robi na każdym zawodowym pszczelarzu, do krórych się od lat wielu zaliczam.

Pod względem topograficznym Uta jest bardzo ciekawa. Część zachodnia — hen do granicy Nevady — to wielka pustynia. Stanowi ją właściwie dno ogromnego przedhistorycznego jeziora, nazwanego przez geologów Lake Boneville. Wielkie jezioro nadzwyczaj słonej wody w północno zachodniej części stanu jest pozostałością tego przedhistorycznego morza, obejmującego kiedyś nie tylko część Uty, ale także Nevady i Kalifornji. W okrągłych cyfrach było 350 mil długie, 150 szerokie, a tysiąc stóp przeciętnej głębokości.

Szeroki pas gór ciągnie się przez cały stan od północy do granicy południowej. Niektóre wierzchołki śniegiem pokryte są dwanaście tysięcy stóp wysokie. Drugi pas górski znajduje się nad granicą północną stanu w kierunku od wschodu ku zachodowi co należy do wyjątków. Przeważnie wszystkie pasy górskie ciągną się z północy ku południowi.

Pod względem kruszców i minerałów Uta należy do naszych najbogatszych stanów. Samym węglem można by zaopatrzyć wszystkie fabryki i koleje w Stanach Zjednoczonych przez następne dwieście pięćdziesiąt lat. Prócz tego są pokłady kamienia olejodajnego t. zw. „oil shals". Obliczają tutejsze rezerwy ropy na dwadzieścia pięć miljardów beczek, a trzeba pamiętać, że Uta nie uchodzi za wielkiego producenta ropy. Ponadto są bogate pokłady rudy żelaznej, wapienia, miedzi, srebra,

złota, i wielu innych drogocennych, a nader rzadkich minerałów, których wyliczać niepodobna.

Rzeki i potoki górskie są tylko częściowo zużytkowane do wytwarzania prądu elektrycznego. Dostarczają półtora miljona — koni. Roczna produkcja soli z jeziora Salt Lake przedstawia wartość czterystu tysięcy dolarów. Woda w jeziorze Salt Lake zawiera ponad dwadzieścia procent soli, dlatego też łatwo w niem pływać; leżysz na wodzie, niby na desce.

Brigham Young, patrjarcha i wódz Mormonów, zachęcał współwyznawców do pracy na roli. Mormoni pierwsi zastosowali w Ameryce sztuczną irygację na większą skalę. Hodowlę bydła, owiec i trzody chlewnej rozwinęli i obliczają jej wartość w tym stanie na czterdzieści dwa miljony dolarów.

Samych owiec liczą na trzy miljony. Wydajność wełny obliczają na dziewięć funtów z owcy.

W produkcji buraków cukrowych Uta jest na czwartem miejscu. Dziewięć ogromnych cukrowni wyprodukowało półtora miljona funtów cukru. Pozatem zbiory jabłek, wiśni, pomidorów, selerów, brzoskwiń wynoszą miljony buszli. Samego miodu w jednym roku zebrano cztery i pół miljona funtów. Nic dziwnego że ul jest symbolem stanu. Mają sobie czem życie osłodzić.

Naumyślnie podaję cośkolwiek statystyki, aby czytelnik mógł sobie przedstawić bogactwo tego ciekawego zakątka Stanów Zjednoczonych. Jeżeli się weźmie pod uwagę fakt, że przed sześćdziesięciu laty wszystko było dziczą i pustynią, można dopiero należycie osądzić przedsiębiorczość mieszkańców i postęp jednego ze stosunkowo nowych, a tak bogatych stanów.

Uta nie tworzy pod tym względem wyjątku. Taką samą historję możnaby wyrecytować o kilku innych stanach zachodnich. To jest nasz ogromny rezerwuar surowców, to skarbiec, którego nie wyczerpią dziesiątki pokoleń.

Nie będę czytelnika trudził suchą statystyką, dlatego czem prędzej ruszam w dalszą drogę. Trzydzieści pięć mil na południe od Cedar City, do którego szczęśliwie dotarłem po karkołomnej drodze, znajdują się bogate pokłady srebra. Do roku 1873-go czyli zanim nastąpiła demonetyzacja srebra, wydobyto z okolicznych kopalni drogocennego kruszcu za blisko dwadzieścia miljonów.

Ciekawe opowiadają zdarzenie o odkryciu srebra w okolicznych górach piaskowca. W małej wiosce Pioche żył chemik i robił analizę rozmaitych kruszców. Prospektorzy gromadnie się do niego zgłaszali z najrozmaitszemi okazami minerałów. We wszystkich znajdował mniejszy lub większy procent złota, srebra, miedzi, i innych drogocennych metali. Prospektorzy ogromnie zadowoleni dobrze płacili za analizę.

Miejscowi obywatele jednakowoż zaczęli cośkolwiek podejrzywać owego chemika i przypuszczali, że on poprostu „buja" naiwnych prospektorów. Chcąc się przekonać o jego uczciwości, przynieśli mu odłamek piaskowca używanego na kamienie do ostrzenia kos i siekier. Nikt nie przypuszczał, że w zwykłym brusie mogłoby się znajdować srebro. Ten zaś po przeprowadzeniu analizy oświadczył, że kamień mu dany w rzeczywistości zawierał bogaty procent srebra.

Tego było za wiele. To już za grube żarty, aby w zwykłym kamieniu, używanym do ostrzenia narzędzi domowych było srebro. Za takie łgarstwo i oszustwo należała się surowa kara. A że to były początki, więc też sądy i wyroki były surowe, a doraźne! Naszego chemika pewnego pięknego poranku powiesili na suchej gałęzi.

Gdy się rząd o tem dowiedział, wysłał komisję do zbadania całej afery. Sprowadzono rządowego chemika, który sprawdził wszystkie analizy zrobione przez nieszczęśliwą ofiarę sądu doraźnego. Co się okazało? Otóż wszystkie analizy przez niego zrobione były prawdziwe i dokładne. A piaskowiec z miejscowości Silver Reef, używany na osełki do ostrzenia siekier i nożów, był w rzeczywistości bogaty w srebro. Wszyscy się rzucili do poszukiwania za białym metalem z tym rezultatem, że wydobyto z tej góry w kilku latach metalu za dwadzieścia niemal miljonów dolarów.

Od Cedar City zwracam się na prawo i jadę głównym traktem Nr. 91 w kierunku północno-wschodnim ku Salt Lake City. Droga prowadzi nad brzegiem przedhistorycznego jeziora Lake Bonneville, z którego pozostała tylko ogromna pustynia. Po prawej stronie ciągnie się pas górski, noszący najrozmaitsze nazwy, jak Tushar Range, Pavant Range. Niektóre szczyty sięgają wysokości dwunastu tysięcy stóp. Wszystko objęte ogromną rezerwacją leśną, Filmore National Forest.

Zatrzymałem się na noc w małem miasteczku Beaver. Do tej samej kwatery zajechał doskonale zachlapany drugi samochód. Więc się pytam kolegi turysty, bo między turystami zawsze panuje pewien „esprit de corpse" skąd i dokąd jedzie? Dowiaduję się, że jedzie z Denver do Los Angeles. Powiedział mi, że droga Nr. 40, którą zamierzałem przekroczyć Góry Skaliste, jest fatalna. W górach padały śniegi, a samochody turystów w niebezpiecznych miejscach przeciągano czołgami. Chętnie zastosowałem się do jego rady i jak owi Trzej Mędrcy, wróciłem inną drogą Nr. 30, przez Wyoming. Zaoszczędziłem sobie przez to dużo kłopotu i trudności. Lepiej jest dwa razy zapytać, aniżeli raz zbłądzić.

Droga, którą zbliżam się ku Salt Lake City, jest głównym traktem, którym szły pierwsze ekspedycje kolonistów do południowej Uty, a nawet do Kalifornji. Natrafiam na coraz to większe miasteczka i wioski. Tu i ówdzie pola złotej pszenicy, sady drzew owocowych, długie rzędy buraków cukrowych. Na stokach gór widać stada owiec i bydła. W miasteczkach mleczarnie i rozmaite fabryki konserw. Mimowoli odczuwa się, że znów wjeżdżam w okolice już od dłuższego czasu zaludnione, gdzie intensywna, a rozumna praca zaledwie dwu pokoleń dała tak wspaniałe rezultaty.

Na prawo od miasteczka Nephi, oko turysty wabi wysoki, śniegiem pokryty szczyt góry Tinpaugos. To Mekka turystów, którzy z zamiłowaniem wdrapują się na jej lasem pokryte szczyty. Kształtem jest podobna do ogromnej piramidy.

Mijam miłą zielenią i drzewami opasane miasteczko Spanish Fork — hiszpański widelec. Tak się nazywa, gdyż dotąd przed stu pięśdziesięciu laty dotarli księża hiszpańscy ze swymi towarzyszami, szukając osad indjańskich, oraz łatwego przejścia do Kalifornji.

Provo, nad jeziorem Uta położone, jest pierwszem miastem, takie spotykam na drodze z Los Angeles. Na przedmieściach widać ogromną stalownię, fabryki tkackie, cukrownie i zdaje się, że to jest jedno z największych przemysłowych środowisk Uty. Pierwszym osadnikiem w tych okolicach był traper francuski, Etienne Provot, i po nim miasto odziedziczyło nazwę. Mormoni przybyli tu w roku 1849-tym i założyli jedną z pierwszych osad w tym stanie.

Tu właśnie przy głównej drodze, którą pędzą setki, a może tysiące aut dziennie, zauważyłem piękny biust kobiety. Ma to być pomnik na cześć matek pionierek, które w te okolice z wielkim trudem piechotą przybyły. W Salt Lake City ciekawą mi o tym pomniku opowiadano historję. Rzeźbiarzem tej statuy jest rodowity Mormon. Jego matka, ośmdziesięcioletnia staruszka, służyła za model i należy do jednej z pierwszych rodzin w tym stanie. Cztery miesiące czasu trwała jej podróż, bo na piechotę popychała dwukołowy wózek, na którym umieszczony był cały jej dobytek. Wędrowała ze stanu nowojorskiego do Uty. Tę samą podróż na odsłonięcie pomnika odbył jej syn, artysta — rzeźbiarz, aeroplanem w niespełna dwudziestu godzinach. Ten mały incydent daje nam pojęcie, jak szybko pod względem technicznym świat idzie naprzod. Matka na piechotę, koczując pod gołem niebem, odbyła podróż w czterech miesiącach, syn zaś w powietrzu w kilkunastu godzinach.

Dolina ciągnąca się aż do stolicy, jest bardzo malownicza i bogata. Sztuczna irygacja zrobiła z tego pustynnego kraju istny ogród. Jak okiem sięgnąć, widać łany zboża, pola buraczane, lucernę, jarzyny wszelkie. Tu zbudowano największą na kuli ziemskiej fabrykę do konserwowania groszku. Przy drogach i na miedzach sąsiadujących ze sobą farmerów, posadzono długie rzędy smukłych topoli, co daje krajobrazowi wygląd zaczarowanej włoskiej krainy.

Szeroką, prościutką drogą a właściwie przedłużeniem jednej z szerokich i głównych ulic miasta, wjeżdżam do Salt Lake City. Ponieważ jest to miasto wyjątkowe, dlatego też tu się cośkolwieczek dłużej zatrzymam i więcej mu czasu i miejsca poświęcę.

Niemasz nawet obawy, abym w stolicy wielożeństwa popadł w takie „nieszczęście“.

Niektóre miasta sięgają zamierzchłej przeszłości. Najprzód były to małe osiedla, które dzięki sprzyjającym warunkom ekonomicznym lub klimatycznym, powoli rozrosły się w potężne centra przemysłu i handlu. Noszą na sobie piętno starej kultury i zabytków. Inaczej się rzecz miała ze Salt Lake City. Ośmdziesiąt kilka lat wstecz była w tem miejscu pustynia, na której rosło jedno, jedyne drzewo.

Dnia 24-go lipca 1847-go roku, w jednym z kilku kanjonów, nazwanym Immigration Canyon — kanjon imigrantów, dało się słyszeć potrzaskiwanie z biczów, turkot ciężkich, płótnem krytych wozów, nawoływanie i jazgot głosów ludzkich. Długa kolumna z trudem torowała sobie drogę wśród odwiecznych gąszczy, nareszcie zbliżyła się na kraj ogromnej naówczas pustyni.

Zatrzymały się pierwsze forpoczty... Na czoło kolumny wyszedł człowiek silnie zbudowany, w pełni lat, twarz pokryta ciemną brodą, a oko błyskało życiem i niezłomną okazywało energję. Z małego wzgórza, w otoczeniu współtowarzyszy, długo rozglądał się po dolinie, otoczonej z trzech stron pasmem gór Wasatch. Hen na widnokręgu, srebrną tarczą połyskiwało ogromne jezioro słonej wody...

Już kilka miesięcy byli w drodze. W karności iście wojskowej, z licznym taborem wozów, bydła, prowjantów i 147 osób, z trudem prą naprzód przez obszerne prerje Nebraski i Wyomingu, szukając odpowiedniego skrawka ziemi, gdzieby się mogli osiedlić i Boga chwalić według pojęć swej religji.

W tej długiej podróży, gdyż rozpoczęli swą wędrówkę ze stanu Illinois, zachowali pewien rygor i porządek. Rano o szóstej trąbka budziła ich ze snu. Zbierano się na wspólną modlitwę, śpiewano pieśni, a po skończonem nabożeństwie i skromnym posiłku, zwijano obóz, zaprzęgano bydło pociągowe do ogromnych, ciężkich wozów, ustawiano straże przednie po bokach i na tyłach karawany, dla obrony przed Indjanami — i ruszano naprzód. Ilość odbytych mil mierzono na specjalnie zrobionych kołach i notowano odbytą drogę na czaszkach bawołów, których kości były rozrzucone po tych bezludnych stepach.

Wieczorem całodzienny pochód kończono wspólną modlitwą i śpiewem. Z wozów tworzono olbrzymi tabor, rozstawiano straże i cała ekspedycja układała się do snu. Niedzielę przeznaczono na modlitwę i odpoczynek.

Dotarli wreszcie do kresu swej dziwnej pielgrzymki. Brigham Young, wódz ekspedycji, obejrzawszy dokładnie szeroką dolinę, otoczoną wysokiemi górami, zadecydował się tu zatrzymać i założyć Lary i Penaty dla swej przez współobywateli prześladowanej religji.

„This is the place“ — to jest miejsce — te słowa przezeń wypowiedziane przeszły do historji stanu Uta. Powoli nadcią-

gnęły dalsze transporty z żywnością, narzędziami rolniczemi, ziarnem i wszystkiem, co było niezbędne do rozpoczęcia życia w tym dzikim, nieznanym, pustym, a jednak — bogatym kraju.

Wyciągnięto pługi i czem prędzej zabrano się do orki odwiecznej nowizny. Cóż, kiedy ziemia tak była spieczona, że nawet najcięższy pług nie chwytał się skiby. Ale Mormoni energicznie wzięli się za bary z przyrodą. Przeszli tyle trudów, odsunęli się tak daleko od ludzkich osad, nie poto, aby tu zginąć. Zbudowano więc tamy na rzeczce i zaczęto nawadniać spieczoną, ale nadzwyczaj urodzajną glebę. Gdy ziemia dobrze nasiąknęła, łatwa już była orka i dalsza uprawa.

Przyznać trzeba, podziwiając ich pracę, że pierwsi pionierzy byli ludźmi o szerokich poglądach i śmiało patrzeli w przyszłość. Nie kontentowali się budową małej wioski, ale na samym wstępie pomyślano o budowie miasta na wielką skalę. Wymierzono przestronne ulice; każda ma co najmniej 160 stóp szerokości, a główne arterje są nawet szersze.

Napróżno będziesz w Salt Lake City szukał starych, zaśmieconych, brudnych, cuchnących zaułków. U stóp wspaniałych gór rozmierzono duże, dziesięcioakrowe kwadraty, poszachowano to wszystko na ulice, parki, gmachy urzędowe — jednem słowem — wyplanowano wszystko, co kiedyś wielkie stołeczne miasto mieć powinno.

W samem centrum wyasygnowano dziesięć akrowy szmat ziemi pod nową świątynię, do której budowy niezwłocznie się zabrano. U stóp gór Wasatch Range wyznaczono miejsce na przyszły kapitol stanu, czyli główny gmach administracyjny. Rzeczywistość przewyższyła nawet najfantastyczniejsze marzenia pionierów.

Wjeżdżasz do nowoczesnego miasta o szerokich ulicach, wspaniałych gmachach miejskich i stanowych. Rzucają ci się w oko piękne bulwary, parki, szkoły, a wszystko okolone zielenią trawników, drzew i kwiatów.

W śródmieściu, przy przecięciu dwóch głównych ulic, wystawiono duży pomnik ku czci pionierów. Po bokach umieszczono naokół bronzowe figury Indjan, strzelców, kobiet, a nad tem dominuje pomnik dowódcy całej ekspedycji — Brighama Younga. To nowoczesny Mojżesz, który co prawda z żydami nie miał nic do czynienia, ale w każdym razie do historji nie tylko

stanu i miasta, ale całego kraju wchodzi, jako nader wyibtna postać.

Nie tylko, że współwyznawców szczęśliwie przeprowadził w te dzikie pustkowia, ale się czterdzieści lat po pustyni, jak tamten, nie wałęsał. Założył podwaliny do rozwoju nowej religji, ale zarazem przygotował grunt do ekonomicznej potęgi Mormonów, którzy na tym bogatym skrawku ziemi są panami. Nad wszystkiem czuwał. Cały stan zwiedził. Wybierał odpowiednie miejsca na osady. Gdzie potrzeba, budował kamienne forty, aby zabezpieczyć kolonistów przed napadami Indjan. Zachęcał do uprawy roli i hodowli bydła, chociaż niejeden wolałby z motyką włóczyć się po górach i szukać drogocennych metali.

Jeżeli się zważy ten fakt, że prócz uciążliwej pracy połączonej ze sprawami osadniczemi, Brigham Young był zarazem mężem kilkunastu żon i, jak głosi tradycja, ze „wszystkiemi żył w przykładnej zgodzie małżeńskiej“, w co mi się wierzyć nie chce, przyzna każdy, że to był wprost wyjątkowy człowiek. Ile tych żon było, dokładnie nie wiem. Jedni mówią że szesnaście, inni podają ich liczbę ponad dwadzieścia. Prawdopodobnie i sam Brigham, mając tyle innych kłopotów na głowie, o takiej małej statystyce nie pamiętał. Dosyć na tem, że wielu z tutejszych obywateli chełpi się tem, że w ich żyłach płynie krew Brighama Younga. To — ma się rozumieć — dodaje wielkiego prestiżu i każdy Mormon chętnie się do tego przyznaje.

Dla niejednego — Mormon — to synonim wielożeństwa!

Nadobne czytelniczki zapewne chciałyby wiedzieć, jak Mormoni żyją, jak się ubierają, ile mają żon, a żony ilu mężów, a ile dzieci i kto je utrzymuje?... Jednem słowem — cośkolwiek o ich życiu prywatnem, z dołączeniem jakichś małych sensacyj i skandalików.

Niestety — nie będę mógł ich ciekawości pod tym względem zadowolić. Z początku Mormoni uprawiali wielożeństwo. Zdaje się, że na tym punkcie mieli dużo „nieprzyjemności“ ze strony tych „zacofanych“ i zatwardziałych współobywateli, którzy sobie na taki luksus, jak kilka lub kilkanaście żon nie mogli pozwolić. Nie wątpiłbym wcale, że „prześladowanie”, a nawet krwawe rozruchy w Illinois i Missouri były spowodowane nie tyle przez dogmaty, ile przez zbyt liczne żony. Przypuszczam, że prawowierne małżonki jednożennych obywateli przyczyniły się

do tej forsownej emigracji w dalekie i nieznane okolice — tam, gdzie nawet pieprz nie rośnie.

Z biblji fundatorzy wiary mormońskiej dowiedzieli się, że w Starym Testamencie Żydzi, i to jeszcze bardzo wybitni patrjarchowie mieli po kilka żon, więc też idąc za tym pierwowzorem, także sobie te przywileje nadali. Miało to przyczynić się także do rozrostu ludzkości, a względnie nowej sekty. Przypuszczali, że daleko łatwiej będzie wychowywać dzieci i z nich tworzyć zastępy wyznawców, aniżeli nawracać dorosłych i w swych poglądach wprost skamieniałych metodystów, baptystów i innych podobnych zacofanych sekciarzy. Rozumowanie i logika dobra, ale rezultaty niezbyt pomyślne.

Były takie wypadki, że niejeden Mormon posiadał kilknaście żon, ale mało dzieci. Kobiety zaczęły stawiać coraz to większe wymagania, żądać strojów i wygód, a o dzieciach ani słyszeć nie chciały. Cóż było z takim fantem zrobić? Jeszcze inni im dożerali, wyśmiewali, prześladowali i we wszelki sposób przeszkadzali w spełnianiu tego „świętego“ obowiązku. Nawet i rząd federalny miał z nimi kłopoty i wysłał ekspedycję karną, która jednak nie tylko że nie dopisała, ale niemal zginęła na stepach Wyomingu z głodu i mrozu, gdyż Mormoni niszczyli im wszystko i palili.

Więc też chcąc niechcąc już kilkadziesiąt lat temu znieśli dogmat o wielożeństwie.

Coprawda nie tylko Mormoni, ale wielu obywateli wielożeństwo uprawia, tylko pod inną formą. Nazywają to „trójkątem małżeńskim“, ale zdaje się, że taki figiel nieraz obejmuje kilka lub kilkanaście kątów i kącików — rodzaj poligonu, kończącego się zwykle rozwodami i publicznym skandalem.

Co do religji i katechizmu mormońskiego wyczerpujących informacyj dać nie mogę, a to tem bardziej, że własnego katechizmu nigdy dobrze nie umiałem. Dlatego ojciec, troskliwy o zbawienie mej duszy, przeznaczył mię na księdza, abym się cośkolwiek więcej katechizmu nauczył.

Doskonale pamiętam ławę w parafjalnej szkole... Katechizm to dla mnie był istnym krzyżem Pańskim. Nauczycielka — siostra zakonna — po przepytaniu klasy, zadawała na następną lekcję kilka pytań. Jeżeli były pytania krótkie, to jeszcze czasem się wyuczyłeś, albo, co się zwykle zdarzało, z podstawionego ka-

techizmu — wyczytywałeś. Gdy atoli było pytanie długie, w którem się odpowiadało: po pierwsze, po drugie, po trzecie, po czwarte, a nawet po szóste, — sytuacja odrazu stawała się fatalną! Takiej odpowiedzi toś nie odczytał ani też oczywiście nie nauczyłeś się jej na pamięć. To się zawsze kończyło katastrofą! Wtenczas nieszczęśliwa ofiara na rozkaz gorliwej i bogobojnej nauczycielki, występowała z ławki i z bekiem niosła stołek, narzędzie kaźni, na korytarz. Zdaje się, że to było na podstawie starego prawa rzymskiego, w którem zaznaczono, że skazaniec na miejsce stracenia ma nieść narzędzie swej męki i śmierci! Więc w tym wypadku narzędziem był stołek siostry nauczycielki. Ona zaś z majestatem wielkim, z gorliwością w sercu, której nie pozazdrościłby jej hiszpański inkwizytor, niosła bat zwykle gruby koniec biczyska, który, nawiasem mówiąc, częstośmy palili. Na korytarzu biedny autor i wielu z jego współtowarzyszy przechodzili zawsze ten sam proceder.

Rozkaz był zwykle krótki i stanowczy. „Kładź się“! Chłopak już tak się wyciągał, żeby jak najmniej było kontaktu między batem a „portkami“. Za kilka momentów przerażona klasa, jak truśki siedząca, z zapartym oddechem liczyła razy, które niby trajkot karabinu muszynowego spadały na tylną część studenckiej anatomji, która nic z katechizmem wogóle nie miała do czynienia, niby w myśl przysłowia: „Ślusarz zawinił, a kowala powieszono“. Z korytarza padczas kaźni słychać było wrzask i poprostu wycie, którego nie powstydziłyby się uczciwe wilki. Cieniutkie portczęta tak były nieraz przetrzepane, że tylko strzępy zostały. No — ma się rozumieć — wszystko co się pod niemi kryło, wychodziło mocno poturbowane z tej afery.

Nie dosyć, że mi wielebne Siostry religję bardzo doraźnym sposobem ale złą i okrężną drogą do głowy waliły, ale w późniejszem życiu z tego powodu o mało nie padłem ofiarą strasznej katastrofy... Chociaż to może z Mormonami nic nie ma do czynienia, ale w każdym razie do zadowolenia wrodzonej ciekawości czytelników muszę tę aferę opowiedzieć.

Hilliards, skąd swój skromny żywot i pierwsze nauki wywodzę, było i jest poniekąd kolonją karną diecezji detroickiej. Była to w swym rodzaju Tunka, do której dostawali się księża polscy za rozmaite sprawki i przestępstwa. Biskup tamtejszy oczywiście bardzo rzadko na te „puszcze“ zaglądał. Więc też

u bierzmowania nie byłem. W seminarjum polskiem o tem nawet nie pomyślano. Więc znów bez bierzmowania przeszedłem kolegjum i kursa filozoficzne. Gdym już dojechał do teologji i pierwszych święceń, pod wielkim sekretem wyznałem rektorowi, że jeszcze nie byłem u bierzmowania. Ten momentalnie zwalił się z krzesła. Śmierciby się prędzej spodziewał, aniżeli kleryka bez tego sakramentu!

Gdy przyszedł cośkolwiek do siebie, dał mi list do czeskiego proboszcza w St. Paul, u którego właśnie w następną niedzielę arcybiskup Ireland bierzmował. Poszedłem, oddałem list i proboszcz kazał stanąć w szeregu między dorosłymi i zupełnie starymi Czechami, a jak niektórzy mówią „Pepiczkami". Słyszałem komentarze od młodszego pokolenia, że to kleryk z Seminarjum, ale cóż było robić? Idę w szeregu, jak rekrut, i siadam do ostatniej ławy w kościele.

Wychodzi ś. p. ks. arcybiskup Ireland, ubrany we wszystkie paramenta swej władzy i arcybiskupiej godności. Jest kapa, mitra, paljusz, a co najważniejsza — potężny pastorał! już kilkakrotnie składałem przed nim egzamina, gdyż tej funkcji ku zmartwieniu i przerażeniu wszystkich kleryków, nigdy nie opuszczał. Trzymano mnie wyjątkowo na „pastwę" biskupów i arcybiskupów może jedynie z tego względu, że po łacinie mówiłem biegle, a napewno lepiej od wielu ajryskich „skolars".

Strętwiałem jednak z przerażenia, gdy arcybiskup zaczął się tych dzieciaków pytać katechizmu. Cóż ja biedna sierota poczną? Katechizmu od wielu lat nie widziałem, wprost nie miałem go w ręce! Wyciągałem uszy, niby truśka w kapuście, aby chociaż jakieś słówko uchwycić z odpowiedzi, ale napróżno. Tu muszę przyznać, że dzieciaki katechizm umiały, przynajmniej wszyscy szybko odpowiadali, czy dobrze czy źle, tego nie wiem.

Tak szedł jeden rząd za drugim. Ława, w której siedziałem, to już chyba ostatnie rezerwy, rodzaj czeskiego katolickiego landszturmu, mającego iść „over the top" do ataku. Tak też mniejwięcej się czułem. Co tu zrobić?!... Mogłem z ławy nie wyjść! Ale to mi nawet na myśl nie przyszło. Co ja też temu arcybiskupowi powiem. Że chłopakowi gorliwy kapucyn dał powrozem „rozgrzeszenie", o tem wiedziałem, ale ja to już napewno dostanę „bierzmowanie" — pastorałem.

Nie Duch św. na mnie wstąpił, ale strach dużooki. Pociłem się jak w tureckiej łaźni! Nareszcie, po rozważeniu fatalnej sytuacji, gdy mnie arcypasterz zapyta na ten przykład „sześć prawd“, albo jakiej innej zawiłej kwestji z małego katechizmu, zdecydowałem się powiedzieć arcybiskupowi i to możliwie cycerońską łaciną, aby Czechy psubraty nie zrozumiały, że jestem studentem i to z jego seminarjum duchownego, w dodatku słuchaczem Teologji św., dlatego katechizmu nie umiem, a nawet co gorsza, od lat takiej rzeczy nie miałem w ręce!...

Chwilowo byłem w położeniu artylerzysty, który, po zrobieniu dokładnych kalkulacyj, oddaje strzał i z natężeniem śledzi jego wybuch i skutek. Byłem przekonany, że nastąpi jakaś katastrofa straszna, a ja będę jej powodem... Arcybiskup widząc takiego osła przed sobą i to z jego seminarjum, który katechizmu nie umie, momentalnie z gniewu dostanie ataku serca, poprostu „galicyjski szlak“ go trafi! To już mogłoby być najfatalniejsze!...

Jeżeli jednak szczęśliwie przetrzyma taki straszliwy wstrząs nerwów, w com bardzo wątpił, wtenczas uniesiony jowiszowym gniewem, czemubym się nie dziwił, chwyci potężny pastorał w obie ręce, niby maczugę i walnie mnie w łeb z taką siłą, że momentalnie usłyszę nietylko ćwierkanie ptaków, ale wszystkie chóry anielskie!... Zaliczą mnie wpośród męczenników, a pamiątkę mej nagłej i niespodziewanej śmierci obchodzić będą w uroczystość — Świętych Niewiniątek.

Gdym był pogrążony w tych ponurych, wprost rozpaczliwych i beznadziejnych rozmyślaniach o zbliżającej się tragedji, stało się coś, czegom nie przewidział... Czechy tak się dobrze spisały, że arcybiskup, a dzielny to był człowiek, powiedział: „Well they all know their catechizm“ — oni wszyscy umieją katechizm... Ja byłem co prawda kapitalnym wyjątkiem. Ucieszyłem się niezmiernie, że więcej nie pytał i wydostałem się z tej opresji, niby Odyseusz chowający się pod brzuchem barana, przed czyhającym na niego Polifemem.

Wobec tak strasznych przejść na tle religijnem, czyż można ode mnie dużo wymagać z dziedziny katechizmowej?! W każdym razie — chętnie posłużę chociażby tylko skromnemi wiadomościami o powstaniu sekty mormonów.

Zachodzę więc do wielkiego skweru, dziesięć akrów pojemności, otoczonego wysokim murem, w którym z każdej strony

są umieszczone wysokie, żelazne bramy i dogodne wejścia. Trzeba pamiętać, że Salt Lake nie jest tylko pierwszą osadą mormonów i stolicą stanu Uta, ale jest to także stolica sekty mormońskiej. W tym omurowanym kwadracie mieści się ich katedra, administracja, „tabernakulum“ i parę pomniejszych zabudowań.

Wszędzie są starannie utrzymane zielone trawniki, żwirem wysypane ścieżki, klomby kwiatów, wspaniałe drzewa i kilka pomników wybitnych osobistości mormońskich. W jednym kącie obmurowanego placu, pod dachem, przechowują pierwszą z grubych bloków zbudowaną chatę. Na tablicy przy niej umieszczonej spisano jej historję. Zaraz obok jest „ofis“, rodzaj kancelarji, w której można się zaopatrzyć w literarurę o kościele mormońskim i oglądać bardzo ciekawe pamiątki po pierwszych setlerach czyli osadnikach. Widzisz za szkłem narzędzia miernicze, broń, odzież, kołowrotki do przędzenia wełny, krosna prymitywne, nawet starą, pękatą armatę, którą ze sobą przywlekli.

Z tego, co się tu widzi, łatwo wywnioskować można z jakiemi trudnościami walczyli tutejsi pionierzy. Trzeba było sobie jakoś na miejscu ze wszystkiem radzić. Najbliższym punktem, z którego możnaby czerpać lub sprowadzać jakiekolwiek zapasy, było miasto St. Louis, tysiąc mil odległe, bez dróg lub jakiejkolwiek komunikacji. Beczułka gwoździ żelaznych kosztowała wtenczas sto dolarów.

Długo podziwiałem mały bronz, przedstawiający emigranta, który wraz z żoną zaprzągł się i ciągnął dwukołowy wózek, jakie się teraz jeszcze spotyka w Belgji i Holandji. W tym wózku znajdował się cały dobytek emigranta i małe niemowlę otulone kocem, a z tyłu za wózkiem idzie i pomaga pchać ten transport mały dwunastoletni chłopczyna. To nie jest tylko fantazja. To twarda rzeczywistość! Takich emigrantów były tysiące. W tym niewielkim, a bardzo artystycznym bronzie oddano następnym pokoleniom obraz trudów i znojów, jakie ponoszono.

Na dziedzińcu znów napotykam ciekawy i wprost wyjątkowy przedmiot Jest nim „pomnik wdzięczności“, zbudowany ptakom, względnie — mewom. Na wysokiej, granitowej kolumnie, może tych rozmiarów co pomnik Zygmunta w Warszawie, umieszczono kilka mew ze skrzydłami rozpiętemi do lotu. U dołu pomnika cztery płaskorzeźby podają szczegóły tego dziwnego wypadku upamiętnionego pomnikiem.

Widać, że nie dosyć mieli pierwsi osadnicy kłopotów z uprawą roli i budową skromnych lepianek, trzeba było jeszcze innej klęski, która im poprostu głodową śmiercią groziła. Zrobili zasiewy, a żniwa zapowiadały się pomyślnie. Chleba mieliby poddostatkiem, a o zwierzynę w lasach nie trudno. Gdy się tak powoli z biedy wygrzebali, nawiedziła ich straszna plaga szarańczy. Poprostu chmura cała tych straszliwych szkodników wdzierała się do tej biednej osady, doszczętnie niszczyła wszystkie zasiewy, zostawiając po sobie tylko czarną, gołą ziemię. Wszelkie środki, ognie, dymy, miotły okazały się bezskuteczne.

Gdy już wszyscy w rozpaczy tracili nadzieję uratowania zasiewów, a przed oczyma staje śmierć głodowa, nagle zjawia się niespodziewana pomoc. Otóż nadlatują stada całe mew i z wielką zapalczywością pożerają niezliczoną moc szkodników. Gdy się już obładowały szarańczą, wyrzucały ją z siebie z powrotem i nanowo zaczęły tępić niebezpiecznych napastników. Tym sposobem ocaliły zasiewy i życie pionierów, a dla siebie zyskały zabezpieczenie bytu, gdyż na mewy nie wolno tu polować. Prócz tego zbudowano im pomnik, jedyny tego rodzaju na kuli ziemskiej, ku wiecznej pamięci tego cudownego ocalenia od szarańczy.

Na uwagę turysty zasługuje także „tabernakulum". Jest to właściwie ogromna sala o wypukłem sklepieniu z dachem, przypominającym nowoczesne hangary aeroplanowe. Był to jeden z pierwszych budynków dla publicznego użytku, jaki pionierzy zbudowali. Rozpoczęli pracę w roku 1863-im, a skończyli w 1867-ym. Budynek jest 250 stóp długi, 150 szeroki i 80 wysoki. Odznacza się wprost nadzwyczajną akustyką. Jeżeli na jednym końcu ktoś się szeptem odezwie, a nawet szpilkę na stół upuści, słychać to doskonale na przeciwnym końcu, o dwieście stóp oddalonym.

Ogromny sufit, podobny do olbrzymiej skorupy żółwia, jest podtrzymywany misternie urządzonemi wiązaniami belek. Żadnych filarów przy budowie nie używano. Wszelki budulec sprowadzono wołami z odległych lasów, obrabiano na miejscu, spajano gwoździami drewnianemi i wiązano pasami ze skóry bydlęcej. Ściany w kształcie eliptyki posiadają grube skarpy z cegły, na których ciężar dachu spoczywa.

Następnie sprowadzono majstra, zdaje się Anglika, do budowy organu do tego ogromnego audytorjum. Do niedawna był to największy organ na świecie i jeszcze teraz uważają go za

jeden z najlepszych. Trzeba wciąż pamiętać o tem, że budowano ten przepyszny instrument muzyczny na miejscu, z drzewa w tutejszych lasach rosnącego. Od czasu do czasu dodawano coraz to nowe piszczałki, a w ostatnich latach zmodernizowano go i starodawne ręczne kalikowanie zastąpiono elektrycznością. Organy posiadają ośm tysięcy pięćset piszczałek, a sala może pomieścić takąż liczbę słuchaczy. Liczne wyjścia umieszczone po bokach budynku tak są dogodnie rozłożone, że po brzegi wypełnioną ludźmi salę opróżnić można w przeciągu pięciu minut.

W tem audytorjum, a właściwie „tabernakulum" odbywają się częste popisy śpiewackie Mormonów. Codziennie o kilka minut po dwunastej dają tu koncerty półgodzinne. Wstęp jest wolny dla publiczności, a jeden z kilku pierwszorzędnych artystów koncertowych gra najklasyczniejsze utwory słynnych kompozytorów. Koncert rozpoczyna się zawsze hymnem narodowym „Star Spangled Banner", a kończy się jednym z hymnów, które śpiewali mormoni w podróży.

Koncerty dawane tu można często słyszeć w radjo i znane są po całym kraju. Mormoni w swych przepisach kładą nacisk na odpowiednie wychowanie młodzieży. W tej pracy posługują się sportem, ćwiczeniami atletycznemi, tańcem, występami literacko-dramatycznemi i śpiewem. Latem urządzają w tabernakulum masowe koncerty, w których bierze udział młodzież z całego stanu. Na ogromnej estradzie, pod batutą doskonałego dyrygenta, występuje nieraz dwa tysiące śpiewaków. Oczywiście — cała Ameryka słucha tych przepięknych popisów młodszych i dorastających pokoleń mormonów.

Czem dla katolików kościół św. Piotra w Rzymie, a dla anglikanów św. Pawła w Londynie, tem dla mormonów, a jest ich około dziewięćset tysięcy, „Temple", czyli świątynia w Salt Lake City.

Kościół, którego budowa trwała lat czterdzieści, jest postawiony z siwego granitu, zwiezionego wołami na miejsce budowy z odległych kamieniołomów. Fundamenty są szesnaście, a ściany ośm stóp grube. Temple różni się znacznie od zwykłej formy kościołów, chociaż ma linje gotyckie. Gmach jest kilka piątr wysoki i zawiera prócz audytorjum sale na posiedzenia zarządu i administracji kościoła.

Z frontu i z tyłu wznoszą się trzy potężne, chociaż niezbyt wysokie wieże. Środkowe są od bocznych nieco wyższe. Na środkowej wieży, przy głównem wejściu do świątyni, umieszczono olbrzymią statuę anioła — Moroni.

Ten właśnie anioł miał dużo do czynienia z założeniem „kościoła“. Zdaje się, że to jest zupełnie nowy anioł, o którym Żydzi nawet nie słyszeli. Ukazał się kilkakrotnie synowi zwykłego farmera, nazwiskiem Joseph Smith. Pouczał go o wierze, oczywiście „prawdziwej“, bo wszystkie inne sekty i kościoły były widać psa warte, i dlatego Bóg chciał nową wiarę założyć. Na proroka i apostoła tej wiary powołał owego młodego rolnika, Józefa Smitha.

Nie będę na tem miejscu wszystkich szczegółów opisywał, ale należy podać chociaż kilka ciekawszych faktów. Smith urodził się w Vermont w roku 1805. Jako młodzieniec, widocznie skłonny do pewnego rodzaju mistycyzmu, miewał widzenia. Pan Bóg przez anioła Moroni, który swój ród wywodził od jakiegoś proroka, objawił młodemu Smithowi, że chce, aby on założył nową a prawdziwą religję. Sama nazwa tej religji jest znamienna. Jej wyznawcy nie nazywają się „mormoni“, gdyż to właściwie jest ich przezwisko, ale „Church of Jezus Christ of Later Day Saints czyli — Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Późniejszych Dni.“ Nazwę „mormoni“ narzucili im nieprzyjaciele i prześladowcy, którzy wielkie imię anioła Moroni przerzucili na wyznawców, przezywając ich mormonami. Ta nazwa, jako krótsza i nic nie znacząca przechowała się po dziś dzień.

Otóż ów anioł dwudziestoletniemu Smithowi wskazał tajne miejsce, w którem przechowywano drogocenne księgi „praw i objawień“, według których mieli żyć wyznawcy i święci nowej wiary. Księgi te były pisane w języku staro-egipskim, chaldejskim, arabskim, a więc literami i językami, o których młody Smith nie miał najmniejszego pojęcia. Księgi, jak mi objaśniała młoda mormonka w biurze informacyjnem, były pisane na arkuszach szczerozłotych. Duch święty, bo i ten tu dosyć poważnie figuruje, dał młodemu Smithowi „Urim i Thumim“, zapomocą którego mógł przetłumaczyć te ciekawe księgi. Szkoda, że studenci takiego „Urim i Thumim“ nie mogą nabyć do tłumaczenia greki i łaciny. Jak temu zadaniu podołał Smith zapewne pozostanie jedną z „tajemnic tego kościoła. Zresztą każda religja ma swoje tajemnice, więc czemużby

mormoni nie mieli mieć kilku tajemnic?... To zawsze dodaje młodej religji pewnego uroku.

Zapytałem się na tej prelekcji, dla turystów codziennie urządzanej, co się stało z temi księgami? Otóż dziwna rzecz. Smith już się gruntownie z ich zawartością zapoznał, a nawet przy pomocy innych niewiele od siebie mądrzejszych, przetłumaczył je na język angielski i oddał z powrotem aniołowi Moroni a ten je „schował“. Jako powód tej „ostrożności“ anielskiej podają to, że ludzie jeszcze nie są dosyć rozwinięci umysłowo i moralnie, aby te wszystkie prawdy znali i badali.

Ogromnie ciekawa to historja, więc też znów stawiam pytanie:

— Widział kto inny oprócz Smitha, tę ciekawą, szczerozłotą księgę?

— Owszem — mówi obsadna, morowa mormonka, było jeszcze dwóch ludzi, którym anioł pozwolił tę księgę oglądać i jej dotykać.

— Gdzie są ci dwaj świadkowie?

— Oni już dawno zmarli i byli „starszymi” kościoła.

— Czy Brigham Young widział te księgi?

— Nie, on ich nie widział.

— A wierzysz sama w tę całą historję z temi księgami?

— Wierzę. Odpowiedziała nasza prawowierna informatorka.

Nie chciałem już więcej pytać, gdyż inni turyści zaczęli na mnie spoglądać, niby na jakiego adwokata diaboli, który krzyżowemi pytaniami zarzuca swą ofiarę. Ma się rozumieć byłem „po cywilu“, więc też nawet nie przypuszczała, że pod ubraniem khaki turysty, krył się ksiądz katolicki, lata całe ćwiczony w filozofji scholastycznej.

Niektórzy ze słuchaczów przyszli do mnie i powiadają: Wiesz, ta historja z tym aniołem, Smithem, świadkami, złotą księgą, znów zabraną i schowaną „coś nie rychtyk“. No, ale jak było, tak było. W każdym razie powstała nowa religja, a przecież od przybytku głowa nie boli. Andrzej Tardieu, były premier Francji i osobisty mój znajomy, ciekawe swego czasu wypowiedział zdanie o amerykańskich kwestjach religijnych. Powiada tak: „W Ameryce mają trzydzieści gatunków religij, mamy ich w rzeczywistości kilkaset, a mają tylko jeden sos. Francuzi zaś mają tylko jedną religję, a kilkadziesiąt gatunków smacznych sosów, używanych do przyprawy jedzenia.

Pierwsi kandydaci do nowej religji „świętych" werbowali się dosyć licznie z miejscowych farmerów — rolników. Smith widocznie za namową swego anioła Moroni wyświęcił się na kapłana „według obrządku Melchizedecha", bo już takich kapłanów dawno nie było. Przy tej sposobności „wyświęcił" jeszcze jednego ze swych powierników na kapłana i zabrali się do apostolskiej pracy.

Każdy początek jest trudny. Młodzi a zapewne gorliwi apostołowie natrafili na bardzo silną opozycję ze strony zacofanych metodystów, babtystów i innych religijnych bigotów. Wprost napadali na tych nowoczesnych „apostołów", rozpędzali ich zebrania, a nawet pociągali ich do sądów. To im dodawało tem większej otuchy i zjednywało coraz to innych wyznawców.

Przepędzali biednych „świętych" z miejsca na miejsce. W kościele katolickim nikomu „świętości" nie gwarantują: Owszem, zapewniają, że nie mamy pewności — zostać świętymi. U mormonów zostajesz „świętym" w chwili, gdy się do ich wiary zapiszesz. Nas posyłają do szkół, uczą licznych przedmiotów, odbywają najrozmatsze i próby, egzamina, korowody, zanim cię na księdza wyświęcą. Tamci zaś bez nauki, szkół, i wszystkiego wyświęcili się na kapłanów „według obrządku Melchizedecha" i wio na nawracanie.

Z powodu nienawiści i prześladowań, zdaje się z powodu wielożeństwa, mormoni posuwali się coraz bardziej na zachód. Dotarli do Illinois, gdzie miejscowa ludność tak się przeciwko nim zbuntowała i do tego stopnia się posunęła, że zamordowano kilku przewódców i założycieli sekty. Między innymi zginął od kuli założyciel i pierwszy prorok Józef Smith. W Missouri nie było wiele lepiej. Więc też postanowili zupełnie usunąć się od osiedli ludzkich, w których doznali tylu prześladowań ze strony współobywateli. Pod wodzą następcy założyciela, energicznego Brighama Younga poczyniono staranne przygotowania do tej ciekawej, a w skutkach ogromnie ważnej wędrówki w dzikie i nieznane okolice. Tu po wielu latach mozolnej i wytrwałej pracy, doszli do majątku, wpływów i potęgi. Minęły dla mormonów lata próby, a ich przekonania religijne zyskały nietylko w Uta, ale także w innych stanach i krajach tysiące wyznawców i zwolenników.

Na skwerze kościelnym zbudowano pomniki bronzowe założycielom i pierwszym prorokom mormonów. Po koncercie w tabernakulum, na który przybywają gromadnie turyści i miejscow

obywatele, opuszczam ten ciekawy zakątek kościelny, w samem centrum miasta zbudowany.

U stóp gór Wasatch, tuż na krańcu miasta, wznosi się potężny, granitowy kapitol. Niemal każdy kapitol stanowy jest do pewnego stopnia wzorowany na kapitolu Waszyngtońskim. Portyk i fasada są ozdobione granitowemi kolumnami, o linjach klasycznych, a nad tem wszystkiem dominuje o pięknych proporcjah kopuła, cała okolona delikatnemi koryncklemi kolumnami, a pokryta blachą miedzianą. Wnętrze budynku jest wyłożone marmurem i onyksem, wydobytym z miejscowych kopalń.

Sala przyjęć jest bogato wykończona, przypomina wspaniałe pokoje Wersalu. Stół duży, zrobiony z najpiękniejszego gatunku orzecha, sprowadzonego z Rosji. Tapety i dywany robione w najsłynniejszych zakładach francuskich, firanki na okna pochodzą z Włoch, ciężkie żyrandole odlewane z bronzu i grubo pozłacane. Urządzenie tego jednego pokoju przedstawia samo w sobie znaczną fortunę. Koszt budynku, bez „graftu" czyli łapówek, gdyż tego wyjątkowo tu nie było, wynosił dwa miljony siedmset tysięcy dolarów.

Godną uwagi turysty jest wystawa produktów stanowych. Całe niemal niższe piętro jest na tę wystawę przeznaczone. Podziwiasz tu jedną olbrzymią bryłę węgla ważącą tonnę. Tuż obok wielki blok miedzi. Trzeba pamiętać, że Uta jest wielkim producentem miedzi. Dwadzieścia pięć mil od miasta, w Bingam, znajduje się jedna z największych na kuli ziemskiej kopalń tego metalu. Jest to poprostu góra miedzi, a kruszec nakładają na wagony parowemi kopaczkami. W jednym roku wydobyto ponad siedmnaście miljonów ton rudy z tej kopalni, a wypłacono w dywidendach dotychczas ponad dwieście miljonów dolarów. Tu również znajdują się ogromne piece, w których miedź i inne metale szlachetne przetapiają.

Urządzono wystawę rozmaitych gatunków i okazów soli, zwykłej stołowej, prócz tego innych soli mineralnych. Wszyscy znamy niewyczerpane pokłady Wieliczki. Gdyby jednak robotnicy w Wieliczce i Bochni zastrajkowali i gdyby całkowicie te wspaniałe kopalnie zamknięto, jeszcze byśmy sobie jakoś dali radę. Uta mogłaby dostarczyć każdemu człowiekowi na kuli ziemskiej zamieszkającemu, ćwierć funta soli dziennie i to przez następne pięćset lat, zanimby wyczerpano jej zapasy soli.

Uta mogłaby każdemu życie „osolić", mogłaby również „osłodzić", gdyż produkuje rocznie sześćset tysięcy ton buraków cukrowych, z których wyrabiają przeszło półtora miljona funtów cukru, ale to drobnostka. Ewentualnie mogłaby także ludziom życie „zatruć", gdyż jest największym producentem arszeniku na świecie.

Nawet nie potrafiłbym wyliczyć wszystkich rolnych produktów i kruszców, jakie się w tym stanie znajdują. Prócz bogatych złomów marmuru, onyksu, są także ogromne skarby nafty, asfaltu i pokrewnych minerałów. Samego „gilsonitu" zdaje się, że to jest rodzaj twardego asfaltu, Utah posiada nieprzebraną ilość. Statyści rządowi obliczają jego wartość na przeszło sześćdziesiąt miljardów dolarów.

O źródłach mineralnych, ropie — nawet nie będę wspominał. Prócz zwykłego gazu ziemnego używanego do ogrzewania i oświetlenia mieszkań są także bardzo drogocenne zapasy gazu „helium", używanego w balonach i sterowcach.

Idziesz od jednego oddziału do drugiego. Pokazują ci kilkaset rozmaitych kruszców i minerałów. Wspaniałe granity, marmury, żylasty onyks. Tam znów snopy pszenicy, owsa, jęczmienia, opodal najrozmaitsze warzywa, kwiaty, owoce. Dalej znów masz obrazki ogromnych trzód owiec, okazy wełny i sukien tu wyrabianych, tu masz także miejscowe okazy bawełny, drzewa — jednem słowem — pojęcie przechodzi ta nadzwyczaj ciekawa, a ogromnie pouczająca wystawa i to w napozór odludnym i mało znanym stanie.

Na jedną rzecz należy zwrócić uwagę. Wszystkie stany, miasta a nawet wioski starają się przyciągnąć do siebie osadników i mieszkańców. Dlatego każdy zachwala swój klimat, produkta, bogactwa naturalne, jednem słowem — wszystko, co turystę może zwabić albo do chwilowej wizyty albo też do stałego pobytu. Jeśli masz pieniądze, to „Klub Przemysłowców i Kupców" weźmie cię w swą opiekę, oprowadzi po mieście, po najdogodniejszych kawałkach ziemi na fabryki, sklepy i składy. Tu każdy jest „boosterem" — orędownikiem — za swem miastem, stanem czy wioską

Przed kapitolem, po prawej stronie głównego wejścia, zbudowano oryginalny pomnik ku czci „Mormońskiego Bataljonu". Był to pułk wojska zwerbowany przez mormonów na czas wojny

z Meksykiem. Za późno już przybyli, aby wziąć udział w tej „zwycięskiej“, a tak dla Stanów Zjednoczonych korzystnej wojnie, ale zato zrobili dłuższy marsz, aniżeli jakakolwiek inna siła zbrojna w historji wojskowości. Włóczyli się po stepach, pustyniach, górach, dziewiczych lasach. Szperali za złotem w Kalifornji i Newadzie, aż nareszcie wrócili do swoich, w założonych co tylko siedzibach Uty. Pomnik przedstawia pięknie rzeźbioną bryłę białego marmuru zdobną w symboliczne rzeźby, częściowo wykonane w marmurze, a częściowo odlewane z bronzu. Przed pomnikiem mała, o regularnych kształtach sadzawka, w której rozpanoszyły się wodne lilje i swobodnie pluskają złote rybki.

Piętnaście mil za miastem ciągnie się olbrzymie jezioro nadzwyczaj słonej wody. Jest to zapewne pozostałość przedhistorycznej odnogi morskiej, ma bowiem jakie piętnaście mil szerokości, a siedmdziesiąt pięć długości. Przeciętna głębokość wynosi zaledwo 15 stóp. Poza tą taflą słonej wody ciągnie się jeszcze ogromna pustynia, która kiedyś, jak to już poprzednio napomknąłem była także częścią tego ciekawego jeziora. Mijam przy drodze kopalnie soli, jak również olbrzymie baseny, do których słoną wodę spuszczają i tanim sposobem, bo promieniami słońca wodę wyparowują. Przy jeziorze zbudowano obszerny pawiljon, w którym wieczorami, a szczególnie latem, urządzają tańce, zabawy i ma się rozumieć kąpiele w tej ogromnej solance. Woda w jeziorze jest jakie trzy razy tak słona, jak woda morska.

W pawilonie żądano „kwodra“ wstępu t. j. dwadzieścia pięć centów, więc też długo się nie zatrzymałem, zresztą wszystko i tak świeciło pustkami. Wracając, zauważyłem u stoku pobliskich gór urządzenia górnicze, w których mielono rudę miedzianą i przetapiano na metal. Juta, zdaje się, jest na pierwszem miejscu co do ilości pieców do przetapiania miedzi, cynku, srebra i złota, ale statystyki już przytaczać nie będę, gdyż to przeciętnego czytelnika i turystę mało obchodzi.

Przez miasto pędziły kiedyś konne sztafety i poczta — Pony Express. Miejsca postoju i drogę tej naszej pierwszej linji komunikacyjnej teraz oznaczono tablicami bronzowemi. Opuszczając Salt Lake City, zapuszczam się do jednego z pięknych kenjonów, aby się przedrzeć przez wysoką ścianę górską.

Mógłbym jeszcze dużo ciekawych szczegółów o Salt Lake City opowiedzieć, ale możebyście mnie posądzili o zbyt wielką

sympatję dla mormonów, a szczególnie — mormonek. Tyle tylko powiem, że bardzo to ciekawy, bogaty i uroczy skrawek ziemi. Juta ma przed sobą ogromną przyszłość, gdyż zawiera wszystko, co potrzebne do rozwoju ekonomicznego kraju. Gdyby to można taką Jutę gdzieś przyczepić do Polski — co za skarby!

Z żalem też opuszczam ten małowniczy zakątek i miasto, które było planowo wymierzone i zbudowane przez pionierów. Po godzinnej podróży dojeżdżam do rozgałęzienia się dróg. Jedna na lewo prowadzi do Wyomingu, a druga na prawo Nr. 40 przez stan Kolorado i przez najwyższe szczyty gór Skalistych, do stolicy stanu miasta Denver. Tylem się już po górach nawłóczył, że mi tego starczy co najmiej na lat kilka. Korzystając z wiadomości poprzednio udzielonych, postanowiłem, wracać przez południową część stanu Wyoming, aby ominąć te niebezpieczne i karkołomne przepaści górskie.

Zwracam się na lewo i jadę w kierunku północno-wschodnim ku granicy stanu Wyoming. Po drodze mijam niewielkie miasteczka. W Coalville kopią węgiel, w Echo Lake napotykam tamę i eksploatację siły wodnej, tu i ówdzie stada bydła i owiec, małe farmy i na horyzoncie towarzyszące turyście szczyty gór Wasatch. W Echo City, małej wiosce, wjeżdżam na rządową drogę Nr. 30 zwaną „Oregon Trail“ i „Lincoln Highway“. Już poprzednio kilkakrotnie w zachodnich stanach nią jechałem, więc to nie nowość. Tędy ciągnęły transporty pionierów na zachód.

Sypię więc z szybkością piećdziesięciu mil na godzinę ku domowi, szeroką, prostą, szutrem wysypaną drogą. Po prawej ręce zostawiam lasem pokryte pasmo gór Uinta, wyróżniających się tem, że się ciągną w kierunku od wschodu ku zachodowi, gdy niemal wszystkie inne pasma prowadzą od południa ku północy.

Od Evanston wjeżdżam z powrotem do Wyoming, wymawia się — Łajoming. Opuszczając Dakotę w podróży ku zachodowi, przejechałem północną część stanu i góry Big Horn. Ta część stanu jest olbrzymią, szeroką, pustynną równiną, a właściwie płaskowzgórzem, wypchniętem jakie sześć tysięcy stóp ponad poziom morza. Wyobrażam sobie, że tu zimą muszą panować straszne mrozy, gdy północne wiatry, brzemienne śniegiem, pędzą z gwałtowną szybkością po tych ogromnych, pustynnych wyżynach. Południowa część tego czworobocznego niemal ka-

wałka ziemi przypomina mi poniekąd dziąsło dziecka, mocno napuchnięte, z którego jednak jeszcze się nie powyrzynały ostre, twarde zęby. Widać, że natura była już ogromnie przemęczona i nie zdołała dokończyć górotwórczej pracy i na tej szerokiej, a kilkaset mil długiej przestrzeni nie wypchnęła ostrych szczytów gór Skalistych. Nic więc dziwnego, że z tej na sto mil szerokiej doliny korzystały najprzód ogromne kiedyś stada bawołów, przesuwając się z jednego pastwiska na drugie. Za niemi pędzili w śmiertelnym pościgu czerwonoskórzy autochtoni, a za temi zaś w pośpiechu uwijali się pierwsi „setlerzy“ i pograniczne garnizony kawalerji. Teraz jeszcze szybciej pędzą samochody, a przewyższają je w locie aeroplany.

Tamci zniknęli, pozostało po nich tylko wspomnienie... Na ich miejsce wystąpiła kolej żelazna Union Pacyfik i cały kraj chwyciła w stalowe objęcia. Równolegle z koleją ciągnie się szeroka, szara droga, po której kiedyś ciagnęły w kilkanaście par wołów zaprzężone „skunery“ stepowe, zawierające rodzinę i cały dobytek pionierów. Teraz co chwila napotykasz szybko pędzące samochody, których numerowe płyty wyraźnie ci mówią, że tędy wiedzie jeden z głównych traktów, łączących stosunkowo młody a w surowce bogaty Zachód, z przemysłowym, handlowym i w kapitały bogatym Wschodem. Nawet nie potrzeba wspominać, że w powietrzu szybują ogromne samoloty, których pola lotnicze i hangary napotykam nie tylko we wszystkich większych miastach, ale nawet rozrzucone po pustych stepach, nocą silnie oświetlone i zaopatrzone we wszelkie przybory awjatyczne. To jedna z ogromnych arteryj, po której pulsuje życie i przemysł kraju, chwilowo w tempie bardzo powolnem, ale z czasem się znów wszystko ożywi i z nieprzepartą i nieprzezwyciężoną energją pójdzie naprzód.

Ponieważ poprzednio, gdy się zbliżałem do Yellowstone Parku, podałem kilkanaście szczegółów o „Łajoming“, więc za zbyteczne uważam powtarzać się. Najwyżej można jeszcze dorzucić garść ciekawszych faktów o jego ogromnych zasobach i naturalnych bogactwach.

1) Pokłady węgla są jeszcze niezbadane. 2) Twierdzą, że tu się znajdują największe żyły węgla w całym kraju. 3) Obliczają jego zapasy ponad sześćset siedmdziesiąt miljardów ton. 4) Trzeba pamiętać, że jeden miljard — zawiera miljon ton, 5) To jeszcze

jest niemal nietknięte. 6) Przeszło trzydzieści pól naftowych w jednym roku wydało ponad czterdzieści miljonów beczek ropy. Stan posiada 350 formacyj geologicznych, zawierających pokłady ropy, a wszystko przeważnie na gruntach należących do stanu, a nie do prywatnych konsorcjów. Gaz ziemny przeprowadzają rurami do sąsiednich stanów, a jego wydajność i zapasy obliczają w takich sumach, że tylko ci, co pamiętają powojenną inflację marek, mogą mieć o tych cyfrach jakieś słabe wyobrażenie i pojęcie.

Nie będę więcej trudził czytelnika statystyką i cyframi, gdyż na widnokręgu pustynnego obszaru ukazuje się mała wioska. To historyczny — Fort Bridger. Zatrzymam się chwilkę, bo to przecież stara „historyczna" placówka. Już sto lat dźwiga na swych walących się, mchem pokrytych zabudowaniach. Przy drodze mała, z kamieni murowana piramida, przypomina turyście, że to jest jeden z głównych przystanków i postojów pionierów.

Jim Bridger (czyt. Dzim Brydżer) grasował w tych okolicach, jako traper około roku 1820-go. Polował na bogate futra bobrów i prowadził handel wymienny z tutejszemi szczepami czerwonoskórych. Dla wygody zbudował obszerny zajazd nad dopływem rzeki Green River, która się tu dzieli na kilka pomniejszych warkoczy. Traperzy i Indjanie znosili w to miejsce swą zdobycz, wymieniali na proch, kule, żywność i odzież. Bridger zaś sprowadzał te towary ze St. Louis, wymieniając za nie drogocenne skóry zwierząt. W kuźni naprawiano potężne, ciężkie wozy, zaopatrywano się w żywność, wypoczywano po nużącej podróży i przygotowywano się do dalszej drogi.

Ciekawy to był typ, ów Dzim Bridżer. Zahartowany na trudy i niewywczasy życia na pół dzikiego. Miesiącami z karabinem i torbą myśliwską włóczył się po górach i lasach. Znał wszystkie odległe knieje od Yellowstoneu, aż hen ku południowym krańcom Juty. Lubiał też w podeszłym wieku opowiadać swe ciekawe przygody z Indjanami. Dla przykładu jedną z nich przytoczę.

— „Wybraliśmy się", powiada Bridżer, „z towarzyszem na polowanie bobrów w góry Unita. Zaszyliśmy się w głębokie puszcze i jary na kilka tygodni, nie wiedząc oczywiście, że Indjanie są na stopie wojennej i napadają białych setlerów. Aż tu naraz na widnokręgu ukazuje się gromada czerwonoskórych,

w pióra orle ubranych wojowników. Wiedzieliśmy, co to znaczy, więc też czem prędzej, porzuciwszy nasz obóz i zdobycz, wsiadamy na koń i pędzimy co sił. Tamci za nami... Mając lekkie koniki i w dodatku podwody stale się do nas zbliżali...

— „Gdy się zbliżyli na strzał karabinowy, jeden z nas odwracał się i strzelał, a drugi pędził naprzód. Za każdym strzałem dziki wojownik spadał z konia i twarzą rył w pustynnym piasku. Strzelaliśmy świetnie i na odmianę, wstrzymując zapęd Indjan. Pierwszego dnia w pościgu padło trzydziestu czerwonoskórych. Następnego dnia ta sama historja, ten sam zacięty pościg, ta sama obrona i śmiercionośne rozdawanie kul okrutnym Indjanom z plemienia Pah-Utes. Dotarliśmy na noc do ogromnego lasu w nadziei, że zdołamy ujść bacznego oka pogoni.

— „O świcie cichuteńko, jak myszy, prowadzimy przez gąszcze nasze zmęczone wierzchowce do głębokiego jaru czyli kanjonu. Dołem pędzi rwąca rzeka. Myśleliśmy, że jesteśmy uratowani. A tu tymczasem ścieżka znikła, a przed nami staje granitowa ściana i z hukiem walący się wodospad. W tym momencie ze czterdziestu piersi, zemstą ziejących Indjan, wyrwał się przeraźliwy okrzyk, krew w żyłach mrożący. Sześćdziesięciu w dwudniowej walce położyliśmy trupem, czterdziestu zosłało. Ci nas otoczyli, wpadliśmy w ich pułapkę. Tu się rozegrał finał strasznego dramatu.

— Coście wtenczas zrobili? — Pyta zaciekawiony turysta. „Cóż mogliśmy zrobić wobec tak przerażającej siły? Indjanie nas pochwycili i obu w okrutny sposób zamordowali".

Tak się zwykle kończyły jego opowiadania.

Inny znów stary pionier nazwiskiem John Robinson, przezwany „Uncle Jack" lubiał przy kieliszku wódki opowiadać ciekawe historje. Na punkcie trunków miał pewne ścisłe zasady. Twierdził, że każda wódka jest dobra. Złej wódki wogóle niemasz... Gdy się go pytano czy woda w tych okolicach jest dobra do picia, odpowiadał: że tu już żyje od kilkudziesięciu lat, ale na to pytaie nie może odpowiedzieć, gdyż obawia się, aby czasem w nim nie zamarzła, więc jej nigdy nie pije.

Przez lata całe zarządcą placówki był t. zw. „sędzia" Carter, człowiek bardzo gościnny, oczytany i okazujący maniery i kulturę wschodnią. Starzy podróżnicy mile go w swych pa-

miętnikach wspominają. Przybył w te okolice z garnizonem wojskowym.

Z tej placówki traperskiej z czasem przeistoczono miejscowość na garnizon wojskowy. Jak wiadomo wrzynaliśmy się wgłąb dziewiczego kraju obronnemi placówkami, zwanemi „fortami“. Coprawda, nie były to właściwie fortece w całem tego słowa znaczeniu, ale ostrokołem otoczone strażnice.

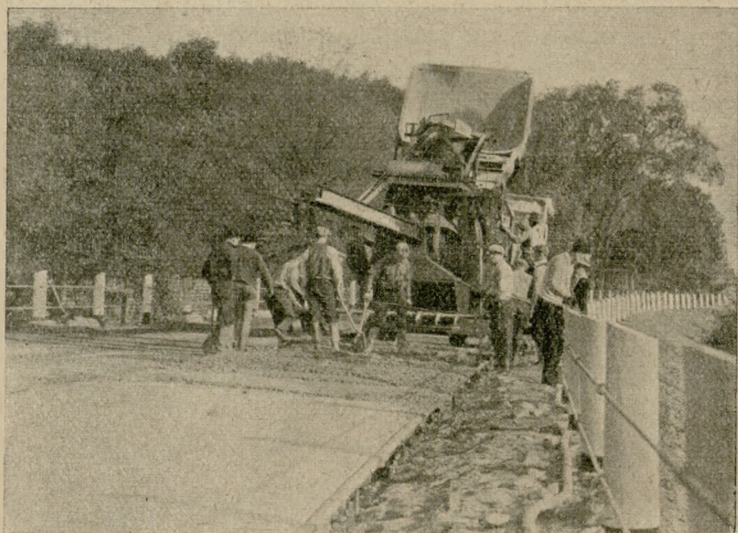
Na dogodnem miejscu, przy jakiejś rzeczce i linji komunikacyjnej zakładano obóz. Ścinano drzewa, budowano duże, niskie, czworoboczne chałupy, nieraz darniną pokryte. W takim przestronnym czworoboku było miejsce na bydło, wozy, zapasy żywności i wszelkie towary. Całą osadę otaczano ostrokołem, z małemi czworobocznemi wieżyczkami. W tych „blokhauzach“ były małe armatki, więcej dla postrachu, niż dla użytku. Indjanin nigdy nie czekał, ażby doń z armaty wygarnięto, a innych wrogów tu nie było.

Ponieważ to była pora obiadowa, więc podjeżdżam do tej starej strażnicy „kultury“ amerykańskiej. W cieniu olbrzymiej sosny zatrzymuję samochód, wyciągam mój nieodzowny „sandwich“ — kanapkę, butelkę ciepłej kawy i pomarańcze, gdyż to niemal, że przez całą turę było moją żołnierską porcją. Siadam przy starym, napoły zgniłym stoliku, pod drzewem umieszczonym dla wygody turystów. Zabieram się więc do skromnego posiłku i wypoczynku.

Patrząc na te już od starości zgrzybiałe domy, dawno przez żołnierzy opuszczone, odtwarzam sobie w myśli to kiedyś bujne, awanturnicze, hulaszcze, a w pewnych fazach bardzo twarde życie pionierów. Rozmaite tu kwaterowały pułki kawalerji. Zbliżała się straszna wojna domowa. Nawet na tem odludziu były zdania, serca i umysły podzielone. Jedni stawali po stronie południowców, inni zaś bronili zasad „północnych“ czyli Jankiesów. Kilku z oficerów pełniących tu służbę garnizonową, za kilka lat doczekało się szlifów generalskich w jednej czy drugiej armji. Niejeden zamiast chwały i zaszczytów, znalazł kulę i grób żołnierski na polu bitwy lub cmentarzu wojskowym. Szerokie aleje drzew, przeważnie sosen, są niemym pomnikiem ich pracy i trudów na tych kiedyś dzikich kresach Zachodu.

Okiem wyobraźni patrzę na owych twardych „traperów”, ubranych w jupy skórzane, z łapciami na nogach, z potężną

torbą na plecach i karabinem na ramieniu gdy wychodzą z tej prymitywnej kwatery na połów dzikich zwierząt i ludzi... Słychać tu mowę francuską, gdyż wielu z nich to pionierzy Francuzi, którzy swe nazwiska narzucili tutejszym miastom, rzekom, jeziorom i górom. Mieszają się słowa angielskie, francuskie, indjańskie, a nawet hiszpańskie. Wśród kobiet białych widzę pełno czystej krwi Indjanek. Traperzy chętnie wstępowali z niemi w związki małżeńskie, a niejeden t. zw. „skwah man“ — miał



Budowa dróg cementowych w Stanach Zjednoczonych.

i kilka Indjanek, z któremi żył swobodnie w chwilach wolnych od polowania.

W pewnych porach roku z dalszych okolic nadciągały gromady Indjan. W dolinie, nad rzeczką, przy której brzegach rosną lipy i topole, na zielonej murawie rozkładali swe namioty. Dzieci kąpały się w rzeczce, Indjanki trudniły się przygotowywaniem strawy, szyciem ze skór obuwia i ubrań dla rodziny, a starsi wojownicy i myśliwi dobijali targów z „Dzimem“, który był im dobrze znany i jako „skwah man“ cieszył się ich zaufaniem...

Wszystko to przeszło i zginęło w mrokach jeszcze przecież

nie tak dawnych dziejów... Zostały się tylko wspomnienia, które z małych wątków, opowiadań i zabytków chciałbym tu chociaż częściowo odtworzyć...

Gdy tak pogrążyłem się w zadumie o „starych dziejach", nadchodzi drugi turysta z kodakiem w ręce i „przytyka" na wszystkie strony. A że ja bez moich ciężkich aparatów i całego pasa klisz i soczewek nigdzie się nie ruszam, więc też bez wszelkich formalności wywiązała się między nami rozmowa o tej ciekawej placówce.

— Czy widziałeś grób i marmurowy nagrobek psa pochowanego tutaj? — pyta mnie ów nieznajomy turysta.

— Nie widziałem. Jednakże bardzo mnie to zaciekawiło. Słyszałem o bogatych cmentarzach koło Nowego Jorku, na których spoczywają ulubieńcy amerykańskich miljonerów. Ale na pustym stepie nagrobek dla psa? To mnie zaintrygowało.

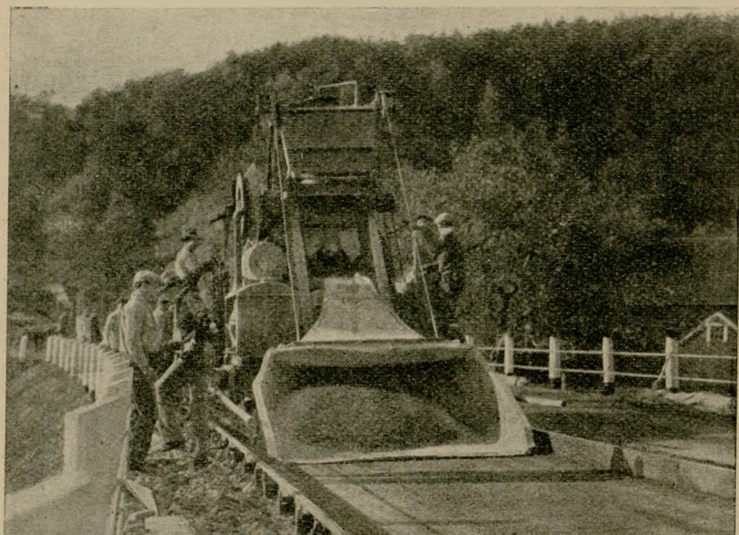
Poszedłem za podanemi wskazówkami i na końcu alei wysadzanej staremi, rosochatemi wierzbami, znalazłem pod drzewem małe, kwadratowe, z deszczułek starannie zrobione ogrodzenie, a w niem marmurową tabliczkę. W białym marmurze wyrzeźbiony piesek, a cała niewielka tablica okolona bluszczem. W środku następujący napis: „Thornburg — zapewne nazwa psa „umarł", bo język angielski nie odróżnia śmierci zwierząt i ludzi, wszystko jest „died" — umarł, więc i pies Thornburg umarł 27-go września 1888 roku. Poniżej ciekawy nekrolog brzmi, jak następuje: „Człowiek nigdy nie posiadał lepszego, wierniejszego i odważniejszego przyjaciela. Spij nadal stary kolego. Spotkamy się za górami". — Może się już dawno spotkali...

Kto był jego panem, jakiej rasy był ten pies, któremu właściciel z mozołem i kosztem zbudował ten nagrobek?... Nie wiem i zapewno nikt z tutejszych nie wiedział. A jakoś dziwny smutek mnie opanował, gdym patrzał na ten zielskiem porośnięty grób — psa. Napewno bardzo się kochali. Może doznał wielu dowodów przyjaźni i poświęcenia, jeżeli taką troskliwoscią otoczył miejsce jego spoczynku... Kto wie, czy sam bez przyjaciół i znajomych nie spoczął w zapomnianym grobie?...

Tylko ten może taki napozór mały, a jednak pełen tragedji szczegół ocenić, kto z psami bliżej obcował. Wśród ludzi spotkasz rzadko szczerych i prawdziwych przyjaciół. Wśród zwierząt zaś, a szczególnie psów, znajdziesz ich bardzo często... Szo

penhauer miał się podobno wyrazić, że — „im więcej widział ludzi, tem więcej kochał psy“, czy też coś podobnego. Musiał być nietylko wielkim filozofem, ale także szlachetnym człowiekiem. Tylko szlachetny człowiek pozna i oceni szlachetne zwierzę. Widać, że w sercu tego nieznanego pioniera płonęły wzniosłe uczucia.

Obejrzałem tuż obok stojącą starą stajnię, w której trzymano konie sztafety — Pony Express, oraz pomnik granitowy, z podobizną jeźdźca pędzącego na koniu, niby coś w rodzaju — „Hej, ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz kozacze?“. Napis objaśnia turystę, że tu był postój tej ciekawej, już kilkakrotnie



Maszyna do mieszania cementu przy budowie dróg.

wspominanej, konnej poczty. Kilku robotników naprawiało stary murowany budynek, widocznie dawniejszy sklep. Władze stanowe wzięły w opiekę i odrestaurowują stare pamiątki i zabytki. Mają, tak mówili robotnicy, założyć małe muzeum pamiątek po pierwszych pionierach. Myśl pochwały godna.

Ruszam w dalszą drogę przez szare stepy, porośnięte bylicą. Wiatry w porze zimowej zmiatają śnieg na grube zwały, zostawiając ogromne golizny. Niby ten naturalny, a napozór

nic nie znaczący fakt jest bardzo ważny dla tutejszych farmerów. Otóż bydło, owce i zwierzyna na tych czyściutko wymiecionych ubiedrzach znajduje zimową porą obfite pożywienie, szczególnie ów sage brush, a dzika, pustynna trawa służy im za pokarm.

Wzdłuż drogi napotykam tabory drogowe — road crews. Zbudowano dla nich kilkanaście szałasów. Obok ustawiono maszyny do mielenia kamieni. Na polu pełno traktorów i olbrzymich aut do wożenia szutru, beczki z oliwą, wszelkie materjały potrzebne do budowy i naprawy dróg. Ponieważ wszelka praca połączona z budową dróg jest wykonywana zapomocą nowoczesnych maszyn, robota postępuje szybko naprzód. Duże, czołgami popychane łopaty, zwane „scrapers“ rozszerzają drogę i równają. Potem nadjeżdżają kilkotonnowe auta naładowane grubym szutrem. Za pociągnięciem korby stalowe pudło się podnosi, jednym końcem zwala kilka tonn mielonego kamienia, a „scrapery“ go rozgarniają. Kamień oczywiście mielą maszynami. Nikt tu przy drodze nie siedzi, nie rozbija młotkiem kamieni, jak to widziałem w Polsce. Zmielony kamień zapomocą odpowiednio urządzonych pasów „conveyers“ jest wciągany do wysokiej skrzyni. Pod nią podjeżdża auto i rynną za parę minut wsypują do niego kilka tonn kamienia, i nikt nawet łopatą nie ruszył.

Gdy już droga jest na odpowiednią grubość i szerokość posypana szutrem i dobrze uwałowana ciężkiemi parowemi walcami, nadjeżdżają samochodowe kadzie z olejem czy też asfaltem i zalewają całą drogę tą czarną cieczą. Potem znów prasują, posypują drobnym żwirem lub szutrem i droga gotowa! Jedziesz, chciałem powiedzieć „aż się kurzy“, ale wtenczas się nie kurzy. Droga czarna, a równa jak tablica. Ci, co lubią szybko pędzić, mogą sobie dowoli używać. Takiego to sam djabełby nie dogonił.

Green River, większe i schludne miasteczko, wywodzi nazwę od rzeki, która tędy płynie, a tworzy jeden z większych dopływów rzeki Colorado, o której wspominałem pisząc o Grand Kanjon.

O kilkanaście mil dalej na wschód wpadam do Rock Springs. Nie spodziewałby się przeciętny turysta znaleźć na tem pustkowiu olbrzymich, najnowocześniej urządzonych kopalń węgla. Niby krety zryli ludzie tę pustynną ziemię, porobili

szyby, tunele i pod ziemią zbudowali siedmdziesiąt pięć mil kolejek, któremi wydobywają węgiel. Na boczniach kolejowych pełno wagonów naładowanych węglem.

Przy jednej z większych ulic zauważyłem piękne zabudowania kościelne. Na murowanym gmachu, widocznie jakiś klub czy sala, napis po słowacku, głoszący, że to jest „Dom Słowacki". Gdzie się to ci nasi pobratymcy zagubili! Widać, że ich tu spora gromada, gdyż murowany kościół, szkoła, klasztor, plebanja i ów „dom" świadczą o ich ofiarności, a zapewne i dobrobycie. Można powiedzieć, że gdziekolwiek w parafjach stykałem się z Słowakami, zawsze napotykałem na lud bardzo uczciwy, spokojny i pobożny.



Ruiny kwatery oficerskiej w dawnej placówce — Jod Bridger w Wyoming.

Nie zatrzymuję się w tem ciekawem a schludnem miasteczku górniczem, tylko pomykam dalej ową szeroką, bezludną pustynią. Posuwam się stopniowo w górę, do wysokości ponad siedm tysięcy stóp. Za wioską Wamsutter dosięgam szczytu czyli „great divide". Stąd już zaczynam się spuszczać wdół, do miasteczka Rawlins. Kilkadziesiąt mil na północ, w Caspar, w ostatnich dwudziestu latach odkryto bogate pokłady ropy. W tej

okolicy znajduje się także słynny Teapot Dome, pole ropy tak bogate, że skandalami osmarowało kilku z naszych „sekretarzy“ — ministrów, podczas administracji Hardinga. Jeden z nich za stutysięczną „pożyczkę“, a właściwie łapówkę, odsprzedał to bogate pole rządowe prywatnemu konsorcjum. Skończyło się na tem, że miljoner St. Clair i sekretarz — w Europie minister Spraw Wewnętrznych — p. Fall dostali się do więzienia. Prezydent Harding, za którego administracji działy się te świństwa, także w jakiś „dziwny“ sposób wyjechał na tamten świat. Podobno dali mu trucizny na deser, ale tego się głośno nie mówi. Więc też do „Kasper“ ani do Teapot Dome nie pojadę, bo jeszcze mogłbym się w jaki skandal naftowy wpakować.

W środkowej części stanu, na rezerwacji Shoshone jest pochowana bohaterka ekspedycji Lewisa i Clarka — Secajawea, jak również wielce poważany przez tutejszych pionierów wódz Indjan, Washaki.

Na tych wyżynach i pustyniach od Wamsutter do Rawlins hodują setki tysięcy owiec i bydła. Rawlins, do którego dojeżdżam, jest główną kwaterą eksportu bydła, owiec, wełny i nafty. W pobliżu kopią węgiel; są tu również pokłady kamienia wapiennego i olbrzymie rafinerje nafty. Zatrzymałem się na noc w tem czystem, postępowem miasteczku.

W niedzielę rano, „wpadłem“ do aryjskiego kościoła na mszę św. Kościółek bardzo piękny, czyściutki i widać niedawno pobudowany. Kaznodzieja, zdaje się misjonarz, zachęcał wiernych, aby się nie „ześliznęli“ z dobrej drogi na manowce grzechu. Nabożeństwo poszło sprawnie, na czas i króciutko. Za trzy kwadranse wszystkieśmy obowiązki religijne wypełnili i czem prędzej pakowali się do samochodów, których w niedzielę przed każdym kościołem stoją rzędy całe. Poczem każdy wracał do domu lub też na całodzienną wycieczkę.

Chociaż to niedziela i „dzień wypoczynku“, ale przy dobrej pogodzie za metę wybrałem sobie miasto Denver, w stanie Colorado. W stosunku do innych dni, podróż niezbyt długa, jakie dwieście mil, więc też czem prędzej ruszam naprzód.

Sąsiadujące przez miedzę miasteczko Parco jest w całem tego słowa znaczeniu miastem — murowanem. Wszystkie sklepy, szkoły, gmachy rządowe i rezydencje tutejszych obywateli są z pięknej cegły. Mają w okolicy nadzwyczaj dobrą ciemno-

kremową glinkę, z której wypalają wyjątkowo piękną cegłę i z tej cegły właśnie słynie owo małe, schludne Parco.

Pędzę wzdłuż koleji Union Pacific, która głęboko zapuściła szpony do pokładów węgla, ropy i innych naturalnych bogactw tego na poły pustynnego stanu.

Medicine Bow, niewielka wioska, wywodzi nazwę od Indjan. Przychodzili do tutejszych lasów po żywicę, którą napuszczali swe łuki. U Indjanina wszystko dobre jest określane jako „medycyna“, więc i żywica była „medycyną“ dla łuków, po angielsku — bow.

W tych okolicach wydobyto także niezmierną ilość szkieletów przedpotopowych zwierząt. Jeden z tutejszych dynosaurów, podobno dotychczas największy okaz na kuli ziemskiej, znajduje się obecnie w muzeum w Nowym Jorku. Są tu nieprzebrane pokłady magnesium sulphite i jakiegoś nowego minerału, którego nawet w encyklopedji znaleźć nie mogłem. Nazywa się „bentonite“.

Miasteczko Laramie, a właściwie La Ramie, stanowi jeden więcej dowód, że Francuzi się w tych okolicach włóczyli. Jaque La Ramie był sobie traperem, który przypadkowo utonął w jednej z rzek tutejszych. Miasteczko po nim otrzymało nazwę. Olbrzymia rafinerja nafty, cementownia, tworzą główne gałęzie przemysłu. Uniwersytet stanowy ma również tu swą kwaterę.

Dziesięć mil za miastem, na niewielkiem wzgórzu, wznosi się pomnik w kształcie piramidy. Zdaje się, że to kolej Union Pacific w ten sposób uczciła pamięć swego inżyniera, generała Ames, który linję tędy przeprowadził. Przy drodze napotykam bardzo ciekawe drzewko, otoczone przez władze stanowe żelaznym parkanem. Jest to niewielka sosna, wyrastająca z kamienia, już częsciowo porozwalanego przez jej potężne korzenie. Tu nie ludzie, ale drzewa na „kamieniu się rodzą“.

Cheyenne — wymawia się — siajenn, wywodzi nazwę od plemienia tutejszych Indjan. Położone na krawędzi olbrzymich stepów, a właściwie na zachodnim brzegu basenu doliny rzeki Mississippi, jest głównym węzłem kolejowym linji Union Pacific. W roku 1867-ym inżynierowie kolei żelaznej wymierzyli na pustym stepie ulice, parki, miejsca na stację, remizy i warsztaty kolejowe i tak rozpoczęła się budowa miasta Cheyenne, które

w swych początkach niezbyt dobrą cieszyło się renomą. Poprostu nazywali je „hell on wheels“ — piekło na kołach.

W tych dawnych czasach co drugi dom to — karczma, szulernia, sala do tańca i dom rozpusty. Wszędzie ta sama historja, czy to kopalnia, czy budowa kolei, czy otwarcie nowej górniczej osady. Zawsze się w tem miejscu zbierały najrozmaitsze wyrzutki społeczeństwa, gromady „forejnerów“ czyli obcokrajowców, którzy w takich osadach stanowili poniekąd bydło robocze, używane do budowy kolei, kopalń i wszelkich ciężkich robót. Tamci zaś jako „ptacy niebiescy“ pijaństwem, tańcem, „gemblerką“ i rozpustą ciężko zapracowany grosz z robociarza wyłudzali. Strzelanina była na porządku dziennym. Stopniowo zdrowszy element brał górę, a klasa awanturnicza musiała pod groźbą stryczka opuszczać osadę.

Obecnie Cheyenne jest nie tylko wzorowem, czyściutkiem miasteczkiem, ale nawet stolicą stanu Wyoming. Kapitol w rutynowej formie z kopułą budowany, ulokowano w pięknym parku, ale widziałem już ładniejsze, więc mu wiele czasu nie poświęcam. Kolej ma tu swe biura i warsztaty, dające zatrudnienie znacznej części mieszkańców. Hodowla bydła, owiec, a przedewszystkiem okoliczne źródła ropy dopomagają do rozwoju i dobrobytu tutejszej ludności.

Od początku założenia Cheyenne było kwaterą wojskową i nią zostało po dziś dzień. Na jednem z przedmieść, a raczej właściwie cała jedna część miasta — to kwatera wojskowa. Szerokie ulice, przy nich solidnie budowane z pewną nawet rozmaitością stylu, wygodne rezydencje dla oficerów i obszerne baraki dla żołnierzy. Wśród tych zabudowań rozrzucono szerokie pola ćwiczeń, ma się rozumieć są boiska na nasz nieodzowny „basebal i footbal“, gdyż bez tego się nie obędzie. Opodal znów ciągną się stajnie dla kawalerji i artylerji, która tu ma jedną z głównych składnic.

Kilkadziesiąt mil na północ i zachód w Cheyenne, rząd posiada olbrzymie pola oddane na ćwiczenia i manewry. Ten „kawałek“ ziemi obejmuje sto mil kwadratowych, a na takim skrawku pustyni i lasu może kilkudziesięciu żołnierzy swobodnie wywijać „w prawo, w lewo“ bez obawy, że jeden drugiemu na nagniotki nastąpi. Obóz noszący nazwę Fort Francis E. Warren zajmuje strategiczną pozycję niemal w samem centrum kraju. Mając do-

godne linje komunikacyjne, doskonałe drogi i ogromne pola awiatyczne, z łatwością można przesuwać, w razie potrzeby, kilkadziesiąt tysięcy wojska na którykolwiek front.

Na szczególniejszą uwagę turysty, a choćby i przeciętnego czytelnika, zasługuje tutejsza festa — „Frontier Days“. W ostatnim tygodniu lipca miasto urządza rodzaj karnawału, w którym odtwarzają się czasy pierwszych pionierów. Do tego są dodane popisy tutejszych i z całej Ameryki zebranych cowboyów i cowgirls. Wszystko połączono z karkołomną jazdą na dzikich koniach, a nieraz jeszcze dzikszych bykach, a właściwie „exbykach“, które zapomocą „kozika“ zmieniono na stepowe woły.

Ciekawe są popisy tej stepowej epoki. Taki trenowany kawaleryjski koń, co to ma więcej oleju we łbie od swego pana, tu nie ma prawa głosu i racji bytu. Bohaterami są oczywiście stepowe bronkusy, czyli poniekąd zupełnie dzikie konie. Przez dłuższy czas cowboye wybierają co najdziksze okazy i dopiero takiego „piekielnika“ na powrozie przyprowadzają na tutejszy występ. Ma się rozumieć, na takie igrzyska zjeżdżają się tysiące ludzi.

Jednym z punktów programu jest jazda na nieokiełzanych „djabełkach“. Uzdy i siodła taki bronkus w swem życiu nie widział. Z ludźmi też nie obcował. Pierwsze spotkanie zwykle jest niebardzo miłe dla takiego wierzgającego „pierona“. Na stepach w pędzie zarzucili mu powróz — lasso — na przednie kopyta tak, że łbem zarył w piasku. Po wypaleniu gorącem żelazem znaku na udzie, cobym powiedział do przyjemności nie należy, zabierają go do zagrody zwanej „koralem“. Taki koń już z natury rzeczy ma pewną ansę do tych dwunożnych zwierząt, ubranych w delikatne buty i szerokie skórzane hajdawery — schapps.

Cowboy na popisy ubiera się bardzo gustownie. Buciki delikatne, obcasy dosyć wysokie i u spodu wąskie, na spodniach skórzane nogawice, czasem wełną na zewnątrz pokryte, to zabezpiecza zwykle spodnie przed zaroślem pustyni. U pasa nieodzownym „six shooter“ — sześciostrzałowy rewolwer, a na głowie ogromny „pięciogarncowy“ kapelusz. Do kompletu cowboyskiego stroju należy także szara koszula i chustka na szyi. Buty są zaopatrzone w duże ostrogi, bez których ani rusz. Tak wygalantowani cowboye stają do kontestu o szampionat w tej lub owej branży naszego karkołomnego sportu.

Dziadowie i pradziadowie rodziny Icieków wojskowo służyli w najpoważniejszej branży — mistrzyni bitew — piechocie... Konie nadzwyczaj kocham, jeszcze „więcej od kobiet“, gdyż są to zwierzęta bardzo rozumne i szlachetne. Pod wielu względami



Cowboye w Cheyenne.

przewyższają zwykłych, dwunogich ludzi. Gdy się jednak z mozołem na konia wygramolę, czuję się cośkolwiek „nie rychtyk“. Gdy ten jeszcze na mnie zezem popatrzy, wtenczas już moją najlepszą „kończczyzną“ i na migi gadam mu, żeby się nie „denerwował“, to już sam zlezę. Chociaż jestem cośkolwiek muzy-

kalny i znam się na czasie i rytmie, ale na siodle zawsze jestem „out of time“ — nie w takcie — co się zwykle na mej skórze „fatalnie odbijało“, dlatego też zawsze wolę przechadzkę „per pedes Apostolorum“ — niż konną jazdę...

Ale wracam do naszych cowboyów. Każdy koń oczywiście ma odpowiednią do charakteru nazwę. Więc znajdują się w tej dzikiej stadninie najrozmaitsze — „szatany, czerwone djabły, smoki, pioruny, błyskawice i t. p.“ Im dzikszy, tem lepszy. Jeźdźcy wyciągają losem swego wierzchowca, przemocą wkładają mu na grzbiet siodło, którego nigdy przedtem nie nosił. Na łeb zarzucają uzdę, ale bez munsztuku, tylko z jednym rzemieniem, trzymanym według regulaminu w lewej ręce. Jeździec wskakuje na takiego stepowego „djabełka“ i przepisowo, po flankach, tak dla dodania mu „otuchy“ przejedzie dużemi ostrogami, a kapeluszem waląc po łbie z okrzykiem yiiip... yiiiiip... yiiiiip... rusza na popis.

Gdy takich wyjących cowboyów na dzikich, stepowych koniach wyjedzie kilkunastu, to jest na co patrzeć. Musi to już być „nadjeździec“, aby na takim brykającym, fikającym koniu się utrzymał. Ale są tacy, co mu dają radę. Pierwszorzędny, polski kawalerzysta, a tych zaliczam do najlepszych w świecie, boć tego dali liczne dowody, nie wytrzymałby na takim wierzchowcu ani minuty. Bronkus, bo tak nazywają te stepowe koniki, poczuwszy na sobie siodło, którego tam nigdy przedtem nie było, a w siodle jeźdźca, który go po żebrach „głaszcze“ ostrogami, momentalnie zwija się w pałąk i skacze wszystkiemi czterema w powietrzu, to znów staje dęba na tylnych nogach lub też na przednich, a tylnemi fika i wierzga, jak wściekły, czemu się bynajmniej nie dziwuję.

Do takich kontestów stają najwybitniejsi cowboye całego kraju. Nagrody w tej branży za najlepszą jazdę wynoszą kilkanaście set dolarów, więc też warto używać parę minut takiej karkołomnej jazdy.

Innym ciekawym sportem jest t. zw. „bulldoging“. Do kontestu staje jeździec i ma drugiego jeźdźca do pomocy. W oznaczonej chwili z ogrodzenia na pole wypuszczają młodego „sztyjera“ czyli rocznego lub dwurocznego wołu. Gdy taki doskonały wolak, Bogu ducha winien, oddali się na jakie trzydzieści kroków, tamci puszczają się za nim w pogoń. Jeden z jeźdźców jest tylko na to, aby wół biegł w prostej linji. Właściwy kontestant o laury

i pieniądze jedzie po lewej stronie, a dogoniwszy ofiarę, w pędzie przerzuca się z konia na byka i przez chwilę jedzie sobie na... byku. Potem chwyta go za rogi i rzuca na ziemię. Im to sprawniej i szybciej wykona, tem pewniejsza nagroda. Jeden zębami za mordę brał byka i rzucał nim o ziemię.

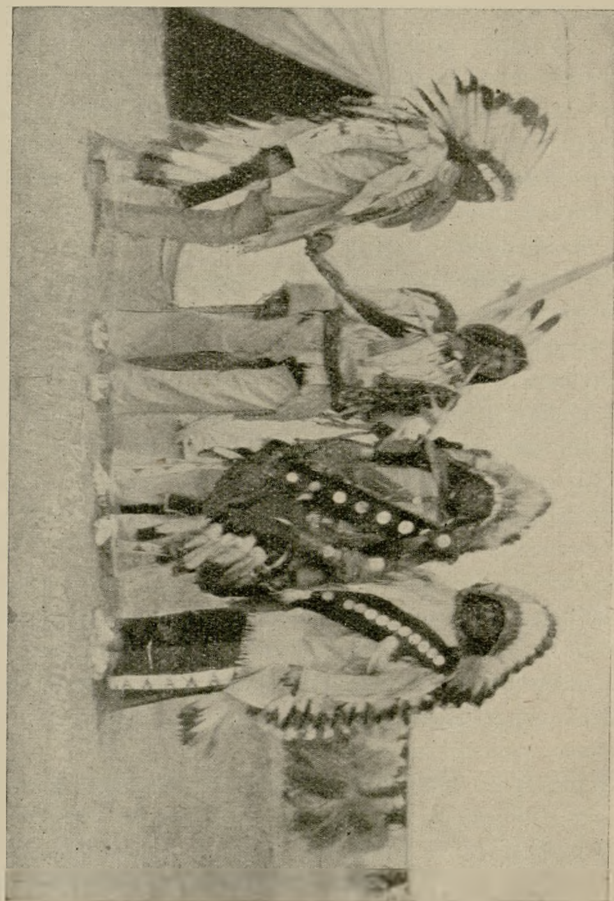
Rzucanie lassem, cienkim powrozem, używanym przez cowboyów, jest także wielką sztuką. Puszczają na arenę młodego, kilkumiesięcznego cielaka. Taki ma się rozumieć ogon zadrze i zmiata, aż się kurzy, a cowboy za nim. W pędzie zarzuca mu lasso przez łeb i na przednie nogi tak, że biedny cielak pada na ziemię. Jeździec w tym momencie zeskakuje z konia i w mig pęta cielakowi nogi. Cała operacja chwycenia i spętania cielaka trwa około dwudziestu pięciu sekund. Ten sam proceder odbywa się także z dorosłemi bydlakami niemal z tą samą szybkością. Ma się rozumieć, konie już są do tego specjalnie i bardzo starannie ćwiczone. Na dany znak koń momentalnie stanie, przedniemi kopytami zaprze się o ziemię, powróz do siodła przyczepiony wyciągnie się jak struna, rzucając z gwałtowną siłą najtęższego bydlaka na ziemię. Zanim się taki wół pozbiera, już go cowboy spętał, jak barana.

Nie brakuje także na programie bardzo popularnych cowgirls popisujących się jazdą konną, rzucaniem lassa i t. p. Wielkie zainteresowanie budzą wyścigi t. zw. „relay“, polegające na tem, że „girlsa“ (tego wyrazu nawiasem mówiąc nie lubię, ale go pożyczam — z Polski) co pół mili w pędzie zeskakuje ze swego rumaka, a wskakuje na drugiego i goni dalej. Która pierwsza po takiej dziwacznej jeździe dotrze do mety, otrzymuje sutą nagrodę. Takie same wyścigi są także dla cowboyów z tą różnicą, że co pół mili nie tylko musi z konia zeskoczyć, ale zarazem siodło zdjąć i na następnego wierzchowca zarzucić i pędzić następne pół mili i znów ten sam proceder.

Nigdy nie obędzie się tu bez Indjan, którzy bardzo licznie na te popisy zjeżdżają. Ubrani w bogate, ze skóry jeleniej robione i paciorkami wyszywane ubrania, z pióropuszem na głowie. występują w swych tańcach wojennych, wyścigach i popisach w strzelaniu z łuku, jeździe konnej i podobnych a sobie właściwych tylko popisach atletycznych.

Urządzają co wieczór parady, w których biorą udział żołnierze z miejscowej załogi, Indjanie, cowboye, cowgirlsy i rozmaite

organizacje pionierów. Chwilowo wracają do życia „stare dzieje". Na arenę wjeżdża słynne kiedyć „stage coaches", na koźle woźnica z rewolwerami u pasa, a przy nim zapasowy stróż z winczesterką. Następują napady przez Indjan, bandytów, walki kie-

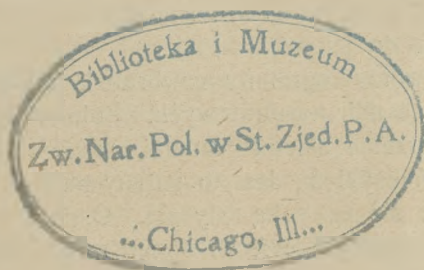


Cheyenne.

dyś toczone między Indjanami, a żołnierzami, jednem słowem — widzisz całe życie tych naszych amerykańskich „kresów".

Z najmniejszemi niemal szczegółami zbudowano stare karczmy, szulernie, sale tańca, służba i stroje z dawnych minionych lat. Na widownię występuje Buffalo Bill, Bill Hickock, Calamity Jane i wielu z ich współtowarzyszy. Niczego nie brak, tylko że za-

miast prawdziwego piwa i kiedyś dobrej wódki, dają ci sodę i „near beer“, — jakoby piwo, przez co wszystko inne ogromnie traci na wartości. Ale miejmy nadzieję, że niedługo poleje się znów prawdziwe piwo z prawdziwych kufli, któremi, jak za dawnych czasów, będą cowboye sobie nawzajem łby rozbijali. Warto przyjechać do Cheyenne na te oryginalne, ciekawe, a zarazem pouczające występy — Frontier Days. Tu je zainicjowano i doprowadzono do wielkiej perfekcji. Same nagrody w gotówce wynoszą około dwadzieścia pięć tysięcy dolarów; jest o co iść w zawody.



Rozdział V.

COLORADO.

W niespełna kwadrans po opuszczeniu stepowej metropolji Cheyenne, wjeżdżam do Colorada. Każdy się dorozumie, że to wyraz hiszpański. Pierwszy gubernator, W. Gilpin, zadecydował, że nowy stan przyjmie nazwę od swej największej rzeki — Colorado, o której już poprzednio kilkakrotnie była mowa. Nazwano je — Colorado — „czerwona" po hiszpańsku — ponieważ często nabiera tego koloru z powodu silnej domieszki żelaza, które się wraz z gliną do jej wód dostaje.

Stan tworzy ogromny czworobok, obejmujący blisko sto cztery tysiące mil kwadratowych. Południowo-zachodnim kątem graniczy z trzema innemi stanami, mianowicie: z Utą, Aryzoną i Nowym Meksykiem, Jest to jedyny punkt w całym kraju, gdzie cztery stany się ze sobą stykają. Ostatni spis rządowy podaje ludność w okrągłych cyfrach ponad miljon mieszkańców. W tem znajduje się znaczny procent suchotników, którzy w te strony bardzo licznie ściągają zpowodu nadzwyczaj „zdrowego" powietrza, łagodnego klimatu i słońca.

Samym środkiem stanu od północy ku południowi ciągnie się potężny i bardzo wysoki łańcuch — Gór Skalistych. W obrębie tego górzystego kwadratu znajduje się około pięćdziesiąt szczytów, sięgających ponad czternaście tysięcy stóp wysokości, czyli około czterech kilometrów. Gór ponad trzy kilometry wysokości znalazłbyś tu okrągły tysiąc. Przeciętna wysokość całego stanu jest ponad sześć tysięcy stóp. Innemi słowy, stąd do nieba już bardzo blisko.

Kto lubi góry, tu powinien przyjechać i zamieszkać na stałe. Jedne są pokryte śniegiem i lodem, inne zielenią wspaniałych lasów, rzek, jezior, wodospadów, przecudnych kanjonów, mineral-

nych źródeł, podziemnych a ponad wyraz ciekawych pieczar — rozmaitość wielka.

Z punktu historycznego jest to bardzo ciekawy stan. Wieki całe przed przyjściem w tę okolicę ludzi białych, zamieszkiwały go jakieś ciekawe plemiona o stosunkowo wysokiej kulturze. Co się z niemi stało, kim właściwie byli — nikt dokładnie powiedzieć nie może.

Na ogromnych płaskowzgórzach, zwanych „mezzas", i na stromych wprost niedostępnych szczytach gór zostały po tych ludziach liczne pamiątki. W stromych zboczach skał wykuwali swe mieszkania i świątynie. W razie napadu przez koczownicze i dzikie plemiona czerwonoskórych sąsiadów chronili się w tych niedostępnych a bezpiecznych twierdzach na wszelką ewentualność zawsze zabezpieczonych w żywność i wodę.

Niektórzy twierdzą, że byli to Indjanie, tylko o wyższej kulturze, czego dowodem są rozmaite rzeźby, napisy, których jednak nikt dotychczas nie odcyfrował, naczynia gliniane i ubrania robione z wełny i bawełny. Jeszcze po dziś dzień Indjanie południowej części Colorado i Aryzony wyrabiają bardzo piękne kilimy, koce, szale, i podobne przedmioty przez turystów chętnie kupowane. Niektóre z deseni przypominają poniekąd wyroby góralskie z Polski. Co się z tymi ludźmi stało, skąd przyszli, gdzie poszli albo jak wyginęli, zostanie zapewne na długi czas zagadką i tajemnicą.

Hiszpanie, wałęsali się w tych stronach za czasów Coronady, który się tu wybrał po złote runo. Nic jednak nie wskórał i z próżnemi rękoma wrócił, skąd przyszedł. A przecież magnesem, który ściągał pierwszych osadników, było złoto, odkryte w roku 1858 nad brzegami rzeki Platte, w okolicy obecnej stolicy miasta Denver. W górach później znaleziono nietylko bogate żyły złota, ale także srebra, miedzi, ołowiu, cynku i wiele innych rzadkich a drogocennych metali, jak tungsten, vanadium, uranium, mangan, molibdenum, cadmium i carnotite, używanego w produkcji radu. Colorado dostarcza ośmdziesiąt pięć procent światowej produkcji molybdenum, używanego do wyrobu stali. Nie będę wyliczał wszystkich kruszców, drogich kamieni jak: rubiny, turkusy, ametysty i wiele innych. Cała litanja kruszców, granitów, glinek używanych w ceramice, byłaby zbyt długa aby ją wyszczególnić. W okrągłej liczbie znajduje się w Colorado jakie dwieście

pięćdziesiąt rozmaitych kruszców. Twierdzą, że możnaby w górach znaleźć okazy wszystkich marmurów, jakie się znajdują na świecie.

Ile jest węgla, nikt dokładnie powiedzieć nie może, ale są wprost nieobliczalne zapasy. Olej już wydobywają od czterdziestu lat. Znajdują się tu całe góry olejodajnej skały t. zw. „oil shales". Nikt tego dokładnie nie zmierzył ani nie zważył, ale eksperci obliczają te nieprzebrane zapasy oleju na siedmdziesiąt miljardów beczek czyli daleko więcej, aniżeli dotychczasowe zapotrzebowanie całego świata.

Trzeba pamiętać, że to jeszcze młodziutki stan, jeszcze kawał czasu i wiele wody w rzece Colorado upłynie, zanim będzie obchodził stuletnią rocznicę swego istnienia, bo to dopiero nastąpi w roku 1976-tym. Jakie się tam kryją skarby w tych niebotycznych górach i uroczych, a urodzajnych „mezzach", nikt napewno powiedzieć nie może. Pokolenia całe będą tam szperały, wierciły i wydobywały ukryte skarby.

Ten ogromny kwadrat ziemi 387 mil długi, a 276 mil szeroki, możnaby nazwać Szwajcarją Ameryki. Oczywiście jest daleko większy niż Szwajcarja. W północno-środkowej części, rząd Stanów Zjednoczonych wykroił na samym grzbiecie Gór Skalistych ogromny park narodowy. Tu masz od dwunastu do czternastu tysięcy stóp wysokości góry i możesz do syta się ich przepychem nacieszyć. Miłośnicy wszelkich sportów górskich znajdują w nich istny raj. Wszędzie pełno jezior, wyżłobionych w twardym granicie przez lodowce. Nie brakuje cudnych górskich potoków, przepełnionych pstrągami, wodospadów, kanjonów, łąk uroczych, polanek kwieciem upstrzonych, zwierzyny dzikiej pod dostatkiem — jednem słowem — możesz odpoczywać i bawić się na uroczem łonie natury. Dla turystów, jak we wszystkich innych parkach, są wszelkie udogodnienia, znakomite drogi do samochodów i ścieżki dla tych, co lubią na piechotę wałęsać się po karkołomnych zboczach górskich.

Tyle już miałem gór, jezior, rzek i kanjonów, że mnie ten cudny park nie skusił, a chociaż to niedaleko, ale wolałem coś innego zobaczyć i memi spostrzeżeniami z gronem czytelników się podzielić.

Chociaż to kraj górzysty, ale rolnictwo, przedewszystkiem chodowla bydła bardzo się szybko rozwija. Na szerokiem płasko-

wzgórzu, obejmującem całą wschodnią część stanu, przy zastosowaniu sztucznego nawodnienia, doskonale prosperuje uprawa buraków cukrowych. Z powodu wielkiej ilości słońca, warunków klimatycznych i odpowiedniej ziemi tutejsze buraki wydają bardzo dużo cukru. Selery, groszki, przedewszystkiem arbuzy, uprawiają tu na szeroką skalę. Udało się nawet wyprodukować kilka nowych, a nadzwyczaj smacznych gatunków tych delikatesów, jak casaba, honey dew i wiele innych. Przy drodze wszędzie pełno straganów z owocami i warzywami. Za dziesięć centów dostaniesz dwa lub trzy arbuzy i starczy ci tych delicyj na parę dni.

Jak wiadomo, w Ameryce reklama nieraz trochę przesadza. Więc się wcale nie dziwię, że w jednej z książek opisowych czytam, iż lucerna tutejsza „dodatnio wpływa na szybkość koni wyścigowych".

Prócz Rocky Mountain National Park, obejmującego 378 mil kwadratowych, jest tu jeszcze jeden park narodowy — Mesa Verde. Ten kawałek ziemi obejmujący zaledwo 77 mil kwadratowych zamieniono na „park" jedynie w tym celu, aby zachować dla potomności wioski i zabudowania t. zw. „cliff dwellers" — ludzi, mieszkających na wysokich skałach, o których poprzednio już wspominałem.

Wśród tysięcy szczytów górskich, znajduje się jedna ciekawa, przynajmniej z obrazków znana na całym świecie góra Krzyża św. Gdy patrzymy na jej szczyt, widzimy na niej olbrzymi biały krzyż. To śnieg i lód, który nigdy nie topnieje w dwóch na poprzek leżących, głębokich parowach. Daje to ciekawy widok krzyża. Hiszpanie na ten temat stworzyli niezwykłą legendę. Otóż według legendy, zakonnik w Hiszpanji coś przeskrobał. Widać, że to już była rzecz poważna, bo spowiednik nakazał mu tak długo po świecie się tułać, dopóki nie znajdzie krzyża na niebie. Biedaczysko dopiero go znalazł w Colorado. Ten łańcuch gór nazywają z hiszpańska „Sangre Christi" Range.

Może nie zawadzi jeżeli chociaż parę słów wspomnę o sposobie, jakim zabraliśmy tę ogromną połać kraju Meksykanom. Zaczęło się z naszym największym stanem Texas, który od roku 1836-go należał do Meksyku. Wybuchła „rewolucja", w której Amerykanie grubo palce maczali i cały stan, niemal dwieście sześćdziesiąt sześć tysięcy mil kwadratowych, „oderwał się" od

Meksyku, tworząc niby to niepodległe państwo. Za kilka lat, bo w r. 1844-tym Teksas „przyłączył“ się do Stanów Zjednoczonych.

Taki proceder ogromnie się Meksykanom nie podobał i całkiem słusznie. Zachodziły jeszcze nieporozumienia o granicę nad rzeką Rio Grande. Dosyć na tem, że Meksykanie urządzili napad zbrojny rzekomo na terytorjum amerykańskie, a właściwie na skrawek ziemi objęty dysputą graniczną. Powstało z tego powodu „straszne oburzenie“. „Meksykanie, wołano — przelali niewinną krew amerykańską i to w dodatku na amerykańskiem terytorjum“. Tylko wojna mogła taką krzywdę i zniewagę zmazać! Innemi słowy, kto chce psa uderzyć, kij znajdzie.

W maju, 1846-go roku, kongres Stanów Zjednoczonych wypowiedział wojnę słabiutkiemu Meksykowi. Ponieważ nie można było pożądanego terytorjum kupić, więc też pod byle jakim pretekstem rozpoczęto walkę orężną. Biedni Meksykanie, było ich znacznie więcej od naszych, stale brali w skórę. Amerykanie ostatecznie bez jednej przegranej — rodzaj wojennego „totusa bez atu“, — zajęli stolicę państwa i podyktowali warunki pokoju w Guadaloupe Hidalgo w r. 1848-ym.

Na mocy traktatu pokojowego zabraliśmy Meksykanom „tylko“ miljon mil kwadratowych a więc cały Teksas, Nowy Meksyk, Aryzonę, Kalifornję, Newadę, Utę, część Wyomingu, większą część Colorado i mały skrawek stanu Kansas. Innemi słowy, zyskaliśmy daleko większy obszar, aniżeli ten, jaki obejmowały „kolonje“, po uzyskaniu niepodległości. Jest to obszar niemal sześć razy tak duży jak Polska.

Warto taką wojnę prowadzić! Z jednej strony małe straty, same zwycięstwa, ani jednej przegranej, a z drugiej — co za kolosalne zyski?! Że to był rozbój na szerokiej drodze, wiemy o tem dobrze. Ażeby widocznie sumienie zagłuszyć, daliśmy Meksykanom piętnaście miljonów dolarów odczepnego, a zabraliśmy majątek idący w nieskończone miljardy.

Chcąc świętą prawdę powiedzieć, należy się przyznać Amerykanom, że są najlepszymi byznesistami na kuli ziemskiej. Lepszych chyba nie było i nie będzie! Niepodległość wywalczyliśmy przy pomocy Francji i wielu wybitnych „forejnerów“ jak Kościuszko, Pułaski, Von Steuben, Lafayette itd. Resztę albo zabraliśmy Indjanom albo też drogą targu kupiliśmy za psie pieniądze.

Od Napoleona wycyganiliśmy t. zw. „Louisiana Purchase“. Za głupie piętnaście miljonów zapłaconych Napoleonowi otrzymaliśmy połać kraju objętą przez następujące stany: Louisiane, Arkansas, Oklahomę, Missouri, Kansas, część Colorado, Iowę, Nebraskę, Minnesotę, Południową i Północną Dakotę, większą część Wyomingu, całą Montanę, i Idaho. Wcale niezła realność za piętnaśćie miljonów dolarów, a jak Napoleon powiedział — za piosenkę!

Florydę tak mimochodem, dla świętej zgody, kupiliśmy od Hiszpanji, aby nam tu nikt do naszego ogródka nie zaglądał. Powiedziałbym, że dosyć drogo nas to kosztowało, gdyż pięć miljonów dolarów. Nic tam wtenczas nie było, tylko bagna i krokodyle. Teraz Floryda jest naszą Rivierą, tam się wygrzewamy zimą. Oczywiście mówię tu tylko o tych Amerykanach, którzy mają pieniądze, ja tam jeszcze nie byłem.

Jak handel, to handel. Moskale prawem kaduka przedostali sie przez cieśninę Beringa i zajęli Alaskę. Trochę nam to było nieporęcznie, bo to aż hen pod samym biegunem. No ale od czego są Amerykanie, jeżeli nie do prowadzenia handlu realnościowego na wielką skalę. Więc też kupiliśmy tę małą „bagatelkę“, z której możnaby wykroić kilka średnich państw europejskich, za siedem miljonów dwieście tysięcy dolarów. Było to w roku 1867-ym. Strasznie wtenczas ludzie „kikowali“ czyli krytykowali rząd za takie niepotrzebne wyrzucanie pieniędzy. Nawiasem mówiąc już tysiąc razy się nam te pieniądze wróciły. Myślano wówczas, że to jakaś podbiegunowa „lodownia“, a to tymczasem kraj nadzwyczaj bogaty w złoto, węgiel, ryby, drzewo, drogocenne skóry. Co tam jeszcze za niespodzianki nas czekają, nikt przewidzieć nie może. Kupiliśmy, bo nie chcieliśmy mieć Moskali za sąsiadów, nawet Kanadą oddzielonych. Pod tym względem jesteśmy bardzo wybredni.

Kiedym już zajechał do historji Stanów Zjednoczonych, trzeba tego wykładu dokończyć, bo jest bardzo ciekawy. Nawet mnie samemu się to podoba.

W lutym w r. 1899-tym amerykański okręt wojenny „Maine“ zawinął do hiszpańskiego portu Havana, na wyspie Kubie. Za parę dni nastąpila straszna eksplozja i okręt wyleciał w powietrze. W katastrofie zginęło 250 marynarzy. Kto winien?!... Kto wysadził okręt w powietrze?! Nikt inny, jak Hiszpanie. Śledztwo

po wojnie prowadzone w zupełności wykazało, że magazyn z prochem eksplodował, a więc Hiszpanie byli niewinni. Ale huzia na Hiszpanów, a to tem bardziej, że nasi kapitaliści trzymali w garści cukier i tytoń na Kubie. Tylko wojna mogła ukoić zadane nam rany.

Nie będę opisywał tej parodji. Najzabawniejszą to chyba bitwa na morzu pod Santiago. Gromada potężnych amerykańskich ogarów wojennych rzuciła się na biednego Cereverę z wielkim hałasem i ewentualnie zniszczyła jego cztery szybkie krążowniki. Podobno na sto strzałów, na odległość od półtora do trzech mil zaledwie — trzy procent trafiały w okręty nieprzyjacielskie, reszta waliła w ryby i gwiazdy na niebie. Hiszpanie jeszcze gorzej strzelali.

Koniec końcem, zabraliśmy Kubę, Portorico, Filipiny a po drodze wyspy Hawajskie, i wszystko co się dało. Hiszpanom daliśmy zdaje się dwadzieścia miljonów odczepnego.

A więc za okrągłe sześćdziesiąt miljonów kupiliśmy niemal naszą całą Ojczyznę. Powiedzcie, czy jest w historji drugi naród, który tak tanio „kupił“ i tyle i takiej ziemi? Resztę oczywiście zabraliśmy Indjanom bez żadnej zapłaty. A jeżeli się tam Indjanie na takie bezprawia oburzali, posyłaliśmy wojsko i wkrótce był „porządek“. Zresztą czemu taki Indjanin ma sobie rościć pretensje do ziemi, na której żył od wieków, kiedy to się należy białym i to w dodatku — chrześcijanom?!...

Coś mi się przypomina, że pewien włoski dyplomata powiedział, że gdyby dyplomaci tak postępowali w życiu prywatnem, jak postępują w życiu publicznem, powinni wszyscy siedzieć w kryminale.

Ale wracajmy do do naszej podróży, bośmy aż zbyt daleko oddalili się od tematu i drogi wiodącej z Cheyenne do Denver.

Wracamy znów stopniowo do cywilizacji.

Opuszczam pustynie i dzikie stepy, rzadko rozrzucone osiedla ludzkie, a wkraczam do bardziej zaludnionych okolic. Nasamprzód jadę drogą betonową, co także należy do przyjemności i jak najsympatyczniej usposabia turystę amerykazskiego, który od lat przyzwyczaił się do takiej drogi.

Co parę mil napotykam schludne miasteczka, otoczone parkami, zielenią drzew, murawą i kwiatami. Wszędzie widać do-

statek, przytem jakąś staranną, wytrawną pracę na roli. Po obu stronach drogi, jak oko sięgnie, w większe i mniejsze kwadraty poszatkowane, zielenią się pola asfalfy, starannie uprawiane pola buraków cukrowych, selerów i najrozmaitszych jarzyn, przedewszystkiem arbuzów zwanych tu „melonami“.

Rzeka Platte z licznemi górskiemi dopływami dostarcza obfitych zapasów wody do sztucznego nawadniania urodzajnej gleby. Tereny objęte sztuczną irygacją mają pewien urok może dlatego, że każde pole jest równiuteńkie jak stół, aby woda mogła cały obszar jak należy do pewnej zgóry oznaczonej wysokości pokryć i do ziemi wsiąknąć. Gdyby pole było pochyłe i pagórkowate, nie możnaby zastosować irygacji. Te urodzajne i zieleniuteńkie obszary są rowami pocięte w mniejsze i większe kwadraty i zagony. Przy granicach, koło domów i dróg rosną wierzby, topole i klony.

Miasteczko Greeley, w połowie drogi między Cheyenne a Denver, nad rzeką Platte położone, jest metropolją tej malowniczej, przytem urodzajnej okolicy. Uprawa buraków cukrowych, których wydajność sięga przeciętnie dwanaście tonn na akier, jest jedną z głównych gałęzi tutejszego rolnictwa. Nie brakuje także bydła, jarzyn i owoców. Sądząc po licznych sadach jakie się wszędzie napotyka, Amerykanie są prawdopodobnie największymi zjadaczami owoców na kuli ziemskiej. W Europie świeże owoce jak pomarańcze, gruszki, jabłka, banany należą do luksusów, u nas zaś stanowią powszechną strawą nawet ubogiego robociarza i jego rodziny. Któżby zresztą zjadł te wszelkiego gatunku delicje, jakie tu chodują i wciąż nowe szlachetniejsze gatunki wyprowadzają?! Czego to niedawno zmarły Burbank nie dokazał! Poprostu Panu Bogu zabrał fach z ręki i przez staranne zapładnianie dał nam kilkanaście gatunków owoców, pszenicy, jabłek i jagód.

Miasteczko Greeley wywodzi swą nazwę od słynnego nowojorskiego dziennikarza, Horacego Greeley'a, który w tych „early days“ w okresie pierwszych pionierów, przybył w te okolice i był tym krajem zachwycony. W jednem z wielkich i wpływowych czasopism nowojorskich zachęcał czytelników, szczególnie ludzi młodych, aby szli na zachod. „Go west young man, go west“ — idź na zachód młodzieńcze — idź na zachód — to jego słowa. Czyste, prosperujące miasto z ogromnemi cukro-

wniami, mleczarniami i innemi fabrykami przetwarzania ziemiopłodów jest poniekąd jego pomnikiem.

Przy drodze, co parę mil napotykam stragany z jarzynami, owocami i specjalnością tutejszą — melonami. Jest tego kilkanaście gatunków. Jedne tak zwane „cantaloupes" szare, małe, a bardzo słodkie dojrzewają rychlej; a potem są większe o powierzchni białawej, a na wewnątrz zielone a bardzo słodkie zwane — „casaba i honey dew". Jeden melon wystarczy na porządną porcję dla czterech, a nawet sześciu osób. O zwykłych melonach, ciemno-zielonych w białe prążki, warzących jakie 10 kilo, o mięsie czerwonem i czarnem nasieniu, nawet nie wspominam. To już stary gatunek, bardzo smaczny, a jest wielkim przysmakiem naszych murzynów. Zaopatrzyłem się bardzo suto w jarzyny i melony. Za kilkadziesiąt centów napakowali mi wory całe tak, że nie wiedziałem, gdzie to wszystko umieścić.

W całej podróży jak najrzadziej zaglądałem do restauracji i gotowałem własne jedzenie. Czyniłem to ze względu na kiepską kuchnię amerykańską, z powodów ekonomicznych i dla zdrowia. Żyłem tanio a dobrze — w dodatku trzymałem się ścisłej diety z obawy przed cukrzycą, która mi się już dała we znaki.

Ktokolwiek z czytelników chciałby po Ameryce samochodem podróżować, radzę mu, aby się zaopatrzył w piecyk gazolinowy i sprzęty kuchenne. Będzie żył tanio i wygodnie.

Każdego turystę uderza „nowoczesność" miast amerykańskich. Wszystkie niemal starsze i większe miasta europejskie noszą na sobie patynę przeżytych stuleci. Ulice, zamki, pałace, bramy, kościoły, klasztory, uniwersytety mają jakiś urok. Wszędzie pełno historji i przeszłości. Weźmy taki Kraków, bramę Florjańską, Wawel, rynek, kościół Marjacki, uniwersytet Jagielloński. Ile tam historji, ile drogocennych pamiątek!...

Tu zaś wszystko nowiuteńkie. Olbrzymie miasta wyrosły, jak grzyby po deszczu. Kilkadziesiąt lat temu było tu puste pole, teraz wielka metropolja, licząca trzysta tysięcy mieszkańców. Takiem typowem miastem jest Denver, stolica Colorado.

Gdy w Polsce wybuchło powstanie styczniowe, a tylu je pamięta, Denver jeszcze nie istniało. Obywatel Smith, widząc tu dogodne miejsce na małą gospodę, zbudował domek, przy połączeniu dwu rzeczek. Przejezdni pionierzy i poszukiwacze złota u niego się zatrzymywali. Kilku pobudowało domki obok

niego, a opodal Indjanie postawili swe namioty. Powoli zaczęto parcelować grunt na ulice, zakładać niewielkie, raczej prymitywne sklepy, dostarczające zapasów i żywności prospektorom. Z tych bardzo skromnych początków powstało miasto wielkie i piękne. Uderza gościa staranna czystość mieszkańców. O rannej godzinie każdy obywatel polewa nietylko trawnik, ale grzędy kwiatów a nawet całą ulicę, aby się nie kurzyło.

Nie znajdziesz tu starych, brudnych kątów, zaułków. We wszystkich większych miastach tworzą się komitety, pracujące nad ich upiększeniem, nad budową parków i dogodnych pól na „baseball", „golf" i zabawy dla dzieci. Wszędzie tworzą się pod dyrekcją architektów i wykwalifikowanych inżynierów, t. zw. "Municipal Centers" — środowiska municypalne. W odpowiednio dogodnem miejscu grupują wszystkie gmachy rządowe lub miejskie. Taki objekt nieraz obejmuje kilka bloków. Gmachy budują w pewnym stylu, łączą je małemi parkami, klombami, ścieżkami. Tu i ówdzie rzucono greckie kolumny, tam znów widzisz pomnik bohatera lub pioniera. W Denver, w centrum miasta, nie wiem dlaczego, zbudowano pomnik cowboya na wierzgającym rumaku, a naprzeciw bardzo piękny pomnik Indjanina, czerwonoskórego jeźdźca z dzidą w ręce.

Na wzgórzu — Capitol Hill, wznosi się ratusz. Kopuła jest grubo pozłacana. Po obu stronach ulicy są inne gmachy rządowe. Trzeba pąmiętać, że tu się znajdują nietylko urzędy miejskie, ale także stanowe i federalne. Rząd Stanów Zjednoczonych posiada tu kilkanaście ważnych departamentów i zatrudnia w pracy biurowej jakie cztery tysiące osób. W Denver znajduje się także jedna z kilku mennic i znaczna część rządowych zapasów złota. Nowy ratusz cotylko wykończony, kosztuje pięć miljonów dolarów.

W muzeum stanowem, naprzeciw kapitolu, między innemi ciekawemi pamiątkami, są także ciężkie i dosyć prymitywne maszyny do bicia złotych monet. Tutejsi bankierzy swego czasu bili własne pieniądze. Nie używali do tego papieru jak to robią obecnie wszystkie państwa, ale posługiwali się tylko złotem bez jakichkolwiek innych domieszek. Tu w papierowe pieniądze się nie bawili. Nawet dolary były bite z metalu. Jeżeli się nie mylę to w Kalifornji, gdy panował ów słynny „gold rush" czyli okres poszukiwania za żółtym metalem, nawet drobną monetę jak 25 centów i pół dolarówki robiono ze szczerego złota.

Miasto całkiem słusznie szczyci się ze swych parków. W samem śródmieściu posiada ogromny park, zdobny w prześliczne greckie kolumny, bramy, pomniki, klomby kwiatów, sztuczne jeziora, place do zabaw, koncertów, jednem słowem znajdziesz wszystko, co potrzebne do rozrywki i uprzyjemnienia życia.

W jednej części założono zwierzyniec. Niedźwiedzie, lwy i inne rzekomo „drapieżne“ zwierzęta mają misternie z głazów porobione jamy, rzeczki, jeziorka. Widocznie, że projektodawca chciał, aby dzicy mieszkańcy gór i lasu czuli się tu „jak w domu“. Na małym stawie słyszysz kwakanie i gęganie stad dzikich kaczek, gęsi, białych i czarnych łabędzi. Jedne pływają po stawie, inne najspokojniej skubią trawę i najmniejszej nie zwracają uwagi na przechodniów, a przecież to wszystko napozór dzikie.

W Kalifornji do jednego z parków miejskich, w pewnych porach roku, przylatują tysiące dzikich kaczek i gęsi. Wiedzą dobrze, że tam są nietylko pod troskliwą opieką policji i urzędów miejskich, ale całej ludności. To nie są ptaki obłaskawione, ale zupełnie dzikie, które się tylko w przelocie z północy na południe i z południa na północ zatrzymują. Nawet dzikie ptactwo wie, gdzie dostanie kukurydzy, a gdzie poślą mu... nabój śrutu!

Denver rozpostarło się na szerokiej płaszczyźnie, u podnóża gór Skalistych. System parkowy nie ogranicza się tylko do obrębu samego miasta, ale obejmuje jakie sto mil terenów górskich. Wygodnym bulwarem ruszam z powrotem w góry Skaliste. Pierwszy z kolei park zawiera dziwne kształty czerwonego piaskowca.

Dla wygody wycieczkowiczów zbudowano stoły, pawilony, sklepiki z cukierkami i przekąskami, jednem słowem jest wszystko, co dla wygody, przyjemności i rozrywki uważają za potrzebne.

Posuwasz się w głąb gór wąskim, krętym parowem, wzdłuż szumiącej rzeczki. Przy niej partje wycieczkowiczów zatrzymały samochód i w cieniu zielonych sosen gotują obiad na specjalnie ku temu przygotowanych murowanych piecykach polowych. Dzieci pluskają się w rzeczce, a rybacy próbują szczęścia przy połowie pstrągów.

Godzinami jedziesz od jednego przestanku do drugiego. Masz do wyboru kilka lub kilkanaście kwater. Możesz się za-

trzymać w pobliżu miasta, a jeżeli masz czas i ochotę ku temu, za kilka godzin zapuścisz się nietylko w sam środek gór Skalistych, ale z łatwością dotrzesz doskonałą drogą do jednego z kilkunastu śnieżnych szczytów. Góra Evans jest przeszło czternaście tysięcy stóp wysoka i stosunkowo z łatwością można się na jej śnieżny wierzchołek wgramolić.

Nie chciałem się tam zbytnio zagłębiać w te przeguby, bo już mi się te górskie rozkosze przejadły, więc też zwiedziwszy Bear Creek kanjon, Evergreen i Red Rocks, wracam okrężną drogą ku miastu. Chciałem przytem zwiedzić muzeum i grób słynnego pioniera, cowboya skauta, strzelca, aktora — Buffalo Billa. Zmarł kilka lat temu i na własne życzenie pochowany jest na wysokiej górze Lookout Mountain. Sam sobie to miejsce wybrał i wątpię, czy mógł gdziekolwiek znaleść piękniejsze!

Zatrzymałem samochód w pobliżu dużego pawilonu i muzeum pamiątek, zebranych po tym niezwykłym pionierze. Czego tu nie zobaczysz? Jego fotografje, afisze, listy, siodła, pistolety, karabiny, noże. Na ścianie zauważyłem lufę zardzewiałą starego karabinu „Lucrecia Bori", widocznie tak nazwanym po słynnej trucicielce włoskiej. Według napisu umieszczonego przy tej „relikwji", z tego karabinu zastrzelił nasz Buffalo Bill przeszło cztery tysiące bawołów. Dokładnej liczby już nie pamiętam. Tuż obok także ciekawy a trochę barbarzyński okaz. Czarny warkocz wraz ze skórą z czaszki zerwany. To „skalp" wodza Indjan, którego w pojedynku zastrzelił i według zwyczaju skórę wraz z włosami z czaszki zerwał. Walka odbyła się konno w obecności Indjan i żołnierzy.

Tuż obok jest grób Buffalo Billa, otoczony niezbyt wysokiem ogrodzeniem. Pomnik wystawiono mu z małych polnych kamieni, a w nim wmurowano tablicę bronzową z napisem, że tam spoczywa William F. Cody, data urodzin i śmierci. Tuż obok jest pochowana jego żona. Grób ten jest magnesem ściągającym tysiące turystów. Zauważyłem bardzo ciekawy przesąd. Turyści, szczególnie dzieci, rzucały centy na grób naszego popularnego bohatera. To im ma przynieść szczęście! Zapewne stróż, co je zbierał, był może jedynym, który miał „szczęście" w zbieraniu drobnej monety.

Cóż tu za przecudny roztacza się widok! Patrząc ku zachodowi, masz przed sobą potężny łańcuch gór Skalistych, któ-

rych wierzchołki są pokryte śniegiem i lodami. Jesteśmy niedaleko samego „stosu pacierzowego“ tych kolosów. Dumne, śnieżne szczyty, ginące hen na widnokręgu, robią na widzu wrażenie piętrzących się bałwanów, podczas gwałtownej burzy na oceanie.

Jeżeli zaś obrócisz się ku wschodowi, masz zupełnie inny krajobraz. Tuż u podnóża góry szerokim kręgiem ściele się miasto Denver. Widzisz, jak na dłoni, większe gmachy, ulice, koleje, zieleń parków, strzelające w niebo wieże, wszystko atoli w jakichś miniaturowych rozmiarach.

Na prawo i na lewo, jak okiem lub lornetką sięgniesz, roztacza się przed tobą jednostajna równina, a właściwie płaskowzgórze, wznoszące się sześć tysięcy stóp ponad poziom morza. Cała równina upstrzona małemi miasteczkami, drogami, domami i zabudowaniami farmerów. Z jednej strony masz kulturę i piękno ręką ludzką zbudowane, a z drugiej majestat natury, zieleń lasów, szum górskich potoków i ogrom piętrzących się śnieżnych kolosów. Niby na majestatycznym tronie spoczywa Buffalo Bill, a jego duch unosi się ponad zaczarowanym krajem, który nieraz na piechotę i konno wzdłuż i wszerz przekroczył.

Długą, starannie utrzymaną serpentyną, zygzakującą w tę i w ową stronę, wracam do Denver. Żadne miasto pod słońcem nie posiada może takich scenerji, takich parków i takich rozmaitości, jak ten młodzik, który jeszcze długo czekać będzie na chwilę, gdy może zaśpiewać: „Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam“.

W zakresie szkolnictwa, Denver swego czasu zdobyło sobie międzynarodową renomę przez założenie t. zw. „Opportunity School“ — szkoła sposobności. W tej szkole, otwartej od wczesnego rana do późnej nocy, możesz poza zwykłem czytaniem, pisaniem i naukami elementarnemi, kształcić się fachowo. Chcesz być stolarzem, murarzem, szewcem, krawcem, elektrotechnikiem, mechanikiem, drukarzem lub jakimkolwiek fachowcem, zapisujesz się na kursa. Wybierasz sobie najdogodniejszą dla ciebie porę dnia, czy rano o siódmej, czy wieczorem o dziewiątej, nie robi to różnicy. Na jednej ławie przy młodym studencie zasiada stary robociaż, który pragnie także się w jakimś fachu wyszkolić lub wydoskonalić, a temsamem swój byt polepszyć. Kursa, o ile wiem, są bezpłatne, wstęp wolny dla każdego.

Szkoła ma ogromne powodzenie i cieszy się wielką popularnością. Całkiem słusznie. Stawiamy nietylko w Ameryce, ale wszędzie ogromne i luksusowe gmachy szkolne dla dzieci. Używamy ich zaledwo kilka godzin dziennie i to dla malców, którzy nie doceniają wartości nauki. Starsi, którzyby nieraz chętnie się czegoś nauczyli, nie mają ku temu sposobności. Denver właśnie dla nich taką szkołę utrzymuje. Wartoby się nad tą sprawą więcej zastanowić. Sądzę, ze w każdem większem mieście powinna się znajdować przynajmniej jedna szkoła dla ludzi starszych i dorosłych.

Mając kilka wolnych chwil, odszukałem w tej zachodniej metropolji polską parafję, w której duszpasterską pracę od wielu lat prowadzi bardzo zacny, a mój dawny znajomy, ks. Guziński. Trzeba było choć na godzinkę wpaść i stare znajomości odświeżyć. W Denver, jak mnie zapewnił ks. Guziński, cieszący się wielkiem poważaniem wśród tutejszego kleru, zamieszkuje około trzysta rodzin polskich. Przy wspólnej pracy zbudowali ładny, murowany kościółek, szkołę i plebanję. Jest to zdaje się jedyna polska parafja w Colorado.

Już tak dawno nie byłem w polskiej plebanji i nie rozmawiałem po polsku, że parę godzin w gościnnych progach starego znajomego upłynęło bardzo szybko. Chciał mnie jeszcze tu i ówdzie ze sobą zabrać i rozmaite rzeczy pokazać, ale czas naglił do dalszej drogi, więc też po krótkiej wizycie, którą zawsze mile wspominam, ruszyłem w dalszą drogę do Colorado Springs.

Siedmdziesiąt pięć mil na południe od Denver znajduje się słynne Colorado Springs. W toku mej rozmowy zapytałem się ks. Guzińskiego: „Co stanowi główną gałąź przemysłu lub handlu miasta Denver"?

— Suchoty — odpowiada tutejszy proboszcz.

— Gdyby ksiądz wyeliminował wszystkich suchotników i to co jest z leczeniem suchot połączone, miasto straciłoby połowę ludności.

Nawiasem mówiąc, nasz zacny duszpasterz także przybył w te okolice za zdrowiem, nadweręźonem przez ostry klimat Minnesoty. Nie tylko, że zdrowie odzyskał, ale jeszcze w dodatku parafję polską otrzymał.

Jeżeli w Denver suchoty w życiu ekonomicznem odgrywają ważną rolę, to w Colorado Springs stanowią główny przemysł

par excellance. Tu pełno szpitali i zakładów suchotniczych dla dzieci i ludzi starszych. Niektóre z wielkich organizacyj społecznych i unij robotniczych zbudowały na okolicznych wzgórzach wspaniałe szpitale i sanatorja, do których wysyłają swych członków na kurację.

Wysokie położenie, około sześć tysięcy stóp, łagodny klimat i dużo słońca uczyniło z Colorado Springs istną Mekkę dla cierpiących na gruźlicę. Ale i tu nie samem powietrzem żyje człowiek. W cierpieniach i dolegliwościach znajdują chorzy ulgę nie tylko w łagodnym klimacie i zdrowodajnych promieniach słońca, które niemal codziennie dobroczynne oblicze pokazuje, ale także w wielu innych cudach natury, które jak najkorzystniej na życie ludzkie oddziaływują.

Swem położeniem Colorado Springs przypomina cośkolwiek Zakopane. To ostatnie w porównaniu z tem uzdrowiskiem amerykańskiem jest jednak maleństwem. Może się teraz nieco wygalantowało, bo przecież to niemal jedyna górska osada, z której może bez wiz i zagranicznych podróży korzystać trzydziestomiljonowy naród polski.

Colorado Springs wywodzi nazwę od licznych źródeł leczniczych, znanych już dawno czerwonoskórym autochtonom. Według starych, indjańskich legent, Manitou, bóg indjański, dał im te dziwne mineralne wody i te nadzwyczajne cuda natury, aby w nich szukali zdrowia i siły.

Biorąc schludne trzydziestotysięczne miasteczko za główną kwaterę, można robić stąd bardzo ciekawe wycieczki.

Nasamprzód przedmieście Manitou, prócz ciekawych formacyj czerwonego piaskowca, gdzie widzisz przeróżne kształty skał, głazy zbalansowane, posiada także ogromną, a bardzo ciekawą i jeszcze w zupełności niezbadaną pieczarę, zwaną Cave of the Winds.

Może jeszcze więcej interesują inteligentniejszego turystę przeniesione i detalicznie odrestaurowane mieszkania przedhistorycznych mieszkańców Colorado.

Jak już wspomniałem, mieszkania budowali na niedostępnych skałach, aby się tem łatwiej bronić przed najeźdźcami. Domy przeważnie stawiano w kształcie czworoboków. Zamiast cegły używano do budowy kamienia, który mozolnie przy pomo-

cy narzędzi z krzemienia robionych obrabiano w czworoboki podobne do cegieł, tylko znacznie większe.

Wśród licznych zabytków tej przedhistorycznej wioski, którą kosztem kilku set tysięcy dolarów tu przeniesiono i odrestaurowano, znajdują się liczne okazy ceramiki. Naczynia do wody, przeróżne wazony, a na nich figury geometryczne, artystycznie malowane i cośkolwiek podobne do starych rzeźb i dekoracyj egipskich; taksamo wyroby tkackie doprowadzili do wielkiej doskonałości. Używali rozmaitych gatunków i kolorów wełny, tkali materjały, które nie ustępują w niczem obecnym wyrobom wiejskim, jakie spotykać można w niektórych częściach Polski.

Kilkanaście mil za miastem, wznosi się góra Pikes Peak. Służyła jako drogowskaz pierwszym pionierom, którzy przez stepy Arkansas wtenczas się pchali na zachód. Nazwę otrzymała od jednego z pierwszych tutejszych eksploatorów, porucznika Zebulona Pike — wymawia się — Pajk.

Rząd wysłał tego niezmordowanego pioniera, aby badał nowo nabyte tereny. Spotkaliśmy go przedtem w Minnesocie, niedaleko źródeł rzeki Mississippi, w okolicach miast St. Paul, Minneapolis i Little Falls. Następnie wysłano go na zachód. Dotarł w te okolice. Chciał się wdrapać na szczyt tej potężnej, ponad czternaście tysięcy stóp wysokiej góry, ale to mu się nie udało. Zawyrokował, że „żaden człowiek na nią się nie wydostanie". Czasy się zmieniły. Teraz możesz wspaniałą drogą samochodem za jakie dobre pół godziny wjechać na sam szczyt tego kolosa, noszącego nazwę odkrywcy. Zebulon Pike zginął w bitwie koło York w Kanadzie w roku 1813-ym.

W „Dzień pracy" — Labor Day, urządzają tu wyścigi samochodowe na szczyt góry. Zdaje się, że rekord wynosi około dwunastu czy piętnastu minut. Możesz na górę iśc piechotą, jechać samochodem, lub koleją górską, która cię tam bezpiecznie zawiezie. Na samym szczycie zbudowano wygodny lokal dla użytku turystów. Niektórzy tam kwaterują na noc, aby bawić oko przecudnem wschodem słońca.

Jest tu kilka górskich atrakcyj. Można się swobodnie wdrapać na gołe, częstokroć śniegiem pokryte szczyty nawet najpodlejszym samochodem. Drogi na Pike Peak i Cheyenne Mountain są cudami sztuki inżynierskiej. Każdy skręt, a tych tu pełno,

otwiera przed turystą coraz to inne i coraz to piękniejsze górskie panoramy.

Można stąd urządzić wycieczkę do Cripple Creek, gdzie od lat wielu kopią złoto, a stamtąd do Canyon City, aby w drodze podziwiać z najwyższego wiszącego mostu na świecie głęboki kanjon „Royal Gorge“ rzeki Arkansas, która się tu przedziera między dwiema prostopadłemi ścianami granitu. Patrząc z półmilowej wysokości na rwącą rzekę, myślisz, że to niewielki strumyk górski. Tuż nad jej brzegiem wije się cieniuteńka taśma kolei Denver and Rio Grand. Budowa tej kolei kosztowała więcej, aniżeli którakolwiek inna w Ameryce z powodu trudnego terenu górskiego i licznych tuneli.

Chcąc to wszystko należycie zobaczyć podziwiać, i ocenić, trzeba nie parę dni ale miesiące całe tu pozostać, aby poznać te cuda natury, te przedhistoryczne zabytki, te wspaniałe górskie krajobrazy, te drogi pnące się niby węże po szczytach i stokach górskich. Czas nagli, więc też mimo najszczerszej chęci dłuższego pobytu w tych zaczarowanych okolicach, ruszam w powrotną drogę — ku domowi.

Bulwarem, wysadzanym wysokiemi drzewami, opuszczam schludne miasto drogą rządową U. S. 40, która niby szary pas łączy Nowy Jork z miastem San Francisco i stanowi jedną z ważnych linij komunikacyjnych. Przed turystą rozpościera się ogromna szara płaszczyzna. Ponieważ Colorado Springs jest na wysokości sześciu tysięcy stóp, więc też odtąd stale, stopniowo będziemy się spuszczali w tę szeroką, a żyzną dolinę rzeki Mississipi.

Nic tu ciekawego nie zatrzymuje turysty. Krajobraz monotonny. Mijam małe miasteczka, a właściwie skromne wioski. W dolinach nad rzeczkami zrzadka napotykasz biedne zabudowania farmerów, trudniących się przeważnie chodowlą bydła. Widać, że albo klimat zbyt ostry, lub też ziemia nie bardzo urodzajna, gdyż kukurydza, którą miejscowi farmerzy uprawiają, jest marna, podczas gdy w innych częściach kraju jak w Iowie, Minnesocie, Illinois, w t. zw. „corn belt“ — pasie kukurydzy, pola wyglądają niby „echelony“ średniowiecznej kawalerji. Poszczególne tyki, jakie dwanaście i więcej stóp wysokości. Prócz kukurydzy coraz częściej napotykam pola trzciny cukrowej, używanej na paszę.

Rozdział VI.

KANSAS.

Na sto lat przed wylądowaniem Purytanów na skalnych brzegach Massachussetts, w obecnem historycznem miasteczku Plymouth, już po ogromnych równinach Kansasu uwijali się Hiszpanie, poszukując złota i łupów.

Ekspedycja pod wodzą Coronady wszerz i wzdłuż przekroczyła ten ogromny czworobok, przeszło czterysta mil długi, a dwieście szeroki. Obejmuje on ponad ośmdziesiąt tysięcy mil kwadratowych, z ludnością blisko dwóch miljonów. Jest to stan par excellance rolniczy.

Przeciętny zbiór pszenicy zimowej wynosi od stu do stu pięćdziesięciu miljonów buszli. Ziemiopłody tego ogromnego, równego pola, które pierwsi pionierzy nazwali pustynią, oceniają na przeszło czterysta miljonów dolarów rocznie.

Kansas jest jednym z większych producentów nafty w Stanach Zjednoczonych. Na pierwszem miejscu jest Texas, następnie Kalifornia, potem Oklahoma, a czwartym Kansas. Parę lat wstecz dobyto przeszło czterdzieści miljonów beczek ropy. Prócz tego znajdują się bogate pola gazu ziemnego, który rurami sprowadzają do większych miast, a nawet sąsiednich stanów. W produkcji, cynku, ołowiu i podobnych metali zajmuje drugie miejsce. Pozatem po całym stanie są rozrzucone rozmaite kruszce i minerały. W południowej części znajdują się ogromne pokłady soli, w północnej zaś jest gips, wapno, glina do wyrobów ceramicznych i cegieł.

Gospodarstwo mleczne, chodowla bydła, nierogacizny, owiec, w okrągłych liczbach przenosi parę set miljonów dolarów. Jeżeli się weźnie pod uwagę fakt, że posuchy i grady czasami wy-

rządzają ogromne szkody, trzeba oddać uznanie tym twardym pionierom, którzy tu swe ogniska założyli.

Ciężkie i trudne to były początki... Indjanie intruzów nieraz napadali, dobytek niszczyli a ich samych mordowali. Ponieważ to jest stan z drzewa niemal ogołocony, więc też nie było z czego budować domów. Pierwsze mieszkania — to ziemianki. Na małem wzgórzu wykopywano dół, z wyrzuconej ziemi robiono rodzaj grubych ścian, pokrywano to darniną, wstawiono kilka szyb, kominek, piecyk żelazny i już było mieszkanie gotowe. Nawet żołnierze podczas wojny gorszych nie mieli w okopach. Bydło w takich samych norach chodowano. Grunt był podatny na zboże więc też mimo ciężkich warunków i niewygód lud się tu garnął.

W małych miasteczkach i wioskach zato napotykałem wspaniałe kościoły i zabudowania parafjalne. Z czego sądzę, że tu się osiedliło dużo katolików, zdaje się Niemców i trochę Czechów. Polaków w Kansas niewielu; znam tylko jedną parafję w Kansas City, gdzie proboszczem od wielu lat jest ks. Jan Grudziński.

Ciekawa się tu rozwinęła organizacja o której warto mimochodem wspomnieć, gdyż możeby się w Polsce coś podobnego przydało.

W roku 1916-tym mały chłopczyna napisał do gubernatora Artura Capper list z prośbą, „aby mu pomógł kupić świnię". Gubernator pamiętając te lata gdy sam był biednym chłopcem, kupił petentowi młodego, rasowego prosiaka. Zgłosili się inni. Każdemu pożyczył potrzebnych pieniędzy na zakupno rasowego prosięcia. Gdy chłopcy wychowali świnie, oddawali pożyczkę, a sobie zachowali resztę. Tym sposobem rozwinęły się po całym stanie t. zw. „Kluby Cappera".

Początkowo ograniczano pożyczki do jednego prosięcia, później udzielano większych zapomóg. Kredyt rozciągnięto nietylko do nierogacizny, ale także do bydła i drobiu. Miało to bardzo dodatni wpływ na młodzież. Zachęcało do pracy, gdyż chłopak brał na siebie całą odpowiedzialność, starał się jak najlepszego prosiaka wychować i spieniężyć, aby dług oddać, swój kredyt z urzędem stanowym utrzymać, przytem na swoje potrzeby czy szkołę pieniądze zarobić. Ponadto po całym stanie zaczęto rozpowszechniać rasowe świnie, bydło i kury.

Stan żywo się tym eksperymentem zainteresował. Młodzież więcej się uczepiła rolnictwa i hodowli bydła, uczy się najnowszych i najlepszych systemów hodowli nierogacizny, bydła i wszelkiego domowego inwentarza, gdyż stan dostarcza bezpłatnie wszelkich informacyj i wskazówek.

W klubach kapperowskich nietylko, że chłopcy i dziewczęta uzyskują kredyt na zakupno rasowego prosięcia lub kurcząt, ale na jesień następują konkursy i popisy tych młodych, dorastających farmerów i farmerek. Na wystawach stanowych i powiatowych rozdają nagrody, wstążki, puhary, a tym, co najlepsze wychowali okazy, dają bilet na wystawę — wszechpańswową. Tam już mogą oglądać najlepsze okazy bydła w całym kraju t. zw. „American Royal Stock Show".

Są również bardzo piękne nagrody dla poszczególnych klubów za ich pracę klubową wśród młodych współtowarzyszy. Takie konkursy i nagrody ogromnie się przyczyniają do rozwoju nietylko charakteru, ale także do fachowego wykształcenia w dziedzinie agronomji, hodowli bydła i drobiu, zarazem przywiązują młodzież do tego kawałka ziemi, na którym ma byt zapewniony. Wartoby tę myśl rozwinąć w Polsce wśród młodzieży wiejskiej.

Rozpowszechnianie wiedzy i stosowanie najnowszych metod w hodowli drobiu, nierogacizny, bydła, prowadzenie gospodarstw mlecznych, uprawy roli, hodowli owoców jest w programie naukowym wszystkich stanów. Każdy stan posiada swe kolegja rolnicze, w których młodzież kształci się na agronomów. Kurs intensywny hodowli n. p. drobiu trwa zaledwo dziesięć tygodni. Zaczynają „ab ovo" od jajka, pokazują jak ma kurczęta wylęgiwać w sztucznych wylęgarniach, jak karmić, poznawać gatunek, zabijać, przygotowywać na rynek. Jednem słowem — całe curriculum gospodarki z drobiem przechodzi taki chłopak, zwykle po skończeniu szkoły wyższej — high school — w dziesięciu tygodniach. Jeżeli natomiast chce się gruntownie z agronomją i wszystkiemi jej gałęziami zapoznać, wtenczas, poza zwykłą high school, idzie na czteroletnie kursa do kolegjum, gdzie się uczy chemji, potrzebnej do rozpoznawania gatunków ziemi, biologji i wiedzy koniecznej do prowadzenia jakiegokolwiek działu na jakiem bądź gospodarstwie, czy to hodowli trzody chlewnej, czy drobiu, czy produkcji mleka, owoców lub warzyw.

Każdy farmer może listownie zwrócić się do kolegjum w swym stanie a nadeszlą mu bezpłatnie wszelkie biuletyny, informacje, a nawet przyszlą jednego z profesorów, aby jego trudności zbadał na miejscu i poradził, co czynić wypada. Studenci w tych zakładach poza książką mają także klasy na polu, ażeby każdą gałąź nauki przejść praktycznie. Taki dyplomowany farmer ma wiedzieć, jak sochę wziąść do ręki i jak krowę wydoić.

W kolegjach i zakładach wciąż pracują nad uszlachetnianiem rasy bydła, drobiu i wszelkiego domowego inwentarza. W niektórych gospodarstwach, poświęconych n. p. udoskonaleniu rasy bydła, wszystko jest tak czyściuteńko urządzone, że myślałbyś, iż wchodzisz do szpitala, a nie — do obory. Każą ci myć ręce mydłem, zarzucają na ciebie biały szlafrok, jakich używają chirurdzy, na nogi wkładają dezynfekowane buty i dopiero tak wygalantowany możesz wejść do obory i popatrzeć na krowę n. p. Daisy Queen, która jest szampionką w produkcji mleka lub śmietany.

Wyrecytują ci jej historję, wymienią rodowód ze szczegółową statystyką. „Synowie“ takiej krowy — to arystokracja bydlęca. Okolicznym farmerom za niewielką opłatą wypożyczają rasowych buhajów, aby ulepszyć rasę i wydajność mleka.

Widzicie, mili czytelnicy, czego się to nie robi w Ameryce dla poprawienia rasy bydła lub drobiu. Ale dla poprawienia rasy ludzkiej nic się nie czyni, chyba tylko, że od czasu do czasu dobudowują nowe skrzydło do więzienia, szpitala suchotników, albo stawiają jeszcze jeden więcej budynek do tak już i ogromnych i licznych zakładów dla — warjatów! Mógłbym dużo na ten temat napisać, tylko się obawiam, żeby mnie nie posądzili o jakąś herezję, a przytem możeby się maszyna drukarska rozleciała, gdyby takich kilka doraźnych faktów miała wybić i ludziom do głowy napędzić. Gdzieniegdzie podnoszą się głosy i ludzie myślący coraz głębiej się nad tą ważną, a drażliwą sprawą zastanawiają.

Nie można także zapomnieć, że Kansas wydało nam wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych w osobie p. Curtisa, w którego żyłach płynie krew indjańska. Drugą słynną osobistością, pochodzącą z tego stepowego stanu, była Carrie Nation, której agresywna kampanja przeciwko dawnym karczmom czyli salunom dała się niejednemu we znaki. Ta wojownicza baba kilka-

naście lat przed prohibicją z toporkiem w ręku napadała karczmy i rozbijała szyby, butelki, a jeżeli się przytrafiło to i łby karczmarzy. Kansas zawsze zaliczano do stanów suchych, może do jednego z najsuchszych; mówię tu o trunkowości, a nie o deszczu, choć i tego często brakuje.

Im więcej posuwam się na wschód, na coraz lepsze napotykam grunta i zabudowania farmerskie. Kukurydza bujniejsza, a liczne śpichrze przy kolei niemal w każdem miasteczku zbudowane, świadczą, że wjeżdżam w rejon pszeniczny. Hodują przeważnie oziminę czyli t. zw. „hard wheat“ — twardą pszenicę. Jeżeli się nie mylę, to tej właśnie pszenicy używają Włosi do wyrabiania makaronu i we wielkiej ilości ją od nas do Włoch importują.

Miasto Salina, do którego nad wieczorem dojeżdżam, jest metropolją dystryktu czyli obwodu pszenicznego. Tutejsze młyny mogą zemleć dziesięć tysięcy beczek mąki dziennie; a miejscowe śpichrze wraz z młynami mogą zamagazynować siedm miljonów buszli pszenicy. Prócz tego Salina jest ważnym węzłem kolejowym, samochodowym i aeroplanowym, gdyż tu się krzyżują główne linje ze wschodu na zachód i z północy na południe.

Pierwsi osadnicy przybyli w te okolice około roku 1858-go. Trzeba było walczyć o kawałek chleba z przyrodą, która nieraz rozmaite wytwarzała trudności. Posuchy, huragany i wichry rozrzucały dobytek farmera po całej okolicy. Prócz wojowniczych Indjan, trzeba się było także bronić przed ogromnemi stadami bawołów, które tysiącami włóczyły się po szerokich, trawą porosłych stepach. Mieszkańcy tego dziś pięknego miasteczka, dla obrony przed bawołami ogrodzili wioskę wysokim ostrokołem. Drzewo na budowę domów i warownych płotów zbierano przy brzegach rzeczki Smoky Hill.

Bawoły czyli bizony o tyle były niebezpieczne, że jeżeli ktoś je spłoszył, wtenczas jak huragan, w dzikim popłochu waliły naprzód, a wszystkich i wszystko, co napotkały w dzikim pędzie tratowały i niszczyły. Jeżeli przypadkowo taka fala przewaliła się przez małą osadę, nic z niej nie pozostało, tylko wióry. Pionierzy szczególnie cowboye, już zawczasu wiedzieli co się święci. Gdy słyszeli głuchy tentent tysięcznych nóg bawołów, pędzili naprzód co sił, aby tego strasznego ataku uniknąć, w którym i koń i jeździec stratowani byli na miazgę.

Gdy zbudowano pierwszą linję kolejową, Santa Fe — po hiszpańsku — Wiara św., podróżni z okien wagonów strzelali do stad pasących się bawołów.

Od Saliny do Kansas City i granicy stanu mam jeszcze sto ośmdziesiąt pięć mil. Stepowa monotonja się zmienia. Coraz częściej natrafiam dolinki, rzeczki, a przy nich zielone pasmo lasu. Coraz też większe miasteczka i liczniejsze śpichrze zbożowe aż nadto wymownie świadczą, że grunt lepszy, klimat łagodniejszy i rolnicy zamożniejsi.

Tuż za Junction City mijam ogromny obóz wojskowy Fort Riley. To główna kwatera kawalerji amerykańskiej. Przy drodze, a właściwie na samym środku drogi, zbudowano pomnik pierwszemu dowódcy i założycielowi placówki. Twierdzą, że w tym punkcie jest centrum geograficzne Stanów Zjednoczonych. W Dakocie Południowej przejeżdżałem mimo pomnika, oznaczającego środek północnego kontynentu, tu zaś, środek kraju.

W Nev York Times, jednej z największych a zarazem najlepszych gazet amerykańskich, znalazłem przypadkowo ciekawe zapiski z tej starej strażnicy wojskowej. Otóż rozkaz z d. 22-go października 1842-go roku podaje następujący regulamin: 1) Żołnierze tutejszej komendy, strzelając do bawołów na polu ćwiczeń się pasących, mają uważać, aby nie strzelali w kierunku kwatery oficerskiej. 2) Żołnierz, posiadający najlepiej wyćwiczonego konia, otrzyma w nagrodę — Baczność!! jedną beczkę wódki! Dosłownie — jedną beczkę „rye whiskey“ — żytniówki! Aż się wierzyć nie chce, żeby taką nagrodę dawano. Dziś, piszę jeszcze podczas prohibicji, taka nagroda byłaby warta setki dolarów. 3) Młodzi oficerzy zaprzestaną sportu rzucania lassem i jeżdżenia na bawołach. 4) Zwraca się wszystkim uwagę na paragraf Nr. 107, że oficerowie mają nosić brody! Teraz to nawet generał Perrshing brody nie nosi. Mój Boże! Jak się to czasy zmieniły! Żołnierz amerykański jest bez juży bawolej, bez bawołów, bez wąsów, a co najważniejsza — bez wódki!...

Może nie zawadzi mimochodem coś jeszcze wspomnieć o naszej wojskowości. Każda liszka swój ogon chwali. Ale nie mam tu na myśli wypisywania hymnów pochwalnych, ale raczej zanotowanie niektórych spostrzeżeń na temat wojskowości, a oficerów szczególnie.

Przeciętny turysta amerykański, przed wojną zarówno jak i teraz, niezbyt pochlebnie się wyraża o postępowaniu oficerów europejskich. Nietylko u Prusaków, ale także w innych krajach, a nawet nowopowstałych państwach, oficerzy i klasa wojskowa nieraz w zbyt jaskrawy sposób daje ludziom cywilnym odczuć swą butę i pcprostu jakąś dziwną zawadjackość. Chociaż osobiście napotykałem, szczególnie w Polsce, oficerów bardzo grzecznych — prawdziwych dżentelmenów.

Przedewszystkiem w Ameryce oficer nie chodzi ani z szablą, ani z rewolwerem, ani z jakimś krótkim kozikiem, nibyto bagnetem. Broń tylko przypasuje służbowo w obozie, a nigdy poza obozem. To, ażeby oficer amerykański wszedł do karczmy, groził komuś rewolwerem, rąbał pałaszem, lub też po pijanemu rozkazywał publiczności czy orkiestrze, aby śpiewała hymn narodowy, lub inną pieśń z nakazem powstania z krzeseł, jest w Ameryce nie do pomyślenia. Za taki postępek poszedłby do aresztu, ażby się za nim kurzyło. Zresztą Amerykanin nie rozumie, dlaczego żołnierz, a ewentualnie oficer ma chodzić po ulicy uzbrojony ze „spluwą“ w futerale lub szablą przy boku? Tylko policja nosi przepisowo rewolwery — bandyci zaś jeszcze dodatkowo — karabiny maszynowe!

Nie wiem, jakie pod tym względem obowiązują przepisy w Polsce. Wolę widzieć u oficera siłę moralną, aniżeli broń, godło siły fizycznej. To nadmieniam tylko mimochodem, jako uwagę, którą się często słyszy z ust turystów, którzy podróżowali w Europie, a nawet w Polsce, a z regulaminem wojskowym nie są dostatecznie obeznani.

Topeka, wymawia się — Topika, miasto, liczące ponad sześćdziesiąt pięć tysięcy mieszkańców, jest stolicą. Nazwę wywodzi od Indjan, co w narzeczu tubylców — tap-age — ma oznaczać dymiące wzgórze. Dolinę rzeki Kaw lub Kansas uważają za jedną z najżyźniejszych okolic, nietylko w stanie, ale i w kraju. Zresztą tyle razy spotykam się z przesadą, że trudno właściwie powiedzieć, który stan lub która część stanu jest najlepsza lub najbogatsza. W każdym razie w tej dolinie i dzielnicy północno-zachodniej Kansasu zbiór pszenicy wynosi około czterdzieści miljonów buszli, prócz tego pięćdziesiąt miljonów buszli kukurydzy, używanej przeważnie na paszę dla bydła i świń. Obliczają, że na farmach tej dzielnicy możnaby się doliczyć mi-

ljona sztuk bydła i tyle świń, to mówię oczywiście z wykluczeniem ludzi.

Urzędy stanowe, towarzystwa asekuracyjne, warsztaty kolejowe i bogata rolnicza okolica wielce się przyczyniły do rozwoju tej pięknej, nowoczesnej metropolji. Ponieważ nic ciekawszego nie podpada mi pod uwagę, ruszam w dalszą podróż, a to tem chętniej, że po dłuższej przerwie dostaję się na elegancką betonową drogę.

Między Saliną a Topeką mijam stary murowany dom. To pierwsza stolica stanu. Tuż obok znajdował się podczas wojny światowej ogromny obóz do świczenia rekrutów; zdaje się, był to Camb Funston. Nic już z obozu nie pozostało, miljony wydał rząd na budowę baraków, kolei, wodociągów i wszystkiego, czego taki sprzęt wojskowy wymaga. Wszystko zdemolowano, pozostało tylko — wspomnienie!...

Już nie całe sto mil dzieli mnie od największego miasta w stanie — Kansas City. Droga elegancka, krajobraz coraz to ciekawszy i piękniejszy, więc za parę godzin dojeżdżam do miasta i granicy, którą tworzy wartka, a mętna rzeka Missouri. Już kilkakrotnie ją przekroczyłem. Pierwszy raz w Południowej Dakocie, potem w Montanie a teraz niedaleko jej ujścia na granicy dwóch stanów — Kansas i Missouri.

Kilkanaście mil na północ jest miasteczko Fort Leavenworth, w którem znajduje się więzienie federalne. Tam już nie pojadę, chociaż drogowskazy i afisze przy drodze umieszczone zapraszają turystę. Ponieważ do tego więzienia posyłają poważniejszych przestępców, którzy z rządem zadarli, więc jako „błagonadjożny“ czy jak tam Moskale uczciwych i prawowiernych nazywali — bliższych znajomości z tym lokalem zawierać nie myślę. Przestępców politycznych, których należałoby karać więzieniem, mamy stosunkowo bardzo niewielu.

Kansas City powstało u zbiegu dwóch rzek Missouri i Kansas. Ponieważ był to punkt bardzo dogodny dla przemysłu i handlu, gdyż były pod ręką rozmaite surowce, a przedewszystkiem zboże i bydło, nic więc dziwnego, że z jednej i drugiej strony rzeki rozbudowało się olbrzymie miasto liczące blisko pół miljona mieszkańców. Oczywiście z jednej strony rzeki Missouri jest Kansas City, Kansas ponieważ miasto leży w stanie Kan-

sas a z drugiej strony jest ciąg dalszy miasta o tej samej nazwie tylko inny stan a więc Kansas City, Missouri.

„Welcome to Kansas City" — witaj do Kansas City. Na wstępie wita mię rzeczywiście nieprzyjemny smród olbrzymich rzezalń, które się na przedmieściu rozpostarły milami całemi. Po Chicago co do rzezalń, Kansas City jest na drugiem miejscu. Miljony stworzeń „niewinną" krew tu przelewa, aby mięsożerni ludzie mogli czem wypchać swe żywoty. Swift, Armour, Wilson, Cudahy, Fowler, biją rocznie około dziewięciu miljonów sztuk bydła. Towar rozsyłają po całym świecie.

Prócz rzezalń rozwinęły się inne gałęzie przemysłu z niemi spokrewnionego. A więc fabryki mydła, jak Colgate, Palmolive, Proctor i Gambel. Prawdopodobnie z tłuszczów i odpadków rzezalń wyrabiają wonne mydełka, dzięki czemu zachowujemy nietylko czystość, ale także nasz „school girl complexion" — szkolnej dziewczynki cerę. W mieleniu mąki miasto jest na trzeciem miejscu, z dzienną produkcją trzynastu tysięcy beczek. Chwalą się największym śpichrzem zbożowym na świecie, o pojemności jedenastu miljonów buszli, własność kolei Santa Fe. We wszystkich magazynach zbożowych możnaby w tem mieście przechować ponad dwadzieścia miljonów buszli zboża.

Nie długo będę się rozwodził nad tem środowiskiem przemysłu rzeźniczego, zbożowego, naftowego i mydłowego. Wystarczy wspomnieć, że Hiszpanie po tych kątach dawno się włóczyli, szukając miast „Quivira" obfitujących w złoto. Lewis i Clark, o których ekspedycji kilkakrotnie wspominałem, tu obozowali i przygotowywali się. Napewno nie marzyli nawet o tem, że na bagnistych brzegach mętnej rzeki w jednem stuleciu powstanie ta ogromna stepowa metropolja.

Starym mostem przeprawiam się na drugą stronę rzeki Missouri, już do innego stanu, i miasta, chociaż o tej samej nazwie.

Rozdział VII.

MISSOURI.

W jednym z parków w Kansas City znajduje się piękny pomnik z bronzu, przedstawiający indjańskiego jeźdźca na koniu. W lewej ręce trzyma łuk, a prawą przysłoniwszy oczy, z wytężeniem patrzy w dal... Gdyby ów „skout" indjański przed stu laty przybył na wzgórza, ciągnące się nad rzeką Missouri, zobaczyłby w dali małą chatkę „settlera" zbudowaną z okrąglaków, oblepioną gliną, a z kamiennego komina unosiłaby się blado-niebieska taśma dymu. To nowy osadnik, który się zabłąkał w te dzikie i nieznane strony. W dolinie nad rzeką zbudował mały, skromny domek. To pierwszy zwiastun nadciągającej białej inwazji. To nie pierwsza jaskółka wiosny, ale forpoczta białej rasy, z coraz to większą siłą, z coraz potężniejszym impetem posuwającej się ku zachodowi.

Wiele ciekawych, a dla siebie nie zrozumiałych rzeczy widziałby ten, w dal zapatrzony, Indjanin... Słyszałby języki sobie nieznane, twarze i zwyczaje obce! Jedni tu się zatrzymali. Inni w dużych, płótnem krytych wozach, zaprzągniętych w kilka jarzm wołów, po wypoczynku, szli dalej na zachód lub południe, zakładać swe ogniska i uprawiać żyzny, dziewiczy łan. Z takich to początków powstało olbrzymie stepowe miasto, Kansas City, Missouri, które ulicami, domami, drapaczami chmur, kościołami, fabrykami pokryło na kilkadziesiąt mil brzeg mętnej rzeki.

Śródmieście, zresztą jak niemal wszystkie miasta amerykańskie, pełne ogromnych magazynów, gmachów bankowych, biur i sklepów wszelkiego gatunku. Znajdziesz w niem wszystkie rasy, usłyszysz niemal wszystkie języki europejskie, a nawet dalekiego wschodu. Hen za miastem wśród łanów, lasów i rzeczek ciągną się w najrozmaitszych kombinacjach i stylach architektonicznych

dzielnice mieszkaniowe. Wszystkie z sobą połączone bulwarami, alejami drzew, klombami kwiatów i równemi taśmami cementowych dróg. Ludzie już się tem nie kontentują, że mają dach nad głową. Ich ambicją jest: posiadać wygodne mieszkanie, urządzone z wszelkim komfortem, z ogródkiem i garażem, w którym są na zawołanie właściciela przynajmniej dwa samochody, jeden dla niego, a drugi dla rodziny. Fabrykanci samochodów przed depresją rozpoczęli propagandę w tym kierunku, aby każdy miał conajmniej dwa samochody, a nawet trzy. Teraz ucichli i radzi są, jeżeli jeden sprzedadzą.

Pod koniec wojny światowej Kansas City urządziło zbiórkę, a jak tu mówią „drajw" na dwa miljony dolarów, aby upamiętnić pracę, poświęcenie i śmierć bohaterską wielu z jego obywateli — żołnierzy. W mig zebrano tę poważną kwotę pieniężną i zbudowano naprzeciwko stacji kolejowej oryginalny, a zarazem bardzo artystyczny pomnik. Jest to kolumna z granitowych bloków, ponad sto metrów wysokości. Na szczycie umieszczono w jej wnętrzu ogromne palenisko i tam pali się — „wieczny ogień" — to znicz nowoczesny. Po bokach owej kolumny, zaopatrzonej w piękne rzeźby, zbudowano w tym samym stylu dwa budynki na zabytki wojenne, spisy żołnierzy, jednem słowem, na wszystko, co z wojną miało jakąkolwiek styczność. Cały kompleks, otoczony trawnikami i kwiatami, nosi nazwę — Liberty Memorial.

Stacja kolejowa jest czwartą największą z rzędu w Stanach Zjednoczonych. Dwanaście linij kolejowych ma tu swą centralę, a przychodzi i odchodzi blisko dwieście pociągów pasażerskich dziennie.

Drapaczy chmur znajdziesz poddostatkiem. Mając tyle wolnego pola, nie wiem dlaczego tak się wszyscy w jedno miejsce wcisnęli. Widocznie dla wygody, aby mieć wszystkie biura i magazyny pod ręką. Fairfax Airport także się wyróżnia od innych pól lotniczych obszerniejszemi zabudowaniami. Lotnisko jest własnością miasta. Jak widać, wszystko planują i budują z wielkim rozmachem i artystycznym gustem.

Skąd Missouri pochodzi i co właściwie oznacza, nikt dokładnie powiedzieć nie może. Mówią, że to ma być indjańska nazwa, oznaczająca błotnistą rzekę. Stan obejmuje nie całe siedmdziesiąt tysięcy mil kwadratowych a posiada trzy i pół miljona mieszkańców.

Okolice, któremi prowadzi droga z Kansas City do St. Louis, są bardzo malownicze. Widać, że rolnictwo we wszystkich gałęziach jest wysoko postawione. Przedewszystkiem uderza turystę ogromna rozmaitość. W północno-zachodniej części napotykam wiele sadów owocowych, przeważnie jabłoni. Te znów są przeplatane farmami, oddanemi wyłącznie gospodarce mlecznej. Szerokie pastwiska i stada bydła, przeważnie holsztynek, świadczą, że rozumna gospodarka prowadzi do ogólnego dobrobytu. Chodowla koni i to rasowych, przedewszystkiem mułów, bardzo się rozwinęła. W tej branży Missouri jest na pierwszem miejscu. Muł jest to mieszaniec konia z osłem, bardzo wytrwały na niewygody, silny i wytrzymalszy od koni, nie wiele mądrzejszy od osła, a napewno mniej uparty od ludzi. Aby takiemu „misourskiemu" mułowi trafić do przekonania, trzeba mu skórę garbować potężną nahają, zwaną — „black snake" — czarn ażmija. Wśród plemienia ludzkiego znajduje się tu także wiele mułów i osłów, których smagaćby należało nahają.

Pszenica, kukurydza, alfalfa, owies, siano, stanowią najważniejsze ziemiopłody tej pięknej i urodzajnej połaci kraju. Coraz częściej napotykam lasy liściaste, co dalej na zachód należało do rzadkości. Tam gdzie rosną dęby, klony i buki zwykle jest dobra pszenna ziemia.

Nie brakuje także minerałów. Ołów i cynk znajdują się w wielkich ilościach. Prócz tego wydobywają kobalt, miedź, żelazo, węgiel, granit i wiele innych kruszców. Wszystkiego potrosze, a niczego zawiele.

Południowo-środkowa część stanu, bardzo malownicza, nosi nazwę Ozark. Kraj górzysty, poprzerzynany małemi rzeczkami, licznemi źródłami leczniczemi, otrzymał nazwę od pierwszych kolonistów francuskich. Jedni polowali — avec le longue fusil — czyli z długą strzelbą, inni, zapewne biedniejsi — aux arc — czyli łukiem i z tego wytrzaśli ozarks.

Elegancka droga z betonu wiedzie turystę przez piękne osady i dostatnie miasteczka. Boonville wywodzi swą nazwę od jednego z naszych słynnych pionierów i traperów, Daniela Boone, który przez dłuższy czas walczył z Indjanami w terytorjum Kentucky, a następnie przeniósł się dalej na zachód do obecnego Missouri. Wymawia się — „Myzury".

Columbia, znacznie większa od innych miast przydrożnych, jest środowiskiem wiedzy. Nietylko uniwersytet stanowy, ale kilka innych zakładów naukowych tu się rozbudowało. Gdyby gmachy szkolne i uniwersyteckie świadczyły o poziomie naukowym profesorów i studentów, Ameryka bez kwestji stałaby na pierwszem miejscu. Niestety tak nie jest.

Od Kansas City do St. Louis już nie całe dwieście mil, poprostu miła przejażdżka samochodem. Dzień pogodny, więc z przyjemnością i bez nadmiernego zmęczenia drogę odbyłem. Około czwartej po południu na widnokręgu roztoczyło kontury olbrzymie miasto St. Louis, położone u zbiegu rzeki Missouri i Mississipi.

Nad wieczorem 14-go lutego, 1764-go roku, po kilkudniowej uciążliwej podróży wylądowała nad brzegiem rzeki mała ekspedycja francuska. Trzeba było ciężkie skuty i łodzie popychać drągami, a nieraz z brzegu ciągnąć powrozem, aby sobie dać radę z silnym prądem rzeki.

Przez noc zatrzymali się owi pionierzy na swych domorodnych galerach, a rano niewielka gromada, składająca się zaledwo z trzydziestu osób „First Thirty“ zabrała się do pracy. Wkrótce można było słyszeć szczęk siekier, trzask walących się drzew i rozgłos mowy francuskiej. Według poprzednio zrobionego planu przez inżyniera Lacleda, rozpoczęto budowę nowej placówki, której nadano nazwę świątobliwego króla francuskiego Ludwika.

Rok przedtem inżynier Laclede w towarzystwie Augusta Chuteau przez kilka tygodni płynął w górę rzeki, szukając dogodnego miejsca na założenie nowej placówki francuskiej. Połączenie dwóch ogromnych rzek, centralne położenie w tym dziewiczym, wprost nikomu nie znanym kraju, dawało mu jakoby gwarancję, że tu kiedyś powstanie ogromne miasto. Własnoręcznie siekierą naznaczył kilkanaście drzew i powiedział towarzyszowi: „Przyjedziesz tu skoro się żegluga otworzy, i założysz osadę według planów, które ci wręczę. Tu może się rozwinąć jedno z najpiękniejszych miast w Ameryce, gdyż znajdują się nadzwyczaj dogodne warunki w samej miejscowości, bo leży niemal w środku geograficznym“.

Miał psi węch ów inżynier i dobrze trafił. Dzięki energicznej pracy pionierów i wrodzonej ich zapobiegliwości, wkrótce sta-

nęła z bierwion zbudowana prymitywna wioska. Wymierzono ulice, przy każdej „loksowej“ chacie wyznaczono kawałek gruntu na ogród warzywny; drzewa dostarczały opału, źródła, ewentualnie rzeka — wody i ryby, lasy okoliczne zwierzyny, więc też niemal od samego początku panował dostatek i rósł dobrobyt.

Za kilka lat nowa osada stała się ważnym punktem handlowym. Kilkadziesiąt okolicznych plemion zwoziło tu skóry dzikich zwierząt i bogate futra bobrów, wymieniając je na proch, kule i bezwartościowe świecidełka. Więc też stale szły transporty drogocennych skór do Nowego Orleanu, zbudowanego nad zatoką Meksykańską, przy ujściu rzeki Mississippi, a wzamian nadciągały tratwy i skuty naładowane płótnem, prochem, bronią i wszelkiemi towarami pierwszej potrzeby. Nawet nie warto wspominać, że ludność była katolicka i francuska. Ponieważ nikt w sąsiedztwie nie mieszkał, po kilkunastu latach wszyscy tak się spokrewnili i pokrzyżowali, że utworzyła się jakoby jedna olbrzymia rodzina francuska.

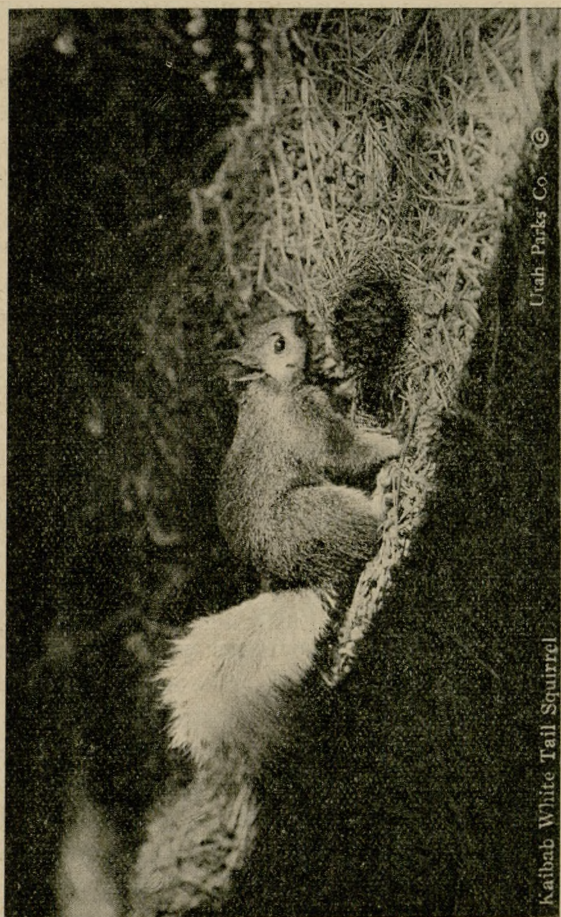
Pionierzy francuscy, o których już tylokrotnie wspominałem, z nieopisaną energją walczyli z trudnościami i śmiało kroczyli naprzód. Cały szereg miast na zachodzie ma za swych założycieli francuskich osadników z St. Louis. Rodzina Chouteau założyła miasto Kansas City, poprzednio wzmiankowane, Robidoux uważają za pierwszego mieszkańca miasta St. Joe — św. Józefa, na północ od St. Louis. Menard jest założycielem miasta Galveston w Teksasie i tak możnaby wymienić litanję całą pionierów i nazw, jakie się po nich po dziśdzień przechowały.

Podróżując w Minnesocie, kilkakrotnie przekraczałem rzekę Mississippi. Jako student w seminarjum lata całe spędziłem nad jej brzegiem w St. Paul. Hen w Grand Rapids, Minn., byłem niemal u jej źródeł. Wypływa z jeziora Itasca w północnej części stanu. Dzieli cały kraj na dwie olbrzymie połowy, z dopływami, zdaje się, tworzy największy system rzeczny na kuli ziemskiej. Ileż to ciekawych rzeczy możnaby napisać o tej „Missi-Sebe“ co w narzeczu indjańskiem ma oznaczać — ojca rzek.

Hiszpan Fernando de Soto, dowiedziawszy się od czerwonoskórych tubylców o jakiejś potężnej rzece — przez nich ojcem rzek zwanej, parł przez odwieczne lasy i bagna, aby do jej brzegów się dostać. On ją odkrył, przy jej brzegu umarł i w jej nurtach został pochowany. To jest jego pomnik. Zresztą, idąc ze

wschodu na zachód, czy też w przeciwnym kierunku, musiał ją natrafić, a w tych okolicach jest przeszło milę szeroka, więc nie mógł jej przeskoczyć.

To mi przypomina ciekawą historję o pewnym podróżniku angielskim, który pragnął zwiedzić miasto Nowy Jork, gdyż



Wiewiórka z białym ogonem — Kaibab las.

dużo słyszał o tej ciekawej „mieścinie". Gdy już obejrzał wszystkie drapacze chmur i ważniejsze zabytki, przyjaciele proponowali, aby także zobaczył wodospad Niagarę, tembardziej, że to jest w tym samym stanie.

Rychło rano wsiada na pospieszny pociąg i jedzie cały dzień

aż dopiero wieczorem dostał się do Buffalo. Stąd już było niedaleko. Kilkadziesiąt mil i stanęli nad huczącą przepaścią rzeki Niagary, która jeszcze po dziś dzień jest Mekką wszystkich nowozaślubionych parek i dlatego czuć ją perfumami i gazoliną. Kiedyśmy już tak daleko, powiadają przyjaciele, wartoby zobaczyć Detroit, miasto samochodów. A daleko to stąd — pyta ów Anglik? Niedaleko, zaledwo kilka set mil. Znów jadą cały dzień i nad wieczorem wysiadają w mieście Forda.

Proponują mu jeszcze dalszą wycieczkę — do Chicago, stolicy rzezalń i wielu innych ciekawych zabytków. Słyszał coś o Chicago, więc się zgodził, ale znów pyta, czy to niezbyt długa podróż? Zaraz tu blisko, zaledwo parę set mil, ot tylko nie cały dzień jazdy. Więc walą dalej. Już go to porządnie zmęczyło. Gdy mu w dodatku zaproponowali wizytę do St. Louis, już nie miał wielkiej ochoty. Ale, że to w pobliżu, więc się zgodził.

Za każdym razem co pociąg stanął, zabiera walizy i chce wysiadać z wagonu. Gdy mu konduktor zwrócił uwagę, że to trzeba jechać jakie ośm godzin, rozgniewał się bardzo i nareszcie powiada;

— Kto u djabła odkrył Amerykę?

— Kolumb, odpowiadają towarzysze.

— Hm, mruknął Anglik. Ciekaw jestem, jakby on mógł ją ominąć i w nią nie trafić...

Ale wróćmy na chwilę do naszej ukochanej, a tak we wielu miejscach malowniczej rzeki Mississippi. Księża Jezuici, Marquette i Hennepin, dotarli do jej brzegów wraz z Lasallem i Joliettem. Marquette płynął jej korytem setki mil w tej nadzieji, że dotrze do morza. Hennepin zaś pracował wśród Indjan w obecnej Minnesocie, przy wodospadzie św. Antoniego, gdzie rozbudowały się ludne miasta St. Paul i Minneapolis.

To była przez dziesiątki lat główna arterja przemysłu i handlu. Ze swymi dopływami, jak Ohio i Missouri, jest spławna na tysiące mil. Od wieków po jej szerokich wodach sunęły lekkie, z kory brzozowej robione kajaki Indjan zwane — canoes. Za niemi wlokły się ciężkie ale zato pakowne „bateaux" francuskich pionierów. W roku 1811-ym ukazały się na rzece pierwsze parowce, ogromnie ułatwiając i przyspieszając komunikację wodną.

Wytworzył się nawet odrębny typ okrętu. Ponieważ rzeka jest szeroka, ale niezbyt głęboka, a szczególnie brzegi są płyt-

kie i piasczyste, więc też okręty rzeczne są podobne do jakichś olbrzymich łabędzi. Szerokie bardzo, ale ze stosunkowo małem zagłębieniem w wodzie. Zato były parę piątr wysokie.

Zamiast śruby, używanej przy wszystkich okrętach na głębszych wodach, były zaopatrzone w dwa potężne, kilka stóp szerokie, a kilkadziesiąt stóp wysokie koła, umieszczone po bokach lub z tyłu okrętu. Te potężne śmigi, zanurzając się we wodzie, popychały okręt naprzód. Zależnie od konstrukcji kół nazywano te okręty albo „side wheelers" albo też „stern wheelers" czyli o kołach z boku lub z tyłu.

Zanim nadszedł nowy środek komunikacyjny — kolej żelażna, linje okrętowe nadzwyczaj dobrze prosperowały.

Często powstawała między niemi silna konkurencja. Rozchodziło się oczywiście o szybkość. Na takie wyścigi okrętowe wydawano tysiące dolarów. Ponieważ to jeszcze były początki siły parowej, więc kotły i tłoki nie zawsze były dość silne, aby wytrzymać ogromne ciśnienie pary. Wentyle bezpieczeństwa zakręcano, a nieraz murzynka, niby małpę, na rączce wentyla zawieszano, aby utrzymać jak największe ciśnienie pary, a temsamem przyspieszyć obrót potężnych kół. Jeżeli przebrano miarę, w takim razie następowała eksplozja i cały okręt wylatywał w powietrze.

W połowie zeszłego stulecia żegluga na rzece Mississippi doszła do zenitu. St. Louis było jednym z największych punktów, jednym z głównych portów. Oczywiście ułatwienia portowe były bardzo skromne. Okręt zbliżył się na kilkadziesiąt stóp od brzegu; przymocowywano go do słupów, zarzucano kilkanaście bali, rodzaj platformy, po której zeszli pasażerowie i staczano beczki i pudła z towarami. Czasami całe rzędy okrętów stały jeden obok drugiego połączone pomostkami. Towar przewożono na taczkach z okrętu na okręt, niby szerokim pomostem, aż dopchał się taki czarny „traeger" do szopy i składu magazynowego. Murzyni przeważnie trudnili się wyładowywaniem okrętów.

Bogatą, a bardzo ciekawą posiadamy literaturę z tych czasów. Ambicją każdego chłopaka było zostać kapitanem okrętu, szczególnie jego pilotem. Rzeka wciąż zmieniała łożysko i trzeba było dobrego pilota, aby nie ugrzązł na piaszczystej lawinie.

Jeden z naszych najsłynniejszych pisarzy - humorystów, Mark Twain, rozpoczął swą nieśmiertelną karjerę życiową jako

pilot na rzece Missouri. Nazywał się właściwie Samuel Clemens, a zasłynął jako pisarz pod pseudonimem — Mark Twain. Wziął to z terminologji okrętowej. „Mark twain“ — oznaczało podwójną głębokość. Przy sondowaniu koryta rzeki, a trzeba to było wciąż czynić, bo tylko Noe, admirał floty żydowskiej, potrafił okrętami po górze Ararat pływać, bardzo często dawała się słyszeć komenda dla kartografa rzecznego, gdy błębokość była na dwanaście stóp czyli na dwa „fatomy“ — naznacz dwa — „mark twain“.

Zdradliwa, niby kobieta, rzeka Mississippi, ze swą towarzyszką Missouri dziwne płatały figle. Dziś płynęła tuż przy domu, jutro dla jakiejś niezrozumiałej przyczyny, ot dla zwykłej kobiecej chimery, popłynęła sobie o kilkadziesiąt, może kilka set stóp dalej, a twój brzeg i ogród zasypała piaskiem i mułem. Gdy się jej coś znów przytrafiło, to ci podmyła dom i tak z wielkiej miłości zabrała cały dobytek.

Tak było z miastem St. Louis. Zaczęła mu pokazywać rozmaite fiki — miki. Dopiero inżynier i oficer szkoły wojskowej, Robert E. Lee, zabrał się do niej, a przez budowanie kamiennych moli i nasypów, brzegi uregulował i rzekę do stałego koryta przykuł i odtąd pod tym względem dobrze się sprawuje. Spotkamy się jeszcze z tym kapitanem, gdyż w walce bratobójczej, która pochłonęła miljon żyć ludzkich, on został głównodowodzącym armji Stanów Południowych i przeszedł do historji, jako jeden z jej najzdolniejszych generałów.

Mieszkał tu także inny ciekawy typ. Był również jak tamten, abiturjentem szkoły kadetów z West Point, założonej przez naszego — Tadeusza Kościuszkę, Uljisses S. Grant. Krótko przed wojną domową biedę klepał, jak każdy pionier. Mieszkał w małej „loksowej“ chałupince, pracował, zdaje się, w garbarni i trudnił się dostawą drzewa na opał. Bieda aż piszczała. Wynaleźli go podczas wojny, zaciągnęli w szeregi i ten napozór dziadujący farmer stanął twarzą w twarz z Robertem Lee.

Grant szybko awansował. Zdobył Vicsburg, stoczył kilkanaście zwycięskich bitew w okolicach rzeki Misissippi, w Illinois i w krótkim czasie wypłynął na czoło armji. On właśnie zgniótł po czteroletniej walce rebelję, a generał Lee w jego ręce złożył broń na polach Appomatox w West Virginji. Ale o tem potem.

Podczas bratobójczej wojny domowej St. Louis i cały stan były terenem walki i poniosły olbrzymie szkody. Ludność w swych zapatrywaniach się podzieliła. Jedni, trudniący się niewolnictwem, sympatyzowali ze stanami południowemi, inni zaś byli za unją. Jedni stanęli w szeregach rebeljantów, inni znów zaciągnęli się pod sztandary Lincolna. Powieść Winstona Churchilla „Crisis“ bardzo pięknie ten okres bratobójczej walki przedstawia.

Po dziś dzień zachowano stary ratusz, pod którego filarami sprzedawano niewolników. Plantatorzy kupowali niewolników, niby bydło pociągowe, i w ten sposób się też z nimi nieraz obchodzili. Częstokroć czarniuchy wielce się do swych białych panów przywiązywały i doznawały od nich nawzajem szacunku i zaufania.

W starych szpargałach i gazetach można było czytać ogłoszenia, „że temu lub owemu plantatorowi uciekł murzyn, lat dwadzieścia, bez jednego zęba, lub z brodawką na nosie. Za pochwycenie i odstawienie go właścicielowi otrzyma oddawca pięć dolarów nagrody“. Niby za muła lub wołu. Minęła niewola, ale zostali murzyni, w dodatku wleźliśmy w większą, straszniejszą niewolę kapitału i maszyn, które zamiast nam służyć i życie wygodami i dostatkami wymościć, rzuciły tłumy bezrobotnych na ulicę i na pastwę losu.

Ale wróćmy do tego nowoczesnego kolosa przemysłu i handlu, opasującego żelaznemi splotami fabryk, ulic, bulwarów, domów i potężnych a pięknych gmachów oba brzegi rzeki Mississippi i Missouri.

To największa metropolja doliny Mississippi, od jej źródeł aż do jej kilkunastu ujść zwanych — deltą. Tu się kończyła sztafeta — Pony Express, dotąd dotarły pierwsze koleje, zatrzymując się na czas dłuższy, zanim swe stalowe języki rzuciły przez dziewicze stepy i prześwidrowały tunelami odwieczne skały.

Niedziela. Więc też po załatwieniu spraw duchowych ruszam do parku, jednego z największych w Ameryce, obejmującego tysiąc czterysta akrów, aby wiele ciekawych szczegółów zobaczyć.

Cały pagórkowaty kawał ziemi, zdobny licznemi jeziorkami, stawami, fontannami, drogami i ścieżkami, jest jakoby ze wszech stron otoczony murem bogatych rezydencyj i wspaniałych gmachów uniwersyteckich.

Czego tu nie zobaczysz?... Trzebaby tygodnie całe obozować, aby wszystko, co jest nagromadzone, należycie poznać i podziwiać. Tylko pobieżnie możemy się z naszym opisem zatrzymać, aby chociaż o najważniejszych atrakcjach cośkolwiek wspomnieć w nadziei, że to niejednego tu ściągnie.

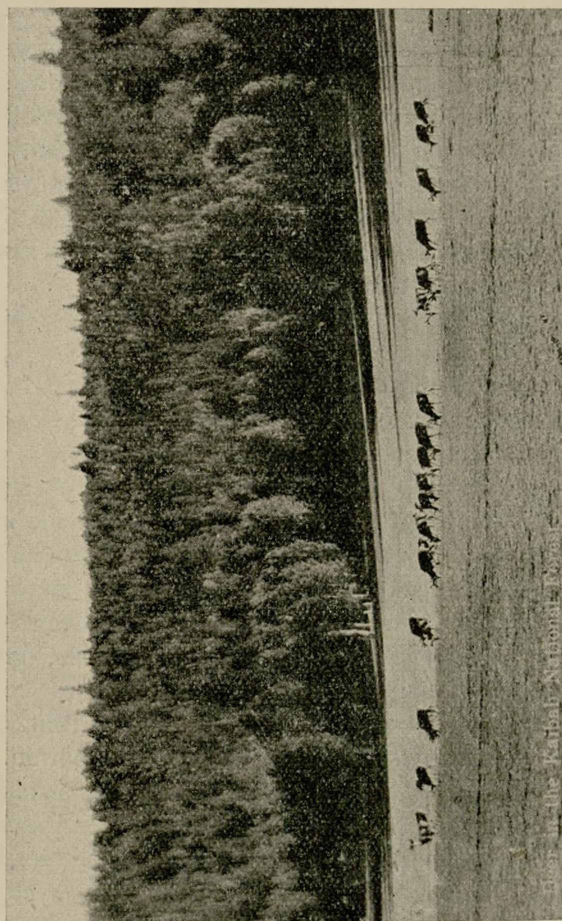
Przy jednym z głównych wjazdów w stylu greckim, zbudowano z siwego ciosu muzeum Jeffersona. Należy pamiętać o tem, że za tego właśnie prezydenta wykupiono ten „kawałek" kraju od Napoleona „for a song" — za piosenkę. Chociaż nabyto go po bardzo „niskiej" cenie, Napoleon jednak nie był naiwny. Wolał to sprzedać za byle co, gdyż Anglicy, będąc naówczas panami morza, zabraliby to zadarmo. Oddając kraj zabezcen, żył w nadziei, że może Ameryka kiedyś zbuduje flotę, która Anglji podoła. W tem się bardzo nie mylił.

W muzeum Jeffersońskiem przeciętnego turystę przedewszystkiem interesują pamiątki naszego najsłynniejszego lotnika, pułkownika Chas. Lindbergha. Cała przestronna sala jest temi podarkami zapełniona. Od małych, dziecięcemi rączętami z deszczułki zrobionych aeroplanów do drogocennych wazonów, złotem i brylantami błyszczących arcydzieł sztuki złotniczej — wszystko tu znajdziesz. U wejścia na ścianie zauważyłem bardzo udatny portret Lindbergha zrobiony z drzewa różnokolorowego. Tę pamiąteczkę ofiarowała mu — Polska. W porządeczku.

Ile tam zegarków, pierścieni, łańcuchów, bižuterji, serwisów srebrnych, pozłacanych, drogocennych szabli, rewolwerów, broni, ile koronek, płócien, map, globów, w srebrze rytych napisów i obrazów — tego wyliczyć niepodobna. Cały świat obsypał go darami. Widać, że ludziom jeszcze imponuje szalona odwaga, duch bohaterów — Vikingów, których krew płynie w żyłach naszego lotnika. Szafy, stoły są poprostu zawalone drogocennemi pamiątkami. Dała sporo Europa, posypał się deszcz orderów, dała swe dzieła Japonja, rzuciły zwoje najdelikatniejszych jedwabiów i haftów Chiny, sypnęli złotem i srebrem Meksykanie i kraje Ameryki południowej, gdyż stał się bohaterem i ulubieńcem — świata.

A jednak temu Lindberghowi, który w St. Louis był do niedawna zwykłym listonoszem powietrznym, z przydomkiem „slin" — wysmukły, bandyci zabrali najdroższy skarb, wydarli mu młode orlątko z rodzinnego gniazda!...

W muzeum również znajdziesz zapiski, dokumenty, mapy i inne pamiątki z ekspedycji Lewisa i Clarka, a między niemi może jedyny w swym rodzaju list kredytowy rządu Stanów Zjednoczonych, wydany dowódcom na nieograniczoną sumę.



Las i stado saren w Kaibab.

W tem ciekawem muzeum zobaczysz także olbrzymie sanki, których używał admirał Perry w wyprawie do bieguna północnego. W St. Louis wyekwipował swą ekspedycję do bieguna i on pierwszy tam zatknął sztandar gwiaździsty. Od tego czasu już tylu Amerykanów piechotą, saniami i aeroplanami tam dotarło,

że podobno na obu biegunach mają postawić sygnały elektryczne i policjanta, aby regulował trafiką...

Obszerne muzeum sztuk pięknych zawiera okazy i oryginały najsłynniejszych malarzy na kuli ziemskiej i jest uznane za jedną z czterech najpiękniejszych galeryj sztuk pięknych w Stanach Zjednoczonych.

Obszerny zwierzyniec, podzielony na kilka większych działów, zawiera okazy nojrozmaitszych zwierząt, ptaków, gadów, z całej kuli ziemskiej zebranych. Tu masz gromadę bawołów, tam w sztucznie urządzonych ogrodzeniach, z jamami misternie wśród zarośli ukrytemi, bawią się niedźwiedzie. Opodal pasą się przeróżnego gatunku kozy i sarny sprowadzone z Afryki, Japonji, Australji i gór Himalajskich. Każdy zakątek kuli ziemskiej ma tu czworonożnych przedstawicieli.

W innej części zwierzyńca, w klatkach oglądasz pierwszorzędne okazy zwierząt drapieżnych jak lwy, tygrysy, pantery, jaguary, jednem słowem, dzicz w całem tego słowa znaczeniu.

Podziwiałem piękny okaz afrykańskiej lwicy, bawiącej się dwoma młodemi lwiątkami. Ponieważ to niedziela, a przecież każdy stara się o to, aby rodzeństwo przy dniu świątecznym jak najlepiej wygalantować, żeby goście i sąsiedzi nie krytykowali, jak się to u ludzi zwykle zdarza, więc i nasza wspaniała królowa afrykańskich dżungli zajęta była toaletą swych „dzieciaków“. Widać, że bardzo była dumna z tych malców. Kobiety do należytego wypucowania dzieci używają mydła, grzebieni, ręczników, pomadek, pudrów. Lwica uważa to za zbyteczne i wprost niepotrzebne. Potężnym jęzorem umyje twarz smarkacza, co sobie jeszcze nosa do szyku utrzeć nie potrafi, potem przejedzie się po całej skórze, nareszcie zakończy staranną toaletę tam hen na drugim końcu, o którym się w uczciwych książkach dosadnie nie... pisze... Ale to zapewne należy do dobrego wychowania i pielęgnowania młodych afrykańskich arystokratów. Spokojna, silna, a dumna była owa lwica.

Krokodyle, jaszczurki, żółwie i wszelkiego rodzaju płazy i gady wodne mają własny staw pokryty tropikalną roślinnością, gdzie możesz dowolnie ich życie i ruchy obserwować z poza żelaznych sztachet.

W osobnych zabudowaniach za szkłem i zaopatrzonych w żelazne poręcze mieszczą się najrozmaitsze okazy wężów. Je-

dne cieniutkie a okrągłe, zielonego koloru, niby małe powrózki, zwieszają się z gałęzi, w następnej klatce na piasku leżą w kłąbkach kraciate, szare, ciemne, pstrokate grzechotniki. Tuż opodal o kolorze miedzi, trujące — „copper heads". W innym przedziale niby liny okrętowe, zwinięte wygrzewają się z południowej Afryki sprowadzone boa konstryktory — dusiciele — które w stalowych uściskach mogą zgnieść człowieka, a nawet siłacza — tygrysa.

Walkę tygrysa z boą pokazywali we filmie „Bring them back alive". Anglik który zrobił zdjęcia w dżungli azjatyckiej naumyślnie napędził tygrysa do tego węża konstryktora, aby zobaczyć, co z tego będą za wyniki. Gdyby poprzednio wąż się nie zmęczył walką z krokodylem, któremu kręgi połamał, napewno zadusiłby tygrysa, który ledwo się z tych śmiertelnych splotów uwolnił.

Zawsze mnie ciekawi najbardziej trujący wąż na świecie, a jest nim — okularnik czyli cobra. Tych kober jest kilka gatunków — król kobra jest jednak najniebezpieczniejszy i tysiące ludzi ginie od jego ukąszeń. Fer de lance, to drugi nieprzyjaciel z południowej Ameryki. Za parę minut po ukąszeniu cały stężejesz jak drewno i po tobie. Nie brakuje też wielu innych trujących okazów. Najniebezpieczniejszy jednak jest okularnik. Ten się nie boi i szybko pełza za ofiarą, aż ją dopędzi i uśmierci. W Indjach uważają go za bóstwo, wrażliwy jest na tony piszczałki i posługują się nim hinduscy fakirzy. Czytałem w Geographic Magazine, że na wyspach malajskich plemiona tubylców trudnią się połowem tych niebezpiecznych gadów. We krwi od dziesiątek pokoleń mają odporność na jad tych śmiercionośnych żmij. Truciznę im wybierają i odsyłają do Włoch, gdzie zaprawiają nią sztyleciki i tym podobne zabawki do rozprawy z nieprzyjaciółmi.

W największej klatce na kuli ziemskiej podziwiać możesz przeróżne gatunki dzikiego ptactwa. Co tu za kształty, kolory, barwy, głosy, śpiewy, tego już opisać nie mogę. Nieco dalej znów cały oddział dla najrozmaitszych gatunków papug. Jedne widać specjalnie tresowane pokazują ciekawe sztuczki, inne wrzeszczą, inne klną, a inne to sobie tak gadają jak ludzie.

Jeden z naszych, gdy usłyszał taką tresowaną papugę, nisko się jej skłonił i „pedzioł; przeprosom pana, myślołem ze pon ptok".

W parku mieści się pod gołem niebem wspaniały amfiteatr. W porze letniej dziesięć tysięcy ludzi znajduje wygodne pomieszczenie, a scena, okolona rosochatemi drzewami, z łatwością pomieści kilkuset śpiewaków lub aktorów. W letniej porze najsłyniejsze gwiazdy operowe tu występują. Ceny są przystępne, więc też amfiteatr zapełniony ludźmi. Dlatego miasto nietylko że pokrywa koszta przedstawień, koncertów i oper, ale nadto ma poważne zyski, których używa na rozbudowę i upiększenie parku. Cały amfiteatr otoczony kolumnami i pergolami, myślałbyś, że się znajdujesz na Olimpie, a nie w St. Louis. Kto raz był na takiem widowisku, koncercie lub operze, tego miłego wrażenia nigdy nie zapomni.

Stary szlachcic, opisując sąsiadom armatę powiedział, że „to jest dziura oblana żelazem". O St. Louis powiadają, że „to jest miasto otoczone Stanami Zjednoczonemi". Tutejszy Union Station, doniedawna uważano za największą stację kolejową w Ameryce. Trzydzieści tysięcy podróżnych dążących we wszystkich kierunkach przelewa się przez nią dziennie. Przez noc w pulmanowskim wagonie możesz wygodnie zajechać do największych miast w czternastu okolicznych stanach. Za dwadzieścia cztery godziny jesteś przy oceanie Atlantyckim a za czterdzieści ośm lądujesz nad oceanem Spokojnym.

Amerykańscy filantropi, którzy z biedaków w przeciągu kilkudziesięciu lat przeistoczyli się w krezusów i miljonerów, lubią po sobie zostawiać jako pamiątkę „in perpetuam vitae ejus memoriam" najrozmaitsze zakłady, kolegja, uniwersytety, muzea, bibljoteki, kaplice, kościoły i szpitale. Niemasz prawie jednego większego miasta, aby nie posiadało kilku lub kilkunastu takich filantropów. Przyznać trzeba, że ładny to sposób dzielenia się ze społeczeństwem, per fas et nefas, nagromadzonemi miljonami.

W roku 1860-tym Henryk Shaw, tutejszy filantrop, założył bogate ogrody i na ich utrzymanie i dalszy rozwój wyasygnował bardzo poważne fundusze. Shaw Gardens — ogrody Shawa, po słynnych angielskich Kew Gardens uważają za najpiękniejsze na kuli ziemskiej. Ogród ten obejmuje jakie siedmdziesiąt pięć akrów. Znajdziesz w nim klomby najrozmaitszych róż, goździków, piwonij, tulipanów, jednem słowem możnaby wypisać całą litanję kwiatów. Wszystko w najrozmaitszych gatunkach, barwach i zapachach.

W ogromnych oszklonych oranżerjach napotykasz najrzadsze gatunki kwiatów i roślin z całej kuli ziemskiej zebrane. Miłośnicy tej gałęzi wiedzy ludzkiej, nietylko że tu znajdą najciekawsze okazy, ale mają zarazem pod ręką najbogatszą bibljotekę świata dotyczącą wszelkiej roślinności i kwiatów. Prócz bogatej literatury i herbarzy urządzono bogate szkółki i sale doświadczalne. Mają tu całe pola do prowadzenia doświadczeń, do wytwarzania nowych gatunków w bogatej dziedzinie roślinności. Część tej ciekawej instytucji ma swe pola i okazy aż hen nad cieśniną panamską, w których hodują tylko rośliny tropikalne.

Do najpiękniejszych w kraju zaliczają tutejsze wystawy chryzantem i storczyków. Twierdzą, że znajduje się w tych ogrodach około jedenastu tysięcy roślin, zebranych ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej. Chociaż Shaw już dawno umarł, duch jego i praca służyć będzie pokoleniom w tej ciekawej, a pięknej gałęzi.

W St. Louis od wielu lat zamieszkuje stara i jak na nasze stosunki dosyć liczna i zamożna Polonja. Kilka kościołów murowanych, szkół obszernych, domów narodowych, sklepów a nawet fabryczek świadczą, że stare „Poznanioki" nie próżnowały. Teraz oczywiście wszędzie nasze życie narodowe przycichło. Starzy wymierają, a młodzi się — amerykanizują.

Opuszczając miasto, mijam ogromny komplet zabudowań fabrycznych wysokim murem otoczonych. To dwa olbrzymie browary Lemp i Anheuser Bush. Wszystko zaniedbane, opuszczone i częściowo zamknięte. Piwo Anheuser-Busha uważano za jedno z najlepszych w Ameryce i rozsyłano je beczkami po całej kuli ziemskiej. Prohibicja wszystko obróciła w ogromną bezludną ruderę. Ale już nie długo a nowe życie zacznie tu pulsować.

Patrząc na ten, jak prezydent Hoover się wyraził, „szlachetny eksperyment", chciałoby się wyjść ze samochodu i żydowskim sposobem łbem walić o mury i płakać nad zacofaniem i głupotą narodu. Gdyby tu był nasz kochany powieściopisarz i humorysta Kornel Makuszyński, który tak szczerze ubolewał nad Turkami, że za ich wstrzemięźliwość w używaniu rozpalających trunków, a szczególnie wina, Ałła pokarał ich strasznem wielożeństwem, cóżby on tu nie czynił?! Napewno z rozpaczy waliłby łbem o mury browarni i z bólu wyrywałby wszystkie włosy z gołej, jak kolano łepetyny. Prohibicja to chyba nasze największe głup-

stwo. Za kilkanaście lat sami sobie nie będziemy chcieli wierzyć, że coś podobnego chociażby tylko na papierze istniało.

Przeprawiam się na drugi brzeg rzeki Mississippi olbrzymim jakie dwa kilometry długim mostem do Illinois. Ponieważ rzeka osusza część gór Skalistych i Alleghany na wschodzie, więc niekiedy zdarzają się olbrzymie wylewy, powodujące nieobliczalne straty. Stany bardziej na południe położone ponoszą największe klęski. Rząd zabrał się teraz na serjo do pracy nad uregulowaniem nietylko koryta samej rzeki, nad budową licznych nasypów, ale także na dopływach Mississippi budują tamy, śluzy i rezerwuary, w których nadmiar wody z topniejących śniegów będzie można zatrzymać i stopniowo spuszczać, a przez to uchronić dolinę przed częstemi, wprost katastrofalnemi wylewami. Niszczyły one nietylko zasiewy i dobytek okolicznych farmerów, ale także w zburzonych a na kilkanaście mil szerokich nurtach ginęły setki ludzi.

Rozdział VIII.

ILLINOIS.

W naszej podróży na zachód zaledwo zahaczyliśmy o jeden róg tego ciekawego stanu. Właściwie byliśmy w Chicago, które licznemi i rozległemi przedmieściami pokrywa północno-wschodnią część stanu przylegającą do jeziora Michigan.

Kształtem przypomina Illinois strzałę, jakiemi się kiedyś posługiwali Indjanie. Granicę południową, niby ostrze strzały tworzy zbieg rzeki Ohio i Mississippi. Granica północna — to linja prosta, dzieląca Wisconsin i Illinois, kilkadziesiąt mil na północ od Chicago. Wklęśnięcie zrobione przez rzekę Mississippi, tworzące granicę zachodnią stanu i jezioro Michigan na wschodzie przypominają wcięcia na kamiennych strzałach, służące do przymocowania krzemiennego ostrza do pręcika zaopatrzonego na drugim końcu piórkami, nadającego kierunek śmiercionośnym pociskom.

Jak zwykle, pierwszymi pionierami, którzy w te dzikie niegdyś strony dotarli, byli Francuzi. W roku 1673, ks. Marquette w towarzystwie francuskiego kupca Joliette (jedno z tutejszych miast w pobliżu Chicago nosi jego nazwę) popłynęli łodziami robionemi z kory brzozowej rzeką Wisconsin do rzeki Mississippi.

Parli w dół rzeki ku jej ujściom. Dotarli ewentualnie poniżej obecnego miasta St. Louis do ujścia rzeki Arkansas. Zatrzymując się tu i ówdzie wśród osad indjańskich, ks. Marquette T. J. głosił tubylcom ewangelję, a Joliette zapewne w międzyczasie, prowadził handel wymienny z Indjanami.

Ks. Marquette, wracając ze swej podróży odkrywczej na rzece Mississippi, zatrzymał się na pewien czas wśród Indjan, zamieszkujących te żyzne doliny stanu Illinois. Swą dobrocią po-

zyskał serca tubylców i założył kilka misyj. Wycieńczony pracą i trudami, znękany chorobą, zmarł w biednej chacie, zdala od ludzi, nad brzegiem jeziora Michigan. Indjanie z wielkiego szacunku dla „czarnej szaty“ — black gown — złożyli ciało do skrzyni z brzozowej kory i odnieśli do głównej kwatery w St. Ignace, położonej nad cieśninami łączącemi niby szypeł trzy ogromne jeziora; Michigan, Superior i Huron. Ta prastara osada oczywiście otrzymała nazwę od francuskich pionierów Jezuitów, którzy w ten sposób uczcili swego założyciela, św. Ignacego Lojolę.

Jakie osiemdziesiąt mil na południe od St. Louis, poniżej francuskiej placówki — Fort Chartres, skąd ruszyli pierwsi osadnicy i założyciele miasta St. Louis, znajdowała się duża osada indjańska, Kaskaskia. Ks. Marquette zatrzymał się w niej na pewien czas. Była to główna siedziba plemienia Illinoi. „Illini“ w narzeczu tutejszem Indjan miało oznaczać — „ludzi“. Francuzi oczywiście przylepili im swą markę „ois“, stąd powstała nazwa Indjan i stanu — Illinois.

Najstarsza siedziba białych settlerów powstała w Kaskasi, poprzednio doszczętnie zniszczona przez wrogich, a wojowniczych Irokiezów. Następną zaś była w Cahokia i w Peorji, obecnie jednem z największych miast, słynnem z dystylarni wódki.

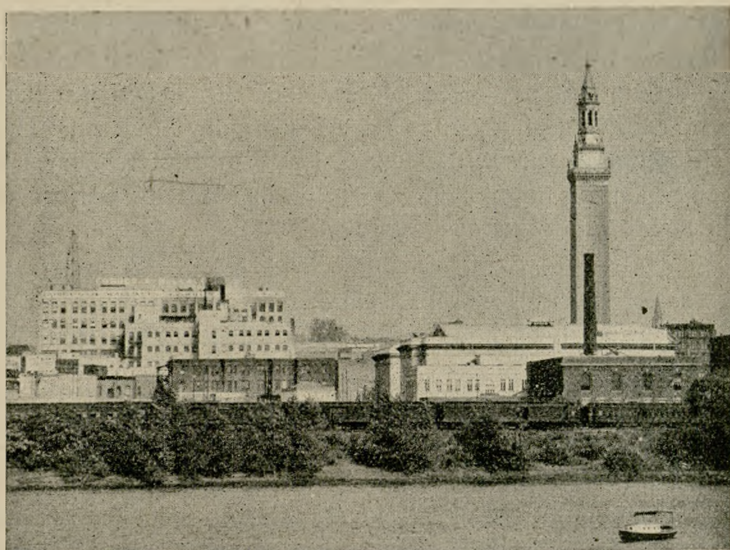
Trzeba pamiętać, że mimo prohibicji dystylarnie wciąż jeszcze wyrabiają wódkę, oczywiście dla celów „leczniczych“. Jako „medycyny“ używamy tego towaru kilkadziesiąt miljonów litrów rocznie, a to jako środek ochronny przeciwko ukąszeniu żmij trujących, komarów i wogóle na „zalanie robaka“.

Pierwszymi panami tej połaci kraju, jako jej odkrywcy, byli Francuzi. Na podstawie traktatu zawartego między Francją i Anglją w r. 1763-im, Anglicy otrzymali trzy ważne, strategiczne placówki; Detroit, Vincennes, nad rzeką Ohio w południowej Indjanie i Kaskaskię, w południowej części Illinois, nad rzeką Mississippi. Czyli mieli w swem ręku kontrolę nad drogami wodnemi wielkich jezior w Detroit, Mississippi w Kaskaskia, a Ohio w Vincennes.

Podczas walki o niepodległość Anglicy z tych placówek wysyłali agentów do okolicznych plemion indjańskich, podżegając je do zbrojnych napadów na amerykańskich kolonistów w Kentucky, Tenessee i dalej na zachód wysuniętych placówek. Tym sposobem oczywiście chcieli niepokoić i niszczyć dobytek kolonistów. Nawet dawano nagrody za niewolników lub ich „skalpy“ —

czupryny z głów zabitych zerwane. Bieda była z tem, że Indjanie nie przebierali, kogo napadali. Czy to był Anglik, czy też kolonista — mordowali i przynosili „skalpy” po okup. Przecież taka okrwawiona czupryna nie mogła powiedzieć do kogo należała.

Koloniści pod wodzą nadzwyczaj energicznego osadnika i patrjoty, nazwiskiem George Rodgers Clark — zupełnie inny od poprzednio wspomnianego Clarka, co pierwszy dotarł do oce-



Wieża ratuszowa w Springfield Mon.

anu Spokojnego — zorganizowali wyprawę wojenną złożoną zaledwie ze 175 ludzi. Po nadzwyczajnych trudach przedarli się ukradkiem, niespostrzeżeni przez odwieczne lasy i bagna i napadli strażnice angielskie w Vincennes i Kaskaskia.

W barakach odbywał się wtenczas taniec. Nie proszeni goście wdarli się na salę do tańczących. „Nie przerywajcie tańca, powiedział Anglikom Clark, tylko pamiętajcie, że nie tańczycie na cześć króla Jerzego, ale na cześć kolonij amerykańskich”. Garnizon poddał się bez oporu, a koloniści francuscy woleli poddaństwo amerykańskie aniżeli angielskie. Tak zawładnęliśmy wschodnią stroną olbrzymiej doliny rzeki Mississippi. Zato ni-

komu nic nie płaciliśmy, tylko wzięliśmy jak swoje. Chcąc jednak być zupełni ścisłym w podaniu faktów, wypada nadmienić, że generał Antoni Wayne w r. 1795 „kupił“ ten cały obszar od jedenastu plemion indjańskich, płacąc im jednego centa od morgi czyli, jak tu mówimy od — akra.

Co do obszaru — Illinois należy do „średniej“ wielkości, gdyż ma zaledwo pięćdziesiąt sześć tysięcy mil kwadratowych. Ale co do ludności — po Nowym Jorku i Pennsylwanji jest na trzeciem miejscu, ma bowiem ponad siedm miljonów sześćset tysięcy mieszkańców.

Tu się łączą dwie gałęzie: rolnictwo i przemysł, dając ogromny dobrobyt tutejszym obywatelom. Rolnictwo jest bardzo wysoko postawione. Zbiory samej kukurydzy obliczają ponad trzysta miljonów buszli. Dziewięćdziesiąt procent tutejszych farmerów trudni się produkcją mleka i masła, którego wartość obliczają ponad sto miljonów dolarów.

Jadąc w stronę stolicy Springfield, co chwila przerzynam całe pasy torów kolejowych. Twierdzą, że Illinois posiada więcej kolei na kwadratową milę, aniżeli którykolwiek inny stan. W to nie wątpię.

Cały stan, prócz kolei, ma także liczne linje tramwajowe. Produkcja siły elektrycznej jest tu więcej rozwinięta, aniżeli w którymkolwiek innym zakątku kraju.

Na ogromny rozwój przemysłu złożyło się kilka ważnych czynników. Dogodne linje komunikacyjne wodą, a więc spławne rzeki Mississippi, Ohio i Illinois, a ponadto ogromne jezioro Michigan, nad którego brzegami rozłożyło się drugie największe miasto w Ameryce — Chicago ze swemi przedmieściami, liczące około pięć miljonów mieszkańców, wliczając w to oczywiście bandytów i bootlegerów.

Węgla Illinois ma poddostatkiem. Na sto powiatów, przeszło połowa z nich posiada pokłady węgla. Z drogi nieraz można zauważyć, że za stodołą lub oborą farmera wznosi się szyb węglowy. Zdziwi się czytelnik, gdy się dowie, że ten niby napozór rolniczy stan produkuje rocznie dziewięć miljonów beczek ropy i posiada więcej studni, aniżeli Louisiana, Arkansas, Wyoming, Colorado i Montana razem wzięte. Trzeba atoli pamiętać, że wydajność poszczególnych studzien jest stosunkowo mniejsza.

Co do przemysłu — już poprzednio w opisie Chicago wspominałem o rzeźniach — największych na świecie. Pod względem wyrobu maszyn rolniczych stoi Illinois na pierwszem miejscu. Wobec takiego McCormicka niech się schowa maluteńki Cegielski w Poznaniu. Największy skład drzewa budulcowego na świecie, a jak tutejsi mówią „lumber jarda“, znajduje się także w Chicago. Sześćdziesiąt pięć procent fortepianów pochodzi z Illinois. Największe pokłady piasku do wyrobu szkła tu się znajdują.

Miasto Joliet produkuje rocznie dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy mil papieru używanego do tapetowania ścian. Bloomington zaś jest na pierwszem miejscu w wyrobie najrozmaitszych pieców. W miasteczku Hoopestown marynują rocznie, jak my tu mówimy „kienują“ pięćdziesiąt miljonów puszek kukurydzy i innych artykułów spożywczych.

Za długoby trwało wyliczać te wszystkie może nawet ciekawe statystyczne dane co do zasobów i wyrobów tego napozór nieciekawego stanu. Nic więc dziwnego, że nietylko co do ludności, ale i co do wartości produktów ziemnych, mineralnych i fabrycznych, Illinois jest na trzeciem miejscu. Wartość bogactw stanu obliczają ponad dwadzieścia dwa miljardy dolarów, czyli jedną czwartą całego majątku Anglji, trzecią część Francji, a narówni z zasobami Włoch. Polska w tem porównaniu wyszłaby zapewne lepiej od Włochów.

A przecież Illinois „kupiliśmy“ od Indjan po bardzo przystępnej cenie, cent za akier? Niema co mówić, opłaciło się.

Przez szerokie równiny zasłane kobiercem zielonych łąk, kwadratowych pól wysokiej kukurydzy, obok kopalń węgla, rafinerji nafty, przecinając co chwila liczne tory kolejowe, wśród smrodów fabrycznych i dymiących kominów, sunę w kierunku północno-wschodnim do Springfield, stolicy stanu. Drogi — pierwsza klasa, wszystko z betonu, prościutkie i równiutkie. Jedziesz jak po stole.

Zbaczam z głównej drogi do Springfield nie tyle, aby podziwiać miasto ale raczej ze względów historycznych. Tu bowiem żył i pracował jeden z naszych najwybitniejszych prezydentów — Abraham Lincoln.

Chciałem więc chociaż tylko pobieżnie, ot tak mimochodem, zaznajomić szersze grono czytelników z tą niezwykłą postacią, a tak powiedziałbym typowo amerykańską. Przyznam się, że bar-

dzo lubię tę postać. Znawcy twierdzą, że poza Chrystusem o nikim tyle nie pisano co o Lincolnie, a przecież to nie takie dawne lata. Jeszcze żyją ci, którzy go znali, widzieli i słyszeli.

Ojciec Lincolna był typowym pionierem, prawdopodobnie poniekąd niedorajdą. Wszędzie mu bieda dokuczała. Nigdzie nie mógł miejsca zagrzać i tak się wciąż przenosił z Kentucky do Indiany, nareszcie do Illinois. Młody Abraham, którego matka w bardzo młodym wieku osierociła, biedował. Macocha czułą otoczyła go opieką, niby rodzonego syna. Ojciec przyszłego prezydenta pochodził ze starej kwakierskiej, angielskiej rodziny i był analfabetą. Matka umiała czytać, ale nie potrafiła pisać, jednakowoż, jak mówił Lincoln, ogromny na niego wpływ wywierała. Do szkoły chodził nie cały rok i otrzymał zaledwo elementarne wykształcenie w czytaniu, pisaniu i rachunkach. Parę książek, które miał pod ręką, przeczytał kilka razy. Chodził kilka mil, aby książkę pożyczyć, a po przeczytaniu znów ją odnieść. Uczył się przy migotliwym blasku palących się szczap na kominku.

Z młodości przyzwyczajony do trudów i ciężkiej pracy, wyrósł na silnego mężczyznę. Był sześć stóp i cztery cale wysoki, chudy, kościsty, niezdarny. Tratwą popłynął z towarami do Nowego Orleanu, później pracował jako klerk w małym wiejskim sklepiku w Salem, gdzie wiele czytał i studjował prawo.

Po złożeniu egzaminu, a wymagania nie były bardzo surowe, jako młody adwokat otworzył biuro w Springfield i cieszył się wielkiem powodzeniem. Rzucił się do polityki, a szczególnie brał udział w publicznych dysputach z politycznemi antagonistami. Zdrowa logika, jasny sposób argumentowania, przytem dorzucanie ciekawych opowieści dawały mu posłuch i ogromną popularność.

Dla Stanów Zjednoczonych był to człowiek wprost opatrznościowy. Przechodziliśmy wtenczas poważny kryzys. Stany Południowe, uprawiające niewolnictwo, postanowiły się wycofać z Unji. Chciały założyć własną, oddzielną republikę, co też niezwłocznie uczyniły po wyborach Lincolna na prezydenta. Padły pierwsze strzały przed fortecą Sumter i rozpoczęła się szalona, krwawa, bratobójcza walka — Wojna Domowa.

Nie będę opisywał tych czteroletnich zmagań, gdyż to wychodzi poza obręb książki turystycznej. Chciałem tylko nadmienić, że głównym bohaterem, wodzem, nareszcie męczennikiem,

był Lincoln. Przedewszystkiem trzeba było za wszelką cenę zachować — Unję. Zniesienie niewolnictwa, chociaż stanowiło jedną z przyczyn walki, było właściwie na drugim planie. Lincoln powiedział, że żaden kraj nie może się ostać „pół wolny, a pół w niewoli". Gdy się tak głębiej zajrzy do historji „wojny domowej" trzeba jej przyczyn szukać w systemie ekonomicznym i zupełnie odmiennych warunkach, jakie panowały w Stanach Północnych, przemysłowych, a w Stanach Południowych — rolniczych.

Lincoln jest naszym „mężem boleści" — the „Man of Sorrows". Ile to jego czułe i na ból ludzki nadzwyczaj tkliwe serce wycierpiało? Nikt tego odgadnąć nie może. Z natury był posępny i melancholiczny, chociaż lubiał opowiadać wesołe, a czasem i trochę tłuste kawały. Klęski, jakie armje północnych ponosiły, niby gromy waliły w jego zbolałą i znękaną duszę. Pokładając ufność w sprawiedliwość i Opatrzność Boską nie ugiął i nie złamał się w tej czteroletniej walce, chociaż napadały go momenty rozpaczy, że gotów się był targnąć na własne życie.

Po czteroletniej walce 9-go kwietnia z niedobitkami swej armji poddał się generał południa, Robert Lee swemu zwycięzcy Grantowi. Niespełna tydzień upłynął, gdy Lincoln d. 14-go kwietnia w teatrze Ford w Waszyngtonie padł z ręki aktora Wilkes Bootha, wielkiego sympatyka południowców. Z okrzykiem „Sic semper tirannis" strzelił do prezydenta, zajmującego jedną z loż, raniąc go śmiertelnie.

Ciężka to była strata, wprost poniekąd katastrofalna. Lincoln byłby prawdopodobnie załagodził i zagoił rany bratobójczą walką zadane. Jego następcy i cała czereda „carpet baggerów", którzy stany południowe zalali, tylko sprawę pogorszyli i tem bardziej zaognili. Jeszcze dotąd na południu tleje zarzewie tej nienawiści.

Wrócił jako owi spartańscy żołnierze na tarczy bohater-męczennik i w stolicy stanu Illinois został pochowany. W Springfield pełno jest pamiątek i zabytków po wielkim — Emancypatorze, tak bowiem nazywają Lincolna. W ratuszu zwiedziłem salę zapełnioną jego listami, dokumentami, fotografjami i bogatemi zbiorami przedmiotów przezeń używanych.

Na jednej z bocznych ulic zachowano średniomieszczański, drewniany domek, w którym Lincoln zamieszkiwał. Gdy tu przyszła delegacja, aby go zawiadomić o nominacji na prezydenta,

jeden z delegatów, gdy Lincoln wyszedł z pokoju, wyraził się, mniej więcej w te słowa: „Czy moglibyście lepszego znaleźć kandydata od niego — w to wątpię, ale urodniejszego to napewno. Z wyglądu Lincoln pięknością nie grzeszył. W Hollywood zapewne nie otrzymałby nagrody piękności, zato co do charakteru i szlachetności duszy — był to najjaśniejszy brylant, czysty jak łza.

Po zwiedzeniu bardzo skromnego domku z prostem umeblowaniem, kilku niezbyt wielkiemi pokojami, udałem się na cmentarz, gdzie się znajduje jego grobowiec. Na wszystkich głównych ulicach drogowskazy podają kierunek, w którym trzeba iść, aby się dostać do cmentarza Oakridge na krańcu miasta, gdzie pochowano Lincolna.

Zwłoki sprowadzono 4-go maja 1865 roku i pochowano w tymczasowej krypcie. Zabrano się natychmiast do utworzenia komitetu, mającego się zająć budową pomnika. Pracę wykończono w roku 1874-tym i w październiku przy wielkiej narodowej manifestacji we wspaniałym marmurowym sarkofagu złożono szczątki.

Pomnik jest zbudowany z cegły i cały obłożony granitem. Przedstawia się w formie dużego czworoboku, przeszło siedemdziesiąt stóp szerokiego, a piętnaście stóp wysokiego. Nad nim wznosi się kilkadziesiąt stóp wysoki obelisk, u którego podnóża ustawiono cztery wspaniałe, heroicznych rozmiarów grupy bronzowe. Przedstawiają cztery gałęzie amerykańskiej siły zbrojnej, użytej przez Lincolna do zachowania Konstytucji. Jedna z grup upamiętnia walkę kawalerji, druga piechoty, trzecia artylerji, a czwarta marynarki. W pośrodku na wywyższeniu umieszczono bronzową statuę prezydenta, który według Konstytucji, zawsze jest główno dowodzącym.

Z jednej strony tego czworoboku zbudowano w formie półkola wejście do grobowca. Ponieważ po kilkudziesięciu latach pomnik zaczął pękać, trzeba było cały rozebrać i na nowo od fundamentów przebudować.

Wnętrze jest wspaniałe i estetycznie urządzone. Wchodzi się do przestronnej, okrągłej, pięknemi marmurami wyłożonej sali — rotundy. Na postumencie z czarnego marmuru ustawiono bronzową statuę naszego bohatera-męczennika. Jest to kopja oczywiście w zmniejszeniu statuy słynnego rzeźbiarza, Daniela French, która się znajduje w Lincoln Memorial w Waszyngtonie.

Schodząc na niższe piętro, idzie się nadół okrągłym, niezbyt szerokim marmurami wyłożonym gankiem. W niszach po obu stronach ganku, umieszczono statuetki bronzowe przez pierwszorzędnych rzeźbiarzy wykonane, przedstawiające Lincolna w rozmaitych okresach życia, jako chłopca, drwala, gdyż dano mu także przydomek „rail spliter“ żołnierza, bo służył w milicji stanowej podczas walk z Indjanami t. zw. Black Hawk War. Jednym z oficerów jego pułku był porucznik Davis, późniejszy prezydent rebeljantów. Przy każdej statuetce znajduje się bronzowa tablica podająca albo krótki życiorys albo też cytatę z jego pamiętnych mów i listów.



Twarz Lincolna rzeźbił — Borglund w Springfield Mon. — Uważam to za bardzo dobre zdjęcie — gdyż oddaje charakterystykę tego człowieka.

Wchodzę do obszernej, okrągłej sali z czarnego marmuru — rotundy, otoczonej pilastrami i bronzowemi wieńcami. W samym środku wznosi się z blado-różowego marmuru sarkofag, a na nim napis — Abraham Lincoln, data urodzenia 1809 i zgonu 1865. W pewnych odstępach naokoło sarkofagu są ustawione sztandary tych stanów, w których kiedyś żyła rodzina Lincolna, a więc Massachusetts, New Jersey, Pensylvania, Virginia, Kentucky, Indiana i Illinois. Ponadto gwiaździsty sztandar Stanów Zjedno-

czonych i specjalny sztandar z herbem Stanów Zjednoczonych — godło Prezydenta. Naprzeciw sarkofagu u sklepienia rotundy wyryty w marmurze napis: „Now he belongs to the ages“ „Teraz należy do wieczności“.

Fundusze na wystawienie pomnika płynęły z różnych części kraju. Dzieci szkolne składały centy, pułk murzyński z Nowego Orleanu przysłał blisko dwa tysiące dolarów, organizacje i stany wyasygnowały większe i mniejsze sumy, aby pomnik zbudować. Obecnie Stan Illinois wziął go pod swą opiekę i własnym kosztem utrzymuje.

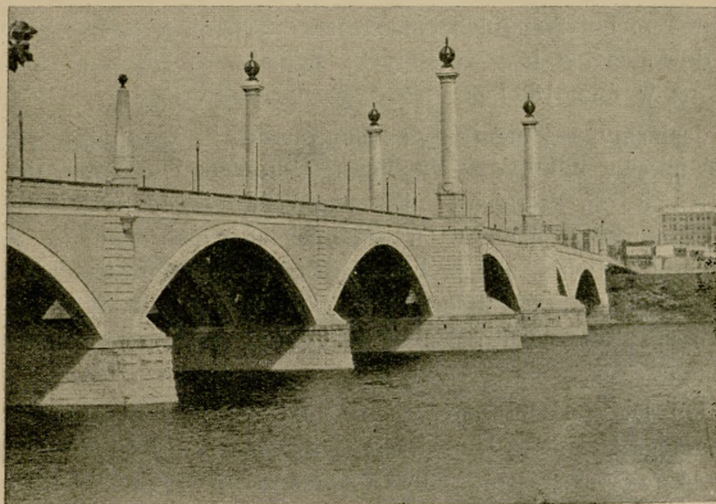
Tuż przy wejściu na granitowym postumencie jest popiersie Lincolna dłóta słynnego rzeźbiarza Gutzon Borgholma. O kilka kroków od tego pomnika mieszka zarządca H. W. Fay. Ten człowiek całe życie poświęcił studjom nad Lincolnem i troskliwie zbierał szczegóły dotyczące jego życia i pracy. Oglądam stosy książek, fotografij, wycinków z gazet, artykułów dziennikarskich, najrozmaitszych pamiątek. Wszystko odpowiednio skatalogowane i ułożone. To nieocenione źródła do studjów nad tą krytyczną epoką naszej młodej republiki.

Za czasów Lincolna sztuka fotografowania była w początkach. Był to bardzo mozolny proceder, a same aparaty i przybory trzeba było transportować na wozie. A jednak z tej wojny mamy ogromną masę fotografij i to jak na owe czasy pierwszorzędnych, zrobionych przez nowojorskiego fotografa, nazwiskiem Brady. Jedna z tych klisz przedstawiająca Lincolna, pokazującego swemu synkowi album portretów, jest szacowana na sto tysięcy dolarów. Poprostu niemożnaby ich dziś nabyć na wagę złota. Jeszcze się z Lincolnem w naszej powrotnej drodze parę razy spotkamy, więc też zrobiwszy kilka zdjęć, ruszam w dalszą drogę, tem bardziej, że zanosi się na burzę.

O samem mieście Springfield prawie że nie wspominam, gdyż poza pamiątkami lincolnowskiemi nic tu ciekawego nie zauważyłem. Wszystko szablonowo-amerykańskie, jak kapitol, gmachy urzędowe, sklepy i rezydencje. W kapitolu tak samo, jak w Utah, napotkałem bogate okazy tutejszych ziemiopłodów i minerałów.

Jedna wystawa jednakowoż wielce mnie zastanowiła i zaciekawiła. Są to sztucznie z wosku czy też może z gipsu zrobione okazy grzybów. Za oknem wystawowem, oświetlonem ukry-

temi żarówkami, patrzysz na minjaturowy lasek. Wśród drzew i gałęzi nad płynącym, małym strumyczkiem artystycznie poustawiano wszystkie rosnące tu gatunki grzybów. Każdy jest wiernie oddany co do koloru, kształtu i wielkości oraz miejsca, w jakiem zwykle rośnie, więc czy na polu, czy w lesie, czy na ziemi piaszczystej lub przy korzeniach pni brzozowych. Przy każdym umieszczony numer, a na osobnej tablicy pod tym numerem jest nazwisko botaniczne i zwykłe, a zarazem notatka, czy ten grzyb jest smaczny i zdatny do jedzenia czy też trujący. Nawet przy



Most pamiątkowy na rzece Connecticut w Springfield Mon.

muchomorach i innych trujących gatunkach poumieszczane małe trupie główki, ażeby ludzi przed zbieraniem tych grzybów ostrzec. Szkoda tylko, że Polacy w Chicago którzy nieraz samochodami zapuszczają się kilkadziesiąt mil na grzybobranie, tej wystawy nie znają, często zbierają grzyby trujące. Co roku czyta się w dziennikach chicagowskich że „polska rodzina otruła się grzybami“. Nigdzie podobnego zbioru grzybów jak w kapitolu springfieldzkim nie widziałem.

Ze Springfield ruszyłem w deszczu ku Bloomington. Jest to sobie zwykłe fabryczne miasto, może jakie ośmdziesiąt mil na południowy zachód od Chicago. Brała mnie chętka, aby znów

wpaść do Chicago i odwiedzić grono przyjaciół i znajomych. Wiem, żeby mnie gościnna rodzina Wleklińskich z rąk nie puściła, a tu już wakacje się kończą i chciałbym jeszcze jak najwięcej zwiedzić i opisać, dlatego odmówiłem sobie tej przyjemności i zawróciłem w kierunku południowym do Decatur.

Miasto to piękne, w samem środku stanu położone, nazwę wywodzi od amerykańskiego kontradmirała, Stefana Decatur. Odznaczył się on nadzwyczajnem bohaterstwem w wojnie Tripolitańskiej. Nieprzyjaciel zabrał amerykańską fregatę i zaciągnął do obronnego portu. Decatur wdarł się na okręt i podpalił go, a sam pod gradem kul armatnich cało uszedł. Wspaniałą zrobił karjerę jako dowódca okrętów wojennych. Zginął w pojedynku. Miasto założone w roku 1830 przyjęło jego nazwisko.

Jesteśmy w samem środowisku obszaru rolniczego, a szczególnie uprawy kukurydzy. W mieście zbudowano ogromne młyny do mielenia jej. Potrafią w nich przerobić sześćdziesiąt tysięcy buszli kukurydzy dziennie. W śródmieściu widać ogromne gmachy biurowe, banki, sklepy z siwego ciosu zbudowane. Takiego Staley Manufacturing, Citizens Building, Świątyni Masońskiej i wielu innych nie powstydziłby się nawet Nowy Jork, znany z drapaczy chmur.

Od Decatur skręcam na wschód. Drogi z betonu, równe jak podłoga, a proste jak strzała. Jedziesz milę za milą i prawie że nie ruszasz kierownicy. Jest to prawdziwa rozkosz jechać takiemi drogami.

Na krzyżówce dwóch dróg zatrzymał mnie policjant i zapytał, czy umiem czytać. Ja mu odpowiadam, że mogę cośkolwiek sylabizować, ale tak znów dobrze to nie. Przy drodze była tablica z napisem: Stop: To znaczy: Stań. Ja tylko zwolniłem, a nie widząc żadnego samochodu na krzyżówce, przejechałem bez zatrzymania się. Więc też mi zaraz policjant zwrócił na to uwagę, że powinienem był nie tylko zwolnić biegu, ale stanąć. Na tym punkcie policja więcej pilnuje przestępców, aniżeli na punkcie transportowania piwa lub wódki. Zupełnie jej nie winuję, gdyż, jak mi mówił ów stróż bezpieczeństwa, na krzyżówce kilkunastu automobilistów się zabiło. W Ameryce każdy się spieszy, myślałbyś, że każdy Amerykanin zamiast kawy, napił się jakichś szybko i gwałtownie działających „sprudlów“ czy też mu-

solinowskiego rycynusu i gwałtownie — spieszy mu się. W tym pośpiechu tysiące ludzi traci życie.

Jadę więc prostą, szeroką, równą, cementową drogą rządową Nr. 36 do następnego stanu.

Rozdział IX.

INDJANA.

Pod względem topograficznym Indjana nie wiele się różni od swego nieco większego sąsiada, Illinois. Jest to podłużny czworobok, granicą północną dotyka jeziora i stanu Michigan, na wschód w prostej linji granicznej, sąsiaduje ze stanem Ohio, a na zachód na całej przestrzeni ma Illinois za sąsiada. Południową granicę tworzy rzeka Ohio, która zarazem jest ważną linją komunikacyjną.

Ziemia, zdaje się, nie jest tak urodzajna, jak w Illinois. Widzi się więcej piasku, a kukurydza, którą można uważać za miernik dobrobytu i urodzajności, nie jest tak wysoka, jak w Illinois i w Ohio, dwóch sąsiednich stanach.

Co do obszaru i ludności jest znacznie mniejszy od Illinois. Obejmuje tylko trzydzieści sześć tysięcy mil kwadratowych, a ludności, według ostatniego urzędowego spisu, ma cośkolwiek ponad trzy miljony czyli połowę tego co posiada Illinois.

Zapewne pierwszymi białymi odkrywcami stanu byli Francuzi, którzy prawdopodobnie w te okolice się przedarli od jeziora Erie i dawnego D' Etroit a obecnej stolicy samochodów lub też lekkiemi, indjańskiemi łodziami przepłynęli rzeką Ohio. Francuscy „coureurs des bois“ z torbą myśliwską, strzelbą i zapasem żywności włóczyli się po dzikich lasach i kniejach. Zaglądali do wiosek indjańskich, skupowali futra, zawierali z tubylcami stosunki handlowe i zwykle byli przez nich mile widziani. Młode Indjanki chętnie brały białych traperów za mężów, ci zaś bardzo szybko się dostosowywali do dzikiego trybu życia tutejszych autochtonów.

Nad rzeką Wabash, w obecnem mieście Vincenes, w południowej części stanu, powstała pierwsza biała osada. Założył ją Franciscois Margane Sieur de Vincennes, w roku 1731 czyli

okrągłe dwieście lat temu. Swą karjerę życiową ów francuski „Sieur" zakończył dosyć tragicznie, gdyż go schwycili Indjanie plemienia Chickesaws i żywcem przy palu upiekli, co uważam za średnią przyjemność.

Po Francuzach cały szmat ziemi zabrali, na mocy traktatu, Anglicy. W Vincennes mieli garnizon wojskowy, stacjonowany w prymitywnym blokhauzie. Podczas naszej walki o niepodległość dowódcą tej angielskiej strażnicy, nad rzeką Wabash zbudowanej, był oficer nazwiskiem Hamilton, którego przezwano „kupcem włosów" dlatego, że Indjanom płacił i od nich skupował nie drogocenne futra, ale skalpy białych kolonistów.

Niecnemu frymarczeniu ludzkiem życiem i podjudzaniu czerwonoskórych tubylców przeciwko białym kolonistom położyła kres wyprawa kapitana Clarka, który w lutym 1779 z małą garstką ochotników ruszył na zdobycie angielskiej placówki. Na szczególniejszą uwagę zasługuje nie tyle sam atak, ile raczej ten wprost niemożliwymarsz dwustu kilkudziesięciu mil z Kaskali do Vincennes.

Ów pamiętny podbój, jedyne echo długoletniej walki o niepodległość trzynastu kolonij, rozległo się w tych dziewiczych borach właśnie podczas tej wyprawy. Ruszono na podbój odległego Vincennes piątego lutego. Przedzierano się przez kraj bagnisty, pokryty licznemi rzeczkami. Nastąpiły deszcze i roztopy wiosenne, a szerokie doliny, grząskie błota w paru dniach zamieniły się w jedną wielką powódź. Żołnierze szli nieraz po pas, a nawet po szyję w lodowatej wodzie. Na noclegi nie mogli nawet znaleźć suchego miejsca, więc nocowali we wodzie, pod gołem niebem, bez namiotów oczywiście, a nieraz nawet bez żywności, gdyż skromne zapasy szybko się wyczerpały. W dwóch tygodniach wśród deszczów i wiosennych roztopów przebrnęli dwieście dwadzieścia mil. Wynędzniali i zgłodniali stanęli pod ostrokołami fortu Sackville. Po kilku strzałach, kapitan Clark zażądał poddania się załogi, co mu się udało i bez poważnych strat zajął na stałe, angielską placówkę, tem samem przesunął granicę amerykańskich kolonij do brzegu rzeki Mississippi. Uważają go zato, całkiem słusznie, za największego bohatera i pioniera stanów Indiany i Illinois.

Ile się to w tym czasie zmieniło. Teraz — elegancką, cementową, równiutką drogą sunę na wschód do stolicy — Indiano-

polis. Szybko mijam małe miasteczka przydrożne, niezbyt bogate farmy i dojeżdżam do największej metropolji stanu.

Granice terytorjum Indiany wyznaczono w roku 1809. Rząd federalny wysłał inżyniera, zdaje się był nim słynny L'Enfant, aby wymierzył przyszłą stolicę tego nowo kreowanego stanu. Nazwano ją Indianopolis. Daleko od cywilizacji i osiedli kolonistów, niemal w samem centrum stanu wydzielono milę kwadratową dzikiego pola i lasu na miasto stołeczne, które teraz obejmuje przeszło pięćdziesiąt mil kwadratowych.

Za punkt centralny wymierzono ogromne koło, od którego we wszystkich kierunkach kompasu promieniują nowoczesne arterje przemysłu, handlu i ogromnej fabryki samochodowej. Na głównym placu zbudowano kilkadziesiąt lat temu ogromny pomnik ku czci żołnierzy z wojny domowej. Twierdzą, że to drugi najwyższy z rzędu pomnik w Stanach Zjednoczonych. Na pierwszem miejscu jest 500 stóp wysoki obelisk z granitu w stolicy kraju.

Niebardzo się tu wiodło pierwszym osadnikom. Często napadali na białych intruzów Indjanie, niszcząc ich dobytek. Nareszcie przyszło do walnej rozprawy między wojskami kolonistów, a czerwonoskórymi wojownikami. W bitwie pod Tippecanoe gubernator Harrison rozgromił i złamał siłę czerwonych pod wodzą słynnego Tecumesha. Ten po klęsce przeszedł na terytorjum angielskie w Kanadzie i brał udział już jako angielski generał w wojnie, która wybuchła następnego roku między Anglją i Stanami Zjednoczonemi. Prawdę powiedziawszy, z małymi wyjątkami, dostaliśmy wtenczas od Anglików porządne lanie. Chwilowo zabrali cały Michigan, spalili Waszyngton, jednem słowem narobili nam szkody. To jedna wojna, w której nie tylko że nic nie wzięliśmy ale — zaledwo sami całośmy się z tej niezdarnej gmatwaniny wydostali.

W stu dwudziestu pięciu latach, z małej wioski powstało ogromne, stołeczne miasto, liczące przeszło trzysta pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Chociaż arystokratyczny, purytański i zarozumiały Boston uważa się w świecie literackim za nowoczesne Ateny, jednakowoż skromna Indjana wydała także znaczny poczet amerykańskich luminarzy w dziedzinie literatury i sztuki, między innemi poetą James Whitcomb Riley, powieściopisarzy tej miary co Booth

Tarkigton, Gene Straton Porter, Gen. Lew Wallace autor „Ben Hura" i wielu innych.

Indianopolis szczyci się z tego, że posiada ośmdziesiąt miljonerów, że w szkołach publicznych rozpoczęto kursa drukarskie dla dzieci szkolnych, że garnizon Ford Benjamin Harrison jest jednym z największych w Stanach Zjednoczonych, że tu urządzają największe w świecie turnieje „gry koszykowej" — basket ball, że boiska „base ballu" są tak oświetlone, iże można uprawiać ten najpopularniejszy sport amerykański noc całą, że posiada największe na świecie sztuczne pływalnie, że ma największą w Ameryce szkołę wyższą — High School, do której uczęszcza dziennie około pięć tysięcy uczniów, że w mieście znajduje się największa na świecie fabryka jedwabnych pończoszek, że są największe warsztaty kolejowe w Ameryce, że zbudowano największą fabrykę gumowych „dętek" do opon samochodowych, że tu znajduje się największa fabryka worków papierowych, że jest największa fabryka rękawiczek bawełnianych, że to, że owo, że tamto. Całą litanję możnaby wymienić „naj" to „naj" tamto. Okaz amerykańskiej reklamy, a poniekąd i blagi. Każde miasto szczyci się tem, że ma coś „naj": a więc ci mają „naj" - większego bęcwała, tamci bandytę, inni fabrykę, inni znów coś innego.

Rok rocznie ściągają tu tysiące ludzi na wyścigi samochodowe. Tuż za miastem kosztem niemal trzech miljonów dolarów zbudowano z cementu i cegły znakomite tory wyścigowe. Arena popisowa jest w formie owalnej zbudowana, dwie i pół mili długa. Tor wyścigowy jest pięćdziesiąt stóp szeroki a na skrętach sześćdziesiąt stóp z odpowiedniemi podwyższeniami i zaporami, aby taki wyścigowiec przypadkowo nie wyleciał z toru jak z procy i nie walnął w księżyc, lub inne ciało niebieskie, albo ludzkie.

Najważniejszym „evenement" to wyścigi w święto pracy — Labour Day. Najlepsze samochody wyścigowe i najsłynniejsi piloci świata stają do kontestu. Cały bieg wynosi 500 mil, czyli około 800 kilometrów. Każdy z pilotów z szaloną szybkością musi tę arenę okrążyć dwieście razy zanim zrobi przepisowe 500 mil. Bez wypadków się nigdy nie odbędzie, ale to dodaje tem większego zainteresowania. Nagrody dla zwycięzców wynoszą kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Jest to doskonała próba dla nerwów i stali, aby w tak trudnym konteście wytrzymać. Fabrykanci samochodów przysyłają tu nowe modele, aby je wypróbować

i doświadczyć szybkości, siły, wytrwałości motorów i innych części składowych.

Zdziwi niejednego ten szybki rozwój miast amerykańskich. W stu latach z dzikiej kniei powstaje ludne, bogate, przemysłowe i kulturalne miasto amerykańskie. Jeszcze ciekawsze jednak dzieją się rzeczy.

Mojżesz kijem walnął w skałę i trysło źródło wody. Szczegółów co prawda nie podano w Piśmie św. o tym znamiennym wypadku. W Indjanie jednak ciekawsze rzeczy mamy do zanotowania. W północnej części stanu, nad brzegami jeziora Michigan jest pełno piasczystych wydm czyli — dunów. Otóż na te nieurodzajne brzegi jeziora padł wzrok amerykańskich magnatów stalowych. Dotknęli pustynnych piasczystych wydm czarodziejską, złotą różdżką amerykańskich dolarów. Niemal w mgnieniu oka odwieczne piaski polinjowały się ulicami, zazieleniły trawnikami, zarysowały domami i sklepami, zadymiły tysiącami kominów fabrycznych, zaludniły się dziesiątkami tysięcy robotników, kupców, przemysłowców.

Z dumą wskazuje Polska na Gdynię i jej szybki rozwój. To samo stało się w Gary, Indiana Harbor, i kilku innych środowiskach fabrycznych w północnej części Indiany. Nikt teraz o tem nie wspomina, bo to jest rzeczą pospolitą, na porządku dziennym. Nawet o takiej drobnostce pisać nie warto, i tylko mimochodem o tem nadmieniam.

Indianopolis jak zresztą każde inne miasto amerykańskie intensywnie pracuje nad rozbudową, dobrobytem i artystycznym rozwojem. W programie jest projekt — częściowo już wykończony, wspaniałej plaży, rodzaju „Champs Elisees“, których główną atrakcją ma być muzeum pamiątkowe ku czci żołnierzy z wojny światowej. Plan obejmuje kilka bloków w śródmieściu, a koszta obliczają na dziesięć miljonów dolarów.

Ruszam w dalszą drogę ku wschodowi. Kilka mil za miastem duży starannie utrzymywany komplet budynków fabrycznych z murowaną bramą wjazdową. To jedno z największych przedsiębiorstw leczniczych, a może właściwie farmaceutycznych — Eli Lilly Co. Poza najrozmaitszemi gatunkami pigułek i lekarstw mają specjalne laboratorja do wytwarzania surowicy, jako środka leczniczego. Może najlepiej znanym produktem tego ogromnego zakładu jest „insulin“, bardzo skuteczne lekarstwo w chorobie

cukrzycy. Jak wiadomo, po wojnie światowej dwaj lekarze kanadyjscy Bantam i Bast w Montrealu, po licznych badaniach i doświadczeniach dali światu ten skuteczny środek przeciwko tej, tak kiedyś niebezpiecznej chorobie. Ta fabryka, właściwie lepiej powiedzieć laboratorjum, wydobywa insulin ze śledzion zwierząt.

Ogromne stalownie, cementownie, fabryki samochodów i bogate kamieniołomy stanowią główne gałęzie przemysłu i handlu. Ciężki przemysł żelazny i fabryki samochodów, maszyn rolniczych rozwinęły się z powodu dogodnej komunikacji wodnej. Ze stanów północnych jak Michigan, Wisconsin i Minnesota okrętami pojemności od 10 do 12 tysięcy ton dostarczają rudy żelaznej, a węgla jest w okolicy poddostatkiem. Węgla kopią tu rocznie około trzydzieści miljonów ton, a prócz tego są studnie ropy, źródła gazu ziemnego, bogate pokłady piaskowca w kilku gatunkach. Jeden tylko obwód w pobliżu miasta Bloomington wysyła za dwadzieścia miljonów dolarów kamienia budulcowego. Tutejszy piaskowiec ma tę właściwość, że przy wydobyciu z kopalni jest miękki i łatwy do obróbki, na powietrzu zaś powoli twardnieje. Gliny do wyrobu cegły i rur glinianych mają także poddostatkiem. Ta gałąź przemysłu w okrągłych cyfrach dochodzi do piętnastu miljonów dolarów.

Chociaż Indjana nie jest pierwszorzędnym stanem farmerskim, a mimo to wartość blisko dwustu tysięcy farm szacują ponad dwa miljardy dolarów. Pięć miljonów akrów oddane uprawie kukurydzy, a w produkcji pomidorów, bo w Ameryce wszystko się podaje z pomidorowym sosem, Indjana jest na pierwszem miejscu.

Od samego St. Louis wciąż jadę przez okolice kiedyś zamieszkałe przez dziwne i nam nieznane plemiona. Pozostawiły po sobie ciekawe zabytki. Są to olbrzymie kopce, nieraz w formie wałów fortecznych, wężów, piramid i innych ciekawych kształtów. Niektóre z nich daleko swym ogromem przewyższają kopiec Kościuszki pod Krakowem. Widać, że długo i mozolnie nad ich usypaniem pracowano. Niektóre z tych przedhistorycznych kurhanów stanowią stare cmentarzyska, zawierające porozrzucane szkielety, przybory, naczynia i broń owych nieznanych ludzi.

Kim byli ci zagadkowi pionierzy, dotychczas nikt dokładnie powiedzieć nie mógł. Czyto były prastare pokolenia późniejszych Indjan, czy też jakaś odmienna, a kulturą napewno wyższa rasa,

także ustalić nie można. Nie jestem zbyt biegły w odcyfrowywaniu tych pośmiertnych zabytków i relikwij. Sądząc tylko, po kopcach i kurhanach powiedziałbym, że to może Polacy tu się przedostali i swym staropolskim zwyczajem, nie mając dosyć pieniędzy na budowę marmurowych pomników, usypali je z ziemi, jak to jeszcze czynią w różnych zakątkach Polski. Dziwna rzecz, że nikt na ten ciekawy pomysł rozwiązania zagadki nie wpadł.

Nazwaliśmy tych nam nieznanych Amerykanów „mound builders" — budownicy kopców, postawiliśmy pozatem wielki historyczny znak zapytania i koniec. W niektórych miejscowościach większe i ciekawsze kurhany i wzgórza jak n. p. „Serpent Mound" w Ohio zamieniono na park stanowy, a już tem samem zabezpieczono go przed zniszczeniem i wandalizmem ludzi. Jest to może najciekawszy okaz przedhistorycznego wzoru, przypominający ogromnego, a częściowo zwiniętego węża. Cała robota ziemna wynosi ponad trzynaście set stóp. Znajduje się w pobliżu miasteczka Locust Grove w południowej części Ohio.

Richmond jest ostatnie większe miasto, jakie napotykam w mej wędrówce, przez Indjanę. Nic tu jednak ciekawego na uwagę turysty nie zasługuje, więc też spieszę dalej i kilka mil za miastem wkraczam do stanu Ohio, z którym już poprzednio zawarliśmy bliższą znajomość jadąc przez jego część północną od Ashtabula do Cleveland i Toledo.

Teraz pcham się przez sam środek stanu pierwszorzędną betonową drogą U. S. 40, która, niby szeroka taśma wiąże Nowy Jork z San Francisco. Kto wie, może ją kiedyś pociągniemy dalej na zachód przez wyspy Hawajskie, Filipiny do Chin, o ile nam na to Japończycy pozwolą. Napotykam większe miasta, przez które się z trudnością przewiercam, niby świder przez sęki, aż się znów wydostaję na szerokie pola, urodzajne farmy i piękne zabudowania gospodarskie.

Po przekroczeniu granicy Indjany, wjeżdżam znów w rejon urodzajniejszej ziemi. Jadąc na zachód, mijałem pachnące pola wonnej koniczyny, gdyż to było w czasie sianokosów, teraz w drodze powrotnej napotykam szerokie rzędy ściętej i w snopy powiązanej kukurydzy, a na gołych polach, wśród tych wysokich szeregów, jak my tu mówimy po polsku oczywiście „korym sztoku" niby olbrzymie pomarańcze lśnią złote długołęte „banie — budzyn — pumpkin" z których Amerykanie w porze

jesiennej na Dzień Dziękczynienia — Thanksgiving Day", pieką rodzaj pasztetu czyli „paja". To jeszcze powiedziałbym jest jedyna potrawa w dziedzinie kuchennej, za którą Ameryce należy oddać uznanie.

Pod względem tego ulubionego przysmaku starych i mło dych Amerykanów mamy ogromny wybór i rozmaitość. Przedewszystkiem „apple pie" — paj z jabłek ma prawo obywatelskie, jako deser przy każdym amerykańskim obiedzie. Podają go niekiedy z lodami czyli „ajskrymem" albo też z kawałeczkiem sera. Ustaliło się nawet przysłowie, że „paj" bez sera to jak pocałunek bez uścisku. Nie mogę tu wchodzić w szczegóły kulinarne, nadmienię tylko mimochodem, że jeżeli w Polsce chcecie zwabić do restauracji Amerykanina wystawcie mu w oknie, lub też na jadłospisie zanotujcie, że podajecie — amerykańskie „paje" a każdy Amerykanin pójdzie na to, jak na lato.

„Paj" robią z ciasta, do którego dodaje się trochę szmalcu, szczyptę soli, cienko rozwałkowują i kładą na blaszkę. Na to kładzie się grubą warstwę drobno pokrajanych jabłek, posypanych cukrem i zmielonym cynamonem. To się znów pokrywa cienką warstwą tego samego ciasta, tej grubości co nasze polskie pirożki. Chcąc do smaku dodać jeszcze artyzmu gosposie na tem wycinają nożem zakopiańskie desenie, obrąbek robią widelcem i na pół godziny wstawiają do gorącego pieca. Po należytem wypieczeniu macie coś smacznego, ciasto brunatne, a w niem rozgotowane jabłko słodzone i doprawiane cynamonem. Można te marcepany równie łatwo przygotować z innych owoców, a szczególnie wiśni, brzoskwini, rodzynków i t. d. Pierwszorzędna restauracja amerykańska ma zawsze dla wybrednych guścików, przynajmniej w tej gałęzi, bardzo bogaty wybór.

Znów zjechałem z drogi i poprostu razem z „pajami" wleciałem do amerykańskiej kuchni, zaliczonej do najgorszych pod słońcem. Teraz przyrzekam że trzymać się będę prostej drogi jadąc przez Springfield, Columbus, gdzie się znajduje kapitol stanowy, a dalej przez Zanesville, Cambridge do Wheeling w West Virginii.

Springfield, pierwsze z brzegu jest typowe średniej wielkości miasteczko liczące około trzydzieści tysięcy mieszkańców. Nazywają je „miastem róż", dlatego, że kilkadziesiąt olbrzymich oranżeryj w niem się obozem rozłożyło, specjalizując w hodowli

najrozmaitszych gatunków róż. Tu znajduje się także olbrzymia drukarnia Crowell Publishing Co., bijąca kilka z naszych popularnych miesięczników, a po naszemu „magazynów". Najważniejsze z tych są „Colliers Weekly", „American Magazine", „Country Home", Woman's Home Companion. Miesięczna cyrkulacja tych pism wynosi siedmnaście miljonów egzemplarzy. Na wydrukowanie takiej ilości potrzeba dziennie czternaście wagonów papieru i dwie i pół tony atramentu. A takich wydawnictw, co to wyrastają jak grzyby po deszczu i rakietują do miljonowych cyrkulacyj mamy kilkadziesiąt. Sto tysięcy egzemplarzy na czasopismo amerykańskie — to drobnostka. Przytem jeszcze trzeba zważać na bogaty materjał, kolorowe ilustracje, piękną a oryginalną okładkę.

Nie jestem teraz au courant co do wydawnictw, miesięczników i tygodników, ale taki Saturday Evening Post, założony przez naszego pierwszego drukarza Benjamina Franklina wychodził co tydzień w blisko dwóch miljonach egzemplarzy. Kosztował dolar pięćdziesiąt centów na rok, pięć centów egzemplarz, a wartość samego papieru na wagę kosztowoła w księgarni od dzisięciu do piętnastu centów. Można było tyle papieru z eleganckiemi ilustracjami i pierwszorzędnemi artykułami drukować tak tanio i sprzedawać po tej cenie jedynie dlatego, że koszta opłacały ogłoszenia. Jedna stronica nieraz zakontraktowana i częściowo zapłacona miesiące z góry, kosztowała od kilku do kilkunastu a nawet kilkudziesięciu tysięcy dolarów za jedno wydanie.

Parę mil za miastem po lewej stronie drogi napotykam na małem wzgórzu okoloną krzewami statuę — Madonna of the Trail — czyli Madonna Drogi. Przedstawia to prototyp naszych pionierek z dzieckiem na ręce. Szły tędy tysiącami szukając na szerokim stepie nowych ognisk rodzinnych. Podobne statuy można oglądać w ważniejszych miastach od oceanu do oceanu na upamiętnienie tych dróg i trudów naszych pionierów.

Columbus, jak Indianopolis jest stolicą stanu i niemal w samym centrum geograficznem położone, tak, że z najdalszych zakątków mogą obywatele ze swemi sprawami i żalami łatwo się do niego dostać. Zresztą, wszyscy jeżdżą samochodami, drogi znakomite, komunikacja łatwa, więc też sto dwieście mil uważa się za zwykłą przejażdżkę. Nawet przeciętny turysta z Nowej

Anglji, tu już się czuje w domu, a przynajmniej w bliskiem sąsiedztwie, gdyż w jednej dobie mógłby się do domu dostać. Znam takiego jegomościa, który w dwóch tygodniach „kopnął“ się z Connecticut do Yellowstone Parku, pogadał z niedźwiedziami, złowił kilka pstrągów i wrócił do domu. Ot mała bagatelka sześć tysięcy kilometrów.

Od czasu do czasu w tych żyznych okolicach wiosenne roztopy i deszcze powodowały ogromne wylewy i miljonowe straty w dobytku. W niektórych miastach ludzie po głównych ulicach pływali łódkami, niby w starej i stęchłej Wenecji. Dlatego rząd zabrał się do regulacji rzek, budując przy nich długie tamy, nasypy i spusty, któremi można wzrost gwałtowny wody kontrolować i wstrzymywać. W kilku miejscach tę pracę rządową napotykam. Przy każdym nasypie i tamie napis, że to jest robota rządowa do uregulowania wylewu rzeki.

Columbus otrzymało za swego patrona odkrywcę Ameryki. Nadało sobie przydomek „Serca Wielkiego Stanu“ zapewne dlatego, że w samym środku je założono. Nie będę opisywał jego początków, bo to zawsze ta sama historja. Przed stu kilkudziesięciu laty inżynierzy wymierzyli wśród lasu, nad większą rzeczką miasta. Tu ma kapitol. tam więzienie, a opodal fort, kościół lub sklepy i wio do roboty. Za sto lat wyrósł kolos na europejskie stosunki, liczących trzysta lub czterysta tysięcy mieszkańców — „just another Amerycan city“ — tylko znów amerykańskie miasto i nic więcej.

Ohio jest stanem przemysłowym i rolniczym. Leży na głównym trakcie komunikacji ze wschodu na zachód, posiada spławne rzeki, gęstą sieć kolei, a nawet linje napowietrzne. Trzecia część stanu zawiera pokłady węgla, jest też trochę oleju, gazu, soli, a przedewszystkiem kamienia wapiennego, piaskowca i glinek odpowiednich do wyrobu najrozmaitszych misek, talerzy, wazonów, jednem słowem wyrobów ceramicznych. Na tem polu Ohio przoduje i swe wyroby wysyła po wszystkich zakątkach świata. Cegieł, rur do drenowania, cementu produkuje ogromną ilość przedstawiającą wartość ponad sto miljonów dolarów rocznie. W centrum miasta Columbus mijam imponujący kapitol, zbudowany kosztem niemal dwu miljonów dolarów. Jest to poniekąd kombinacja stylu greckiego z domieszką francuskiego z czasów Ludwika XIV. Patrząc na fasadę przypomina się stary Paryż.

Opuszczając Columbus wjeżdżam stopniowo w okolice faliste, pagórkowate przypominające podkarpacie. Okolica obfituje w węgiel, naftę, gaz ziemny a przedewszystkiem w bogate pokłady glinki używanej w zakładach ceramicznych. Zanesville uważa się za „typowe amerykańskie miasto". W niem się koncentrują fabryki wyrobów ceramicznych, artystycznych wazonów, statuetek, tafli polewanych, używanych do wykładania pokoi kąpielowych, cegły różnokolorowej. Przy drogach napotykam całe wystawy statuetek, psów, kotów, garnków i najrozmaitszych prawdziwie artystycznie wykonanych sprzętów, wazonów i wszelkiego gatunku przyborów z glinki robionych i wypalanych. To Limoges amerykańskie.

Niezwykła budowa uderza tu każdego turystę, a jest nią dziwny i jedyny w swym rodzaju most, w kształcie litery „Y". Most na samym środku dosyć szerokiej rzeki dzieli się na dwie w przeciwnych kierunku idące odnogi. Jeżeliś nie ostrożny, a pędzisz za szybko toś gotów się zwalić do rzeki czegobym za przyjemność nie uważał. Zane Gray, jeden z wybitnych powieściopisarzy, piszący przeważnie na temat naszych stepów, pustyń i cowboyów stąd wywodzi swój ród i nazwisko. Cass Gilbert, uznany za jednego z najsłynniejszych architektów amerykańskich, budowniczy słynnego Woolworth Buiding w Nowym Jorku i kapitolu w St. Paul, jest także rodem z Zanesville.

Za miastem wjeżdżam w rejon całkiem górzysty i w tereny węglowe. Nad wieczorem, w miasteczkach widzę umorusanych górników z małemi lampkami u czapek, gdyż wracają lub idą do szybów pobliskich kopalń. Farmy i zabudowania gospodarskie nieliczne i biedne, widać że ziemia zbyt górzysta i nieurodzajna. Zato we wnętrzu jej kryją się nieprzebrane skarby węgla. O zachodzie słońca spuszczam się krętą drogą w dolinę rzeki Ohio stanowiącą w tem miejscu granicę między Ohio i Zachodnią Virginją.

Rozdział X.

WEST WIRGINJA.

Z początku była tylko jedna Wirginja. Podczas wojny domowej część zachodnia, górzysta, była za unją i przeciwko niewolnictwu. W roku 1862-ym tutejsi „górale“ oderwali się od Wirginji i założyli nowy stan, który początkowo nazywano Kanawha, a później wrócono do nazwy Wirginja z dodatkiem West czyli zachodnia.

Co do granic, jest to może najbardziej skomplikowany ze wszystkich stanów. Nie posiada prawie żadnych regularnych linij granicznych z wyjątkiem tej części, która graniczy z Pensylwanją; resztę tworzą rzeki, doliny i góry.

Obszarem niewielki stan, obejmuje zaledwo dwadzieścia cztery tysiące mil kwadratowych. Pod względem topograficznym jest to stan górzysty, poprzerzynany licznemi rzekami i malowniczemi dolinami. Tędy bowiem ciągnie się pasmo wysokich wzgórz zwanych Applachian Mountains.

Doliny pokryły się małemi osadami rolniczemi, a przy bystrych rzekach obfitujących w siłę wodną powstały liczne miasteczka i większe środowiska przemysłowe. Zachodnią Wirginję uważają za nasz narodowy „skład węgla“. Mamy go około sto pięćdziesiąt miljardów ton, a trzeba pamiętać, że miljard znaczy tysiąc miljonów, a tony także nikt na plecy do worka nie weźmie. W West Wirginji jest dosyć węgla, aby przez kilka set lat palić we wszystkich piecach i kotłach amerykańskich.

Tani i obfity węgiel, siła wodna i łatwa komunikacja spławnemi rzekami i kolejami spowodowała wielki rozwój przemysłowy tego ciekawego, a zarazem uroczego zakątka Ameryki. Ponieważ w dodatku mają gaz ziemny, olej, a także wyjątkowo dobry

piasek do wyrobu szkła, dlatego huty szklane się rozmnożyły, produkując rocznie szkła za blisko pięćdziesiąt miljonów dolarów. Nie brakuje także wapna, soli, rudy żelaznej i wielu innych kruszców.

W White Sulphur Springs są słynne źródła mineralne, do których zjeżdżają bogaci amerykańscy pacjenci, piją mineralne wody, grają w golfa, wałęsają się po górach i stosunkowo dosyć gęstych lasach i tak Bogu czas kradną, udając chorych.

Stalownie, huty szklane, cementownie, rafinerje nafty, solanki, produkujące prócz zwykłych soli stołowych, kilka innych gatunków, jak sole jodowe, potasowe, używane w przemyśle i medycynie. Ważnem źródłem przemysłu i handlu są jeszcze dosyć liczne lasy liściaste.

Spuszczam się krętą drogą w tę nadzwyczaj przemysłową dolinę rzeki Ohio do Wheeling, największego miasta w stanie West Wirginja. Przed stu pięćdziesięciu laty w tych wąwozach zbudowano fortecę do ochrony pierwszych osadników przed napadem ze strony Indjan. Tu podobno miała być ostatnia bitwa w walce o niepodległość, gdy Indjanie wraz z Anglikami przypuścili bezskuteczny atak do tej prymitywnej twierdzy, otoczonej ostrokołem. Bronzowa tablica na miejscu, gdzie stała pierwsza placówka białej kultury ten fakt upamiętnia.

Same miasto nic ciekawego nie zawiera. Robi wrażenie miasta brudnego, pełnego dymu i swędu zapewne od dymiących kominów fabrycznych. Prócz stalowni hut szklanych, ogromnej elektrowni, jednej z największych w Ameryce, są tu także olbrzymie fabryki tytoniu, w których wyrabiają rocznie około sto miljonów cienkich, długich cygar, zwanych „stogies“, a ponadto sto pięćdziesiąt miljonów paczek tytoniu do żucia czyli „ciu tabaki“. Amerykanie nietylko że są zawodowymi palaczami, ale także w dodatku żują odpowiednio spreparowany tytoń. Mają trzy sposoby przygotowania tytoniu do żucia czyli „ciu tabaki“. Najpopularniejsze są małe cegiełki tytoniowe robione z całych liści poprzednio namoczonych w syropie. Drugi gatunek przychodzi w paczkach drobniutko pocięty, niby tytonie rosyjskie, lub tureckie, także zakrapiane melasą, to się nazywa „fine cut“, a ten w cegiełkach nazywają „plug tobacco“. Jest jeszcze trzeci gatunek, a tym jest zwykła mielona tabaka gdzie indziej używana do zażywania. Nazywają to „Copenhagen Snuse“ i jest przeważ-

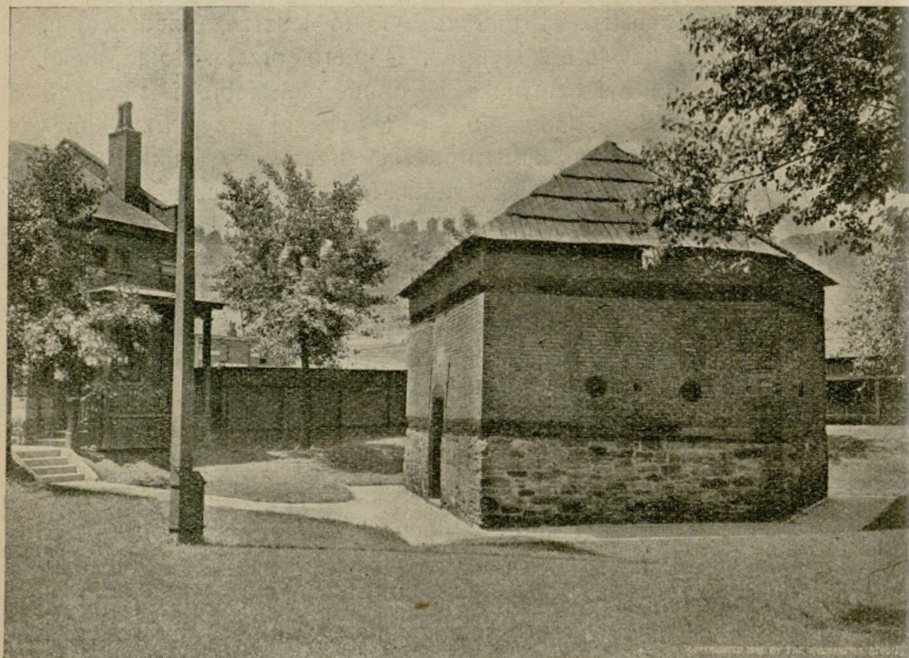
nie w użyciu wśrod narodowości skandynawskich. Zdziwiłem się bardzo gdy się dowiedziałem od jednego z mniejszych fabrykantów, że bardzo dużo mielonej tabaki żują dziewczęta przeważnie we fabrykach bawełny. Dla nich specjalnie zaprawiają tytoń jakiemiś wonnemi olejkami.

Żucie tytoniu jest w Ameryce dosyć powszechne. Jeden z mych dawnych sąsiadów opowiadał mi, jakie w Europie miał kłopoty, gdyż w pospiechu zapomniał zabrać większych zapasów tego specjału. Po całym Krakowie łaził szukając „plog ciu tabaki". Żadna austrjacka trafika, było to jeszcze przed wojną, o takiej rzeczy nawet nie słyszała. Dopiero przejeżdżając kanał La Manche zauważył człowieka ogromnie ze siebie i z całego świata zadowolonego. Gdy mu się tak bliżej przypatrzył, spostrzegł, że ten z wielką „kuntentnością" przez zęby „siknął" hen poza okręt cieczą czarną jak smoła. Najtęższa kaczka nie mogłaby mu w tem dorównać. Niewiele się namyślając, przystępuje do szczęśliwca i pyta: „Are you an American citizen"? — „Czy jesteś amerykańskim obywatelem? — You bet I am — Tak, napewno jestem. „Więc daj mi „ciu" t. j. kęs tabaki do żucia". Okazało się, że to był amerykański lekarz, który dłuższy czas spędził we Wiedniu także bez tytoniu do żucia i dopiero w Paryżu dorwał się do tego amerykańskiego specjału. Wtenczas dopiero wypakowawszy sobie usta tym przysmakiem mogli pluć do oceanu i rozkoszować się amerykańskim tytoniem z Wheeling. Ponieważ to był mój serdeczny przyjaciel, dobry sąsiad i znakomity towarzysz rybacki, więc też nie chcę tu Ks. Ciemińskiego a obecnego proboszcza z Winony zdradzić, ale on to właśnie mi swą przygodę z tabaką opowiadał. Nigdy nie szedł na ryby bez tytoniu do żucia, uważał, że bez tego nie byłoby rybitwy.

Na szarym końcu miasta, w dosyć obskurnej dzielnicy odnalazłem polską parafję. Sądząc po wyglądzie zabudowań kościelnych nie bardzo ona prosperuje. Mówiono mi, że tu zamieszkuje kilkaset rodzin polskich, ale życie narodowe zdaje się już dawno zamarło.

Kilkadziesiąt mil za Wheeling jest górnicza osada Menanga. Dwadzieścia pięć lat temu zdarzyła się tam straszna katastrofa, może największa jaką mieliśmy dotychczas w Ameryce. W grudniu 1907-go roku przeszło dwa tysiące ludzi, niemal cały

personel kopalni zeszedł do pracy. Nieszczęście chciało, że jeden z wózków z węglem się zerwał, zleciał z toru, przerwał drut elektryczny i nastąpiła straszna eksplozja. Setki robotników zostało rozszarpanych na drobne kawałki, tak że nie można ich było rozpoznać, a reszta zginęła od zaczadzenia gazem. Z przeszło dwóch tysięcy ludzi zaledwie uratowano jednego człowieka i to Polaka. Widać, że eksplozja rzuciła go na ziemię twarzą do małego kacerka wody, to go uratowało od zaczadzenia.



Fort Pitt — od którego Pittsburg wywodzi swą nazwę.

Opowiadał mi Ks. Lekston, który naówczas był tam proboszczem, co za straszne rzeczy tam się działy, jakie sceny rozdzierające serce, gdy zaczęto wydobywać setki trupow. Jedni pocharatani na kawałki, inni, zaczadzeni gazem, biali i bladzi. Trzeba było sprowadzać trumny ze wszystkich okolicznych miast. Jedne bogate, inne proste z desek. Kobiety nieraz się z urzędnikami o trumny kłóciły, że tamtej mąż dostał lepszą trumnę od jej nieboszczyka. Brali co było pod ręką, kładli ich rzędem

do wspólnej olbrzymiej mogiły. Niektóre części kopalni zupełnie zamurowano wraz z poszarpanemi ciałami górników.

Za parę tygodni przyszli inni i robota szła zwykłym trybem, tylko na cmentarzu powstała ogromna bratnia mogiła robociarzy. W tym wypadku zginęło kilkaset Polaków.

Z Wheeling wzdłuż rzeki Ohio ruszam w kierunku północnym do Steubenville odwiedzić starego znajomego i dzielnego szermierza sprawy polskiej Ks. Smogóra. Sunę wąską doliną, niemal że kotliną w której się wije srebrzysta wstęga niezbyt szerokiej, ale głębokiej i spławnej rzeki Ohio. Holowniki wloką węglem lub rudą naładowane szerokie, płaskie, a na kilkadziesiąt stóp długie skuty zwane — „scows". Mijam małe przemysłowe osady. Wszędzie pełno kominów, kup czarnego węgla, lub czerwonej rudy żelaznej.

Steubenville jest także w całem tego słowa znaczeniu miasteczkiem przemysłowem, liczącem jakie dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy mieszkańców. Wskazano mi polski kościół na wzgórzu zbudowany, więc też ucieszyłem się niezmiernie, gdy zastałem gościnnego proboszcza w domu. W trzech miesiącach podróży to dopiero druga polska plebanja, do której na chwilkę wpadłem, aby, że tak powiem, stare znajomości odnowić, o dawnych dziejach wspomnieć i cośkolwiek „języka zasięgnąć".

Murowany kościół, nowa szkoła, obszerna plebanja i wszędzie wzorowy porządek wskazuje, że miejscowy proboszcz nie próżnuje, ale prowadzi i utrzymuje wszystko w staropolskim rygorze. Tylko okiem rzucisz, a wiesz z kim masz do czynienia. Czas szybko płynął na miłej pogawędce. Częstośmy się na sejmach wychodźtwa spotykali, nad sprawami narodowemi i kościelnemi radzili, fundusze na cele narodowe zbierali... Wszystko gdzieś, niemal bez wieści, zniknęło... Zdaje się, że to tylko sen... jakaś zmora... Tak to już dziś... dawne i zapomniane... To pełne życia wychodźtwo, przycichło i jak ten gasnący ogień na kominie od czasu do czasu pęknie bukietem iskier, lub zasyczy bólem krzywdy!...

Na temat naszych ajrysko-polskich stosunków ciekawą opowiadał mi Ks. Smogór przygodę, którą powtarzam dlatego, że obrazuje nasz wzajemny stosunek. Ci, co swój język setki lat temu stracili, chcieliby, abyśmy się jak najprędzej naszego, jako zbytecznego ciężaru i niepotrzebnego bagażu wyzbyli, innemi

słowy abyśmy się — zamerykanizowali. Otóż co mi opowiadał Ks. Smogór.

Z okazji konsekracji katedry w Wheeling przybyła na tę uroczystość spora gromada reprezentantów episkopatu amerykańskiego a między tymi arcypiskup Curley z Baltimore. Ponieważ dzienniki polskie podały jego mowę wygłoszoną w jednej z polskich parafij w Baltimore, w której pod niebo wychwalał Polaków, księża polscy z tej okolicy postanowili mu podziękować za te słowa pochwały i uznania dla rodaków.

Po ceremonjach kościelnych grono księży poprosiło arcybiskupa Curley'a do osobnej sali i Ks. Smogór, chociaż w kraju rodzony jednakowoż mówiący płynnie i bez akcentu po angielsku, w imieniu duchowieństwa polskiego z doliny rzeki Ohio — podziękował mu za jego „szczere" sentymenta, jakie żywi wobec Polaków. Arcybiskup w swej pogadance powiedział, że owszem polacy w jego archidiecezji są bardzo dobrymi, szczodrymi i gorliwymi katolikami. Zachęcał ich, aby zachowali swe polskie zwyczaje i język. Księżom zaś doradzał zupełnie co innego. Mianowicie, że powinni dokładać wszelkich starań, aby Polaków jak najprędzej zamerykanizować i zachęcać ich do języka angielskiego i przyjęcia zwyczajów i kultury amerykańskiej, gdyż tylko w ten sposób mogą iść naprzód. Taką amerykanizacyjną pracę zalecał zebranym księżom, którzy przyszli mu podziękować za jego „polskie" sentymenty i życzliwość.

Jakby ich ktoś ukropem oblał. A Ks. Smogór, który i w piórze i w gębie jest cięty, powiada arcybiskupowi: „Czemu ty im tego nie powiesz, że mają zarzucić polski język i zwyczaje, przyjąć amerykański, a właściwie angielski język i uczyć się religji po angielsku"? Arcybiskup odpowiada: „Że jemu nie wypada tak publicznie powiedzieć". Ogromnie się oburzyli księża na tę ajryską dwulicowość. Niestety to nie jest jakiś odosobniony wypadek, to jest powszechna tendencja nietyle rządu ile hierarchji kościelnej. Innemu biskupowi, gdy mu zwrócił uwagę „że tu jest Ameryka a nie Polska" — Ks. Smogór odpowiedział: „Tak, masz słuszność — tu nie Irlandja tylko Ameryka! Jeden z naszych wybitnych Polaków p. Siwiński z Baltimore powiedział:" Przyjmujemy i popieramy amerykanizację z Waszyngtonu, ale nie z Berlina ani z Dublina.

Mimo szczerego „pozostań z nami, bo się ma ku wieczoro-

wi", nie skorzystałem ze serdecznego zaproszenia gościnnego proboszcza, by dłużej zostać i podzielić się wrażeniami z podróży. Ruszyłem niezwłocznie do Pittsburgu, przez rzekę Ohio i maluteńki skrawek West Wirginja, która się tu klinem między Ohio i Pensylwanję wtłoczyła.

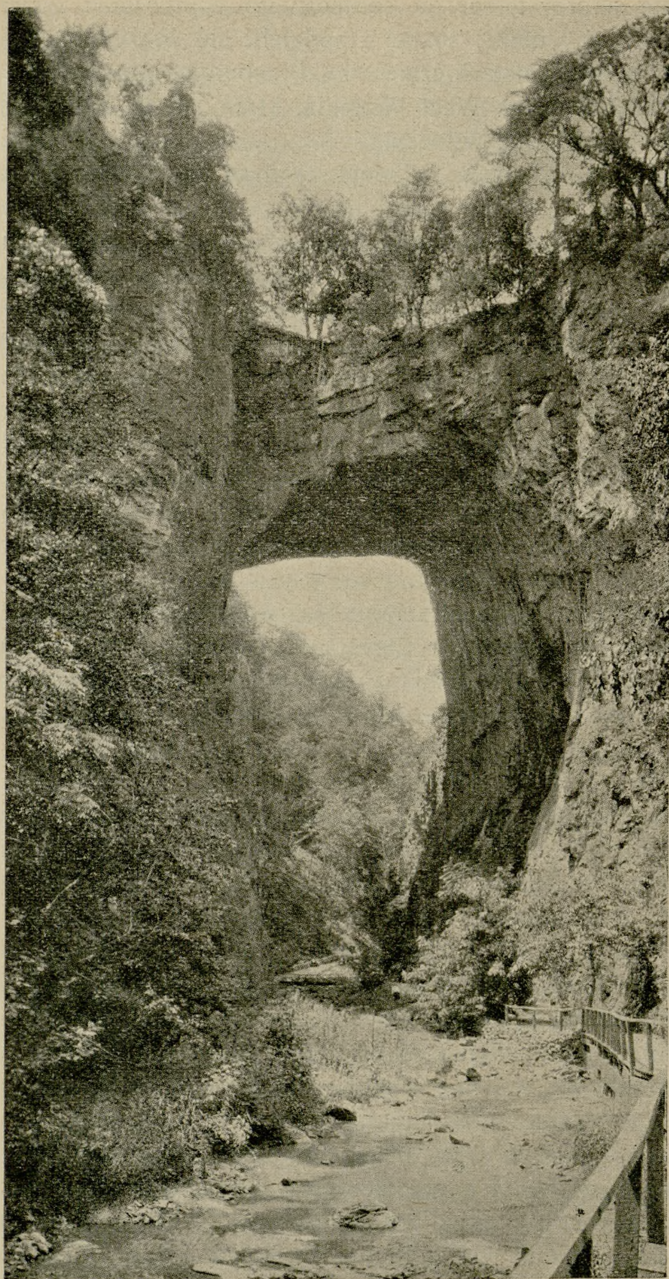
Okolica górzysta. Ziemia, sądząc po nędznych farmach i kamieniach, niezbyt urodzajna. Zato kryje w swem wnętrzu ogromne pokłady miękkiego węgla. Zachodnia część Pensylwanji i tuż obok sąsiadującej Wirginji stanowią nasz rezerwuar węglowy. Dlatego właśnie, począwszy od Chicago, wzdłuż wielkich jezior Michigan, Erie i Ontario, rozwinął się ciężki przemysł żelazny. Łatwy i tani transport rudy żelaznej z Minnesoty i Wisconsinu okrętami na wielkich jeziorach, szeroki pas węgla, ciągnący się od rzeki Mississippi przez Illinois, Indjanę, Ohio, Wirginję i Pensylwanję, uczynił z tych stanów kuźnię przemysłu. Obfity zapas surowca, tania i dogodna komunikacja, łatwy dostaw żywności z okolicznych okręgów rolniczych spowodowały ten szalony rozwój przemysłowy.

Co kilkadziesiąt mil napotykasz wielkie miasta, jak Pittsburgh, Wheeling, Youngstown, Cleveland, Dayton, Akron, Columbus, Toledo, Detroit. Zaś dalej na zachód znów cały kompleks wielkich przemysłowych zrzeszeń, mających Chicago za punkt centralny. W porównaniu z tą częścią kraju, Górny Śląsk i zagłębie Ruhry są tylko małemi zakątkami.

Jeżeli tyle powstało w jednem stuleciu, jeżeli z dzikich lasów wyrosły olbrzymie metropolje przemysłu, cóż się tu dziać będzie za drugie sto lat!... Wszędzie pełno życia, olbrzymiego rozpędu i niezłomnej, a wszystko pokonującej energji.

Pittsburgh u połączenia dwóch spławnych rzek: Mononge-hela i Alleghany, stanowi jedno z głównych centrów przemysłu hutniczego w Stanach Zjednoczonych. Rzeka Ohio, o której tylokrotnie wspomniałem, tu się rozpoczyna przez połączenie dwóch mniejszych, ale spławnych rzek Alleghany i Monongehela. Stanowi ona ważną linję komunikacyjną tego zagłębia stali i węgla.

Gdy patrzymy na mapę Północnej Ameryki, uderza nas to, że ten olbrzymi kraj przemysłowo-rolniczy, obejmujący niemal środek kontynentu, jest połączony z oceanem Atlantyckim drogami wodnemi. Od południa czyli od zatoki Meksykańskiej środek kraju przerzyna arterja wodna — rzeka Mississippi. Od



Naturalny most w Wirginji.

niej zaś ku wschodowi, oddzielając kilka stanów, płynie Ohio, na zachód, ku górom Skalistym — Missouri. Cośkolwiek dalej na północ rozlały się ogromne jeziora, a właściwie — morza słodkiej wody, rzekami z sobą połączone. Z oceanem wiąże je potężna rzeka św. Wawrzyńca. Ta po niedługim czasie przeistoczy się w naszą najgłówniejszą arterję przemysłu i handlu. Trzeba będzie jej wodospady i porohy przy pomocy kanałów i tam uregulować dla większych okrętów. Nad projektem tym pracują od dłuższego czasu rząd amerykański i kanadyjski, trudności tylko stawiają miasta portowe: Nowy Jork, Filadelfja, Baltimore. Przeszkadzają także trudności międzynarodowe, gdyż rzeka stanowi częściowo granicę między Stanami Zjednoczonemi a Kanadą. To jednak będzie tylko do czasu. Konieczność i naturalna ekspansja kraju to uskutecznią. Wtenczas okręty z całego świata bezpośrednio popłyną do ogromnych pól pszenicy w Minnesocie i Dakocie, do kopalń miedzi i rudy żelaznej, do źródeł nafty i nieprzebranych pokładów węgla. Dziesiątki miljonów ludności tu się wtedy osiedlą. Powstaną nowe, wielkie miasta, także centra przemysłu i międzynarodowego handlu.

Pittsburgh chwycił w przemysłowe szpony i silnie związał w jeden ogromny węzeł trzy spławne rzeki. Ciągnie się po ich brzegach w różnym kierunku. Niby pajęczyną, omotał je licznemi, a w niektórych wypadkach bardzo artystycznemi mostami. Ile tego jest, trudno powiedzieć. Jeden powiat Allegheny ma ich blisko trzysta pięćdziesiąt. Niektóre są bardzo kosztowne, poprostu arcydzieła kunsztu inżynierskiego. Koszta większych mostów wynoszą od miljona do siedmiu miljonów. W niektórych miejscach rzucono mosty nietylko przez rzekę ale połączono niemi dwa wzgórza, tworząc ogromne, na mile długie, wiadukty. Gdzie się to okazało niepraktyczne, wiercono przez skaliste wzgórza wygodne tunele. Nie szczędzono kosztów na łatwiejszą i szybszą komunikację, zaoszczędzając na czasie, o którym zawsze się mówi — że, „czas to pieniądz".

Pierwsi osadnicy doceniali położenie tej placówki u połączenia rzek. Francuzi zbudowali małą twierdzę w tym, na owe czasy ważnym, punkcie strategicznym. Nazywali to fort Duquesne. Anglicy pod wodzą generała Braddocka, którego adjutantem był młody Waszyngton, usiłowali im go przemocą odebrać. Tamci wraz z czerwonoskórymi sprzymierzeńcami urządzili zasadzkę

i straszną zadali im klęskę. Generał Braddock ciężko ranny zmarł w odwrocie, a młody Waszyngton, wtenczas gorliwy obrońca króla, wyszedł cało, chociaż ubito pod nim konia i mundur kulami podziurawiono. W roku 1750 Anglicy zdobyli Duquesne i na cześć angielskiego premjera Pittá nazwali osadę Pitts Borough, z czego się ewentualnie wyłoniło — Pittsburgh.

Jest to przedewszystkiem miasto fabryczne. Przemysł stalowy, szklany i aluminjowy odgrywa pierwszą rolę. Mógłbym znów wyliczyć litanję wyrobów, w których Pittsburgh przoduje światu.

Ciekawe, że w tem mieście stali i węgla znajduje się także największa fabryka konserw na świecie — Hienza. Ich pięćdziesiąt siedm gatunków artykułów spożywczych, mających za markę ochronną ogórek z numerem 57, jest znanych na całej kuli ziemskiej. Goście są tu mile widziani, a odpowiednio wykwalifikowani przewodnicy oprowadzają zwiedzających po ważniejszych oddziałach tego ogromnego przedsiębiorstwa.

Wśród obszernych zabudowań uniwersytetu pittsburghskiego rzuca się w oczy turyście ogromny, ponad czterdzieści piątr wysoki kolos — To „Katedra Wiedzy". Zapewne w tym gmachu można iść „coraz wyżej", jeżeli nie w naukach to przynajmniej — po schodach — lub windą.

Pittsburgh miał za swych obywateli dwóch zamożnych magnatów stali. Byli nimi C. H. Frick i Andrzej Carnegie. Ostatni szczególnie zyskał międzynarodową sławę. Przybył ze Szkocji jako biedny chłopak. Zrobił fortunę w przemyśle hutniczym, następnie zaczął ten majątek rozdawać, fundując po całym świecie bibljoteki. Takich „Bibljotek Carnegiego" jest bardzo wiele. Miasto dawało połowę pieniędzy, on — drugą. Nie żałował także grosza na organy. We wielu kościołach protestanckich, a nawet katolickich, znajdują się organy częściowo przez niego fundowane.

W samym Pittsburgu, wśród innych jego donacyj i pamiątek, na uwagę zasługuje słynny — Instytut Carnegiego. Już sam budynek lśni się od najrozmaitszych gatunków marmuru i wspaniałych, artystycznych bronzów. Główne wejście a właściwie „foyer" olbrzymiego gmachu uważają za jeden z najpiękniejszych na zachodnim kontynencie.

W gmachu mieści się muzeum, zawierające najrozmaitsze i najciekawsze zbiory z całej kuli ziemskiej. Liczą tu około dwa

miljony przeróżnych okazów począwszy od kolekcyj wszelkiego rodzaju drogocennych minjatur, wyrobów z kości słoniowej, a skończywszy na przedpotowych mamutach, ichthyosaurach i rzadkich „diplodokusach", wobec których sienkiewiczowskie „dziekany" nic nie znaczą. Kopje tego przedpotowego zwierza wyłowionego w piaskach Wyomingu, rozesłano swego czasu wszystkim cesarzom i potentatom europejskim.

W oddziale architektury umieszczono kopję fasady katedry francuskiej St. Gilles, z Gare. Ażeby to uskutecznić, trzeba za pozwoleniem rządu francuskiego kawałek za kawałkiem całą fasadę jakimś woskiem czy łojem smarować i dopiero w gipsie robić odbitki, przewozić do Ameryki i znów reprodukować. Galerje sztuk pięknych zawierają moc nowoczesnych arcydzieł sztuki. Bibljoteka z instytutem połączona liczy blisko miljon tomów. W obszernem audytorjum umieszczono wspaniały organ; w każdą sobotę i niedzielę dają na nim bezpłatne koncerty.

W Pittsburgh i na jego przedmieściach od lat wielu zamieszkuje stara kolonja polska. Ilu ich jest — napewno powiedzieć nie mogę, mówią że około sto trzydzieści tysięcy dusz. Posiadają liczne parafje, kościoły, szkoły, domy narodowe, organizacje patrjotyczne, pismo codzienne i tygodniowe. Sokoli mają tu główną kwaterę. Dr. Starzyński, prezes Sokołów, jeden z pierwszych, rzucił hasło stworzenia siły zbrojnej, aby stanęła w szeregach aljantów do walki za Ojczyznę. Pan Stanisław Osada, p. Alski z „Pittsburczanina", Ks. prałat Górzyński i wielu innych zapisało się chlubnie w pracy dla Ojczyzny.

Nie będę w Pittsburgu dłużej popasał. Szerokiemi bulwarami przerzynam miasto i drogą U. S. 30 ruszam w kierunku południowo-wschodnim, przez Greensburg, Bedford, McConnellsburg, Chambersburg do Gettysburga.

Droga pierwszej klasy prowadzi przez liczne, wysokie wzgórza, z których przed oczyma turysty roztacza się wspaniała, górska panorama. Niekiedy mijam urocze, farmami pokratowane doliny i bystre rzeczki. Stare dęby dawno wytrzebione, ale skaliste wzgórza znów się gęstemi lasami zazieleniły, dostarczając opału i stempli do cembrowania złóż węglowych w okolicznych kopalniach. Cały dzień jadę wśród wzgórz i uroczych dolin, do największego pola bitwy na zachodnim kontynencie.

Rozdział XI.

GETTYSBURGH.

Zanim przystąpię do opisu strasznej tragedji, jaka się tu d. 1, 2, 3,-go lipca 1863-go roku rozegrała, niech mi będzie wolno, jako wstęp do dalszej opowieści, wyciągnąć kartkę z własnego, szarego, kapłańskiego żywota. Wiem, że czytelnicy te „kawały“ niby grzyby z barszczu, z lubością wyławiają, co może, te zresztą monotonne opisy trochę urozmaica i zaciekawia.

Był to dla mnie pamiętny i wprost feralny dzień, gdy w styczniu, 1921-go roku wylądowałem w Gdańsku. Na okręcie certowałem się z jakąś piękną żydóweczką, wracająca z Kopenhagi do Warszawy. Pojechała tam się „odżywić“, bo w Polsce, po najeździe bolszewickim, wszystkiego trochę brakowało.

Miałem wówczas pod swym nadzorem „pocztę dyplomatyczną“ z Waszyngtonu. Jechałem niby „kuryjer dyplomatyczny“, ale za wszystko z własnej kieszeni płaciłem. Korzystając jednak z mych wyjątkowych przywilejów, czem prędzej z okrętu „machnąłem“ do Gdańska. Wtenczas właśnie przypadkowo trafiłem na znajomych i do niewoli przyjacielskiej zabrałem całą armję i flotę polską jaka się w mieście znajdowała. Wspomniałem już o tem na innem miejscu.

Jadąc do Gdańska, z przystani, w starym rozchlebotanym fordzie, miałem prócz polskiego urzędnika portowego, za towarzyszów podróży, Duńczyka i Anglika. Ten widząc przed sobą „Amerykanina“, zaczął psioczyć i wymyślać na Polaków i Polskę. Zapewniał mnie, że Polacy się ze wszystkimi sąsiadami kłócą i biją, że się między sobą nie mogą pogodzić, że mają pełno partyj i partyjek, że są to lenie skończone i dranie, że za kołnierz nie wylewają i t. d. Jednem słowem — wymyślał, co tylko

wlazło i jak przypuszczał, odpowiednio „informował“ nowoprzybyłego — Amerykanina.

Coprawda we wielu zarzutach miał słuszność, ale to jeszcze nie znaczyło, że to mu ujdzie bezkarnie. Ponieważ było to, „pro publico bono“, że tak powiem, w obronie dobrego imienia Polski i Polaków, już nawet nie wspominam nadobnych, a serdecznych Polek, więc też siarczystą dałem mu odpowiedź. Oberwało się przytem Lloyd Georgeowi i całemu „perfidnemu“ Albionowi.

„Słuchaj, gadam zdumionemu Anglikowi — po wojnie odbudowaliście Polskę, nieprawda? Ale jakie wymierzyliście granice? Tu i ówdzie nakreśliliście linje, a o resztę, że tak powiem, kazaliście się bić! Tu ustanowiliście plebiscyt, tam wojnę, a gdzie indziej postawiliście jakąś międzynarodową „komisję“, która miała pilnować tysiącletniego narodu, niby jakiegoś smarkatego dzieciaka!! Nawet na stary, polski, a przez szwabów zapaskudzony Gdańsk, położyliście łapę! Chcieliście każdy port na świecie mieć w swych szponach!!“ Nawiasem mówiąc, już za to samo należałby mi się jakiś wielki order od rządu polskiego.

Ale to nie był koniec. Bo jak się „ozeźlę“, to już niełatwo stygnę w mym słusznym gniewie. Więc też zgłupiałemu Anglikowi, który ślepie na mnie niby sowa wybałuszył, gadam dalej: „Powiadasz, mówię, że Polacy się kłócą“. To już u nas zasada, że „kto się lubi to się czubi“. Ale w tysiącletniej historji polskiego narodu nie mamy takich krwawych karlek, jakie sobie wypisała Anglja. Nie mamy „Walki Róż“ — potężnych domów angielskich — nie mamy Cromwella, nie mamy w Polsce „London Tower“, gdzieście królom i zasłużonym ludziom głowy ścinali, niby kogutom!...“

Walę mu, co się zmieści. Rzucałem faktami historycznemi „niby Konopacka dyskiem, a Kiepura — pyskiem“. „Słuchaj, powiadam skonfundowanemu Anglikowi, który taką burzę znienacka i całkiem niespodzianie wywołał, przejdź całą Polskę wszerz i wzdłuż! Wszędzie znajdziesz poległych rycerzy kurchany i bohaterów mogiły! Dali oni, dadzą ich synowie życie w obronie Ojczyzny. Tysiąc lat walczy naród polski o swój kawałek ziemi!! Przelewaliśmy krew naszą w obronie wolności wszystkich narodów! Kości naszych bohaterów bieleją na wszystkich polach bitew, niemal po całej kuli ziemskiej rozrzuconych. Ale krwi bratniej, w wojnie bratobójczej nie przelewaliśmy!!

Stany Zjednoczone są stosunkowo młodym krajem. Jestem ich obywatelem z krwi i kości! Na wolnej ziemi Waszyngtona się zrodziłem. Ten dopiero wraz z Kościuszką skórę wam wygarbował. A jednak Stany Zjednoczone, w niespełna ośmdziesiąt lat niepodległego bytu, potrafiły przez cztery lata prowadzić między sobą bratobójczą walkę, która zabrała miljon ofiar, a cały kraj pogrążyła w okropnej nędzy. W wielowiekowej historji Polska nie posiada i mam w Bogu nadzieję, że nigdy nie będzie miała jednego pola bitwy pod Gettysburgiem...“

Tu należałoby postawić wszystkie znaki pisarskie z wszelkiego rodzaju zapytajnikami, gwiazdkami, wykrzyknikami i domyślnikami. To miałoby oznaczać te gromy, jakie się sypały na głowę tego syna Albionu, a których żadna maszyna drukarska nie przełknęłaby bezkarnie. Niczem Reduta Ordona. Tylko ta ewentualnie wyleciała w powietrze, a ja siedziałem do końca, ale zato Anglik czem prędzej zwiał z samochodu. Więc teraz też po tej małej dygresji jesteśmy na słynnem polu bitwy. W trzydniowych, nieustannych zmaganiach legło tu czterdzieści tysięcy zabitych i rannych.

Od Chambersburg do Gettysburg prowadzi teraz szeroka, prosta, cementowa droga. Po obu stronach, przy płotach, rosną bujne krzaki czerwonych, pnących róż. To krew tysięcy rannych przeistoczyła się w róże...

Tędy, trzydziestego czerwca, 1863-go roku, posuwały się kurzem okryte, w siwych mundurach, kolumny piechoty. Za niemi ciągnęły długiemi rzędami bronzowe, żelazne, ciężkie i dalekonośne baterje armat, wozy z amunicją, a jaszczyki wyładowane kulami, kartaczami i granatami, często grzęsły w wybojach dróg polnych. Niektóre wiozły specyjalną amunicję dla nowych bateryj, sprowadzonych aż z Anglji. To pierwsze w Ameryce armaty dalekonośne, nabijane z tyłu, do których podłużne kule były w formie sześciokątnej, tak lane, aby mogły wejść w gwintowania armat. Były to angielskie, dalekonośne Whitworth. Konfederanci kupowali je za bawełnę, sprzedawaną niemal na wagę złota tkalniom angielskim. Co do szybkości strzału i dalekonośności pocisków przewyższały artylerję federalnych. Kule prując powietrze, wydawały szalony gwizd, więc też żołnierze zawczasu wiedzieli, co się święci.

Dalej szły transporty wojska, żywności i wszelkiego ekwi-

punku wojennego. Kawalerja i szybkie, lekkie podjazdy szerokiem półkulem zapuściły się hen na północ, w kierunku stolicy miasta Harrisburga. Główne siły od Chambersburg i Emittsburg dążyły w stronę Gettysburga, aby całą siłą uderzyć na Baltimore przeciąć linje komunikacyjne Waszyngtonu od północy, ewentualnie zająć stolicę i zakończyć wojnę.

Armja południowców składała się z trzech korpusów piechoty, a każdy miał po dwie dywizje; flanki ochraniała dywizja kawalerji. Cała siła zbrojna tej potężnej armji konfederatów, przysposobionej do inwazji stanów północnych, liczyła około osiemdziesiąt pięć tysięcy ludzi, doskonale wyćwiczonych i uzbrojonych. Brakowało im coprawda tylko jednego człowieka, którego zdolności strategicznie starczyły za cały korpus. Był nim generał Stonewall Jackson, może najwybitniejszy strategik w całej wojnie. Zginął w bitwie pod Chancellorsville, zraniony przez własne forpoczty podczas rekonesansu.

Główno dowodzącym armji konfederatów był generał Robert E. Lee, o którym poprzednio była wzmianka przy budowie nasypów regulujących koryto rzeki Mississippi, przy St. Louis.

Na odparcie tego potężnego najazdu rząd federalny przygotował równie silną, a nawet liczniejszą armję, która przez dłuższy czas nad rzekami Rappahannoc i Potomac trzymała w szachu wojska południowców, broniąc im dostępu do Waszyngtonu.

Gdy się dowiedziano, że Lee ruszył z wojskiem doliną rzeki Shenandoah na północ, aby wkroczyć do Pensylwanji, natychmiast uruchomiono armje unijne i ruchem półokrężnym, a w stosunku do południowców — równoległym, posuwano się także na północ. Obie armje w ten sposób robiły ogromne półkole, którego osią i punktem centralnym była stolica kraju — Waszyngton.

Wybaczcie, że wjeżdżam cośkolwiek w sprawy ściśle wojskowe i strategiczne. Uważam to za konieczne i czuję się w swym żywiole. Przecież jako ksiądz od blisko trzydziestu lat staczam krwawe boje, odnoszę zwycięstwo, a nieraz druzgocące klęski w tej uporczywej, nigdy nieskończonej walce ze światem i szatanem. Ten, niby szatan, jest uważany za wielkiego spryciarza i strategika, przez wszystkich Ojców Kościoła, ascetów i świętych Pańskich. Nie przebiera w środkach, aby celu dopiąć i biednego grzesznika kompletnie ubezwładnić i do niewoli piekielnej zabrać

na wieki. Zresztą strategja od czasu wielkiej wojny spowszechniała; uczyliśmy się jej wszyscy. Nie trzeba było uczęszczać do Szkoły Podchorążych, St. Cyru lub West Pointu, aby zostać strategikiem i na polu bitwy, w szary kąt zapchać słynnych, umundorowanych i udekorowanych generałów.

Studjując życie i czyny wielkich wodzów wiemy, że to nie zawsze byli fachowcy. Pismo św. wspomina o zwycięstwie patrjarchy Abrahama, który po rozgromieniu nieprzyjaciół składał symboliczne ofiary. Jozue nie mogąc w jednym dniu należycie wrogów pokonać, słońce zatrzymał i po dziś dzień stoi. Mahabeusze także wrogom sadła za skórę zalali, a cóż dopiero Samson, Dawid i inni?

Hannibal, mój ulubiony bohater i zdaje się największy strategik świata zapewne dyplomów wojskowych nie posiadał, a ile to ambarasu Rzymianom narobił? Nasz Kordecki był księdzem i to nawet zakonnym, a któż mu laurów odmówi?! Więc też nie dziwujcie się mnie skromnemu kapelanowi wojskowemu, że z wojskowością zawarłem bliższe znajomości. To krew żołnierska się odzywa!

Mimochodem nadmienię na uzasadnienie tego, co piszę, że jeden z generałów artylerji w armji południowców był episkopalnym księdzem, po wojnie awansował na — biskupa episkopalnego. Podwójną więc zrobił karjerę. Mnie się ta sztuka nie uda, ale wróćmy do Gettysburga.

Wojska federalne pod wodzą generała George G. Meade, podzielone na siedm korpusów, liczyły około dziewięćdziesiąt pięć tysięcy chłopów. Nie wszystkie jednakowoż brały udział w bitwie.

Pierwsze starcie nastąpiło 1-go lipca między silnemi oddziałami kawalerji, pod wodzą gen. Bufforda, a korpusem południowców pod komendą gen. Hilla. Kawalerzystom, umieszczonym na małem wzgórzu na zachód od miasteczka, nadszedł z pomocą korpus piechoty pod generałem Reynoldsem. Południowcy będąc w przeważającej sile, po zaciętej całodniowej walce, ostatecznie przepędzili wojska unijne przez miasteczko na okoliczne wzgórza. Generał Reynolds, jeden ze zdolnych wodzów, podczas rekonesansu zginął od kuli karabinowej.

Ciekawy jest teren walki. Miasteczko Gettysburg leży w małej dolinie milę szerokiej. Od strony zachodniej jakie pół

mili za miastem, w prostej niemal linji od północy ku południowi ciągnie się lekkie wzgórze. Nazwano je Seminary Ridge dlatego, że na niem znajduje się luterańskie seminarjum. Kawałeczek za miastem, równolegle i w tym samym kierunku jest drugie wzgórze. Z powodu cmentarza, nazywano je — Cemetery Ridge. Ciąg dalszy tej wyniosłości kończy się dwiema okrągłemi górkami, pokrytemi lasem i dużemi, przez lodowce zwalonemi kamieniami. Nazwali te wzgórza Little Round Top i Big Round Top. Z tych dwóch pagórków rozciąga się wspaniały widok na milę szeroką dolinę i naprzeciw położone wzgórza — Seminary Ridge. Główne siły jednej i drugiej armji rozciągnęły się na kilka mil na wzgórzach naprzeciw siebie leżących. W lasach zadekowały się pułki piechoty, rezerwy i wszelkie bagaże wojskowe. Dolina stała się tem „champ d'honneur", na którem przez trzy dni przewalały się, niby huczące fale morza — losy Stanów Zjednoczonych.

Więc pierwszy dzień bitwy zakończył się zwycięstwem południowców. Przepędzili swych przeciwników za miasto na okoliczne wzgórza. Linje federalnych przybrały wtenczas kształt haczyka. Lewe skrzydło sięgało pagórka Big Round Top, wzdłuż pagórka cmentarnego czyli Cemetery Ridge, a przed miastem skręcało się niby haczyk do małego lesistego wzgórza — Culps Hill. Cała linja miała jakie cztery mile długości. Był to z natury znakomity teren obronny, w dodatku przez artylerję i piechotę silnie ufortyfikowany.

Nad wieczorem pierwszego dnia bitwy i wśród nocy ściągały na plac boju dalsze korpusy i posiłki tak z jednej jak i z drugiej strony. Jeden z unijnych dowódców korpusu, generał Sickles posunął się w tę śmiertelną dolinę, aby zająć małe kamieniste wzgórze nazwane „Devils Den" — djabelską jamą, pole pszenicy i opodal leżący sad brzoskwiniowy. Na temat tego posunięcia, a właściwie wysunięcia się na czoło i poza front, w kołach wojskowych długie toczyły się dyskusje. Generał uczynił to na własną odpowiedzialność. Południowcy, biorąc w krzyżowy ogień pułki zbytnio na front wysunięte, strasznie je drugiego dnia zdziesiątkowali i wepchnęli na wzgórza. Generał Sickles został ciężko ranny. To go uratowało od sądu wojennego.

Silne ataki na prawe skrzydło, właściwie na zagięcie haczyka,

odparto. Siły atakujących obozowały w nocy na zajętych stanowiskach przy Culps Hill i Spangler Farm. Jest tam źródło, do którego jedni i drudzy szli po wodę dla rannych. Dowódca południowców nie domyślał się nawet, że był zaledwo sto pięćdziesiąt kroków od głównej linji komunikacyjnej przeciwników. Co gorsza, kilkaset metrów za drogą, w lesie, znajdował się cały rezerwowy park artylerji i bagaże wojsk federalnych. Może jeden więcej wysiłek, w każdym razie silny a nagły atak w nocy oddałby mu klucz do linji obronnej, ewentualnie zwycięstwo. Drugi dzień bitwy także był wygraną południowców, którzy wciąż byli w ofensywie.

Trzeciego dnia południowcy rozpoczęli dalszy atak na ten ważny punkt strategiczny, którego wojska północnych broniły z zapalczywością. Oczywiście nocą nadciągnęły nowe posiłki dając federalnym przewagę. Południowcom nie udało się złamać lewego skrzydła na Round Top. Tę kluczową pozycję, na chwilę przed atakiem południowców, zajął generał Warren. Było to bardzo ważne posunięcie, któremu zawdzięcza się ostatecznie zwycięstwo. Głównodowodzący gen. Lee, trzeciego dnia bitwy, nie mogąc zająć ani lewego ani prawego skrzydła, postanowił przypuścić gwałtowny atak na środek linji, aby przełamać front i zgnieść jedno lub drugie skrzydło nieprzyjacielskie.

Na przeprowadzenie ataku użył świeżo przybyłej dywizji pod wodzą generała Picketta. W kronikach wielkich bitew i szalonych ataków, od czasów starożytnych Greków i Rzymian, od Termopil do Balaklawy, Somosierry i licznych bohaterskich zmagań Wielkiej Wojny, „Picketts Charge" — Szarżę Picketta, uważają za jedną z najpiękniejszych.

Około pierwszej po południu, 3-go lipca i trzeciego dnia bitwy, jakie sto pięćdziesiąt armat ustawionych długim rzędem na wzgórzu Seminary Ridge, zaczęło walić huraganowym ogniem w linje wojsk federalnych, ustawionych na przeciwnem, o milę odległem, wzgórzu — Cemetery Ridge. Za kilkanaście minut rozpoczęły ogień baterje federalne, ukryte za kamiennemi płotami, nasypami i drzewami. Wzdłuż wzgórza ciągnął się kamienny płot graniczny, za którym Generał Hunt ustawił cały rząd armat, jedna przy drugiej. Przez półtorej godziny trwał ten wprost huraganowy ogień, siejąc zniszczenie wśród gęstych szeregów piechoty. Co chwila leciały w powietrze furgony z amunicją,

jaszczyki, koła i lawety armatnie. Gęsto leżały poszarpane ciała żołnierzy i koni. Po półtoragodzinnym pojedynku artylerji Hunt kazał swym baterjom stopniowo milknąć. W tym czasie usuwał uszkodzone działa, zastępował je nowemi; podprowadzano nowe zapasy prochu i kul przygotowując się do ostatniej rozprawy i odparcia ataku.

Chwilowo huk armat przycichł. Nie „tysiąc“ ale piętnaście tysięcy walecznych ruszyło do boju! Nieustraszeni w popielatych mundurach, z bronią na ramieniu, w zwartych szeregach, z rozwiniętemi sztandarami, wykonywali wszelkie rozkazy i obroty z tak ścisłą precyzją, że myślałbyś, iż to parada wojskowa a nie atak.

Był to imponujący widok! Wzbudzał podziw u swoich i u wrogów! Szybkim krokiem sunęły do ostatniego ataku pułki południowców, przez dolinę śmierci przez granatami zorane pola... przez sady brzoskwiń kulami ścięte... przez złote łany stratowanej i krwią ludzką obficie zlanej pszenicy!

Artylerja wojsk federalnych piekielnym zasypywała ich ogniem. Pękające granaty robiły w szeregach luki, które się jednak momentalnie zapełniały. Długie szeregi coraz to szybciej, z nieprzepartą siłą sunęły naprzód! Zmiotły przed sobą czołowe placówki i doły strzeleckie, niby wiatr jesienny pędzący suche liście. Gnali naprzód!...

Już tylko sto pięćdziesiąt kroków dzieliło ich od nieprzyjacielskich nasypów i bateryj! Te zaś w huczącą lawinę ludzką zaczęły walić kartaczami. Ostatnie salwy dano, gdy nieprzyjaciel był zaledwo dziesięć kroków od rzędu armat. Zabrzmiała komenda — „double canister“ — podwójny ładunek siekańców! Te straszne zrobiły spustoszenie w szeregach atakujących.

Ci jednak wdzierali się na wały i kamienne płoty. Pochylił się rząd bagnetów niby żądeł — zabrzmiał ostatni rozkaz w szeregach południowców — „give them the cold stel“ — dajcie im zimną stal! — Na bagnety! Artylerzyści z wściekłością bronili się przed furją południowców, wdzierających się na pozycję...

Tu jednak przywitał ich tak morderczy ogień piechoty, że już mocno przerzedzone szeregi poprostu w mgnieniu oka topniały. Ci co jeszcze zostali przy życiu, rzucali broń i na kolanach się czołgali do przeciwników, szukając ratunku. Pod gradem kul dalszy atak lub odwrót był niemożliwy.

W przeciągu pół godziny — wszystko się skończyło!

Z piętnastu tysięcy doborowej piechoty wróciły tylko niedobitki. Zaledwo trzy tysiące ocalało, reszta zasłała pole trupami i rannymi lub też dostała się do niewoli. Ten atak uważają za — „High Water Mark of the War" najwyższy punkt wojny. Wieczorem armja południowców była w odwrocie. Czterdzieści tysięcy zabitych i rannych zaległo pole bitwy, największej na zachodnim kontynencie. Z punktu strategicznego atak nie mógł się udać dlatego, że odległość była za duża i pozycje za silne i w dodatku znakomicie bronione. Jeden z generałów południowców płakał, patrząc na tę niechybną śmierć całej dywizji. Inny powiedział: „We are being licked like hel" — biją nas jak djabli.

Biorą za złe generałowi Meade, że nie przeszedł do ataku i pościgu rozgromionych nieprzyjaciół. Prawdopodobnie można było wojnę o dwa lata skrócić. Gen. Meade, pomimo że cały czas był w defensywie, tak był osłabiony, że brakowało mu odpowiednich sił do pościgu. Toć i Hannibal po bitwie pod Kannami podobnego miał pecha.

Pod względem strategicznym nic tu nadzwyczajnego nie ma do zanotowania. Była to raczej uparta, zacięta, pełna bohaterstwa i poświęcenia walka Anglosasów z Anglosasami. Na armaty, na karabiny, na bagnety, pałasze, rewolwery, kamienie i pięści. W żadnej bitwie nie było tak ciężkich strat jak w tej. Pułk pierwszy z Minnesoty rzucił się w wir walki drugiego dnia bitwy, gdy południowcy już w popłochu pędzili przed sobą korpus generała Sickles. Wstrzymał zapęd nieprzyjaciół, ale w tym szalonym ogniu stopniał niby śnieg na gorącym piecu. Na stu żołnierzy ośmdziesięciu dwóch legło na polu bitwy czyli z całego pułku została zaledwo garstka ludzi. To zdaje się uważają za największe procentowo straty, jakie kiedykolwiek poniosła jednostka bojowa w jednym ataku: ośmdziesiąt dwa procent w zabitych i rannych.

Ciekawych epizodów, czynów bohaterskich, możnaby przytoczyć moc ogromną. W jednym z ataków pułk południowców zwany „Tygrysami z Louizjany", wdarł się do baterji, która ich strasznym prażyła ogniem. Tchórzliwy artylerzysta przybiegł do komendanta z prośbą aby mógł iść na tyły — „bo się czuje niezdrów". Ten wydobył rewolwer i powiedział: „Jeżeli natych-

miast nie wrócisz na twe stanowisko, to psiakrew, będziesz jeszcze bardziej chory". To go momentalnie „uzdrowiło"; poszedł i walczył jak wściekły.

Miasto nie było uszkodzone w bitwie. Z ludzi cywilnych zginęła tylko jedna osoba, młoda panienka Jennie Wade. Piekła chleb tego dnia. Kula karabinowa przebiła drzwi i położyła ją trupem na miejscu. Jej narzeczony zginął parę dni przedtem i nawet nie wiedziała o jego śmierci. Spotkali się „na tamtym świecie".

W listopadzie tego roku część pola bitwy przeznaczono na cmentarz narodowy. Na tę uroczystość przybył prezydent Abraham Lincoln i wygłosił króciutką mowę dedykacyjną. Przeszła do historji jako jedna z najpiękniejszych w języku angielskim. W tem krótkiem, a tak rzewnem i pełnem głębokich myśli przemówieniu, Prezydent odkrył swą szlachetną duszę, znękaną bólem bratobójczej walki.

Dlatego ją w całości podaję. Mowa napisana na paru małych arkuszach papieru, wypowiedziana była w dziesięciu minutach. Prezydent Lincoln jednakowoż długo nad nią pracował, poprawiał i starannie przygotował. Umieszczam ją w oryginale i tłumaczeniu.

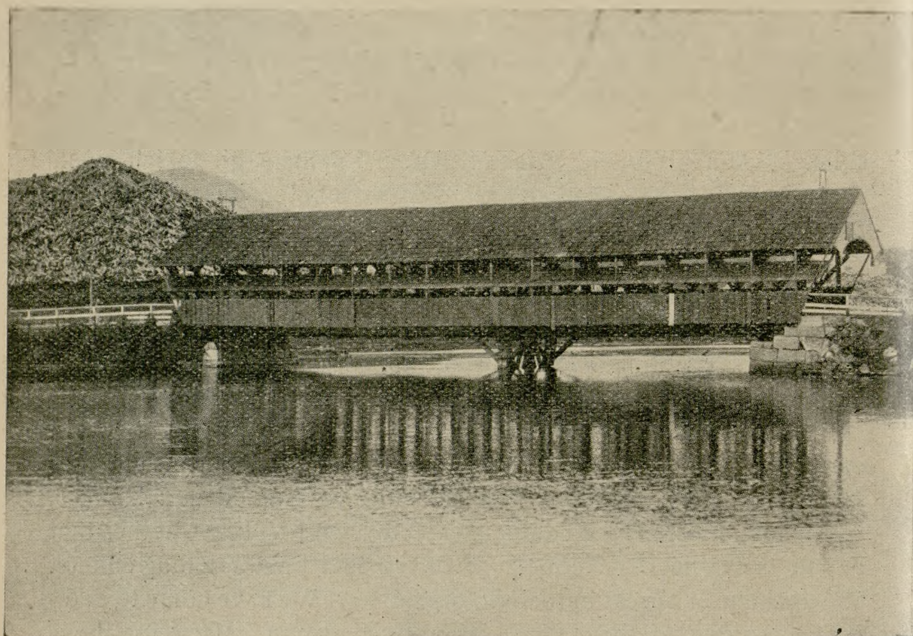
„Four score and seven years ago, our fathers brought fourth on this continent a new nation, conceived in Liberty and dedicated to the proposition that all men are created equal.

Now we are engaged in a great civil war; testing whether that nation, or any nation so conceived and so dedicated, can long endure. We are met on a great battlefield of that war. We have come to dedicate a portion of that field, as a final resting place for those who here gave their lives that that nation might live. It is altogether fitting and proper that we should do this.

But, in a larger sense, we cannot dedicate — we cannot consecrate — we cannot halow — this ground. The brave men, living and dead, who struggled here have consecrated it far above our poor power to add or detract. The world will little note, nor long remenber what we say here, but it can never forget what they did here. It is for us, the living, rather to be dedicated here to the unfinished work which they who fought here have thus far so nobly advanced. It is rather for us to be here dedicated to the great task remaining before us — that

from these honored dead we take increased devotion to that cause for which they gave the last full measure of devotion — that we here highly resolve that these dead shall not have died in vain — that this nation, under God, shall have a new birth of freedom — and that government of the people, by the people, for the people, shall not perish from the earth".

„Czterykroć dwadzieścia i siedm lat temu (rozumie się ośmdziesiąt siedm lat) ojcowie nasi stworzyli na tym kontynencie



Typ starodawnych krytych mostów.

nowy naród, poczęty w wolności i hołdujący zasadzie, że wszyscy ludzie stworzeni są równi.

Teraz jesteśmy pogrążeni w wielkiej wojnie domowej, doświadczając, czy ten, lub jakikolwiek inny naród, tak poczęty i tym zasadom hołdujący, może się ostać na długo. Spotykamy się na wielkiem polu bitwy tej wojny. Przyszliśmy dedykować część tego pola na miejsce ostatecznego spoczynku dla tych, którzy tu dali życie, aby naród mógł istnieć. Całkowicie stosownem i słusznem jest, abyśmy to uczynili.

Ale, w szerszem tego słowa znaczeniu nie możemy dedykować — nie możemy konsekrować — nie możemy uświęcić — tej ziemi. Ludzie odważni, żyjący i zmarli, którzy tu walczyli, daleko więcej ją konsekrowali, aniżeli jest to w naszej słabej mocy dodać lub ująć. Świat mało na to zwróci uwagi i wnet o tem co tu mówimy zapomni, (a jednak cały świat zna tę mowę i tysiące jej się na pamięć nauczyło — a gdy to mówił, łzy jak groch spływały mu po twarzy) lecz nigdy nie zapomni tego, czego oni tu dokonali. Raczej my, żyjący, powinniśmy się oddać tej niedokończonej pracy, którą ci, co tu walczyli, tak szlachetnie posunęli naprzód! Raczej nam wypada oddać się temu wielkiemu zadaniu, czekającemu na nas, abyśmy z tych chwalebnie poległych czerpali tem większe poświęcenie dla sprawy, której oni oddali ostatnią pełną miarę poświęcenia. Tu najsolenniej postanawiamy, że zmarli ci nie polegli napróżno — że ten naród pod opieką Boską będący, odrodzi się w wolności — i rządy ludu, przez lud, dla ludu nie znikną z powierzchni ziemi!“

Wszystko już dawno przeszło do historji, a Lincoln — „Now he belongs to the ages“ — teraz należy do wieczności. Z pola bitwy pocharatanego granatami, zasianego stosami trupów i rannych, obficie krwią bratnią zbroczonych, powstał piękny park narodowy.

Obsadzono różami drogę, którą na pole bitwy ciągnęły hufce południowców. Po trzech dniach walki wracały nią rozbitki w ulewie, wlokąc stosy rannych, załadowanych na proste, twarde wozy. Biedacy błagali kolegów o śmierć i skrócenie męczarni. Każda kropla krwi zamieniła się w czerwone róże, które w rocznicę bitwy pokrywają się szkarłatem lub blado-różowym rumieńcem... jako symbol bratniej krwi tak hojnie przelanej!...

Dojeżdżasz do punktu, w którym się bitwa rozpoczęła.

Przed tobą stoi bronzowy pomnik generała Bufforda. Jego kawalerja na tem miejscu się okopała i przyjęła bitwę z przeważającemi siłami nieprzyjaciela. Tu stała i jeszcze stoi baterja, z której rozpoczęto ogień do południowców, wysuwających się gęstemi szeregami z lasu, o pół mili naprzeciw. Niemal cały dzień tu się zmagano. Tuż obok jest pomnik generała Reynold'sa na koniu, który jako dowódca korpusu, w pobliżu tej pozycji zginął.

Przy drodze udatny bronz zaciekawia turystę. Pomnik przedstawia chorążego. Trzyma w jednej ręce sztandar, zwró-

cony do wroga — wygraża mu pięścią. Gdy wojska unijne pod przewagą południowców zaczęły się cofać ku miastu, ten idąc w ostatnich szeregach, co chwila odwracał się i groził przeciwnikom. Wraża kula tu go do snu ułożyła, a przy pomniku — „zakwitły pęki białych róż“.

Wzdłuż wzgórza Seminary Ridge, gdzie swój front rozwinęli południowcy, prowadzi szeroka równiuteńka droga. Wszędzie bronzowe tablice z napisem, który pułk i z jakiego korpusu lub armji w tem miejscu walczył. W okopach poustawiano baterje armat zwrócone w tym lub owym kierunku, zależy od tego po czyjej stronie strzelały. Miejscami stoi ich cały szereg: rozmaite gatunki i kaliber broni. Przeważnie są to dwunastofuntowe armaty, chociaż tu i ówdzie trafisz na armaty okrętowe, dalekonośne.

Piękny pomnik zbudowały stany południowe swemu dowódcy, generałowi Robertowi E. Lee na jego słynnym siwym koniu „Traveller“. Ładny jest także bronz rzeźbiarza Borglunda, przedstawiający grupę żołnierzy idących do tego pamiętnego ataku Picketta. Z tego właśnie punktu ruszyła ta nieśmiertelna szarża. Na przeciwnem wzgórzu, o milę oddalonem, widać „clump of trees“ — kępę drzew, które stanowiły punkt ataku. Dotarli tu coprawda żołnierze, ale w ich cieniu legli pokotem pod śmiertelnym ogniem artylerji i piechoty wojsk unijnych.

Przez pamiętny „peach orchard“ — sad brzoskwiń, „wheat field“ — pole pszenicy, wśród skał i leśnych gąszczy, prowadzi droga do linij obronnych wojsk federalnych. Tu znów przy drodze wśród lasu, na Big Round Top i Little Round Top pełno tablic, mniejszych i większych pomników i pamiątek. Na każdym wyryte nazwisko pułku, a nieraz dowódcy, który tu walczył lub zginął. Hen w gąszczach, utrzymanych w tym samym stanie, co były w dniu bitwy, napotykasz pomniki i marmurowe tablice.

Gdzie były skupione większe siły, gdzie gwałtowniejsze starcia, tam więcej zauważysz pomników. Jedne proste czworoboki, tablice, a inne rzeźby z granitu lub bronzu. Niektóre nawet posiadają większą wartość artystyczną. Tu n. p. przy czarciej jamie widzisz unijnego żołnierza, mierzącego z za kamienia do przeciwnika; tam siekła się kawalerja na pałasze, ówdzie z ba gnetem idzie do szturmu piechota. To było lewe skrzydło unijnych wojsk, oparte o leśny i kamienisty, w dodatku górzysty

teren, z którego najzacieklejsze ataki konfederatów nie mogły ich wyrzucić. Bronili się też zaciekle.

Przy drodze wzdłuż głównych pozycji wojsk północnych od Big Round Top przez Cemetery Ridge do Culps Hill pełno pamiątek i wspaniałych pomników.

Każdy pułk, każdy stan jest reprezentowany. Na małem wzgórzu, stanowiącem główny punkt i centrum pozycyj federalnych, przeciwko któremu skierowany był atak dywizji Picketta, postawiono pomnik w formie otwartej księgi z napisem, że tu jest „high water mark“ dosłownie — najwyższy punkt wody — a w przenośni najwyższy wysiłek południowców w bezowocnej walce o samodzielność czyli konfederację stanów.

Tuż przy drodze, gdzie wrzały największe bitwy, umieszczono bronzowy pomnik kapelana ajryskiej brygady Ks. Corby. Pomnik przedstawia go ze stułą na ramionach, z ręką wzniesioną ku niebu, udzielającego absolucji żołnierzom, którzy za chwilę mieli iść do ataku.

Wśród pomników całemi rzędami stoją armaty, tak jak stały, gdy odparto słynny atak południowców. Tuż obok na koniu bronzowy pomnik generała Meade i jego kwatera w małym drewnianym domku, gęsto ostrzeliwanym przez nieprzyjacielską artylerję.

Turystów na polu bitwy oprowadzają specjalnie wykwalifikowani i umundurowani przewodnicy, objaśniając każdą pozycję, posunięcia i poszczególne wypadki. Możnaby dużo ciekawych szczegółów podać, ale wobec wojny światowej to wszystko zbladło. Nadmienię tylko, że wśród dowódców widnieje jedno polskie nazwisko, brygadjera Krzyżanowskiego z 58-go pułku piechoty stanu Nowojorskiego, a II-go korpusu.

W mieście i na polu bitwy znajduje się kilka muzeów, w których można oglądać stosy broni, kul i wszelkiego wojennego sprzętu, jaki tu po bitwie zebrano. Tu po raz pierwszy kawalerja wojsk federalnych wystąpiła do walki uzbrojona w nowoczesne kilkustrzałowe karabiny — Sharps rifle.

Ponieważ zbliżamy się do głównego terenu walk w wojnie domowej, nie będę dłużej czasu tracił. Zatrzymałem się dwa dni, aby całe pole bitwy należycie przestudjować, gdyż mnie zawsze takie rzeczy zajmowały, a to tembardziej, że żadne inne pole bitwy nie jest tak wiernie zachowane i opisane.

W niedzielę po Mszy św. ruszyłem w dalszą podróż. Dzień był gorący, w polach widać długie rzędy ściętej i w gęste kopy zestawionej kukurydzy. Jedziemy przez malownicze, pagórkowate, zabudowaniami farmerskiemi zdobne okolice południowo-środkowej Pensylwanji ku stanowi Maryland, który się tu bardzo cienkim pasem wrzyna między Pensylwanję a sąsiednią i starą Wirginję.

O Maryland, do którego na kilka chwil wpadam, obszerniej napiszę w dalszych rozdziałach. Przez Hagerstown i Boonsborough jadę do Sharpsburgh gdyż tu w roku 1862-im dnia 17-go września rozegrała się jedna z najkrwawszych bitew w całej wojnie domowej.

Nie myślę trudzić czytelnika szczegółowym opisem przebiegu bratobójczej walki, w której dwadzieścia pięć tysięcy zabitych i rannych zaległo pole bitwy. Lee dowodził armją południowców, generał McClelan prowadził do boju wojska federalne. Bitwa odbyła się niemal rok przed walną rozprawą pod Gettysburgiem. Pociągnięcia strategiczne były te same. Południowcy chcieli się przedrzeć przez obronny kordon wojsk federalnych i z północy uderzyć na Waszyngton. Ta bitwa wstrzymała ich zapędy i udaremniła. Faktem jest, że gdyby dowódcy unijni energiczniej przeprowadzili ofensywę, mogliby zgnieść przeciwnika i to tem bardziej, że ten miał za sobą dużą rzekę, którą w razie pogromu trudno byłoby przekroczyć. Kto wie, czy na tem polu nie można było zadecydować i skrócić całej wojny? To są jednakowoż przypuszczenia, które już na przebieg faktów historycznych nie wpłyną.

Linje południowców ciągnęły się wzdłuż pagórkowatego brzegu małej rzeczki Antietam i od niej pole bitwy otrzymało nazwę. Niemal w samym środku tej linji, jakie pół mili za frontem, jest miasteczko Sharpsburgh. Wojska federalne w kilku miejscach przeszły przez rzekę i gwałtownym szturmem rzuciły się na obronne, a dobrze umocnione pozycje południowców. Na niektórych odcinkach, jak przy „sunken road“, polu kukurydzy i małym kościółku, który stanowił ważny klucz pozycji, pole wprost było zawalone trupami. Miejscami tworzyły się całe stosy poległych. Kilkakrotnie zdawało się, że linje południowców przełamią, a rozbitki wpędzą do rzeki Pottomac. Czy to przez nieudolność federalnych, czy z powodu nadejścia posiłków w opresji

będącym południowcom, do żadnej decyzji nie przyszło. Konfederaci coprawda zaniechali na cały rok najazdu, a tamci też byli zadowoleni, że się im coś gorszego nie przytrafiło.

Głównodowodzący McClelan został z dowództwa usunięty, a inny na jego miejsce postawiony. Dziwna rzecz, że niemal każdy z dowódców poszczególnych korpusów awansował w tej bitwie na głównodowodzącego i każdy pokolei brał lanie od Południowców. Jedyny Meade, który następnego roku wziął się za bary z południowcami pod Gettysburgiem, uniknął klęski, ale i ten po trzydniowej defensywie, mając przeważające siły, po odparciu ataków także nie przeszedł do ofensywy i pościgu; przez to o rok jeden krwawą walkę przydłużył.

Na wzmiankę zasługuje fakt, że podczas gwałtownych walk młody żołnierz nazwiskiem McKinley pod gradem kul dostarczał żołnierzom na linji bojowej kawy i chleba. Oszczędziły naszego przyszłego prezydenta McKinlea kule nieprzyjaciół. Jako prezydent zginął z ręki polskiego anarchisty Czołgosza.

Rząd poznaczył także pole bitwy tablicami i pomnikami. Przy „Sunken Road" czyli wklęsłej drodze, kamiennym murem niby obronnym wałem ufortyfikowanej, zbudował wysoką wieżę obserwacyjną. Z tego punktu turysta może dowolnie oglądać wszystkie ważne punkta krwawej rozprawy. Droga po bitwie była wprost zawalona trupami. Dziś cisza i liczne pomniki po całej okolicy rozrzucone znaczą miejsce, gdzie poszczególne pułki i korpusy walczyły. Na małem wzgórzu, w cieniu wspaniałych drzew spoczywa snem wiecznym tysiące, które w bratobójczej walce legły na tych polach.

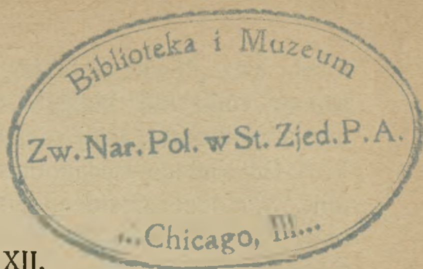
Rozpoczyna się tu taka gmatwanina dróg, rzek, gór i granic stanowych, że co chwila jesteś w innym stanie. Byłeś godzinę temu w Pensylwanji, jesteś w Maryland, za mostem włazisz do Wirginji, a tuż opodal możesz się przeprawić do West Wirginji. Jest tu wprost niemożliwem opisać olbo dokładnie narysować linje graniczne ciągnące się dolinami rzek, lub szczytami gór.

Kołując przez Sheperdstown dojechałem do starego, uroczego i historycznego miasteczka Harpers Ferry. Przypomina nam to jakiś zaczarowany zakątek z okolic Salzburga lub Insbrucka. Wśród zielenią pokrytych gór, przy połączeniu dwóch rzek Shenandoah (Sienandoła) i Pottomac znajduje się to zaciszne i urocze miasteczko. Tędy prowadziły stare pionierskie szlaki. Tu rząd

przez lata całe utrzymywał składy amunicji i broni, a także większe siły wojskowe, aby pilnowały tego strategicznego węzła komunikacyjnego.

Na parę lat przed wojną domową obywatel, nazwiskiem John Brown, ostro zaczął występować przeciwko rządowi, że nie zwalcza niewolnictwa w stanach południowych. Chciał tę sprawę sam doraźnie załatwić. Zebrał kilkudziesięciu ochotników, znienacka napadł na mały garnizon i magazyny wojskowe. Rząd wysłał, już teraz dobrze nam znanego pułkownika Roberta Lee, który zajął „fort“ zbuntowanego farmera wraz z całą załogą. Biedny John Brown wraz z kilkoma towarzyszami zawisł na szubienicy, ale stał się bohaterem i pionierem ruchu przeciw niewolniczego, który ewentualnie doprowadził do bratobójczej wojny.

Generał Jackson, jeden z najzdolniejszych generałów wojsk południowców, zajął niemal bez walki ten ważny punkt strategiczny wraz z dziesięcioma tysiącami niewolnika i olbrzymieni zapasami broni, na dzień przed bitwą pod Antietam. Wzdłuż rzeki Shenandoah, która tu się łączy i wpada do rzeki Pottomac, ruszam w kierunku południowym uroczą doliną tejże rzeki — Shenandoah Valley — co w indjańskiem narzeczu oznacza „Córkę Firmamentu“.



Rozdział XII.

WIRGINJA.

Wkraczam zkolei do jednego z najciekawszych stanów pod względem historycznym w całym kraju. Do jego brzegów w roku 1607-ym dotarły dwa małe okręciki „The Dove„ i „The Arc“, wiozące pierwszy transport kolonistów angielskich. Wylądowali nad brzegiem rzeki James d. 13-go kwietnia i założyli pierwszą anglosaską osadę na zachodnim kontynencie — Jamestown.

Zdaje się, że to była skończona hołota i wyrzutki społeczne angielskie, które dla dobra kraju załadowano na okręt i wysłano na ten daleki kontynent, aby tu zginęli z głodu, chorób i z ręki dzikich Indjan. Dowódca tej awanturniczej zgrai był energiczny i zapobiegliwy kapitan James Smith. Póki tu był i silną ręką wszystkich trzymał w rygorze, koloniści się jako tako sprawowali. Gdy jednak z powodu wypadku wrócił do Anglji, w tej pierwszej osadzie anglosasów działa się Sodoma i Gomora. Emigranci nie mieli ochoty do pracy, zjedli skąpe zapasy żywności, zaczęli napadać i rabować czerwonoskórych tubylców, którzy poprzednio dosyć sympatycznie odnosili się do przybyszów.

Kapitan James Smith bardzo dziwne przechodził koleje. Zapuścił się w głębokie lasy polując na zwierzynę, aby osadę zaopatrzyć w żywność. Pochwycili go Indjanie, którym niektórzy z kolonistów porządnie dali się we znaki. Więc też rada wojenna czem prędzej skazała go na śmierć. Do uwięzionego kapitana codziennie przychodziła córeczka wodza Indjan, nazwiskiem Pocahontas. Smith strugał jej z drzewa zabawki i opowiadał, jak mógł, swe przygody. Gdy nadszedł dzień egzekucji i miano wyrok wykonać przez rozstrzaskanie buławami czaszki na ogromnym kamieniu, młoda Indjanka rzuciła mu się na szyję i po-

łożyła swą główkę koło jego głowy. Ojciec wzruszony przywiązaniem córki do białego więźnia, darował mu życie poto, aby mu robił toporki, a jej rozmaite zabawki.

Gdy młoda Pocahontas wyrosła, poślubiła jednego z osadników, a tem samem na dłuższy czas zabezpieczyło osadę przed napaścią wrogich Indjan. Koloniści ciężkie przechodzili koleje. Głód i choroby osadę składającą się z blisko pięciuset dusz zdziesiątkowały tak, że zostało przy życiu zaledwo sześćdziesiąt osób. Chcieli już swe nędzne siedziby opuścić i tylko przybycie nowej ekspedycji, pod wodzą księcia De la Ware, uratowało pierwszą osadę od zagłady i śmierci głodowej. Dalszy napływ emigrantów składał się z daleko lepszej klasy ludzi. Między późniejszymi przybyszami znajdowało się dużo osób z rodzin arystokratycznych, których potomkowie po dziś dzień nadają pewien ton tutejszej arystokracji. Stare, wspaniałe pałace i majątki świadczą, że nawet w dzikiej Ameryce można sobie było urządzić życie bardzo wygodnie i przyjemnie.

Pod względem topograficznym mamy tu rozmaitość wielką. Wysokie wzgórza poprzerzynane uroczemi dolinami i wijącemi się srebrzystemi wstęgami rzek dodają pewnym okolicom nadzwyczajnego uroku. Teren przypomina nasze polskie Podkarpacie. Bliżej morza ciągną się rozległe płaszczyzny, żyzne łąki i stada rasowego bydła i koni. Widać, że stara arystokracja w koniach się lubowała. Głębokie zatoki, spławne rzeki ułatwiają handel i wzbogacają przemysł.

Nazwę wywodzi stan od królowej angielskiej „dziewicy“ — Elżbiety. Nie wiem, jak władczyni Albionu dziewictwu hołdowała, nawet w tej sprawie mam pewne powątpiewania, ale w każdym razie od „Virgin“ czyli dziewicy stan otrzymał nazwę — Wirginja. Niech i tak będzie.

Co do obszaru, szczególnie po oderwaniu części zachodniej i utworzeniu Zachodniej Wirginji, stan obejmuje zaledwo czterdzieści dwa tysiące mil kwadratowych, a posiada nie całe dwa i pół miljona mieszkańców. Zbyt wielkich zasobów mineralnych nie zawiera, chociaż węgla i siły wodnej jest poddostatkiem. Poza zwykłemi ziemiopłodami bardzo rozwinięto hodowlę owoców, szczególnie jabłek i brzoskwiń. Prócz tego tytoń w niektórych okolicach uprawiają na szeroką skalę i uznają go za jeden z najlepszych gatunków w całym kraju. Ogromne trusty tytoniowe

mają tu składy oraz fabryki i papierosów i cygar. Palenia i hodowli tytoniu nauczyli się koloniści od Indjan. Sir Walter Raleigh w Anglji miał z tytoniem nieprzyjemną awanturę. Służąca widząc go otoczonego kłębami dymu, przypuszczała, że się biedaczysko zapalił, więc też nie namyślając się długo, wylała nań kubeł wody, aby od strasznej śmierci go uratować.

Co za wspaniałą historję posiada ten pod wielu względami wprost wyjątkowy zakątek kraju!

Tu wylądowali pierwsi angielscy osadnicy i przez dłuższy czas walczyli z trudnościami, ginąc z nędzy, z chorób i pod ciosami tomahoków tutejszych Indjan.

Tu kiełkowały pierwsze ziarna niepodległości. W starym kościele Św. Jana w Richmond nieśmiertelny kaznodzieja, Patrick Henry, niby nasz Skarga, wołał do zebranych słuchaczy te nieśmiertelne słowa „Dajcie mi wolność, lub dajcie mi śmierć". — „Give me liberty or give me death".

Gdy te pragnienia miano zakuć w nieśmiertelne czyny, taż sama Wirginja dała nam wodza w osobie Jerzego Waszyngtona. Dzięki jego zdolnościom, jego niezłomnej sile woli, jego wprost wyjątkowym kwalifikacjom zawdzięczamy ostateczny triumf. Nietylko okazał się w wielu wypadkach doskonałym wodzem na polu bitwy, ale także objawił ogromne zdolności w zakładaniu podwalin pod przyszłą potęgę nowej republiki. Waszyngton — to najznakomitszy syn Wirginji.

Ale w poczcie wybitnych mężów znajdziemy innych genjalnych ludzi. Tomasz Jefferson, dwukrotnie prezydentem obrany, był właściwie autorem naszej Konstytucji i on, że tak powiem, dał silne, zdrowe a nowe zasady, na których się opierają potęga i rządy narodu.

James Madison, który zkolei wstąpił do tej plejady światłych dyplomatów i mężów stanu, a zarazem dzierżył najwyższą godność prezydenta, jest jednym z naszych wielkich prawodawców i twórców Konstytucji.

Inny prezydent z Wirginji rodem, James Monroe, widząc że drapieżne rządy europejskie coraz to chciwszem okiem patrzą na Zachodni Kontynent, aby się tu bogatemi prowincjami obłowić i młode narody, niby bujne latorośle ujarzmić, ogłosił światu swą doktrynę, zabraniającą mocarstwom europejskim objęcia w posiadanie chociażby jednej piędzi ziemi tego kontynentu, bo

to nam się należy. Wpadniemy do jego skromnego mieszkania, gdyż to jest po drodze. Dzięki tej „doktrynie“ Stany Zjednoczone są panami Zachodniego Kontynentu.

Lincoln był wnukiem obywatela tego stanu i tu spoczywają na wiejskim cmentarzu jego pradziadowie.

Któż z Polaków nie zna prezydenta Woodrow Wilsona, który w swych czternastu punktach zawarunkował także niepodległość Polski z dostępem do morza? Toć to syn protestanckiego pastora, urodzony w Staunton. Ośmiu prezydentów Stanów Zjednoczonych urodziło się w Wirginji. Słusznie więc nazywają Wirginję „matką prezydentów“. Tu zrodziła się myśl o niepodległości kolonij, tu się ona ziściła poddaniem się generała angielskiego Cornwallisa wojskom kontynentalnym pod wodzą Waszyngtona i posiłkom francuskim pod dowództwem Lafayetta i Rochambeau'o. Nasz Kościuszko był tego zwycięstwa świadkiem i przyczynił się do niego.

Do innych wybitnych obywateli Wirginji zaliczają ludzi tej miary co Mateusz Fontaine Maury, kartograf mórz i oceanów. Każdy żeglarz jemu zawdzięcza swój byt, za jego niezmordowaną, wieloletnią pracę nad ustaleniem dróg wodnych po całej kuli ziemskiej.

Edgar Allan Poe, orzeł poezji amerykańskiej, tu się urodził i tu jest pochowany. Szkoda tylko, że jak wszystkie genjusze, a szczególnie poeci, zbytnio zaglądał do kieliszka i dlatego też z biedą i nędzą całe życie walczył.

W Wirginji znajdziesz małą starą kuźnię, której Cyrus McCormick lata całe mozolnie pracował, nareszcie zbudował pierwszą do koszenia pszenicy maszynę, która się później przemieniła w żniwiarkę wiązarkę. Genjusz biednego kowala stał się podwaliną olbrzymiej fortuny fabrykantów żniwiarek i wszelkiego gatunku maszyn rolniczych — International Harvester Co.

W tym stanie cię zaprowadzą do małej, biednej chatki, będącej pod opieką stanu. Tu ujrzał światło dzienne jeden z wielkich dobrodziejów ludzkości, doktor Walter Reed. Ten z narażeniem życia przeprowadził studja nad początkiem, przebiegiem i roznosicielami żółtej febry, która zabierała tysiące ofiar. Wykazał, że komary są jej rozsadnikami. Na Kubie, Panamie i w południowych stanach, dzięki jego odkryciom, zabrano

się do osuszenia bagien, tępienia komarów i w krótkim czasie usunięto z widowni żółtą febrę.

Poprzednio wspomniany pionier i żołnierz, który odebrał Anglikom terytorjum wzdłuż rzeki Ohio, George Rogers Clark, tu się także urodził. Tak samo drugi Clark i jego towarzysz Lewis, którzy pierwsi przeszli cały kontynent od St. Louis do oceanu Spokojnego pochodzą z Wirginji. Możnaby przytoczyć całą listę ludzi wybitnych, nie wyłączając obecnie żyjącego Admirała Byrda, który w samolocie przeleciał biegun północny i południowy. Uważam to jednak za zbyteczne, tem bardziej, że w naszej podróży zwiedzimy niektóre zabytki i pamiątki po tych znakomitych synach Wirginji.

Po tych, że tak powiem wstępnych uwagach, ruszam w dalszą podróż uroczą doliną rzeki Shenandoah, aby się bliżej z temi historycznemi zabytkami zapoznać. Pojedziemy w kierunku południowo-zachodnim, jakie sto dwadzieścia mil, przez bardzo uroczą dolinę rzeki Shenandoah. A jednak ile się tu lało krwi ludzkiej, ile to jęków, ile bitw, ile cmentarzy i poległych?...

Pierwsze większe miasteczko, do którego dojeżdżam o zachodzie słońca, jest Winchester. Z czasem stało się wielkiem środowiskiem sadów owocowych. Stąd wysyłają rocznie miljony buszli jabłek i brzoskwiń do wielkich miast na wschodzie. Wszędzie oko turysty wabią rozległe sady a ponieważ to już złota jesień, więc też gałęzie wprost uginają się pod kiściami czerwoniutkich, jak krew jabłek.

Mówią, że Lwów przechodził kilkakrotnie z rąk do rąk w czasie wojny światowej. Przypuszczam, że pod tym względem Winchester posiada rekord światowy. Pomijam dawne wojny francusko-indjańskie, w których Jerzy Waszyngton brał czynny udział. Ograniczę się tylko do wojny domowej. W tych czteroletnich zmaganiach Winchester przechodzil z rąk do rąk „tylko" siedmdziesiąt dwa razy. W jednym dniu zmieniał swych panów cztery razy. Tą doliną, niby potężnym kanałem, przewalała się bratobójcza walka, zostawiając po sobie zgliszcza, groby i pustynię... Jeden z generałów, Sherman, powiedział, że kraj ten jest tak spustoszony, że „kruk, chcąc tędy przelecieć, musi z sobą zabrać tornister z żywnością".

Tuż przy drodze jest ogromny cmentarz wojskowy, otoczony wysokim murem. Zatrzymałem samochód i wszedłem.

Przy żelaznej bramie wchodowej umieszczono bronzową tablicę z mową prezydenta Lincolna, wygłoszoną na polu bitwy pod Gettysburgiem. Zdaje się, że na każdym cmentarzu wojennym znajduje się przepisowo podobna tablica.

Obszerny cmentarz jest podzielony szerokiemi drogami na sekcje i mniejsze kwadraty. Każdy stan ma swą parcelę, na której spoczywają jego synowie bohaterzy. Przy grobach marmurowe tabliczki z nazwiskiem poległego żołnierza, dzień zgonu i pułk, w którym służył. Żołnierze, których po bitwie rozpoznać nie można było, mają kwadratowe nagrobki z numerem, a tych jest najwięcej. Wśród tych szeregów zauważysz większe pomniki, kosztem rodzin zbudowane dla swych zmarłych. Nad wszystkiem spokojnie powiewa sztandar gwiaździsty. Tak sobie tu spokojnie rzędami, w cieniu sosen i klonów już dziesiątki lat spoczywają. Zapewne śnią o swej ojczyźnie, którą bohaterską krwią na wieki zjednoczyli.

Dziwne wrażenie zrobił na mnie ten żołnierski cmentarz, na którym spoczywa przeszło pięć tysięcy poległych. Zachodzące słońce ciepłemi promieniami pieściło i całowało na dobranoc, każdą skromniutką mogiłę żołnierza. To plon bratniej walki i nienawiści! Tuż obok jest drugi cmentarz, na którym spoczywa przeszło trzy tysiące poległych konfederatów. Złożyli broń, stanęli do ostatniego apelu i teraz obok siebie „obozują na wiecznych biwakach“.

W Winschester pochowano jednego z bohaterów walki o niepodległość, generała Morgana. Ten wraz ze swymi żołnierzami i z Benedyktem Arnoldem przedarł się przez dziewicze lasy stanu Maine — hen do Quebeku w Kanadzie i przez kilka miesięcy oblegał twierdzę angielską. Po nieudałym ataku prowadził odwrót przez Montreal, wzdłuż jeziora Champlain, na pole bitwy pod Saratoga, gdzie się odznaczył i wielce przyczynił do zwycięstwa nad generałem Burgoynem, którego wraz z całą armją angielską zabrano do niewoli.

Tu przez kilka lat uczęszczał do szkół młody Byrd, syn starej arystokratycznej rodziny. Zasłynął z tego, że przez dłuższy czas przebywał w okolicach bieguna południowego i pierwszy samolotem przeleciał ponad oboma biegunami.

Wszędzie przy drodze U. S. 11, zwaną „Lee Jackson Highway“ ku czci najwybitniejszych generałów wojsk południowych,

napotykam tablice pamiątkowe. Każda opisuje jakąś bitwę lub ważny wypadek z dziejów okolicy. W sąsiedniem miasteczku Kearstown stoczono bitwę między generałami Jacksonem i Sheildsem. Po kilku godzinnej walce Jackson dał rozkaz do odwrotu. Gdy to widział jego przeciwnik, generał Sheilds, miał się podobno wyrazić: „Właśnie chciałem wydać ten sam rozkaz“.

Bitwa pod miasteczkiem New Market pod jednym względem zasługuje na uwagę polskiego turysty. Południowcami dowodził generał Breckenridge, a wojska północnych czyli federalnych były pod komendą niemca, Von Siegel, który chociaż miał przeważające siły, dostał w skórę i zmuszony był do odwrotu, a to dzięki szalonemu atakowi młodych kadetów ze szkoły wojskowej Virginia Military Institute. Ochotnicy przybyli na pole bitwy z akademji wojskowej. Najstarszy liczył lat dziewiętnaście, a najmłodsi zaledwo przekroczyli czternastą wiosnę życia. Drwili z nich starzy weterani. Gdy jednak przyszło do walki, młodzież nietylko, że odparła szturm nieprzyjacielski, ale brawurowym atakiem na bagnety zdobyła nieprzyjacielską baterję i zadecydowała o zwycięstwie. Takim wolno zasiąść na Polach Marsowych z naszemi lwowskiemi „Orlętami“.

Z jednej i z drugiej strony drogi, którą jadę w kierunku południowo-zachodnim, napotykam dużo nadzwyczaj pięknych pieczar. Podczas wojny domowej żołnierze w swych marszach i kontramarszach tu się zatrzymywali i obozowali. Wielu na wapiennych osadach wyryło lub węglem wypisało swe nazwiska, które się teraz na wieki przechowują.

Staunton, do którego dojeżdżam, w walce domowej było ważną stacją aprowizacyjną dla wojsk południowców, szczególnie dla generała Stonewall Jackson'a. Jego kampanję w dolinie rzeki Shenandoah strategicy uważają za jedną z najlepszych w kronikach taktyki wojennej. Oficerzy z armij europejskich przyjeżdżają, aby na miejscu studjować te wprost nie do uwierzenia obroty i niespodziane ataki tego genjusza południowców. W błyskawicznych najazdach dotkliwe zadawał porażki wrogom. Zdobył za miljony dolarów ekwipunku wojennego i wszelkich zapasów. Strasznie swych antagonistów gromił i wprost na taktycznych głupców wystawiał. W jednym wypadku, o ile sobie przypominam, przeciwnik spodziewał się jego ataku od południa, a tymczasem ten go zajechał zupełnie niespodziewanie od północy

i bardzo mu przykrą wyrządził niespodziankę i zadał klęskę. W błyskawicznych i wprost niespodziewanych i nieprzewidzianych wypadkach posługiwał się piechotą, która w marszach prześcigała najlepszą kawalerję. Były to wprost nadludzkie trudy wojskowe, ale za to często jego pułki odnosiły wspaniałe zwycięstwa.

Staunton jest starem, ale ruchliwem miasteczkiem. Zauważyłem w niem kilka pierwszorzędnych szkół dla chłopaków i dziewcząt. Niektóre są na wzór szkół wojskowych i młodzież otrzymuje w nich do pewnego stopnia wojskowe ćwiczenie, a w razie wojny wchodzi do korpusu oficerskiego. Dla mnie a także dla wielu innych turystów atrakcję stanowi stary „parsonage" czyli plebanja presbiterjańska, w której urodził się Woodrow Wilson, prezydent Stanów Zjednoczonych. Jego ojciec był presbiterjańskim pastorem.

Za małą opłatą przeznaczoną na utrzymanie tej narodowej „pamiątki" oprowadzono mnie po dosyć obszernem, wygodnem, skromnie urządzonem, małomiejskiem mieszkaniu. Tu młody Wilson ujrzał światło dzienne i spędził młode lata. Zdaje się nawet, że w naukach był nieco tępy, chociaż otrzymał bardzo staranne wykształcenie. Z czasem mają utworzyć z tego mieszkania muzeum pamiątkowe, w którem umieszczą listy, dokumenty i wszystko, co można będzie zebrać z życia tego wielkiego myśliciela i ideowca, a przyjaciela Polski.

Wypada nadmienić, że w usposobieniu prezydenta Wilsona do Polski zaszły wielkie zmiany na korzyść Polaków dzięki wpływom p. Paderewskiego, który zawsze był mile widziany w białym domu i tam dla państwa Wilsonów dawał koncerty. W salonie plebanijki zauważyłem dwie fotografje pomnika Wilsona w Poznaniu, z podpisem p. Prezydenta Ignacego Mościckiego. W porządeczku. Na polskim turyście ta mała pamiątka, a miła niespodzianka jak najlepsze robi wrażenie.

Tu zbaczam z głównej drogi i jadę przez góry, przez miasteczko Wynesboro do Charlottesville. Ciągnie mnie tam piękny, stary uniwersytet stanowy i słynny majątek prezydenta Jeffersona — Monticello.

Tuż za miastem pierwszorzędną drogą, lekkiemi serpentynami posuwam się ku szczytom pasma zwanego Blue Ridge Mountains. Nadano im nazwę Blue Ridge niebieskie wzgórza —

dlatego, że ich wierzchołki są niemal zawsze pokryte smugą niebieskiej mgły czy dymu.

Gdym się wygramolił na szczyty niezbyt wysokich wzgórz, cudny przede mną roztoczył się krajobraz. Z jednej i drugiej strony, jak okiem sięgnąć, ciągną się niezbyt szerokie doliny, upstrzone małemi wioskami, miasteczkami i zabudowaniami farmerskiemi. Pola porozgradzane płotami i poszatkowane licznemi sadami owocowemi. Drzewa obładowane czerwonym owocem tak, że trzeba było gałęzie podpierać, aby się nie połamały pod nadmiernym ciężarem.

Ponieważ cała dolina rzeki Shenandoah jest bardzo urocza, w dodatku i historyczna, więc też rząd wykroił najpiękniejsze kawałki z łona natury i założył ogromny park narodowy, podobny do tych, które zwiedziłem w górach Skalistych i wysokich Sierras nad oceanem Spokojnym. Liczne a nadzwyczaj ciekawe pieczary, historyczne pola bitew, niezbyt wielka odległość od wielkich miast, jak Nowego Jorku, Filadelfji, Waszyngtonu i innych, uczyni z tego skrawka gór jeden z najpiękniejszych, a zarazem najpopularniejszych parków Ameryki. Już od paru lat pracują nad budową wygodnych dróg samochodowych. Po kilkugodzinnej podróży z wielkich środowisk na wschodzie, turysta może się poprostu zaszyć w głębi leśnej i dowolnie używać tej wyjątkowej przyjemności i wypoczynku.

W Waynesboro już przy końcu wojny domowej stoczono jedną z ostatnich bitew, w której siły południowców rozgromiono i znaczną część zabrano do niewoli. Przy drodze ciągną się sady owocowe przeważnie jabłonie i brzoskwinie. W miasteczkach zbudowano olbrzymie składy, z których wysyłają tysiące skrzyń i beczek z jabłkami do pobliskich miast. Tu się przyjęło przysłowie: „An apple a day, will keep the doctor away — an onion a day will keep averybody away“. Jedząc jabłko jedno dziennie, unikniesz lekarza, a jedząc cebulę, unikniesz wszystkich.

Charlottesville położone w uroczej dolinie, ze wszech stron zalane słońcem, otoczone zielonemi wzgórzami, pociąga ku sobie turystę. Odczuwa się tu ciepło tej południowej, gościnnej, arystokratycznej atmosfery. Już język ma jakieś delikatne, południowe, przeciągłe, miłe dla ucha akcenty. Słusznie też nazywają Charlottesville — sercem Wirginji. Miasto wywodzi nazwę od królowej angielskiej Charlotte, żony Jerzego Trzeciego. Tu przez

kilka lat w obozie koncentracyjnym trzymano żołnierzy angielskich, zabranych do niewoli po bitwie pod Saratogą.

Na szczególniejszą uwagę turysty w tem zaczarowanem miasteczku zasługuje uniwersytet stanowy. Jest to jedna z najstarszych uczelni w Ameryce. A co najważniejsza, że architektem, dyrektorem a poniekąd założycielem uniwersytetu był Tomasz Jefferson, autor Deklaracji Niepodległości amerykańskiej i prezydent Stanów Zjednoczonych. Pierwsze gmachy uniwersyteckie zbudowano według jego planów i po dziś dzień uważają je za najpiękniejsze w Ameryce.

Budynki uniwersyteckie tworzą obszerny czworobok, zbudodowany na małem wzgórzu. Cały komplet ujęto w piękne tarasy, budynki otoczono rzędami klasycznych kolumn. Niektóre z poszczególnych gmachów służyły za wzór innym architektom. Uniwersytet Kolumbja w Nowym Jorku, Institut Techniczny w Bostonie są poniekąd wzorowane na planach Jeffersona.

Przy uniwersytecie, jak również na placach i w parkach miejskich napotykam wspaniałe i artystyczne pomniki. Ma się rozumieć, bohaterskich rozmiarów statuy generałów Lee i Jacksona zajmują pierwsze miejsce; są to przecież prototypy i bohaterzy ideałów i myśli południowców. Około nich wyrosła ogromna aureola bohaterstwa i to całkiem słusznie, chociaż może nie bylibyśmy tą wszechświatową potęgą, gdyby stany południowe się oderwały i nadal zachowały swój separatyzm i — niewolnictwo.

Całkiem niespodzianie zetknąłem się z naszymi starymi znajomymi — Lewisem i Clarkiem, którzy pierwsi przez stepy, góry i lasy przedarli się do oceanu Spokojnego. To przecież synowie Wirginji, a Wirginja zawsze czcią otacza swych wybitnych synów i bohaterów. Tu również jest pomnik bronzowy tego drugiego George Rogers Clarka, który Anglikom zabrał terytorja na północ i zachód od rzeki Ohio. Wspominałem o jego czynach w jednym z poprzednich rozdziałów, pisząc o Illinois i o Indjanie. Nazywają go „Hannibalem Północnego Zachodu".

Stary uniwersytet szczyci się z tego, że nietylko miał prezydenta jako założyciela i architekta, ale że tu się kształcili ludzie genjalni. Z pietyzmem turyście pokazują stancję Nr. 13 gdzie mieszkał Edgar Allam Poe, jeden z naszych genjalnych poetów i pokój Nr. 31, w którym jako młody student przebywał nasz nieśmiertelny Woodrow Wilson.

Zbudowano w mieście lampę do oświetlenia drogi samolotom. Rzuca promienie o sile miljarda trzystu ośmdziesięciu miljonów świec. Tę potężną smugę światła widać na odległość dwustu mil.

Parę mil za miastem, na uroczem wzgórzu, z którego przed oczyma turysty odsłania się malowniczy pejzaż lasów, wzgórz i dolin, znajduje się majątek i rezydencja Tomasza Jeffersona, jednego z najbardziej wszechstronnie wykształconych prezydentów Stanów Zjednoczonych. Wpadniemy na chwilkę do jego pałacyku.

Pochodził z zamożnej, arystokratycznej rodziny, więc też otrzymał staranne wykształcenie w Ameryce i w Paryżu. Z zawodu był prawnikiem i jak wspomniałem, jest poniekąd autorem naszej Deklaracji Niepodległości. Pozatem był pierwszorzędnym architektem, stolarzem, skrzypkiem zawołanym, znawcą sztuki, filozofem, pedagogiem i jak na owe czasy, otaczał się splendorem i europejską wprost wykwintnością. Jego bogatą rezydencję Monticello przejął rząd i utworzył z niej zabytek narodowy.

Biała willa otoczona szerokim trawnikiem, na którym tu i ówdzie rosną rosochate stare drzewa, świadczy, że i nasza amerykańska arystokracja, bo przecież mamy swoją domorodną arystokrację i nie wliczam do tego tysięcy „nouveaux richów“, żyła luksusowo i wykwintnie. Tu się zjeżdżała na zabawy i festyny śmietanka angielskich osadników. Duży, biało pomalowany barak był kwaterą niewolników, używanych do obsługi domowej i uprawy roli. W domu przestronnym, dostatnio umeblowanym, z olejnemi portretami na ścianach, z fajansami francuskiemi i rozmaitemi „bric a brac“ na stołach, wszystko zachowano tak, jak było za czasów prezydenta Jeffersona.

Turyście pokazują werandę, na której Jefferson zwykł siadać i zapomocą silnej lornetki obserwował robotników przy pracy nad uniwersytetem w Charlottesville.

Podczas walki o niepodległość oficer angielski Tarleton tu się zapuścił, aby wziąć do niewoli Jeffersona i całą radę stanową. Ten zdołał uciec tylko dzięki szybkiej jeździe jednego z kolonistów nazwiskiem Jack Jouette, ktory Jeffersona przestrzegł przed Anglikami. W pięć minut po opróżnieniu domu zajechali Anglicy, ale ptaszek tak przez nich wielce pożądany się ulotnił. Z nim także słynny Patrick Henry, który na kilka

lat przed wybuchem rewolucji, wygłosił te pamiętne słowa: „Dajcie mi wolność, albo dajcie mi śmierć“. W tym wypadku wybrał wolność i wiał do lasu, aż się za nim kurzyło. Niejeden, gdy wróg jest hen za lasami i górami, ma odwagę, ale gdy trzeba się z nim oko w oko spotkać, nagle stchórzy. Taka to już natura ludzka.

W sąsiedztwie, zaledwo parę mil od Monticello, mieszkał inny prezydent Stanów Zjednoczonych i osobisty przyjaciel Jeffersona — James Monroe. Wpadłem po drodze zwiedzić jego skromny, ale wygodny domek. Zdaje się, że rząd mu wyasygnował dwa tysiące pięćset dolarów na budowę, więc też biedaczysko sztukował, nadstawiał jak najlepiej umiał. Przed domem rosną szpalery bukszpanów, a wśród nich stoi piękna z kararyjskiego marmuru statua autora słynnej doktryny — Monroe'go. Na podstawie jego doktryny, rząd amerykański nie dopuści do tego, aby którekolwiek inne zagraniczne państwo, w jakikolwiek sposób, na zachodnim kontynencie przemocą zabierało tutejszym państewkom ziemię lub wolność. Poprostu jest to manifest nieagresji, wystosowany do całego świata. Więc też tylko mimochodem Polsce i Polakom to przypominam, ażebyście się przypadkowo nie pokusili o jakąś amerykańską republikę.

Kilkadziesiąt lat wstecz Anglja miała nieporozumienie z Wenezuelą w Południowej Ameryce. O włosek nie przyszło do wojny i Anglicy połknęliby małą Wenezuelę, niby bocian żabę. Gdy jednak Wuj Sam powiedział, że to nietylko z Wenezuelą, ale i z nami będzie rozprawa, Anglicy się jakoś uspokoili. Ciekawe, jak to można być w spokoju i niepożądać cudzej własności, jeżeli się wie, że ktoś silny tego pilnuje.

Doktryna Monroe'go jednak nie przeszkadza republikom, szczególnie Środkowej i Południowej Ameryki w prowadzeniu wojen z sąsiedniemi państwami, lub też prowadzenia i urządzania we własnym kraju dorocznych rewolucyj. To jest dozwolone, owszem — nieraz przez Stany Zjednoczone potajemnie popierane, a to tem bardziej, jeżeli na tem możemy zarobić.

W każdym razie „wdzięczna“ Wenezuela nie zapomniała o tym wielkim mężu stanu, który jej skórę uratował. Zamówili więc „pomnik wdzięczności“. Coś w rodzaju... „Wdzięczna Polska Ameryce“... w Warszawie. Zanim jednak można było statuę wysłać, nastąpiła w Wenezueli rewolucja, a statua w jakiemś

obskurnem pudle przeleżała dwadzieścia lat. Ktoś ją przypadkowo odnalazł i tu z wielką ceremonją przysłał.

Jest w tych okolicach pełno ciekawych, starych rezydencyj i pamiątek, ale nie było czasu zabytków z ery kolonjalnej zwiedzać. Więc czem prędzej wracam do Staunton i znów głównym traktem sunę do Lexingtonu — „Świątyni Południa". Mamy dwa słynne miasta tej nazwy: jedno w pobliżu Bostonu w Massachusetts, gdzie padły pierwsze strzały w walce o niepodległość, a drugie tu we Wirginji, gdzie spoczywają prochy wielkich bohaterów Południa, generałów Lee i Jacksona.

Odczuwa się w niem jakąś dziwną, spokojną atmosferę południa. Ulice starego miasta wysadzone szpalerami wiązów, wśród których widnieją kolumnami zdobne stare, obszerne i wygodne rezydencje arystokratycznych rodzin południowców. Główną atrakcję dla przeciętnego turysty stanowią oczywiście dwie szkoły wyższe. Jedna z nich to rodzaj szkoły kadetów — Virginia Military Institute, w której uczył słynny generał Tomasz J. Jackson przezwany „Stonewall" — mur kamienny, gdyż na polu bitwy stał, jak mur. Tuż obok jest druga szkoła, a właściwie uniwersytet, noszący nazwę dwóch wybitnych synów tego stanu — Waszyngtona i Lee'a. Generał Lee po upadku i zakończeniu wojny domowej odmówił oferty, jakie mu podały inne kraje. Przyjął posadę rektora zakładu i w tem uroczem zaciszu pracował do śmierci nad odbudową Południa.

Jego bardzo skromnie urządzona kancelarja jest tak zachowana, jak była za jego życia. W kaplicy, tuż obok, w grobach rodzinnych, pochowano generała Roberta E. Lee, wodza południowców. Jego ojciec, generał z walki o niepodległość, także tu spoczywa. Ponad grobowcem kaplicy jest znakomita rzeźba, dłóta Edwarda Valentini, z kararyjskiego muru, przedstawiająca generała w pozie leżącej. W małem muzeum zakładu zebrano liczne pamiątki po tych dwóch słynnych generałach Jacksonie i Lee.

Virginią Military Institute jest poniekąd szkołą wojskową, założoną przez oficera armij napoleońskich Claude Crozet'a. Tu instruktorem był generał Jackson, a w dzień bitwy pod Chancellorsville, jego ostatniej, powiedział — „Szkoła Virginia Military Institute da o sobie znać". Na spisie uczniów zakładu widnieją nazwiska tej miary, co admirał Byrd i Mateusz Fontaine Maury, kartograf oceanów.

Na cmentarzu, przy głównej drodze, wśród grobów starych rodzin, jest także piękny pomnik z bronzu i grób generała Jacksona. Człowiek, który na cmentarzu pracował, wskazał mi miejsce, gdzie wśród grobów rodziny pochowano także niewolnika, który wierną, całożyciową służbą doznał tego wyjątkowego wprost zaszczytu, że go pochowano wraz z jego panem. Sądzę, że się ogromnie z tego cieszy. Na innem miejscu znów wskazał mały kamienny nagrobek wystawiony przez niewolnika swemu panu, który zmarł w nędzy. Widać, że stosunki między niewolnikami, a ich panami były niekiedy bardzo przyjazne. Zresztą skąd wzięlibyśmy ten ogromny zastęp murzynów, w których płynie krew biała, gdybyśmy nie żyli z nimi na stopie poufałej?...

W pobliżu Lexingtonu jest mała farma, niegdyś własność Cyrusa McCormicka. Tam zbudował pierwszą maszynę do koszenia pszenicy. Nie każdy docenia doniosłość tego wynalazku, a jednak gdyby nie nasze żniwiarki, umożliwiające szybki zbiór pszenicy, żyta czy innych ziemiopłodów, tysiące przymierałyby z głodu. Teraz dzięki nadprodukcji, rolnicy i mieszczanie także głodują.

Z Lexingtonu, wzdłuż rzeki James, ruszam w kierunku wschodnim przez Lynchburg do stolicy stanu, miasta Richmond. Okolica górzysta, ale wzdłuż rzeki bardzo malownicza. Lynchburg jest zwykłem przemysłowem miastem, dlatego się tu nie zatrzymuję, bo fabryki obuwia i płótna mnie nie interesują.

Kilkanaście mil na wschód od Lynchburga mijam małą wioskę — Appamatox. Tu d. 9-go kwietnia 1865-go roku generał Lee z niedobitkami swej kiedyś potężnej i walecznej armji złożył broń, otoczony ze wszech stron przez wojska federalne pod wodzą generała Granta. W tem odludnem pustkowiu zakończyła się straszna tragedja bratobójczej walki. Stany południowe tak nią były do szczętu zniszczone i zdemoralizowane, że przez następne pięćdziesiąt lat nie zdołały się podnieść i odbudować.

Generał Grant przy formalnościach składania broni wypowiedział pamiętne słowa, wyryte na jego mauzoleum w Nowym Jorku. — „Let us have peace“ — miejmy pokój. Konie kazał południowcom zabrać ze sobą, gdyż „im będą potrzebne do wiosennej orki.“

W kilka dni potem nastąpiła inna bolesna tragedja, gdy aktor, Wilkes Booth z okrzykiem „Sic semper tirannis“ — (motto

stanu Wirginja) strzelił do prezydenta Lincolna w loży teatralnej, raniąc go śmiertelnie. Był to może najboleśniejszy cios dla południowców, gdyż dopiero potem rozpoczęły się dla nich szykany, zemsta i prześladowanie.

Appomatox jest teraz pustkowiem, pokrytem zaroślami. Budynki co tu wtenczas stały, albo się rozpadły, albo je rozebrano. Pozostało kilka małych pomników i kilku starych biedaków. To symbol tego, co zrobiła wojna. W pobliżu jest fabryka fajek glinianych i nic tu więcej na uwagę turysty nie zasługuje.

Okolica aż do samego Richmond jest pusta i nieurodzajna. Zrzadka napotykam na małe, biedne miasteczka i wioski. Ziemia widać jałowa, nieurodzajna i pagórkowata. Przy drodze tulą się małe nędzne domki, w których się zagnieździli murzyni i nędza, jedyną rzeczą, która się w oczy rzuca przy nędznych „farmach“ murzyńskich, prócz niewielkich pól kukurydzy, zagonów tytoniu, są gromady murzyńskich, pucułowatych, obdartych dzieciaków. W tych pustkowiach lęże się murzyńska nędza.

Richmond, do którego po całodziennej podróży dojeżdżam o zachodzie słońca, jest nietylko stolicą stanu, ale przez pięć lat bratobójczej wojny, było także stolicą konfederatów. Ileż tu zgromadzono pamiątek z tych krwawych walk!....

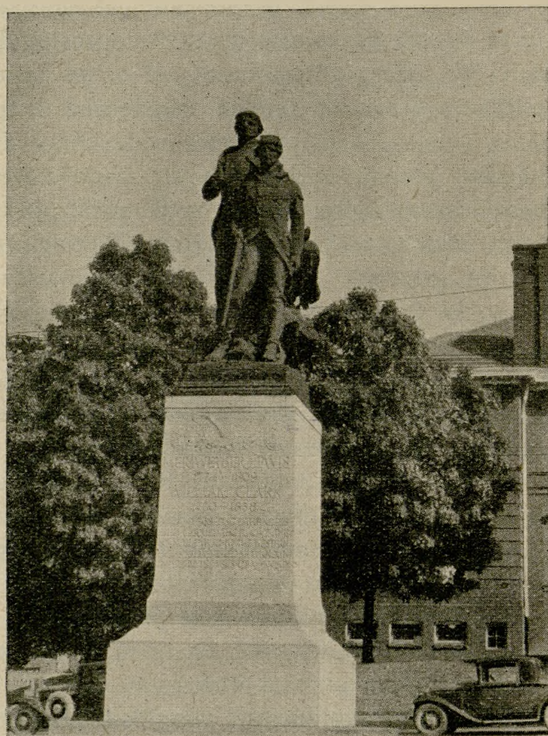
Założycielem miasta był pułkownik Byrd, pradziad słynnego admirała Byrda, który czas dłuższy przebywał w niezbadanych, lodowatych zakątkach kuli ziemskiej. W roku 1837-mym, miasto Richmond będzie obchodziło dwóchsetną rocznicę założenia.

Stary kościół Św. Jana, oczywiście protestancki, gdyż katolików tu stosunkowo niewielu, zaliczają do najstarszych w Ameryce i jest pod względem architektonicznym typowo kolonjalny. Tu właśnie wobec elity kolonistów wygłosił pomiętne kazanie Patryk Henry, żądając wolności lub śmierci. Rok przed rewolucją rzucono tu pierwsze hasła niepodległości. Podczas walki o niepodległość zdrajca Benedykt Arnold, w kościele zakwaterował z wojskami angielskiemi. Piękną z marmuru rzeźbioną chrzcielnicę, skradli swego czasu Indjanie i używali jej do mielenia kukurydzy.

Richmond było ogniskiem kultury i ducha narodowego angielskich kolonij. W Wirginji zamieszkiwały stare, arystokratyczne rodziny. Stąd szły wyprawy wgłąb kraju, niosąc kulturę i handel hen ku zachodnim krańcom. Tu rozpoczęto wydobywać

węgiel, założono pierwsze huty żelazne, zbudowano pierwsze cegielnie. Ogromny dziś przemysł tytoniowy także miał w Wirginji początki i stanowił bardzo poważny środek wymiany między kolonistami a Europą, szczególnie Anglją.

W samem śródmieściu, na małem wzgórzu, znajduje się stary a piękny kapitol. Tomasz Jefferson jest jego architektem;



Lewis i Clark — co dotarli do oceanu Spokojnego — pomnik w Charlottesville.

klasycznemi linjami przypomina słynny francuski Maison Carrée w Nimes. W kapitolu najcenniejszą pamiątką jest statua Jerzego Waszyngtona, rzeźbiona z kararyskiego marmuru dłóta nieśmiertelnego artysty rzeźbiarza — Houdona. To jest jedyna statua robiona za życia naszego pierwszego prezydenta, o którym ojciec wodza południowców, generał „Liegt Horse“ Harry Lee, powiedział, że był „pierwszym w wojnie, pierwszym w pokoju, pierw-

szym w sercach swych ziomków". Według ekspertów i ludzi, którzy osobiście znali Waszyngtona, ma to być jego najwierniejsza podobizna.

Wśród bogatego zbioru produktów, okazów przemysłu i innych pamiątek znajdujących się w muzeum kapitolu, umieszczono tu pierwszą maszynę do koszenia zboża, zrobioną przez kowala-rolnika Cyrusa McCormick'a.

O parę bloków od kapitolu znajduje się „Biały Dom Konfederacji". Tu przez zgórą cztery lata zamieszkiwał Jefferson Davis, prezydent południowej republiki, którego uniści chętnie powiesiliby na „kwaśnej jabłoni". Przeistoczono ten dwupiętrowy budynek na muzeum zabytków wojennych. Każdy stan należący do konfederacji ma jeden pokój, w którym się znajdują najrozmaitsze pamiątki wojenne, jak mapy, stare fotografje, portrety generałów, broń, szable i rewolwery dowódców, bogato cyzelowane i złocone.

W jednym pokoju widziałem bagnet zatknięty na kiju, którym walczył żołnierz konfederacki. Najciekawszy okaz — to fotografja braci — bliźniąt. Obaj walczyli w szeregach południowców i każdy w bitwie stracił, o ile sobie przypominam — lewą nogę. Bohaterów, czynów szlachetnych, jak również nędzy było tu poddostatkiem. Gdy generał Lee wrócił do miasta po poddaniu się wojskom federalnym pod Appomatox, żołnierze unijni widząc wodza, z którym przez tyle lat krwawe toczyli boje i który im tyle razy skórę wygarbował, wznieśli gromkie okrzyki na jego cześć, jako wielkiego bohatera. W oczach Amerykanów, tak południowców jak i federalnych czyli północnych, Lee zawsze będzie prototypem dżentelmena, oficera i bohatera.

Przy jednym z pięknych bulwarów znajduje się rodzaj mauzoleum konfederacji. Gmach o surowych, klasycznych linjach, z siwego piaskowca zbudowany zawiera pamiątki wojenne, przedewszyskiem portrety wszystkich wybitnych generałów, gubernatorów, dyplomatów, którzy brali udział w tej bratobójczej walce. Zauważyłem między setkami innych także portret irlandzkiego księdza, nazwiskiem Ryan, którego uważają za poetę sprawy południowców. W okresie wojny wydał kilka udatnych wierszów broniących sprawy konfederatów.

Jeden z pokoi wspaniałego muzeum, nad którem, o ile się nie mylę, jeszcze po dziś dzień powiewa sztandar konfederatów,

zasługuje na szczególniejszą uwagę z powodu artystycznych obrazów, przedstawiających wojnę w czterech porach roku. Artystą jest wybitny malarz francuski, Hoffbauer, sprowadzony tu na koszt miljonera Tomasza Fortune Ryana. Gdy już porobił szkice, tu i ówdzie na ścianach ukazały się pierwsze kontury, wybuchła wojna światowa. Wrócił do Francji, przez cztery lata walczył na froncie i widział wojnę we wszystkich jej fazach. Po jej ukończeniu przybył z powrotem do Richmondu i dokończył swego wspaniałego dzieła, już na podstawie własnych przejść i doświadczeń.

Cztery olejne obrazy dużego formatu przedstawiają cztery pory roku. Zima za temat ma działalność artylerji w śniegiem pokrytych polach, wiosna przedstawia przegląd „pieszej kawalerji“ przez generała Jacksona, lato obrazuje generała Lee wraz ze sztabem, a jesień unieśmiertelnia atak kawalerji, pod wodzą generała Stewarta, jednego z najlepszych kawalerzystów i generałów południa. Prócz tego są mniejsze obrazy upamiętniające poszczególne działy, jak walkę okrętów wojennych, artylerji oblężniczej, transporty rannych i pokrewne sceny.

W Medjolanie swego czasu podziwiałem przecudny cmentarz pomników — Cimitero Dei Monumenti — tu zaś można się zachwycać najpiękniejszą ulicą w Ameryce — bulwarem pomników — Monument Boulevard. Ta ulica pamiątkowa śmiało konkuruje z najpiękniejszemi bulwarami Paryża, Wiednia lub Berlina. Jest to szeroka, prościutka ulica, obsadzona czterema rzędami jeszcze młodych drzew, zdobna klombami kwiatów; długim pasem ciągną się szerokie smugi zieleniuteńkich i starannie utrzymywanych trawników. Co kilka bloków, na przecięciu ulicy wznoszą się heroicznych rozmiarów statuy bohaterów Południa. Na bogatych cokołach konne statuy generałów Lee, Jacksona i Stewart'a, a wśród nich, otoczona półkołem greckich kolumn, na podwyższeniu jest statua prezydenta południowców — Jeffersona, który po upadku wojny powędrował do więzienia. Z tego widać, że południowcy w wielkiem poszanowaniu mają swych bohaterów. Mimo powojennej biedy, nie szczędzili hojnych ofiar na zbudowanie całej serji tych kosztownych i w wysokim stopniu artystycznych pomników.

Nie zapomniano także o bohaterach wojny światowej i ku uczczeniu ich pamięci, kończono w stylu weneckim kampanillę, w której miano umieścić „carillon“ — dzwony, na których można

wygrywać hejnały. Tuż obok zauważyłem udatny pomnik „Christoforo Colombo“ dar tutejszych Włochów. Można się było domyśleć, że na plantacjach i po miasteczkach zamieszkują synowie słonecznej Italji. Kościoła może własnego nie posiadają, ale Christoforo Colombo być musi.

Należałoby się dłużej zatrzymać w tem uroczem mieście, pełnem pomników i pamiątek, ale czas nagli. Zaledwo sto mil dzieli nas od stolicy kraju Waszyngtonu. Ten stosunkowo niewielki szmat ziemi był aż nadto hojnie zroszony krwią bratnią. Na prawo kilkadziesiąt mil jest ogromna zatoka Chesapeake (ciesapik) Bay, a na lewo ciągnie się pasmo gór — Blue Ridge Mountains, przez które przejechaliśmy jadąc z Lexingtonu do Lynchburga i Richmondu. Więc też ten stosunkowo wąski pas lasami i rzeczkami pokrytej równiny był ciągłem polem walki. Ile tu legło żołnierzy, trudno powiedzieć. Wystarczy tylko nadmienić, że w jednej bitwie (Battle of the Wilderness) Grant w ataku na pozycje konfederatów, stracił w przeciągu jednogodzinnej walki ośmnaście tysięcy żołnierza.

Ostatnie zmagania, między generałem Grantem i generałem Lee, możnaby przyrównać do dwóch szermierzy, z których jeden przewyższał siłą, drugi zaś słabszy, ale wiele zdolniejszy, walczył z większym sprytem, przebiegłością i znajomością sztuki wojennej. Chociaż Grant w swej kampanji zwanej „Wilderness“ od dzikich pól i gąszczy, tracił tysiące ludzi w szturmach na silnie obwarowane pozycje południowców, szedł naprzód, gdyż miał za sobą ogromne rezerwy i zasoby wojenne. Łatwo mu było zapełnić luki, gdy tamci z każdem zwycięstwem słabli i topnieli. Po zajęciu silnie obwarowanego Richmondu w kwietniu 1865-go roku za kilka tygodni wojna się skończyła.

Cała droga do Waszyngtonu jest poznaczona tablicami pamiątkowemi. „Tu obozował generał ten a ten, tam przeprawił się przez rzekę taki oddział, korpus lub armja. Stąd dziesięć mil na lewo jest to pole bitwy, a opodal na prawo jest znów inne „pole chwały“.... Trzebaby właściwie wziąć do ręki dokładny podręcznik tych bitew i wszystko należycie przestudjować, aby ocenić strategiczne pociągnięcia jednych a błędy drugich. To jednak wychodzi poza granicę wiadomości dotyczących przeciętnego turysty. Ale stara żołnierska krew się odzywa i żywiej płynie gdy się jedzie okolicą zbroczoną krwią bratnią.

Fredricksburg, w połowie drogi do Waszyngtonu, jest sobie starem, drzemiącem historycznem miasteczkiem, położonem w małej dolinie, szerokiej, chociaż niezbyt głębokiej rzeki — Rappahannock. Ze strony południowej są niewielkie wzgórza zwane Marys Heights, a ze strony północnej Stafford Heights. Tu w roku 1862-im d. 13-go grudnia odbyła się krwawa bitwa między generałem Lee a generałem Burnsidem, dowódcą wojsk federalnych. Ten ostatni przeprawiwszy swą armję pontonowemi mostami podczas gęstej mgły, zaatakował silnie obwarowane wzgórza Marys Heights.

Zupełnie nieświadomie zatrzymałem samochód u podnóża tego stosunkowo niewielkiego pagórka. Tu właśnie przeprowadziła polna droga z jednej strony otoczona kamiennym płotem niby murem. To był klucz pozycji, silnie umocniony przez kilka rzędów piechoty, a tuż za wzgórzem stały rezerwy i skoncentrowana artylerja. Zając nie mógłby się tu niepostrzeżenie przedrzeć.

Nie wiem dokładnie, ile razy tę, nie do zdobycia, pozycję atakowano. Niby fale morskie szły pułki federalnych, poto tylko, aby pod morderczym ogniem gęsto zasłać pole trupami i rozbić się niby fale, o mur nadbrzeżnych odwiecznych skał. Ośmnastu pułkowników legło na polu bitwy, a szesnaście tysięcy poległych żołnierzy spoczywa snem wiecznym — na wzgórzu, którego żywa noga wojsk północnych nie przekroczyła. Przez szeroką, żelazną bramę wszedłem na ten cmentarz narodowy. U wejścia na tablicy, jak i w Winchester, zauważyłem mowę Lincolna wygłoszoną na polu bitwy pod Gettysburgiem. Całe wzgórze, o które tak zawzięcie, a bezskutecznie walczyli uniści, jest ich miejscem wiecznego spoczynku!.... Smukłe sosny, rosochate wiązy i klony pełnią tu straż nad grobami poległych. Panuje niezmącona cisza.... Przy zachodzącem słońcu długie cienie i złote promienie słoneczne słały się po cmentarzu, biorąc w czułe objęcia rzędy małych, kwadratowych lub półokrągłych nagrobków, pnących się szeregami ku wzgórzu....

Patrząc na to pole zmarłych, człowiek mimowoli pyta się: „Czyż to było potrzebne? Cóż to za pożytek z tej przelanej krwi bratniej, z tych żywotów przedwcześnie okrutną wojną zgaszonych?...."

Fredickburg jest rodzinnem miastem Waszyngtonu. Tu na małym cmentarzyku leży pochowana matka naszego pierwszego

prezydenta, Marta Waszyngton. Organizacja patrjotyczna „Daughters of the American Rewolution“ — Córki Amerykańskiej Rewolucji — do której należą tylko potomkowie żołnierzy z walk o niepodległość, zbudowały nad jej grobem wysoki obelisk. Chciała być w tem miejscu pochowana, gdyż tu na stare lata lubiała chodzić na rozmyślania, przytem jak mówiła, ten kawałek ziemi był zbyt kamienisty, aby mógł służyć na coś lepszego.

Prezydent Monroe, autor znanej doktryny mieszkał tu i miał swoje biuro adwokackie. Budynek i jego kancelarję zachowano, jako pamiątkę narodową, a przez turystów licznie zwiedzaną.

Chociaż już dawno na wzgórzach ucichły armaty, chociaż w proch rozsypały się kości poległych, gdyż na miejskim cmentarzu długiemi szeregami leżą pochowani konfederaci, jednak daje się tu odczuć nienawiść do wojsk północnych. I to powiedziałbym słusznie. Generał Burnside, widząc że nie może zdobyć pozycyj południowców na Marys Heights, kazał miasto zbombardować. Po bitwie pozostała tylko kupa gruzów, zgliszczy i trupów.

W promieniu dwudziestu pięciu mil od Fredricksburga jest niemal jedno wielkie pole bitwy. Tu, że tak powiem, był „front“ przez cztery długie lata. Wojska federalne chciały się tędy dostać do stolicy południowców, a tamci z tą samą zaciekłością starali się przebić do Waszyngtonu. Zostały po nich pola bitew, cmentarze, pomniki i.... wspomnienia.

Jadę rządową drogą Nr. 1. Ciągnie się od Portland Maine, wzdłuż brzegu oceanu atlantyckiego przez Boston, Nowy Jork, Filadelfję, Waszyngton, Richmond, hen do Florydy. W Kalifornji jechaliśmy ostatnią z tych wielkich dróg rządowych, wiodących od południa ku północy przez słynne lasy kolosalnych świerków — Redwoods — to był Nr. 101. Tak samo idą drogi od wschodu ku zachodowi. Najbliszą Kanady jest numer 1-szy, a droga nad granicą meksykańską jest numer 90-ty.

Rozdział XIII.

WASZYNGTON.

Zbliżam się do stolicy kraju, a także do rodzinnej siedziby — Waszyngtona. Wypada więc coś o obu Waszyngtonach napisać i z niektóremi szczegółami bliżej się zapoznać.

Nad rzeką Pottomac, kilkanaście mil na południe od stolicy, na małem wzgórzu, wznosi się obszerne mieszkanie Jerzego Waszyngtona, zbudowane z drzewa, w stylu kolonjalnym. Nazywa się Mount Vernon, a wzięło nazwę od przyjaciela rodziny admirała Vernon.

Uroczy i malowniczy to zakątek. Dla Amerykanów to najświętsza Mekka, cel ich pielgrzymek patrjotycznych. Z szerokiego krużganku, opierającego się na rzędzie czworobocznych, drewnianych słupów, roztacza się przed widzem uroczy widok na szeroką, spławną, a za czasów Waszyngtona, bardzo rybną rzekę — Pottomac. Od wieków tędy płyną okręty naładowane towarem dla pobliskich miast. Każdy okręt mijając rezydencję pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, zawsze salutuje.

Wyobrażam sobie, ile to miłych chwil spędził tu Waszyngton w kółku rodzinnem, sąsiadów, towarzyszów broni i wybitnych „forejnerów“ — obcokrajowców, tej miary co Lafayette, Rocham beau, Kościuszko i wielu innych. Znany był z gościnności i starej, arystokratycznej, angielskiej elegancji.

Po śmierci Waszyngtona, w grudniu 1799-go roku i jego żony Marty w dwa lata później, majątek zaczął podupadać i za kilkanaście lat chylił się ku ruinie. Dopiero patrjotyczne kobiety, bo te zawsze starają się o ognisko domowe, wzięły w swą troskliwą kuratelę posiadłość. Całkowicie ją odrestaurowały i trzymają w tym stanie, w jakim się znajdowała za czasów „Ojca Narodu“. Należy się więc wielkie uznanie za pożyteczną

a wdzięczną pracę stowarzyszeniu „Mount Vernon Ladies Association of the Union". Gdyby Waszyngton wraz z żoną Martą wyszedł z grobowca i poszedł te kilkadziesiąt kroków do mieszkania, zastałby wszystko na swem miejscu. Mógłby znów usiąść na werandzie, na takich samych krzesełkach, na jakich zwykł z przyjaciółmi zasiadywać i z lubością patrzeć na spokojnie płynącą rzekę. Możeby tylko znalazł próżną piwnicę, która za jego czasów była dobrze napełniona — trunkowością.

Na parterze czyli jak tu mówią na pierwszem piętrze, a właściwie po naszemu „na pierwszym florze" — podłodze — znajdują się sale przyjęć, kancelarje i jadalnia z rozmaitemi mniejszemi ubikacjami. Na drugiem zaś są pokoje sypialne z gustem umeblowane.

Kuchnia jest poza właściwem mieszkaniem i tylko rodzajem krużganka połączona z jadalnią, a to zapewne, aby zapachy kuchenne nie zanieczyszczały powietrza gościom. W szafach umieszczono najrozmaitsze naczynia i serwisy stołowe. Zauważyłem z grubego szkła flakony do wina i wszelkiego gatunku napojów alkoholowych w osobnych kasetkach, rzędem poustawiane. Waszyngton nawet nie marzył, aby w kraju, któremu wywalczył wolność, nie było wolno przez lat trzynaście wypić legalnie kieliszka wodki lub szklanki piwa.

Za kuchnią rzędem ciągną się dalsze zabudowania; były to stajnie, wozownie, kuźnie, stolarnie, jednem słowem cały wielki folwark. Z drugiej strony był ogród warzywny, szpalerem bukszpanów otoczony i ogród z kwiatami, w których Waszyngton i jego żona ogromnie się lubowali. Przyjaciele i monarchowie przysyłali im najrozmaitsze nasiona, korzonki i egzotyczne rośliny, które sadzili albo w ogrodzie, albo też w oranżerji do dziś starannie utrzymywanej. Tuż obok mieściły się tkalnie, w których przędzono wełnę i robiono płótna dla służby i niewolników zatrudnionych przy gospodarstwie. Cały „folwark" składał się z trzydziestu budynków, w których były składy zboża, stajnie, obory, kuźnie, mleczarnie, lodownie, jednem słowem wszystko niezbędne przy gospodarstwie rolnem. Należy pamiętać, że wszystko trzeba było również robić na miejscu, czy to płótno na ubranie czy uprząż na konie lub pług do orki. To, czego nie można było własnemi siłami wykonać, sprowadzano z Anglji. Wzamian za towary angielskie wysyłano tytoń i rozmaite produkta kolonjalne.

„Jerzy Waszyngton z Mount Vernon i obywatel Stanów Zjednoczonych“, tak się bowiem w swym testamencie tytułował, był wzorem i typem ziemianina czyli „farmera“. Przypuszczam, że nasi polscy „obszarnicy“ są mu podobni. Oszczędny, zapobiegliwy, wszystkiego dopatrzył, wszędzie zajrzał, niczego nie pominął. Nie szczędził pieniędzy na sprawy narodowe i religijne, ale też nie był rozrzutny.

Starannie utrzymywał książki rachunkowe i codziennie w nich robił zapiski co do kosztów, rozchodów i dochodów. Nieraz notował pogodę, temperaturę, wiatr z której wiał strony. Nic nie uszło jego bacznej na wszystko uwagi. Wstawał bardzo rychło, o czwartej rano i przy świecy załatwiał korespondencję, prowadził rachunki i notatki. Uważają go pod tym względem za nadzwyczaj sumiennego i pracowitego. Zdaje się, że żaden inny wybitny człowiek nie pozostawił po sobie tyle zapisków, listów i prac, co Waszyngton.

On i jego żona Marta byli ludźmi religijnymi i bogobojnymi. W niedzielę zwykle jechali do kościoła w sąsiedniej Aleksandrji, odległej jakie dziesięć mil od Mount Vernon. Jedynie choroba lub niepogoda zwalniała go od tego obowiązku. Wtedy w domu spędzał czas na czytaniu biblji i kazań, które mu nadsyłano. Przy stole, przed obiadem i kolacją zawsze odmawiał modlitwę, podczas której goście stali z pochylonemi głowami. Można powiedzieć, że panowały tu zwyczaje purytańskie.

Znana jest legenda o jego prawdomówności. Ojciec podobno kupił mu toporek, a on chcąc go wypróbować, ściął nim młodą wiśnię. Przyznał się do tego, gdyż „nie chciał kłamać“. Mówią, że rzadko się zdarzyło, aby zaklął. (Nawiasem mówiąc, ze mną tak samo). Gdy atoli nie wypełniano jego rozkazów podczas bitew, klął aż się świeciło. Prowadził własną dystylarnię. Czyniło to zresztą w latach prohibicji bardzo wielu obywateli, tylko im to zawsze bezkarnie nie uchodziło. Lubiał się starannie ubierać, a także nie gardził płcią piękną. Po zabawach, w notatkach zawsze robił wzmiankę, ile spotkał pięknych kobiet.

Czy w jego życiu były jakie skandaliki i miłostki, stanowczo powiedzieć nie mogę. Przypuszczam, że bez nich się nie obyło. Trzebaby jednak na to naszego, w pisma płodnego Boya, który takie sprawki, niby ratler szczury, chętnie wyławia i szerokiemu kołu czytelników aportuje. Wiem, że Waszyngton od jednej

nadobnej pani otrzymał rekuzę, zresztą to samo przytrafiło się Kościuszce.

Żwirem wysypana ścieżka, po obu stronach obsadzona rzędem cedrów, prowadzi do grobowca zbudowanego z cegły na zboczu wzgórza. Za żelazną bramą widać dwie skromne, z białego marmuru trumny. To miejsce spoczynku Waszyngtona i jego małżonki. Byłem tu już kilka razy. Podczas wojny tak się okoliczności złożyły, że w przeciągu kilku miesięcy odwiedziłem grób Waszyngtona w Mount Vernon, Lafayetta, na małym cmentarzyku Picpus w Paryżu, przy którym generał Pershing, a zdaje się właściwie jeden z jego oficerów, niedawno zmarły pułk. Staunton, wypowiedział te pamiętne słowa: „Lafayette we are here" — Lafayecie jesteśmy tu — no i trzeci, a nam najmilszy, to grób — Kościuszki na Wawelu.

Zawsze można tu spotkać turystów z najodleglejszych zakątków kuli ziemskiej. Przychodzą odwiedzić i złożyć cześć prochom budowniczego naszej zamorskiej ojczyzny. Właściwie to nie są „prochy", gdyż Waszyngton się tu bardzo dobrze konserwuje, a to dlatego, że go zalali alkoholem. Sztuka balsamowania nie była wówczas rozpowszechniona. Kilkanaście lat temu trumnę otworzyli i znaleźli ciało znakomicie zachowane. Nie wiem, czy mu dali więcej alkoholu czy nie. Ponieważ to czasy prohibicji, więc wątpię. W każdym razie głupia to historja i powiedziałbym ironja losu. „Ojciec" naszej Ojczyzny, Waszyngton, był bezdzietny, poślubił wdowę z dwojgiem dzieci. Teraz jest na wieki „zalany" alkoholem. Kraj, któremu wolność wywalczył, przez trzynaście lat przechodził straszne katusze i pragnienie w niewoli prohibicyjnej.

Aleksandrja małe lecz stare miasteczko, leży na drodze z Mt. Vernon do stolicy kraju. Waszyngton często tu przyjeżdżał za sprawunkami, a w niedzielę wraz z żoną i rodziną na nabożeństwo. Mały, drewniany a wewnątrz skromnie urządzony kościółek zachowują w tym samym stanie, w jakim się znajdował za czasów pierwszego prezydenta. Ławka, w której zwykł był zasiadać, jak również ta, w której się modlił generał Lee, są oznaczone małemi tabliczkami.

Waszyngton był tu wpisany do straży ogniowej, a także należał do tutejszej loży masońskiej. Przechowują jako wielką relikwję krzesło, na którem zasiadywał, jako przewodniczący, czy

mistrz loży. Tu również można oglądać jego paramenta i odznaki masońskie. Zapewne z tego powodu masoni zbudowali w tem miasteczku wspaniałą świątynię kosztem kilku miljonów dolarów, na pamiątkę dwuchsetnej roczniczy urodzin Waszyngtona. Ten kilkudziesięciopiętrowy gmach w formie wieży, zdobnej kolumnami, jest na ukończeniu.

Masonem nie jestem i do masonerji nigdy nie należałem. Jednakowoż w gronie bliskich i szczerych przyjaciół, mam dużo masonów.

O ile wiem, to masonerja amerykańska różni się znacznie od europejskiej. W swym stosunku do Kościoła rzadko kiedy występuje otwarcie do walki. Owszem znam wypadki, gdzie katoliccy Rycerze Kolumba odbywali swe posiedzenia w gmachach czy lożach masońskich i odwrotnie, gdyż podczas zjazdów masonów katoliccy „Rycerze" po rycersku, bezinteresownie oddawali masonom do użytku swe sale i gmachy. Masonerję uważałbym raczej za polityczny i moralny „żyroskop" równoważący najrozmaitsze prądy i wpływy zagraniczne, a nawet i katolickie. Masonerja czuwa nad tem, aby kraj szedł po linji wytycznej, jaką mu nadał jego założyciel i mason — Jerzy Waszyngton.

Wpływy masonerji są w Stanach Zjednoczonych wszechpotężne. Żydzi w lożach masońskich mają bardzo silną reprezentację, co im toruje drogę do potęgi. Miałem w tej sprawie bardzo ciekawe zdarzenie i nie omieszkałem go wykorzystać na rzecz sprawy polskiej.

Po dłuższych zabiegach dostałem się wreszcie do nowo powstałej armji polskiej pod wodzą generała Hallera. Zgóry byłem przekonany, że wojna się beze mnie nie skończy. Gdy się Wilhelm dowiedział, że jestem w drodze aby się z nim rozprawić, „zwiał" do Holandji, aż się kurzyło. Tu tylko mimochodem ten doniosły fakt historyczny wspominam, bo może, gdyby nie ja, to kto wie, czyby Kajzer a nie Hitler w Niemczech gospodarował.

Otóż w dzień wyjazdu do obozu w Niagara on the Lake w Kanadzie, mój przyjaciel i wybitny mason Bert Farrington, dał mi na stacji swą wizytówkę „z poleceniem do wszystkich masonów". Nigdy nie przypuszczałem, że to taki zaczarowany klucz, którym z łatwością odemknę najskrytsze zakamarki amerykańskich wielkości.

Głównym powodem, dla którego wstąpiłem do armji, miała być ewentualnie propaganda w Stanach Zjednoczonych na rzecz Polski. Wszyscy tu wtenczas buszowali i Amerykanom łepetyny zawracali, a przychodziło im to dość łatwo, gdyż Amerykanie o Europie, a przedewszystkiem o Polsce i krajach Małej Ententy nie mieli najmniejszego pojęcia. Oczywiście „Czechosłowacji" nie mogli znaleźć w żadnej encyklopedji, historji i leksykonie. Przypuszczali, że z księżyca spadła i gdzieś w środkowej Europie, niby wielki klaks się rozleciała. Ale czego ta nowokreowana Czechosłowacja nie dokonała? (Tutejsi Czesi zebrali dziesięć miljonów na propagandę) Jedno z najpoważniejszych czasopism amerykańskich „Literary Digest" podało w r. 1918-tym mapę Rosji, włączając w to Syberję. Czerwonym atramenten były podkreślone wszystkie wielkie miasta tego cesarstwa, w których władzę i kontrolę dzierżyły wojska — czechosłowackie! Wszystkie koleje, magazyny były pod ich kontrolą. Niejeden w to uwierzył, a o Polsce nic nie wspomniano.

Gdym wrócił z Polski w kwietniu 1919-go roku, Niemcy i żydzi rozpoczęli straszną kampanję oszczerczą przeciwko Polsce na temat rzekomych „pogromów". Sądząc po depeszach, myślałbyś, że w Polsce wymordowano Żydów do nogi.

W łoży hotelowej rozmyślałem właśnie nad tem, jakby tej strasznej a tak dla Polski szkodliwej propagandzie przeciwdziałać. Wtem przychodzi do mnie jakiś nieznany jegomość, zaciekawiony mym mundurem. Wdaliśmy się w rozmowę i tak od słowa do słowa, nareszcie pokazałem mu ten bilecik. Chłop zdębiał i powiada, że jest masonem i uważa sobie za obowiązek być mi pomocnym. Skwapliwie przyjąłem jego ofertę, a ponieważ to była wyjątkowo gruba ryba w sferach dziennikarskich, więc też dla sprawy wprost opatrznościowy wypadek. Powiedziałem, o co mi się rozchodzi. „Ale owszem, powiada jegomość. Przygotuj, co chcesz, a jutro ci przyślę reporterów i zgóry zapewniam, że wszystko pójdzie na pierwszą stronicę".

Przygotowałem potężny „interview" i zdemaskowałem całą niecną propagandę niemiecką, uspokoiłem Żydów, poruszyłem „korytarz", dałem Polsce Gdańsk, jednem słowem, załatwiłem całą sprawę jak należało. Wszystkie dzienniki nowojorskie podały to na pierwszej stronie a za niemi w niedzielnych wydaniach inne moje poglądy roztrąbiły po całym kraju, szkoda, że

konferencja pokojowa z mych wskazówek nie skorzystała. Nawet taki „Saturday Evening Post“ ten interview cytował, a Żydzi wielką zapłonęli do mnie sympatją. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów nie zrobiłoby tej roboty, jaką zrobiła mała wizytówka masońska.

Wybaczcie, że się znów ześliznąłem na manowce i wspomnienia tych już „dawnych“ czasów. Chciałem tylko zwrócić uwagę na fakt, jak potężne wpływy posiada masonerja i co można nieraz przez odpowiednie stosunki przeprowadzić, tak istnie po „amerykańsku“.

Ciekawa rzecz — pasjami lubię cmentarze i to do tego stopnia, że się może kiedyś zdecyduję na stałe na jednym z nich zamieszkać — tylko jeszcze nie wiem na którym. Nic więc dziwnego, że mimochodem wstąpiłem na słynny wojskowy cmentarz w Arlington. Każdy amerykański żołnierz ma prawo tu być pochowanym. Rozpoczęto z żołnierzami wojny domowej, których tu tysiące w bratniej mogile spoczęło. Pierwszym był południowiec wzięty do niewoli i zmarły w obozie koncentracyjnym. Tu się kładą szeregami weterani z wojny z Hiszpanji. Przy stalowym maszcie okrętu Maine, co wyleciał w powietrze w Hawanie, rozłożyło się dużem kołem do snu wiecznego dwustu kilkudziesięciu marynarzy.

Wśród długich rzędów nagrobków żołnierzy widnieją niekiedy większe pomniki oficerów, generałów i admirałów amerykańskich. Tu spoczywa admirał Perry, odkrywca bieguna północnego. Teraz cichutko, niby jesienne liście szeregami ścielą się bohaterzy z ostatniej wojny z „Nieznanym Żołnierzem“ na czele. To symbol naszej wspólnej ofiary. Jak więc tu nie zboczyć i kilku chwil nie spędzić w tem zaciszu, wśród tego lasu nagrobków, pomników, kwiatów, ulic, drzew i wspomnień?...

Grunt, na którym niby tak coraz więcej i coraz szybciej rozwija się ów cmentarz, należał do rodziny generała Lee, głównodowodzącego wojsk południowców. Rząd skonfiskował posiadłość, zachował jednak jako pamiątkę wspaniałą rezydencję, a resztę przeznaczył na cmentarz wojskowy. Ewentualnie jego spadkobiercom zapłacił i to dosyć słono.

Na małem wzgórzu, z którego się roztacza przed turystą cudny widok na rzekę Pottomac i stołeczne miasto, leży inżynier L'Enfant. Nad jego grobem na czterech okrągłych kolumnach, jest tablica z czerwonego piaskowca, a na niej oryginalny

plan, według którego wymierzono ulice Waszyngtonu. Jego cienie mogą patrzeć i podziwiać miasto, którego ulice i gmachy administracyjne wymierzał z Waszyngtonem w dzikim i bagnistym lesie.

Główną atrakcję dla turysty stanowi oczywiście pomnik „nieznanego żołnierza“. Francuzi pierwsi wpadli na tę chwalebną myśl, a cały świat poszedł ich śladem. Rząd w dogodnem miejscu zbudował z białego marmuru wspaniały okrągły amfiteatr, otoczony greckiemi kolumnami; może on pomieścić pięć tysięcy ludzi. Rok rocznie w dzień Wieńczenia Grobów, po angielsku — Memorial lub Decoration Day, odbywają się tu uroczystości narodowe ku czci poległych.

Poza estradą znajduje się obszerna sala, przez krórą trzeba przechodzić idąc do grobu — Nieznanego Żołnierza. Na ścianach i w oszklonych skrzyniach znajdują się wieńce, palmy, medale i krzyże żołnierskie, złożone przez miasta, organizacje wojskowe, cywilne i państwa europejskie, jako hołd amerykańskiemu nieznanemu żołnierzowi. Wśród wielu innych najwyższych odznaczeń amerykańskich i zagranicznych znalazłem także polski order „Virtuti Militari“. Nie widziałem jednak żadnego „Eiserner Kreutza“; może bezczelność niemiecka i to kiedyś uczyni.

Na stopniach amfiteatru, pod wspaniałym sarkofagiem z białego marmuru zdobnym płaskorzeźbami, spoczywają zwłoki naszego amerykańskiego bohatera. Napis wyryty na tym kilkadziesiąt ton ważącym monolicie, głosi, że tu w swej chwale spoczywa amerykański żołnierz „znany tylko Bogu“. Przed pomnikiem dzień i noc jest straż wojskowa.

Jakieś dziwne, a zarazem imponujące wrażenie robi ten blok granitu, pod którym na wieki kryją się prochy nieznanego amerykańskiego żołnierza — może nawet Polaka?!...

Mimowoli stajesz na baczność przed tą apoteozą bohaterstwa i śmierci za sprawę świętą i wielką! Ten grób — to pięknie iluminowana pierwsza litera historji narodu, jaką czytasz na tym „biwaku zmarłych“. Znajdziesz ją tu całą począwszy od żołnierzy Waszyngtona, wojny z roku 1812-go, wojny Meksykańskiej, od tych co szli pod sztandar gwiaździsty na zew Lincolna i tych, co spieszyli „pomścić“ ofiary krążownika Maine, wreszcie dochodzisz do coraz to liczniejszych zastępów tych,

co przepłynęli ocean i hojnie przelewali krew za ideały ogłoszone światu przez swego wodza — Woodrow Wilsona!...

Ze wzgórza otoczonego greckiemi kolumnami, z cudnym widokiem na rzekę, na most pamiątkowy, na smukły pomnik Waszyngtona, na imponujące mauzoleum Lincolna, wraz z nieznanym żołnierzem i z tysiącami jego towarzyszy patrzysz na najpiękniejszą stolicę świata i czytasz historję — nowego narodu — „poczętego w wolności i dedykowanego zasadzie — że wszyscy są stworzeni równymi". Dodajmy jeszcze — wolnymi...!

W tej dziwnej księdze za litery służą — groby żołnierzy. Każda mogiła wyraźniej od książek mówi ci o walce, o cierpieniu, o krwi za wolność przelanej!... Nagłówki i rozdziały jej stanowią nazwy jak Waszyngton, Lincoln, Wilson... Paragrafami są parcele ziemi, na których wśród kwiatów i drzew cienistych posiano zagony żołnierskie z poszczególnych wojen od Rewolucji do — wojny Światowej!...

Patrzysz, czytasz, myślisz i dopiero tu doceniasz, co to znaczy — Ojczyzna, Wolność!! Tu dopiero widzisz, jakie to „praetium sanguinis" ceną krwi trzeba płacić za ideały ludzkości, za ten sztandar gwiaździsty, który tu zawsze powiewa i czuwa nad tem olbrzymiem polem bohaterów...

Z tych myśli, w których się tak pogrążyłem na tem, dla narodu świętem miejscu, wyrwała mnie dziwna okoliczność. Otóż jakaś dwunożna potężna kolubryna prawdziwa „Gruba Berta" o idjotycznej twarzy, w krótkich kieckach, z pod których wystawały dwie grube nogi podobne do stołu bilardowego stanęła przy grobie i kazała się „fotografować", swej głupiej jak ona koleżance. O mało mnie szlak nie trafił!

Ze wzgórza umarłych, spuszczam się na duży most, pamiątkowy — Arlington Bridge, ślicznemi łukami rzucony przez rzekę. Tylko słynne mosty w Paryżu mogą z nim iść w zawody co do piękności. Wjeżdżam wspaniałą drogą do stolicy kraju. Nie wiem czy jest gdziekolwiek tak uroczy kawałek terenu jak ten, który tu się ścieli przed nami.

Jesteśmy w małej dolinie, nad brzegiem rzeki Pottomac, teren stopniowo wznosi się do wzgórza, na którem zbudowano kapitol. Lata całe pracowano nad wykonaniem tego pięknego projektu. Miljony dolarów rzucono na jego przeprowadzenie. Most co tylko ukończony, bieluteńki w swej świeżości, był

ostatnim etapem tej artystycznej pracy. Trzebaby wiele lepszego pióra, aby to wszystko jak należy opisać.

Tuż przy moście pociąga nas ku sobie marmurowy pomnik Ericksona, wynalazcy wojennego okrętu „Monitor". W wojnie domowej południowcy mieli kilka żelaznych okrętów, któremi z łatwością burzyli drewniane pudła federalnych. W tym kryzysie Skandynawczyk Erickson zaprojektował budowę bardzo ciekawego okrętu. Przypominał okrągłe pudełko na dużej, płaskiej desce. Zaledwo parę stóp struktury okrętowej było ponad wodą i oczywiście ów pancerny „turret" zbrojny w armaty, w pamiętnej bitwie w zatoce Chesapeake, dał sobie radę z południowcami i ich opancerzonym „Merrimackiem".

Kilkadziesiąt kroków dalej wznosi się przecudny, z białego granitu czy też marmuru „Lincoln Memorial". Gmach surowym, ale klasycznym stylem przypomina grecką świątynię, ze wszech stron otoczoną potężnemi kolumnami.

W dalekich Indjach znajduje się w mieście Agra wspaniałe mauzoleum. Zbudował je szach Jehan dla siebie i swej małżonki Numaz Mahal, na początku siedmnastego stulecia. Mówią, że dwadzieścia tysięcy ludzi — przeszło dwadzieścia lat pracowało przy budowie tego wymarzonego, wprost zaczarowanego pałacu, w którym spoczywają tych dwoje zmarłych kochanków. Koszta obliczają na kilkadziesiąt miljonów dolarów. Można powiedzieć, że miłość męża dla żony stworzyła to najpiękniejsze w świecie arcydzieło architektury.

Na drugiem miejscu postawiłbym tę świątynię pomiątkową, zbudowaną przez naród amerykański, jako „dar wdzięczności" swemu prezydentowi i męczennikowi, który „uratował unję". Wchodząc do tego mauzoleum jesteś pod wrażeniem, że wstępujesz do jakiejś greckiej świątyni w Atenach.

Gmach z białego marmuru zbudowano w kształcie długiego czworoboku, otoczonego kolumnami. Długość tej kolumnady wynosi sto ośmdziesiąt ośm stóp, a szerokość sto ośmnaście. Każda z trzydziestu sześciu kolumn, przedstawiających trzydzieści sześć stanów za czasów Lincolna, jest kolosalnych rozmiarów; ma przeszło siedm stóp średnicy, a czterdzieści cztery stopy wysokości. Twierdzą, że to są największe kolumny tego rodzaju na świecie.

Gzyms na nich spoczywający jest zdobny w wieńce i festony, w których są żłobione nazwy czterdziestu ośmiu stanów,

tworzących całość Stanów Zjednoczonych. Mimo kolosalnych rozmiarów gmach zachowuje znakomitą proporcję.

Twórca arcydzieła, Henryk Bacon, chciał w niem unieśmiertelnić Lincolna w dniu jego wiekopomnej mowy na polu bitwy pod Gettysburgiem, jego drugiej mowy inauguracyjnej i Unję, którą chciał za wszelką cenę zachować i — zachował. Tę myśl bardzo szczęśliwie i artystycznie twórca urzeczywistnił. Potężne kolumny przedstawiają poszczególne stany podczas wojny domowej, gzyms zdobny wieńcami, to stany tworzące obecną federację, a duszą całego projektu jest oczywiście heroicznych rozmiarów, w białym marmurze rzeźbiona statua Lincolna, dłóta jednego z naszych najznakomitszych artystów-rzeźbiarzy Daniela Chester French'a. Artysta przedstawia prezydenta na krześle, z rękoma spoczywającemi na poręczach zrobionych w kształcie dwu pęków rzymskich „fasces" czyli prętów symbolicznie przedstawiających jedność i siłę. Nad głową, w ścianie wyryto napis: „In this temple as in the hearts of the people for whom he saved the union, the memory of Abraham Lincoln is enshrined forever" — Co w dosłownem tłumaczeniu brzmi: „W tej świątyni jak i w sercach ludzi, dla których uratował Unję, pamięć Abrahama Lincolna jest uwieńczona na zawsze".

Po obu bokach statuy znajdują się dwa pokoje, a właściwie sale. W hali południowej jest wyryta jego mowa na polu bitwy pod Gettysburgiem, otoczona symbolicznemi figurami. W hali od strony północnej jest w granicie wyryta mowa inauguracyjna, w której znajdują się te nieśmiertelne ustępy: „With malice toward none, with charity for all, with firmness in the right, as God gives us to see the right, let us strive to finish the work we are in; to bind up the natio's wounds, to care for him who shall have borne the battle, and for his widow, and his orphan — to do all which mey achieve and cherish a just and lasting peace among ourselves and among nations". To w dowolnem tłumaczeniu brzmi jak następuje: „Z nienawiścią dla nikogo, z miłością dla wszystkich, ze stanowczością w tem, co jest słuszne, o ile nam Bóg daje poznać prawdę, starajmy się dokończyć pracę, w której jesteśmy, zawiążmy rany narodu, troszczmy się o tego, który znosił ciężar bitwy, o jego wdowę i sierotę — uczyńmy wszystko, co może osiągnąć i zachować trwały pokój wśród nas samych i wśród narodów".

Mowę, której urywek tu podałem, Lincoln wygłosił podczas drugiej inauguracji na prezydenta, u schyłku wojny domowej i w miesiąc przed własną tragiczną śmiercią, z ręki zagorzałego południowca i aktora Wilkes Booth'a. Tylko chyba w Stanach Zjednoczonych, przez intensywną pracę i w dodatku ze skrajnej nędzy stać się można nieśmiertelnym. O Lincolnie w chwili skonu powiedział jego następca Stanuton, że teraz należy do wieków — „Now he belongs to the ages".

Dla dodania tem większego efektu tej świątyni narodwej, urządzono tu wspaniały basen, otoczony ścieżkami i szpalerem z rozłożystych wiązów. W pewnych godzinach dnia, w srebrnej tafli wody odbija nietylko Lincoln Memorial, ale także Pomnik Waszyngtona. Jest to ogromny z granitu zbudowany obelisk pięćset pięćdziesiąt pięć stóp wysoki. Tworzy właściwie punkt środkowy niby uroczego parku.

Idąc w górę, mijamy bogaty ogród botaniczny, artystyczny pomnik generała Granta i szerokiemi stopniami wchodzimy do Kapitolu. W pobliżu pomnika Waszyngtona utworzono specjalny basen w połączeniu z rzeką Pottomac. Przy brzegu posadzono cały szpaler wiśni, ofiarowanych Ameryce przez Mikada japońskiego. W kwietniu, gdy drzewa pokryią sie białem kwieciem, jest to jedna z największych atrakcyj stolicy.

Trzeba pamiętać o tem, że Waszyngton różni się od wszystkich innych społecznych miast świata tem, że od samego początku był przeznaczony tylko na stolicę kraju. Niemasz tu wielkiego przemysłu i handlu, jaki napotykamy we wszystkich innych stołecznych miastach. Wszystko jest podporządkowane i połączone z administracją narodu.

Jerzy Waszyngton położył kamień węgielny pod obecny kapitol, w roku 1793-im. Część środkowa tego olbrzymiego kompleksu, ma bowiem przeszło siedemset pięćdziesiąt stóp długości, a ośmset pięćdziesiąt stóp szerokości, wykończona w przeciągu ośmnastu lat. To jednak nie włącza wspaniałej, licznemi kolumnami zdobnej kopuły, wznoszącej się przeszło trzysta stóp ponad główne wejście.

Zaledwo tę część z wielkim mozołem i niemałym kosztem ukończono, wybuchła wojna w roku 1812-tym. Anglicy niemal bez walki tu przybyli, zajęli miasto, spalili kapitol, rezydencję

prezydentów oraz wiele innych cennych budynków. Trzeba było wszystko na nowo budować i przerabiać.

Nie myślę tu odgrywać roli Baedekera i wszystko szczegółowo opisywać. Zresztą przynajmniej z obrazków nasz Kapitol jest znany na całym świecie. Wpadniemy jednak na chwilę, aby się chociaż cośkolwiek zapoznać przynajmniej z niektóremi ciekawszemi szczegółami.

Główne wejście do Kapitalu jest od strony wschodniej. Przypuszczano, że miasto od tej strony się rozbuduje, tymczasem stało się przeciwnie i dlatego kapitol, że tak powiem, jest odwrócony tyłem do miasta. Wchodzimy do gmachu przez wspaniałe bronzowe podwoje odlane w Monachjum, przedstawiające w kilkunastu obrazach szczegóły z życia odkrywcy Ameryki Krzysztofa Kolumba.

Ogromna okrągła sala, zdobna rzędem smukłych kolumn, nosi miano rotundy. Tu co cztery lata, na balkonie u wejścia do rotundy, odbywa się inauguracja prezydenta. Na ścianach umieszczono kilka olejnych obrazów przedstawiających niektóre ważne wypadki historyczne, jak wylądowanie Kolumba, odkrycie rzeki Mississippi przez Hiszpana De Soto, podpisywanie Deklaracji Niepodległości, poddanie generałów Burgoyne'a pod Saratogą i Cornwallisa pod Yortkown i kilka scen pokrewnych. Artystą malarzem był John Trumbull z Connecticut, który wiele malował z życia wybitnych osób. Jego praca artystyczna przypada w okresie naszej walki o niepodległość, więc są to rzeczy nietylko artystyczne, ale zarazem i historyczne.

Prezydent Jefferson, który jak już poprzednio wspomniałem, był także pierwszorzędnym architektem, pozostawił tu swe piętno. Nie podobały mu się klasyczne greckie kolumny i korynckie kapitele. Dlatego wymyślił coś oryginalnego — amerykańskiego. Kazał zrobić kolumny w kształcie pęków kukurydzy, a za dekoracje do kapitelów, kazał dać liście tytoniu. Pięknych fresków i figur alegorycznych opisywać nie będę, gdyż nieraz się trudno domyślić sensu tych alegoryj.

Przechodzimy małym korytarzem do sąsiedniej, okrągłej, kolumnami zdobnej sali — to hala pomników. Pełno tu marmurowych i bronzowych podobizn naszych amerykańskich i nieamerykańskich „wielkości". Jestem pod wrażeniem, że wchodzę

do magazynu, gdzie sprzedają statuy. Stoją jedna przy drugiej, niby figury świętych w sklepach towarów kościelnych.

Wśród ludzi wybitnych, zasłużonych i znanych, dostali się tu także ludzie mniej znani, miejscowi politycy i kongresmani. Każdy stan ma prawo umieścić statuy dwóch ze swych najwybitniejszych obywateli. Abraham podobno nie mógł znaleźć pięciu uczciwych ludzi w Sodomie i Gomorze, a jakże tu znaleźć dwóch wybitnych ludzi, zasługujących na miano nieśmiertelnych i na niszę w kapitolu? Nic więc dziwnego, że się tu wpakowały nikomu nieznane niedorajdy.

Niektóre z pomników i rzeźb mają przynajmniej artystyczną wartość, inne zaś są bardzo przeciętne. W każdym razie kilka jest ciekawych. Kalifornja przysłała tu biednego Franciszkanina, z którym się już poprzednio zapoznaliśmy. To Junipero Serra. Wisconsin zaś wydelegowało na swego przestawiciela Jezuitę Ks. Ignacego Marquette. Niektórzy protestowali przeciw temu wyborowi, twierdząc, że to nie obywatele tych stanów, a nawet nie są obywatelami Stanów Zjednoczonych. Nikt jednak nie śmie ich wyrzucić za drzwi, więc sobie tam spokojnie stoją. Jest tu także i luterański pastor Jan Piotr Gabrjel Muhlenberg. Był proboszczem w małej parafji w West Wirginja. Gdy wybuchła walka o niepodległość, niedzielne kazanie zakończył temi słowy: „Jest czas na wszystko — czas na kazanie i czas na modlitwę, jest i czas na walkę, a to teraz!“ Skończył kazanie, udzielił błogosławieństwa, zrzucił z siebie paramenta kościelne, pod któremi był mundur wojskowy. Nawet nie wiem, czy zebrał kolektę, ale wiem dobrze, że zaczął zbierać rekrutów do armji. Karjerę zakończył jako generał major. To mój patron, boć i ja coś podobnego uczyniłem, tylko do rangi generalskiej nie dojechałem ani też pomnika w Warszawie mi nie zbudują.

Generałów jest tu pełno; między innymi generał Filip Kearney, którego chcę wyszczególnić tylko dla małego, a dla niego wielce „nieprzyjemnego“ incydentu, o jakim słyszałem z wiarogodnego źródła. Otóż ów generał przypadkowo zabłąkał się do linij nieprzyjacielskich. Gdy się spostrzegł, zawrócił konia i wiał do swoich aż się kurzyło. Zdaje się, że głowę trzymał bardzo nisko, a tę nieprzyzwoitą część swej anatomji dosyć wysoko i to „frontem“ zwróconą do nieprzyjaciela. Żołnierz konfederacki mając taką tarczę przed sobą — strzelił i... trafił w samą „szajbę“.

Ot królewski strzał. Nie zadrasnąwszy skóry, na miejscu położył generała. Miałem raz na polowaniu podobny wypadek, tylko ofiarą padła — kuropatwa.

Niepodobno opisywać wszystkich pod względem architektonicznym ciekawych i artystycznych budynków. Waszyngton jest niemi poprostu zawalony, a z każdym rokiem budują ich coraz więcej i coraz większych. Nowe gmachy dla przemysłu i handlu, najwyższy sąd i wiele innych w toku budowy, to już całe olbrzymie kompleksy. Wszystkie niemal gmachy rządowe są w stylu klasycznym o linjach greckich.

Wyjątek stanowi nowa bibljoteka kongresowa — Congressional Library. Wyróżnia się tem od sąsiadującego z nią kapitolu i gmachów kancelaryjnych senatu i kongresu, że jest zbudowana we włoskim stylu renesansowym. Trzypiątrowy gmach, z niezbyt wielką ośmiokątną kopułą, przypomina cośkolwiek stare kościoły i gmachy we Florencji lub innem mieście w północnych Włoszech.

Wnętrze bibljoteki, zbudowanej kosztem marnych siedmiu miljonów dolarów, poprostu lśni od najcudowniejszych marmurów, mozaik, witraży i bronzów. Trzeba ten splendor oglądać wieczorem przy stucznem oświetleniu. W specjalnych bronzowych skrytkach, niby najdroższe relikwje, przechowują oryginał Konstytucji i Deklaracji Niepodległości. W archiwach bibljoteki, jednej z największych na zachodnim kontynencie, można oglądać całe pliki listów wybitnych ludzi i wiele historycznych dokumentów. Między innemi są także listy Kościuszki i Puławskiego. W jednej z górnych sal czy korytarzy, za szkłem, jest bogate, oryginalne wydanie biblji Gutenberga. Ile za ten drogocenny okaz zapłacono, nie wiem. W każdym razie zwrócił mi uwagę mój Cicerone Ks. Dr. Rolbiecki, profesor Uniwersytetu Katolickiego w Waszyngtonie, na dwóch policjantów, którzy siedzieli vis à vis tej biblji, dając pilne baczenie na każdego przechodnia. W ogromnej czytelni gość znajdzie każde angielskie czasopismo wydawane w Stanach Zjednoczonych, a także gazety i miesięczniki zagraniczne. Znajduje się tu osobny pokój dla niewidomych, w którym książki są drukowane według metody Brilla.

Uważam za zbyteczne opisywać detalicznie bogate marmury, rzeźby, mozaiki, symbole, obrazy, witraże. Trzebaby tu przyjść i nie kilka godzin ale kilka tygodni spędzić, aby je dokładnie poznać, zrozumieć i ocenić. Mamy tyle innych ciekawych szcze-

gółów do oglądania, więc też z żalem opuszczam ten zaczarowany pałac wiedzy i przejdę się na przeciwną stronę kapitolu, do stacji kolejowej.

Angielskie przysłowie mówi: „First impressions are lasting“ — pierwsze wrażenia są trwałe. Czy gość wjeżdża do miasta samochodem od Arlington przez most, czy też pociągiem na stację kolejową, jego pierwsze wrażenia są jak najlepsze. Wychodząc z pulmanowskiego wagonu w towarzystwie umundurowanego murzyna, gdyż ci w całym kraju spełniają urząd „traegerów“, docierasz do długiego, a z bronzu artystycznie zrobionego przedziału, zaopatrzonego co kilka stóp w drzwi przesuwane. Naprzeciw każdego toru jest jego numer drzwi oraz tablice z zegarem, oznaczające godziny odjazdu i miast, do których pociąg cię na tym torze stojący zawiezie.

Cóż to za wygoda! Pamiętam w Paryżu, podczas wojny, miałem jechać na front około Nancy. Wiedząc, że może być ścisk, już dzień naprzód zakupiłem bilet i zarezerwowałem miejsce płacąc za nie franka. Na pół godziny przed odejściem pociągu, byłem już na Gare du Nord, aby wszystko jak należy załatwić i usadowić się w mej ławce. Ku memu nieszczęściu, odchodziły do Nancy dwa pociągi w pięciominutowym odstępie. Nie wiedziałem, którym miałem odjechać. Pytałem wszystkich urzędników, który to pociąg i gdzie jest wagon Nr. 3 a miejsce Nr. 13. Nikt mi nie mógł dokładnie objaśnić. Przedarłem się jako stary footbalista przez tę francuską kiszkę, szukając miejsca. Nie znalazłem. Daję franka „pour boire“ kolejarzowi. Ten mnie pakuje do jakiegoś przedziału, a stara baba powiada: „C'est pour mon mari“ — to dla mego małżonka. No za żadne pieniądze w świecie nie chcę być „ton mari“ i zwiałem. Za parę minut odjechał jeden pociąg, więc to całą sprawę uprościło. W rezultacie po półgodzinnem szukaniu, dopytywaniu, a nawet sutym napiwku, wyjechałem do obozu niewłaściwym pociągiem i na stojączkę aż do Nancy.

W pierwszorzędnej amerykańskiej stacji kolejowej panuje wzorowy porządek i bezwzględna czystość. Masz zegary, masz tablice, masz numery, masz biura informacyjne, masz sekretarki udzielające wszelkich informacyj turyście, jednem słowem — masz wszystko, od licznych kas biletowych, gdzie w ogonku nie stoisz, do pierwszorzędnych manicurów, jadłodajni, balwierni i... ustępów.

Po przejściu bramki wchodzisz na olbrzymi „concourse“. Jest to rodzaj poczekalni albo raczej przedsionka głównej poczekalni. Ten „korytarz“ jest 750 stóp długi, a niemal 350 stóp szeroki. Podłoga wyłożona marmurową posadzką, a sufit w formie łuku zdobny bogatemi gzymsami i rozetami. To ma być największa sala na świecie i możnaby w niej pomieścić pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

Główna poczekalnia w stylu renesansowym, przypomina cośkolwiek niektóre słynne łuki bibljoteki watykańskiej lub kaplicy Sykstyńskiej. Spoczywają na rzędach korynckich kolumn i dają całemu budynkowi pewną lekkość i harmonję. Właściwa poczekalnia jest 220 stóp długa, a 130 szeroka, pozatem są kasy biletowe, pokoje dla służby, urzędników; jest też jeszcze osobna poczekalnia dla prezydenta i na przyjęcie dyplomatów i dystyngowanych gości. Nawiasem wówiąc, z tego przywileju nigdy nie korzystam.

Wychodząc z tej zaczarowanej świątyni ruchu z licznemi kolumnami, rzeźbami, statuami i wszelkiem urządzeniem dla wygody pasażerów, masz nową miłą niespodziankę. Przed tobą roztacza się wprost imponujący widok.

Kilkadziesiąt stóp od ciebie stoją trzy bronzowe maszty, a na nich powiewają sztandary stołecznego miasta i kraju. W pewnym odstępie po prawej i lewej stronie fontanny, a główną atrakcję tego półkoła stanowi granitowy pomnik naszego nieodzownego „Christoforo Columbo“, dłóta znanego artysty rzeźbiarza, Leonardo Taft'a.

Jeszcze przed niewielu laty mieściły się tu stare hotele i inne obrzydliwe rudery. Rząd to wszystko wykupił, zburzył i porobił obszerne trawniki, klomby, aleje drzew, kwiatów, teras, balkonów, fontann i kaskad wyrzucających w górę strumienie wody. Przez tę zieleń oko twe pada na imponującą kopułę kapitolu. Czytałem gdzieś statystykę co do jej rozmiaru. Na jej odmalowanie potrzeba około trzydziestu ton farby a trzydziestu pięciu robotników pracuje trzy miesiące, aby samą kopułę odmalować. Patrząc na ten imponujący kompleks gmachów stolicy państwa sądzę, że każdy obywatel odczuwa rodzaj dumy z tego, że jest „civis americanus“ — obywatel amerykański. „Breathes there a man with soul so dead, who never to himself hath said — this

is my own, my native land!... Czy żyje człowiek, który do siebie nie powiedział — „To mój rodzinny kraj?“

Ze stacji do kapitolu niedaleko, więc przejdziemy się piechotą obok zielonych klombów, tryskających fontann, posągów Kolumba, pokoju, i bogatej bronzowej grupy generała Granta, na jedną z najważniejszych ulic w mieście Pensylwanja avenue. Niemal wszystkie ważne ulice noszą miano stanów, liter i numerów. To wszystko się krzyżuje i znów wiąże, w wielkie place, parki i kompleksy gmachów rządowych.

Pensylwanja Avenue łączy kapitol z „białym domem“ czyli rezydencją prezydenta. Tędy w dzień inauguracji odbywają się parady wojskowe. Przy tej właśnie głównej arterji stołecznego miasta ustawiono piękny pomnik rodaka, Kazimierza Pułaskiego, uznanego za „ojca kawalerji amerykańskiej“. Artysta rzeźbiarz, a nasz rodak, Kazimierz Chodziński, przedstawia go na koniu i o ile się nie mylę, w mundurze polskim. Fakt, że w stolicy kraju znajdują się AŻ DWA POMNIKI naszych bohaterów, dumą napełnia serce każdego Polaka. Kongres Stanów Zjednoczonych wyasygnował znaczną kwotę, aby w stolicy kraju zbudować pomnik temu, który krew przelał za wolność Stanów Zjednoczonych. Jako kawalerzysta w dzień inauguracyjny, z konia odbiera defiladę wojsk i prezydentów, a każdy przechodząc mimo, widzi, że Polacy dla wolności Ameryki krew swą przelewali.

Pomnik Pułaskiego jest w połowie drogi od kapitolu do białego domu. Budowę tego w początkach skromnego mieszkania głowy państwa rozpoczęto za czasów Waszyngtona. On pod ten gmach położył kamień węgielny i był tu krótko przed śmiercią, gdy dom był na ukończeniu. Anglicy zdobywszy stolicę, spalili kapitol i rezydencję prezydentów. Zostały się tylko osmalone, kamienne mury. Przy odbudowie budynek na zewnątrz pomalowano na biało i odtąd nosi nazwę — „białego domu“.

Miejsce na rezydencję najwyższego dostojnika państwa wybrał sam Waszyngton. Położenie bardzo piękne, w przestronnym ogrodzie, który tarasami spuszcza się ku rzece Pottomac. Z balkonu prezydent ma cudny widok na pomnik Waszyngtona i Lincolna, na rzekę, most pamiątkowy i hen na wzgórzu na cmentarz w Arlington.

Z przeciwnej strony jest niewielki, ale zdobny skwer Lafayetta, którego symboliczną statuę ustawiono na jednym

z rogów vis à vis białego domu. Na przeciwnym rogu sąsiaduje nasz Kościuszko w mundurze generała wojsk kontynentalnych, dłóta polskiego rzeźbiarza Antoniego Popiela. Po obu stronach cokołu, na którym umieszczono statuę bohatera, są grupy symboliczne. Na szczególniejszą uwagę turysty zasługuje grupa przedstawiająca polskiego kosyniera z racławickiej bitwy i rannego oficera.

Na dwóch przeciwnych rogach skweru, są posągi barona Von Steubena i admirała francuskiego Rochambeau. W samym środku jest pomnik generała i późniejszego prezydenta Andrzeja Jacksona, bohatera z bitwy pod Nowym Orleanem, jednej z niewielu, w której daliśmy w skórę Anglikom i to kilka dni po podpisaniu zawieszenia broni, w wojnie z roku 1812—1813-go.

Wnętrza białego domu opisywać nie myślę. Jest to bardzo wygodna i poniekąd z komfortem urządzona rezydencja o kilkudziesięciu wykwintnych pokojach do przyjęć dyplomatycznych. Tu się spotyka śmietankę całego świata. Niektóre „First Ladies“ były bardzo wykwintnemi damami, inne zaś to zwykłe zaściankowe kobieciny. O jednej mówią, że paliła fajkę i to zwykłą „kornówkę“ robioną z kukurydzowej pałki. Z czasem rozbudowano biały dom, a właściwie dobudowano cały szereg pomniejszych ubikacyj, w których się mieszczą biura i kancelarje prezydenta i jego licznych sekretarzy.

Nasz „Mistrz Tonów“ p. Paderewski już od wielu lat jest tu mile widzianym gościem. Zawsze dawał prywatne koncerty dla prezydentów i wyłącznego kółka ich przyjaciół. Ile przez to dobrego zdziałał, nikt nie wie i może nawet się nie domyśla. Dzięki jemu powstał „czternasty punkt“ propozycji Wilsona, żądający niepodległej Polski z dostępem do morza.

Jeszcze tu jeden chcę przytoczyć dla sprawy polskiej ciekawy wypadek.

W lesie Argońskim grały armaty. Wojska amerykańskie z nieprzepartą siłą posuwały się naprzód, druzgocąc przed sobą silnie ufortyfikowane linje niemieckie. We wszystkich stolicach, a szczególnie w Waszyngtonie już robiono przygotowania do nowego podziału Europy. Waszyngton chwilowo może nawet najważniejszą odgrywał rolę. Tu bowiem łączyły się wszystkie nici dyplomatyczne. Każdy na swój sposób chciał prezydenta Wilsona pozyskać dla swej sprawy. Paderewski zrobił wyłom,

a Dmowski, że tak powiem, na podstawie statystyk, cenzusów, a przedewszystkiem historycznych danych sprawę odbudowy Polski jak należy administracji przygotował i przedstawił.

W towarzystwie p. Jana Smulskiego przybyłem do Waszyngtona, aby załatwić pewne formalności i jako obywatel amerykański wstąpić do armji polskiej. Byliśmy na śniadaniu u p. Dmowskiego i przy toczącej się rozmowie na temat jego konferencyj, jakie wtenczas odbywał z Prezydentem Wilsonem i wybitnymi urzędnikami stanu, pokazał nam mapę przyszłej Polski z dostępem do morza i owym korytarzem, którym, niby kluską dławią się Niemcy.

Pamiętam, jakie owa mapa zrobiła na mnie dziwne wrażenia. Nareszcie po tylu latach niewoli, widziałem nasze marzenia i pragnienia urzeczywistnione. Byłem prawdopodobnie jednym z pierwszych, którzy tę mapę oglądali. Zwróciłem wtenczas uwagę P. Dmowskiemu no to, czemu nie zakreślił dla Polski całych Prus Wschodnich i zrobił z Niemcami porządek, jak się należy. Powiedział mi, o ile sobie to przypominam, mniej więcej te słowa: „To się z czasem spolszczy i wróci do Polski"; tę rzecz zostawiamy na dalszym planie rozwoju narodowego.

Z wyjątkiem Gdańska, który straciliśmy, dzięki żydowsko-Lloydgeorgeowskim intrygom, i polskiemu ślamazarstwu, reszta Polski jest w tych granicach, a nawet powiedziałbym większych, jak ją przedstawiła mapa Dmowskiego, oparta na większościach etnograficznych i linjach potrzebnych do ekonomicznego rozwoju kraju.

Spotkałem się z Dmowskim jeszcze kilkakrotnie w Paryżu, a nawet w Warszawie, gdy nasi „dzielni" posłowie całą noc kłócili się o Konstytucję. Wtenczas właśnie trzebaby było niektórych jegomościów posłać do Brześcia Litewskiego — na rozmyślanie. Ogromnie był Dmowski temi walkami sejmowemi przygnębiony.

W Waszyngtonie, w okresie wojennym i powojennym, byłem dosyć częstym gościem. Nie zapomnę tych dni tragicznych i pełnych grozy, gdy bolszewicy byli pod murami Warszawy!... Wychodźtwo było wprost zrozpaczone. Zdawało się, że wszystko stracone i już naprawdę na karcie dziejowej pięść bolszewicka wypisze to tragiczne — Finis Poloniae! Armje polskie w pełnym odwrocie, brak żywności, a co najważniejsze — amunicji. Robo-

tnicy angielscy zastrejkowali przy ładowaniu okrętów dla Polski. Czesi, nasi sąsiedzi pobratymcy wstrzymali transporty. Naród z gołemi rękoma rzucał się na wroga i swą piersią zasłaniał nietylko Polskę, ale cywilizację przed anarchją bolszewicką!...

W tych czarnych, pełnych tragizmu i rozpaczy chwilach, wychodźtwo się złączyło. Momentalnie ustały niesnaski i walki partyjne. Socjał stanął przy księdzu i narodowcu i wszyscy zjechali do Waszyngtonu, aby u Wilsona szukać pomocy. Zapewniono nas w białym domu, że rząd amerykański uczyni wszystko, aby Polskę ratować. Słyszałem, że wysłano depeszę do Czech, aby natychmiast przepuścili transporty amunicji dla armij polskich.

To się działo czternastego sierpnia 1920-go roku. Następnego dnia zaczęły nadchodzić depesze, że nieprzyjaciel wstrzymany, a rozpoczął się kontratak. Rozchwytywaliśmy gazety, w których donoszono o coraz to nowych triumfach wojsk polskich. Nareszcie nadszedł ostatni triumf i świetne zwycięstwo. Bitwa pod Warszawą przeszła do historji. Wychodźtwo zaś z bezbrzeżnej rozpaczy wpadło w nieopisany entuzjazm i radość. Oj pamiętne to dla nas chwile!...

Nadmienić wypada, że naogół Amerykanie sympatyzowali z Polakami. Zawsze w nich płynie krew sportsmanów, dlatego, co tu się nazywa „under dog“ — pies pod spodem. Dziwna, że Ajrysze z niewielkiemi wyjątkami, byli za bolszewikami, to samo niemal bez wyjątku da się powiedzieć o Żydach. Ale nie będę już więcej czasu tracił na te może i ciekawe opowiadania, chociaż charakteryzują te ważne w historji naszej momenty.

Niemal że przez ulicę od białego domu na przestrzeni całego bloku rozpostarł się gmach skarbu państwa, o greckich linjach, zdobny rzędami wspaniałych kolumn. Przedstawiałby się daleko lepiej, gdyby nie był tak wtłoczony między inne zabudowania. Opowiadają, że gdy przez dłuższy czas dyskutowano nad tem, gdzieby gmach skarbu postawić, prezydent Jackson zagniewany tem ciągłem opóźnianiem „wyszedł na ulicę“ i uderzywszy laską w ziemię, powiedział: „Tu budujcie!“ Zbudowali gdzie kazał, a że to było na samym środku ulicy, więc też teraz trzeba tu robić ostry skręt, co oczywiście psuje symetrję jednej z najważniejszych ulic miasta.

Po drugiej stronie rezydencji prezydenta wznosi się kilkupiętrowa, olbrzymia kwatera dla armji i floty, w stylu

francuskiego renesansu. Jest to właściwie mózg państwa. Tu się także mieszczą kancelarje sekretarza stanu, a więc spraw zagranicznych, i główna komenda armji i floty, sięgającej swą władzą hen na krańce oceanów.

W północno-zachodniej części miasta, na pięknem wzgórzu budują protestanci — episkopalni już od kilkunastu lat wspaniałą katedrę w stylu angielskiego gotyku. Może ona iść śmiało w zawody, gdy będzie skończona, z najpiękniejszemi katedrami w Europie. Gmach z ciosu jest 480 stóp długi a w krzyżu 132 stopy szeroki. Budowa jest w formie krzyża, z dwiema wieżami u głównego wejścia, a trzecia wznosi się na środku budynku przy przecięciu nawy i wzbija się ślicznemi, gotyckiemi łukami, zakończonemi czterema małemi wieżyczkami 260 ponad posadzkę kościelną. Ma to być rodzaj narodowej świątyni — national shrine — zbudowanej w stolicy państwa.

W episkopalnej katedrze, w podziemnych kaplicach mają chować wybitnych mężów stanu. Przyszedłem, aby zobaczyć grób prezydenta Wilsona. Sam Wilson nie był wyznania episkopalnego; jego ojciec był pastorem presbyterjańskim i on także do tej sekty nie należał. To jednak nie przeszkadzało, aby go w episkopalnej katedrze nie miano pochować. W tych sprawach protestanci różnią się od katolików. O tem jeszcze wspomnę, gdy będziemy w Nowym Jorku.

Zeszliśmy do podziemi katedry, w których się znajdują kapliczki, sale na posiedzenia i wszelkie urządzenia techniczne potrzebne w nowoczesnym kościele. Tu również są groby wybitnych Amerykanów. Narazie jest ich stosunkowo niewiele. Zmarli już dawno, po całym kraju są rozrzuceni i pochowani, a żywym się tu zbytnio nie spieszy; w dodatku nie są pewni, czyby ich przyjęto — gdyż nad tem głosuje kapituła katedry. Najwybitniejsze nieboszczyki — to admirał Dewey, który Hiszpanom pod Manilą dał w skórę, co zresztą nie przedstawiało zbyt wielkich trudności i prezydent Woodrow Wilson.

W grubej ścianie katedry św. Piotra i Pawła, w jednej z licznych nisz w formie gotyckiego łuku, znajduje się skromny grobowiec prezydenta. Grobowiec jest z kremowego piaskowca. Jedną dekoracją to prosty krzyż, przypominający cośkolwiek stare krzyżackie miecze. Nad grobem ładny witraż, a w dębowej

dekoracji nad grobowcem — wyrzeźbiony tekst „Ja jestem zmartwychwstanie i żywot, mówi Pan“.

Ponad grobem umieszczono trzy sztandary. Dwa sztandary prezydenta z jego podwójnej inauguracji, a w środku gwiaździsty sztandar Stanów Zjednoczonych, niesiony podczas wojny przez pierwszy kontygent wojsk amerykańskich w Londynie. Mówią, że to pierwszy sztandar amerykański, przed którym salutował król angielski na ziemi angielskiej. Grobowiec jest zagrodzony balustradą z kutego żelaza o łukach gotyckich, zakończonych krzyżami.

Niepodobna tu nawet w skróceniu opisać wszystkich ciekawych gmachów pomników i zabytków waszyngtońskich. Na sam Smithsonian Institute należałoby poświęcić kilka dni, aby te najciekawsze i najrozmaitsze zabytki należycie obejrzeć i ocenić. Czego tu nie znajdziesz? U głównego wejścia pod sufitem niby olbrzymi motyl, wisi aeroplan Lindbergha „The Spirit of St. Louis“, którym pierwszy przeleciał ocean Atlantycki z Nowego Jorku do Paryża. Jest tu bogaty zbiór wszelkiego gatunku broni i zbroi. Znajdziesz umundurowanie i broń wszystkich armij z wojny światowej. Modele okrętów pasażerskich i wojennych, jedną z najpierwszych lokomotyw, sprowadzoną z Anglji, a którą co godzinę uruchomiają na kilka minut.

Należałoby zaznaczyć, że Smithsonian Institute powstał dzięki ofiarności pewnego Anglika, który cały majątek zapisał rządowi, aby założył instytucję „do powiększenia i rozszerzenia wiedzy wśród ludzi“. Ta część instytutu funkcjonuje po całym świecie, zbiera fakta i udziela wszelkich wiadomości z dziedziny naukowej. Pod jej egidą urządzają wyprawy do środkowej Afryki, na bieguny, na szczyty najwyższych gór, zapuszczają się wgłąb morza, aby badać nieznane zakątki kuli ziemskiej i zbierać dla użytku innych wszelkie informacje.

Z Instytutem jest połączone muzeum narodowe, w którem są okazy minerałów, roślin, drzew, jednem słowem wszystkiego, co się w kraju znajduje. Ciekawe n. p. są kolekcje osobistych pamiątek po wybitnych obywatelach jak Waszyngtonie, Grancie, Lincolnie i wielu innych. Dla kobiet zajmujące i bardzo ciekawe są reprodukcje sukień, jakie nosiły żony prezydentów. Złożono tu chorągiew, która powiewała nad fortem McHenry w Baltimore, gdy Anglicy go bombardowali. Ten incydent natchnął Franciszka

Scott Key'a, zakładnika na angielskim okręcie wojennym, do napisania naszego hymnu narodowego — Star Spangled Banner.

Tylko w krótkości wymieniam poszczególne instytucje, w tej myśli, że może niejeden z czytelników tu zabłądzi i kilka dni spędzi z pożytkiem i przyjemnością na oglądaniu naszych historycznych precjozów. Zbiory są bogate, wprost nie wyczerpane. Wszystko znajdziesz czy z dziedziny sztuki czy wynalazków, czy minerologji, geologji, etnologji, archeologji, jednem słowem wszystkie „ologje" są tu bogato skompletowane.

W okolicy Scots Circle, przy przecięciu ulic 16-tej i Massachusetts Avenue, w pięknych pałacach zamieszkuje sfera dyplomatyczna. Mały skrawek gruntu, na którym zbudowano ambasadę angielską, wyjątkowo należy do Anglji, więc też poseł angielski jest zawsze na własnym „angielskim gruncie". Z wyglądu gmachów poselskich nie zawsze można sądzić o bogactwie i potędze danego kraju. Nieraz trzeciorzędne państewko, jak Litwa lub Kuba, szczyci się wspaniałym pałacem, a kraje dosyć zamożne lokują swych przedstawicieli w skromnej kwaterze.

Ambasada polska na Szesnastej ulicy poczesne zajmuje miejsce. Gmach o prostych linjach z siwego piaskowca dobrze się przedstawia. Bywałem tu dawniej dosyć często, ale to już lata tomu. Teraz to za wysokie progi na moje biedne nogi, chociaż cieszymy się z tego, że Polska jest w Ameryce w rzędzie — ambasad. Zaledwo kilkadziesiąt lat wstecz, nikt o tem nie marzył a o Polsce nawet nie słyszał.

Na krańcu miasta znajduje się Uniwersytet Katolicki, o którym także trzeba przynajmniej wspomnieć a to tem bardziej, że wśród grona profesorów, znajduje się jeden Polak, Ks. Dr. Jan Rolbiecki. Uczy w departamencie filozofji. Chociaż rodzina ks. Rolbieckiego przybyła do Stanów Zjednoczonych przed stu laty, mówi on dobrze po polsku, jest uważany za najlepszego lingwistę na uniwersytecie, a przez Ajryszów jest zawsze zaliczany do „forejnerów". Ciekawe, że gdy Ajrysz wyląduje w Nowym Jorku, natychmiast się przeistacza w „Amerykanina" a inny to i w dziesiątem pokoleniu, jest obcokrajowcem czyli — „forejnerem".

Gmachy uniwersyteckie są w stosunku do innych amerykańskich zakładów skromne, a kursa zdaje się, odpowiadają zabudowanion. Wielu z wybitnych profesorów usunięto, przeważnie Niemców i Francuzów. Ten sam los omało nie spotkał naszego

rodaka, tylko się to rektorowi nie udało. Rektor Ajrysz, Ryan, kładzie silny nacisk na wyszkolenie atletyczne młodzieży i kleryków. W Ameryce nieraz donioślejszej wagi dla młodzieży jest to, że ten lub ów uniwersytet posiada najlepszego, jak powiadają „pyciera" — rzucacza piłki lub footbalistę, aniżeli znajomość religji lub jakiejś ważnej branży naukowej. Chociaż cały kraj względnie wszystkie parafje i diecezje są opodatkowane na uniwersytet, instytucja na punkcie finansowym strasznie niedomaga, dzięki rządowi zakładu. Mógłbym na ten temat wiele powiedzieć, ale narazie wolę zamilczeć.

OO. Reformaci zbudowali na krańcach miasta bardzo ciekawy kościół. Ma to być podobno kopja kaplicy czy kościoła w Jerozolimie przy grobie Pana Jezusa. Wszystkie ołtarze, jak opowiadał przewodnik, zapewne braciszek św. Franciszka, są dokładną reprodukcją ołtarzy i wszelkich urządzeń w Jerozolimskim prototypie. Nigdy w Jerozolimie nie byłem i prawdę powiedziawszy prócz Grobu Pańskiego nic mnie tam nie ciągnie. Gdy zajadę na wschodnią stronę Nowego Jorku lub na Kazimierz w Krakowie, jestem pod wrażeniem że i w Jerozolimie nic innego niema do zobaczenia. Przy kościele owi Ojcowie założyli piękne ogrody, ganki, kolumnady, kapliczki, co ma się rozumieć — ściąga tu masę turystów. Jest to w każdym razie w rzeczach kościelnych nowość, szczególnie reprodukcje katakumb rzymskich z woskowemi podobiznami świętych w niszach, starannie poumieszczanych i należycie oświetlonych. Kościół, katakumby i kaplice uważają i słusznie, za jedno z miejsc okazowych stolicy.

Już i tak zbyt wiele czasu poświęciłem temu zaczarowanemu miastu, które mimo chwilowej depresji i finansowego rozgardjaszu wciąż idzie naprzód. Rozwalają stare, nawet może imponujące budynki, a na ich miejsce stawiają nowe, olbrzymie kompleksy do użytku poszczególnych departamentów rządowych. Jednym z takich na ukończeniu to departament handlu, drugi, obejmujący kilka bloków, tworzyć będzie „internal revenue" czyli gmach podatkowy, trzecim w projekcie jest — najwyższy sąd. To pochłania miljony dolarów, ale od czego są podatki?

Rozdział XIV.

MARYLAND.

Po kilkudniowym pobycie, opuszczam stolicę i ruszam w dalszą drogę. Chociaż Waszyngton jest właściwie w stanie Maryland, ale dla wyjęcia miasta z pod praw stanowych, wycięto mały skrawek ziemi i nazwano go Dystryktem Kolumbji — District of Columbia. Zarząd miejski wszystkiem dysponuje z jedną znamienną cechą, iż tutejsi obywatele nie mają prawa głosu w wyborach państwowych. Tę ustawę wyjątkową uchwalono w tym celu, aby miejscowi politycy przypadkowo nie przeszkadzali w sprawach ogólno narodowych, a może aby nie pochwycili rządów w swe ręce?

Co do obszaru, Marylad znajduje się gdzieś na szarym końcu, gdyż obejmuje tylko dwanaście tysięcy trzysta mil kwadratowych, a ludności cośkolwiek ponad półtora miljona. Zato jest jednym z najstarszych stanów, gdyż rozpoczyna swe dzieje od roku 1632-go. Lord Baltimore otrzymał ten skrawek ziemi, jako koncesję od króla angielskiego. Początkowo dołączono do niego także niezbyt wielki stan Delaware i część Pensylwanji. Trudno określić granice stanu, gdyż się ciągnie wzdłuż zatoki Chesapeake i rzeki Pottomac, tworzącej jego południową granicę.

Z początku była to kolonja katolicka. Lord Baltimore i jego brat Lord Calvert należeli do arystokratycznych rodzin angielskich. Trzeba pamiętać, że purytanie i inne sekciarze szukali w nowym kraju schronienia przed prześladowaniami religijnemi. Gdy się to bractwo tu jako tako usadowiło, znów się na tle religijnem kłócili, prześladowali i wzajemnie sobie dokuczali. Jeszcze po dziś dzień można odczuć pewną antypatję między protestantami z Anglji i katolikami z Irlandji. Swe polityczne i religijne walki tu przenieśli i chociaż może skrycie, ale pro-

wadzą je w dalszym ciągu. Dlatego powiedziałbym, że największą przeszkodą w rozwoju katolicyzmu w Ameryce są nasi „przyjaciele z Zielonej Wyspy“ — Irlandji.

Nazwę stan wywodzi od Henryetty Marji, małżonki króla angielskiego, Karola pierwszego. Stolica zaś, do której teraz elegancką drogą pospieszam, Annapolis — od jakiejś „Hanki“, jedni mówią, że to królowa Anna, inni zaś, że to żona któregoś z tutejszych lordów, mniejsza o to. Miasto zawiera dużo starych zabytków i tradycyj, ale słynie daleko więcej ze szkoły morskiej, w której się ćwiczą nasi przyszli admirałowie, aniżeli z tego, że jest stolicą stanu.

Jednakowoż warto nadmienić bardzo ciekawy wypadek z czasów walki o niepodległość. Wiadomo, że zasada „taxation without representation“ podatkowanie bez przedstawicielstwa, była niby to jedną z głównych przyczyn wiodących do wybuchu wojny o niepodległość. Tak przynajmniej piszą historje, chociaż właściwie prawdę powiedziawszy był to zwykły szmugiel bez ceł, który doprowadził do rewolucji. Jednym z towarów, na który nałożono duże cła, była herbata. W Bostonie, krótko przed wojną, wrzucono cały ładunek do wody. Tu zaś w siedem lat później przed poddaniem się generała Cornwallisa w Yorktown i przed zakończeniem wojny, jeszcze bezwzględniej sobie postąpiono. Do portu zawinął statek angielski, Peggy Stewart, mający na pokładzie między innemi towarami tonę herbaty. Właściciel okrętu zapłacił rządowi angielskiemu należne cło od herbaty. Gdy się o tem dowiedzieli koloniści, przyszli gromadnie do właściciela okrętu p. Stewarta i postawili mu taki warunek: albo sam własną ręką podpalisz okręt albo cię powiesimy na drzwiach twego domu. Widząc, że to nie przelewki, wziął biedaczysko głownię z kominka i własnoręcznie spalił okręt.

Annapolis to nasz amerykański — Tczew. Tu znajduje się amerykańska akademja morska. Zajeżdżam do bramy, przed którą strażnik, oczywiście umundurowany, daje mi bilet wstępu i każe jechać dalej. Goście są tu mile widziani, a młodzi oficerowie, a właściwie kadeci radzi udzielają informacji, szczególnie jeżeli o nie pytają nadobne panienki, co się często zdarza.

Akademja obejmuje około dwieście akrów gruntu położonego nad rzeką Severn. Na tej przestrzeni, pokratowanej na pola ćwiczeń, pola atletyczne dla piłki nożnej i stanowej czyli „base

ballu", znajduje się kilka ogromnych zabudowań czyli „hal" uniwersyteckich. Każdy „hall" nosi miano wybitnego admirała lub bohatera marynarki amerykańskiej.

Bancroft Hall tak nazwany ku czci słynnego historyka, sekretarza floty i założyciela akademji, George Bancrofta, jest sypialnią kadetów. Twierdzą, że to największa sypialnia kolegjalna na świecie. Budynek pokrywa cztery akry gruntu, a samych korytarzy jest w nim blisko pięciu kilometrów. W budynku jest obszerna sala pamiątkowa — Memorial Hall, w której umieszczono sztandar Kommodora Perry z bitwy na jeziorze Erie., z napisem: „Don't give up the ship" — Nie poddawajcie okrętu. Te słowa wypowiedział dowódca jednego z okrętów amerykańskich, Kap. Lawrence, śmiertelnie ranny w bitwie z Anglikami. To hasło znajdziecie także na okrętach wojennych floty amerykańskiej.

Zbyteczne opisywać poszczególne gmachy, jak Dalgren, Maury, Sampson. Zawierają coprawda dużo ciekawych pamiątek dla marynarzy. Tu są muzea i zabytki historyczne z dziejów amerykańskiej floty wojennej. Warto jednak zatrzymać się na kilka chwil w kaplicy zakładu, uważanej za jedną z najpiękniejszych w Ameryce. Zbudowano ją w formie małego czworoboku, z pięknemi wejściami o korynckich kolumnach. Nad tem wznosi się symetryczna okrągła kopuła. Pięć udatnych witraży upamiętnia amerykańskich admirałów i bohaterów z wojny światowej.

Najgłówniejszą atrakcją tej kaplicy, niby jej tabernaculum, jest sarkofag z pięknego pirenejskiego marmuru ustawiony w podziemiach kaplicy. Przypomina cośkolwiek Les Invalides w Paryżu i grobowiec Napolena. Tu w swej chwale i majestacie spoczywa „Ojciec Amerykańskiej Floty", John Paul Jones, jej pierwszy admirał.

Ciekawy to był żołnierz. Urodził się w Szkocji, a w dwunastym roku życia puścił się na morze, jako zwykły żeglarz. Kilkakrotnie przepłynął Atlantyk i nawiązał stosunki z tutejszemi kolonjami. Gdy wybuchła walka o niepodległość, objął kcmendę nad małą flotą i dał się we znaki okrętom angielskim. Szybko awansował, wreszcie oddano mu komendę nad większemi siłami. Ruszył do Francji, po drodze niszczył handel angielski, gdzie się tylko dało. We Francji przyjmowano go, jako bohatera.

Słynna jest jego potyczka jako kapitana okrętu „Bonne Homme Richard“ z większym i silniejszym przeciwnikiem „Serapis“, którego zabrał do niewoli. On pierwszy na swych okrętach wywiesił sztandar gwiaździsty i on po raz pierwszy był salutowany przez flotę francuską jako dowódca floty amerykańskiej.

Po wojnie, i to właśnie może polskich czytelników interesować, przyjął służbę u carycy Katarzyny w randze admirała. Miał walczyć z Turkami na morzu Czarnem, ale tyle napotykał opozycyj i intryg, że wkrótce rzucił służbę rosyjską, wrócił do Paryża i tam umarł. Dosyć burzliwą przeszedł karjerę i spoczął w nieznaczonym grobie, na małym protestanckim cmentarzu w Paryżu. Dopiero z końcem zeszłego stulecia zainteresowano się „Ojcem Amerykańskiej Floty“ i zaczęto poszukiwania za jego zwłokami. Na podstawie korespondencji i zapisków odnaleziono trumnę ołowianą, zawierającą przypuszczalnie jego zwłoki. Z wielkiemi honorami przewieziono je do Ameryki i pochowano w kaplicy.

To istny park nie szkoła. Wszędzie pełno pięknych ścieżek wysadzanych szpalerami drzew. Między niemi zielenią się pokryte patyną, stare meksykańskie armaty, opodal zaś torpedy z hiszpańskiej wojny. Wszędzie widzisz pomniki i najrozmaitsze pamiątki wojenne. W tych dogodnych warunkach, otoczeni wspaniałą tradycją morską, kształcą się przyszli obrońcy kraju.

Gdy tak patrzę na te smukłe grupy kadetów, ubrane w ciemno niebieskie mundury, mimowoli nasuwają mi się słowa piosenki żołnierskiej: „Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani...” Kto wie, czy niedługo ci młodzi, pełni życia i ambicji oficerzy nie spoczną na dnie oceanu Spokojnego w wojnie między Japonją a Stanami Zjednoczonemi? Gdy to piszę, Japończycy gospodarują się w Mandżurji i Chinach „comme un rat dans son frommage“ — niby szczur w swym serze — jak mówią Francuzi. Wuj Sam na to patrzy, czuwa i przygotowuje się do skoku...

Z Annapolis do starego historycznego Baltimore już niedaleko, zaledwie kilkadziesiąt mil. Pięćdziesiąt lat wstecz, Baltimore było ważnym punktem dla emigrantów i jest jeszcze wielkiem miastem portowem. Wielu z naszych starych polskich osadników tu wylądowało i się osiedliło. Dlatego Baltimore posiada jedną z najstarszych osad polskich w Ameryce, grupującą

się przy kilku parafjach. Opiekę duchowną tu sprawują OO. Franciszkanie. Od lat wielu wychodzi tu polski tygodnik.

Baltimore rości sobie prawo do kilku bardzo ciekawych zabytków, o których chcę chociaż tylko wspomnieć. Z historycznych pamiątek najważniejszym jest fort McHenry, zbudowany nad brzegiem zatoki Chesapeake.

Czternastego września 1814-go roku, flota angielska tu pociągnęła i rozpoczęła ostrzeliwać twierdzę. Przez całą noc armaty angieskie zasypywały obrońców pociskami, na które ci nie zawsze mogli odpowiadać, gdyż nie posiadali dział dalekonośnych. Francis Scott Key zabrany na okręt, jako zakładnik, z drżeniem wyczekiwał brzasku dnia, aby zobaczyć, czy „sztandar gwiaździsty“ jeszcze powiewał nad fortem. Trudno było trafić z okrętu w drzewce, więc też chorągiew sobie powiewała, co go tak przejęło, że siadł i napisał nasz hymn narodowy, niby Rouget de Lisle Marsyljankę, ma się rozumieć o wiele lepszą pod każdym względem.

Myślą przewodnią amerykańskiego hymnu narodowego jest sam sztandar gwiaździsty i czy on jeszcze powiewa nad „land of the free and the home of the brave“ ziemią wolnych i domem odważnych. Nawiasem mówiąc, jest to trudny wiersz do spamiętania, a jeszcze trudniejszy do śpiewania. Podczas wojny światowej, po bardzo wielu próbach, przy pomocy orkiestry, mogliśmy już dosyć dobrze odśpiewać pierwszą zwrotkę. Niektórzy to i nawet ostatnią zwrotkę umieli, a jest ich aż cztery, ale to już byli ludzie nadzwyczajnych zdolności, jak nauczycielki, dzieci szkolne i wyjątkowego pokroju patrjoci. Ale to już kopa lat temu, więc każdy „dobry“ Amerykanin, gdy teraz śpiewają Hymn Narodowy, tak pośpiewuje piąte przez dziesiąte, a dopiero na ostatnim wierszu, ryknie jak należy: „O say does that star-spangled banner yet wave, O'er the land of the free and the home of the brave“.

Tuż przy forcie unieśmiertelnili autora hymnu pomnikiem. Zdaje się, że ma to przedstawiać greckiego boga z arfą czy też z lutnią w ręce. Już kilkakrotnie była mowa o tem, aby nasz hymn narodowy zastąpić jakimś innym, łatwiejszym do spamiętania i śpiewania. Proponowałbym coś na nutę „Wlazł kotek na płotek...“

Nie chciałbym znów recytować całej litanji statystycznej o tem starem i ciekawem mieście. Weźmy za przykład szpital i szkołę lekarską Johns Hopkins, jedną z najsłynniejszych nie tylko w Ameryce, ale na całym świecie.

Bankier Johns Hopkins zapisał w roku 1876-tym siedm miljonów dolarów na szpital i na szkołę lekarską. Była to wprost bajońska suma na owe czasy. Wielu z najwybitniejszych lekarzy świata uczyło się tu lub uczęszczało na dalsze kursa lekarskie. Przy uniwersytecie są ogromne laboratorja doświadczalne, w których zdolni lekarze, obficie wyposażeni we wszelkie przybory techniczne i finansowe zasoby, bezustanku pracują nad badaniem chorób i wyszukiwaniem nowych środków ku ich zwalczeniu. W tym szpitalu wynaleziono adrenalin używany przy operacjach, zastosowano nowe metody operacyj żołądka, kiszek, żółci, woli, raka, piersi i t. d. Tu prowadzono pierwsze pomyślne doświadczenia z zatruciem — (tetanus) szczękościsk czy tężec. Tutaj robiono pierwsze próby zastosowania radu do leczenia chorób, szczególnie raka i od wielu lat bardzo intensywnie pracują nad wynalezieniem środków leczących przeciw tej chorobie. Tu także wynaleziono sacharynę, a którą teraz szwarcują z Niemiec do Polski. Dobrodziejstwa, jakie spłynęły na ludzkość dzięki miljonom kwakiera Hopkinsa, są wprost nieobliczalne.

Ogromna odnoga morska Chesapeak Bay dostarcza nie tylko miastu, ale całej okolicy znakomitych ostryg. Do niedawna, nad brzegami morza były całe góry skorup po tych amerykańskich przysmakach. Teraz je mielą i używają do karmienia kur — tym sposobem skorupy ostryg przeistaczają się w skorupy kurzych jajek. Rząd bardzo troskliwą opieką otacza hodowlę ostryg. W wodach zatoki łowią również ogromną ilość śledzi, ale w Ameryce śledź nie ma tego znaczenia, co w Polsce. Tam to przysmak, poprostu luksus. Tu zaś to nieszczęście. W mych młodych bezgrzesznych latach gdy nadszedł „święty post", ojciec zawsze kupował beczkę śledzi i kubeł powideł. Więc codziennie były śledzie z cebulą lub z kartoflami, a dla odmiany to znów była cebula lub kartofle ze śledziem. Teraz post w Ameryce znacznie „złagodniał". Mamy tyle dyspens, wyjątków, przywilejów, że śledzie nawet u dobrych katolików straciły ogromnie na popularności. Zresztą możeby i w Polsce śledzi

nie jedli, gdyby nie to, że takiego śledzia zawsze się „topiło“ w „czystej“, „gorzkiej“, „słodkiej“. Już lata całe upłynęły gdy w Krakowie śledziem się kamuflażowałem, aby się wódki napić.

Nie dziwujcie się, że w tem starem i jednem z największych miast portowych zwaliłem się do wody i... śledzi. Miasto liczy ponad ośmset tysięcy mieszkańców. Poza handlem morskim, rozgałęzionym po całej kuli ziemskiej, znajdują się tu olbrzymie fabryki. Baltimore szczyci się największą na świecie hutą miedzi, największą dystylarnią alkoholu i to mimo prohibicji; pozatem posiada olbrzymie fabryki fortepianów, spichrze zbożowe, największą wytwórnię kwasów siarczanych, olbrzymią rafinerję cukru i wiele innych poważnych branży przemysłowych.

Zanim opuszczę stary Baltimore, nie mogę się oprzeć pokusie, by wyliczyć chociażby kilka szczegółów co do których miast było „pierwsze“. A więc było pierwsze w Ameryce oświetlone gazem już w roku 1821-ym. Tu zbudowano pierwszy żelazny okręt, pierwsze linotypy, pierwszy tunel dla tramwajów elektrycznych, pierwszą górną kolej (elevated), pierwsze towarzystwo kolejowe Baltimore i Ohio, pierwsze pomniki dla Waszyngtona i Kolumba; zawsze ten Kolumb. Pierwsze stalowe pióra do pisania drukarskie, tasiemki jedwabne. Pierwsza submaryna i wiele innych wynalazków stąd wywodzi początek.

Nie mógłbym z czystem sumieniem opuścić Baltimore, żeby choć słówkiem nie wspomnieć o starym szkolnym koledze, mecenasie Siwińskim, a z czasów seminaryjnych — „Siwku“. Nie tylko wśród Polonji Baltimorskiej, ale na wychodztwie, na sejmach w Związku, w Sokolstwie jest to postać wybitna, zasłużona i znana.

Na szkolnej ławie to celujący uczeń, footbalista zawołany. To tem więcej zadziwiające, że „Władziu“ jako młody chłopak przyjechał z Królestwa i w tym amerykańskim sporcie wykazywał znakomitą sprawność. Solidny był, więc gdy którego antagonistę „zajechał“, to ten się ledwo pozbierał.

Prócz adwokatury, p. Siwiński jest prezesem dużej „spółki budowlanej“, ktora nawet w trudnych ekonomicznych warunkach prosperuje.

Dzieciom dał pierwszorzędne wykształcenie i ze słuszną dumą mi powiadał: „Stachu, wiesz co mnie najbardziej cieszy, to fakt, że moja córka — Siwińska — a więc Polka z polskiem

nazwiskiem, uczy w szkole wyższej rodowitych Amerykanów i Ajryszów historji, literatury i angielskiego języka. Syn po skończeniu kursów lekarskich pojechał na dalsze studja do Polski. Bo jak mówił, Władek: „Chcę, aby był i dobrym lekarzem i dobrym Polakiem"! — Obyśmy takich Siwińskich mieli jak najwięcej!

Opowiadał mi także ciekawą historję o synu jednego z tutejszych polskich obywateli. Młody Bolesław Miksiński — uczy się na dentystę. Od lat należał do skautów i przeszedł kursa skautowskie. Otóż pewnego dnia przechodząc mimo rzeki, zauważył gromadę ludzi, czemś mocno zaintrygoweną. Zbliżył się do brzegu, gdy z wody wyciągnięto napozór nieżywą murzynkę. Policjant stał bezradny. Wtem przystąpił do niego młody Miksiński i powiada: „Pozwól, że ja się nią zajmę?"

— Coś ty za jeden — pyta policjat.

— Jestem skautem — i pokazał swoją odznakę.

Ustąpił policjant, a młody chłopak zabrał się do ratowania topielca. Po półgodzinnej pracy, kobieta zaczęła oddychać, przyszła do siebie. Młody chłopak i skaut uratował jej życie.

Dzienniki szeroko się o tem zdarzeniu rozpisały, nie szczędząc pochwał młodemu polakowi, którego u p. Siwińskiego poznałem.

Pożegnawszy gościnne i zamożne progi kolegi, ruszam w dalszą podróż do Havre de Grace. To niewielkie miasteczko kiedyś rywalizowało z Waszyngtonem i przez tego samego inżyniera, co stolica, było wymierzone. Tylko jeden głos, tak przynajmniej twierdzą stare kroniki, przeważył na korzyść obecnej stolicy, która zamiast być nad rzeką Pottomac, znalazłaby się przy rzece Susquehanna. Miasteczko prócz rybołóstwa, znane jest od kilku lat jako miejsce wyścigowe. Obszerne stajnie mogą z łatwością pomieścić tysiąc koni z całą obsługą. W sezonie letnim elita z sąsiednich miast jak z Waszyngtonu, Wilmingtonu, Baltimore i Filadelfji, niby ptactwo tu się zlatuje i przygląda codziennie wyścigom i popisom amerykańskiej ekipy.

Jadąc do Wilmingtonu, zahaczam kątem o stan Delaware, o którym zawsze trzeba choć kilka słów wspomnieć. Jeżeli się rozchodzi o obszar, to jeden z najmniejszych liczy zaledwo dwa tyciące mil kwadratowych, tylko Rhode Island jest jeszcze mniejszy. A i ludności nie posiada nawet ćwierć miljona, ale zato

należy do najstarszych stanów i jeden z pierwszych stawił się gdy wrzała wojna o wywalczenie niepodległości.

Odkrywcą zatoki Delaware i całej okolicy jest Anglik Henryk Hudson ze swym Half Monn — Pół Księżycem. W roku 1609-tym, jako kapitan holenderskiego okrętu szukał łatwego i krótkiego przejścia do Chin i Indyj. To samo miał na celu Kolumb, gdy odkrył Amerykę i wielu innych. Skończyło się na tem, że Hudson przez dłuższy czas, szukając owego „przejścia“ do Chin badał zatoki i brzegi tej części kraju. On pierwszy zapuścił się wgórę rzeki, która po nim odziedziczyła nazwę — Hudson. Przy jej ujściu rozbudował się najprzód Nowy Amsterdam, a później — Nowy Jork.

Pierwsze osady Holendrów założone tu, nie przyjęły się. Zdaje się, że zadarli z Indjanami, a ponieważ ich była tylko garstka, a tamtych tysiące, więc Indjanie wszystkich w pień wycięli — nie uszła ani noga.

Szwedzi dowiedzieli się o tym bogatym kraju, więc zwabieni chęcią interesu urządzili wyprawę w r. 1638-ym i nad brzegami zatoki się osiedlili. Ale niedługo się cieszyli wolnością. Wojowniczy Holendrzy z Nowego Amsterdamup od kierownictwem ruchliwego gubernatora Stuywesanta urządzili potężną „wyprawę“ na owych biednych kolonistów. Ciekawa rzecz, że tej wyprawie towarzyszył kapelan nazwiskiem „Magpolensis“. Kto wie czy to nie był jaki stary „Poznaniak“, co przyjął „nową wiarę“ i ruszył hen za morza. W starych kronikach są wzmianki o Polakach, którzy tu w tych czasach przybyli jako cieśle, szewcy, krawcy, jednem słowem jako rzemieślnicy.

Koniec końcem wielkiej wojny z tego nie było. Szwedzi widząc tak „potężną armatę“ składającą się z kilku okrętów, poddali się bez walki. W starych zapiskach jednak powiadają, że „ziemia drżała od tupotu walczących, a przerażona rzeka Christina zmieniła swój bieg i popłynęła w przeciwną stronę“. Ale Holendrzy także niedługo cieszyli się swą zdobyczą. W roku 1664-tym całą połać kraju wraz z nowym Amsterdamem zabrali Anglicy.

Tam, gdzie Szwedzi zbudowali fort Krystyna i Kazimierz, o których zdobycie wyłoniła się ta „krwawa walka“, dziś rozbudowało się duże miasto Wilmington, liczące ponad sto tysięcy mieszkańców. W roku 1802-gim przybył tu młody Francuz Eleuthere Irene du Pont de Nemours i nad rzeczką Brandywine

kilka mil za miastem założył małą prochownię. W roku 1812-tym wieziono stąd wołami przez całą Pensylwanję do Erie proch użyty w bitwie na jeziorze Erie. Z tych małych początków powstało teraz ogromne przedsiębiorstwo, wyrabiające nie tylko materjały wybuchowe, ale także wiele innych produktów jak farby, lakiery używane do malowania samochodów, taśmy do filmów, dezinfekcyjne preparaty do nasion i wiele innych artykułów z celulozy. Rząd polski, o ile słyszałem, w pierwszych latach, nie mając własnych fabryk prochu, dał im poważne zamówienie na proch i inne materjały wybuchowe dla swej armji. Jeszcze po dziś dzień to olbrzymie przedsiębiorstwo jest w ręku starej rodziny francuskiej, która nie tylko w mieście, ale w całym stanie odgrywa ważną rolę.

Stan klinem wciśnięty między dwie olbrzymie zatoki Chesapeak i Delaware, pod względem rolnictwa stoi na wysokim stopniu rozwoju. Przedewszystkiem brzoskwinie tutejsze, szparagi, truskawki i wszelkiego gatunku owoce mają wielki popyt i łatwy rynek zbytu. Brzegi zatoki, sitowiem pokryte, dostarczają nie tylko najrozmaitszych gatunków ryb i ostryg, ale są poprostu rajem dla myśliwych. Jesienną porą zlatują się do tych ogromnych stawów i bajorów miljony kaczek i wszelkiego gatunku dzikiego ptactwa, na które poluje nasza sportowska arystokracja. Za skóry wodnych szczurów, w rzecznych szuwarach się pleniących, mieszkańcy biorą ćwierć miljona dolarów na rok.

Nie zawadzi nadmienić, że kilka mil za miastem w wojnie o niepodległość, była bitwa nad rzeką Brandywine, w której się odznaczył nasz bohater Kazimierz Pułaski. Kilka dni przedtem, przy moście Coochs Bridge podczas potyczki, między forpocztami generała Waszyngtona a generała Howe, „po raz pierwszy" rozwinięto gwiaździsty sztandar jako godło Amerykanów. Cztery tysiące obywateli stanu Delaware brało udział w walce o niepodległość, a podczas wojny światowej tutejsi obywatele złożyli na cele wojenne jakie sto miljonów dolarów, kupując bondy i składając dobrowolne ofiary.

W Wilmington zamieszkuje dosyć liczna i stara osada polska, skupiająca się przy dwu polskich parafjach. Miejcowe stowarzyszenie Kasy Pośmiertnej dosyć ruchliwą prowadziło robotę na polu narodowo-oświatowem. Tutejszego proboszcza Ks. Gulcza, uważają za senjora duchowieństwa polskiego w Ameryce.

Na wschodzie daleko częściej napotyka się miasta liczące ponad sto tysięcy mieszkańców, aniżeli w Newadzie, Aryzonie lub Wyomingu wioski, w których nie doliczysz się setki. Niespełna za godzinę można jedną z kilku znakomitych dróg przejechać z Wilmingtonu do Filadelfji. Wybrałem drogę wzdłuż rzeki Delaware, która czyni z miasta „o braterskiej miłości“ ważny port morski. Podczas wojny budowano u jej brzegów nietylko okręty wojenne, ale także bardzo dużo transportowców. Oczywiście dla pośpiechu wszystkie robiono na jeden model. Więc jedna fabryka nadsyłała setki motorów, inna kotłów, inna znów na jeden wzór cięła płyty stalowe i tak codziennie spuszczano do wody nowy transportowiec.

Miasto Chester jest w połowie drogi między Wilmingtonem a Filadelfją. Nad brzegiem rzeki widać ogromne kadłuby fabryk i niezbyt silnie dymiące kominy stalowni, dosyć gęsto rozrzuconych. Zamieszkuje w niem liczna osada naszych Polaków. Znany z gościnności Ks. Kraus jest tu proboszczem. Ponieważ to miasto ściśle przemysłowe jest poniekąd przedmieściem Filadelfji, więc się tu nie zatrzymuję.

Gdym już był blisko Filadelfji, jeden z tutejszych obywateli, widząc turystę z licznemi bagażami i pozamiejscową płytą samochodową, zaofiarował się przeprowadzić mnie bocznemi uliczkami i zakamarkami do słynnego parku Fairmont. Skorzystałem chętnie z jego usłużności i w krótkim czasie, mijając nieznane mi przedmieścia, znalazłem się na szerokich bulwarach wspaniałego i jednego z najpiękniejszych parków miejskich w Ameryce.

We Filadelfji dawnemi czasy dosyć często bywałem. Polonja tu liczna i ruchliwa. Mnóstwo sklepów i przedsiębiorstw polskich aż nadto świadczy o życiu narodowem i sprężystości tutejszej osady. Kilkanaście wielkich parafij, w rożnych dzielnicach miasta rozrzuconych, tworzy jakoby ogniska pracy religijnej i narodowej. Daleko słyną tutejsi proboszczowie polscy ze swej nadzwyczajnej gościnności i pracy narodowo-społecznej. Śp. Ks. Prałat Kopytkiewicz, Ks. Kraus obecnie w Chester, Ks. Monkiewicz, Ks. Kuczyński w Nicetown i wielu innych prowadzi pierwszorzędną robotę religijno-społeczną. To ludzie starego pokroju, a których, niestety, coraz rzadziej się na wychodźtwie spotyka. Kupić parcelę pustego pola i zbudować na niem granitowy kościół, plebanję, szkołę, klasztor, hale i wszelkie udogodnienia

dla parafjan, to są dzieła niektórych z tutejszych proboszczów. Może niejeden taki powiedzieć z budowniczym katedry św. Pawła w Londynie — „Si vis monumentum, circumspice“ — Żądasz pomnika, rozejrzyj się. Dzielnych szermierzy polskich, lekarzy, adwokatów, architektów jest tu spora gromadka. Z kobiet na szczególniejszą wzmiankę zasługuje pani Lange z Nicetown, która o własnych siłach w interesie realnościowym zrobiła fortunę, skończyła kursa adwokackie, wykształciła braci i siostrę i zawsze sprawom polskim pomaga. To wzór dla naszych Polek. Chociaż życie Polonji amerykańskiej może czytejników wielce interesować i przy końcu podróży przynajmniej jeden rozdział mu poświęcę, jednak mamy tu wiele innych ciekawych rzeczy, o których przynajmniej cośkolwiek wspomnieć wypada.

Filadelfja jest jednem z najstarszych i najbardziej historycznych miast w kraju. Kwakrzy z William Pennem na czele tu się osiedlili i miasto „bratniej miłości“ założyli. Po dziś dzień, jako ważną pamiątkę w północno-wschodniej części miasta, przy rzece Delaware, pokazują miejsce, w którem William Penn zawarł traktat z Indjanami. Jego dom, z cegły murowany, przeniesiono z miasta do parku i w komplecie odbudowano. Znajduje się w mieście i w parkach tyle ciekawych osobliwości do zwiedzenia, że człowiek nie wie, od czego zacząć.

Bez kwestji, najświętszą relikwją miasta to „Independence Hall“ — Hala Niepodległości. W tym stosunkowo niewielkim budynku w stylu kolonjalnym, podpisano Deklerację Niepodległości, a tak samo uchwalono Konstytucję Stanów Zjednoczonych. Biurka, kałamarze, krzesła, stoliki, jednem słowem wszystko jest tak zachowane, jak było w tych dla kraju ważnych momentach. Tu również umieszczono dzwon, teraz pęknięty, zwany Dzwonem Wolności — Liberty Bell, gdyż po uchwaleniu niepodległości tę radosną nowinę dzwonem miastu obwieszczono.

Ogromny ratusz z ciosu zbudowany obejmuje blok cały. Potężna wieża przeszło pięćset stóp wysoka, jest zakończona kolosalnych rozmiarów statuą fundatora miasta — Williama Penna. Nie powiedziałbym jednak, że gmach municypalny posiada jakieś wybitne zalety artystyczne.

Pochwały godne jest urządzenie bulwarów i parków miejskich. Od ratusza prowadzi szeroka aleja do głównego parku miejskiego Fremont. Przypomina to poniekąd Champs Elisees

w Paryżu, tylko na daleko większą skalę. W śródmieściu na bulwarze jest bogata fontanna, w której bronzowe delfiny, żółwie, żaby wyrzuczają w górę strumienie wody. Otoczono ją klombami kwiatów i ławeczkami dlą widzów i leniów.

Na przeciwnym końcu bulwaru czyli u wejścia do parku, jest wysoki pomnik Waszyngtona na koniu, a za nim szerokie schody prowadzą cię do jednego z najbogatszych muzeów amerykańskich. Gmach ogromny, przypominający greckie Akropolis. Po obu stronach tego, może milę długiego bulwaru, wznoszą się muzea, kościoły i inne wspaniałe i bogate gmachy rządowe i miejskie. Chociaż przy niedzieli miasto cośkolwiek, a szczególnie śródmieście opustoszało, jednak wielką arterją pędzi w jedną i drugą stronę niezliczona ilość samochodów. Policjanci na motocyklach pilnują porządku i szybkości. Uważam to za średnią przyjemność, gdy policjant na motocyklu podjedzie do samochodu, zażąda karty legitymacyjnej i każe ci na drugi dzień zgłosić się na policję. To mi się podczas całej tury jednak ani razu nie przytrafiło.

W parku, zresztą jak we wszystkich większych parkach amerykańskich, masz boiska do gry w piłkę, place dla dzieci zaopatrzone w huśtawki i zabawki, wspaniałe trawniki, klomby, kwiaty, stawy pokryte liljami i kwiatem lotosu. Gdzie niegdzie zawadzisz o pomnik poety pioniera, artysty lub brodatego generała. W cieniu rozłożystych drzew, na murawie poustawiano stoły i ławki dla wygody publiczności. Szczególnie biedniejsi obywatele chętnie z tego korzystają. Latem całe rodziny obładowane tobołami z jedzeniem czyli „lunch baskets" sadowią się na murawie lub ławeczkach i z apetytem spożywają przekąski, zażywając równocześnie wypoczynku i świeżego powietrza. Jeszcze się tu zachowały stare surowe zwyczaje czyli t. zw. „niebieskie prawa" — blue laws. W niedziele więc wszystkie teatry i zabawy są zakazane.

Pod względem przemysłowym Filadelfja znajduje się w nadzwyczaj korzystnych warunkach. Z jednej strony ma spławną rzekę, z drugiej nieprzebrane zapasy węgla, ponadto jest zewsząd otoczona wielkiemi centrami przemysłowemi. W pobliżu posiada urodzajne i dogodne linje komunikacyjne. Powiedziałbym, że leży na głównej arterji amerykańskiego przemysłu i handlu. Nic więc dziwnego że ją nazywają „World's Greatest Workshop" — Największą pracownią świata.

Chociaż nie lubię statystyki ale trzeba zaznaczyć, że Filadelfję uważają za drugi z rzędu port amerykański. Może więc dlatego rząd zbudował tu olbrzymie doki dla okrętów wojennych. Przy budowie i naprawie okrętów w Cramps Ship Yard, pracuje dużo Polaków. Po wojnie stąd szły do Polski amerykańskie lokomotywy z fabryki Baldwin Locomotive Works. Pana Vauclain, jej prezesa, odznaczył rząd polski orderem Polonia Restituta. Na własną poniekąd odpowiedzialność dostarczył niezbędnych lokomotyw na dogodnych warunkach z długo terminową spłatą. O ile wiem, rząd swe obligacje rzetelnie zapłacił. We Filadelfji szyją niemal wszystkie mundury i sztandary wojskowe dla armji amerykańskiej. Rząd posiada tu ogromne fabryki broni i arsenały, zapewne dlatego, że lądem czy morzem łatwo stąd dostarczyć potrzebnych zapasów wojennych do obrony wybrzeża.

Ażeby sobie wyrobić jakieś ogólne pojęcie o tutejszym przemyśle, wspomnę tylko, że Filadelfja produkuje rocznie sześć miljonów kapeluszy, czterysta miljonów cygar, dziesięć miljonów pił i piłek (Diston Saws), dwieście pięćdziesiąt miljonów par pończoch. Nie wymieniam nawet okrętów, kiedyś budowanych w takiem pośpiechu, że spuszczano na wodę jeden co czterdzieści ośm godzin, tylko nie w czasie depresji. Tu jest zgrupowany ciężki przemysł żelazny w fabrykach wagonów, lokomotyw i ciężkich maszyn stalowych.

Wyższych zakładów naukowych, kolegjów, jest kilkanaście. Uniwersytet stanowy datuje się od roku 1740-go i uważa Benjamina Franklina za swego fundatora. Ten wybitny mąż stanu, filozof, drukarz, finansista, przez długie lata we Filadelfji mieszkał i pracował.

Może ze wszystkich szkół na szczególniejszą uwagę turysty i czytelnika zasługuje Girard Colege'— Kolegjum Girarda. W śródmieściu, na dużej połaci ziemi obejmującej czterdzieści akrów, co teraz przedstawia grube miljony, znajduje się ten ciekawy zakład. Stefan Girard, zdaje się ze starej francuskiej rodziny hugenotów, zrobił kolosalną fortunę na handlu morskim i bankowości. Przypominał słynną w średnich wiekach niemiecką rodzinę Fuggierów. W roku 1848 wyasygnował kilka miljonów dolarów na kolegjum dla biednych sierot-chłopaków. W swym testamencie jednak bardzo ciekawe zostawił polecenie, mianowicie, aby w zakładzie nie wykładano żadnej religji i wstęp do zakładu jest surowo wzbroniony jakiemukolwiek księdzu, pastorowi, rabinowi,

jednem słowem — duchownym. Słyszałem, że ów Girard miał szczególniejszą odrazę do duchowieństwa a to podobno dlatego, że podczas jego długich nieraz podróży morskich jakiś minister protestancki zbyt często zaglądał do jego żony. Może biedaczkę zbyt gorliwie na swą wiarę nawracał i pocieszał... W każdym razie, w ten sposób Girard się zemścił na wszystkich przedstawicielach sekt i wiar.

Jeszcze ciekawszem jest to, że niedawno ukończono budowę przepysznej kaplicy kolegjalnej, zbudowanej kosztem dwu miljonów dolarow. Gmach jest z białego marmuru, otoczony rzędem kolumn. Przybrał kształt trójkąta z powodu małego klina ziemi, na którym go zbudowano. Wewnątrz błyszczy poprostu od bronzu, marmuru i złota. Szczególnie sufit grubo pozłocono, a drogocenne witraże dodają tej bardzo modernistycznej kaplicy wyjątkowego uroku.

Napróżno jednak szukałbyś tu ołtarza, krzyża lub jakiegokolwiek sprzętu kościelnego. Żaden ksiądz, rabin, lamma lub protestancki minister nabożeństwa tu odprawiać nie będzie. Tylko profesorzy i to dosyć ogólnikowo o rzeczach religijnych przemawiają do studentów. Ma to być w całem tego słowa znaczeniu — zakład bezwyznaniowy. Główny gmach zakładu zbudowano w formie greckiego Parthenonu i w nim jest pochowany Stefan Girard — założyciel. Zakład bardzo hojnie wyposażył. Dysponuje majątkiem szacowanym na przeszło ośmdziesiąt miljonów, co nawet na amerykańskie stosunki jest poważną sumą.

Z pośród wielu ciekawych osobliwości, jakie warto zwiedzić, zaznaczyłbym ogromne wydawnictwo — Curtis Publishing Co. W kilkunastupiętrowym gmachu w samem śródmieściu, pracuje jedno z największych i najciekawszych wydawnictw w kraju, jeżeli nie na całym świecie. Tu drukują tygodnik założony przez Benjamina Franklina — „The Saturday Evening Post". Kilka lat wstecz ten bogato ilustrowany tygodnik, z pięknemi litografowanemi ilustracjami i ogłoszeniami na pierwszorzędnym papierze, obejmował sześćdziesiąt i więcej stron druku. Rozchodził się niemal w dwu miljonach egzemplarzy tygodniowo. Roczna prenumerata wynosi półtora dolara a pojedynczy numer kosztuje pięć centów. Samego papieru nie kupiłby za te pieniądze. Tylko pierwszorzędni i drogo opłacani artyści i pisarze dostarczają powieści i ilustracyj do tego ciekawego czasopisma.

Wszystko oczywiście jest w drukarni urządzone według najnowszego systemu. Olbrzymie automatyczne prasy z zadziwiającą szybkością drukują nie tylko sam „Saturday Evening Post“, ale także popularne pismo dla kobiet „The Ladies Home Journal“, a dla rolników „The Country Gentlemen“. Zadrukowane stosy składają do długich, powiedziałbym, koryt, a tam maszyny z nieomylną precyzją szybko składają bogato ilustrowane tygodniki.

To jest ciekawe, że każdy numer Saturday Evening Post drukują trzy tygodnie naprzód, rozsyłają do wszystkich zakątków kraju i dopiero w oznaczonym dniu ukazuje się w księgarniach i na straganach. Zapytasz, jak można takie pismo za te parę centów wydawać. Prenumerator zaledwo zapłaci swym „niklem“ czyli pięciu centami za atrament, którego dziennie zużywają kilkanaście ton. Koszt wydawnictwa ponoszą firmy ogłoszeniowe. Tańsze, na całą stronicę ogłoszenie wynosiło pięć lub sześć tysięcy dolarów i trzeba pamiętać, tylko jednorazowo. Droższe litografowane ogłoszenia kosztowały kilkanaście tysięcy dolarów, połowa płatna zgóry, w dodatku — kilka miesięcy naprzód. Ameryka — to kraj szalonej reklamy. Wielkie firmy na jednorazową reklamę puszczają tysiące dolarów i to im się opłaca.

Niedawno przez szeroką i spławną rzekę Delaware rzucono olbrzymi most, łączący bezpośrednio Filadelfję z przedmieściem Camden już w stanie New Jersey. Od śródmieścia do mostu prowadzi szeroka ulica. Tą arterją nadzwyczaj szybko kursują niezliczone auta. Podjechałem do mostu i chciałem go dokumentnie, przy niedzieli, obejrzeć i jak to mówią „spenetrować“ a nawet wywlokłem mój „Graflex“, aby go jak należy sfotografować.

Podchodzę do dwu ogromnych wież, zbudowanych z potężnych bloków granitowych, na których zwieszają się o trzydziesto-calowej średnicy grube, stalowe liny, niby boa konstryktory, gdyż na nich most spoczywa. Chociaż to niedziela, więc też ruch jest daleko mniejszy, aniżeli w dni powszednie, a tu ci człowieku samochód za samochodem pędzi jak wściekły. Pod mostem jest tunel dla przechodniów z jednej strony na drugą. Chciałem się tu usadowić i zrobić chociażby jakie takie zdjęcia, ale policjanci, których tu pełno, przepędzali mnie i wygrażali pięściami, jak nieprzymierzając temu Żydowi w Krakowie, co to mu się „zachciało“, a gdziekolwiek pod murem przystanął na ma-

łą chwileczkę, już go policjant beszta. Powiedzieli poprostu „get te hell out of here“ — co po naszemu się tłumaczy — wynoś się do stu djabłów! Zupełnie się im nie dziwię, bo tu o nieszczęście łatwo.

Chociaż nie mogę wam podać „własnego zdjęcia“, ale zato dostarczę nieco statystyki, dającej pojęcie o tym cudzie inżynierji. Most jest bez mała dwie mile czyli blisko trzy kilometry długi. Główny łuk jest 1750 stóp długi, a 135 stóp wysoki ponad poziom rzeki, tak że największe żaglowce mogą sobie swobodnie pod nim przepłynąć. Cztery wieże, na których spoczywają liny, dźwigające most, są 385 stóp wysokie. Most jest 125 stóp szeroki i ma sześć torów, a dwa z nich przeznaczone na bardzo szybką jazdę i prócz tego tory tramwajowe i chodniki dla pieszych. Dwie grube liny podtrzymujące potężną strukturę są 3.534 stóp długie, każda jest spleciona z 18.666 drutów. Na uprzędzenie tych dwóch lin zużyto sześć tysięcy ton drutu, który w prostej linji sięgnąłby na dwadzieścia dwa tysiące mil. Koszta, o ile sobie przypominam, wynosiły około pięćdziesiąt miljonów dolarów.

Opisuję ten most nie tylko dlatego, że to jest w swoim rodzaju kolos, ale tam jest jeszcze jeden napozór maluteńki szczegół, który nie tylko mnie, ale i was interesować może. Przy wjeździe na most jest wmurowana tablica bronzowa, a na niej wśród kilku nazwisk jest jedno nam dosyć znane i to już od lat wielu — Modrzejewski.

Jako młody ksiądz, a byłem w dodatku bardzo urodny, chociaż z natury jestem skromny i nie lubię się chwalić, miałem szczęście być na przedstawieniu „Marji Stuart“, gdzie główną rolę grała nasza słynna aktorka i patrjotka, Helena Modrzejewska. Nigdy nie zapomnę tej naszej wielkiej artystki i patrjotki, z którą następnego dnia kilka godzin spędziłem w towarzystwie innych księży. Jej syn Ralf Modrzejewski jest twórcą i głównym inżynierem tego mostu. Warto nadmienić, że niemal wszystkie wielkie mosty w Ameryce są albo jego dziełem albo też był ich — Inżynierem Konsultorem. Bez jego współpracy i niemal aprobaty poprostu nie odważonoby się takiej pracy podjąć. Chociaż Modrzejewski do spraw polskich się nie miesza a nawet wątpię, czy zna język ojczysty, ale swego polskiego pochodzenia napewno się nie wypiera. Dziwna rzecz: matka wybitna artystka, a syn najznakomitszy inżynier.

Z Filadelfji do Trenton i Nowego Jorku prowadzi kilka dróg; jedna nowym mostem przez Camden, a druga, krótsza, przez Nicetown do Trenton, Princetown i Nowego Jorku. Wybieram Nr. 1, przez Trenton, bo jest krótsza i lepsza. Z Filadelfji ruszam naprzód szerokim bulwarem, podzielonym trawnikami i rzędami młodych drzew na kilka szerokich kolei samochodowych. Jedna przeznaczona dla samochodów ciężarowych, druga dla pasażerskich, a trzecia kolejka dla pospiesznych. Ja to już zawsze temi pospiesznemi jadę, aby czasu po drogach nie tracić. Zauważyłem, że szpalery drzew się zmieniają, więc może milę masz młode klony, następnie szeregiem, niby żołnierze — witają cię wiązy, za niemi zielonemi gałęziami kłaniają się turyście młode sosny, a za niemi szeregiem stoją prościuteńkie, o delikatnym liściu — białe brzozy. Poprostu jest to defilada turysty przed szerokiemi linjami jeszcze młodych ale pięknych drzew.

Sunąc naprzód szerokim bulwarem, za dobre trzy kwadranse, przekraczam rzekę Delaware, która stanowi granicę między Pensylwanją, a jej niewielkim sąsiadem — New Jersey.

Rozdział XV.

NEW JERSEY.

Wypada tu choć małą garść faktów podać o tym niewielkim, ale stosunkowo przeludnionym stanie. New Jersey obejmuje zaledwie ośm tysięcy mil kwadratowych, ale posiada zato ponad cztery miljony ludności. Porównajcie to z niektóremi stanami na zachodzie, gdzie obszar obejmował ponad sto tysięcy mil, a ludności z biedą naliczyłbyś sto tysięcy dusz: złych, dobrych, świętych i potępionych.

Pierwszemi białemi jaskółkami, które w te dziewicze lasy sosen, dębów, kasztanów i jadowitych komarów zawitały, były małe galery odkrywców. A jednym z pierwszych, o którym się zachowały ślady, był Giovanni de Verrazano z Florencji. Rzeką Delaware popłynął w te okolice około roku 1524-go. Za nim przywędrował Portugalczyk Estevan Gomez. Prawdopodobnie i Francuzi lasami się przedzierali, skupując futra od czerwonych tubylców. Nieco później, nadciągnęli Holendrzy, za nimi zaś wylądowała garstka Szwedów, a na ostatku, ale najliczniej, szukali tu schronienia prześladowani kwakrzy. Z czasem zabrali całą połać Anglicy, nadając jej nazwę jednej z wysp angielskich — New Jersey.

Znawcy twierdzą, że ta żyzna połać kraju, obfitująca w zwierzynę, ryby i jagody, była dosyć gęsto zamieszkała przez ludzi z okresu — kamiennego — „stone age“. Tysiące kamiennych młotków, siekier, igieł i wszelkich sprzętów wciąż jeszcze odnajdują nad brzegami rzeki Delaware i w miejscu, gdzie teraz rozbudowało się stołeczne miasto Trenton.

Najliczniej ściągali do tej ziemi obiecanej — kwakrzy. A ponieważ to była sekta złożona z ludzi spokojnych, żyjących z pracy rąk, trudniąca się rolnictwem, więc przez długie lata żyli

z miejscowymi Indjanami na stopie przyjaznej i pokojowej. Indjanie dostarczali osadnikom zwierzyny a nawet odstąpili im trochę wykarczowanych pól, aby mogli sadzić warzywa. To nadmieniam jedynie dlatego, że przeważnie koloniści krzywdzili Indjan, poprostu mordowali ich i rabowali. Gdy zaś Indjanin takiego bandytę — setlera, oskalpował, historycy natychmiast okrzyczeli Indjan, jako ludzi dzikich i krwiożerczych.

Małe wysepki, liczne zatoki i bajora zczasem stały się schroniskiem piratów. Na krótki czas przed Rewolucją zbierali się tu sami awanturnicy; w zaciszach budowano szybkie okręty, zaopatrywano je w broń, żywność i puszczano się na szerokie wody, by napadać i rabować transporty angielskie. Z takich piratów podczas walki o niepodległość werbowali się znakomici żołnierze i kapitanowie okrętów, które Anglikom wiele krwi napsuły.

Chociaż życie pod „czarną chorągwią" oficjalnie nie cieszyło się przywilejami i niejeden pochwycony pirata ginął sądem doraźnym — zwykle po desce schodził do morza — jednakowoż w New Jersey uchodziło im to bezkarnie. Twierdzą, że nawet gubernatorzy i inni dygnitarze służyli im protekcją, pieniądzmi, dostarczali armat, prochu i prowjantów. Wzamian skupowali od piratów zrabowane towary i poprostu dzielili się łupem. W spisie rozbójników morskich najsłynniejszym był kapitan Avery, a drugi Blackbeard — Czarnobrody. Anglja a nawet Stany Zjednoczone zabrały się wreszcie do skóry piratów i z czasem ich zupełnie wyniszczono.

New Jersey należy do pierwszych trzynastu kolonij, objętych walką o niepodległość. Tędy przewalały się losy wojny. Wojska angielskie i kolonistów tu walczyły i odbywały marsze i kontramarsze. Czy tak czy siak, zawsze się coś przy tem oberwało kolonistom, gdyż bez grabieży i rabunków się nie obeszło; zresztą od czego jest wojna? Nieraz żołnierze naumyślnie przebierali się w nieprzyjacielskie mundury, aby przez to rzucić podejrzenie na wroga.

W roku 1776-tym, w sam dzień Bożego Narodzenia, generał Waszyngton — który znajdował się wtenczas w wielkiem niebezpieczeństwie, gdyż po klęskach około Nowego Jorku, żołnierze i ludność upadła na duchu — odniósł tu świetne zwycięstwo. W Trenton kwaterowała załoga angielska, złożona z Hesów, wy-

pożyczonych Anglikom przez Fryderyka Wielkiego. Ponieważ to była zima, rzeka zawalona krami lodu, w dodatku święto Bożego Narodzenia, na które wszyscy porządni ludzie się upijają, niktby się nie spodziewał, że Waszyngton w taką właśnie uroczystość napadnie na pijanych i do bitwy nie zdolnych Szwabów.

W nocy przeprawił dwa tysiące żołnierzy na przeciwny brzeg i podczas zawiei śnieżnej napadł załogę. Znienacka zaskoczeni, niektórzy pijani i bezbronni, niemal, że bez strzału się poddali. Bez straty w ludziach zabrał Waszyngton do niewoli tysiąc żołnierza, ogromne zapasy żywności i broni tak mu niezbędnej. To zwycięstwo ogromnie się przyczyniło do podniesienia ducha w wojsku i w narodzie. W pobliżu drogi przy miasteczku Princentown, zbudowano pomnik na pamiątkę zwycięskiej bitwy, a oba brzegi zamieniono na park.

Niedługo potem jeszcze raz w tej okolicy Waszyngton stoczył krwawą potyczkę z generałem Cornwallisem. Wódz angielski przypuszczał, że osaczy „Starego Lisa“, tak bowiem nazywał Waszyngtona. Ale „lis“ okazał się zbyt przebiegłym. Naumyślnie kazał w nocy podsycać ognie obozowe, aby Anglików w błąd wprowadzić, tymczasem wojsko swe z matni wyprowadził, a rano znalazł się na tyłach nieprzyjaciela. Ten manewr, według zdania generała Cornwallisa, był początkiem jego klęski i kapitulacji pod Yorktown. To uważają za jedno z najgenialniejszych pociągnięć strategicznych Waszyngtona, tę myśl miał mu poddać generał St. Clair.

Jednakowoż kampanje, które Waszyngton prowadził w New Jersey i Pensylwaji, jego obóz w Valley Forge, brak żywności, umundurowania, broni, jednem słowem wszystkiego, należą do najczarniejszych i rozpaczliwszych w całym okresie walki o niepodległość. Zresztą cała rewolucja jest pełna zdrady, niedorajdztwa, niedołęstwa, braku zdolnych wodzów, tak z jednej jak i z drugiej strony.

Princetown jest to stare kulturalne miasto. Przez kilkanaście lat rektorem uniwersytetu był późniejszy gubernator stanu New Jersey, a następnie prezydent Stanów Zjednoczonych — Woodrow Wilson. Nie będę się jednakowoż zatrzymywał w starym, bluszczem porosłym uniwersytecie, jednym z najstarszych w Ameryce.

Niby potężny magnes ciągnie do siebie turystę olbrzymia metropolja świata, obojmująca ze swemi przedmieściami i miastami kilkaset mil kwadratowych a licząca około ośmiu miljonów ludzi. Im większy zrobisz krąg, tem więcej wciągasz miast i miasteczek w orbitę tworzącą ludzkie mrowisko — Nowy Jork.

Elizabeth, Newark, Bayonne, Patterson, Passaic, są dużemi miastami od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy mieszkańców. Wszystko z sobą połączone gęstą siecią dróg, kolei, tramwajów i tunelów i tworzą jakoby przedmieście Nowego Jorku.

Kwestja szybkiej i wygodnej komunikacji jest tu wysunięta na pierwszy plan. Pracują nad zbudowaniem olbrzymiej szerokiej arterji komunikacyjnej „super highway", któraby podołała tej nie ustannej fali samochodów, autobusów i „otroków" — samochodów ciężarowych. Już ponad miastem Newark, liczącem przeszło cztery kroć sto tysięcy mieszkańców, zbudowano ogromny wiadukt. Zdaleka ten kilkumilowy pomost wlekący się przez środek miasta a właściwie nad śródmieściem, przypomina jakiegoś chińskiego smoka lub olbrzymiego węża, po którego grzbiecie w jedną i drugą stronę posuwają się tysiące szybko pędzących aut.

Ile tu fabryk, co za przemysł i handel kwitnie w tem portowem mieście, sam nie wiem. Wszędzie daje się odczuwać ten gorączkowy ruch, połno życia i rozgwaru.

Po całej okolicy we większych i mniejszych miastach i miasteczkach osiedliło się dużo Polaków. Niejeden po wylądowaniu na Ellis Island, nie miał więcej „forsy" na dalszą podróż, więc też w okolicy szukał zarobku a z czasem się osiedlił. Tym sposobem powstały liczne a nawet ludne parafje polskie. W czasie wojennym, gdy trzeba było publicznie wystąpić, a to się zdarzało dosyć często, to największe sale w Nowym Jorku, nie mogły tego polskiego „pospolitego ruszenia" pomieścić.

Pamiętam, było to w parę miesięcy po wojnie, przemawiałem w Hippodromie, na jednej z największych wówczas sal teatralnych w Ameryce, do Polaków. Cały gmach był szczelnie po brzegi wypełniony publicznością. Ile tam wtenczas było ducha, rozgwaru, patrjotyzmu, ofiarności?!.... Rzucano miljonami!....

Rozdział XVI.

NOWY JORK.

Zanim się zanurzę w morzu ludzi, „drapaczy i śmietników“, należy zrobić chociażby tylko krótką wzmiankę o stanie noszącym miano tej ogromnej metropolji.

Jak już poprzednio wspomniałem, odkrywcą był Giovanni de Verazano a dopiero ośmdziesiąt lat po nim Henryk Hudson w swym „Półksiężycu“ popłynął wgórę rzeki noszącej teraz jego nazwę. Hudson był Anglikiem w służbie holenderskiej. W tym samym czasie niemal od północy wzdłuż jeziora Champlain i St. George, ku południowi, posuwał się odkrywca francuski Samuel Champlain.

Przez długi czas rzeka Hudson, której dalszem, że tak powiem przedłużeniem, jest jezioro St. George i Champlain a następnie rzeka St. Johns, wpadająca do rzeki św. Wawrzyńca w okolicy miasta Montreal, tworzyły jakoby główną drogę od południa ku północy. Na tym trakcie, tak uroczym turysta znajdzie wiele ciekawych historycznych zabytków i pamiątek. Tu się ścierały prądy angielskie z główną siedzibą w Nowym Jorku z kulturą francuską zogniskowaną w Quebec i Montreal. Najprzód zbrojną ręką w krwawych bitwach karczowano Indjan a następnie wzajemnie zwalczali się Anglicy z Francuzami. Gdy ostatecznie zwyciężyli Anglicy i, zostali panami tego kontynentu, wybuchła Rewolucja. Zabrała im ten bogaty kraj, tworząc z niego nasze obecne Stany Zjednoczone a przynajmniej pierwszą część tego, co w stosunkowo bardzo krótkim czasie, miało się stać jednem z największych mocarstw na kuli ziemskiej.

Chciałbym więcej podać wiadomości o tym zaczarowanym zakątku a to tem bardziej, że nasz bohater Kościuszko ważną i pamiętną odegrał tu rolę. On bowiem nietylko jest założycielem

naszego West Pointu, słynnej szkoły wojskowej, ale również był inżynierem, który przygotował fortyfikacje, wały obronne i zasieki, z których wojska kolonjalne odparły ataki angielskie i odniosły zwycięstwo pod Saratogą. Ale to narazie jest nieco „z drogi“ więc tę sprawę odłożymy na dalszy program.

Już zdaleka widać zębatą i bardzo nieregularną linję miasta. Nigdzie na świecie nie zobaczysz takich i tylu drapaczy chmur co w Nowym Jorku. Przypuszczam, że położenie topograficzne ogromnie się do tego przyczyniło. Miasto jest właściwie położone na wyspie, utworzonej przez dosyć długi a stosunkowo wąski, granitowy cypel. Szeroka i głęboka nadzwyczaj rzeka Hudson, Long Island Sound, tworzący również szeroką cieśninę i od wschodu East River, poprostu niby srebrzystym pasem okrążyły ten granitowy cypel ograniczając tem samem rozbudowę miasta. Dlatego też przy tak wielkich przeszkodach, które równocześnie stały się jego najlepszemi atutami, gdyż tworzą ze swemi dopływami, zatokami i kanałami najdogodniejszy port na świecie, miasto niby wulkan strzela ku niebu tysiącami wież, baszt i gmachów.

Połapali się na tem pierwsi osadnicy Holendrzy, założyciele — Nowego Amsterdamu. Za wyspę zapłacili tubylcom ze szczepu Manhattan bardzo „słono“. Holandczyk Piotr Minuet załatwił jak należy całą transakcję realnościową i to nie w dolarach lub złocie, ale w — towarach, drogą wymiany. Były tam paciorki, oczywiście tanie, noże i nożyki, trochę misek, sukna, zabawek, może i zakopiańskich wyrobów. Dla dobicia targu zapewne dorzucono butelkę „ognistej wody“, razem przedstawiało to wartość dwudziestu pięciu dolarów. Indjanie ogromnie byli z tego targu zadowoleni. Biali także nie narzekali, więc był wilk syty i koza cała.

Pierwsi osadnicy, jak należy przypuszczać, byli dosyć leniwi, kłótliwi i wojowniczy obywatele. Łupili Indjan gdzie się dało. Tamci, odpłacając pięknem za nadobne, zdzierali skalpy z czupurnych i zawadjackich łbów holenderskich osadników, gdy ci zapuszczali się w gęste lasy na polowanie.

Koloniści posuwali się rzeką Hudson aż do jej połączenia z rzeką Mohawk. Z tej małej osady położonej blisko dwieście piśćdziesiąt mil na północ od Nowego Amsterdamu powstała stolica stanu — Albany.

Anglicy, rywale Holendrów na lądzie i morzu, mieli ogromną „chrapkę“ na ten dogodny port i strategiczny punkt na nowym kontynencie. Zaatakowali pod jakimś pretekstem kolonję holenderską. Chociaż stary, kulawy i do kieliszka pochopny gubernator Piotr Stuyvesant zachęcał współrodaków do obrony przed Anglikami, ci jednak do walki nie okazali najmniejszego entuzjazmu a nawet radzi byli, że Anglicy nietylko miasteczko, ale całą połać kraju zabrali. Król angielski Karol II oddał zdobyty szmat ziemi księciu York i stąd powstał nasz olbrzym — Nowy Jork.

Jednakowoż miasto jeszcze po dziś dzień zatrzymało wiele nazw po swych pierwszych osadnikach. Obecna Wall Street, centrum finansowe Stanów Zjednoczonych odziedziczyła nazwę od wałów fortecznych, które od północy zabezpieczały małą osadę przed napadami Indjan. W popliżu ulica Maiden Lane, to ścieżka, którą młode, pękate Holenderki chodziły z kubłami po mleko. Nasza kiedyś słynna z karczm i rozpusty Bowery, nie była czem innem, tylko lesistą polanką, gdzie stare „setlery“ paliły fajki na długich cybuchach, popijały piwo i gawędziły o — „starym kraju“. Tuż na samym cyplu jest — Bowling Gren. W tem miejscu była murawa a teraz na końcu ulicy Broadway zrobiono mały park. W niedzielę i święta, przy piwie, w tem miejscu starzy i młodzi Holendrzy bawili się w kręgle.

Nowy Jork przypomina ogromne kretowisko. Miasto jest pokryte galerjami kolei podziemnych i tunelów. Dasz nura do ziemi, za pół godziny wyłazisz schodami albo „eskulatorem“, rodzaj pasa unoszącego pasażerów do góry, i jesteś hen za miastem. Przesunąłeś się pospiesznym ekspresem przez miasto, rzekę, ulicę, drapacze i wypadasz niby z procy nad brzegiem oceanu, przy ogromnej plaży kąpielowej. Odwrotnym pociągiem za pół godziny wpadasz znów w ten kotłujący tłum ludzki na Times Square.

Minąwszy Newark dojeżdżam do końca szerokiego bulwaru zwanego „super highway” i daję nura do nowo prześwidrowanego tunelu „Hudson“. Ile kosztował? Zaledwo czterdzieści ośm miljonów dolarów. Jakich tam cudów dokonano, o to się nie pytajcie. Kto go budował? Zapewne „forejnerzy“ Włosi, Polacy, jednem słowem ludzie do takiej ciężkiej pracy przyzwyczajeni.

Zapłaciłem u wjazdu do tej ludzkiej jamy podatek a policjant machnął ręką i każe jechać i czasu nie tracić. Zauważyłem

notatkę, że trzeba jechać z minimalną szybkością trzydziestu mil czyli około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, wszyscy jadą o wiele szybciej. Tunel ma dwa przedziały, jednym się wjeżdża do Nowego Jorku a drugim w przeciwną stronę do Newarku. W tunelu zrobiono wycięcia na przestanki i straże, a w ścianach umieszczono ogromne wentylatory do wyciągania powietrza przepełnionego gazoliną.

Szalony huk motorów rozlega się w tunelu, wyłożonym białą emaljowaną cegłą. Nic nie słyszysz, tylko światełka ci migają przed oczyma. Policjanci naglą do pośpiechu!... Jednym torem walą auta ciężarowe, drugim gonią samochody „pośpieszne". Czytałem niedawno statystykę o tunelu, ile to już miljonów samochodów w jedną i drugą stronę pod rzeką Hudson się przecisnęło. Wprost nie do uwierzenia cyfry. Dzienny ruch wynosi od 20 do 50 tysięcy samochodów. W tych paru latach po jego wykończeniu, przeleciało tą „dziurą" kilkadziesiąt miljonów samochodów. Tunel jest 90 stóp poniżej powierzchni rzeki i niemal dwie mile długi.

Rzeka Hudson jest w tem miejscu szeroka i głęboka. Geologowie twierdzą, że powstała dzięki pęknięciu ziemi, tworząc bardzo głęboką kotlinę, sięgającą nawet daleko na morze. Płynąc rzeką do Albany po zachodniej stronie mamy t. zw. „palisady", jest to prostopadły szczyt granitu czy innej skały. Wschodnia strona rzeki, po której rozbudowało się miasto, jest niżej położona i nie tak stroma, więc poprostu zachodzi tu opad ziemi. Jeżeli biedaczka ziemia się kiedy zmęczy dźwiganiem miasta „drapaczy", kto wie czy się to wszystko kiedyś do morza nie zawali?...

Za kilka a może kilkanaście minut wylatuję z tej dziury niby kamień z procy i ruszam do ruchliwego miasta — kontrastów. Przy drapaczu chmur kilkunastupiętrowe magazyny wyglądają niby chaty, tulące się do boków coraz to większych „katedr handlu".

Nie powiedziałbym, że Nowy Jork jest miastem pięknem, jednak zawiera dużo pięknych rzeczy. Nie powiedziałbym nawet, że to miasto bogaczy, chociaż doliczyłbyś się w niem tysięcy miljonerów. Przy splendorze multimiljardera, tuż obok, gnieździ się skrajna nędza. Nikt nie powie, że to jest miasto — amerykańskie. Wszystkich tu znajdziesz ale najrzadziej spotkasz — Amerykanina, a przynajmniej takiego, który swój ród wywodzi od

pierwszych osadników, bądźto Holendrów, czy też purytanów angielskich. Już w samych początkach, przed dwoma wiekami, naliczono tu „ośmnaście nacyj“ a między temi nie brakowało nawet Polaków. Znalazłbyś teraz przedstawicieli całej kuli ziemskiej, oczywiście z wyjątkiem nagich i dzikich plemion Afryki środkowej, chociaż „nagich i dzikich ludzi” i to z najwyższych sfer, napotkałbyś tu poddostatkiem. Gołych, niby takich bez centa przy duszy, którym według żołnierskiej piosnki „wiatr w... wieje“ — jest w Nowym Jorku najwięcej.



Dom rzeźbiarza St. Gandrus.

Co do rozkładu ulic, Nowy Jork uważam za jedno z najlepiej urządzonych miast w Ameryce. Ponieważ jest to długi cypel skały, niby potężny ozór, dlatego rozkład ulic jest bardzo prosty. Równolegle do rzeki Hudson w kierunku północ-południe, ciągnie zaledwo kilkanaście ulic, niby strun na gitarze — to są nasze „Avenues“. Jest ich zaledwo tuzin a „Piąta Avenue“, ze wszystkich najsłynniejsza, dzieli miasto na dwie, niemal równe części. Ulice w kierunku wschód-zachód, od rzeki Hudson, do East River nazywają się „Streets“ i także są numerowane. Część najstarsza, na samym końcu cypla nazywa się „down town“

czyli dolne miasto, a część przeciwna, nowsza, zwie się „up town". Nikt się nie pyta czy chcesz iść na południe lub północ, tylko czy chcesz iść — up town czy down town. Tych numerowanych ulic jest kilkaset, od — „pierwszej" do trzechsetnej. Jeżeli numer jest po wschodniej stronie Fifth Avenue, dodaje się „East" a jeżeli po zachodniej, dodaje się — „West". Reszta to już sprawa czystej matematyki. Tu i ówdzie są jeszcze dodatkowe ulice jak Broadway, uważana za najdłuższą na świecie, Park, Madison, lecz większość miasta idzie pod numerem. Chcąc się szybko zorjentować w mieście i okolicy, to najlepiej „wskoczyć" na szczyt „Empire State", liczącego sto dwa piętra i zapomocą lornetki odszukać numer domu, a w nim znajomego lub przyjaciela. Można także za jedną drogą zajrzeć do nieba i porozmawiać ze św. Piotrem, który na wszystko tu pilnie daje baczenie, aby jakiś żydziak tam się przypadkowo nie wsliznął bez należytej legitymacji i chrztu św.

Zostawię w odpowiedniem miejscu, a o które trudno, samochód, a jak tu mówią „zaparkujemy naszą karę" i na piechotę lub też „subwayem", przynajmniej zgrubsza zapoznamy i bliżej przypatrzymy się ciekawszym dzielnicom miasta.

Najbardziej imponuje miasto tym, którzy doń po raz pierwszy przybywają z Europy. Okręt przepływa wąską cieśninę zwaną „Narrows" a przed turystą defilują potężne mury nadbrzeżnych fortec, broniących nową stolicę przed atakiem floty nieprzyjacielskiej. Następnie ukazuje się oczom turysty ogromna przystań, zasiana okrętami,ktęre niby robaczki suną w różnych kierunkch. Na tafli wodnej widnieją mniejsze i większe wysepki.

Na Ellis Island — jest główne biuro immigracyjne. Tu cię bracie zlustrują i spenetrują od A do Z. Św. Piotr w niebie tak nie przepatrzy duszy ludzkiej jak na tej wyspie — płaczu, jęku, nadziei i zawodu — inspektują immigranta. Trudno ci się teraz dostać do naszej „Ziemi Obiecanej". Wielbłąd na galopa przewali się przez oczko igły, ale tu bracie inna sprawa. Trzeba paszportów, świadectw, inspektorów, dyplomatów, komisarzy, lekarzy, którzy nareszcie zadecydują czyś godzien wstąpić na ziemię Waszyngtona i... z głodu umrzeć! Zamknęli immigrację i zaledwo na lekarstwo wpuszczają teraz „forejnerów", przeważnie — Żydków.

Każdy okręt płynie mimo statuy wolności a serce Amery-

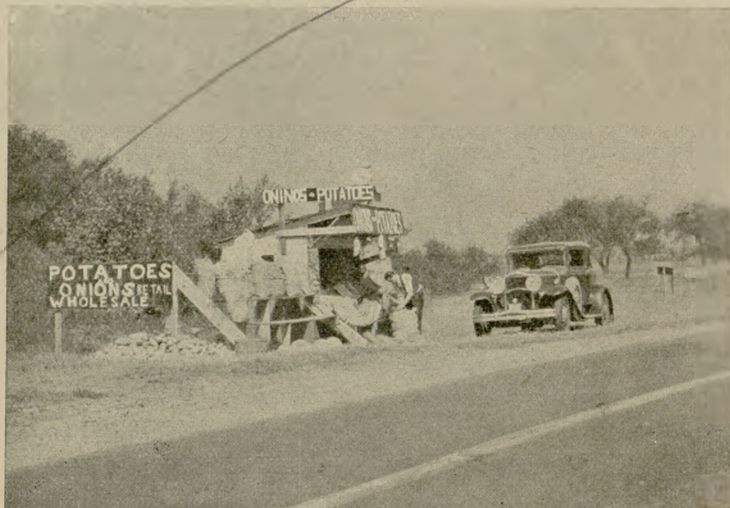
kanina radośniej bije i mimowoli nieopisane, dziwne, a rzewne uczucie chwyta cię za gardło, gdy z dumą patrzysz na ten symbol — wolności, o której Kanadyjczycy doniedawna mówili, że „Amerykanie mają statuę, a oni — wolność“ — oczywiście odnosiło się to do nieboszczki — prohibicji. Jest to dar bratniej nam Francji, jako godło wiecznej przyjaźni. Ten jedyny w swym rodzaju pomnik, dzieło francuskiego rzeźbiarza Augusta Bartholdi, jest wprost gigantycznych rozmiarów. Wysokość samej statuy, nie licząc postumentu, od stóp do szczytu pochodni, trzymanej w prawej ręce, jest sto pięćdziesiąt stóp. Prawa ręka jest czterdzieści dwie stopy długa a dwanaście gruba. Statua właściwie składa się z odpowiednio wykutych płyt miedzianych, dokładnie dopasowanych i już na miejscu nitowanych. Wnętrze statuy wypełniono windą i stalowemi rusztowaniami, do których przyśrubowano płyty miedziane tworzące ogromną, wspaniałą i bardzo symetryczną całość. Pochodnia w nocy rzuca silny snop światła i cała statua jest oświetlona, sprawiając tem nader miłe wrażenie na przybyszach.

Z okrętu ze wszystkich stron widzisz rzędy ulic, domów, murów i wyskakujące pod niebo — drapacze. To Brooklyn, Jersey City i Nowy Jork. Na samym cyplu miasta najeżonego drapaczami, widać malutki park — to najstarsza część miasta. Holendrzy zbudowali w tem miejscu pierwsze domy i fort. Z czasem zamieniono go na park, w którym elita holenderska w niedziele zażywała spaceru i mile spędzała czas na grze w kręgle. Z biegiem czasu nazwano ten plac — Castel Garden a jak nasi starzy immigranci mówią — „Kastel garda“. Tu przez wiele lat lądowali immigranci z Europy.

Stary fort zamieniono na akwarjum. Tysiące ludzi codziennie zwiedza te bogate i ciekawe zbiory najrozmaitszych gatunków ryb, żółwi, żab, począwszy od centnarowych żółwi i fok, a skończywszy na jakichś maluteńkich, barwnych rybkach z wód tropikalnych. Bronzowa tablica u wejścia przypomina, że w tem miejscu wylądował Lafayette, zapewne i Kościuszko, księże Walji późniejszy król Edward, tu pierwszy koncert urządziła słynna śpiewaczka Jennie Lind za inicjatywą oryginalnego p. Barnuma. Zapomnieli tylko dopisać, że tu także wylądował mój dziadek Tomasz Iciek w roku 1873-im, więc ja ten mały dopisek, tak ważny w historji ludzkości robię — in perpetuam rei memoriam. Mój

dziadek nie chciał, aby jego synowie i wnukowie nosili pruskie pikelhauby, dlatego „zwiał“ do Ameryki, a za nim miljony innych.

W małym parku znajduje się kilka ciekawych pomników. Oczywiście trzebaby więcej czasu tym zabytkom poświęcić, aby się z niemi bliżej zapoznać. Wesoły tu zdarzył się wypadek po wojnie o niepodległość. Anglicy z żalem zapewne opuszczając port i miasto, które zabrali Holendrom, spłatali Amerykanom figla, o którym jeszcze teraz wspominają. Na wysokim maszcie zostawili sztandar angielski. Ażeby go Amerykanie nie



Stragan z cebulą i jarzynami polskiego farmera przy South Dearfield Mass.

zdarli, całe drzewo osmarowali tłuszczem, aby się nikt do szczytu nie mógł wskrabać. Jednakowoż, żołnierz amerykański Van Arsdale, mimo smarów i tłuszczu dostał się na sam czubek, zrzucił sztandar angielski a na jego miejsce zawiesił chorągiew amerykańską. Odtąd co roku d. 25-go listopada, w rocznicę ewakuacji, któryś z potomków tego żołnierza na maszcie w tem miejscu ustawionym podnosi w górę sztandar amerykański.

Tuż obok jest niewielki okrągły plac — Bowling Green. Przed Rewolucją na tem miejscu Anglicy postawili pomnik królowi Jerzemu. Gdy wybuchła wojna o niepodległość, oszczędni

Amerykanie usunęli ołowianą statuę swego ciemiężcy i przetopili ją na kule, któremi, jak twierdzą statyści, zastrzelono przeszło czterystu angielskich żołnierzy. W tem miejscu rozpoczyna się słynna i kilkadziesiąt mil długa Broadway.

Ruszam więc w górę miasta wąskim a wysokim kanjonem gmachów, do którego słońce bardzo rzadko i na bardzo krótką chwilę zagląda. Tuż obok jest wspaniały budynek rządowy komory celnej — Custom House. Architektem jest Case Gilbert, ten sam, co dał plany na kapitol w St. Paul, Minn. i wszystkim znany drapacz Woolworth oraz wiele innych przecudnych gmachów. Warto tu przynajmniej zobaczyć bogate symboliczne grupy, kontynentów i ras ludzkich.

Za kilkanaście minut, idąc sztucznym tunelem, przepełnionym ludźmi, dojdziemy do niewielkiego napozór kościółka otoczonego starym cmentarzem. Spocznijmy tu chwilkę wraz z urzędnikami, stenografistkami i buchalterkami, które na starych grobowcach zjadają swe „lunche“, z poważną deliberacją pudrują blade twarze i zwiędłe usta, pozbawione świeżego powietrza i życia i nadają im barwę różowo-karmazynową. Sądzę, że młodzieniec lub dyrektor biura całujący nadobną typistkę odnosi wrażenie, że zlizuje łój z czerwono pomalowanej stodoły.

Stary kościół w gotyckim stylu zbudowany — to słynny episkopalny „Trinity Church“ — Kościół św. Trójcy i jeden z najstarszych i najbogatszych kościołów w Ameryce. Otoczony ze wszech stron kolosami instytucyj bankowych i handlowych, robi wrażenie małej kapliczki. W tym kościele odbywają się codziennie nabożeństwa według rytuału episkopalnego. Na niewielkim cmentarzyku przy kościele, oszacowanym na miljony dolarów, pochowano kilku wybitnych ludzi. Dwóch podpisało Deklarację Niepodległości, inni byli członkami rządu. Tu spoczywa także bohater floty amerykańskiej, kapitan James Lawrence. Jako dowódca okrętu Chesapeak w bitwie z angielskim okrętem d. 1-go czerwca 1813-go roku, śmiertelnie ranny, wypowiedział pamiętne ostatnie swe słowa: „Don't give up the ship“ Nie poddajcie okrętu.

Vis à vis kościółka jest stosunkowo niewielka, wąska, ulica, znana na całym świecie jako centrum finansowe, to — Wall Street. Na przeciwnym rogu Nr. 1 Wall Street jest bank Irving Trust. Dalej o pięknych linjach i wspaniałej wieży drugi kolos

Bank of Manhattan i tak po jednej i drugiej stronie wąskiej uliczki wznoszą się kolosy amerykańskiej finanserji. Przy końcu bloku jest mały dwupiętrowy budynek „Sub Treasury". Rząd w tym skarbcu trzyma w podziemnych kazamatach ogromne rezerwy złota. Bronzowa tablica oznajmia, że w tem miejscu Waszyngton składał przysięgę jako pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Na przeciwnym rogu jest dwupiętrowy, z marmuru zbudowany bank Morgana. Przed kilkunastu laty zapewne jakiś zbrodniarz podjechał blisko banku starym wozem w jednego konia zaprzężonym. Na wozie znajdowała się bomba i w porze obiadowej, gdy ludzie jak mrowie wysypali się na wąskie ulice, nastąpił straszny wybuch. Koń, wóz, szyby z wszystkich gmachów wyleciały w powietrze a kilkudziesięciu przechodniów postradało życie. Zbrodniarza nigdy nie wykryto.

O parę kroków jest bursa, czyli nasz słynny Stock Exchange, gdzie nieraz w przeciągu kilku godzin sprzedają i kupują od czterech do dziesięciu miljonów akcyj. Ponieważ wspaniały gmach w stylu renesansowym nie może pomieścić wszystkich kupujących i sprzedających, bardzo dużo spraw tej natury jest załatwianych na ulicy, to się nazywa „New York Curb".

Wszystkie ulice połączone z Wall Str., jak Cedar, Pine, Broad, Nassau, William, stanowią jedno wielkie ognisko finansowe. Rząd w Sub Treasury posiada małą mennicę, w której co roku przetapiają na „złote cegły" jakie pięćdziesiąt miljonów dolarów. Policja w tym rejonie finansów utrzymuje t. zw. „dead line" — linję śmierci — poza którą w dzień i w nocy nie wolno przychodzić bandytom i kryminalistom pod karą natychmiastowego aresztu. Dlatego nie będę czytelnika zbyt długo tu zatrzymywał i oprowadzał, aby przypadkowo nie wzięli nas za bandytów i nie wpakowali do ciupy.

Będąc współpracownikiem p. Hoovera, doniedawna kiepsko nam panującego prezydenta, często się po tych kątach włóczyłem i czuję się tu w domu, chociaż z finansami mam bardzo kiepskie stosunki — wprost powiedziałbym, że się rzadko spotkamy i to na krótki czas. Pewnego rychłego poranka, przechodząc tym zaułkiem, zauważyłem, że przed gmach bankowy zajeżdża duży wóz, zaprzężony w cztery ciężkie konie. Przy wozie stało kilkunastu policjantów a każdy znacząco trzymał rękę

w kieszeni z palcem na cynglu rewolweru. Zwykli robociarze pocili się i sapali przy wyładowywaniu stosunkowo niewielkich, ale ciężkich i lakiem opieczętowanych i ostemplowanych skrzyń; było to złoto przywiezione z Europy. W Stanach Zjednoczonych w większych miastach wszystkie transporty złota i pieniędzy na wypłatę robotników we fabrykach, przewożą w opancerzonych i karabinami maszynowemi zbrojnych samochodach. Ale i te bandyci napadają i zabierają wraz z gotówką jak swoje.

Idąc w górę miasta ulicą Broadway, mijamy wysoki, swego czasu jeden z najwyższych gmachów, zbudowanych przez firmę maszyn do szycia — Singera. Teraz wraz ze stojącym obok Woolworth Building należą do drugorzędnych „drapaczy". Człowiek, którego nazwę nosi ten wspaniały gmach, zwany „katedrą przemysłu", wpadł na pomysł zakładania sklepów, w których sprzedają towary w cenie od pięciu do dziesięciu centów, czyli jak tu mówimy „five and ten". Ponieważ dawał fabrykom olbrzymie zamówienia, mógł sprzedawać rzeczy użyteczne i dobre po tak niskiej cenie i jeszcze zrobić na tem kolosalną fortunę.

Mijamy drugi mały episkopalny kościółek a właściwie kaplicę św. Pawła. To filja poprzednio wspomnianej parafji św. Trójcy, jak i tamten otoczony małym, starym cmentarzykiem. Tuż przy żelaznych sztachetach stoi pomnik generała Montgomery, bohatera niefortunnej wyprawy na podbój Kanady. Zginął w ataku na obronne miasto Quebec. Zwłoki sprowadzono tu z wielkim przepychem w roku 1818-ym i pochowano na koszt rządu. Może kiedyś więcej o tych ludziach i dziejach napiszę, jeżeli sił i czasu starczy.

Mijam po prawej stronie ulicy starą i niezdarną pocztę, przez którą przelewa się dziennie dziesięć miljonów listów i paczek. Stajemy na obszernym placu, którego centrum zajmuje stosunkowo niewielki ale gustowny ratusz. Naprzeciw głównego wejścia jest pomnik Nataniela Hale, rodem z Connecticut. W przebraniu przeszedł do obozu angielskiego jako szpieg, aby zasięgnąć wiadomości o wojskach nieprzyjacielskich. Anglicy go pochwycili i to zdaje się dzięki zdradzie swoich i jako szpiega powiesili w tem miejscu. Do tradycji narodowej przeszły jego ostatnie słowa: „Żałuję, że mam tylko jedno życie do oddania za ojczyznę". Takich idealistów w walce o niepodległość było bardzo niewielu.

Co kilkadziesiąt bloków napotykamy „skwery“ zdobne w statuy, drzewa, kwiaty, ławeczki dla leniów i bezrobotnych oraz podziemne ubikacje dla wygody przechodniów. Trudno wszystko opisać a każdy kącik posiada stare zabytki i wspomnienia.

Jednym z większych to „Waszyngton Square“. Przed laty to był cmentarz miejski, na którym podczas epidemji żółtej febry, podobnie jak było podczas niedawno panującej „hiszpanki“ (influenzy) grzebano biednych i bogatych rzędami, gdyż nie było czasu na kopanie pojedynczych grobów. Później pole zrównano i zamieniono na plac ćwiczeń wojskowych. Z czasem powstał z tego piękny skwer ku czci pierwszego prezydenta. Od strony północnej zbudowano gustowny łuk triumfalny, jako pamiątkę stuletniej rocznicy inauguracji pierwszego prezydenta. Architektem był słynny Stamford White zastrzelony jakie dwadzieścia lat temu przez miljonera Harry K. Thaw za to, że z jego piękną żoną miał zbyt poufne stosunki. Oj był to sobie skandalik nielada, gdy amerykańska „sosajda“ publicznie prała swą brudną bieliznę.

Od tego pamiątkowego łuku rozpoczyna się słynna „Fifth Avenue“. Znana jest na całym świecie ze swych kiedyś bogatych rezydencyj, luksusowych sklepów i magazynów, z ogromnych bibljotek, cudnych kościołów a teraz najwyższego na świecie drapacza chmur — Empire State Building.

Dużo się w ostatniem ćwierćwieczu zmieniło. Bogate miljonerskie ekwipaże, cudne konie, wykwintnie ubrane damy zniknęły. Samochody wyparły powozy i konie. Teraz pędzą dziesiątkami tysięcy w jedną i drugą stronę. Wszędzie czuć swąd spalonej gazoliny i oliwy, co też wypłoszyło miljonerów z ich bogatych pałaców. Bogate rezydencje a nawet słynny hotel Waldorf Astoria, który miał podobno kosztować trzynaście miljonów, zburzono a na ich miejsce stawiają nowe olbrzymy.

Zanim chociaż tylko pobieżnie oglądniemy ten najwyższy gmach na świecie — The empire State Building, warto tu coś wspomnieć o budowie i trudnościach jakie trzeba było przezwyciężyć. Najważniejszą rzeczą oczywiście była konstrukcja fundamentów i wiązań ze stali. Niektóre gmachy spoczywają na potężnych z cementu i stali ulanych filarach. Dlatego nasamprzód w skale wiercono ogromne dziury, budowano okrągłe „kaisony“ formy z drzewa, do tych wlewano cement umacniany sztabami

stalowemi. Dopiero na tych grubych, hen głęboko w ziemi o wieczną skałę opartych filarach budowano te kolosy. Pod tym względem od lat idzie silna konkurencja. Każdy chce swego poprzednika przewyższyć. Zdaje się, że już doszli granic, gdyż budowa jeszcze wyższych drapaczy jest zbyt kosztowna a teraz i tak połowa stoi próżna i jeden za drugim bankrutuje.

Stań przed frontem tego najnowszego cudu inżynierji, błyszczącego od marmuru i niby srebro połyskującego, głowę zadrzyj do góry, a doznasz dziwnego, powiedziałbym głupiego uczucia. Nic podobnego ci się przedtem nie przytrafiło, aby patrzeć wzdłuż rzędu okien, ginących napozór we firmamencie. Zdaje ci się, że to się wszystko przechyla, ścieśnia, ale to oko się myli. Mimo swej niezwykłej wysokości 1252 stóp budynek zachował piękne proporcje i zaciekawia turystę i widza swą cośkolwiek nowoczesną linją. Jest to wielki czworobok, zajmujący cały kwadrat ulicy czyli jak tu mówimy — blok. Po kilkudziesięciu piętrach zaczyna się załamywać i ścieśniać, ale nie na równej linji. Potem znów pędzi w górę już mniejszym czworobokiem, i znów się zwęża aż nareszcie kończy się okrągłą na dwieście stóp wysoką „wieżyczką", do której mają kiedyś przyczepiać sterowce. Tu zapewne jest najdogodniejszy punkt kontaktu między niebem a ziemią.

Taki gmach — to jedno wielkie miasto. Masz wszystko pod ręką. Nie potrzebujesz za niczem włóczyć się po mieście. Znajdują się w nim restauracje, sklepy, składy, bibljoteki, lekarze, szpitalıki, dentyści, bankierzy, adwokaci, telefony, telegrafy, jednem słowem — wszystko. Taki kolos może pomieścić dwadzieścia tysięcy ludzi nie licząc tych, którzy przychodzą do niego za sprawunkami.

Dla wygody publiczności zbudowano tu sześćdziesiąt dwa „elewatory" czyli windy. Jedne są „lokalne", te stają na każdem piętrze, a więc jest serja lokalnych od pierwszego, mówmy do dwudziestego. Druga serja od dwudziestego do czterdziestego, trzecia do sześćdziesiątego i tak aż do samego szczytu. Ale ci się spieszy, nie masz czasu...

Popatrz jak się ludzie niecierpliwią, z nogi na nogę przestępują, na zegarki spoglądają. Rany Boskie! On już dziesięć sekund czeka a tu jeszcze winda nie zjechała?!... No, nareszcie się przywlókł... Spieszy się biedaczysko na ośmdziesiąty piąty

„floor“ — dosłownie podłogę. Więc siada do „expresu“! Cichuteńko, delikatnie, niby anioł duszę, bierze cię winda w powietrze z szybkością od 500 do 700 stóp na minutę, dziesięć stóp w sekundzie. Za trzy minuty jesteś na miejscu... „Tyle traci się czasu na te paskudne elewatory“, powie nasz „busy“ Amerykanin. Tu się herbatki w kancelarjach nie pije! Tu zawsze „nie ma czasu!...“

Wyszedł dekret od cesarza, aby wielki, bogaty, słynny hotel Waldorf Astoria zburzyć i postawić „office building“. Wydają bankiet pożegnalny a na drugi dzień zrywają dachy miedziane, walą w gruzy cegłę, marmury, stiuki, rzeźby, pakują to na tratwy i topią cały gmach „w głębokościach morskich“. Niby grzyb w niespełna dwóch latach wyrasta nowy kolos, „Empire State“ i w dodatku ukończony przed czasem.

Ile kosztuje? Tylko pięćdziesiąt miljonów dolarów. Ale co się tu będziem gapili? Cały geszeft ogromnie się nie opłaca. Radziłbym, aby jakieś polskie konsorcjum tę ruderę wynajęło na — restaurację, gdzieby podawano nasze polskie zakąski, śledzie z wódką, okocimskie piwa, naszą smaczną polską — „zerkę“. Tak zacząć z przekąskami i nalewkami na najwyższem piętrze a stopniowo po każdej potrawie i napitku naszych amerykańskich głodomorów spuszczać na dół. Dobrze nakarmionych i jeszcze lepiej spitych, wyładowywać na parterze. To jedyna rzecz, o której wiem, żeby się opłaciła. Możnaby ewentualnie w jakimś kąciku urządzić konsulat i ekspozyturę polskich wyrobów i dać to Żydom w arendę. Gwarantuję, że miałoby ogromne powodzenie.

A teraz cofnijmy się tu wstecz półtora wieku, do czasu walki o niepodległość. Na tym małym skrawku ziemi około stacji kolejowej — Union Station, przy rogu 42-ej ulicy i Fifth Avenue, gdzie się teraz przelewają tysiące aut i dziesiątki tysięcy ludzi, inne tu pędziły tłumy...

Po przegranej i klęsce w Brooklynie, Waszyngton, dzięki niedołęstwu Anglików uratował niedobitki armji i szczęśliwie je przeprawił do Nowego Jorku. Zdolniejsi strategicy radzili odwrót, gdyż wyspa mogła się stać dla nich pułapką a to tem bardziej, że Anglicy mieli doskonałą flotę wojenną do dyspozycji i mogli odciąć odwrót. Waszyngton rady nie posłuchał. Jego bitwa na Long Island i w Nowym Jorku z punktu strategicznego były wprost idjotyzmem w największym stopniu.

Po kilkudniowym wypoczynku, Anglicy się przeprawili w Kips Bay na 33-ej ulicy do Nowego Jorku. Amerykanów ogarnęła panika. Opuszczali w popłochu stanowiska, rzucali broń i gnali polną drogą, obecną arystokratyczną Fifth Avenue na północ. Z bagnetami pochylonemi do ataku pędzili za nimi Anglicy, goniąc obdartych, bezbronnych rewolucjonistów.

Waszyngton w okolicy obecnej Union Station i rogu 42-ej i Fifh Avenue, chciał powstrzymać odwrót i panikę. Błagał, prosił, rozkazywał, groził!... Nic nie pomogło. Wydobył pistolety — chciał strzelać, spaliły na panewce. Rzucił pistolety a chwycił pejcz i nim bez miłosierdzia i pardonu walił po łbach i plecach, bladych, w panicznym strachu uciekających żołnierzy.

Wściekłość opanowała Waszyngtona. Klął, „gaddemował i sonowabyczował“ (to najpopularniejsza amerykańska klątwa, od której się zwykle rozpoczyna nauka języka angielskiego) na czem świat stoi. Wśród świstu kul słychać było świst nahai, pod której razami wyskakiwały pręgi czerwone na zbiedzonych twarzach uciekających wojaków. To ich jednak nie powstrzymało.

Nareszcie opadły go siły, opuściła wściekłość. Dysząc z przemęczenia, siedział na koniu i spokojnie czekał, wśród gradu kul, na śmierć lub — niewolę. Adjutanci chwycili konia za uzdę i odprowadzili wodza poza linję walki...

Od 34-ej ulicy zaczyna się dystrykt „Murray Hill“ czyli środek miasta. Gdy wojska Waszyngtona cofały się w popłochu po przegranej bitwie na Long Island, gdzie teraz jest miasto Brooklyn, silnie napierane przez zwycięzców, którzy wylądowali w Kips Bay, zaszedł tu bardzo ciekawy i doniosły wypadek. Rodzina Murrych zamieszkiwała w dosyć obszernym i bogatym domu. Anglicy weszli się zapytać — czy już dawno temu uciekli tędy ich przeciwnicy? Właścicielka ich zapewniła, że to już dosyć dawno, nie warto ich ścigać a po znojach dobrze trochę wypocząć. Poczęstowała oficerów winem, likierami, ciastkami, zajęła pogadanką przeciągając i odwlekając pościg, a ewentualnie ostateczną klęskę Waszyngtona.

Zaledwo kilka bloków na północ od miejsca, gdzie kiedyś stał dom Murrayów „Inclenberg“ wchodzisz do jednej z najlepiej urządzonych stacyj kolejowych na świecie — Grand Central. Wszystkie pociągi a jest tego setki dziennie koncentrują się w dwóch stacjach — Grand Central i Pensylwanja. Z tych wolę

Grand Central, bo w tamtej dostaję kołowacizny. Ile tu tysięcy ludzi przyjeżdża i odjeżdża na dobę, trudno powiedzieć, ale to są tysiące i dziesiątki tysięcy. W pewnych godzinach, dosłownie rzeka ludzka spieszy do pociągów i wynosi się z tego ścisku, huku i smrodu, hen za miasto, aby użyć świeżego powietrza i spokoju.

Niejeden bankier, co się cały dzień pasował z kwestjami finansowemi, obracał miljonami, robił i tracił fortuny, czem prędzej wymyka z tego Babilonu na wieś, zapala „kornówkę“ — fajka z baśki kukurydzowej — wciąga niebieskie hajdawery i pielęgnuje kwiaty, uprawia ogród lub zajmuje się drobiem. Nie przypuszczałbyś, że ten w podartych spodniach „farmer“ to krezus z Wall ulicy. Ażeby nerwy ratować, wyładowuje swą energję na jakąś przyjemną a niewinną rozrywkę.

Chociaż tędy przechodzą codziennie dziesiątki tysięcy ludzi, jednak panuje spokój, porządek i bezwzględna czystość. Murzyni w czerwonych czapkach, co chwila zmiatają podłogi a nocą wszystko na kolanach szorują. Masz tu rzędy kas biletowych, ogonków nie widzisz. W środku hali zegar i kantor, w którym urzędnicy udzielą wszelkich informacyj co do podróży, linij komunikacyjnych, hotelów, miast i t. d. Masz pod ręką pocztę, telefony, telegrafy, restauracje, balwiernie, manikury, jednem słowem wszystko. Za kratami czekają rzędy pociągów, każdy numerowany a przed bramą umieszczona tablica imformacyjna.

Na balkonie umieszczono pierwszy pociąg — Dewitt Clinton, jak równiez aeroplan niemiecki Bremen, który pierwszy przeleciał z Europy do Ameryki. Stacja jest tak ogromna, że te zabytki historyczne wydają się zabawkami.

Róg czterdziestej drugiej ulicy i Fifth, zaliczają do najruchliwszych na świecie. Na rogu tego przecięcia, zbudowano ogromną i piękną bibljotekę miejską. W małym skwerze tuż za bibljoteką był kiedyś rezerwuar dostarczający wody. Wszędzie pełno wysokich gmachów i wciąż nowe budują. Tu zawsze idzie życie naprzód!

Na Times Square rozpoczyna się dzielnica teatrów. Warto wieczorem popatrzeć na te tłumy, na te światła... na to życie, które dopiero przycicha nad ranem, gdy mleczarze, piekarze i rzeźnicy rozwożą po kawiarniach swe prowjanty.

Wróćmy znów na Fifth avenue i wpakujmy się na dwupiętrowy autobus. Za dziesięć centów powleką cię tym kolebiącym, sapiącym, co chwila zatrzymującym się wehikułem hen w górną część miasta. Mijamy katedrę św. Patryka, uważaną za jeden z najpiękniejszych kościołów gotyckich w Ameryce. Biedaczka jakoś zmalała, schowała się w cieniu nowych olbrzymów rockefelerowskiego Radio City, Medical Center i innych projektów.

Zkolei mijamy długi, wąski Central Park. Otoczony ze wszech stron murem wysokich hoteli i apartamentów mieszkalnych. W tej okolicy można wynająć wygodnie urządzone mieszkanie o dwóch lub dwudziestu pokojach. Płacisz od kilkudziesięciu dolarów na miesiąc do kilkudziesięciu tysięcy na rok. Rano w czepki zdobne niańki prowadzą do parku latorośle przyszłych pokoleń Izraela a bogate damy z godnością wielką wiodą na smyczy mopsiki, aby na świeżem powietrzu załatwiły ranną toaletę.

Zatrzymamy się chwilę na małem wzgórzu przy 120-ej ulicy i wstąpmy do katedry protestanckiej „St. John the Divine". Już lata całe episkopalni pracują nad wzniesieniem murów tej w Ameryce największej świątyni.

Nie będę nudził opisem rozmiaru, kosztu i gotyckiej architektury. Wnętrze jest bardzo podobne do kościołów katolickich budową i urządzeniem. Nic więc dziwnego, że gdy biedny a nieco podpity Ajrysz pszyszedł się tu modlić i zbyt długo pogrążał się w rozmyślaniach, stróż go poprosił, aby się wyniósł, bo to i tak nie jego kościół. A ten mu na to:

— Czyj to obraz w wielkim ołtarzu?

— Pana Jezusa — stróż odpowiada.

— Czyja to figura z boku? —

— To Matka Boska.

— A z drugiej strony to kto?

— To św. Józef!

— A tamci, czyż to nie Apostołowie?

— Tak!

— Więc proszę cię, argumentuje Ajrysz, powiedz mi od kiedy to oni porzucili naszą katolicką wiarę i przystali do protestantów?!...

Zdziwi się mocno katolik gdy w protestanckiej katedrze znajdzie pełno katolickich świętych. Oddali im całe kaplice. Jedną poświęcili św. Ambrożemu, w drugiej na ołtarzu jest św. Augustyn. Rany Boskie! Oczom się nie chce wierzyć! W trzeciej dominujące stanowisko objął św. Patryk, patron Ajryszów! Opodal jest Joanna D'Ark. Tylko mój patron jakoś był przeoczony.

Dziwni ci protestanci, że tak sobie naszych świętych przywłaszczyli. I to bez pytania. Gdzieby porządni katolicy na swe ołtarze wsadzili Henryka VIII, Marcina Lutra, Mahometa lub Buddę!... Widocznie że swoich nie mają dosyć, to naszych kradną, juchy jakieś. Myślą, że z naszymi świętymi to sobie tak za panie brat. Gdy taki święty się o tem dowie, będzie mu bardzo nieprzyjemnie w niebie, że go protestanci na swoją wiarę „przekrzcili". A jednak, w niczem nie przesadzam. W sąsiednim kościele na Riverside Drive, ufundowanym przez Rockefellera to w łukach głównego wejścia i w rozmaitych niszach zamiast aniołów i świętych jak to czynili n. p. we Francji, tu powsadzali figury nietylko świętych pańskich katolickich, protestanckich, mahometańskich, buddyjskich, ale prócz tego literatów, poetów, odkrywców, inżynierów i wielu innych, którzy z kościołami, religją i świętością żywota, nic wspólnego nie mieli.

Ten mały pagórek nazywa się Washington Heights — Wzgórze Waszyngtona. Podczas walki o niepodległość, wojska kolonistów, po ucieczce poprzednio wspomnianej, tu się obwarowały w nadziei, że im się uda wstrzymać atak Anglików. Waszyngton po zbadaniu sytuacji uważał pozycję za nader niebezpieczną i nakazał dalszy odwrót. Nie usłuchano jego rady. Hessi szturmem wzięli pozycje, biorąc do niewoli kilka tysięcy wojska i zapasów. Głównodowodzący z przeciwnego brzegu rzeki patrzał na klęskę bezradny i zdaje się klął aż się świeciło na swych podkomendnych generałów, w czem mu się wcale nie dziwuję. Bronzowa tablica upamiętnia to pole bitwy. Generał Howe, dowódca angielski mógł wtenczas zgnieść wojska amerykańskie i zakończyć walkę o niepodległość. Niektórzy historycy uważają go za amerykańskiego — Konrada Wallenrada. Jemu się należy pomnik za jego mazgajstwo, gdyż tylko temu zawdzięczamy ostateczne zwycięstwo...

W tej okolicy, na szerokiej przestrzeni rozpostarł się jeden z największych amerykańskich uniwersytetów — Columbia. Tu chyba nigdy nie będzie zaprowadzony „Numerus Clausus". Wątpię, czy w Jerozolimie jest więcej Żydów na kursach aniżeli w tym uniwersytecie. Dr. Nałęcz-Morawski wykłada literaturę polską w departamencie języków słowiańskich. W polityce dobrze jest znany rektor uniwersytetu dr. Murray Butler, przez lata całe szampjon walki przeciwprohibicyjnej.

Możnaby się tak posuwać w górę miasta, mimo ogromnych stadjonów atletycznych przez wspaniale urządzone ogrody zoologiczne w Bronx Parku. Warto przynajmniej wstąpić i przypatrzeć się pawilonowi zawierającemu najrozmaitsze okazy żmij, wężów i płazów. Zarządcę tego działu p. Ditmar'sa uważają za jedną z największych powag na świecie w tym zakresie.

Afera Ewy z wężem wielką wyrządziła krzywdę całemu rodzajowi płazów. Ileż tu znajdziesz pięknych, w kolory bogatych wężów, nie trujących a ludziom wielce pożytecznych? Nie brak coprawda i trujących okazów, które samemu zarządcy i jego współpracownikom dały się we znaki. Masz tu nasze zwykłe amerykańskie grzechotniki, im pokrewne miedzianego koloru „copperheads", trujące wodne węże „mocassins" a nadewszystko z Brazylji sprowadzone „fer de lance" którego trucizna w kilku minutach zupełnie paraliżuje ofiarę. Jest kilka okazów Indyjskich okularników — jedne plujące, drugie syczące a wszystkie w najwyższym stopniu — trujące. Najniebezpieczniejszy to — King Cobra, król okularnik i patron jednego z mych przyjaciół profesorów. Ten twierdzi, że w walce z nieprzyjacielem trzeba nie ustawać, nigdy się nie cofać i znienacka w nocy go uderzyć i uśmiercić, jak to czynią indyjskie okularniki.

Jadąc w kierunku północnym wydostajemy się na szeroką sieć bulwarów podmiejskich, ciągnących się wzdłuż małej rzeczki Bronx River. Tu i ówdzie, wśród zieleni leśnej widzisz murowane wille, ogrody, stawy niewielkie, klomby kwiatów, ławeczki dla wycieczkowców, mosty z kamienia artystycznie zbudowane. Tu możnaby już mieszkać i wypoczywać. Takich przedmieść, will, rezerwuarów wodnych jest dużo. Ciągnie się to całemi milami, hen za White Plains, gdzie Waszyngton miał kwaterę. W Yonkers przed polską plebanją jest pomnik Kościuszki, zbudowany za staraniem Ks. Dworzaka i jego parafjan.

Wzdłuż rzeki Hudson bulwarami dojedziesz aż do Bear Mountain i pięknej w granicie wybitej drogi — Kings Highway. Ale nie będziemy się tak daleko zapuszczali w te naturalne a malownicze piękności, łączące w jedną całość sztukę inżyniera, ogrodnika i uroczej natury.

Wracamy więc spowrotem wzdłuż szerokiej o wysokich niemal miejscami pionowych brzegach rzeki Hudson. Przed nami jest imponujących rozmiarów, niedawno skończony most wiszący, uznany za największy jednołukowy most na świecie. Pracowano nad jego budową pięć lat a koszta wynoszą okrągłe sześćdziesiąt miljonów dolarów. Po obu stronach rzeki wznoszą się dwie, ze stali i granitu zbudowane wieże, 635 stóp ponad poziom wody. W górnej części niby przez ogromne oczka igły przeciągnięto dwie pary stalowych lin, każda ma trzy stopy średnicy, do tych czterech lin jest uczepiony pomost. Odległość od jednej wieży do drugiej jest 3500 stóp, czyli że jest przeszło dwa razy tak długi, jak poprzednio wspomniany most na rzece Delaware w Filadelfji. Most Waszyngtona jest na miejscu, w którem się Waszyngton przeprawił przez rzekę po klęsce w Nowym Jorku.

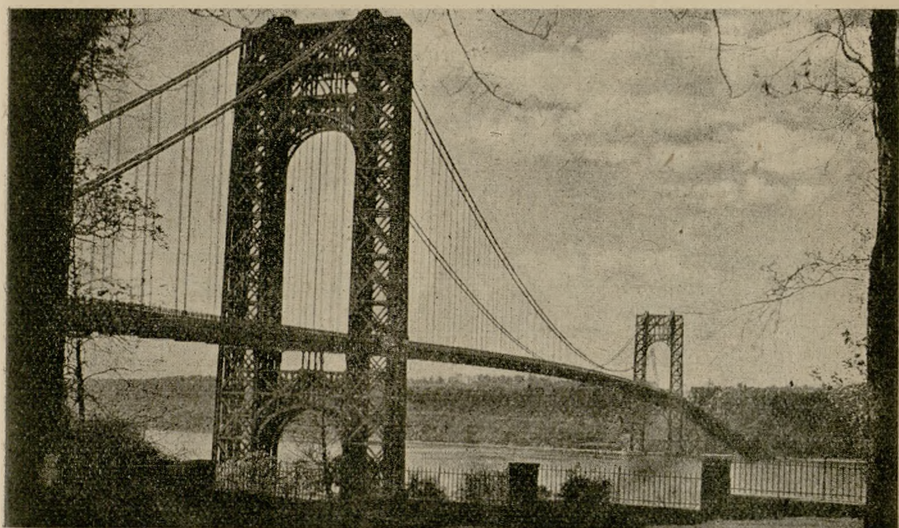
Wracamy do miasta bulwarem ciągnącym się wzdłuż rzeki — to Riverside Drive. Dawniej pełno tu było pięknych powozów, następnie zaczęły się plątać rowery a teraz całą drogę zawaliły samochody i autobusy, napełniając ulicę turkotem i swędem gazoliny. Mijamy mauzoleum generała i prezydenta Stanów Zjednoczonych Ulysses'a Grant'a. Na szczycie grobowca wypisano jego pamiętne słowa, wypowiedziane po zakończeniu wojny domowej w Appomatex — „Let us have peace" — Niech będzie pokój! Czy i dziś tego nie pragniemy? A wciąż żyjemy w obawie nowej wojny i ciągłych gorączkowych zbrojeń!...

Przy bulwarze często napotykamy pomniki, zresztą tego towaru jest w mieście pełno, nie brakuje Kolumba, Garibaldiego Kossuta i kilku bohaterów.

W tem kosmopolitycznem mieście znajdziesz niemal wszystkie narodowości pod słońcem. Niektóre z nich, to rzadkie okazy, zaś innych pełno, zajmują całe dzielnice. Przejdziesz blok na wschód poza pewną linją i dostajesz się do dzielnicy żydowskiej. Czujesz się „u siebie". Myślisz, żeś na Kazimierzu lub „na Dżyki gas" w Warszawie. Te same krymki, pejsy, chałaty, ten

sam żydowski żargon... To nasi! Z każdym się po polsku rozmowisz. Tacy tu oni wszyscy przybyli. Biedni, obdarci, brudni, wszawi. Ale w swym charakterze nieśli kulturę i zalety tysiąca pokoleń. Ziarno padło tu na podatną ziemię. Z nadzwyczajną szybkością tu się rozwinęły ich talenty kupieckie. Obracają kapitałem z szaloną szybkością. Pracują mozolnie, ciężko. Żyją nieraz w bezgranicznej nędzy, ale nigdy nie tracą swego celu — a tym są pieniądze, majątek i fortuna.

Przy straganie zauważysz biednego pejsatego Żyda. Wprost głód i nędza mu patrzy z twarzy. Opodal przekupka Żydówka



Most przez rzekę Hudson w Nowym Jorku.

sprzedaje gazety, pierniki lub jakieś inne drobnostki. Niewiele utarguje, przelicza te centy, chowa do kieszeni... Ale jej córka lub syn kończy prawo na uniwersytecie. Gdy skończy, on im pomoże. Tu widać tę solidarność rodzinną i narodową, której my Polacy nie posiadamy.

Chcesz wiedzieć kto tu panem, kto właścicielem?... Przyjdź tu bracie na jakieś wielkie święto Żydowskie — to się dowiesz. Ja tu raz przyjechałem na święto — Yom Kippur. Niemal że każdy skład, od największego do najmniejszego zamknięty na

kłódkę. W oknie lub na drzwiach przybita notatka, że to święto żydowskie i na ten dzień sklep zamknięty.

Nowe pokolenie polsko-amerykańskie w szkołach polskich i katolickich wychowane, nie zna języka polskiego, ale idź do Nowego Jorku, wsiądź do „subweyu" i popatrz na twarze i na gazety jakie ludzie czytają? Już nie mówię o angielskich czasopismach wydawanych przez Żydów jak „New York Times, ale o żydowskich, drukowanych w ich języku i nieznanej mi ortografji. On się żydowskiej gazety nie wstydzi! On nie wmawia w siebie „że to Ameryka"! On się trzyma swego języka i swej religji. Może nienawidzimy Żydów. Wszędzie ich nienawidzą, ale się ich także boją! To potęga! Trzeba ich w pracy, w nauce, w organizacji naśladować, gdyż tylko w ten sposób możemy z nimi iść w zawody!

Przejdziesz znów kilka bloków i mimowoli wpadłeś do słonecznej Italji. Widzisz tu czarnowłose, czarnookie, smagłe córy Kalabrji, Sycylji. Na szyldach włoskie napisy, na ulicach pełno włoskich dzieci, włoskiej mowy... Na gramofonie ktoś wygrywa „O Sole Mio". Nic się tu nie zmieniło — to Włochy! Pełno życia, pełno energji. Z tych zaułków rekrutują się włoscy bankierzy, byznesiści i... bandyci! ale zarazem niezrównani artyści, śpiewacy, rzeźbiarze. O inną karjerę nie kuszą się, bo na tem polu w Ameryce droga dla wszystkich „forejnerów", włączając w to Włochów, jest zamknięta. Tylko Ajrysze mają tę właściwość, że w dwudziestu czterech godzinach po wylądowaniu stają się „Amerykanami", przywdziewają mundur policjanta i już są na stanowisku politycznem i społecznem.

Między ulicą tą a tamtą jest kwatera chińska, czyli „Chinatown". W sklepach nieznane ci towary, egzotyczne rośliny, jarzyny, dziwne sucharki, mięsa, kwiaty, herbaty. Na ulicach twarze żółte o skośnych oczach, które cię lustrują od góry do dołu. Mówią pocichu, spokojnie. Pełno zaułków, tunelów, dziur i zakamarków, w których się gnieżdżą synowie wschodu. Zajrzysz do świątyni chińskiej „jass haus" bardzo zresztą skromnej znajdziesz w niej Buddę, może jeszcze jakąś Chinkę, z pudełka wyciąga długie patyki wonnem kadzidłem oblepione i pali je przed okrągłą twarzą siedzącego Buddy. Nieraz mają między sobą obrachunki. Wybuchają czasem „walki języków", ciche, zacięte, bez pardonu. Wszędzie cię dosięgnie tajemnicza ręka rasy żółtej. W norach podziemnych, gdybyś się tam dostał

widziałbyś dużo rzeczy ciekawych. Znalazłbyś palaczy opjum, może orgje o jakich ci się nawet nie śniło. Nie braknie tam i białych, a nawet arystokracji, szukającej wrażeń...

Północna część miasta, wzdłuż rzeki Harlem i East, nazywa się Harlem. To kwatera murzynów. Mieszka ich tam dziesiątki tysięcy. Jeżeli w okolicy mostu brooklińskiego widzisz Azję, tu zobaczysz Afrykę już nieco zmodyfikowaną i na amerykański sposób przerobioną. Na ulicach pełno okrągłych, pucułowatych — czekoladek o mocno przez naturę ukruzowanych włosach. To materjał na przyszłych posługaczy kolejowych. Wszystkie pulmanowskie wagony w Ameryce, i to bez wyjątku, mają obsługę murzyńską. Niejeden może zrobił fortunę, ale przeważnie to dorobkiewicze, chociaż wśród nich znajdziesz ludzi zdolnych i energicznych. Umysłem nie sięgają do pasa Żydom, Włochom lub innym przedstawicielom rasy białej.

Mówią, że Żydzi miastem władają, największymi tu są posiadaczami realności. Niemal każdy sklep od największych do najmniejszych jest w ich ręku. Zato Irlandczycy czyli Ajrysze miastem rządzą. A jak rządzą! Jeżeli chcesz świństw, oszustw, kradzieży, graftów, to zawsze Ajrysza w tem znajdziesz. Zacząwszy od niedawno wyrzuconego burmistrza „Dzimmego" Walkera, który co niedzielę skrupulatnie do kościoła na Mszę św. chodził a z aktorką żył „na knebel", a skończywszy na ostatnim policjancie, który nietylko pilnuje porządku ale także polityki. Organizacja Ajryska, to siła polityczna pierwszej klasy. Jak potężni są Ajrysze i Żydzi, wystarczy nadmienić, że poprzednio gubernatorem a nawet kandydatem na prezydenta Stanów Zjednoczonych, był Ajrysz Alfred Smith, jego następcą jest żyd, zdaje się z Ajryszką ożeniony — Lehman. Jeden i drugi to ludzie, o ile wiem, zdolni i uczciwi.

Nie można przecież zapomnieć o naszych rodakach, gdy się tyle pisze o nieodzownych nam Żydach. Owszem, mamy tu Polaków i to dosyć liczną osadę, tylko bardzo rozrzuconą. W stosunku do innych zagranicznych elementów jak n. p. Żydów, Włochów lub Ajryszów, jesteśmy znikomą jednostką. Ale zawsze się naszych gromada zbierze, jeżeli tego zachodzi potrzeba.

Około St. Marks Place przy Siódmej ulicy, wtłoczony wśród domów żydowskich, włoskich i polskich od lat wielu trzyma się Kościół i parafja Św. Stanisława. Proboszczem jest

energiczny ks. Burant. W uroczystości kościelne i narodowe do tego kościoła zjeżdża śmietanka polska, widnieją fraki, bogate damskie toalety. Nie można pominąć naszego Domu Narodowego, w którym każdego przybysza grzecznie powitają i po staropolsku zapytają „może wódeczki i przekąskę?“ Czujesz, że jesteś między swymi, u siebie. Tu zjesz dobrze, dużo i tanio.

Robotę narodową prowadzi „Kurjer Narodowy“. Ma ludzi ruchliwych i przedsiębiorczych. „Nowy Świat“ był pismem dosyć na czerwono zabarwionem, ale ponieważ socjały w kraju trochę przycichły i tu się uspokoiło. Nie mogę milczeniem pominąć jedynej w Ameryce polskiej księgarni — Polish Book Importing Co. Pan Opaliński jej zarządca przypomina mi z Krzyżaków tego Juranda ze Spychowa, który stał na posterunku i bronił rubieży polskich przed Krzyżakami. Tak i nasz Opaliński walczy z biedą, dokłada wszelkich starań, aby w Ameryce, wśród ludu a szczególnie inteligencji pchać polskie książki. Lud karmił się „Sennikami Egipskiemi“, wróżbami, bajkami dawniej w dziennikach drukowanemi. A inteligencja i duchowieństwo nie widzi potrzeby wziąć do ręki polskiej książki, zapoznać się z polską literaturą. Jednemu wystarczy powieść o detektywach, tajemnicze morderstwo, a drugi zaledwo przeczyta rezultaty z „base ballu i giełdy“. Zamiast kupić książkę, to niejeden wolał drożej zapłacić za butelkę podrabianej wódki! Wybaczcie, że tak bezceremonjalnie te sprawy poruszam, ale to da pojęcie jak stoją sprawy polskiej książki w Ameryce. Zdaje się nawet, że księgarnie w Polsce także chcą tylko, jak Szekspir mówi, dostać „swój funt mięsa“ a o ducha, o pracę narodową, o utrzymanie przy życiu tej „czwartej dzielnicy“ nikt nie pamięta i nikt się nie troszczy! Co za strata, co za klęska dla Polski!...

Chciałbym tę krótką eskapadę po Nowym Jorku zakończyć wspomnieniem z wojny światowej, jakiego tu byłem świadkiem. Wpadłem tu na parę dni przed wyjazdem do Francji, gdzie wtenczas z zapalczywością zdobywano „Linję Hindenburga“. Miasto i port marsową przybrały minę. Na ulicach pełno żołnierzy, marynarzy i oficerów z każdej niemal armji aljanckiej. W porcie stały pstrokato pomalowane, w armaty zbrojne transportowce, oraz wojenne okręty do ich konwoju. Często bowiem submaryny niemieckie zapuszczały się na wody amerykańskie i bez pardonu topiły okręty aljantów.

Wszędzie pełno życia, energji, entuzjazmu. Grano na nerwach, niby na strunach. Użyto wszelkich środków do zbierania funduszów, zapisywania pożyczek, składania darów na Czerwony Krzyż, akcje ratownicze, rozpalono ferwor polityczny do najwyższego stopnia. Na jednej z głównych ulic zbudowano „Ołtarz Wolności“. Pamiętam całe piramidy wzniesiono z pikelhaubów niemieckich. Widać, że szwabi w gołych łbach chodzili, bo skądby się ich tu tyle nazbierało. Co dzień inna narodowość „adorowała“ przed tym ołtarzem. Dzieci występowały w strojach narodowych, śpiewano narodowe pieśni, wygłaszano mowy patrjotyczne we wszystkich niemal językach świata. Nawet Niemcom gadano, że my z nimi nie walczymy tylko z kajzerem, byle tylko celu dopiąć, byle tylko pieniądze zbierać, broń, amunicję, żywność, i żołnierza w jak największej ilości na front wysyłać.

Byłem tu podczas „Dnia Polskiego“. Pan Smulski, prezes Wydziału Narodowego, lider całej Polonji amerykańskiej a przynajmniej tego odłamu, co stał po stronie Aljantów, przemawiał do licznie zgromadzonych towarzystw polskich. Przy końcu uroczystości, kapela wojskowa, tu w tem wielomiljonowem mieście zagrała nasz hymn narodowy — „Jeszcze Polska nie zginęła“. Wojsko, sprezentowało broń, a policja ajryska stała na baczność! Grano hymn narodu, którego nie było na mapie! Odradzał się w ogniu wojny i jak mityczny Fenix powstawał z pożogi i popiołów!... Czuliśmy wtenczas, że „nie zginęła!“ Polacy w Ameryce rzucali warsztaty pracy, intratne posady i stanowiska, aby wdziać mundur, iść na front i zrywać kajdany niewoli. Miłe to wspomnienia. Wielkie wtenczas przeżyliśmy chwile...

Teraz wpadniemy na chwilkę do Brooklina do starych znajomych i szczerych przyjaciół. Mamy kilka dróg komunikacyjnych, z których możemy skorzystać. Najstarszą i najmniej dziś używaną jest oczywiście łódka, którą możnaby się przeprawić przez East River. Do dyspozycji jest kilka tuneli pod rzeką, a nad rzeką zaś są cztery wiszące mosty. Najstarszy i pierwszy prototyp wiszących mostów, jest wszystkim znany most Brookliński. W tym roku obchodził złoty jubileusz swej służby. Ale jeden most na tyle miljonów nie wystarczy. Więc też zbudowano ich więcej. Teraz cztery mosty łączą poszczególne dzielnice Nowego Jorku z Brooklinem.

Ruszamy w dalszą drogę przez najstarszy most, ukończony

w 1883-im. Rozpoczęto budowę w roku 1870-tym i pracowano nad jej wykończeniem trzynaście lat. Kosztował z przeróbkami i zmianami około dwadzieścia kilka miljonów. Daleko większy i trzy razy tak drogi „Most Waszyngtona“ przez rzekę Hudson zbudowano w pięciu latach, dzięki nowoczesnym maszynom i ulepszonej technice.

Z mostu najlepiej można podziwiać ogrom tego ludzkiego mrowiska, podzielonego rzekami na kilka wielkich siedlisk, naszpikowanych większemi i mniejszemi budowlami. Można powiedzieć, że w stu latach ze staroświeckich miasteczek powstał ludzki polip, sięgający mackami przemysłu i handlu do najdalszych zakątków świata. Wciąż bezustannie wchłania w siebie ludzki pot, znój, pracę, majątek, zdolność i wciąż rośnie, potężnieje i końca tego rozwoju nie widać.

Kto wie, czy krew tak hojnie w walce o niepodległość tu przelana nie użyźniła tej ziemi? W sierpniu 1776-go roku, wkrótce po podpisaniu Deklaracji Niepodległości we Filadelfji, Waszyngton miał krwawą rozprawę z wojskami angielskiemi. Niewyćwiczeni ochotnicy, przytem odpowiednio nie wyekwipowani nie mogli podołać karnym pułkom angielskich i heskich najmitów.

Była to dotkliwa klęska dla Waszyngtona. Gdyby nie ślamazarność angielskich dowódców i obrona wzdłuż małej rzeczki Gowanus Creek, która umożliwiła odwrót wojsk kolonistów, prawdopodobnie Waszyngton wraz ze swą armją dostałby się do niewoli. Waszyngton okazał się tu kiepskim wodzem a Anglicy skończonymi niedorajdami. Niemal cały obszar, na którym się rozrósł Brooklin, był wtenczas polem bitwy. W parkach i na słynnym, a bardzo rozległym cmentarzu Greenwood — znajdziesz liczne pomniki i pamiątki z wojny o niepodległość. Tu jest także wspaniały pomnik ku czci niemal stu pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy ze stanu Nowego Jorku poległych w Wojnie Domowej.

Samo miasto niczem się nie wyróżnia. Powiedziałbym, że to kombinacja miasta portowego i fabrycznego. Rząd od przeszło stu lat w ogromnych stoczniach i dokach buduje i naprawia okręty wojenne.

Miasto jesf na samym końcu stu milowej wyspy Long Island, ciągnącej się wzdłuż brzegu stanu Connecticut a od niego oddzielonej pasem wody — Long Island Sound.

Od strony południowej, wzdłuż oceanu Atlantyckiego, powstały liczne plaże kapielowe, z których może najlepiej znany był „Coney Island”. Latem dziesiątki tysięcy ludzi szybkiemi subwejami wyruszają z Nowego Jorku, z Times Square na brzeg morski, aby wypocząć, odetchnąć morskiem powietrzem, użyć jazdy na karkołomnych wywijasach i karuzelach. Zjadają przytem niezliczoną moc „parówek“ czyli jak tu mówią „hot dogów“ co w dosłownem tłumaczeniu znaczy „gorących psów“, wypijają niezliczone butelki „sody“ i znów za pół godziny tym samym ekspresem za opłatą pięciu centów wracają do centrum miasta.

Niedawno kosztem kilkudziesięciu miljonów dolarów, część bagnistych brzegów wyspy przeistoczono w największą i najdogodniejszą plażę kąpielową na kuli ziemskiej — Jones Beach. Czego tu niemasz? Szerokie, wygodne, a jak deska gładziutkie drogi prowadzą kawalkadę samochodową nad sine brzegi oceanu, zdala od gwaru miejskiego. Przygotowano zajazdy czyli ogrodzenia dla dwudziestu pięciu tysięcy samochodów. W sezonie letnim obliczają, że przeszło siedmdziesiąt pięć tysięcy ludzi korzystało dziennie z tutejszych urządzeń kąpielowych.

Masz tu wszystko. Obszerne i wygodne pawilony. Tysiące małych ubikacyj, gdzie możesz wdziać na siebie kostjum kąpielowy. Chcesz pływać w słonej wodzie, masz przed sobą cały ocean. Nie lubisz morza albo obawiasz się ludojadów (rekinów) dla twej wygody zbudowano baseny niezbyt głębokie a napełnione słoną wodą. Masz wstręt do słonej wody, przejdziesz do pięknych, białemi taflami wymurowanych sadzawek zalanych słodką wodą i oczyszczanych zapomocą ultrafioletowych promieni. Masz restaurację, salę opatrunkową, dyplomowane sanitarjuszki, pogotowie, policję, straż ratunkową, fontanny, kaskady, ogrody, wodne kwiaty, złote rybki, czego tylko twa spragniona dusza sobie życzy, wszystko jest na twe zawołanie. Warto tu latem przyjechać i na te cuda popatrzeć.

Wspaniały to był widok gdy Izrael przeszedł przez Morze Czerwone „suchym nóżkiem“, ale daleko piękniejszy, gdy potomkowie tegoż Izraela w kostjumach kąpielowych „potrzebują“ swe grzeszne ciało wykąpać w wielkim oceanie.

Zatrzymałem się w Brooklinie na parę dni u mych dobrych znajomych i szczerych przyjaciół państwa — Ciżmowskich. Tu czułem się, jak ten pływak, co ostatkiem sił dobija do brzegu

i ma grunt pod nogami. A wyjątkowa to rodzina i warto jej chociaż kilka słów poświęcić. Rodzice przybyli z Poznańskiego w czasach, gdy nasze stare „Poznanioki“ zbyt dotkliwie odczuwali bismarkowski „kulturkamf“. W obcym kraju, nie znając języka, z tych dziesięciu palców potrafili państwo Ciżmowscy wychować gromadę dzieci i każdemu dać doskonałe wykształcenie. Ze sześciu synów trzech wstąpiło do stanu kapłańskiego, dwóch jest aptekarzami, jeden adwokatem, a córka Agnieszka po skończeniu szkół wyższych, doktorką. Tego potrafił dokonać polski emigrant, całe życie pracujący we fabryce cygar. Ponadto posiada własny wygodny domek. A mili to, szczerzy i serdeczni ludzie, u których panują stare polskie zwyczaje, a nad wszystkiem dominuje duch głębokiej wiary. Obyśmy takich rodzin mieli jak najwięcej, gdyż są chlubą narodu, potęgą kraju i podporą religji.

Od ks. Aleksandra najstarszego z braci, proboszcza w Brooklinie puściliśmy się niemal na drugi koniec wyspy, do jego brata Ks. Józefa Ciżmowskiego, proboszcza niewielkiej, ale miłej polskiej parafji w słynnem letnisku — Southampton. Polacy w tem kąpielowem miasteczku nowojorskich Krezusów pracują jako ogrodnicy, szoferzy, zarządcy w bogatych majątkach i pałacach.

Long Island — „Długa Wyspa“ zasługuje na tę nazwę, gdyż jest 125 mil długa, a w najszerszem miejscu zaledwo siedmnaście mil szeroka. Widocznie ocean będąc w dobrym humorze, a nie mając żadnych okrętów do piastowania, tak od niechcenia, się zabawił i usypał długą, równą, piasczystą wyspę. Chciał, aby ludziska mieli gdzie się osiedlić i w solą przesyconem powietrzu morskiem, po ciężkiej pracy się chłodzić a latem — kąpać. Stary ocean to filut. Sieszy się, gdy tysiące nadobnych niemal do naga rozebranych cór Izraela pławi się w jego objęciach. Jak się to czasy zmieniają!... Na morzu Czerwonem fale ze wstrętem się od Żydów odwróciły i wprost „murem stanęły“, a tu zaś wszystkich z lubością do siebie przygarniają. Cała wyspa tak od strony oceanu jak od lądu stałego, nad „Soundem“, jest zasiana plażami kąpielowemi.

Szerokie drogi, specjalne dla pospiesznych samochodów bulwary, po których możesz pędzić na złamanie karku, uczyniły z tej wyspy istny park. Ma się rozumieć, że część najbliższa Nowego Jorku i Brooklina jest zaludniona. Milami jedziesz z miasteczka do miasteczka. Mijasz liczne ogrody warzywne, pod

intensywną kulturą. Podmiejscy „truck gardenerzy“ ogrodnicy dostarczają resteuracjom świeżej sałatki, rzodkiewek i wszelkich jarzyn.

Często napotykasz posiadłości nowojorskich miljonerów, od świata oddzialone grubemi murami, otoczone żywopłotem lub gęstym lasem. W niektórych miejscach nad brzegiem oceanu, w zatokach, rzeczkach i licznych bajorach rozwinęła się hodowla kaczek. Naliczyłbyś tego tysiące, może miljony. Biedactwa bielutkie jak śnieg, ale wkrótce pochłoną je paszcze nowojorskich epikurów. Koniec wschodni wyspy, sięgający niemal do stanu Rhode Island, jest piasczysty i zbrojny w skały i głębokie zatoki, w których doniedawna czaiły się szybkie łodzie motorowe. Na dany znak, pociemku, ruszyła łódź na pełne morze, aby tam wśród nocy obładować się workami szwarcowanej wódki, znów wpaść do małego zacisznego portu, wyładować towar i autem wio do miasta gasić pragnienie amerykańskiej finanserji.

Ciekawa to była rywalizacja w budowie szybkich, lekko zbrojnych okrętów, a jeszcze szybszych motorówek bootegerskich. Zresztą nie będę się w detale „walki“ z bootegerami zagłębiać. Kto smaruje, ten jedzie i basta.

Nietylko w samym Brooklinie, Jamaice (Dziamajce) Floral Parku, ale we wielu innych miasteczkach napotykasz liczne osady polskie. Jedni z naszych rodaków pracują we fabrykach, inni na bogatych posiadłościach tutejszych miljonerów, a nie brakuje i takich, co na roli wiodą dostatnie i spokojne życie. Najwybitniejszy to p. E. Brykczyński, właściciel olbrzymiej piekarni i działacz na niwie narodowej.

Chcąc uniknąć ogromnego ruchu miejskiego z samochodem wjeżdżam na okręt i za dobre pół godziny przeprawiłem się z powrotem do mego kochanego Connecticut, po czteromiesięcznej nieobecności. Tu, że tak powiem, człowiek czuje się na własnych śmieciach i każdy zdaje mu się bliski i znajomy.

Ruszam śmiało naprzód, drogą wzdłuż brzegu tej ciekawej, wyspami zasianej cieśniny — Long Island Sound. Nad jej brzegami powstały pierwsze osady kolonistów. Od Nowego Jorku posuwali się ku wschodowi Holendrzy od Bostonu zaś ku zachodowi Anglicy. Trochę się tam poczubili,nareszcie Anglicy wszystko zabrali.

Pierwszą drogę, jaką zbudowano między coraz to liczniejszemi osadami nazwano „Boston Post Road". Dlatego, że tędy wieziono pocztę od Filadelfji aż do Bostonu. Przeważnie posługiwano się końmi. A ponieważ była bieda, więc nieraz dwóch jechało na jednym koniu, tylko nie razem, bo to znów za ciężko byłoby na schudzoną szkapę. Tak się urządzano. Jeden jechał, mówmy milę, uwiązał kobyłę u drzewa i szedł dalej na piechotę.



Pomnik osadników zamordowanych przez Indjan w South Dearfield.

Drugi zaś doszedłszy do konia, który sobie wypoczął i podjadł, gramolił się na siodło i jechał, tamtego minął, jeszcze z milę ujechał, konia uwiązał i szedł naprzód. Tym sposobem i koń się nie zmęczył i podróżnik miał trochę wygody, było to coś w rodzaju przysłowia: Wilk syty i koza cała.

Panowały tu kiedyś surowe „purytańskie" zwyczaje. Kobiety nosiły skromne, szare ubrania i czepki na głowie. Do kościoła

chodziłeś nietylko pod karą mąk piekielnych, ale nawet nie czekali aż cię djabeł smołą napoi, ale zawczasu bezbożnika pakowali w dyby. Wsadzili mu ręce i głowę między dwie deski odpowiednio wycięte i do słupa przybite. Tak sobie bracie siedziałeś za karę kilka godzin lub dzień cały, a „uczciwi“ ludzie i dzieciaki jeszcze ci porządnie nawymyślali. Były to czasy prawdziwej „bojaźni Bożej“.

Pewien lekkomyślny obywatel i młody małżonek, tak przynajmniej piszą stare kroniki, nie mógł dać rady swym miłosnym zapędom. Jechał ze swą młodą żoną na bryczce. Jakoś się biedaczysko rozczulił i nie bacząc na to, że jedzie drogą i to w niedzielę, więc też łaps swą kochliwą żonkę za szyję i na drodze w niedziele ją... pocałował! Któż widział, któż słyszał, aby coś podobnego stać się mogło w niedzielę wśród purytanów?! Za takie niemoralne, rozpustne, bezwstydne postępki należała się surowa kara. Biedaczysko dostał batem i jeszcze w więzieniu posiedział za to, że w niedzielę pocałował — własną żonę. Teraz tylko cudzą żonę się całuje. No ale nie będę się tu zbytnio na ten temat rozwodził, gdyżby i mnie się coś oberwało.

Bridgeport, przez które jadę, jest wielkiem przemysłowem miastem. Słynie z ogromnych fabryk amunicji, maszyn do szycia i maszyn do wyrobu obuwia. Podczas wojny Polacy zarabiali tu wprost nie do uwierzenia sumy. Pięćdziesiąt dolarów na tydzień była, jak tu mówią, „licha pejda“ — zapłata. Wszystko chodziło do fabryk w jedwabnych pończoszkach, sukienkach i koszulach. Trzeba było pracować ponad godziny, dzień i noc. Ale i najlepszy romans się skończy. Skończyła się wojna, a dla Bridgeportu — dobre czasy. Ten, co oszczędził, dobrze mu było, ale ten co puszczał i żył nad stan, myśląc, że tak zawsze będzie, biedował przez ostatnie lata i to porządnie.

Czyniąc duży krąg, mijam śródmieście z jego ruchem i spieszę do sąsiedniego New Haven, siedziby słynnego na cały świat uniwersytetu, Yale. Poza fabrykami karabinów — Winchesterek, jest tu także fabryka zamków i kluczy, jednak uniwersytet największą daje miastu renomę.

Co do kursów i profesorów niewiele mogę powiedzieć. Słyszałem od tych, którzy tu byli, a przedewszystkiem od słuchaczów — Polaków, ludzi obeznanych z uniwersytetami europejskiemi, że co do sił profesorskich i wykładów, Yale im nie im-

ponowało. Zato techniczne urządzenia laboratorjów chemicznych, fizycznych i t. d. są pierwszorzędne. Na wyekwipowanie i na wspaniałe budynki pieniędzy w Ameryce nie żałują.

Powiedziałbym i zdaje się, że ci, co tu byli i bliżej znają nasze stosunki, zgodzą się ze mną, że w każdej dziedzinie wiedzy poświęcaliśmy więcej czasu i pieniędzy stronie technicznej. Skorzyśmy byli do budowania cudnych gmachów; posiadamy najpiękniejsze wzory architektury greckiej, rzymskiej, renesansowej, gotyckiej, kolonialnej. Z dumą wskazujemy na piękne bramy, wieże, dormitarze, hale wykładowe, bibljoteki z udogodnieniami, o jakich się „Starej Jagiellonce" nawet nie śniło. Ale młodzież nasza nie nauczyła się — myśleć.

Możebym zbyt daleko od prawdy nie odbiegł, gdybym powiedział, że w uniwersytetach amerykańskich nie chcą, poprostu nie życzą sobie, aby student się głębiej zastanawiał nad sprawami ekonomicznemi, politycznemi lub religijnemi. Roztrząsanie zadań społecznych, zastanawianie się nad wyzyskiem robotnika uważanoby za pewne zboczenie, patrzanoby na takiego z boku, niby na wywrotowca, „blado-różowego bolszewika".

Dlatego słuchacz uniwersytetu jest zbytnio zajęty sportem. Wystawili mu za kilkanaście miljonów amfiteatr atletyczny. Na tem boisku w porze jesiennej, gdy młodzież spieszy do książek, rozpoczyna się sezon „footballu". Sosajda zjeżdża na te popisy dziesiątkami tysięcy. Przed i po rozprawie następują rauty, dancingi, hulanka, swawola, że ani Twardowski o takiej nie słyszał. Przecież najważniejsze, aby Yale zwyciężył swego przeciwnika — Harvard lub Princetovn albo armję czy marynarkę.

Uniwersytet, który posiada najlepiej wyćwiczonych atletów do piłki nożnej, co ma najtęższych wioślarzy, niby magnes ściąga do siebie amerykańską elitę, synów miljonerów. Nabywają ogłady towarzyskiej, chodzą w ciężkich futrach szopowych, może palą krótkie fajeczki, bo tak dyktuje moda. Niejeden zaledwo się przepcha, dadzą mu cyrograf i może sobie bez troski żyć, gdyż tatuś „zostawił" miljony. Ma samochód, a na wydatki i przyjemności ma tyle pieniędzy na miesiąc, co biedak nie ma na rok cały.

Amerykańskiego „college boya" interesuje sport, atletyka. Zna wszystkich najsłynniejszych graczy i jak tu Polacy mówią „pycierów". Gdy mu kiedyś do łapy wpadnie bank, lub intratna posada rządowa, w jego życiorysie napiszą, że w roku tym a tym grał

na „football tymie“ lub znakomicie operował wiosłem. To już jest „summa cum laude“ jego pobytu na uniwersytecie. Może taki nawet nie wie, jak się nazywa rektor uniwersytetu albo w jakim kierunku szkoła pracuje. Co sobie ma temi niepotrzebnemi rzeczami głowę zaprzątać?! Niestety i nasze katolickie kolegja a nawet uniwersytety zbyt dużo pieniędzy i czasu poświęcają atletyce a za mało — nauce!

Jednakowoż warto zobaczyć wspaniałe gotyckie gmachy. Szkoda wielka z punktu estetycznego, że Yale z arcydziełami architektury gotyckiej znajduje się niemal w samem centrum miasta. Nie można takiego n. p. Harkness Quadrangel należycie ocenić. Poprostu traci na tem, że ze wszech stron jest otoczony ulicami. Alumn uniwersytetu, Harkness, zbudował bogaty „kwadrat“ z wysoką wieżą w stylu angielskiego gotyku. Warto się tu włóczyć i podziwiać ciekawe, pełne uroku i tradycji zakamarki. To stancje studentów. Na gankach, korytarzach i wejściach małe rzeźby, gotyckie napisy, pamiątkowe wspomnienia dawnych uczniów i fundatorów. Powiadają, że gdy gmach ukończono kosztem kilkunastu miljonów, architekt szedł i kamieniami wybijał małe, w ołów oprawne szybki i kazał je znów ołowiem zalewać, gdyż to dodawało budynkowi pewnej atmosfery starożytności.

Nowo ukończona bibljoteka „Sterling Library“ ufundowana przez alumna i miljonera Sterlinga jest, że tak powiem „ostatniem słowem“ z tej dziedziny. Wchodzisz niby do jakiejś starej gotyckiej katedry. W głównem wejściu bogate, symboliczne rzeźby, napisy w języku greckim, staro-haldejskim, symbole i przysłowia. Wszystko ci przypomina, że książka i bibljoteka jest sercem uniwersytetu i twoim najlepszym przyjacielem.

W środku gmachu olbrzymi czworobok kilkanaście piątr wysoki zapełniony stalowemi policami. Wszystkie książki należycie skatalogowane i poumieszczane w szufladkach i na kartach alfabetycznie ponumerowanych. Na każdem piętrze jest kilka bibljotekarek. Podajesz nazwę i numer książki sekretarce przy biurku. Ta zaś wypisała to na karteczce, włożyła do metalowej puszki, a tę do miedzianej rury, a zgęszczone powietrze, niby kulę wyrzuciło ją na odległy kantor w odpowiednim oddziale. Za chwilę książkę włożono do odpowiedniego „elewatora“ zaopatrzonego w pas gumowy i za parę minut, „przyjechała“ na stół, cicho, szybko i składnie.

Poszczególne gmachy jak „Quadrangel“, nowa bibljoteka fundowana przez Sterlinga, nowy gmach praw, sale atletyczne, toć to architektoniczne cacka i arcydzieła. Znawca rzeźby, architektury, mitologji, jednem słowem wszystkiego, co jest piękne i artystyczne, znajduje tu skarbiec niewyczerpany. Ogląda i pieści się każdym gzymsem, kącikiem, łukiem, rzeźbą. Cóż tu za harmonijna kombinacja cegły, kamienia, marmuru? Co za rzeźby minjaturowe wykonane w kapitelach, łukach i gzymsach. Wnętrza sal, gmachów, korytarzy, czytelni, toć to jakiś wymarzony, wyegzaltowany wiek dawny, zapomniany... gdy w habity odziani mnisi życie całe wycinali w kamieniu lub czarnym dębie cudowne arcydzieła wspaniałego gotyku. Tylko tamci to robili lata całe, śnili, z mozołem rysowali na drogocennym papierze, a teraz to robią o wiele szybciej, zgrabniej i to stosunkowo taniej — Włosi. Ale to tylko naśladowcy! To plagjat tamtych. Patrząc na to — podziwiasz tamtych.

Wciąż budują. Zwalają stare domy. Pod oskardem włoskiego robociarza z hukiem walą się ściany, usuwają fundamenty i znów stawiają nowe, ładne, wygodne świątynie — wiedzy. Słyszysz mowę włoską, bo to nasi murarze, rzeźbiarze, artyści. Nazwą go „forejnerem“, pluną mu w twarz wyzwiskiem, ale gdy przyjdzie do dłóta, do pędzla, do sztuki, napewno synowie słonecznej Italji poczesne znajdą w niej miejsce.

Trzeba tu koniecznie przyjść. Nie żałować czasu, tak, dużo czasu poświęcić. Postarać się o podręcznik albo też poszukać przewodnika, aby pod jego przewództwem obejrzeć, poznać, podziwiać te piękne zabytki, te symbole, te minjaturowe obrazy w kamieniu rzeźbione. To wszystko zrobiły — pieniądze, hojną ręką alumnów i amerykańskich miljonerów sypane. Kosztuje to grube miljony. Ale tych miljonów jeszcze nie zabrakło i zapewne nie zabraknie. Czemu? Powiedziałbym, że to dążność amerykańskiego bogacza za nieśmiertelnością! Dzieci, nieraz miljonowe fortuny w krótkim czasie roztrwonią. Tu zaś, po takim krezusie zostaje wieczna pamiątka. Może skromnie nad drzwiami jakowegoś wejścia umieszczą jego minjaturowy biust z dodatkiem, że to alumn, z klasy roku tego i tego, ten gmach łaskawie ufundował. Tylko to i nic więcej. To powiedziałbym jest taki Legion d'Honneur naszych amerykańskich krezusów. Wszędzie ich znajdziesz zakutych w marmur, granit i cegłę uniwersytetów, bibljotek i szpitali.

Dobrze, że choć tak się społeczeństwu przysłużą i oddadzą po śmierci do użytku społeczeństwa pieniądze, które za życia może w najbezczelniejszy sposób kradli.

Nie mógłbym bezkarnie opuścić miasta, gdybym chociaż na chwileczkę nie wstąpił do Księży Misjonarzy, którzy tu od niepamiętnych czasów pracują na parafji. To ludzie szczerzy, gościnni i szeroko oczytani. Proboszczem jest nasz kochany ks. Michał Gryglak, Słowak, a dzielny Polak, który gorliwie dla



Wodospad w pobliżu jednego z jezior w stanie Nowy Jork.

sprawy pracował podczas plebiscytu na Spiżu i Orawie. Ks. Włodarczyk jego współpracownik, spędził ćwierć wieku na katedrze profesorskiej w starym kraju i tu w Erie; pomaga im jeszcze młody a zacny Ks. Sociński. Nie mogliśmy się wprost nagadać. Ks. Włodarczyk tylko papierosy kurzył, nosa pociągał, patrzył

jak na raroga i co chwila pytał, a jak to, a jak owo, a jak tamto... Nie nagadalibyśmy się i noc całą, a tu trzeba wracać, gdyż ma się ku wieczorowi, a przecież do Norwich jeszcze siedmdziesiąt pięć mil drogi.

Ruszam więc ku domowi. Kończy się czteromiesięczna tura po kraju, w której według miernika samochodowego zrobiłem bez jakiegokolwiek wypadku i najmniejszej nieprzyjemności piętnaście tysięcy mil.

Najkrótsza i najprostsza droga, którą tyle lat się tu włóczę, prowadzi przez Middletown, tak nazwane, gdyż jest niemal w samym środku stanu. Nad rzeką Connecticut rozbudowało się to bardzo miłe, kilkanaście tysięcy mieszkańców liczące miasteczko. Ks. Sołtysek od lat wielu tu pracuje wśród dosyć licznej osady polskiej, grupującej się przy parafji Marji Panny. Poniekąd Middletown jest pokrewne memu Norwich, do którego teraz spieszę, gdyż i tu na wzgórzu znajduje się duży szpital dla — obłąkanych. Pozatem nic ciekawego turysty nie zatrzymuje, dlatego ze spokojnem sumieniem, dobrze mi znanemi, malowniczemi drogami wśród pól, wzgórz, rzeczek sunę ku domowi...

Za godzinę jestem na miejscu! Zajeżdżam znów przed ganek starej, bluszczem porosłej, murowanej plebanji, którą przed czteru miesiącami opuściłem. Mój wieloletni współpracownik, na którego zawsze mogłem liczyć, jak na Zawiszę, Ks. Bolesław Topór, z radością mnie wita po tak długiej nieobecności. Wszystko znajduję w najlepszym porządku. Ogrody, chociaż to już jesień, się zielenią, a kwiaty jesienne są w pełnym rozkwicie. Po tylu trudach, przejściach, wrażeniach, miło każdemu nogi wyciągnąć i powiedzieć — nareszcie jestem w domu. Język angielski ten wyraz poniekąd uszlachetnił nadając mu miano „home", a jedna z naszych najpopularniejszych pieśni to „Home Sweet Home". Dom jej autora w Easthampton na Long Island starannie przechowują jako pamiątkę narodową.

Rozdział XVII.

NOWA ANGLJA.

Powinienem właściwie postawić tu kropkę i zakończyć mą turystyczną bazgraninę. Nie wypada przecież nadużywać cierpliwości czytelnika. Należałoby skrócić jego cierpienia i nieprzespane noce, spędzone na czytaniu o tej podróży samochodowej po Ameryce.

Zaryzykuję jednak wszystko i po krótkim wypoczynku zabieram go jeszcze raz na krótką, ale ciekawą turę samochodową. „Kopniemy" się autem po tej stosunkowo niewielkiej, ale zato bardzo ciekawej a w historyczne zabytki i — dolary bogatej Nowej Anglji.

Tej połaci kraju nie objąłem główną turą, gdyż od kilku lat włóczę się po tych ciekawych, a malowniczych kątach i znam je poniekąd „jak własną, a zawsze próżną kieszeń". Pragnę czytelników bliżej zapoznać przynajmniej z jej niektóremi ciekawemi zabytkami. Czynię to tem chętniej, że pragnę podać opis najważniejszych części kraju, rodzaj „Durch Schnitt'u przez Stany Zjednoczone. Dlatego Nowej Anglji pominąć nie można, gdyż jest jedną z najstarszych części, przytem jakoby głową i siłą rozpędową Stanów Zjednoczonych. Jej pominięcie nie dałoby tej całości, jaką książka turystyczna mieć powinna.

Nowa Anglja w przeciwieństwie do „starej" Anglji, ojczyzny pierwszych osadników, obejmuje sześć stanów, położonych na wschód od Nowego Jorku. Rzeka Hudson i jeziora George i Champlain na północ od niej położone tworzą naturalną jej granicę. Niejeden ze stanów zachodnich, po których podróżowaliśmy przez czas dłuższy, z łatwością mógłby je nakryć i jeszcze zostałoby dużo ziemi. Sześć stanów obejmuje niecałe siedmdziesiąt

tysięcy mil kwadratowych i z tego połowa przypada na Maine, najbardziej na wschód wysunięty.

Nowej Anglji nie można uważać za kraj urodzajny i rolniczy. Zaledwo w dolinach większych rzek rozwinęła się uprawa roli i to stosunkowo na małą skalę. Lasy z wyjątkiem stanu Maine już także dawno padły pod siekierą pioniera i drwala, pozostały tylko nieliczne drzewostany i zarośla, kryjące zielonym kobiercem kamieniste wzgórza. Zato rzeki dostaczają nam obfitej siły wodnej. Mamy tu wiele portów morskich. Jeden Maine posiada ponad dwa tysiące mil wybrzeża morskiego ze spławnemi rzekami i dogodnemi zatokami. Dlatego Nowa Anglja ze wszystkich części Stanów Zjednoczonych jest najbardziej uprzemysłowiona. Dzięki taniej sile wodnej i dogodnym portom koloniści rozwinęli przemysł i handel na bardzo szeroką skalę. Stare rodziny purytańskie porobiły fortuny nietyko na uczciwym handlu, ale wprost na — szmuglu, który stał się jedną z przyczyn walki o niepodległość. Ruszamy więc w podróż do Nowej Anglji.

Norwich, nasza główna kwatera, od blisko trzech wieków „egzystuje“ nad rzeką Tamizą i wschodnich kresach stanu Connecticut. Po niespełna godzinnej podróży wjeżdżamy do Rhode Island najmniejszego ze wszystkich stanów, bo posiada zaledwo tysiąc dwieście mil kwadratowych, ale procentowo należy do najludniejszych i najbogatszych. Ludności według ostatniego spisu ma ponad sześćset tysięcy czyli jakie siedem razy tyle, co Newada, a z Newady możnaby wykroić przeszło pięćdziesiąt takich stanów jak Rhode Island. Ponieważ pierwszym odkrywcom pod dowództwem Jana Verrazano w roku 1524-tym zdawało sie, że to jest wyspa kształtem podobna do greckiej wyspy Rhodos, nazwano więc stan Wyspą Rhodes czyli Rhode Island, chociaż wyspą właściwie nie jest. Trzecią część tego maleństwa tworzy ogromna zatoka — Narragansett Bay. Tu były prastare siedziby Indjan z plemienia Narragansett, z którymi nasz „norwicki“ bohater „Ostatni Mohikanin“ Uncas toczył krwawe boje i ciężkie im zadał klęski.

W Westerly, niby najbardziej zachodnim kącie stanu Rhode Island nic nas ciekawego nie zatrzymuje. Na wzgórzu za miastem jest kopalnia granitu, w samem zaś mieście kilka fabryk, pozatem nic więcej. Jadąc ku morzu wzdłuż rzeczki Poquanook, za miastem tworzącej małą zatokę, za kwadrans stajemy w słynnej plaży

amerykańskiej Watch Hill. Miljonerzy amerykańscy zbudowali na małem wzgórzu kilkadziesiąt wspaniałych rezydencyj i w porze letniej używają tu wywczasów. Zimą wszystko szczelnie zamknięte i opuszczone. Złote ptaki odlatują jesienią do Nicei lub Florydy.

Dalsza droga wiedzie w pobliżu wybrzeża morskiego. Mijamy małe wioski a właściwie letniska o indjańskich nazwach, na których można sobie zęby połamać jak Weekapough, Quonochomtaug i Watchaug. Tabliczka przy drodze oznajmia, że milę



Most w Crown Point na jeziorze Champlain.

w bok jest miejsce rodzinne trzech kontradmirałów floty amerykańskiej. Wpadniemy zwiedzić domek i małą farmę kommodora Perryego, bohatera bitwy na jeziorze Erie. Jego brat czy syn, w każdym razie jakiś bliski potomek dotarł aż do Japonji i zawarł traktat handlowy z naszymi teraźniejszymi rywalami, o trzecim admirale z tej rodziny bliższych szczegółów nie znam, a zarządczyni mieszkania także mi ich udzielić nie mogła. Schludny drewniany domek pokryty gontami o łamanym dachu, zawiera dużo ciekawych pamiątek i antyków. Stary glob, mapy i karty oceanów, kilka strzelb, łóżka i sprzęty domowe, szczególnie jadalnia dla kolektorów starożytności i antyków przedstawiają

wielką wartość. Wszystko skrupulatnie zachowano w tym stanie, w jakim było za czasów słynnych właścicieli. Nawiasem mówiąc, w Polsce teraz także zakładają muzea i zaczynają otaczać zabytki historyczną opieką to, co uważano za rzecz chwalebną.

Kilka mil dalej na wschód mijam pomnik ku czci generała Staunton. Chociaż to wielkość historyczna, ale nie wiedzą — „gdzie go pochowano“ więc też w dogodnem miejscu, przy drodze, wystawiono mu pomnik.

Okolica jest kamienista i nieurodzajna. Na milę od głównej drogi wzdłuż brzegu oceanu ciągną się rzędem liczne domki i letniska. Czasem napotykasz bogatsze mieszkanie jakiegoś kupca, który zdala od „sosajdy“ zażywa wywczasów. Pozatem nic ciekawego nie zwraca uwagi turysty.

Za miasteczkiem Wakefield zbliżamy się nad brzeg zatoki Narragansett do drugiego słynnego letniska. Mały cypel zwany Point Judith jest zaludniony w sezonie letnim przez bogaczy. Niektóre pałace przedstawiają wartość setek tysięcy dolarów. Ale za wysokie to progi na nasze nogi, w dodatku wolę być synem uczciwego biedaka, niż jakiegoś zwarjowanego i zdegenerowanego miljonera. We wielu wypadkach olbrzymie fortuny, szczególnie nouveaux richów zamiast pomagać — szkodzą swym panom, przedewszystkiem ich dzieciom.

W roku 1675-ym wybuchła zacięta walka między plemionami Indjan a coraz to liczniej przybywającymi osadnikami. Od wodza Indjan walka przybrała miano — Wojna Króla Filipa. Po całej Nowej Anglji czerwonoskórzy napadali osady białych mieszkańców, mordowali, a dobytek niszczyli. W sąsiedniem miasteczku Kingston, Indjanie mieli swą siedzibę. Otoczyli wioskę ostrokołem, zbudowali w ogrodzeniu kilkaset szałasów, a ponieważ okolica była bagnista, więc też nie przypuszczali, aby ich osadnicy mogli z tej twierdzy wypłoszyć.

Dziewiętnastego grudnia 1675-go roku kapitan Benjamin Church zebrał silny oddział osadników, zbrojnych w karabiny, a zabezpieczonych w stalowe pancerze przed strzałami dzikich. Napadł wioskę, a dostawszy się przemocą do wnętrza osady, podpalił szałasy. Za kilka chwil wioska stanęła w płomieniach. Bez pardonu mordowano wszystkich. Z ludnej osady zostały tylko zgliszcza i trupy. Niemal że do nogi wycięto obrońców, a kobiety i dzieci zginęły w płomieniach. Tak zniszczono szczep

Indjan, których nazwę nosi piękna zatoka ciągnąca się aż do Providence. Król Filip zginął później z ręki przekupionego Indjanina. Tak się odwdzięczyli Indjanom setlerzy za to, że w pierwszych początkach dostarczali kukurydzy na mąkę i uczyli, jak ją sadzić. Indjanie coprawda nie znali się na nowoczesnej uprawie roli, jednakże przy każdym krzaku kukurydzy kładli rybę jako nawóz.

Jedziemy wzdłuż pięknej zatoki usianej wyspami, na których rząd zbudował liczne forty dla obrony przed najazdem nieprzyjaciela. Zmieniły się warunki, więc i forty jeden po drugim tracą na wartości i chylą się ku upadkowi. Jednakowoż głęboka zatoka i liczne wyspy stanowią ważną bazę dla floty, szczególnie lekkich kontrtorpedowców i submaryn. Tu znajdują się prochownie i magazyny dla torped i innych wojennych materjałów używanych do „robienia porządku“ u nieprzyjaciół.

Po obu brzegach zatoki i na wyspach powstały małe miasteczka, wioski, farmy, a czasem na wzgórzu wśród zieleni drzew strzela ku niebu wieżyczka wiejskiego drewnianego kościółka. Na końcu uroczej zatoki rozbudowało sie miasto stołeczne — Providence, co po naszemu oznacza — Opatrzność. Mijamy znów cały szereg miasteczek w dolinie rzeki Pautuxet. Tu się rozwinął przemysł płócienny. We fabrykach pracuje dużo Kanadyjczyków — Francuzów, a także w Quidnick jest osada polska, w której od tat wielu energicznie pracuje tęgi Polus, ks. B. Rosiak. W Anthony, tuż obok Quidnick, jako pamiątkę narodową zachowują dom generała Greena, jednego z naszych najlepszych wodzów w walce o niepodległość. Generał był osobistym przyjacielem generała Tadeusza Kościuszki.

Wjeżdżając do Providence, po prawej stronie drogi mijam bardzo piękny park, zdobny w klomby kwiatów, rzeczki, stawy, zwierzyńce i piękne statuy, wśród których znajduje się także pomnik założyciela miasta, Roger Williams'a. Park nosi jego miano.

Pierwsi osadnicy pod przewodnictwem Rogera Williams'a przybyli w te okolice w roku 1636-tym. Byli to właściwie wygnańcy z Massachusetts, gdyż Williams, jako protestancki a może purytański pryczer, był zbyt wolnomyślny w swych poglądach. Między innemi dogmatami głosił taką „straszną naukę“ wprost nie do uwierzenia, że koloniści nie powinni krzywdzić Indjan i rzetelnie płacić za ziemię i posiadłości, które im zabierają prze-

mocą, wprost gwałtem. Jak można było coś podobnego gadać gorliwym, religijnym bigotom purytańskim? Więc też kazali mu się ze Salem wynosić, a z nim poszła gromada jego zwolenników i założyła nową osadę, a obecną stolicę stanu. Będąc wiernym swej nauce, Williams zapłacił Indjanom za ziemię, na której się rozbudowało wielkie przemysłowe miasto. Wódz Indjan Massasoit, którego statuę widzieliśmy w kapitolu w Utah i powtórnie



Jones Beach — plaża. Nowy Jork.

zobaczymy w Plymouth, sprzyjał osadnikom i podczas ostrej zimy otaczał troskliwą opieką wygnańca i jego towarzyszy.

W Providence i okolicy zamieszkuje spora gromadka Polaków, grupujących się w kilku parafjach i z tych dwie są w samem Providence, a jedna i to największa w Central Falls, gdzie od wielu lat duszpasterzem jest nasz kolega szkolny ks. „Wawrzek“ Małecki.

Miasto oczywiście jest portem morskim, do którego zawi-

jają okręty z rozmaitych stron świata. Dzięki temu — już w swem zaraniu prowadziło handel z Ameryką Południową, a nawet z dalekiemi Indjami i Chinami. Chociaż Rhode Island jest najmniejszym stanem, jednak co do zaludnienia — najgęstszym. Stare purytańskie rodziny dorobiły się majątku zapomocą szmuglu, który tu przed rewolucją na wielką skalę prowadzono. Niewolnictwo, a właściwie skupowanie i transportowanie niewolników z Afryki do Ameryki także wypełniło kabzy tutejszych właścicieli okrętów. Ale o tem się teraz głośno nie mówi, bo to jakoś nie wypada tak się wyrażać o naszych stuprocentowych Amerykanach i czystej krwi Nordykach. Nie będziemy tych historycznych szkieletów wywłóczyli, ale niejeden amerykański arystokrata ma dosyć zaszarganą przeszłość. Prawdę powiedziawszy, nigdy się Jankusami nie zachwycałem.

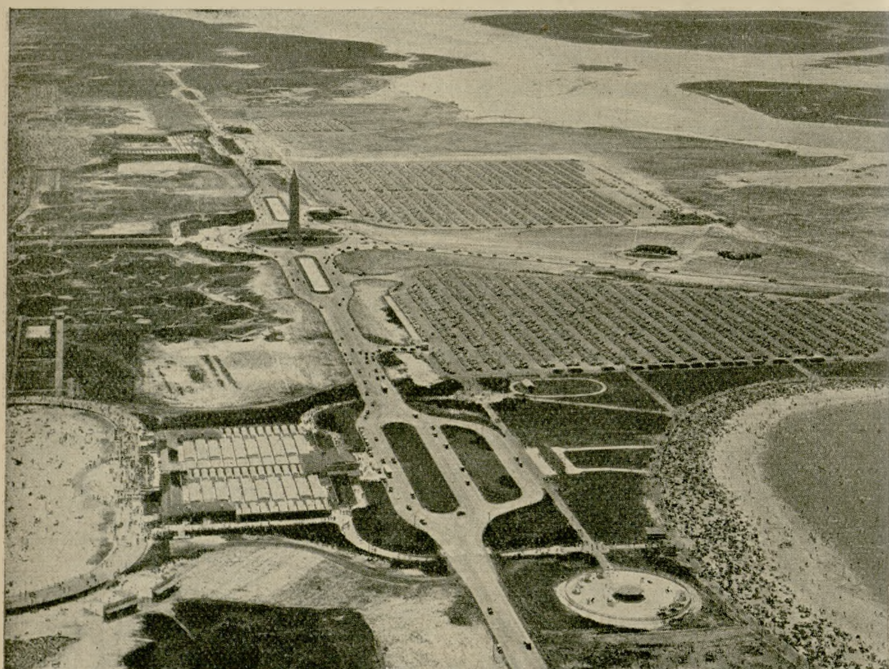
Przeprawimy się nowym, szerokim mostem przez zatokę i pojedziemy elegancką betonową drogą Nr. 6, wzdłuż brzegu zatoki Narragansett do miasta Fall River, przy ujściu rzeki Taunton, która w tem miejscu wpada do zatoki Narragansett. Nad wodą ciągną się ogromne kadłuby fabryk tkackich i rafinerje nafty. Chociaż to miasto stare, nic tu ciekawego nas nie zatrzymuje. Zamieszkuje tu od lat wielu dosyć liczna kolonja polska, grupująca się przy kilku parafjach. Ludzie w ostatnich latach dosyć się nabiedowali, gdyż bezrobocie i ciągłe strejki dały im się porządnie we znaki.

Warto na chwilę zboczyć do słynnej, przytem historycznej plaży morskiej w Newport. Stare miasteczko jest niemal vis à vis od Narragansett. Newport jest na wschodnim, a Narragansett na zachodnim brzegu zatoki, tuż przy oceanie. Po Providence — Newport jest najstarszą osadą w Rhode Island, a nawet przez pewien czas było jego stolicą. Chociaż Rhode Island jest najmniejszym stanem, miało aż dwie stolice: jedną w Providence, a drugą w Newport.

Podczas walki o niepoległość Newport było ważnym punktem dla floty angielskiej, a następnie francuskiej. Już wtenczas miejscowa elita bawiła się doskonale, podejmując dostojnych gości. Flota francuska miała w Newport główną kwaterę. Na powitanie wojsk francuskich przybył Waszyngton i tu odbywały się narady, zabawy, pijatyki i rozmaite uroczystości, nie wyłączając wspaniałego pogrzebu jednego z francuskich komendantów.

Kościuszko także przebywał tu przez pewien czas, ale bliższych wiadomości o jego pracy i życiu nie posiadam. Niektórzy twierdzą, że na kilkaset lat przed odkryciem Ameryki przez Kolumba już do Newport przybyli żeglarze skandynawscy, a nawet stara okrągła wieża czy magazyn ma być po nich zabytkiem.

Rząd amerykański w Newport ma fabrykę torped używanych na nurach do topienia nieprzyjacielskich okrętów. Mówiono mi, że nowoczesna torpeda jest przyrządem bardzo precyzyjnym i kosztuje około dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. W małym



Jones Beach — plaża morska. Nowy Jork.

porcie stare torpedy przerobiono na lampy do oświetlania ulic. Bardzo to luksusowa lampa. Na wyspach, w podziemnych magazynach złożono zapasy prochu i materjałów wybuchowych. To widać jest jeden z punktów „aprowizacyjnych“ dla floty.

Tuż za miastem na samym cyplu małego przylądka rozłożyli się obozem nowojorscy i bostońscy krezusi. Wszędzie na-

potykasz bogate wille i wspaniałe pałace otoczone murem, z bogatemi bramami i wjazdami. Latem zjeżdża tu amerykańska elita i europejska arystokracja. Co tu za bankiety, uczty, festyny, szczególnie gdy w porcie zatrzymują się okręty wojenne i jachty miljonerów, to nawet opisać trudno. W Newport nieraz jakimś dziwnym sposobem łączy się obdarta arystokracja europejska z bogato pozłacanemi amerykankami. Takie małżeństwa zwykle obfitują w rozwody i skandale, a rzadko w dzieci i szczęśliwe pożycie.

Trzeba wracać do Fall River. Na rzece Sakannet zbudowano piękny most, na którym jeszcze pobierają haracz za przejazd.

Na południe od Fall River jest stare historyczne miasto New Bedford. Sto i więcej lat wstecz w niem się koncentrował handel rybami szczególnie — wielorybami. Dlatego New Bedford nazywają „Whaling City“ — miasto wielorybie. Warto zwiedzić tu ciekawe muzeum, połączone z tym już dziś zarzuconym przemysłem. Znajdziesz w niem minjaturowe reprodukcje okrętów, używanych do połowu wielorybów, „harpuny“ rodzaj dzidy, którą im pakowano do grzbietu. Z początku trzeba to było robić ręką z małej łodzi, co się nieraz kończyło fatalnie dla rybaków, teraz mają do tego specjalne armatki i już na większą odległość mogą niebacznemu wielorybowi wpakować śmiercionośny oszczep z uczepioną doń liną. Złowione wieloryby zaraz na miejscu ćwiartowano i wytapiano z nich olej używany do oświetlania. Nafta i nowoczesne lampy nie były wtenczas znane, a o elektryczności nawet się nie śniło.

Jeden z tutejszych bogaczy, pułkownik Green, posiada ogromny park nad zatoką, a w nim umieszczono okręt używany do połowu wielorybów. Ciekawe opowiadają historje o matce tego bogacza. Jej marzeniem było, aby syn był najbogatszym człowiekiem w Ameryce. Żyła w biedzie, skąpa do niemożliwości, ubierała się, jak ostatnia dziadówka. Gdy przyjeżdżała do Nowego Jorku na obrady dyrektorów banków, kolei i kopalń, w których była finansowo zaangażowana, ubierała się dostatnio, chociaż skromnie. Po załatwieniu spraw finansowych owa słynna Hattie Green zdejmowała jedwabne suknie, wdziewała łachmany, kupowała w biednym sklepiku śledzia i chleba i to stanowiło jej pożywienie. Zostawiła biedaczka swym dzieciom jakieś marne paręset miljonów. Syn jednak nie jest takim dziwakiem i dużo działa

dla upiększenia miasta i zajmuje się zbiorami starych zabytków, mających związek z handlem morskim. Zdaje się, że początek ich fortuny dały okręty rybackie.

W New Bedford jest także liczna osada polska zgrupowana przy dwóch niewielkich parafjach. New Bedford leży nad dużą zatoką morską Buzzards Bay, oddzielony od zatoki Cape Cod — przylądek sztokfiszów, dużym piaszczystym cyplem, który niby zgięty palec zapuszcza się kilkadziesiąt mil w ocean. Nad brzegiem zatoki Cape Cod powstały pierwsze osady purytanów i angielskich kolonistów.

Droga prowadzi wzdłuż zatoki Buzzards Bay i licznych małych przystani i wiosek, w których się rozchodzi nieprzyjemna woń ślimaków i ryb. Zapomocą kanału połączono dwie zatoki Buzzards Bay i Cape Cod Bay, a tem samem mniejszym okrętom skrócono bardzo kosztowną, a nieraz niebezpieczną drogę naokoło tego ciekawego przylądka.

Jedziemy wzdłuż kanału przez Sagamore, Ellisville, Manomet do Plymouth, kolebki amerykańskiego purytanizmu.

Purytanie, którzy przybyli tu w roku 1620-tym nie są odkrywcami tej połaci kraju, ale raczej pierwszymi osadnikami. Już dziesiątki lat przedtem żeglarze angielscy, hiszpańscy, przedewszystkiem francuscy pod wodzą Champlaina i innych tu się wałęsali. Zaglądali do każdej zatoki i spławnej rzeki, szukając krótkiej a wygodnej drogi wodnej do — Chin. Prowadzili handel drogą wymiany z tubylcami. Zwykle za drogocenne futra i żywność dawali im świecidełka i paciorki, z czego Indjanie byli ogromnie zadowoleni.

Nie będę szczegółowo opisywał sekt purytańskich, mających początek w okresie reformacji w Anglji. Wydalono ich z Anglji i przez pewien czas znaleźli przytułek w Leydon w Holandji. Stamtąd załadowali swój dobytek na okręt i wyruszyli do Ameryki szukać szczęścia i religijnej swobody.

Słynny okręt „May Flower“ po uciążliwej podróży przez ocean zawinął do portu, w którym powstało z czasem miasto Plymouth d. 21-go grudnia 1750 roku. Według notatek jednego z pionierów — na okręcie znajdowało się kilkadziesiąt rodzin, zaledwo sto kilkanaście osób. Mamy w Ameryce tylu potomków tych kilkunastu pionierów, z których połowa z głodu i chorób pierwszej zimy wyginęła, że należałoby przypuszczać, iż okręcik

„May Flower“ był tak potężnym kolosem morskim, iż polski okręt jak „Polonja“ nadawałyby się tylko na łodzie ratunkowe. A może to byli ludzie bardzo płodni, gdyż każdy amerykański „blue blood“ wywodzi swój ród od tych pierwszych osadników.

Ciężkie przechodzili koleje. Okręt był ich mieszkaniem, lazaretem i kościołem. Budowali w porze zimowej domy, z których niejedne się dotąd w całości przechowały. Nocą chowano umarłych, aby się przypadkowo Indjanie nie dowiedzieli, jakie



Grobowiec rzeźbiarza St. Gandrus — Nowa Anglja.

spustoszenie zaraza poczyniła w ich szczupłych szeregach. Na wiosnę groby zrównano, a na nich posadzono kukurydzę. Indjanie nauczyli ich, jak sadzić i uprawiać ten najważniejszy amerykański ziemiopłód. Okręt znów odpłynął po nowy transport emigrantów i potrzebne zapasy żywności i towarów.

Wkrótce rozpoczęto do Europy wysyłkę drzewa, futer i innych produktów nabywanych przeważnie drogą wymiany od Indjan.

Tuż nad brzegiem wody jest duży okrągły kamień wypolitur owany przez bałwany morskie. To nasz słynny „Plymouth Rock". Zbudowano nad nim rodzaj pawiloniku a na samym kamieniu wyryto datę 1620. Według tradycji, w tem miejscu dobiła do brzegu łódź z pierwszymi osadnikami i na tym kamieniu lądowali wśród burzy. Miasto urządziło w tem historycznem miejscu mały park i w nim umieszczono pomniki i tablice pamiątkowe. Na granitowym postumencie, z twarzą zwróconą ku morzu, z fajką pokoju, jako symbolem przyjaźni, stoi artystyczna, bronzowa statua wodza Indjan Massasbita, który z kolonistami zawarł przymierze i w biedzie im dopomagał. Nieco wyżej granitowy sarkofag z długim spisem nazwisk, przypomina pionierów, którzy zaraz pierwszej zimy legli w zapomnianych grobach, Opodal piękna fontanna przedstawia niewiastę w stroju purytańskim, jako symbol tych kobiet, które w znoju i trudzie w dzikich kniejach zakładały ogiska domowe.

Przybyłem tu nad wieczorem... Zachodzące słońce różanym blaskiem zarumieniło spokojne fale zatoki. Usiadłem na ławeczce i wśród wieczornej, niczem niezmąconej ciszy, puściłem wodze wyobraźni... Widzę tych pionierów, prześladowanych w ojczyźnie za religijne poglądy, szukających wolności hen za oceanem... Widzę ich trudy, ich nędzę, ich surowe zwyczaje, ich bigotyzm religijny, a zarazem niezłomną siłę woli, z jaką borykają się z losem... To rozczyn, to drożdże rzucone na nowy kontynent, które miały przeistoczyć, zamienić i pchnąć na inne tory wielki naród... Zgórą trzysta lat minęło od chwili, gdy ci pionierzy w tem miejscu wylądowali. Co za olbrzymie, wprost nie do pojęcia zmiany zaszły na tym nowym, dzikim, a dla nich tak surowym kontynencie?... Ale gdy się człowiek głębiej nad tem zastanowi, czy jest coś wartościowego w życiu ludzkiem, czy to u jednostki, czy u społeczeństwa, czy też w narodzie, za co się nie płaci trudem, mozołem, znojem, łzami i krwią?!...

Miasto Quincy (wymawia się — kłynsy) leży na głównej drodze między Plymouth a Bostonem. Za czasów walki o niepodległość było małą wioską, a nazwę przejęło od zamożnej rodziny Quincych. W dzień bitwy między zrewoltowanymi rolnikami, a wojskami angielskiemi na przedmieściach Bostonu —

Bunker Hill, wśród wielu innych widzów na małem wzgórzu, stała młoda kobieta, nazwiskiem Abigail Adams. Jedną ręką trzymała młodego chłopczyka „Dziana Quincy Adams“ a drugą przysłoniła oczy i z natężeniem wpatrywała się w kłęby dymu i słyszała huk armat w pierwszej walnej bitwie o niepodległość. Jej mąż Jan Adams był jednym z przewódców, którzy porwali kolonistów do orężnej walki. Nie przypuszczała wtenczas, że mąż i syn, którego za rękę trzymała, będą prezydentami nowej rzeczypospolitej... Turystom pokazują jako jedną z głównych atrakcyj miasta skromne domy mieszkalne dwóch prezydentów — ojca i syna.

Boston jest najstarsze, najciekawsze a zarazem największe miasto w Nowej Anglji, posiada blisko ośmset tysięcy mieszkańców. Gdy się jeszcze doda liczne przedmieścia załączane do „Greater Boston“, czyli większego Bostonu, wtenczas ludność przekracza miljon. Ale cyfry same w sobie jeszcze niewiele znaczą.

Jeden ze słynnych literatów bostońskich, gdyż tu od wieków grupują się amerykańskie siły literackie, powiedział, że wzgórze kapitolu, „jest osią, naokoło której obraca się cały system planetarny“. Ale to już przesada, która nam bynajmniej nie zaimponuje. Warto jednak spędzić kilka chwil w tem ciekawem środowisku kultury i literatury.

Wjeżdża się do niego bardzo ciekawą wstęgą bulwarów urozmaiconych stawami, rzeczkami, ścieżkami dla jazdy konnej, plażami do zabaw, z których ludność chętnie korzysta. Ten ciekawy, a bardzo piękny rozwój parków nazywa się Fenway. Oczywiście wśród drzew przy bulwarach widać wspaniałe rezydencje bostońskich bogaczy.

Linja bulwarów prowadzi turystę mimo bardzo ciekawego parku, a może należałoby powiedzieć — muzeum przyrodniczego. Jest nim słynne na cały świat — Arboretrum. W tem ogrodzeniu, starannie przez miasto utrzymywanem, znajdują się najciekawsze okazy drzew i roślin sprowadzone z całego świata. Każde drzewo jest skatalogowane i zaopatrzone w małą tabliczką, podającą jego nazwę i kraj, z którego pochodzi.

Miasto możnaby podzielić na dwie części, nowożytną i starożytną, stanowiącą jakoby jego centrum. W części nowszej poza pięknemi rezydencjami i bogatemi zakładami naukowemi, ochron-

kami, szpitalami nic nas zbytnio nie interesuje. To samo znajdziecie na mniejszą lub większą skalę w każdem amerykańskiem mieście.

Ciekawa zato jest okolica w samem centrum, grupująca się przy czterdziesto-kilku akrowym placu zwanym — Boston Common. Wszystkie stare miasta a nawet stare wioski amerykańskie przyjęły zwyczaj angielski, że w samem centrum zakładano rodzaj parku, w którym się ludzie zbierali na zabawy i uroczystości. Taki plac nazywano „common“ czyli miejsce — wspólne. Otóż „Boston Common“ jak nowojorski Central Park jest takiem środowiskiem historycznem. Pełno tu pomników, ścieżek, ławeczek, gołębi, wiewiórek bezczelnie zaglądających każdemu do kieszeni, czy tam przypadkowo niema dla nich orzechów.

Na małem wzgórzu — Beacon Hill — wznosi się bogaty kapitol o harmonijnych linjach, z pozłacaną kopułą. Wzgórze nosi nazwę „Beacon Hill“ gdyż w początkach na tem najwyższem wzgórzu umieszczono latarnię, a właściwie kosz żelazny, w którym rozpalono ogień jako drogowskaz dla zbliżających się okrętów. Był to właściwie rodzaj lampy morskiej. Wokoło tego niewielkiego wzgórza i kapitolu, dzieła jednego z pierwszych a słynnych amerykańskich architektów — Bullfincha, grupuje się tradycja i śmietanka Bostonu. Tylko elita i stara arystokracja tu się zagnieździła, zachowując stare zwyczaje i tradycje. Każdy dom ma swą historję, każdy miał za swego mieszkańca albo poetę albo historyka lub uczonego.

Naprzeciw głównego wejścia jest duży pomnik znanego amerykańskiego mistrza, którego pracownię zwiedzimy — Saint Gaudensa, przedstawiający pułk murzynów z wojny domowej. Dowódca pułkownik Shaw był tutejszym obywatelem i zginął na polu chwały. Wzniosły i rzewny był moment, gdy podczas odsłonięcia pomnika defilowali murzyni przed swym dowódcą — starzy weterani, których wodza ów pomnik upamiętnia.

W ogrodzeniu kapitolu jest kilka pomników „bohaterów“ z wojny domowej, którym południowcy porządnie skórę przetrzepali. Piękny jest bronz w samym kapitolu, przedstawiający sanitarjuszkę na polu bitwy opatrującą rannego żołnierza. W oszklonych szafach poustawiano sztandary pułków, biorących udział w wojnach amerykańskich od rewolucji aż do wojny światowej.

Na ścianach widnieją portrety gubernatorów, a między niemi poczesne miejsce zajmuje — ryba — sztokfisz czyli „cod“. Przylądek i zatoka poprzednio wspomniana nosi miano tej ryby, gdyż było i jest ich tu poddostatkiem. Zdaje się, że nawet według starego prawa, podatki płacono towarem, a w niektórych wypadkach rybami. Dlatego na ścianie wśród portretów gubernatorów jest także duży okaz ryby — sztokfisza. Niedawno całe miasto do żywego było wzburzone tem, że jakiś świętokradca „ściągnął“ ten tradycyjny symbol. Gazety i policja szukała za tą wypchaną rybą niby za skarbem. Znaleziono ją i z triumfem zaniesiono na dawne miejsce. „The sacred cod“ jest teraz pod troskliwą opieką zarządu kapitolu.

W pobliżu kapitolu grupują się niektóre stare historyczne budynki jak South Church, Fan eil Hall, w której rewolucjoniści wygadywali na rząd angielski i podjudzali do walki, szczególnie do niepłacenia podatków. Uczony amerykański Jehn H. Preston w swej niezwykłej historji obrazującej walkę o niepodległość p. t. „Revolution 1776“ twierdzi, że instygatorami wojny byli zwykli szmuglerzy tego typu, co John Hancock i Charles Adams, których Anglicy chcieli powiesić za ich sprawki. Więc powiada Persont „szmuglerzy“ posiadający własne okręty, zapomocą wódki podjudzali motłoch do walki. Nasza wojna o niepodległość miała swój początek dzięki „butelce wódki“, której nawiasem mówiąc podczas ośmioletnich zmagań wypito bardzo dużo.

Na przedmieściu starego Bostonu, przy zatoce rzeki Charles, wznoszą się dwa niewielkie wzgórza, zwane Bunker i Breeds Hill. W nocy d. 16-go czerwca 1775-go roku wojowniczy farmerzy „embattled farmers“ obwarowali wzgórze Breeds Hill, zaciągnęli tam trochę armat, wykopali rowy, a wały pokryli pękami siana. Anglicy mając do dyspozycji flotę, mogli obejść pozycję i zabrać farmerską milicję do niewoli bez żadnych strat. Generał Gage postanowił jednak frontowym atakiem pozycję zdobyć, rewolucjonistów stamtąd wykurzyć i moresu nauczyć!

Nasamprzód wygarnął do rewolucjonistów z bateryj okrętowych, ale to się okazało bezskuteczne. Więc też zadecydował szturmem zająć pozycję, a tych „przeklętych farmerów“ nauczyć rozumu. Ludność miasta słysząc huk armat, czemprędzej zabrała ze sobą przekąski, wyległa nad brzeg zatoki, obsiadła wszystkie dachy i z ciekawością patrzała na przygotowania do bitwy.

U stóp wzgórza pod osłoną okrętów wojennych, generał Gage rozwinął swe pułki czerwone jak raki. Wojska angielskie nosiły czerwone mundury i dlatego koloniści nazywali ich „lobsters“ — chomary). Długiemi szeregami, ramię przy ramieniu ruszyli do ataku. Ładnie to wyglądało — przez widzów przeszedł dreszcz zachwytu... Powstańcy bezpiecznie „zadekowani“ wałami i rowami, bacznie śledzili przygotowania angielskie. „Nie padł ani strzał“, bo szkoda było prochu. Jeden z generałów, stary Putnam, wydał rozkaz, aby nie strzelać, aż zobaczą białka oczu nieprzyjacielskich, a wtenczas „walić w brzuchy”.

Anglicy szli do ataku zwartą kolumną a gdy już doszli na jakie piętnaście kroków od mety, nad szańcami powstańców ukazała się cieniutka linja ognia, przed którą niby snopy zboża gęsto padały czerwone mundury angielskie. Pod tak morderczym ogniem pułki angielskie cofnęły się w popłochu poto tylko, aby na nowo szczęścia próbować. Drugi atak tak samo się rozbił pod gradem kul, posiekanych gwoździ, starych podków a nawet drobnych kamyków. Strzelano czem kto miał, byle tylko — w brzuchy. Ponieważ to byli ludzie przyzwyczajeni do polowania, więc też rzadko który spudłował. Najlepsi strzelcy usadowieni na drzewach lub za szańcami „pucowali“ oficerów, dla pospiechu inni ładowali karabiny a ci tylko strzelali. Jeden z takich strzelców zdmuchnął dwudziestu oficerów, zanim sam padł przeszyty kulami. Trzeci atak się udał, gdyż powstańcom zabrakło amunicji. Anglicy zajęli wzgórze. Straty angielskie wynosiły 226 zabitych a 828 rannych, straty rewolucjonistów były daleko mniejsze, gdyż 145 zabitych a 300 rannych. Chociaż ustąpili z pola bitwy dla braku zapasów, ale z tem przekonaniem, że mogą śmiało stanąć do walki z wyćwiczonym żołnierzem angielskim.

Na miejscu pierwszej bitwy i zwycięstwa wojsk kontynentalnych zbudowano granitowy pomnik 220 stóp wysoki. Kamień węgielny położył generał Lafayette w roku 1825-tym. Pomnik jest w kształcie ogromnego obelisku, przeszło trzydzieści stóp kwadratowych przy ziemi, a piętnaście u szczytu. Na piętrze jest małe muzeum, z którego prowadzą schody na sam szczyt. Nagrodą mozolnego wdrapywania się po krętych, żelaznych schodach jest wspaniały widok na miasto i przystań.

Będąc w Bostonie, prócz starej dzielnicy pełnej krętych,

wąskich a historycznych zaułków, przypominających krakowską dzielnicę koło Bramy Floryańskiej, warto także zwiedzić bogate muzeum sztuk pięknych. Ci co się interesują staremi zabytkami z ery kolonistów, znajdą tu prócz drogocennych arcydzieł sztuki, także pokoje kompletnie umeblowane według fasonu pierwszych osadników.

Najsłynniejsze muzeum takich zabytków uklasyfikowanych pod tytułem „Early American“ jest w Dearborn, w posiadłości słynnego fabrykanta automobilów — Henryka Forda. Ten od wielu lat skrupulatnie zbiera stare graty i poprostu odbudował całą wioskę, a więc: masz protestancki kościółek, aptekę, kuźnię, domy, szkoły, jednem słowem — żyjesz w otoczeniu amerykańskich starożytności. Powstała między Amerykanami manja zbierania tych starożytności czyli antyków. Nieraz stara szafa lub połamane krzesło kosztuje dziesięć razy więcej, niż pierwszorzędny garnitur do jadalni lub salonu.

W Bostonie Morse przesłał pierwszą depeszę telegraficzną; tu zdaje się po raz pierwszy zastosowano eter do znieczulenia pacjentów podczas operącji, a także tu powstała bardzo popularna religja — Christian Science. Założycielką była kobieta nazwiskiem Mary Baker Eddy. Jedną z zasad tej religji jest leczenie chorób siłą woli. W bardzo krótkim czasie zyskała sobie ogromną liczbę wyznawców, a kościoły nowej sekty wyrastały po całym kraju niby przysłowiowe — grzyby po deszczu. W samym Bostonie jest ogromna świątynia, a przy niej biura administracyjne, a co najważniejsza pierwszorzędnie urządzona drukarnia. Tu drukują dziennik „Christian Science Monitor“ i bardzo dużo literatury religijnej rozrzucanej po całym kraju. Warto się nad tym dziwnym fenomenem religijnym głębiej zastanowić. Kościół katolicki, mimo imponującego szeregu gorliwych i uczonych arcypasterzy, księży i zakonów stanął w Ameryce na punkcie martwym, a religja założona przez kobietę w tym samym czasie zyskała sobie miljony wyznawców...

Jednym z kilku wspaniałych mostów rzuconych, przez rzekę Charles wraz z tysiącami innych aut przeprawimy się na drugi brzeg rzeki do miasta Cambridge. Wzdłuż brzegu prowadzi piękny trawnikami i drzewami przyozdobiony bulwar, z którego turysta ma wspaniały widok na Boston, a właściwie na jego „Back Bay“, dzielnicę zamożnych obywaleli i na wzgórze kapitolu.

Jadąc wgórę rzeki mijam liczne zabudowania najstarszej instytucji naukowej w Ameryce — Uniwersytetu Harvard. Chociaż zabudowania uniwersyteckie są rozrzucone po całem mieście, jednakowoż od kilkudziesięciu lat nowe gmachy w stylu kolonjalnym grupują się w pobliżu rzeki. Nad samym brzegiem zbudowano piękny klub wioślarski. Widać tu pełno łódek i kajaków, w których się ćwiczą młodzi atleci, aby stanąć do kontestu ze swymi rywalami uniwersytetu z Yale. Jak to na wstępie wspomniałem,



Uniwersytet Harvard w Bostonie.

kontesty między klubami dwóch najsłynniejszych amerykańskich uniwersytetów, Yale i Harvard, odbywają się na rzece Tamizie w New London.

W roku 1636-tym zarząd kolonji Massachusetts postanowił założyć szkołę lub kolegjum, aby w niem się kształciła młodzież angielska i indjańska. Na ten cel wyasygnowano sumę czterystu funtów szterlingów. Młody protestancki minister, nazwiskiem John Harvard, w testamencie zapisał zakładowi 750 funtów szterlingów, oraz swą bibljotekę z 300 tomów. Grób tego dobrodzieja zaginął, ale zakład odziedziczył jego nazwę i stał się dla niego pomnikiem trwalszym od spiżu.

Jadąc wzdłuż rzeki, mijamy szare o surowych klasycznych linjach zabudowania politechniki, uważanej za jedną z najlepszych w Ameryce. Na gzymsach gmachu wyryto nazwiska najsłynniejszych uczonych świata, wśród których widnieje także nazwisko naszego polskiego astronoma, Kopernika.

Cambridge z początku nazywało się Newtown czyli „nowe miasto" w przeciwieństwie do Bostonu, który jest o kilkanaście lat starszy. Waszyngton objął tu komendę nad obdartą, kłótliwą i pijaną zgrają farmerów, a zwycięzców w bitwie na wzgórzu Breeds Hill. Jeszcze doniedawna stał tu stary historyczny wiąz, pod którym Waszyngton objął dowództwo nad armją kontynentalną.

W Bostonie, w Cambridge, Chelsea, Brockton, Hyde Park i innych przedmieściach zamieszkuje spora gromada Polaków. W Bostonie od lat wielu, p. Chmieliński wydaje poczytny dziennik „Kuryer Bostoński, a jego brat ks. Chmieliński jest proboszczem na parafji polskiej i senjorem kleru polskiego w okolicy. W Cambridge od lat wielu proboszczuje dzielny Ks. Żmijewski, który wraz z Kuropatkinem w Mandżurji uciekał przed Japończykami. Dużo ciekawych historyjek mógłby nam przytoczyć, tylko się obawiam, że cenzura nie przepuściłaby ich. Chcieli mu nawet Moskale dać order za szybkie uciekanie, ale się jakoś wstydził przyjąć tej ciemnej odznaki.

Warto choć na chwilkę wpaść do sąsiednich miast: Lexington i Concord. Przy drodze ustawiono małe, bronzowe tabliczki notujące ważne historyczne wypadki, jakie tu zaszły w początkach walki o niepodległość. Tą drogą „wśród nocnej ciszy" pędził bogaty złotnik bostoński, Paweł Revere, aby ostrzec mieszkańców przed nadejściem ekspedycji angielskiej pod wodzą majora Pitcairn. Uderzono w dzwony na alarm. Mieszkańcy wioski i okoliczni farmerzy zebrali się na rynku, a każdy przyszedł uzbrojony w karabin lub jakąś staromodną „spluwę". A ponieważ 18-go kwietnia 1775-go roku było zimno, więc też wszyscy wstąpili do knajpy „tavern" aby się „rozgrzać". Tak się rozgrzewali, gadali i politykowali, aż gruchnęła wieść, że wojska angielskie zbliżają się ku miastu.

Ekspedycja wojskowa chciała pochwycić dwu „buntowszczyków" Jana Hancock i Samuela Adams, którzy jednak zwiali. Przy tej sposobności miano także niszczyć zapasy żywności

i amunicji nagromadzone w sąsiedniem miasteczku Concord. Wypadało iść przez Lexington. Na rynku, o rannej godzinie, zastali Anglicy już dosyć podochoconą gromadę zbrojnych farmerów. Major Pitcairn, jak każdy uczciwy żołnierz, bardzo „grzecznie poprosił“ rebeljantów, aby się rozeszli. Jeden z historyków nawet przytacza jego słowa: „Lay down your arms, God damn you! Disperse you rebels“ Co w dosłownem tłumaczeniu brzmi jak następuje: „Złóżcie broń — wy psiekrwie; popularne angielskie God damn yon-znaczy: — niech cię Bóg przeklnie — Rozejdźcie się wy buntownicy“ Ci się jednak nie ruszyli, a ktoś może trochę zdenerwowany albo podpity — strzelił. To niby miał być „strzał“, który się rozległ po całym świecie! Rozpoczęła się ogólna strzelanina. Rebeljanci ustąpili, na placu zostało kilku zabitych i rannych.

Na tym placu powszechnie zwanym „common“ zbudowano pomnik poległym i bronzowy pomnik dowódcy rebeljantów kapitanowi John Parker z cytatą słów, jakie miał do swej kompanji wypowiedzieć: „Stać na miejscu. Nie strzelajcie, chyba że do was będą strzelali, ale jeżeli im się chce wojny, niech się ona rozpocznie tutaj!“ Wojna się rozpoczęła. Pozostali zabici i ranni. Anglicy pomaszerowali dalej do Concord.

Tam mniejwięcej była ta sama historja. Anglicy zniszczyli zapasy żywności, zagwoździli dwie armaty, wrzucili do rzeki kilkaset kul, wypili wódkę, a po skończonej robocie wracali do Bostonu. Na moście napotkali gromadę uzbrojonych farmerów. Znów oficer angielski „delikatnie“ poprosił wojowniczych obywateli, aby się rozeszli. Historyk przytacza następne słowa oficera: „Z drogi wy bękarty! Szorujcie do domu“. Nie można było tego uważać za obelgę. Były to przecież czasy, kiedy dziewice rodziły dzieci, tak bez niczyjej pomocy. Teraz to amerykańskie stadła po wieloletniem pożyciu zaledwo zdobędą się na jakiego cherlawego potomka. Przeważnie kończy się na kilku mopsikach. Więc też nazwać kogoś „bękartem“ wśród surowych, religijnych purytanów nie było obelgą, a raczej — prawdą.

Rajterada do Bostonu nie była dla Anglików bardzo przyjemna. Rozwydrzeni farmerzy, sposobem indjańskim czaili się za każdym kamiennym płotem, a tych mamy wszędzie pełno, i strzelali do żołnierzy niby do kaczek. Wobec takiej walki Anglicy byli bezradni, więc też w popłochu uciekali, a tamci lasem

za nimi gonili. Gdyby nie były nadeszły Anglikom posiłki, żywa noga nie wróciłaby do Bostonu.

Przy moście, gdzie się odbyła słynna bitwa, postawiono piękny pomnik dłóta wybitnego artysty Chester French'a, rodem z Concord. Droga wiodąca do mostu i tej pamiętnej potyczki jest wysadzona drzewami a tuż przy drodze, w cieniu zielonych sosen, pochowano dwu angielskich żołnierzy, którzy tu zginęli. Straty kolonistów nie były większe. A więc i jedni i drudzy raz do siebie wygarnęli i każdy wiał w swą stronę.

Concord wydało kilku z naszych wielkich pisarzy, jak Hawthorne, Thoreau, Channing, Emerson i wielu innych. Stare a urocze domy, rosochate wiązy, bluszczem porosłe pomniki pionierów i literatów dodają miejskiemu zaciszu jakiegoś dziwnego spokoju i uroku. Warto tu przyjść i czas dłuższy się włóczyć po starych domach, zabytkach i kątach. Jeden z poetów powiedział, „że nawet rzeka tu powoli płynie, gdyż trudno się jej od miasta oderwać".

Chcąc uniknąć wielkiego ruchu mijam bokiem Boston i jego liczne przedmieścia i przez Revere, ogromną plażę morską, podążam do starego, historycznego Salem. Lynn blisko morza położone jest zwykłem miastem fabrycznem, znanem z fabryk obuwia, zresztą kilka z okolicznych miast posiada tak samo ogromne fabryki obuwia i garbarnie.

W pierwszych początkach Salem rywalizowało z Bostonem. Tutejsi kupcy prowadzili handel zamorski z najodleglejszemi zakątkami kuli ziemskiej. Podczas walki o niepodległość salemscy żeglarze dali się porządnie we znaki Anglikom. Napadli i zabrali im przeszło czterysta okrętów. Nie powiedziałbym, że to czynili tylko ze względów patrjotycznych, ale raczej ów bandytyzm morski uprawiali dla osobistej satysfakcji.

Biedne Salem przeszło do historji amerykańskiej z powodu bardzo ciekawej a dramatycznej rozprawy, jaka się toczyła w miejscowym sądzie przeciwko kilkunastu kobietom podejrzanym o czary. Przez pewien czas panowała w miasteczku istna manja. Każdą kobietę posądzano o czary i uważano za czarownicę. Wprost jeden drugiego oskarżał o czary. Skończyło się na tem, że kilkanaście niewinnych kobiet skazano na karę śmierci przez powieszenie. Stracono je na małem, skalistem wzgórzu, zwanem Gallows Hill. Wzgórza szubienicy. Chociaż „czarownice" uważamy

teraz za przesąd, a jednak ilużby to się znalazło mężczyzm, którzy gotowi twierdzić, że jeszcze teraz mamy — czarownice i to nawet w ich własnych domach!...

Stare Salem zasługuje tu jeszcze na jedną wzmiankę. Hawthorne pracując w komorze celnej, jako rachmistrz, pisał w wolnych chwilach powieść pod tytułem „Scarlet Letter“ — „Szkarłatna Litera“, obrazując stosunki, jakie panowały wśród kolonistów. Gdy skończył to jedno z najpiękniejszych arcydzieł literatury angielskiej, tak był zdegustowany, że chciał je zniszczyć. Pokryjomu pokazał rękopis jednemu z przyjaciół i nawet obawiał się przyznać do autorstwa. Takie miał początki jeden z klasyków literatury angielskiej.

W Salem, Lynn, Peabody są dosyć liczne osady polskie, grupujące się przy polskich parafjach. Senjorem jest tu mój kolega szkolny, Ks. Czubek. Jako młody student w Seminarjum należał do zespołu atletycznego, teraz jednak już się więcej tem nie interesuje i spokojnie pracuje na parafji.

Ruszam w dalszą drogę przez Beverly, Manchester, Magnolia do Gloucester, wymawia się — Gloster. Miasteczka nad oceanem położone są pełne uroku i — bogaczy. Tu bowiem wśród sosnowych lasków, nad skalnem wybrzeżem, z przecudnym widokiem na ocean rozlokowali się bostońscy miljonerzy.

Gloucester jest naszem najsłynniejszem miastem rybackiem. Ulokowane na wąskiej cieśninie — posiada z jednej i z drugiej strony dogodne porty morskie. Nic więc dziwnego, że mieszkańcy wepchnięci wprost w ocean, od wieków oddają się rybołóstwu. W przystani pełno okrętów i łodzi rybackich, które się nieraz puszczają setki mil na połów ryb. Gdy ich zaskoczy burza, niejeden przepłaci swem życiem. Zresztą taki jest los każdego rybaka. W porcie ku czci nieustraszonych rybaków zbudowano piękny, bronzowy pomnik, przedstawiający żeglarza trzymającego ster okrętu. Wszędzie widać przybory rybackie, sieci, sklepy i towary przez rybaków i żeglarzy używane. W ogromnych szopach wyładowują setki ton ryb morskich i czemprędzej rozsyłają zamrożone po całym kraju. W Ameryce przeważnie wszystkie ryby są albo mrożone albo też w puszkach. Jeżeli ktoś chce żywych ryb, bierze wędkę lub sieć i wio do rzeki lub jeziora.

Wciąż suniemy nad brzegiem oceanu przez stare historyczne, a bardzo malownicze wioski i miasta. Przy rzekach i za-

tokach, można zauważyć rybaków naprawiających sieci lub w małych motorówkach wybierających się na połów. Do Newburyport przeprawiamy się przez rzekę Merrimack starodawnym mostem zawieszonym na łańcuchach. Jest to poniekąd prototyp naszych nowoczesnych mostów wiszących, po których jechaliśmy dużo razy.

Wkraczamy za Newburyport w granice stanu New Hampshire, który tu małym klinem, niby „korytarzem“ wrzyna się między Massachussets i Maine i dotyka oceanu, podobnie jak Polska morza Bałtyckiego. Porthsmouth nad rzeką Salmon River jest miastem portowem, pamiętnem z tego, że tu podpisano traktat pokojowy między Japonją i Rosją. Nie wiem dlaczego aż tu się przenieśli z Mandżurji, aby te formalności załatwić, ale zdaje się, że Roosevelt czy któryś z naszych dyplomatów ich tu zwabił.

Chociaż wzdłuż tych brzegów od początku siedmnastego wieku wałęsali się odkrywcy, żeglarze i awanturnicy, za pierwszego odkrywcę i kolonistę uznają Jana Mason'a, który w roku 1635-tym otrzymał część obecnego stanu New Hamphsire jako kolonję i tu założył pierwszą osadę. Stan obejmuje nie całe dziesięć tysięcy mil kwadratowych, a posiada zaledwo pół miljona ludności. Koloniści ponosili ciężkie straty kolejowe podczas licznych wojen z Indjanami. Pożogi i mordy były na porządku dziennym i nikt nie był pewny jutra. Po zgnieceniu Indjan życie osadników weszło na normalne tory. Nazywają New Hamphsire — „stanem granitu“ dlatego, że to jedna olbrzymia kupa kamieni. Zresztą jeszcze wrócimy.

Wjeżdżamy teraz do najdalej na wschód położonego stanu — Maine. Ponieważ wzdłuż brzegu wśród licznych zatok jest pełno większych i mniejszych wysp, żeglarze chcąc odróżnić ląd stały od wysp, mówili „maine“ czyli „ląd stały“ i stąd pochodzi nazwa stanu. Oj gdyby to Polska miała chociażby ze sto mil tego ciekawego stanu?... Gdyby można cały brzeg morski stanu Maine wyciągnąć w prostą linje, byłoby tego ponad dwa tysiące mil. Cały brzeg jest wprost jakby pocięty zatokami i wyspami.

Pierwsi angielscy osadnicy przybyli tu już w roku 1607-ym. Ponieważ było zbyt późno, aby uprawiać rolę, a w dodatku zima była bardzo ostra, przytem Indjanie także niezbyt życzliwi, więc też niemal wszyscy z chorób i głodu wyginęli, reszta zaś wró-

ciła do Anglji. Nie można się dziwić Indjanom, że się wrogo do białych odnosili. Europejscy żeglarze i rybacy dotąd docierali, nie tyle na połów ryb, ale na połów ludzi. Chwytali Indjan, zabierali na okręty i sprzedawali w niewolę.

Po klęsce „króla" Filipa i jego tragicznej śmierci w stanie Rhode Island, walki z Indjanami ustały, a „setlerzy" zaczęli coraz liczniej ściągać w dziewicze lasy i nad szumiące, a rybne rzeki. Maine posiada ogromne zasoby siły wodnej tylko częściowo dotychczas wykorzystane w przemyśle.

Naogół Maine pod względem topograficznym nie różni się wiele od innych stanów Nowej Anglji. Część północna jest jeszcze pokryta gęstym sosnowym lasem. Jak wiadomo, każdy stan ma jakiś kwiat za godło. Maine obrał za swój kwiat — sosnę i dlatego nazywają go — „stanem sosny" — „The Pine Tree State". W dolinach większych rzek jak Kennebeck powstały prosperujące farmy, trudniące się przeważnie przemysłem mlecznym a nad samą granicą Kanady rozwinęła się na wielką skalę uprawa kartofli. Rybołóstwo, rolnictwo, przemysł drzewny, fabryki obuwia i sukna przedstawiają najważniejsze gałęzie przemysłu i handlu. Pozatem Maine na dużą skalę wabi wielką ilość turystów do swych licznych, rybnych, zielenią lasów otoczonych jezior. Nad brzegiem morza, przy rzekach i jeziorach pełno małych hoteli, kabin i prywatnych domów, które w sezonie i jesienią podczas polowania przyjmują turystów.

Portland, stolica stanu, leży nad piękną zatoką morską, której skalne brzegi i ciekawe wyspy fascynują turystę. Samo miasto liczące około sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, zawiera dużo starych zabytków, słynne kolegjum Bodouin College, piękny park, pozatem nic ciekawego. Portland Oregon chociaż o wiele „młodsze", ale daleko większe i agresywniejsze. Tak, jak w Portland Oregon, tak też i w Portland Maine zamieszkuje spora osada polska, z własną małą parafijką.

Opuszczając stolicę, ruszam dalej na wschód, wzdłuż oceanu przez Yarmouth, Brunswick, Bath, Rockland, Belfast, Ellsworth do Bar Harbor. Kto lubi plaże i widoki morskie, kto lubi rybołóstwo, kto lubi kąpiele morskie, albo chce używać wywczasów na łodzi motorowej lub rozpuścić żagle i zwiedzać ciekawe wyspy, rzeki, przystanie, ten powinien spędzić kilka miesięcy

wzdłuż tutejszej bardzo ciekawej, a malowniczej okolicy wybrzeżnej. Tu powiedziałbym jest istny raj dla rybaka i żeglarza.

Bar Harbor jest plażą morską, do której latem ściągają amerykańscy miljonerzy, a czasem nawet dyplomaci. Miasteczko znajduje się na dużej wyspie podobnej do włoskiego orzecha, z głębokiemi zatokami i cudnemi widokami na ocean i sąsiednie wysepki. Wyspę nazwali francuscy odkrywcy Mont Desert, gdyż z okrętów przedstawiała się jako ogołocona z drzew i wszelkiego życia.

Rząd na wyspie ustanowił „park narodowy“ na model tych, któreśmy zwiedzili na zachodzie. Poza skałami wypoliturowanemi przez lodowce, małemi jeziorkami i pięknym widokiem na zatoki i wspaniałe rezydencje bogaczy — nic szczególniejszego nas tu nie wabi. Więc też po godzinnej podróży przez Arcadia National Park, ruszam w powrotną drogę. Możnaby jeszcze z jakie sto mil jechać drogą U. S. Nr. 1. aż ku samej granicy kanadyjskiej, ale uważam to za bezcelowe.

W podróży samochodowej dojechaliśmy nie tylko do najdalej od siebie odległych punktów w stanie Waszyngton i w Maine, ale wprost wylądowaliśmy na wyspie na oceanie Atlantyckim. Dlatego zawrócimy i przez górzyste okolice stanów New Hamphsire, Vermont a nawet Nowego Jorku wrócimy do Norwich.

Powrotna droga wiedzie nas przez Bangor, małe ale zato pełne życia miasteczko nad rzeką Penobscot, ku Skowhegan. Kilkadziesiąt mil na północ od Skowhegan w północno-środkowej części stanu jest duże jezioro Moosehead Lake. Wpadłem je zobaczyć, a nawet się po niem przejechałem. Przypomina urocze jeziora północnej Minnesoty, zresztą i jedne i drugie są zabytkiem lodowców, które tu się czas dłuższy zatrzymały, a nie mając nic lepszego do roboty, żłobiły tysiące malowniczych jezior. Na wyspach i przy brzegach wśród gęstych lasów widać domki osadników lub też wygodne zajazdy dla turystów.

Po miłej przejażdżce okrętem do Kineo wracam wzdłuż rzeki Kennebeck przez Skowhegan do jednego z większych miast — Augusta.

Drogę wiodącą doliną rzeki ku Augusta nazywają „Benedict Arnold Trail“ — droga Benedykta Arnolda, naszego słynnego bohatera-zdrajcy, rodem z Norwich, niby mej siedziby. Niemal we wszystkich dolinach większych rzek Nowej Anglji powstały

osady rolnicze dlatego, że ziemia jest urodzajniejsza, przytem niemasz tyle kamieni. Nowa Anglja jest bardzo kamienista. Nowoprzybyłemu turyście rzucają się w oczy pola zasiane kamieniem i płoty niemal wyłącznie z kamieni budowane. Wyjątkowo jedziemy tu wśród uroczych pól kukurydzy i siana. Hodowla bydła i gospodarstwa mleczne, a nawet sady owocowe dobrze tu prosperują.

W Augusta jak we wszystkich starszych miastach interesują mnie zabytki historyczne. W śródmieściu, otoczony murowanemi fabrykami i sklepami nad brzegiem rzeki Kennebeck jest stary fort — Western. Ma się rozumieć — już kompletnie odrestaurowany i zachowany w tym stanie, w jakim się znajdował w pierwszych początkach, jeszcze przed walką o niepodległość. Jak wiadomo — przy takich zbrojnych strażnicach rozwijały się pierwsze osady kolonistów. W razie napadu Indjan w nich szukano schronienia i ratunku.

Po zapłaceniu małego wstępu obejrzałem stare zabytki, piece, łóżka, sprzęty i broń. Zresztą po całym kraju te relikwje teraz skrzętnie zbierają i jako zabytki po muzeach przechowują. Cały fort jest ogrodzony ostrokołem, który nazywano — palisades. W dwóch przeciwnych rogach zbudowano czworoboczne wieżyczki z otworami na małe armatki i wyloty na karabiny. W ogrodzeniu zaś wystawiono duży zajazd, który był zarazem mieszkaniem, sklepem i kancelarją zarządcy czy komendanta. Na przestronnem podwórzu umieszczono bronzową tablicę z napisem, że tu przez pewien czas kwaterował Benedykt Arnold, czyniąc przygotowania do karkołomnej wyprawy na Quebec, stare miasto nad rzeką św. Wawrzyńca w Kanadzie. Przypuszczam, że odległość Quebec od Augusta jest jakie dwieście dwadzieścia mil.

Podczas oblężenia Bostonu przez Waszyngtona wyłoniła się ta głupia myśl — zawojowania Kanady i zdobycia dwóch większych miast: Montrealu i Quebeku. Nazwa podobno pochodzi od pierwszego odkrywcy rzeki i tego wzgórza Jaques Cartie'a, który widząc wysokie płaskowzgórze wrzynające się w brzeg rzeki, miał zawołać „Quel bec“ — co za dziób.

Benedykt Arnold był właśnie wyasygnowany przez Waszyngtona, aby tę ekspedycję prowadził i do niej zachęcał.

W największej tajemnicy zabrał około dwanaście set ludzi, w Newburyport wsiadł na okręty, rzeką Kennebeck popłynął do fortu Western, a stąd łodziami „batteaux“, które naprędce robili miejscowi stolarze, miał się puścić rzeką przez lasy i bagna do Kanady. Znienacka napaść miasto, zdobyć fortyfikacje, a tem samem zająć całą Kanadę, napozór była to niezła myśl. Tylko ją trudno było przeprowadzić.

Bitwa na Planes of Abraham między Montcalmem a Wolfem, kilkanaście lat przed wybuchem naszej walki o niepodległość, oddała Anglji Kanadę. Co do rezultatów, bitwa o Quebec jest uważaną za jedną z decydujących bitew świata. To było znamienne, że obaj dowódcy, generał Wolf dowódca wyprawy angielskiej i Montcalm bohater z pod Toconderogi, a obrońca Quebeku zginęli na polu walki.

Czemużby więc nie miało się nam udać łatwym a nagłym atakiem odebrać Kanadę? Pomijając trudności wprost nie do przezwyciężenia związane z wyprawą, należało pamiętać, że ludność Kanady doniedawna pod panowaniem, francuskiem, zdaje się nawet dosyć kiepskiem, była katolicka, przytem cieszyła się wszelką wolnością religijną i ma ją po dziś dzień. Nawiasem mówiąc, a przejechałem okolice wzdłuż rzeki św. Wawrzyńca na setki mil, Kanada jest najbardziej katolickim krajem pod słońcem. Każda wioska nosi nazwę świętego a jej punktem centralnym jest zawsze bogaty kościół.

Ludność miejscowa w kampanjach wojennych zawsze ważną odgrywa rolę. Tu ludność była katolicka, a koloniści zaś byli zaciętymi protestantami, więc już z tego samego powodu były trudności. Nie będę nawet opisywał tych nadludzkich wysiłków, tych nie do uwierzenia trudów i cierpień, jakie przechodziła ta ciekawa, bohaterska, wprost szalona wyprawa. Łodzie trzeba było pchać przeciwko prądowi szybko pędzącej rzeki. Napotykano liczne wodospady i porohy. Żołnierze po pas brnęli w lodowatej rzece, pchając przed sobą ciężkie, niezgrabne, przeciekające a zapasami przeładowane transporty. W nurtach rzeki gubili żywność, a niejeden i życie. Po kilku tygodniach, wśród śniegów, niedobitki, „obdarte szkielety“ stanęły pod murami miasta! A jednak to bohaterzy, jakich rzadko się spotka w jakiejkolwiek historji. Zdziesiątkowani głodem, zjadali własne skórzane jupy, bez odpowiedniego uzbrojenia i artylerji — zaczęli

oblężenie, jak na owe czasy silnej z natury twierdzy. Przybył im z pomocą generał Montgomery już poprzednio zajętego Montrealu. Oblegali miasto wśród ciężkiej zimy, z poza szańców z lodu i w dodatku dziesiątkowani ospą.

Ponieważ niektórzy żołnierze kończyli swój zaciąg na pierwszego stycznia, więc też ostatniego grudnia wśród zawiei śnieżnej z dwu stron zaatakowano silnie ufortyfikowane miasto. Część wojsk pod wodzą nieustraszonego Arnolda wdarło się do miasta, druga pod komendą młodego generała Montgomery zwartym szeregiem szła do ataku. Obrońcy dali do nich ognia siekańcami i wprost zmietli szeregi atakujących; wśród nich zginął młody dowódca. Atak odparto, a Arnold z potrzaskaną nogą po zaciętej walce także się cofnął.

Pomimo niepowodzenia, a nawet dotkliwej porażki, koloniści od oblężenia nie cdstąpili. Obrońca twierdzy, może jeden z najzdolniejszych i najzapobiegliwszych dowódców angielskich, Sir Carleton nie odważył się ich zaatakować. Dopiero na wiosnę, gdy lody puściły, a na rzece św. Wawrzyńca ukazały się okręty angielskie, koloniści opuścili stanowiska, cofając się do Montrealu, a stamtąd wzdłuż rzeki Richelieux i przez jeziora Champlain do Albany, stolicy stanu Nowego Jorku. Spotkamy ich później i zapoznamy się bilżej z tą „Anabasis i Katabasis“ armji amerykańskiej, która przewyższała w trudach, bohaterstwie i cierpieniu przygody opisane przez Xenofonta.

Doskonałą drogą, wśród malowniczej okolicy, ruszam w dalszą podróż przez dwa ruchliwe przemysłowe miasteczka Lewiston i Auburn do — Polski?! Niktby się nawet nie spodziewał, że w Maine mamy „Poland“ czyli Polskę i to dosyć słynną osadę. Miasteczko małe, ale zato w pobliżu znajduje się wspaniały hotel i źródła bardzo czystej i smacznej wody, którą rozsyłają po całym kraju, jako wodę stołową. Obszerny, z komfortem urządzony hotel, z polem na grę w golfa, jest Mekką dla bogaczy, którzy tu w górzystej okolicy, otoczonej sosnowemi lasami i licznemi jeziorami używają wywczasu. Obok hotelu jest to słynne źródło, z którego pompują wodę i nalewają do butelek, aby za drogie pieniądze sprzedawać ją naszym smakoszom. Dobra woda, ale wolałbym, żeby tu było czeskie „Urquelle“ czy inny gatunek słynnego Pilznera, chociażby nawet naszego — „okocimskiego“. Napiłem się wody, gdyż go-

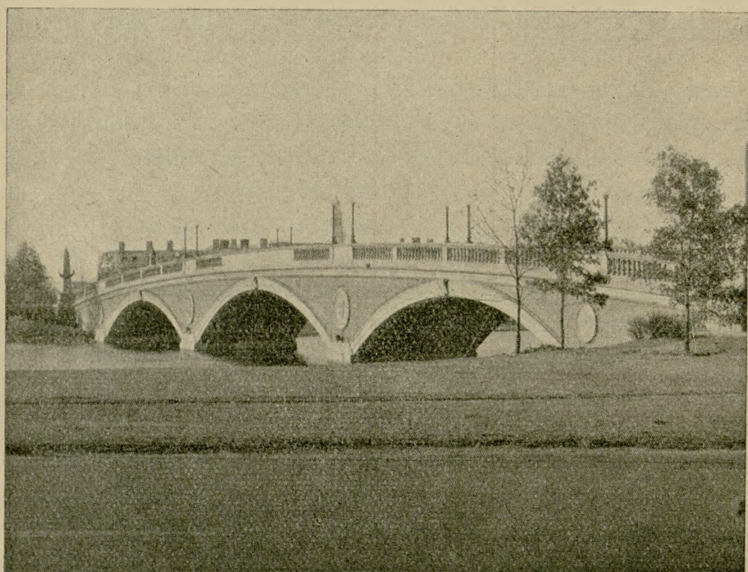
ściom dają za darmo, ile tylko mogą wypić — i ruszam w dalszą turę ku granicy stanu New Hampshire.

Jadę przez bardzo uroczą okolicę, zasianą licznemi, a nawet bardzo dużemi jeziorami, jak Lake Sebago, Long Lake i wiele innych. Ta część stanu Maine pod względem rolniczym jest biedna, bo grunt piasczysty. Najlepiej się tu opłacają turyści, a sądząc z licznych letnisk i zajazdów dla nich wystawionych, dosyć licznie ściągają w letniej porze w te okolice.

Uderzają turystę europejskie nazwy tutejszych miasteczek. Byliśmy w Poland czyli w Polsce, po drodze napotykamy Neapol, Danję, Fryburg, Paryż, Norwegję. Widać, że pionierzy albo z tych miast i krajów pochodzili lub też naprzykrzyły się im nazwy indjańskie i przywłaszczyli sobie europejskie. Nawiasem mówiąc — nazwy — Polonja, Kościuszko, Pułaski, Warszawa, Kraków, Puck są dosyć liczne. W Indjanie n. p. jest powiat Kościuszko, a miasto powiatowe nazywa się Warszawa. Wiem, że Kościuszko był w Warszawie, ale tu naopak Warszawa jest w — Kościuszce.

Wjeżdżam na rządową drogę Nr. 2 i przez Bethel, w kierunku zachodnim przekraczam granicę New Hampshire, w pobliżu uroczego miasteczka Gorham. Jesteśmy teraz w rejonie Białych Gór — White Mountains. Wobec gór Skalistych i Sierras, po których włóczyłem się podczas lata, góry w Nowej Anglji, Białe, Zielone i Adirondacks w Nowym Jorku są zaledwo wzgórzami. Najwyższa z tych Mt. Washington sięga pięć tysięcy stóp ponad poziom morza. Niektóre szczyty w Sierras i Rocky Mountains są trzy razy takie wysokie. Spuszczam się wąską, górską doliną ku miasteczku Conway. W Glen House duża tablica oznajmia, że stąd prowadzi droga na szczyt góry Waszyngton, najwyższej w Nowej Anglji. Zapłaciłem słono za ten przywilej jazdy samochodem na szczyt góry. Sciągnęli za tę średnią przyjemność siedem dolarów. W Colorado Springs mogłem za dwa dolary wjechać na Pikes Peak trzy razy tak wysoką. No ale ponieważ to jest jedyna wyższa górka w Nowej Anglji, więc drą, co mogą. Niedawno skończyli drogę, więc w dodatku pełno wybojów kamieni i niebezpiecznych skrętów. Ale weteranowi, co kilka pasm górskich samochodem przejechał, taka eskapada nawet nie zaimponuje.

Prowadzi tu także kolej, której tory są zaopatrzone w tryby. U szczytu, powyżej linji drzew, zbudowano obszerny zajazd, z wszelkiemi udogodnieniami dla turysty; na kominie palił się ogień, a każdy dobrze przeziębiony z przyjemnością przy nim się wygrzewał. Chociaż lato, ale zauważyłem kilku turystów odzianych we futra. Ponieważ panowała mgła, więc też nawet nie można się było rozkoszować widokiem na okoliczne wzgórze, srebrzyste rzeczki, tafle jezior i odległe miasteczka. Dlatego po krótkim wypoczynku wracam, żałując tych siedmiu dolarów, które ze mnie wycyganiono.



Most na rzece Charles przy uniwersytecie Harvard w Bostonie.

Spuszczam się wdół, jadąc w kierunku południowym, wśród wysokich wzgórz zwanych President Range, dlatego, że wyższe szczyty otrzymały nazwy prezydentów jak Mt. Washington, Mt. Adams, Lincoln. Mijam wysoką górę nazwaną ku czci indjańskiego wodza Chocorua. Podobno aż tam go zapędzono i zamordowano. U stóp góry jest małe, urocze jeziorko.

Główną atrakcję tej górskiej okolicy stanowi bardzo piękne i duże jezioro Winnipesaukee (wymawia się Łynepesuki). Jadąc

okrężną drogą, mijam cały szereg większych i mniejszych wiosek, a nawet małe ale schludne miasteczko Wolfeboro. Już od dziesiątek lat arystokracja amerykańska tu przyjeżdżała i używała wywczasów przy cudnem, a rybnem jeziorze. Liczne zielone wyspy, z małemi zatokami, w których widać łodzie i domki letników tem większego dodają mu uroku. Wszędzie nad brzegiem wyrosły wille całe, obozy skautów, skautek i innych organizacyj, które w tak miłem otoczeniu, wśród wysokich gór i cudnych jezior używają wywczasów i rozrywek, jakie daje miłośnikom natury woda i góry.

Okrążywszy jezioro o peryferji trzydziestu mil, jeszcze raz puszczam się ku północy w inną część Białych Gór. Po lewej stronie drogi stan urządził olbrzymią rezerwację dla ochrony zwierząt; nikomu tu polować nie wolno. Posuwając się w kierunku północnym, wjeżdżam w bardzo wąską kotlinę zwaną Frankonia Notch. Lasem pokryte góry wznoszą się niemal prostopadle na kilkanaście set stóp, tworząc uroczy przesmyk, zapewne wyżłobiony górskim potokiem pędzącym przy drodze. Na szczególniejszą uwagę turysty zasługuje dziwny układ szczytu jednej z gór. Nazywają to „Profile Mountain“ góra profilu, gdyż skały u samego szczytu podobne są do profilu ludzkiej twarzy, a ponieważ każdy w tem upatruje podobiznę Waszyngtona, więc też poeci nawet wiersze na ten temat „popełniali“. Niedawno wypadła jedna ze skał, niszcząc tem samem ów profil. Władze stanowe czemprędzej posłały ludzi, aby ową skałę na swe miejsce włożyli i znów wszystko jest, jak było wieki całe.

W dogodnych hotelach, ale bardzo słonych, można podziwiać górskie krajobrazy, a także dziwne wulkaniczne skały i kanjony przez lodowce żłobione. Mamy tu nawet „lost river“ rzekę, która wśród skał ginie w podziemnych pieczarach. Z górskich wąwozów i okolic w Nowej Anglji te kilkanaście mil uważałbym za najbardziej malownicze i z punktu geologicznego najciekawsze. Bretton Woods, Twin Mountain i kilka sąsiednich miasteczek posiadają luksusowe hotele, pola golfowe, zajazdy z wszelkim komfortem urządzone. To już są letniska par excellance, ale że wszystko bardzo drogie, przytem nie każdego tu wpuszczą, więc też nie mając arystokratycznej szaty godowej, a co ważniejsza niezbyt wielkie zasoby w kieszeni, bez skrupułów i żalu zawracam i wzdłuż dobrze nam znanej rzeki Connecticut, wśród

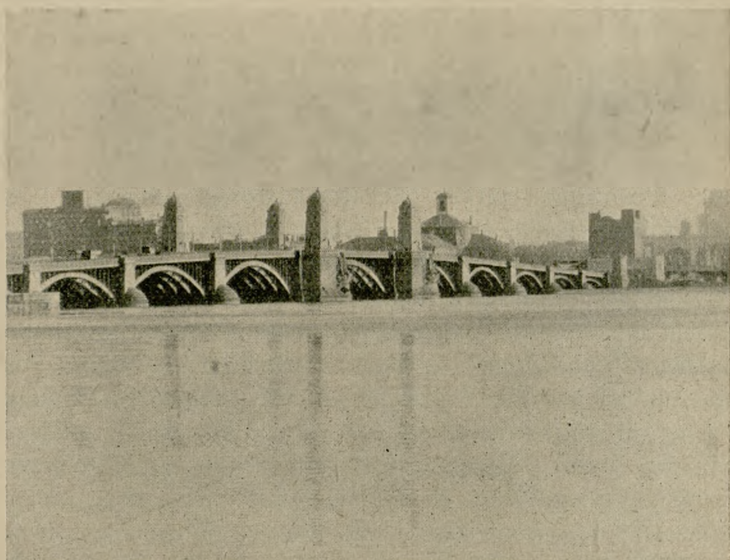
uroczych faremek i miasteczek, wracam ku granicy Massachussets. Rzeka ta dla ekonomicznego rozwoju Nowej Anglji przedstawia olbrzymi majątek. Najprzód — dostarcza setkom fabryk siły wodnej; nad jej brzegami powstały liczne i ludne miasta, ponadto w dolinie, bardzo żyznej rozwinęła się hodowla tytoniu, cebuli, jabłek i wszelkich produktów rolnych.

W bardzo uroczej mieścinie Claremont zagnieździła się mała osada polska i posiada własną parafję. Od wielu lat gospodajuje tu znany ze swej pracy społecznej i narodowej ks. Sękiewicz, którego po drodze odwiedziłem, bo jak wielu z naszych księży polskich znany jest ze szczerej gościnności i pracy narodowej. A ponieważ w dodatku jest tu nabożeństwo czterdziestogodzinne, więc tem więcej należy stanąć i w pracy duchownej pomóc. Coprawda nie wielka to osada, dla wielu z tutejszych Polska jeszcze jest „Polsza" i dlatego lepiej się im podobają cudze bogi aniżeli ich własne. Ale ludzie nasi sobie nieraz z tego nie zdają sprawy, że inni chcą ich tylko wyzyskać i na Francuzów lub Ajryszów przekształcić.

Gdym się dostał w gościnne „szpony" — Polaka, trudno mi się było stąd wydostać. Ks. Sękiewicz ma szczególniejszy dar zyskiwania sobie Amerykanów. Wszyscy go znają i poważają, zjednuje ich swą szczeropolską gościnnością a tem samem sprawie polskiej wielką oddaje usługę. Zaraz mnie zaprowadził do olbrzymiej fabryki, w której wyrabiają świdry i maszyny wiertnicze, używane w kopalniach węgla. Mówiono mi, że nawet do Polski kilka takich maszyn wysłano, a w Katowicach „Sullivan Drill Co", ma swą expozyturę. Polacy tu pracują, a fabrykanci jak najlepiej się o nich wyrażali, co mnie ogromnie ucieszyło. Zwiedziliśmy także nową szkołę wyższą — High School. Dyrektor pochwalił się przede mną, że ich „team" kilkakrotnie zdobył szampjonat stanowy, a większa część footbalistów to — polskie chłopaki. Redaktor miejscowej gazety p. Landgon, osobisty przyjaciel proboszcza, jest także bardzo życzliwy dla sprawy polskiej. Pod tym względem Ks. Sękiewicz bardzo chwalebną prowadzi robotę.

Chociaż miał nabożeństwo czterdziestogodzinne a tem samem pełne ręce pracy, wszystko zostawił, aby mnie zawieźć do słynnej szkoły Dartmouth. Chętnie skorzystałem z tej propozycji, gdyż nigdy tam przedtem nie byłem, a jest to jeden z naszych

najstarszych i najciekawszych uniwersytetów amerykańskich. Chciałem się przedewszystkiem zapoznać z dwoma profesorami zakładu, którzy są aż nadto dobrze znani w Polsce i dla sprawy polskiej dużo czynią. Domyślacie się zapewne, że to profesorowie Rose i Kelly. Rose znalazł się przypadkowo w Polsce podczas wojny światowej. Tam mu się tak spodobało, że nauczył się po polsku i wstąpił na studja do uniwersytetu Jagiellońskiego. To jedyny Amerykanin, który się może pochwalić doktoratem z naszej najstarszej wszechnicy. Napisał cenną książkę, wydaną w Anglji, o Stanisławie Konarskim i reformie polskiego szkolnictwa.



Most na rzece Charles w Bostonie.

Prof. Kelly także się do Polski dostał w jakiejś misji ratowniczej i po zakończeniu pracy społecznej przebywał przez czas dłuższy na polskich uniwersytetach, dając wykłady o literaturze angielskiej, a sam zapoznawał się z literaturą i kulturą polską. Stał się szczerym przyjacielem Polski i napisał kilka bardzo ciekawych książek na tle starych tradycyj polskich jak „Trębacz Krakowski“ „Kowal Wileński“, „Złota Gwiazda Halicza“ miał jeszcze coś napisać o Lwowie. Z literaturą polską jest dobrze obeznany.

Bardzo miłe zrobiło na mnie wrażenie, gdym wszedł w tym odludnym a uroczym zakątku do mieszkania angielskiego profesora, napotykam i jestem wprost otoczony wyrobami zakopiańskiemi, pamiątkami i obrazami z Polski. Profesor Kelly i jego bardzo sympatyczna żona jak najpochlebniej się wyrażali o Polsce i jej postępie. Przy herbatce w miłem towarzystwie chciałoby się jak najdłużej pozostać, innych profesorów Polaków odwiedzić, ale na dworze rozpoczęła się jesienna chlapanina deszczu ze śniegiem, więc też trzeba było pożegnać gościnne progi. Profesor Kelly z Ks. Sękiewiczem umawiał się o „Jasełka", które jako nowość chciał wystawić w jakiemś amerykańskiem zgromadzeniu. Obyśmy mieli jak najwięcej takich Kellych, Rosów i księży Sękiewiczów, którzy przez bliższy kontakt z Amerykanami uprawiają dodatnią propagandę na rzecz sprawy polskiej.

Sam uniwersytet ma wspaniałe murowane budynki w stylu kolonjalnym i jest rozlokowany na pięknem wzgórzu. W dodatku posiada niezwykłą i bardzo ciekawą historję, o której mi opowiadał profesor Kelly. W pobliżu mego Norwich w małej wiosce Lebanon około r. 1750 żył protestancki pryczer, nazwiskiem Eleazar Wheelock. Prowadził małą szkółkę dla Indjan i żywo się ich losem interesował. Wykształcił wnuka, dobrze nam znanego „Ostatniego Mohikanina" — Uncasa, nazwiskiem Occum. Posłał go do Anglji i tam młody Occum dawał odczyty i zbierał pieniądze na ufundowanie szkoły wyższej dla Indjan i tutejszych kolonistów. W paru latach zebrał jak na owe czasy olbrzymią sumę pieniędzy, gdyż około siedmdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Otrzymawszy tę wielką kwotę, ów Eleazar Wheelock wyruszył w te dzikie lasy w dolinie rzeki Connecticut i założył szkołę w roku 1765-tym, a więc na kilka lat przed rewolucją. Jednem z zastrzeżeń w „czarterze" tej szkoły jest to, że Indjanie mają otrzymać swe wykształcenie — bezpłatnie, a nawet zakład im daje pieniądze na osobiste wydatki i rozrywki. Indjanie jednak nie korzystają z tego drogocennego i wprost wyjątkowego przywileju.

Minister dla spraw kolonjalnych Lord Dartmouth, bardzo się tą szkołą zaopiekował i na jej utrzymanie wyznaczał większe sumy pieniężne, dlatego zakład przyjął jego nazwę — Dartmouth College. Do zakładu w tym semestrze, jak mnie zapewniał prof. Kelly, uczęszcza dwa tysiące pięćset studentów. Ostatni Indjanin, takiego tu zwabili, nie chciał w stancji siedzieć, tylko wieczorem

wymykał się przez okno i spał indjańskim sposobem i zwyczajem na gołej ziemi.

Jeszcze tu jest jedno ciekawe miejsce do zwiedzenia, którego pominąć nie mogłem. Kilkanaście mil na północ od Claremont jest muzeum pamiątek po jednym z naszych najwybitniejszych rzeźbiarzy — Auguście Saint Gaudens. Ponieważ często w toku podróży wzmiankowałem o ciekawych pomnikach i arcydziełach sztuki, czytelnicy wiedzą dobrze, że się takiemi zabytkami żywo interesuję. Więc też następnego dnia wybrałem się na zwiedzenie rezydencji i pracowni naszego najwybitniejszego rzeźbiarza, niekiedy zaliczonego w poczet takich artystów jak Rhodin i Thorwalsen. Droga prowadzi wzdłuż uroczej doliny rzeki Connecticut. Olbrzymi kadłub Green Mountain jest pokryty pierwszym śniegiem. W małej wiosce Windsor zbaczam z głównej drogi i wśród stuletnich sosen, białych brzóz i złotolistych klonów wspinam się na małe wzgórze, na którem znajduje się obszerny dom i pracownia artysty.

Był to kiedyś stary zajazd, który Saint Gaudens przerobił na bardzo piękną willę otoczoną topolami, ogrodami i na włoski sposób zdobną małemi statuetkami. Szerokie piazzy, pokryte bluszczem, z przecudnym widokiem na okoliczne wzgórza, urocze doliny i szumiące potoki stanowiły rodzaj rendez vous dla artystycznej elity Stanów Zjednoczonych. Stara służąca za opłatą pół dolara wstępnego wpuściła mnie do mieszkania zachowanego w tym stanie, w jakim się znajdowało za życia właściciela. W jadalni kredensy, stoły i stołki z drzewa machoniowego, pierwszorzędne okazy starych amerykańskich stolarzy-artystów. Tu i ówdzie jakiś bronz, to kilim lub obraz. W bibljotece stosy książek, misternie z żelaza kutych lamp, rzeźb i drogocennych pamiątek przysłanych przez wielbicieli z najodleglejszych zakątków świata.

Kilka kroków za domem znajduje się jego prywatne atelier zarzucone płaskorzeźbami, wzorami i modelami niektórych z jego pamiętnych i słynnych bronzów. Opodal jest drugi daleko większy warsztat pracy, w którym mu pomagali jego uczniowie nad wykończeniem większych arcydzieł. Jego najlepiej znanemi arcydziełami są: pomnik Lincolna w Chicago, tam również jest jego pomnik generała Logan'a. W Nowym Jorku jest pomnik generała Tekumesh Sheridana u wejścia do Central Parku, jedno z jego pierwszych arcydzieł, pomnik admirała Farraguta oraz i statua

Diany, kiedyś umieszczona na wieży gmachu Madison Square Garden. Ciekawym ze względów artystycznych jest pomnik „Purytana“ w Springfield Mass. Uosabnia ten surowy, ograniczony, ale silny typ pierwszego pioniera. Ze wszystkich jego arcydzieł kto wie czy najwspanialszym nie jest pomnik na cmentarzu Rock Creek w Waszyngtonie. Przedstawia niewiastę otuloną płaszczem,



Fasada Muzeum Bostońskiego — Pomnik Indjanina — czciciela słońca.

siedzącą u stóp pomnika. W tej twarzy na pół ukrytej we fałdach płaszcza kryje się coś nieuchwytnego, niby uśmiech Monna Lisy, niby myśli tego arcydzieła Rhodina „Le Penseur“, jest i żal, i mistyczna a jakaś niezgłębiona zaduma Nirwany. Wprost intryguje i przykuwa do siebie ten ciekawy pomnik.

Ojciec artysty był rodowitym Francuzem, z zawodu szewcem. Matka zaś Ajryszka. Głód w roku 1848 panujący w Inrlandji

wypchnął ich do Ameryki z małem sześciomiesięcznem dzieckiem. W Nowym Jorku ojciec rzeźbiarza tłukł się z kąta w kąt, a bieda była w domu aż piszczało. Młody Augustyn roznosił gazety, pomagał ojcu i gdzie mógł, szukał zajęcia. Wykazywał zdolności do rysowania, chociaż nie zdradzał żadnego genjuszu. Uczęszczał do szkół, a po kilku latach, jako dorosły chłopak, mając sto dolarów wyjechał do Francji. Na poddaszach Paryża, gdzie się gnieździ skrajna nędza studencka i gdzie wyrastają genjusze, kształcił się przez kilka lat a następnie wyjechał do Rrzymu na dalsze studja. W jego dziełach widać wpływ renesansu i starej klasycznej kultury greckiej. Ze skrajnej nędzy przy uciążliwej i wytrwałej pracy wyrósł jeden z naszych największych mistrzów dłóta.

Na krawędzi lasu, wśród szumu starych sosen, znajduje się mały rzymski ołtarz, otoczony czterema marmurowemi kolumnami. W tem uroczem zaciszu złożono jego prochy i jego żony, która go przeżyła jakie dwadzieścia lat. Mieszkanie i pracownie wraz z rzeźbami i modelami zamieniono na muzeum, do którego spieszą tysiące wielbicieli i turystów. Na małym ołtarzu pomnika zawierającego popioły artysty jest umieszczony łaciński a bardzo stosowny napis: „Beati mortui qui in Domino moriuntur. Amodo iam dicit spiritus ut requiescant a laboribus suis. Opera enim illorum sequntur illos“. To ostatnie zdanie szczególnie mnie uderzyło, gdyż jego dzieła pozostaną na wieki, jako świadectwo jego genjuszu i pracy!

Rzeka Connecticut rozmaite spełnia posługi. Z początku służyła za główny trakt, którym się posuwali koloniści ku północy i osiedlali urocze a żyzne doliny. Z północy zaś podczas licznych wojen wśród osadników płynęły nią zbrojne ekspedycje Francuzów i Indjan, napadając i niszcząc osady angielskie w Massachussetts. Po krwawych walkach, napadach i masakrach zostały tylko wspomnienia — pomniki lub tablice pamiątkowe.

Teraz inne bardziej pożyteczne zadanie spełnia ta ciekawa a malownicza rzeka. Unosi do morza ścieki licznych miast i osad zbudowanych u jej brzegów. Stanowi granicę między Vermontem a New Hampshire. Ponadto gdziekolwiek w swym pędzie z konieczności torowała sobie drogę w odwiecznych skałach szumiącemi wodospadami, tam ludzie zarzucili jej na szyję jarzmo w formie licznych tam stawideł do wykorzystania jej siły. Do-

starcza prądu elektrycznego na dziesiątki tysięcy koni a przy odpowiedniem zastosowaniu nowoczesnych turbin możnaby tę wydajność znacznie powiększyć. Niemal wszystkie miasta wzdłuż jej brzegów od White River Junction aż do ujścia w Saybrook powstały dzięki obfitej a taniej sile wodnej. Bellows Falls, Brattleboro, Turners Falls, Greenfield, Holyoke, Springfield powstały dzięki wodospadom rzeki Connecticut.

W Bellows Falls zamieszkuje mała osada polska i ma własną niewielką parafijkę ale tu się nie zatrzymałem i za kwandras przedarłem się przez fabryczne miasteczko Brattleboro i zbliżam się znów ku granicy Massachussetts do Turners Falls. Prze demną pędzi znanej marki samochód, a w nim dwóch jegomościów w ubraniach myśliwskich. Miłą dla mnie było niespodzianką gdym w jednym ze strzelców, obarczonym bażantami, poznał mego dobrego przyjaciela Ks. Skonieckiego, proboszcza polskiej parafij w Turners Falls. Już od kilku lat prowadzi tu dobrą robotę religijną i narodową. Zbudował piękny murowany kościół kosztem przeszło sto tysięcy dolarów, a ludzi zachęca do pracy samodzielnej, szczególnie w sprawach politycznych obstaje przy swoich zwalczając przytem zawzięcie Ajryszów. Po krótkim przestanku, gdyż spotykamy się dosyć często, ruszam do sąsiadującego i schludnego miasteczka Greenfield. Tu również zamieszkuje spora gromadka rodaków przy małej parafijce, w której gorliwie pracuje Ks. Kuszaj.

Greenfield leży na krzyżówce dwóch ważnych dróg komunikacyjnych z południa na północ i ze wschodu na zachód. Tu się rozpoczyna bardzo ciekawa i malownicza droga górska zwana Mohawk Trail. Tą wąską doliną, a właściwie górskim przesmykiem przeprawiali się kiedyś Indjanie z Massachussetts do Nowego Jorku. Przed pięćdziesięciu laty proboszczem tutejszej luterskiej parafji był pastor nazwiskiem Ingstroth. W zakresie pszczelarstwa oddał on światu niepospolite usługi. Prowadził doświadczenia i udoskonalił ule w kształcie kwadratowych pudełek z ruchomemi ramkami. Dzięki jemu pszczelarstwo weszło na nowe tory i jego odkrycia i udoskonalenia uli uważają za najważniejszy krok, jaki w tej dziedzinie dotychczas uczyniono. Teraz „amerykańskie ule“ uważają za najlepsze i najpraktyczniejsze na kuli ziemskiej.

Na południe od Greenfield dolina rzeki Connecticut rozsze-

rza się a na żyznej glebie powstały liczne osady rolnicze, trudniące się hodowlą tytoniu i cebuli. W South Dearfield, Hadley, Sunderland zamieszkuje spora gromada polskich „cebularzy". Przez mozolną pracę niektórzy dorobili się majątku, inni zaledwo koniec z końcem wiążą. Ratuje ich to, że u Polaków nie tylko ojciec, ale także matka i dzieci pracują w polu przy uprawie cebuli i tytoniu.

Old Dearfield jest w rzeczywistości starą wioską z pierwszych osad angielskich w tej części stanu Massachussetts. Podczas wojen indjańskich i t. zw. „Wojny Królowej Anny" ekspedycja Kanadyjczyków i Indjan napadła wioskę, wielu z osadników zamordowała, a innych zabrała do niewoli. W muzeum pokazują turystom ciekawe zabytki po pierwszych osadnikach. Może najciekawszy okaz stanowią grube drzwi przez Indjan porąbane toporami. Po obu stronach szerokiej ulicy stoi rząd starych domów zbudowanych w stylu kolonjalnym. Każdy na swych barkach dźwiga przynajmniej dwa stulecia. Stare klony tem bardziej dodają tej historycznej wiosce jakiegoś dziwnego uroku.

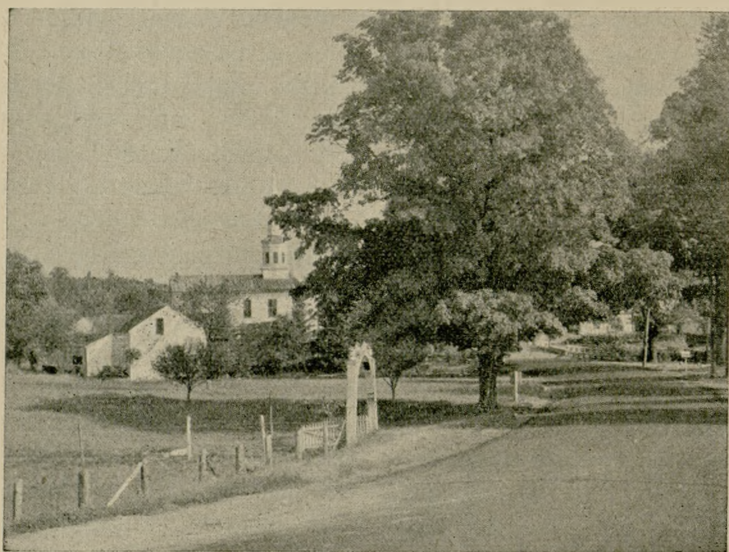
Jadąc okolicą rolniczą, napotykam przy drogach stragany z cebulą, kartoflami i innemi produktami rolniczemi. Northampton schludne miasteczko jest kwaterą słynnego Smith College, w którem kształcą się nasze arystokratyczne Amerykanki. Prezydent Coolidge tu mieszkał i prowadził biuro adwokackie, do którego nikt po poradę nie chodził. Dlatego biedaczysko wziął i umarł a nawet są pogłoski o samobójstwie.

Holyoke jest dużem przemysłowem miastem, słynnem ze swych papierni w Northampton, w Holyoke, Chicopee Falls i Springfield są duże centra przemysłowe a w każdem mieszka spora liczba Polaków w sprawach politycznych i narodowych dosyć czynnych.

Od Springfield, ważnego węzła komunikacyjnego, przez duży most pamiątkowy zwrócimy się znów ku zachodowi, aby jeszcze kilka bardzo ciekawych i historycznych miejscowości zobaczyć i zwiedzić. Tu za miastem, w niewielkim parku, przy rzece Connecticut, są zabudowania, w których co roku urządzają wystawę w porze jesiennej. Niemal wszystkie stany Nowej Anglji przysyłają tu swe wyroby, produkta rolne, drób, bydło i najrozmaitsze maszynerje. We wszystkich stanach, a nawet powiatach mamy takie wystawy zwane — „state fairs" albo „county fairs",

zależnie od tego, czy stan czy powiat ją urządza. Warto je zwiedzić, szczególnie jeżeli się ktoś zajmuje uprawą roli, hodowlą bydła lub drobiu; zawsze tu znajdzie najpiękniejsze okazy.

Często przypatrywałem się wystawie bydła. Na arenę wprowadzają kilka wspaniałych okazów danej rasy. Wszystko wypucowane, wykrużlowane powiedziałbym niemal wypudrowane. Sędziowie każdą sztukę oglądają, macają, wąchają, zaglądają do gęby, no i czasem gdzie indziej jakiejś zalety tam szukają. Z boku stoi biedne farmerzysko z nadzieją w sercu, że jego bydlak otrzyma nagrodę. Uderza mnie kontrast. Bydlak wychu-



Wioska w Nowej Anglji.

chany, wypieszczony, wymyty i wyczesany — wspaniały okaz. Jego właściciel, niby z tego dwunożnego gatunku bydląt, czasami zwanych — ludźmi, jest obdarty, nieumyty wynędzniały, schorowany, ledwo skóra i kości. Taki na ludzkiej wystawie, mówmy na przykład w Hollywood, byłby zerem. Ale szczęście służy farmerowi. Jego bydlak otrzymał nagrodę. Przypięli mu niebieską wstążkę u szyi i wyprowadzają z areny. Bydlę wstążeczką się nie przeczula, nawet o tem nie myśli, poprostu nic go to nie obchodzi. Ale zato biedaczysko farmer nie posiada się z radości, że

nie on, ale jego wół otrzymał nagrodę. Ale narazie zakończę mą filozofję na ten temat, bo jeszczebyście mnie gotowi posądzić o jakąś herezję.

Westfield, to stare zachlapane miasteczko, w którem i Ojcowie Saletyni i niezależnicy mają parafję. Chociaż niewielka tu Polonja, jednak na dwie parafje się podzieliła, a teraz i jednym i drugim ciężko koniec z końcem związać. W Nowej Anglji niezależnych parafij jest dosyć dużo.

Z Westfield elegancką i bardzo malowniczą drogą, wśród wijących i szumiących górskich potoków wspinam się na szczyty gór Berkshires. W porównaniu z górami na zachodzie są to właściwie lasem pokryte wzgórza, wśród których niekiedy napotykasz bogate wille miljonerów. Tu się oni gnieździli a miasteczka jak Lenov, Great Barrington, Pittsfield w sezonie letnim były przepełnione starą arystokracją i bogatemi ekwipażami. Wszystko zaszyte w lasach, otoczone parkami, jeziorami zażywało świeżego górskiego powietrza. Ale samochody, szybka komunikacja powietrzna i morska zmieniły tryb życia. Luksusowe rezydencje i bogate pałace są dziś na sprzedaż i to niemal zabezcen. Bogacze mieszkają w hotelach, nie potrzebują utrzymywać służby, a gdy im się w danem mieście coś niepodoba, mogą za kilka godzin, a najwyżej za parę dni przenieść się zupełnie w inne strony i kraje. Mimo to w sezonie letnim jeszcze tu zjeżdża dużo zamożnych ludzi, aby wypoczywać w wygodnych, a bardzo ekskluzywnych i drogich hotelach.

Housatonic jest małą mieściną ukrytą wśród gór. Rzeczka tej nazwy dostarcza siły wodnej fabryce płótna i papierni, w której pracują także nasi rodacy. Mój wieloletni przyjaciel, Ks. Lekston, jest tu proboszczem, więc też będąc w tych okolicach wstępuję w jego skromne, ale gościnne progi. Przez długie lata pracował w West Wirginji wśród polskich, słowackich i włoskich górników, następnie przez dwanaście lat w South Dearfield, o którem wspomniałem, a teraz w tem zaciszu dalej spełnia swe duszpasterskie obowiązki.

Teraz wrócimy się ku północy i pojedziemy przez ludne miasteczka, urocze wioski, wśród gór, dolin, wzdłuż rzek i cudnych jezior, aż hen ku kanadyjskiej granicy. Mamy jeszcze kilka ciekawych miejsc do zwiedzenia, zanim tę amerykańską wędrówkę zakończymy.

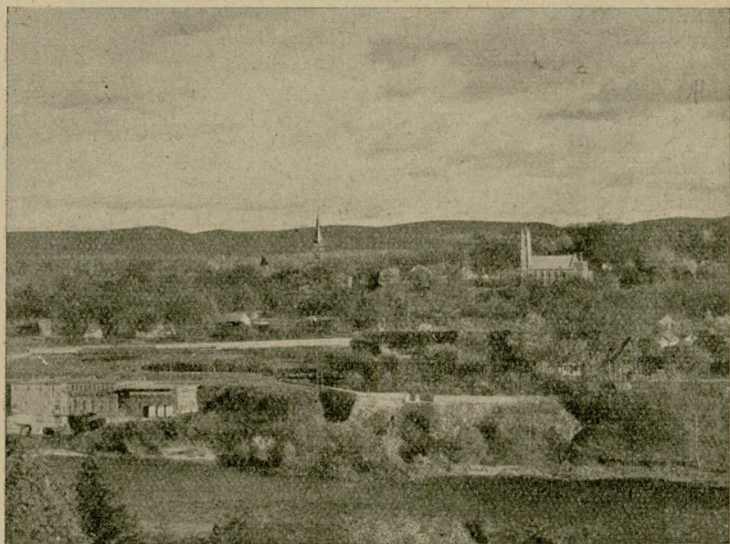
Pittsfield, przez które się szybko przedzierżgniemy, jest jednem z większych miast tej okolicy. Duże fabryki przyborów elektrycznych, firmy General Electric, dają zatrudnienie tutejszym robociarzom, wśród których znajduje się także znaczna gromadka Polaków. Adams i North Adams, w dolinie górskiej położone, posiadają ogromne fabryki płótna i obuwia. Zgrupowała się tu większa ilość Polaków i zbudowali sobie wspaniały kościół i szkołę. Od lat zbożną pracę tak na polu religijnem jak i narodowem prowadzi światły, a dzielny Polak Ks. Edmund Kępiński, rodem z Królestwa. Z North Adams do Greenfield wiedzie przez góry malownicza droga Mohawk Trail, ale jedziemy w przeciwnym kierunku do Williamstown mimo najwyższej góry w całym stanie, Mt. Greylock. W tem starem zacisznem miasteczku jest szkoła wyższa, w której kilka lat temu wybitny dyplomata polski p. Skrzyński, miał odczyt na temat sytuacji politycznej w Europie.

Poszedłem tu zwiedzić ciekawą „farmę“, na której prowadzą poniekąd pracę pionierską w „uszlachetnianiu“ bydła i drobiu. Właścicielem tego malowniczego kawałka ziemi i nibyto farmerem jest zięć samego Rockefellera, nazwiskiem Prentiss. Jest to człowiek z uniwersyteckiem wykształceniem i przypomina cośkolwiek naszych polskich arystokratów, którzy się w roli lubują, ale gnoju z obory nie wyrzucają. Wjechaliśmy natychmiast z nader sympatycznym właścicielem majątku na temat rolnictwa i hodowli bydła. W tym fachu przecież byłem wychowany. Otóż ów jegomość prowadzi tu ciekawe gospodarstwo w uszlachetnianiu rasy bydlęcej i kurzej. Przedewszystkiem twierdził, że te poszczególne zalety racic, rogów, oczu, ogonów — jeszcze za czasów rzymskich stosowane, nie mają z właściwą szlachetnością nic wspólnego. Najważniejsze jest to, aby krowa dała jak najwięcej i najlepszego mleka i śmietany. Czy ona ma rogi krzywe, małe czy ich wogóle nie posiada, to na wydajność mleka nie wpływa. W tym kierunku właśnie pracuje ów jegomość. Przyjmuje corocznie gratisowo jednego ucznia z krajów europejskich na te kursa, aby mógł potem w swej ojczyźnie taką samą robotę prowadzić. Spotkałem tu tęgiego Bułgara, nazwiskiem Tabakoff, jakoś mi ten tabaka utkwił w głowie, żem go zapamiętał.

Poszliśmy zwiedzić niektóre działy tego ciekawego gospodarstwa. Tabakoff pokazał mi wylęgarnię myszy i szczurów,

używanych do najrozmaitszych doświadczeń pod względem pokarmów, rozpłodnienia i wpływu pierwiastków rasowych. Energicznie zabrano się do pracy, której początki dał niemiecki uczony Mendel. Szczegółowo i z olbrzymią statystyką badają wpływ i charakterystyki samców i samic.

Od myszy przeszliśmy do kurników. Każdy kogut i kura ma na nogach całe stosy różnokolorowych obrączek i przypomina niektóre szczepy Zulusów, gdzie takie złote obręcze zakładają na ręce i nogi. Zresztą i u białych nieraz można zauważyć obręcze ślubne i branzolety. Tu każda kura i kogut ma ich całą



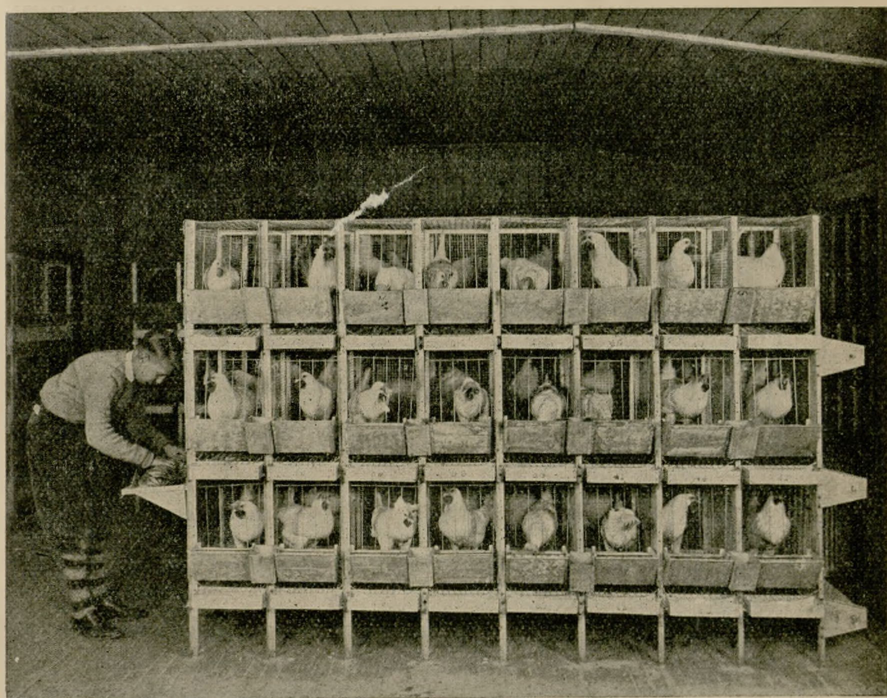
Od prawej polski kościół — prob. Ks. Skoniecki w Turners Falls.

gromadę. To właściwie jest rodzaj kurzego herbarza. Zapomocą obrączek hodowca odrazu wie kim była n. p. babka, prababka lub prapradziadek danej kury. W książkach znajduje się nietylko metryka jej urodzin i nazwisko ale kiedy zniosła pierwsze jajko i ile ważyło, kiedy pięćdziesiąte, setne itd. Niemal wszystkie znoszą ponad dwieście, a wiele ponad trzysta jajek rocznie. Twierdzą, że zasługa nośności kur zależy nie od kur ale od kogutów. Więc też możecie tu kupić koguta n. p. Henryka Ósmego za pięćdziesiąt dolarów, inne są tańsze, zależy od rekordu ich córek.

Przechodzimy do dużego murowanego budynku. Zarządca wyciąga z kieszeni klucz, zapytuje się czy z bydłem nie miałem bliższej styczności. Mówię, że już od bardzo dawna z tak uczciwem bydłem nie miałem nic do czynienia, chyba tylko na talerzu w formie befsztyków. Weszliśmy do wnętrza. Przed nami umywalka z gorącą i zimną wodą. Nadusisz nogą pedał i masz ciepłą wodę i mydełko desinfekcyjne niby w szpitalu. Myślałbyś, żeś wszedł do sali operacyjnej a nie do — obory. Wkładają na ciebie płaszcz gumowy, na nogi kauczukowe papcie i dopiero przez szklane drzwi wpuszczają cię do obory. Siano sprowadzają aż z Montany czy Colorado, bo się obawiają, że od innego siana krowy mogą zachorować. Najwięcej się obawiają, aby krowa — „nie poroniła". Kiedyś to się ciężko pracującym kobietom takie wypadki zdarzały, teraz to i krowom się coś podobnego przytrafia. Tu jednak jeszcze nie mieli takiego nieszczęścia. Zapoznałem się z krową „Daisy ueen", która daje tyle mleka, tyle masła, tyle śmietany, tyle tego i tamtego, wogóle wszystkiego co krowa dać może. Ukłoniłem się z uszanowaniem tak zacnej i szlachetnej krowie. Ona zaś na powitanie — machnęła ogonem. Zdaleka przypatrywałem się także reymontowskiemu — bykowi, oczywiście bez operacji kozikiem. Jego genealogji nie pamiętam, ale to już nie bydlęca arystokracja, ale wprost — magnaterja.

Ogromnie byłem tem gospodarstwem zaciekawiony. Co za wspaniała praca dla — już chciałem powiedzieć — ludzkości, a to właściwie dla „bydłowości i świniowości" boć i świnie rasowe tu hodują. Czyby to nie ciekawy był eksperyment, gdyby taką farmę doświadczalną urządzili dla ludzi?... Może dałoby się wyprodukować jakąś uczciwą rasę. Hitler już coś w tym kierunku czyni. Właściwie nie chce on udoskonalić rasy niemieckiej czy teutońskiej, gdyż ta już jest „non plus ultra", ale chce ją właściwie „oczyścić" z domieszki narodu przez Boga wybranego, a przez Niemców i wielu innych niepożądanego". Może przyjdzie czas, że wszelkim zdechlakom, suchotnikom, syfilitykom, idjotom, bęcwałom, kryminalistom nie pozwolą się rozmnażać, a wszystkich niedorajdów i chorych jak to radzi Hitler będziemy czemprędzej na drugi świat ekspedjować. Ale już nie będę więcej bredził na ten temat, bo gotowibyście mnie na jaką inkwizycję wpakować a książkę na stosie spalić, co oczywiście by cyrkulacji ogromnie pomogło.

Parę mil za miastem wjeżdżam do stanu Vermont, który nazwę otrzymał od pierwszej francuskiej ekspedycji, pod wodzą słynnego Champlain'a. Gdy płynął jeziorem, które nosi jego nazwę, uderzyły go swą pięknością góry, pokryte zielenią świerkowych lasów i nazwał je Vert Mont a z tego już się utarło — Vermont. Jest to właściwie pierwszy stan, który przystąpił do unji po walce o niepodległość. Droga prowadzi o parę mil od granicy trzech stanów Massachussetts, New York i Vermont.



Nowoczesny sposób hodowli kur — Nowa Anglja.

Przez pewien czas były tu poważne zatargi między stanem Nowym Jorkiem a Vermontem. Niby Nowy Jork uważał to za swe terytorjum. Tamci zaś obstawali przy swoich prawach i granicach. Gdy z Nowego Jorku tu wysłano urzędników dzielni wermontczanie pochwycili ich, przywiązali do drzewa i rózgami porządnie po plecach wygarbowali z poleceniem, aby się tu więcej nie pokazywali. To jeszcze było przed walką o niepodległość.

Podczas rewolucji tutejsi setlerzy zaniechali swych prywatnych porachunków ze sąsiadem i kilkakrotnie porządnie dali się Anglikom we znaki. Dojeżdżamy właściwie do miasteczka Bennington, w którem zbudowano wysoki pomnik na pamiątkę zwycięskiej bitwy, jaka się odbyła 15-go sierpnia 1777 roku, kilka mil za miastem. Generał angielski Burgoyne, z którym się nieco później bliżej zapoznamy, wysłał tu ekspedycję pod wodzą niemieckiego pułkownika Breymana, aby skonfiskować zapasy żywności w Bennington złożone, a jego armji tak potrzebne. Ochotnicy z New Hampshire pod wodzą zdolnego generała Starka wraz z posiłkami z Massachussetts i z Vermont w sile przeszło dwu tysięcy chłopa, coprawda niezbyt dobrze uzbrojeni i wyćwiczeni, osaczyli ośmset Hessów i zadali im klęskę. Wielu zabrali do niewoli a wśród tych śmiertelnie rannego pułkownika Breyman'a. Nadchodzące posiłki także dostały lanie. To zwycięstwo było jakoby przygrywką do ostatecznej klęski, jaką zadano Anglikom pod Saratogą. Przed bitwą generał Stark miał się wyrazić, „że jeżeli nie zwycięży, żona jego zostanie wdową;" tymczasem to się spełniło na jego antagoniście pułkowniku Breymanie.

Na miejscu, gdzie się zebrały wojska kolonistów i dokąd sprowadzono rannych i niewolników, zbudowano wysoki, granitowy pomnik. Twierdzą, że po pomniku Waszyngtona w stolicy kraju to ma być najwyższy pomnik wojenny w Ameryce. Nic tu ciekawego niemasz, chociaż panorama z pomnika jest bardzo piękna, ale nie miałem wielkiej ochoty wdrapywać się po schodach na szczyt wysokiej wieży.

Droga rządowa Nr. 7 cała z betonu prowadzi uroczą doliną niewielkiej rzeczki Otter Creek do Rutland. Po jednej i drugiej stronie wznoszą się zielone wzgórza od trzech do czterech tysięcy stóp wysokie, wszystko pokryte lasem klonów, świerków i lip. Vermont nazywają stanem granitu. Przy drogach niekiedy napotykam ogromne kamieniołomy. Na wagonach kolejowych widzę duże bryły białego marmuru. W Rutland i okolicy są nasze największe złoża marmuru, mogącego iść w zawody z pięknemi kararyjskiemi marmurami Włoch.

W West Rutland jest polska parafja, w której może nawet od samego założenia pracuje bardzo uczciwy, szczery a gościnny Ks. Michułka. Tem więcej go poważam, gdyż poza wzorową

pracą w parafji trudni się także pszczelarstwem i wyrabia znakomite miody. Nawet Zagłoba z lubością mlaskałby językiem, gdyby mu ks. Michułka wyciągnął starą zmurszałą butelkę swych delicyj.

Rozdział XVIII.

WZDŁUŻ JEZIORA CHAMPLAIN.

Pędząc elegancką drogą i uroczą doliną w kierunku północnym, za półtorej godziny staję nad brzegiem pięknego, a ze względów historycznych bardzo ciekawego jeziora Champlain. Schludne miasteczko Burlington z sąsiadującem Winooski ciągną się nad malowniczą zatoką tej niebieskiej tafli wody. Jezioro Champlain jest sto piętnaście mil długie a największa szerokość nie przekracza piętnastu mil. Część północna jeziora leży w Kanadzie i tam ma swój główny dopływ w rzece Richelieus a ta znów łączy się z rzeką św. Wawrzyńca w pobliżu Montreal. Dlatego też ten stosunkowo wąski pas wody, wraz z jeziorem George przez odkrywców Francuzów nazwane St. Sacrament, i rzeką Hudson tworzą ważną linję komunikacyjną. Przez setki lat tędy szły wycieczki Indjan, a za nimi ekspedycje białych i liczne wyprawy wojenne. Każda wojna między Anglją i Francją a było ich dosyć, tu się odzywały krwawem echem. Tak z jednej jak i z drugiej strony urządzano wyprawy wojenne na przeciwników, którym zawsze towarzyszyły dzikie gromady Indjan gotowych do skalpowania „bladych twarzy".

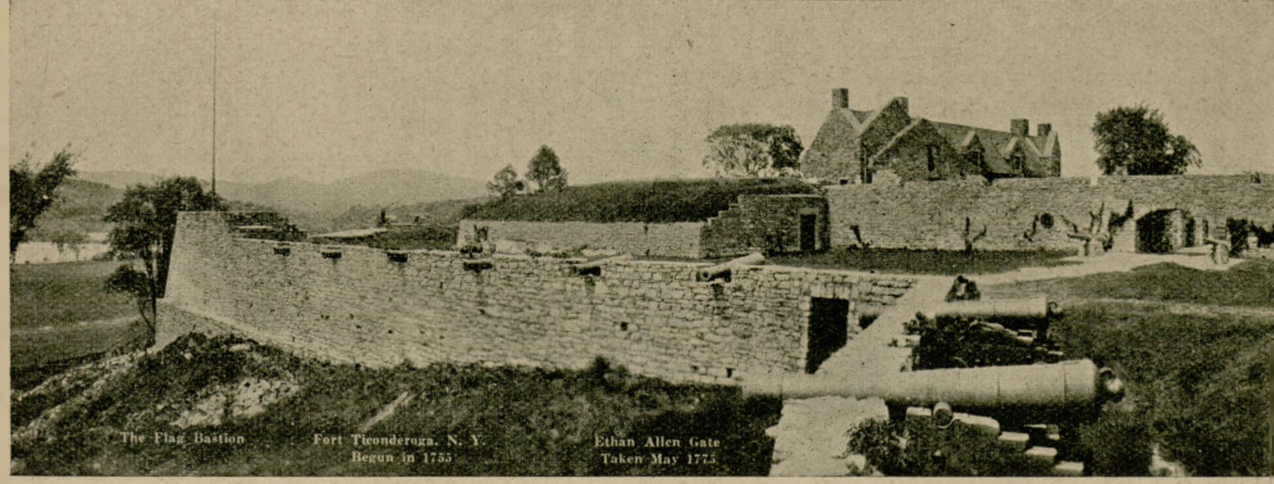
Odkrywcą i pierwszym żeglarzem, który się włóczył po tych cudownych a naówczas rybnych jeziorach, był Sieur Samuel Champlain. Jezioro w północnej części jest daleko szersze i dwiema odnogami wrzyna się w terytorjum angielskie, tworząc przytem kilka wąskich, długich wysepek, na których teraz rozlokowały się liczne letniska i pałace bogaczy. Kilka mil na północ od Burlington, długim nasypem, po obu stronach drogi obsadzonym wierzbami przeprawiam się na największą z wysp zwaną Grand Isle. Jadę dobrą godzinę wąskiemi przesmykami, wśród sosen i białych brzóz zewsząd otoczony bogatemi pejzażami, uroczemi

zatokami, małemi portami, plażami i letniskami. To kiedyś był raj Indjan z tem zastrzeżeniem, że Indjanin nie zniszczył ani cudnych lasów, ani zwierzyny, ani ryb, które mu dostarczały pożywienia. Zato biali wycięli lasy, wybili zwierzynę, wyłowili ryby i zaśmiecili ten malowniczy zakątek miasteczkami i letniskami.

Po licznych wykrętasach i mostach, na których trzeba było płacić podatek, dotarłem do samego brzegu wody na wyspie La Motte. Tu właśnie Champlain zatrzymał się 15-go lipca 1609-go roku. Kiwnęliśmy sygnałem i z przeciwnego brzegu przybyła po nas skuta motorowa i za pół godziny stanąłem na przeciwnym, zachodnim brzegu jeziora, w małej wiosce Chazy. Tu podobno wylądował jeden z towarzyszy Champlain'a, a Indjanie czemprędzej go oskalpowali.

Ruszyłem natychmiast w kierunku północnym ku granicy kanadyjskiej. Nie miałem na celu inwazji do Kanady, aby ugasić pragnienie, jak to uczyniłem w Vancouver, ale co innego mnie na samą granicę ciągnęło. Ostatniem miasteczkiem, do jakiego mogłem bezkarnie dojechać, jest Rouses Point. Na głównej ulicy zauważyłem komorę celną i pełno urzędników cłowych. Ale nie mając zbrodniczych zamiarów na trunkowość i prohibicję popatrzałem z czystem sumieniem na ich twarze i skręciłem w bok przez polną drogę do starego fortu — Montgomery.

Ponieważ tu był ważny punkt strategiczny, zupełnie słusznie rząd Amerykański zbudował jak na owe czasy silną fortecę i nazwał ją ku czci bohatera z pod Quebec — Fort Montgomery. Anglicy oczywiście nie mogli się temu sprzeciwić, żeśmy sobie tu fort potężny zbudowali murem i wałem otoczony. Nie podobało im się tylko to, że zamiast go zbudować na własnym „gruncie", postawiliśmy go poza granicą na ziemi angielskiej. Gdy przeprowadzono dokładne pomiary graniczne, przekonano się, żeśmy się za daleko zagalopowali. Dlatego też Anglicy nazywają go — Fort Blunder — co po naszemu oznaczałoby — fort błędny. W każdym razie do wojny nie przyszło, a my za ten kawałek bagna nad brzegiem jeziora zapłaciliśmy i wszystko w porządku. Ciekaw jestem, coby się naprzykład stało, gdyby Hitler albo Polska wymierzyli sobie forteczkę na terytorjum sąsiada. Cała Europa doznałaby nerwowego rozstroju, przyszłoby do wojny jak amen w pacierzu. Tu nic. Kanadyjczycy zaczekali, aż robotę ukończono, podali słony rachunek za kawałek bagna



Po prawej wejście do fortu — w tej bramie tablica na której widnieje także nazwisko T. Kościuszki.

i bezużytecznego pola i wszystko w porządku. Zresztą fort, który może kosztował z kilkaset tysięcy dolarów lub więcej, stracił strategiczne znaczenie, dlatego zabrano armaty i garnizon, a została się pusta, silna rudera, którą turyści czasami oglądają jedynie dlatego, że to może jedyny fort zbudowany „na cudzym gruncie". Chociaż prawdę powiedziawszy chciałoby się do Kanady „na jednego wstąpić", ale czas na taki luksus nie pozwala.

Ponieważ jesteśmy w granicach stanu Nowy Jork, warto jeszcze przynajmniej coś więcej o nim nadmienić. Obszarem innym, szczególnie zachodnim stanom nie imponuje, gdyż nie posiada nawet pięćdziesięciu tysięcy mil kwadratowych, zato co do ludności jest na pierwszem miejscu. Według ostatniego spisu liczy ponad dwanaście i pół miljona mieszkańców, w czem niemal połowa przypada na same miasto Nowy Jork. W tym stanie zamieszkuje bardzo dużo Polaków; grupują się przeważnie we większych miastach. Prawdopodobnie Buffalo, a następnie Brooklin posiadają największe i najliczniejsze osady polskie. Szczególnie w Buffalo Polacy są dobrze zorganizowani i w sprawach miejskich posiadają ważne wpływy i stanowiska.

Jednym z głównych szlaków, którym immigranci szli w głąb kraju, jest pas rzeki Hudson następnie od Albany na zachód doliną Mohawk. Kolej New York Central teraz stanowi główną arterję tej części kraju i nią polscy immigranci pchali się na zachód. Jak daleko taki biedak dotarł, zwykle zależało od pieniędzy. Im miał więcej dolarów, tem dalej na zachód wyemigrował, a im mniej, tem bliżej Nowego Jorku zakładał siedzibę. Niemal wszystkie większe miasteczka wzdłuż rzeki Hudson aż do Albany, a stamtąd na zachód jak Schenectady, Utica, Syracuse, Rochester i wiele innych posiadają mniejsze lub większe osady polskie, grupujące się przy jednej lub więcej parafjach polskich.

Droga, którą się teraz posuwamy w kierunku południowym, wzdłuż głębokich, wąskich, a długich jezior i spławnej rzeki Hudson, która się z niemi łączy zapomocą kanałów, należy do najciekawszych w całym kraju. Co do krajobrazu bez kwestji jest jedną z najpiękniejszych. Od wschodu wabi oko turysty przecudne jezioro Champlain z pasem gór „zielonych" na horyzoncie. Po stronie zachodniej ciągnie się pasmo gór Adirordacks, wśród których są rozrzucone malownicze jeziora, jak Lace Placid, Saranac, Tupper, Long, Scroon i wiele innych. Wymieniam tylko

większe, a trudno powiedzieć, które piękniejsze. Taki Lake George jest trzydzieści pięć mil długi i chwali się tem, że posiada 365 wysep, przypomina poniekąd mój ulubiony Lake Vermillion w Minnesocie. Cała okolica stanowi rodzaj „play ground" czyli pola zabaw i wycieczek dla okolicznych wielkich miast, szczególnie Nowego Jorku. W Lake Placid i Saranak Lake są sanatorja dla suchotników i Mekka dla okolicznych narciarzy. Saratoga posiada kilkaset mineralnych źródeł eksploatowanych przez stan. Geologowie twierdzą, że Adirondacks są najstarszemi górami na zachodnim kontynencie.

Pierwszem większem miasteczkiem, do którego dojeżdżam, tuż nad jeziorem jest Plattsburgh. Rząd tu utrzymuje garnizon wojskowy i duże baraki dla wyszkolenia wojskowego młodzieży t. zw. Citizens Training Camp. Potomkowie Jozuego uczą się w nich intendentury wojskowej. W pobliżu miasteczka w wojnie z Anglją w roku 1812, ekspedycja angielska dostała lanie tak na lądzie jak i na wodzie.

Dwanaście mil na południe, przy miasteczku Keensville, rzeka Ausable przedzierając się do jeziora Champlain, wyżłobiła sobie bardzo ciekawe i nadzwyczaj malownicze łożysko. Poprostu wąską a głęboką kotliną wcięła się w twarde nadbrzeżne pokłady piaskowca, Miejscami ów malowniczy kanjon zdobny w czerwone i białe warstwy piaskowca jest zaledwo od sześć do dziesięć stóp szeroki, ale zato sześćdziesiąt stóp głęboki. Ma się rozumieć skapitalizowano tę naturalną atrakcję. Zbudowano wygodne hotele, zajazdy, łodzie, chodniki, rzucono mostki, jednem słowem zrobiono wszystko, aby turystów na miejsce ściągnąć i pieniądze z nich wyłudzić.

Po krótkim przestanku ruszam niezwłocznie przez miasteczko Westport do wąskiej cieśniny Crown Point, która łączy dolną i górną część jeziora. Nic dziwnego, że Francuzi odrazu połapali się na tej ważnej strategicznej pozycji i założyli w roku 1731-ym osadę, zbudowali przytem fortecę św. Fryderyka. Anglicy w roku 1759-ym stąd ich wypłoszyli. Załoga i ludność przed opuszczeniem tej placówki wysadziła fort w powietrze, a zapasy żywności zniszczyła. Anglicy kosztem dziesięciu miljonów dolarów zbudowali na tem miejscu fort Amherst. To miało być ochroną dla kolonistów angielskich przed najazdem Francuzów. Żadnych bitew o jego zdobycie nie toczono. Ząb czasu zniszczył stare

koszary; pozostały jeszcze zewnętrzne wały, a rząd ruiny jednego i drugiego fortu otoczył pieczołowitą opieką, zbudował małe muzeum i zajazd dla turystów, którzy tu licznie przybywają.

W trzechsetną rocznicę odkrycia jeziora dwa z sobą sąsiadujące stany Nowy Jork i Vermont wspólnym kosztem zbudowały wspaniały pomnik słynnemu odkrywcy. Jest to latarnia morska, otoczona kolumnami a od strony jeziora w bronzie odlano heroicznych rozmiarów grupę przedstawiającą Samuela Champlain'a, obok niego Indjanina i żołnierza francuskiego. Przez cieśninę zbudowano niedawno most ułatwiając ogromnie komunikację między Vermontem a Nowym Jorkiem. Dla turystów urządzono wygodne kabiny i małe polne piecyki, w których mogą sobie jedzenie przygotowywać. Wielu korzysta z tej szczodrobliwości w tem uroczem i historycznem miejscu.

Mniejwięcej dwadzieścia mil na południe od Crown Point i pomnika Champlaina jest może jeden z najciekawszych, jeżeli nie najciekawszy, z zabytków historycznych — Fort Ticonderoga. Byłem już tu parę razy i trudno mi się z tego miejsca oderwać, bo tyle ciekawych zabytków, tyle historycznych wspomnień się z niem wiąże, iż możnaby usiąść na starych barbakonach fortu lub lawetach armat i snuć złotą nić ważnych historycznych wypadków, jakie się w tem zaciszu przelały na karty nietylko amerykańskiej, ale zarazem europejskiej historji.

W tem właściwie miejscu zaszedł mały napozór wypadek, który jednakowoż pociągnął za sobą poważne następstwa. Historycy twierdzą, że gdy Champlain w 1609-tym tu wylądował, wywiązała się gwałtowna bitwa między Indjanami. Nie wiem, czy aby bronić słabszych, czy też dla jakichś innych powodów a może we własnej obronie, dosyć na tem, że Champlain do tej „prywatnej zabawy“ Indjan się wmieszał i kazał swym żołnierzom do przeciwników „wygarnąć“. Indjanie nigdy przedtem prochu nie wąchali ani strzału nie słyszeli, a widząc swych wojowników zabitych i rannych, zwiali do lasu. Champlain zadarł z przedstawicielami silnego i wojowniczego plemienia Iroquois. Nigdy tego francuzom nie zapomnieli i stanęli po stronie Anglików. Historycy twierdzą, że właśnie dzięki temu, cały kraj wraz z Kanadą dostał się ewentualnie w ręce anglików.

Fort Ticonderoga zojmował ważne strategiczne stanowisko przy połączeniu dwóch spławnych jezior Champlain i Lake Ge-

orge. Około roku 1755-go Francuzi rozpoczęli, jak na owe czasy budowę silnej fortecy pod nazwą fort Carillon. Stała się jakoby sztyletem godzącym w serce kolonij angielskich, grupujących się około Bostonu i Nowego Jorku. W roku 1758-ym 8-go lipca armja angielska w sile piętnastu tusięcy żołnierza chciała szturmem wziąć twierdzę. Francuzami dowodził zdolny i przebiegły generał Louis Joseph Marquis de Montcalm. Na milę przed samym fortem silnie ufortyfikował wąski przesmyk, którym trzeba było właściwy fort zaatakować. Naścinał drzew, narobił zasieków, zbudował wały obronne, za któremi rozstawił swe wojska. Chociaż Anglicy byli trzykroć tak liczni jak Francuzi, ale mimo szalonych ataków fortecy nie zdobyli. Szczególnie pułk szkocki „Black Watch" tu się odznaczył i stracił ponad siedemdziesiąt procent w zabitych i rannych. Przeszło dwa tysiące Anglików legło na polu bitwy. Straty francuskie były daleko mniejsze. Następnego roku Anglicy zorganizowali następną wyprawę jeszcze lepiej wyekwipowaną, przed którą załoga francuska ustąpiła, poprzednio zburzywszy prochownie i zapasy. Francuzi równocześnie ewakuowali także Crown Point czyli ford St. Frederic. Bohater z pod Ticonderoga, generał Montcalm, zginął w bitwie pod murami miasta Quebec. Zwycięzca, generał angielski Wolf także został śmiertelnie ranny w tej samej bitwie na równinie Abrahama W ten sposób Francja straciła swoje kolonje północne. Kolonje południowe grupujące się około Nowego Orleanu i St. Louis t. zw. Louisiana odsprzedała za piętnaście miljonów dolarów Amarykanom za czasów Napoleona.

Drogę wiodącą rzekami i jeziorami „od Mont Realu" aż do Nowego Jorku słusznie nazywają „Warpath of the Nations" — szlakiem wojennym narodów. Indjanie, Francuzi, Anglicy, nareszcie Amerykanie w tych okolicach toczyli krwawe boje. Nad fortem Ticonderoga powiewały trzy sztandary. Najpierw francuski, następnie angielski, potem amerykański i przez krótki czas znów angielski, a od czasów rewolucji — amerykański.

W piętnaście lat po ostatecznym triumfie Anglików nad rywalami wybuchła walka o niepodległość. Ticonderoga będąc w ręku Anglików była nader niebezpieczną twierdzą dla rewolucjonistów. Postanowiono ją zdobyć. Ochotnicy z Vermont t. zw. „Green Mountain Boys" pod wodzą nieustraszonego Ethana Allen'a, z którym był także nasz Benedykt Arnold, przeprawili

się łodziami przez jezioro i w nocy wdarli się do fortu, w którym straże po porządnej libacji spały jak zabite. Było to wielkie i chwalebne zwycięstwo dla oręża amerykańskiego, a to tem bardziej, że wśród bogatych zapasów prochu, kul i niezbędnych armat znalazło się także blisko sto galonów wódki na „pokrzepienie“ ducha. Ponieważ cała ekspedycja składała się zaledwo z dwustu kilkudziesięciu żołnierzy, łatwe i bezkrwawe zwycięstwo obchodzono sutą libacją.

Podczas wyprawy wojennej pod wodzą generała John Burgoyne'a fort Ticonderoga dzięki ślamazarności i pewnej tchórzliwości dowódcy dostał się z powrotem w ręce Anglików. Ale nie długo nim się cieszyli, gdyż po przegranej bitwie pod Saratogą całą armję angielską zabrano do niewoli. Znów na murach fortu wywieszono sztandar gwiaździsty, który zapewne już tam na wieki pozostanie, gdyż obecnie fort nie przedstawia żadnej strategicznej wartości, ale zato jest zabytkiem historycznym.

Zapłaciwszy pół dolara wstępnego w wygodnej kwaterze turystycznej, wejdźmy na chwilę do samego fortu już niemal kompletnie odrestaurowanego, według oryginalnych planów francuskich. Fort był otoczony grubemi murami, za któremi poustawiano szereg ciężkich dział. To niby stanowiło zewnętrzne fortyfikacje z dodatkowemi barbakanami, broniącemi dostępu do bram. Sam fort, z kamieni budowany, miał także platformy i zabezpieczenia kamienne do drugiego rzędu armat. Wszystko było otoczone jakoby platforma, na której piechota mogła odpierać atak nieprzyjacielski. Obszerne sale stanowiły kwaterę dla załogi, a w podziemiach założono magazyny prochu, żywności i potrzebnych zapasów w razie dłuższego oblężenia. Do wnętrza fortu, a właściwie t. zw. „place d'armes“ wchodzi się dużym gankiem, kiedyś ciężką bramą zamykanym. Wchodząc na plac ćwiczeń, otoczony ze wszech stron murami fortu, zauważyłem na ścianie tablicę bronzową, na której były wyryte nazwy słynnych ludzi, którzy tędy do fortu przechodzili. Między innymi najwybitniejsi to Montcalm, Waszyngton, Franklin, Benedykt Arnold, Ethan Allan, Horatio Gates, Antoni Wayne, R. Montgomery (poległ pod Quebeckiem) Burgoyne, a dla nas najważniejszy — Tadeusz Kościuszko. Pod tym dosyć długim spisem wybitnych wodzów i bohaterów jest taki napis: „I wielu innych wybitnych ludzi w na-

szej historji tędy przechodziło. Ty, który wchodzisz ich śladami, pamiętaj o ich chwale".

Robotnicy w dalszym ciągu pracują nad restauracją fortu. Budują na nowo rozwalone ściany, pogłębiają rowy, zaciągają stare armaty, których tu jest stosunkowo bardzo dużo. Niektóre to nawet rząd angielski przysłał na pamiątkę. Na placu, wśród rozmaitych rupieci, zauważyłem marmurową tablicę i do niej przyczepiony plak bronzowy z małą mapą i oznajmieniem, że z tego miejsca, po zdobyciu fortu, generał Knox zimą, na saniach zaprzężonych w kilka jarzm wołów zabrał ciężką artylerję forteczną. Wlókł ją po kiepskich leśnych drogach przez miasta, a właściwie ówczesne wioski Albany, Pittsfield, Springfield, Worcester i w stosunkowo bardzo krótkim czasie dowlókł je do Bostonu, gdzie się wielce przyczyniły do wypędzenia Anglików. Jak na owe czasy był to rzeczywiście ogromny problem transportacyjny, z którego jednak świetnie się wywiązał generał Knox, dowódca artylerji.

W jednem ze skrzydeł fortecy urządzono bardzo ciekawe muzeum wojskowe. W obszernej sali umieszczono za szkłem woskowe figury z kompletnem umundurowaniem i uzbrojeniem żołnierzy francuskich i angielskich, którzy tu walczyli lub kwaterowali. Prócz tego, jest bogaty zbiór najrozmaitszej broni, karabinów, pałaszy, pistoletów własności oficerów angielskich i francuskich; są tu także ciekawe listy, plany, obrazy i stare sztychy. W innym przedziale znów jest zbiór sprzętów domowych, tkalni, młynków do przesiewania zboża, jarzm na woły, misek i t. p. Dla ludzi wojskowych jest to może jeden z najciekawszych zbiorów w Ameryce, a to tem bardziej, że każdy sprzęt jest jakoby połączony z historją fortecy.

Mam teraz dwie drogi do wyboru: jedna prowadzi wzdłuż południowej odnogi jeziora Champlain przez Whitehall, Fort Ann, Fort Edward i Hudson Falls i tą drogą maszerował generał Burgoyne na pole bitwy pod Saratogą. Druga przez wioskę Ticonderoga prowadzi wzdłuż jeziora Lake George do miasteczka tej nazwy. Wybieram tę ostatnią, gdyż co chwila wśród zieleni lasu błyszczy niebieska tafla wody upstrzona setkami cudnych wysp. Na większych widać bogate pałace nowojorskich miljonerów, a wszędzie pełno zajazdów i letnisk dla turystów.

Miasteczko Lake George, na samem końcu jeziora rozrzucone, jest Mekką dla turystów i letników. Ale nowoczesne hotele

i plaże kąpielowe nie interesują mnie zbytnio; widziałem daleko większe. Zato zabytki historyczne w formie starych wałów fortecznych i częściowo restaurowanych starych murów wielce mnie zaciekawiły. Stan, ma się rozumieć, skrupulatnie się o te zabytki troszczy. Utworzył rodzaj parku, zbudował kwatery dla turystów, porobił drogi i dorzucił kilka pięknych pomników. Dotąd właściwie sięgała potęga królów francuskich. Wyparli ich stąd Anglicy przy pomocy czerwonoskórych sprzymierzeńców, Iroquois. Pomnik na polu bitwy, jaka się tu odbyła 8-go września 1755-go roku, upamiętnia ten fakt. Wódz Indjan odbywa naradę z generałem Johnsonem, który idąc za wskazówkami dzikiego sprzymierzeńca, zadał klęskę Francuzom, pod wodzą generała Dieskau.

Nie mogę się oprzeć pokusie, aby jeszcze po raz ostatni przynajmniej nie rzucić czytelnikowi chociażby jednej garści faktów o tym ciekawym „cesarskim“ stanie, tak bowiem nazywają Nowy Jork — The Empire State. Może nawet sobie na tę chlubną nazwę zasłużył.

Co do obszaru Nowy Jork stanowi zaledwo sześćdziesiątą część kraju i nie imponuje nam bogactwem minerałów, chociaż jest tu dosyć soli, trochę oleju, węgla i żelaza, ale zato w innych gałęziach przemysłu i handlu wyśrubował się na pierwsze miejsce. To nasz najbogatszy stan. Posiada coprawda dziesiątą część ludności, ale zato przeszło połowę obrotu kapitałów całego kraju; posiada czwartą część depozytów Ameryki, trzecią część dochodów i produkuje jedną siódmą wszelkich fabrykatów. Majątek tego stanu szacują na przeszło trzydzieści siedm miljardów.

Trzy ćwierci garderoby damskiej i połowę ubrań dla mężczyzn szyją w tym stanie, a kontrolę nad tą gałęzią przemysłu trzymają w swych rękach Żydzi. Niemal każde większe miasto ma jakąś specjalność i w swej gałęzi innym miastom przoduje. A więc w Schenectady, gdzie zamieszkuje duża osada polska, mają największe fabryki przyrządów elektrycznych, począwszy od jakichś mistycznych motorów czyli silników, a skończywszy na kolosalnych turbinach do wytwarzania elektryczności zapomocą siły wodnej. Przypadek rozbudował to miasto. Ktoś doniósł Edisonowi, że w Schenectady była fabryka na wykończeniu i można ją było tanio kupić. Z tej fabryki wyrósł olbrzymi kolos siły elektrycznej i... finansowej.

Inny dziwak wpadł na myśl, że gdyby się kołnierzyki i man-

kiety nie brudziły, to reszta koszuli byłaby w porządku chociażby na pół roku i zaczął fabryczkę kolnierzyków i mankietów do koszul przyczepianych guzikami. Zrobił fortunę i w Troy jest siedziba — kołnierzyków i koszul, bo przecież kołnierzyk bez koszuli noszą tylko księża, a porządni ludzie zaś koszule z kołnierzykami. Słynni dyplomaci nosili koszule bez kołnierzyków, o czem zresztą w Polsce wszystkim wiadomo. W Cleversville znów wyrabiają i rozsyłają po całym świecie rękawiczki, w Rome zaś wyroby z miedzi mają swą siedzibę. W Rochester szyją ubrania. Eastman z niczem zaczął, a zrobił kolosalną fortunę na aparatach fotograficznych. Gdyby można wyciągnąć w jeden pas filmy, jakie tu robią do ruchomych obrazków, to jednoroczna produkcja opasałaby całą kulę ziemską na równiku ośm razy. Tygodniowo przetapiają cztery tony srebra na przygotowanie klisz i taśm do ruchomych obrazków.

W małem miasteczku, Watertown, powstał pierwszy a u kobiet najpopularniejszy skład pięcio i dziesięcio centowych towarów. Frank Voolworth poprosił sklepikarza, aby mu pozwolił wystawić kantor z takiemi towarami. Skutek jest wiadomy. Z tych drobnostek powstał jeden z najpiękniejszych drapaczy chmur „Katedra Przemysłu“ Woolworth Building w Nowym Jorku. Możnaby tu znów całą litanję wyrecytować, ale uważam to za zbyteczne.

Jedno uderza turystę, a to jest praca konserwatywna stanu. Wszystkie stare zabytki, parki, wodospady, kanjony i góry lasami i jeziorami zdobne cieszą się troskliwą opieką. Rezerwat leśny Adirondacks jest jednym z największych w całym kraju. Obejmuje przeszło dwa miljony akrów. Praca zalesiania nieurodzajnych obszarów, obejmujących miljony akrów postępuje szybko naprzód. Stan utrzymuje sześć olbrzymich szkółek, w których sadzą około sto trzydzieści pięć miljonów drzewek rocznie przeważnie sosen. Ponadto prowadzi kilka wylęgarni ryb, przeważnie pstrągów i stale zarybia wszystkie rzeki i jeziora. Nie brakuje także kilku stanowych gospodarstw do wychowania bażantów i innego dzikiego ptactwa, aby tutejsi obywatele mogli czasem strzelać i polować nie tylko na ludzi, ale także na zwierzynę. Są jednak pewne obszary leśne, w których nikomu polować nie wolno i w których mnoży się ptactwo i dzikie zwierzęta.

Nietylko że stan otacza pieczołowitą opieką urocze zakątki, pamiątki historyczne, ale także ułatwia obywatelom i turystom

dostęp i pobyt w tych zaczarowanych kniejach. W parkach stanowych znajdziesz murowane kominki i piecyki, na których możesz gotować; masz źródła lub rury dostarczające wody do picia, znajdziesz nieodzowne ustępy i to czysto utrzymane, masz drogi, zajazdy, składy z żywnością i potrzebami dla turystów. Dostarczy ci stan bezpłatnie mapy i opisów poszczególnych atrakcyj, zachęcając nietylko swych ale i innych obywateli, aby tu przybyli i korzystali z tych uroczych zaciszy w górach, nad jeziorami lub też, aby zwiedzali historyczne pamiątki i ciekawe muzea.

Po tej małej dygresji, jadąc wśród starych historycznych miasteczek zbliżam się do słynnego pola bitwy pod Saratogą, a właściwie Bemis Heights. Liczne żelazne tablice przy drodze objaśniają turyście znaczenie danej twierdzy, miasteczka, rzeki i co tu się stało podczas wojny o niepodległość. A więc — z miasteczka Lake George jedziemy do Glen Falls, gdyż w tem miejscu rzeka Hudson przedziera się przez skalne porohy, z czego ludzie niezwłocznie skorzystali i zbudowali tamy do zużytkowania siły wodnej.

Anglicy pod wodzą generała Jana Burgoyna tu się przeprawili w pogoni za wojskami kontynentalnemi. Zkolei przekroczyli Hudson Falls, zajęli Fort Edward i wzdłuż zachodniego brzegu rzeki posuwali się na południe w tej nadziei, że w Albany połączą się z wojskami angielskiemi, które miały wyruszyć na ich spotkanie z Nowego Jorku rzeką Hudson. W Albany miała się połączyć także ekspedycją pod wodzą generała St. Legere sunąca ku wschodowi od jeziora Ontario doliną rzeki Mohawk. Plan oczywiście był genjalny i siły rewolucjonistów dostawszy się w potężne kleszcze trzech armij angielskich, zostałyby rozbite i zniszczone, a tem samem walka o niepodległość otrzymałaby tu cios śmiortelny.

Ale nieraz najlepsze plany jakoś się popsują. To się stało z wyprawą angielską. Generał Howe najspokojniej siedział w Nowym Jorku i nie myślał nawet fatygować się do Albany, chociaż miał do dyspozycji flotę i wojsko. Generał St. Leger, w okolicy miasta Rome, dostał lanie od kolonistów pod wodzą generała Herkheimer. Amerykańskiemu dowódcy, zaraz na początku bitwy kula strzaskała nogę. Kazał sobie podać siodło, usiadł na niem pod drzewem i spokojnie paląc fajkę, dalej prowadził bitwę zakończoną pogromem nieprzyjaciela. Dzielna obrona fortu Stanwix

przez komendanta zdaje się Holendra, nazwiskiem Gansevoort, zwycięstwo Herkheimera pod Oriskenay, klęska pod Bennington, o której wspomniałem, zostawiły ośmiotysięczną armję generała Burgoyna na łasce losu.

Trzeba pamiętać, że baza angielska, w której można było czerpać zapasy i żywność, znajdowała się w Montrealu. Dróg dobrych nie było, a co gorsza — generał Burgoyne nie zabrał nawet odpowiedniej ilości wozów i koni, więc tylko łodziami wszystko sprowadzano i na barkach żołnierzy przenoszono. Brakowało mu wszystkiego, w dodatku koloniści pod wodzą generała Stark napadali na linje komunikacyjne i niszczyli zapasy, tak dla armji niezbędne.

Zdolnego i zapobiegliwego generała Schuylera zastąpiono generałem Gatesen, który objął komendę nad siłami rewolucjonistów, dzięki swym wpływom w kongresie. Pod względem wojskowym, a nawet co do charakteru była to kreatura dosyć mierna i marna. W każdym razie w pobliżu Albany zgromadzono znaczne siły zbrojne na odparcie grożącego ataku. Wśród oficerów znalazło się kilku ludzi genjalnych i w sprawach wojennych doświadczonych. A więc był tam może największy tej bitwy bohater, generał Arnold, był jego współtowarzysz wyprawy pod Quebec, generał Daniel Morgan ze swymi znakomitymi strzelcami, no a co najważniejsze był tam — Tadeusz Kościuszko i jak się wyraził Arnold, który go znał osobiście „jedyny nasz inżynier".

Widząc zbliżające się wojska angielskie Arnold z Kościuszką wyjechali naprzód wybrać odpowiednie pole bitwy, aby wstrzymać najeźdźcę a jeśli możliwe go rozgromić. Okolica Bemis Heights czyli wzgórza Bemis, według zdania Kościuszki, nadawała się najlepiej do obrony i przyjęcia bitwy. Na prawym flanku, od wschodu, rzeka Hudson zabezpieczała prawe skrzydło, a na niewielkich wzgórzach, przecinających drogę armji nienieprzyjacielskiej Kościuszko kazał zbudować pozycje dla artylerji, wały i zasieki, z poza których możnaby było z łatwością odpierać ataki nieprzyjacielskie. Dla wszelkiej pewności w Mechanicsville i Cohoez kazał przygotować także wały obronne, aby w razie odwrotu mieć dalsze silne pozycje do obrony i wstrzymywania nieprzyjaciela.

Idąc za radą Arnolda i Kościuszki, generał Gates posunął swą armję na wyznaczone stanowiska i zaczął się okopywać we-

dług planów naszego bohatera. Dziewiętnastego września 1777-go roku stoczono walną rozprawę między armją angielską a wojskami kolonistów. Po stronie angielskiej Hesi pod wodzą Breymana i generała Reidella dwukrotnie uratowali anglików od klęski. Ze strony amerykańskiej Benedykt Arnold nie czekając, aż go Anglicy w okopach zaatakują, sam bitwę rozpoczął i wojskom angielskim dotkliwe zadał cięgi. Całodzienna bitwa zasiała pole rannymi i trupami.

Następnego dnia mieli Anglicy na nowo rozpocząć bitwę, ale mgła im przeszkodziła. Może gdyby byli zaatakowali wojska kontynentalne, bitwą wyczerpane i bez większych zapasów amunicji, kto wie, czyby się nie przedarli a tem samem uratowali od klęski. Przeszło dwa tygodnie stały naprzeciw siebie dwie armje. Każdy dzień zwłoki był korzyścią dla rewolucjonistów, a klęska dla Anglików, odciętych od swej bazy w Kanadzie.

Dnia 7-go października nastąpiła druga bitwa, w której Anglicy po ciężkich stratach w ludziach byli zniewoleni do odwrotu. W ataku na silnie obwarowane pozycje nieprzyjacielskie wsławił się nasz Benedykt Arnold. Dowódca wojsk niemieckich Breyman zginął a Arnold został powtórnie ranny w nogę, jego też uważają za największege bohatera dnia. Tu może najbardziej zajaśniała jego genjalna gwiazda. Niestety, za kilka lat pokryła się ona hańbą zdrady kraju, za który tak dzielnie walczył i hojnie krew swą przelewał. Anglicy widząc, że są ze wszystkich stron otoczeni i że dalszy odwrót jest niemożliwy, złożyli broń. Przeszło siedm tysięcy wojska dostało się do niewoli, a bitwę pod Saratogą uważają za punkt zwrotny w naszej walce o niepodległość i zaliczają jako jedną z wielkich decydujących bitew świata. Dzięki niej uzyskaliśmy pomoc Francji, bez której nie można byłoby zwyciężyć.

Jaki udział w bitwie brał Kościuszko, trudno powiedzieć i nigdzie bliższych szczegółów i sprawozdań nie znalazłem. Faktem jest, że przygotował pozycje dla armji amerykańskiej. Te jednak nigdy nie były nawet przez nieprzyjaciela zagrożone. W każdym razie jemu się należy zasługa za wybranie tak dogodnego terenu walki.

Kilka lat temu stan wykupił pole bitwy z rąk prywatnych i zapewne z czasem miejsce chwały będzie kompletnie odrestaurowane i upiększone. W ważniejszych punktach postawiono kilka

małych pomników. Może najciekawszy stoi w miejscu, gdzie była reduta Hesów zdobyta brawurowym atakiem gen. Benedykta Arnolda. Na kamiennej tablicy wycięto podobiznę buta, jako pamiątkę, że w tem miejscu był ranny w nogę. Gdy z bohatera stał się zdrajcą, chciano go koniecznie pochwycić i mówiono, że gdyby się dostał w ręce wojsk kontynentalnych, powieszonoby go na suchej gałęzi, a nogę dwukrotnie zranioną pochowanoby z wojskowemi honorami

W pobiiżu miasta Saratoga zbudowano wysoki pomnik w kształcie obelisku i u dołu z czterech stron umieszczono nisze, w których są małe statuy bohaterów bitwy. Jedna z nisz jest próżna, w niej byłby umieszczony Benedykt Arnold, gdyby został lojalnym sprawie aż do końca i ostatecznego zwycięstwa. Tu się spełniły słowa Pisma św. „Kto wytrwa do końca ten zbawion będzie“.

Saratoga, od której pole bitwy wzięło swą nazwę, jest słynną z licznych źródeł mineralnych, posiadających najrozmaitsze właściwości lecznicze. Indjanie już o nich wiedzieli i przychodzili pić życiodajne wody. Twierdzą, że tu jest około czterysta źródeł mineralnych posiadających najrozmaitsze sole i właściwości. Przed wojną domową arystokracja z południa tu zjeżdżała na wyścigi konne, w celach leczniczych i szukać rozrywek w grach hazardowych. Rząd kosztem miljonów dolarów zbudował teraz kilka bogatych sanatorjów z najnowszemi technicznemi urządzeniami. Ponieważ nie odczuwałem żadnych dolegliwości, więc też bliższej znajomości z temi luksusami nie zawierałem.

Ruszam czemprędzej przez Mechanicsville, Cohoes gdzie rzeka Mohawk łączy się z rzeką Hudson, Watervliet, są to małe miasteczka w których zamieszkują liczne rodziny polskie. Za niecałą godzinę dojeżdżam do stołecznego miasta Albany, założonego przez Holendrów. Nie zatrzymuję się jednak, chociaż warto zobaczyć bardzo kosztowny kapitol i kilka innych ciekawych rządowych gmachów. Rzeka Hudson jest spławna aż do Albany i to się wielce przyczyniło do rozwoju miasta i urodzajnej doliny rzeki Mohawk. Rzekę możnaby właściwie nazwać fjordem lub odnogą morską, gdyż na sto pięćdziesiąt pięć mil od Nowego Jorku do Albany spad jej wynosi zaledwo pięć stóp czyli cztery setne cala na milę.

O rzece i licznych miasteczkach rozrzuconych po obu brze-

gach możnaby napisać tom cały, ale i czasu i ochoty do tego mi zbywa. Dlatego wiele ciekawych miejscowości poprostu pomijam, chociaż tu okolica nad wyraz piękna. Urocze wzgórza Catskill Mountains są otoczone jakoby nimbem opowieści, które tak ciekawie i zajmująco skreślił jeden z naszych najsympatyczniejszych literatów Washington Irving. Czytając jego dzieła jesteś pod wrażeniem, że żyjesz wśród pierwszych holenderskich osadników — śpiących w zapomnianych grobach, rozrzuconych po licznych wiejskich cmentarzach...

Nie można jednak milczeniem pominąć naszej szkoły wojskowej w West Point, tuż nad rzeką Hudsonem. Waszygton wykorzystał nader ważne strategiczne położenie i zwężenie się rzeki w tem miejscu, i kazał je Kościuszce silnie ufortyfikować. Tu podczas walki o niepodległość był zawsze silny garnizon, broniący dostępu Anglikom do Albany. Kościuszko przez dłuższy czas przebywał w West Point, dozorując prac inżynierskich przy budowie fortu. Przy domku, w którym mieszkał, miał ogród i zajmował się hodowlą kwiatów w chwilach wolnych od pracy.

Z twierdzy rząd amerykański przerobił West Point na szkołę wojskową. Oczywiście wydano miljony dolarów na gmachy szkolne, kaplicę, obszerną jadalnię, w której umieszczno na tablicach bronzowych nazwiska wszystkich komendantów twierdzy i szkoły. Na jednej tablicy jednak nie umieszczono napisu, ale zato tem wymowniej świadczy i jest jakoby nauką dla każdego młodego oficera — co czeka zdrajcę. Pominięto nazwisko jednego z najgenjalniejszych bohaterów walki o niepodległość, Benedykta Arnolda już kilkakrotnie wspomnianego.

Po zwycięstwie nad Anglikami pod Saratogą Waszyngton naznaczył go na komendanta fortu West Point. Arnold będąc we Filadelfji, zapoznał się z bardzo piękną i zamożną panną Peggie Shippen. Chociaż już był człowiekiem starszym, ale otoczony nimbem bohaterstwa, na które uczciwie zasłużył, pozyskał serce i rękę córki filadelfijskiego kupca. Francuskie przysłowie mówi „Cherchez la femme". W upadku i zdradzie Benedykta Arnolda, jako jeden z powodów strasznej zbrodni wskazują na ambitną, rozpieszczoną a z anglikami sympatyzującą Peggie. Pensja rządowa nie starczyła na jej zachcianki i rozrywki. Prawdopodobnie nakłoniła męża, aby wydał tę ważną placówkę Anglikom za większą sumę pieniędzy.

Nieszczęście chciało, że oficer angielski Major Andrej, z którym Arnold prowadził pertraktacje, dostał się przypadkowo w przebraniu cywilnem w ręce amerykańskiej straży. Ponieważ jeden z trzech żołnierzy miał na sobie mundur angielski, gdyż co tylko uciekł z niewoli, więc też Andrej zaraz się wygadał, co on za jeden i że jeżeli go puszczą, przyśle im sutą nagrodę. To tem więcej zaciekawiło żołnierzy i tem gruntowniej go „spenetrowali“ i znaleźli w bucie list od Arnolda, w którym proponuje Anglikom wydanie fortu za dziesięć tysięcy szterlingów i rangę generała w armji angielskiej. Tym sposobem podła zdrada się wykryła, a wojska amerykańskie uniknęły strasznej klęski. Mimo to podły postępek człowieka tak zasłużonego wywarł przygnębiające wrażenie nietylko na Waszyngtonie, ale na całej armji. Angielskiego szpiega powieszono, a Arnold dowiedziawszy się, że pochwycono angielskiego kurjera, wstał od stołu, wskoczył na konia i na złamanie karku pędził do okrętu wojennego Anglików, który w pobliżu czekał na rozkazy. I tak piękna a przewrotna kobieta zniszczyła karjerę jednego z naszych największych bohaterów.

Arnold później służył w armji angielskiej przeciwko swym kompatrjotom. Pod jego wodzą zniszczono New London, o czem wspomniałem na wstępie podróży. Po wojnie wraz z wojskami angielskiemi wrócił do Anglji, żył w odosobnieniu, gdyż Anglicy gardzili zdrajcą, który w dodatku wielce się przyczynił do ich klęski. Mówią, że umierając kazał sobie przynieść swój generalski mundur z armji amerykańskiej i z goryczą powiedział: „Obym go był nigdy ze siebie nie „zdejmował“. Ciało już dawno w proch się rozsypało, ale zdrada i plama nigdy się nie zmaże!

Jak wyróżnia się od impulsowego charakteru Amerykanina spokojna postać naszego polskiego generała i bohatera! Chociaż jako inżynier generał Tadeusz Kościuszko dla sprawy amerykańskiej wielkie oddał usługi i teraz rząd nawet wydał pięciocentowe znaczki na upamiętnienie jego pobytu i pracy, jednakowoż nie rzuca się nam w oczy kilkuletnia jego działalność. Ale West Point jest jakoby pomnikiem jego zasługi w amerykańskiej walce o niepodległość. Każdy oficer i generał amerykański wychodzi ze szkoły i twierdzy, którą budował Polak. Kadet ma tu przykład zdrady amerykańskiego komendanta, a obok pracy polskiego generała. Obaj nie pójdą w zapomnienie!

Tysiące turystów zwiedza tę szkołę wojskową. Nawet nie

wspominam nadobnych turystek, które z drżeniem serca spoglądają na życiem tryskające, atletyczne postacie kadetów w obcisłych mundurach. Przy bramie wjazdowej stoi żołnierz na straży, daje objaśnienia i przepustkę na zwiedzenie zakładu, przynajmniej powierzchownie. Wjeżdża się na obszerny plac ćwiczeń wśród rzędu wygodnych kwater oficerów i profesorów zakładu. Szerokie ulice dzielą olbrzymie pole na boiska tenisu i baseballu pola ćwiczeń a wśrod tego są ścieżki, klomby, zieleniuteńkie trawniki przyozdobione pomnikami bohaterów i generałów wychowanków zakładu. Sale wykładowe, kaplica, kwatery studentów są przeważnie z kamienia zarosłego bluszczem. Jezdnia, stajnie i zbrojownie z cegły.

Nad wysokim brzegiem rzeki, ze śliczną panoramą na okoliczne wzgórza, stoi pomnik zwycięstwa, a obok armaty w licznych wojnach zdobyte. Najsolenniej zapewniam czytelnika, że jesteśmy „peace loving nation“ narodem miłującym pokój; wojen i wypraw zbrojnych mieliśmy coprawda dużo, więc też prócz ziemi zawsze się zabierało także trochę sprzętu wojennego.

Ciekawy jest gruby łańcuch przy pomniku zwycięstwa. Ogniwa tego łańcucha są kilka cali grube i każde ze dwie stopy długie. Podczas walki o niepodległość łańcuch, w sąsiedztwie ukuli i przeciągnęli przez rzekę, aby nie przepuścić okrętów angielskich. Idąc wzdłuż wałów fortecznych, ponad rzeką trochę na uboczu, natrafiam na niewielki bronzowy pomnik naszego bohatera Tadeusza Kościuszki, inżyniera fortu. Pomnik zbudowany ze składek Polaków, stanął dzięki ofiarom i pracy i niestrudzonego działacza Ks. Prałata Dworzaka z Yonkers. Bohatera dwóch światów upamiętniono w mundurze generała armji amerykańskiej. Ponieważ pomnik ustawiono na samej krawędzi wałów fortecznych, trudno było zrobić zdjęcie z tej miłej pamiątki dla Polaków.

Nie mogę milczeniem pominąć innego „pomnika“, który ustawiono tuż przy naszym bohaterze. Stanowi dziwny kontrast, obrazujący poniekąd życie naszego wojowniczego sąsiada. O kilka kroków od pomnika Kościuszki ustawiono ogromną haubicę niemiecką, szesnaście calową „grubą Bertę“, a właściwie jest to największy okaz Skody, który się Aljantom tak dał we znaki. W każdym razie kontrast — pomnik bohatera Polaka, który w tem miejscu żył, pracował i walczył o wolność narodu ame-

rykańskiego, a tuż obok symbol „potęgi“ cesarstwa niemieckiego. W czasie rewolucji wysłano nam tysiące najmitów — Hessów, a teraz swym „Schwert und Blut“ chcieli zawojować świat cały. Nie mogli lepiej przeciwstawić dzieła dwóch narodów jak stawiając obok siebie — Polaka bohatera walki o niepodległość a tuż obok największą armatę zdobytą przez amerykańskich żołnierzy.

Opuszczam West Point i pospieszam kilkanaście mil na południe, do mostu Góry Niedźwiedziej, malowniczą ale zato bardzo kosztowną drogą zwaną Storm King Highway. W tem miejscu na początku naszej tury przeprawiliśmy się przez rzekę Hudson jadąc ku zachodowi. Tak z jednej jak i z drugiej strony rzeki jest dużo starych zabytków i historycznych zabudowań. W Ossining n. p. jest znane więzienie Sing Sing, w którem niejeden bandyta nowojorski zamieszkuje „na stałe“. Niektórzy z wygodnego krzesła elektrycznego przenoszą się do wieczności.

Ponieważ w Ameryce mamy tylu bandytów, kwestja więzień staje się coraz aktualniejszą. Mimo szkół, mimo kościołów i najrozmaitszych religij, bandytyzm nie ustaje, a to może dlatego, że często bardzo grube i wpływowe ryby w tem palce mieszają i ciągną korzyści. Gdy bandyta dostanie się przypadkowo do kryminału, za parę godzin znajdą się „plecy“, które go ze szponów prawa czemprędzej wyrwią. Jedna klasa jednak nie prosperuje, tą są „kidnaperzy“ czyli bandyci porywający ludzi dla wysokiego okupu. Niemal każdego z nich pochwycono i surowo ukarano, niektórych skazano na karę śmierci albo zlynczowano samosądem. Więc też z tem będzie spokój. Gdyby nie fakt, że sami bandyci sądy doraźnie na przeciwnikach wykonują zapomocą kulomiotów, to nie dalibyśmy sobie z nimi rady.

Wracamy ku domowi dobrze nam już znaną drogą Nr. 6-ty przez Danbury Tomaston, Terryville, Bristol do Hartford. W każdem z tych miast i miasteczek zamieszkują Polacy, zatrudnieni w licznych fabrykach.

Należałoby tu jeszcze skierować się na północ przez Thompsonville słynne z fabryk dywanów, w których pracuje także dużo Polaków z Małopolski. Mają piękny, murowany kościół i dom narodowy. Założycielem parafji i jej wieloletnim proboszczem jest ks. S. Federkiewicz z Rymanowa. Wypadałoby także przynajmniej słówkiem wspomnieć o licznych osiedlach polskich w Ludlow,

Bondsville, Three Rivers, West Warren. Nie można milczeniem pominąć w górach zaszytego Ware, gdzie od wielu lat zbożną pracę religijną i narodową prowadzą księża Saletyni. Przełożony Ks. Kolbuch przez dłuższy czas z wielkim kosztem wydawał czasopismo „Poland" w języku angielskim.

Jeszcze raz chcę tu podkreślić ważność propagandy prasowej i książkowej wśród Amerykanów. Przedewszystkiem powiedziałbym, że na polu turystycznem wogole nic się nie robi. Tu jest podatny grunt, umiejętnie rzucone pieniądze przyniosą Polsce owoc stokrotny. Ale widać nikt tego jakoś nie docenia. Rosja wydaje tysiące dolarów na propagandę turystyczną, a Polska prawdopodobnie ani centa.

Worcester, olbrzymie miasto fabryczne, jest w połowie drogi między Bostonem i Springfield. Tu może zamieszkuje najliczniejsza Polonja w Nowej Anglji poza New Britain. W pobliżu jest Webster, w którem bardzo poważny procent ludnosci stanowią Polacy i to jest najstarsza osada polska w Nowej Anglji a w sąsiedniem Southbridge także dużo Polaków pracuje w fabrykach szkła.

W opisie Nowej Anglji często wspominałem o większych osadach polskich. Może niejeden z czytelników ma tu swych krewnych lub znajomych. Jest to stosunkowo najmłodsza emigracja datująca się od trzydziestu lat. Jestem przekonany, że gdyby wprost nie zamknięto immigracji z Europy, w krótkim czasie wszystkie miasta i centra fabryczne w Nowej Anglji roiłyby się od Polaków. Lata całe bigoci amerykańscy nie dopuszczali w te okolice „forejnerów" i dlatego nasi ciągnęli więcej na zachód, gdzie warunki bytu i stosunki społeczne były dla nich przyjaźniejsze.

Trudno nawet streścić uczciwie na kilkudziesięciu kartach całą, chociaż może terytorjalnie niewielką, ale zato gęsto zaludnioną i w historyczne zabytki bogatą Nową Anglję. Uważałem to za konieczne, aby czytelnikowi dać jakąś całość i pogląd na Stany Zjednoczone.

Przy końcu tury samochodowej, wynoszącej około ośmnastu tysięcy mil, wracając z Vermont, strzaskałem samochód i sam cudem śmierci uszedłem. Przyczyną wypadku był chłopak, który znienacka wybiegł przed samochód, a chcąc go uratować od śmierci, zdemolowałem samochód, który mnie ze stałością i wier-

nością konia obwiózł po najwyższych górach, nad przepaściami, przez szerokie pustynie i ciekawe zakątki Ameryki. Wyszedłem bez szwanku. Byłem już w tylu wypadkach i tyle razy zaglądałem śmierci w oczy, że taki mały incydent nie zasługuje nawet na wzmiankę. To jednak dodaje podróży pewnej strony dramatycznej. Na tem więc kończę aktualny objazd kraju. W następnych rozdziałach daję ogólny pogląd na sytuację polityczną, a także na stosunki wychodźtwa.

Rozdział XIX.

OGÓLNY POGLĄD.

Mógłbym już uściskiem dłoni pożegnać miłych czytelników, którzy mi w tej turze samochodowej towarzyszyli. Jednak uważam, że trzeba przy końcu dać jakiś krótki, ale ogólny pogląd na Stany Zjednoczone i na tutejszą Polonję, która was żywo interesuje. W przeciwnym razie uważałbym robotę za nieskończoną. Bylibyśmy w położeniu człowieka, który widział dużo poszczególnych drzew, ale nie widział całego lasu.

Znów tak na kilkunastu stronach dać — ogólny pogląd, też niełatwo. Takie rzeczy najlepiej czynią ci autorzy, którzy tu przybyli na parę miesięcy, tygodni lub dni. Wpadł do Nowego Jorku, zobaczył Niagarę, przywieźli go do Chicago, no a może jeszcze po sąsiedzku do Milwaukee i już gotów do napisania dwutomowego dzieła o Ameryce i Amerykanach. Nic więc dziwnego, że takie bujdy i niedorzeczności wypaczają pojęcie czytelnika o kraju.

Z tego, co w tych dwóch tomach podałem, widać, że Stany Zjednoczone, zbyt często uważane niemal jako synonim Ameryki, są krajem pod wielu względami ciekawym. Celowo podawałem dużo ciekawszych szczegółów historycznych, statystycznych i innych, aby czytelnika zapoznać z tem, czego nawet w dosyć obszernej historji Stanów Zjednoczonych nie znajdzie.

Na rozrost i potęgę kraju złożyło się kilka ważnych czynników. Najprzód geograficznie byliśmy przez wieki całe oddzieleni od reszty świata oceanem. Nie groził nam sąsiad. Komunikacja była powolna, wymiana myśli jeszcze wolniejsza. Trudności ekonomicznych, pod któremi uginały się kraje europejskie, nie znaliśmy, gdyż ziemi było poddostatkiem. Rosły dęby i sosny, lasy obfitowały w zwierzynę, w rzekach ryb mnóstwo, a ziemia

nadzwyczaj urodzajna. Jest ci tu nie dobrze? Bierz kobietę i dzieci i poszukaj lepszego kawałka ziemi. Miejsca było dosyć i jest go jeszcze tyle, że drugie sto miljonów z łatwością się pomieści.

Ten dziewiczy i dziki kraj stopniowo się przemieniał pod wpływem rozmaitych ras i kultur. Wschód czyli cała nowa Anglja była terenem angielskim. Północ od rzeki św. Wawrzyńca, przez Quebec i Montreal, przypadła w udziele Francji i po dziś dzień w Quebec jesteś pod wrażeniem, że tu panuje Ludwik XIV, a nie król Jerzy. Tę samą francuską kulturę spotkasz przy ujściu drugiej rzeki, Mississippi w Nowym Orleanie i grodzie św. Ludwika. Hiszpanie zostawili nam swe piętno, coprawda nieznaczne we Florydzie, ale zato bardzo silne na zachodzie i południu.

Do tych trzech silnych kultur, tradycyj i narodowości trzeba dorzucić stopniowo inne przyprawy i domieszki, jak Holendrów, Szwedów, Portugalczyków, a w późniejszych czasach Irlandczyków. To wszystko narody trudniące się przemysłem i handlem na morzu. Daleko później ściągali tu, nęceni wolnością i dobrobytem lub ziemią rozdawaną „za darmo" — Niemcy, Polacy i narody z Europy Środkowej, a także bardzo licznie przedarli się tu Włosi za swym Christoforo Colombo.

Ostatnio wspomniane narodowości przybyły znacznie później. Obecnie do najwpływowszych narodów należą tu — Żydzi. Niewielu ich tu przybyło z Anglji lub Francji, może trochę więcej z Hiszpanji. Dopiero od połowy zeszłego stulecia zaczęli ściągać najprzód z Niemiec, a potem z pod zaboru austrjackiego, a nakońcu rosyjskiego, niby tak razem z nami, ot dla — towarzystwa.

Proch i dynamit o tyle wykazują siłę niszczycielską, o ile są ograniczone, poprostu ściśnione. To samo z uczuciami religijnemi i narodowościowemi. Nie mieliśmy tu kiedykolwiek poważniejszych zatargów i prześladowań religijnych i narodowościowych. Wybuchły coprawda tarcia religijne, bigoterja, ale to zarzewie przyniesione z Anglji i z Irlandji. To ich walka przeniesiona z Europy na ziemię Waszyngtona, niby narodowe Lari i Penates. Każdy oczywiście zezem patrzy na drugiego, jeżeli nie chodzi do tego samego kościoła lub mówi nieznanem mu narzeczem, ale to jeszcze nie odgrywało ważnej roli w rozwoju kraju. Owszem stosunkowo ciche i zgodne pożycie rozmaitych sekt i narodowości uważać należy za wielki atut.

Tak było niemal do czasu wojny. Właściwie dopiero prezydent Teodor Roosevelt, zaczął psioczyć na t. zw. „hyphenated Americans“ czyli Amerykanów „z łącznikami“ a więc polsko-amerykanów, włosko-amerykanów, żydowsko-amerykanów i t. d. Chciał mieć tylko jeden gatunek „prawdziwych“ Amerykanów, najczystszej krwi nordyków. Agitacja za ograniczeniem i zamknięciem immigracji zrobiła swoje. Ci co teraz przyjeżdżają, stanowią zaledwo znikomą cząstkę tych tysięcy i dziesiątków tysięcy, którzy wypełniali „zwischendeki“ z „Bremy i Hamburga“. Możnaby Stany Zjednoczone przyrównać do pieca przetapiającego rudę żelazną na stal. Naładowano go rudą, wapnem, piaskiem i innemi składnikami po sam wierzch, zamknięto drzwi, zapalono ogień i teraz niech się to wszystko w tym, jak Gąsiorowski powiedział, międzynarodowym „tyglu“ przetapia na nowy naród.

Nigdzie się chyba tyle „szlachetnych“ elementów narodowościowych i tak różnorodnych nie zebrało razem co tutaj. Każdy z sobą przywiózł narodowe cechy, charaktery i zdolności. Dzięki tym właśnie rozmaitym, a dodatnim zaletom, poczyniliśmy od czasu wojny domowej tak kolosalne postępy. Te drożdże europejskie, ta chęć do pracy, siła i wytrwałość fizyczna Włocha, z pedantyzmem Niemca, z pracowitością Polaka, z rzutkością i finansowem uzdolnieniem Żyda, że tak powiem „skwasiły“ i rozbudowały ten potężny szmat ziemi. Napewno mieszanina narodowościowa, którą się tu widzi, a szczególnie na zachodzie, wielkie ma zasługi przy zadziwiającej rozbudowie kraju.

Brazylja, Argentyna i cała Południowa Ameryka ma przecież te same bogactwa natury, owszem ma ich więcej, a jednak rasy łacińskie, jak Hiszpanie i Portugalczycy nie potrafili tego uczynić. Nie podołaliby temu rodowici Jankusi. Mieszanina najrozmaitszych ras europejskich a nawet azjatyckich ten postęp wywołała. Gdyby tu wpuścili większą ilość Chińczyków, to ci zrobiliby z kraju istny ogród, ale to jest element nawet dla Amerykanów za płodny, za oszczędny, za bardzo pracowity i przedsiębiorczy. Ale ci kiedyś, może za setki lat, zawładną światem, bo mają ku temu siły.

Pod względem religijnym uniknęliśmy poważnych zatargów. Nie dlatego, że nie brak tu ludzi ograniczonych i bigotów, ale może dlatego, że żadna religja i sekta nie była dosyć silna, aby inne wziąć za łeb i narzucić im panowanie. To się tylko stało

z Kościołem katolickim. Ajrysze, pod wszelkiemi względami umysłowo, tradycyjnie na niższym stopniu od takich n. p. Niemców, Francuzów, a nawet Polaków, wzięli, że tak powiem wszystkich „za łeb“ i robią, co im się żywnie podoba. Dlatego też dla świętej zgody ustanowiono „wolność sumienia“ dla wszystkich i rób co chcesz i jak chcesz. Z początku były tu t. zw. „blue laws“ niebieskie prawa, zakazujące jakichkolwiek robót i rozrywek w niedziele, ale już się ludziska z tego jarzma wymknęli i zostało teraz tylko na papierze — na pamiątkę, jak i niedawno skasowana prohibicja.

Najgorszem „świństwem“, jakie się w tej pracy tworzenia nowej rasy i narodowości zdarzyło, to — niewolnictwo, które się teraz mści i nie wiemy, jak się go pozbyć. Mamy miljony murzynów, których nie można pomalować na biało a spowrotem do Afryki wywieźć też nie wypada. Choroby piersiowe i weneryczne coś w tem pomagają, ale przejdzie dużo czasu, zanim ostatni murzyn z chorób i nędzy umrze. To nasza nemezis, to zbrodnia, która nas sama karze.

Czteroletnia wojna domowa, napozór o uwolnienie niewolników, miała właściwie tło ekonomiczne, spowodowane zatrudnianiem we fabrykach, na roli i w plantacjach już nie taniego robotnika, ale wprost niewolnika, żyjącego w biednej lepiance, któremu dostarczano starej odzieży i kiepskiej strawy za jego całożyciową pracę. Nie można było z takimi właścicielami konkurować. Tamci chcieli stworzyć własne, odrębne państwo i stąd wojna. Krwawy był to cios.

Mając pod ręką ogromny zapas sił roboczych, ludzi zdrowych, wytrzymałych na niewygody, zimno i gorączki, a dostarczyły ich Włochy, Szwecja, Norwegja, Finlandja i kraje słowiańskie, wzięliśmy się za bary z naturą. Oplątaliśmy kraj siecią kolei, mamy ich dziś wiele więcej, niż nam potrzeba. Zbudowaliśmy miasta, wykarczowali lasy, zaorali stepy, zaludnili pustynie. Europa, a szczególnie Anglja, Francja, Belgja i inne zamożniejsze w kapitały państwa podsycały to bujne życie i tę szaloną pracę nieodzownemi finansami. Nasze koleje, kopalnie, fabryki były finansowane przez kapitały zagraniczne zapomocą bondów i kupna akcyj.

Wojna światowa była dosypaniem soli azotowych do już tak urodzajnej i bogatej gleby. W krótkim czasie spłaciliśmy

wszystkie zagraniczne pożyczki. Bondy i akcje, niby woda do morza, spłynęły do skarbca amerykańskiego. Krew obficie lana na polach bitew przeistaczała się w strumień złota, który się do nas przelewał. Z dłużnika europejskiego staliśmy się kapitalistą, który w czterech latach świat cały wsadził do kieszeni. Sprzedawaliśmy wszystko „po cenach wojennych" to było nasze praetium sanguinis — cena krwi.

Jeżeli już przed wojną „Ameryka", tu mam na myśli tylko Stany Zjednoczone, słynęła ze swej rzutkości i przedsiębiorczości, wojna jeszcze większych dokonała cudów. Myślałbyś, że to bajka z „Tysiąca i jednej nocy". Stalownie, fabryki, ogromne przedsiębiorstwa wyrastały niby grzyby po deszczu. Rozrastało się to do wprost niemożliwych rozmiarów. Pędziło wszystko na złamanie karku, jak tylko ruchliwa Ameryka pędzić potrafi. Zdawało się, że to końca mieć nie będzie.

Po chwilowym zastoju, znów wszystko ruszyło naprzód. Podczas wojny dostarczaliśmy wszystkim broni i amunicji, a po wojnie znów maszyn i surowców. Nowa fala dobrobytu, nowe miljony, nowa jaśniejąca jak gwiazda „prosperity" amerykańska, republikańska, coligdowska, czy jak ją tam kto chce nazwać. Ludzie jak pluskwy, krwią opite, łazili obładowani pieniądzmi. Naco ciężko pracować? można przecież już i tak dobrą fortunę łatwo pomnożyć i powiększyć.

Rozpoczął się okres spekulacji. Na giełdzie akcje bezwartościowe rosły z zawrotną szybkością. Każdy od posługacza na pociągu pulmanowskim, któremu bankier, zamiast dolarowego „pour boire" do ucha szepnął „kup soor pajp konsolidated po 50 dolarów", bo pójdzie do stu, od tej służącej i pokojówki, do byznesisty, robociarza, księdza i ministra, wszystko spekulowało. Każdy kupował akcje na „margin". Miałeś sto dolarów, to wystarczyło jako zadatek na dziesięć lub dwadzieścia akcyj wartych tysiąc, dwa lub trzy tysiące dolarów.

Ludzie poprostu dostali obłędu. Wszyscy robili pieniądze. Każdy był miljonerem, niby ja w Polsce podczas dewaluacji. Tylko o akcjach gadali, tylko raporty czytali, tylko „tips" pod sekretem jeden drugiemu do ucha gadał i tak szło coraz wyżej... Do tego nawet doszło, że rząd przez swego skarbnika, jednego z największych miljarderów amerykańskich Andrzeja Mellona, zwrócił ludziom miljony dolarów z poprzednio wpłaconych podatków.

Czy słyszał kto coś podobnego? Ludzie czemprędzej wpakowali to na giełdę.

Profesor Picard a za nim inni, niedawno wznieśli się balonami na piętnaście mil do stratosfery. Wiele o tem gadali. Na parę lat przed nimi nasza giełda tam zajechała. Wszyscy tu żyli w „stratosferze“ finansowej. Co to za ciekawy objaw psychiczny, co za podniecenie, co za szał!... Nic tylko akcje i spekulacja na ustach każdego.

Otrzymaliśmy nasze „kopnięcie w brzuch“. Pękł bąbel i wszystko runęło w przepaść. Rozwiały się sny! Przed narodem,



Pomnik zwycięstwa w West Point.

przed Ameryką stanęła twarda, nieubłagana rzeczywistość. Nietylko, że ludzie stracili to, co mieli, ale każdy się zadłużył po uszy. Niejeden przez całe życie nie zapłaci za swą orgję finansową.

Ale to nas otrzeźwiło. Naród się przekonał, że na majątek trzeba pracować. Byliśmy podobni do tego chrząszcza, który widząc światło pędzi na oślep i łbem wali o siatkę lub szybę. Leży chwilowo bez życia, a potem dopiero powoli się skrabie i rusza.

Chwilowo zawaliła się cała struktura ekonomiczna nietylko Stanów Zjednoczonych, ale całego świata. Sytuacja zdawała się bez wyjścia. Banki nie mogły ściągnąć pożyczek. Europa powiada, że nie ma czem płacić. Rząd bez dochodów, a z ogromnemi biurami i wydatkami z zawrotną szybkością staczał się w przepaść, gdyż rozchody budżetowe przewyższały dochody setkami miljonów dolarów. Widmo paniki, bankructwa i może rewolucji sterczało przed nami. Tak było do chwili objęcia rządów przez Franklina Roosevelta.

Hiszpanie mówią, że nawet największe zło nie trwa sto lat. No hoi mal que aure cen anos. Zdaje się, że przeszliśmy najgorsze. Hoover w okresie zbliżalącej się depresji powiedział, że „prosperity is around the corner“ — dobrobyt jest tuż za węgłem, a tymczasem to nie dobrobyt, ale nędza stała za węgłem.

Ale z nową administracją nastąpiła zmiana — czy na lepsze, przyszłość pokaże. Zabrano się do gruntownej naprawy finansów. Zaczęto oczyszczać tę stajnię Augjasza z grafterów, kryminalistów i złodziei. Bankierzy jeden za drugim „idą na karpet“ a niejeden już poszedł do więzienia. Mamy nadzieję, że ich tam pójdzie jak najwięcej. Gdy to piszę, niemal w rocznicę mego wyjazdu, włoski emigrant Ferdynand Pecora, dopieka takiemu wielorybowi, jakim jest bank Morgana i ciekawych dowiadujemy się rzeczy. To wszystko rakietnicy.

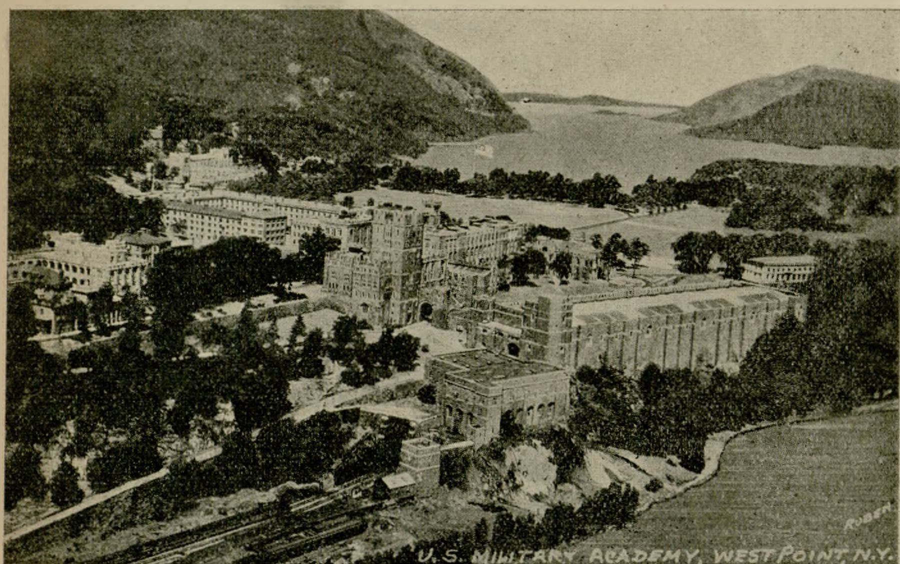
Zdaje się, że Stany Zjednoczone wyjdą z tej gmatwaniny zbrojną ręką i jeszcze więcej pomnożą swe wpływy i potęgę.

Zaczynamy wchodzić na nowe tory polityczne i ekonomiczne. Prohibicję, dzięki Bogu i biedzie, wywaliliśmy. To także zabytek bigotyzmu i głupoty sekt protestanckich.

Przypuszczam, że w następnych kilku latach przyjdzie do zbrojnej rozprawy z Japonją. Stany Zjednoczone nie pozwolą, aby ci się tam w Chinach gospodarowali, niby szczur w serze, jak mówią Francuzi. Zwąchaliśmy się już z Moskalami. Mieliśmy narazie trochę kłopotu na tle ekonomicznem, ale gdy się stosunki uregulują, zabierzemy się do skóry Japończyków. Rozchodzi się tylko o to, aby ich napaść w najkorzystniejszym dla nas momencie. Każdy przyzna, że to jest głupia sytuacja. Wojna z Japonją mającą wolne ręce, byłaby dla nas zbyt kosztowna i ryzykowna, ale jeżeli ich chwycimy znienacka, będzie dla nich

gorzej, a dla nas tem łatwiej objąć ocean Spokojny i uchwycić Chiny w swe łapy.

Zanim ten amerykański „tygiel" przetopi wszystkie grupy narodowościowe w jeden potężny naród, upłynie jeszcze setki lat. Zależeć będzie oczywiście od stosunków wewnętrznych, szkół, praw, immigracji itd. W każdym razie, „amerykanizacja" postępuje naprzód, a to tem łatwiej, że każda „mniejszość" jest, że tak powiem „przesadzona" na inny grunt. Polacy bronili się zawzięcie przed wynarodowieniem w Polsce, albo przynajmniej na tym skrawku Europy, który był Polską. Tu zaś



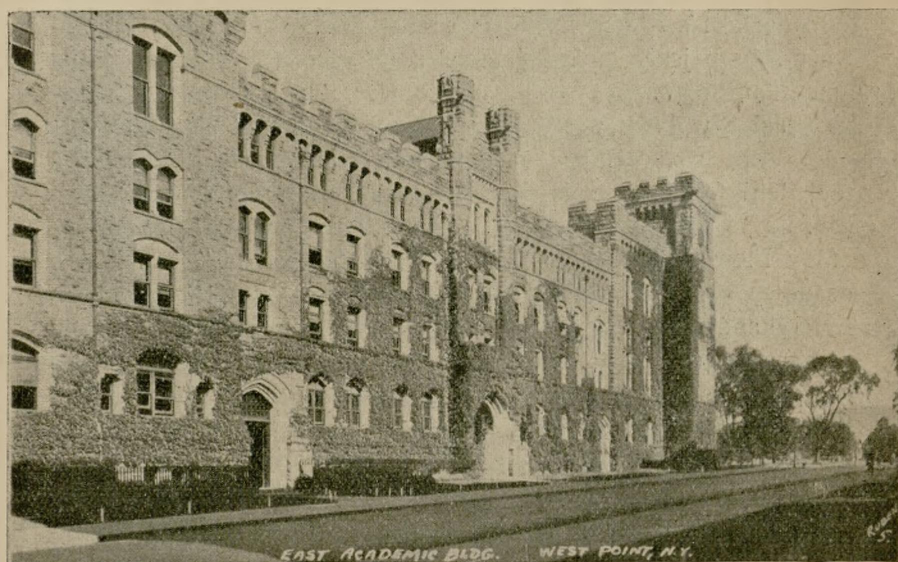
Widok na West Point.

Polacy, Niemcy, Włosi, jednem słowem — wszystkie narodowości, prócz Żydów, już w drugiem i trzeciem pokoleniu tracą język ojczysty, zawierają „mieszane" małżeństwa, nietylko co do religji, ale także narodowości, a to jeszcze tem bardziej przyspiesza ich amalgamację.

Jednakowoż utrata języka, niekoniecznie pociąga za sobą utratę ducha i narodowości. Dowodem tego są Irlandczycy, a poniekąd i Żydzi. Pierwsi już dawno język stracili, a jednak

zachowali swą solidarność narodową. Pracują nad tem wśród grup narodowo-katolickich, aby te także swój język zarzuciły, a tem samem łatwiej wpadły pod ich religijną kontrolę. Nacóż się trudzić z wyszukiwaniem polskich, niemieckich lub włoskich księży, jeżeli ksiądz ajryskiego pochodzenia może te parafje „rozumiejące po angielsku" dobrze obsłużyć dla siebie i sprawy ajryskiej?

Żydzi oczywiście znajdują się poniekąd w tem samem położeniu, co Ajrysze. Nie wchodzę w to, że w Polsce n. p. mówią żargonem niemieckim, bo może przez te kilkaset lat, co tam się



Szkoła wojskowa w West Point.

gnieżdżą „nie mieli czasu" nauczyć się po polsku. W Ameryce niektórzy posługują się jeszcze tym samym żargonem i czytają żargonowe pisma. Jednakowoż powiedziałbym, że u nich podrzędną język odgrywa rolę. Tysiące lat przeżyte pod panowaniem najrozmaitszych narodów uczyniło ich rasą międzynarodową, a jednak — bardzo solidarną.

W starych osadnikach i ich potomkach zachowuje się pewne poczucie narodowościowe. Tacy Rooseveltowie nie wstydzą się

tego, że ród wywodzą z Holandji. To samo można powiedzieć o Szwedach, a nawet o bardzo starych rodach amerykańskich, w których żyłach płynie krew polska. Nazwisko przekręcił, język zapomniał, ale chwali się, że pradziadowie byli Polakami.

Ten fakt podkreśliłbym jako nader ważny dla Polski. Jeżeli można, należałoby jak najdłużej podtrzymać język polski. Ale jeżeli nie można uratować języka, to za wszelką cenę trzeba zachować w tych młodych pokoleniach — ducha polskiego. Niech nie idą na pastwę Ajryszów lub innych mniejszości. Naogół mówiąc, wszyscy kochamy Amerykę, uważamy się za „Amerykanów", gdy nas jednakowoż głębiej zadrasną, nie odkryją „Tatara", ale Włocha, Polaka, Ajrysza, Niemca lub którąkolwiek inną narodowość europejską, pokrytą cieńszą lub grubszą warstwą ducha amerykańskiego.

Jakie wpływy posiadają i jaką rolę w życiu amerykańskiem odgrywają poszczególne rasy i „mniejszości" narodowe, zapyta niejeden? Oczywiście na pierwszem miejscu są koloniści angielscy. Są to potomkowie purytanów, którzy przybyli na okręcie „May Flower" lądując w Plymouth, niedaleko od Bostonu lub osadnicy angielscy w Wirginji. Uważają się za „stuprocentowych" Amerykanów, i patrzą na innych jako na „forejnerów". Narzucili coprawda swój język, zwyczaje i dali krajowi dyrektywę, jednakowoż te „stare", że tak powiem arystokratyczne rodziny Jankusów wymierają i zanikają. Zastępują ich rasy nowsze, pełne ruchu, energji i przedsiębierczości.

Co do finansów i wpływów bez kwestji na drugiem miejscu postawiłbym Żydów. Może bezpośrednio w polityce nie odgrywali tak wybitnej roli, ale siły dotychczas koncentrowali w handlu, a poniekąd i w przemyśle. Ogromny procent, może trzy czwarte wielkich sklepów, szczególnie z ubraniami damskiemi i męskiemi są w ich ręku. W tej gałęzi mają kontrolę. Ponieważ te sklepy i tak zwane „Department Stores" bardzo się w gazetach ogłaszają, więc też tą drogą wywierają potężny wpływ na prasę. Trzeba pamiętać, że ogłoszenia, a nie prenumerata utrzymuje czasopisma amerykańskie. Jednym kamieniem, a tu właściwie za jednego dolara, wydanego na ogłoszenie, mają podwójny zysk. Najprzód sprzeda towar, a powtóre trzyma gazetę w szachu. Nie waży się amerykański dziennikarski Hitler wjechać na Żydów, bo nie dadzą ogłoszeń i biedaczysko pójdzie z torbami. Chociaż sami

krzyczą na „bojkot“, ale go skutecznie używają przeciwko swym wrogom.

W polityce, mając finanse za sobą, także pchają się naprzód. Gubernatorzy takich stanów jak Nowego Jorku i Illinois i kilku innych są Żydzi. Dwóch najwyższych sędziów — to także Żydzi. Ambasadorem we Francji jest wybitny kupiec żydowski — Strauss. W poszczególnych departamentach rządu mają pełno swoich ludzi.

Nie powiem, że Amerykanie Żydów kochają. Owszem — od nich we wielu sprawach stronią. Do niektórych klubów, hoteli i dzielnic ich nie wpuszczą. Ale się z nimi liczą, bo muszą. W masonerji, zresztą jak wszędzie w masonerji, są potęgą.

Ajryszów należy uważać za element bardzo stary. Przybyli tu jeszcze przed Rewolucją. Niektórzy z nich odznaczyli się we walce o niepodległość, co zresztą uważam za rzecz naturalną. Ajrysz do wypitki i do wybitki jest bardzo skory, a gdy przyjdzie do bicia swego odwiecznego wroga — Anglji, to mu o tem nie trzeba dwa razy mówić.

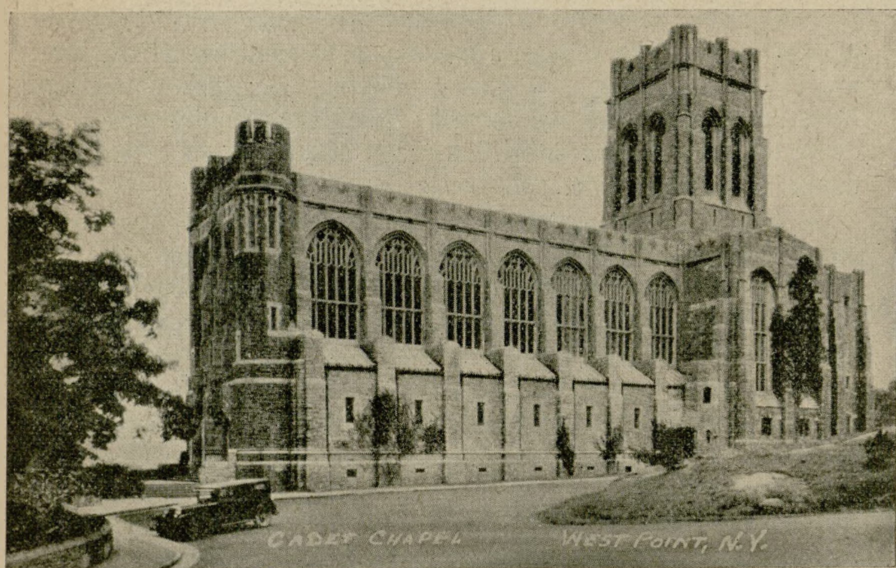
W ostatniej wojnie sto razy lepiej woleliby walić Anglików, aniżeli Niemców. Owszem, w wyższych sferach, można było zauważyć wielką sympatję dla Niemców, a niezbyt przychylne stanowisko wobec Aljantów. Zresztą to naturalne i dziwić im się nie można.

Ich ulubionem polem pracy jest — polityka. Tu i ówdzie zasiedli na krześle gubernatorskiem. Nie brakuje ich w Waszyngtonie jako kongresmanów i senatorów. Przed kilku laty wysunęli na najwyższy urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych gubernatora Alfreda Smitha. Jednakowoż prądy antykatolickie, stara angielska nienawiść do Ajryszów, zgniotły go, chociaż to człowiek wyjątkowych zdolności i nieposzlakowanego charakteru.

Jeżeli przyjdzie do polityki miejskiej, wardowej, Ajrysze są tu panami. Posiadają silną organizację i solidarność. Nie przebierają w środkach, łapówki czyli jak tu mówimy „graft“ są u nich rzeczą powszechną. To nie są tęgie łby polityczne i dyplomatyczne, zapewne dlatego, że biedna wysepka Irlandja tak mało cieszyła się samodzielnością, że poprostu nie mają politycznego wyszkolenia na skalę międzynarodową.

Co do stanowisk, ich najulubieńszą posadą jest — policja. Bardzo imponuje młodemu Patrykowi niebieski mundur i pałka stróża porządku i bezpieczeństwa. Urzędy miejskie także są do-

syć licznie przez nich obsadzone, tak samo urzędy stanowe i państwowe są w ich ręku. Naogół biorąc nie są to głowy utalentowane, zdolne do wytrwałej umysłowej pracy. Mają jednak pewien spryt, są dowcipni i jakbym tu powiedział „smart“. Ma się rozumieć „Kościół“ także dostał się pod ich kuratelę ku ogólnej szkodzie sprawy katolickiej. Ale o tem nie chcę się tu zbyt szeroko rozwodzić, gdyż to narazie do rzeczy nie należy. Zaznaczyć jednak wypada, że Ajrysze rasowo wymierają. Jedna z powag ajryskich, profesor Walsh, powiada „że Ajrysze są dobrzy do zaludniania cmentarzy“. Dlatego też tak się starają



Kaplica w West Point.

o zapełnienie wymierających szeregów, przez kaptowanie sobie Polaków, Włochów i innych katolickich elementów w Ameryce.

Włosi pchają się naprzód i kto wie, czy im się nie należy następne miejsce co do wpływów i pracy. Chociaż to element nowszy, ale rasa silna, płodna, ruchliwa, wytrwała na trudy i znoje, o niezwykle małych potrzebach życiowych. Nie tracą czasu ani pieniędzy na budowę kościołów, szkół i klasztorów. Mieszkają, że tak się wyrażę „kątem“ u Ajryszów. Nabożeństwa są dla nich

w „basemencie“ czyli suterenach ajryskich kościołów i katedr. Dotąd w Ameryce nie mają ani jednego biskupa, Ajrysze do tego nie dopuszczają.

Posiadają silne organizacje narodowe, kluby polityczne a nawet poważne instytucje bankowe. Ponieważ wielu przybyło jako fachowców, murarzy, cieślów, rzeźbiarzy i ogrodników, więc też pracują w tym kierunku. W większych miastach przy robotach drogowych kontraktorami są Włosi. Niejeden puszcza się na roboty przedstawiające miljony dolarów.

W Kalifornji hodowla pomarańcz, winogron i wszelkich owoców jest w ich ręku. Na wschodzie zaś mają ekspozytury i składy, trudniące się sprzedażą tych produktów a składy te znów są w ich rękach. To powoli staje się ich monopolem. Ponieważ to jest rasa zdolna, zahartowana do trudów, przytem płodna i oszczędna, element włoski w krótkim czasie zdobędzie sobie poważne wpływy.

Przed wojną Niemcy byli tu panami a „Vaterland“ troskliwie dbał o ich rozwój, i utrzymanie ducha niemieckiego. Trzeba przyznać, że dla Stanów Zjednoczonych był to element pożądany. Ludzie pracowici, spokojni, dobrze zorganizowani w swe „trunkfereiny“ „singer fereiny” i podobne grupy atletyczne, strzeleckie, polityczne. Zanim prohibicja zapanowała, niemal każdy browar był w ręku Niemców. Wielu z nich porobiło w tych przedsiębiorstwach miljony. Może teraz się trochę podreperują. Oczywiście, wojna światowa podcięła im nogi i ukróciła ich wpływy. Stracili bardzo dużo, a ciągłe koziołki urządzane we Vaterlandzie nie przyczyniają się do poprawienia ich wpływów i stanowiska w Ameryce.

Zdziwi się niejeden, że stosunkowo niewielki półwysep Skandynawski, przytem niezbyt ludny, cieszy się w Ameryce poważnemi wpływami, szczególnie na zachodzie i północy. Stany — jak Wisconsin, Minnesota, Dakota jedna i druga, a nawet odległy Waszyngton i Oregon mają bardzo silny procent ludności skandynawskiej. Z natury przyzwyczajeni do niewygód i trudów, do ostrego klimatu, czują się w tych ogromnych, mroźnych, żyznych a lasami pokrytych połaciach jak u siebie — w domu. W takiej Minnesocie nawet trudno pomyśleć o gubernatorze, ktorego nazwisko nie byłoby Olson, Johnson lub Swenson.

Czesi, Słowacy, Kanadyjczycy, Hiszpanie, Portugalczycy i inne grupy może z wyjątkiem Czechów już są liczebnie dość słabe i zbyt wielkich wpływów nie wywierają poza swą miejscową sferą działań. O Polakach obszerniej napiszę w następnym i ostatnim rozdziale. Zaznaczę jednak, że mimo wybitnych jednostek, nie wyśrubowaliśmy się na jakieś wyższe stanowisko i nie dorównujemy innym od nas mniej liczebnym narodowościom, chociaż naogół mówiąc, jesteśmy dla kraju elementem korzystnym, zapełniającym przeważnie warsztaty fabryczne i kopalnie.

Rozdział XX.

„AVE POLONIA! MORITURI TE SALUTANT“.

Z żalem, na zakończenie tej podróży, rzucam Polsce pozdrowienie zasyłane kiedyś cesarzom rzymskim przez gladjatorów ginących na arenie. Niestety, umieramy!

Jeszcze doniedawna, te kilka miljonów wychodźców, rozrzuconych wszerz i wzdłuż tego kraju, pulsowało życiem narodowem. Teraz się ono uspokoiło, przycicha i zamiera...

Uważano nas za „czwartą dzielnicę“. Mieliśmy wolność, o jakiej się nie śniło braciom pod zaborami. Panował wśród wychodźtwa względny dobrobyt. Nawet w tych czasach, gdy robotnik w lejarni zarabiał „talarka“ na dzień, uważał się za lepiej sytuowanego od przyjaciela w kraju, który po mozolnej pracy miał zaledwo kilkadziesiąt groszy.

Byliśmy tym korzeniem żywym, silnym, jędrnym, pełnym soków odżywczych wielowiekowego drzewa, złamanego wichurą dziejową. Wolno nam było mówić, pisać, myśleć i modlić się po polsku. Nikt nam niczego nie zakazywał! Dlategożeśmy tu zakwitli tak bujnem życiem narodowem.

Nie było żadnej uroczystości narodowej, żadnego powstania, rocznicy, którejbyśmy jak najuroczyściej nie obchodzili w naszych osadach, parafjach, domach narodowych. Były mowy, śpiewy, deklamacje, przedstawienia. Sale zapełnione po brzegi publicznością. Nie odbyło się bez kolekty na cele narodowe.

Zakładaliśmy nasze twierdze i placówki polskości — parafje. Przy nich zaś, w cieniu wież kościelnych, niby obronnych bastjonów, powstawały towarzystwa narodowe, dobroczynne, atletyczne. W szkołach, przepełnionych dziatwą słychać było polską mowę. Klasztory nie mogły nastarczyć potrzebnych sióstr-nauczycielek.

W większych osadach powstawały stowarzyszenia asekuracyjne. Za inicjatywą księży zorganizowano Związek Narodowy Polski, który z czasem przybrał charakter czysto narodowy. Następnie powstało Zjednoczenie, Unja, Związek Polek, Sokoli. Wszystko rosło i rozwijało się. Organizacje asekuracyjne i patrjotyczne tworzyły swe grupy i oddziały po wszystkich osadach. Nieraz najprzód powstało towarzystwo kościelne lub narodowe. Gdy się czuli na siłach, zabierali się do budowy kościoła. Były to czasy, gdy zakładanie parafji polskiej nie było zabronione. Teraz na taką budowę podobno trzeba mieć pozwolenie aż z Rzymu!

Potężny strumień immigrantów, najprzód ze Śląska, następnie z Poznańskiego, Małopolski, wreszcie z Królestwa rozlewał się po całym kraju. Polski emigrant docierał do odległych miast, miasteczek i wiosek. Gdy się obejrzał i jako tako zakorzenił, sprowadzał znajomych i krewnych. Całe wioski się tu osiedliły, tak po znajomości.

Prócz zwykłego robociarza, który temi dziesięcioma palcami krwawo pracował na kawałek chleba, który z tej małej „pejdy" — zapłaty, utrzymał rodzinę, zbudował kościół i szkołę, wstępował do organizacji polskiej, jednem słowem — cudów dokonał, ściągał tu także inteligent. Szli tu księża za ludźmi, a za nimi nauczyciele, dziennikarze, studenci gimnazjalni lub słuchacze z uniwersytetów, którym w kraju, czy dla spraw politycznych, czy innych niezbyt zaszczytnych było „za gorąco". Ci znów pracowali w redakcjach, na krzesłach profesorskich, w biurach organizacyjnych. Budzili ducha, podtrzymywali język i tradycje polskie.

Były to czasy naszych „Sejmów" nietylko poszczególnych organizacyj, ale całego wychodźtwa. Jak tam było gwarno, huczno, wesoło na tych „walnych" zjazdach wychodźtwa?! Niech się schowa obecny Sejm Polski. Piwo było tanie, wódki poddostatkiem, cygara doskonałe, animusz i duch w takich warunkach znakomity. W takiej atmosferze zawsze — budowaliśmy Polskę od morza do morza, wymyślaliśmy Batjuszce, Kajzerowi i każdemu, kto nie był z nami.

W takim rozkwicie narodowym zastała nas wojna! Czuliśmy ją od lat. Przygotowywaliśmy się do niej. Nadsłuchiwaliśmy wieści z Ojczyzny. Wyczekiwaliśmy rozkazów i wskazówek. Wodzem wychodźtwa był Ignacy Paderewski i ludzie z nim w kraju działa-

jący. Ale nie wszyscy w zaborach byli jednej myśli. Dzieliły się zdania, poglądy i sposób działania. Byli ci, co wierzyli w „czyn zbrojny“ po stronie państw centralnych. Powstały więc i wśród wychodźtwa rozłamy.

Większość organizacyj narodowych i katolickich, włączając w to duchowieństwo i parafje, stanęły przy orjentacji Demokracji Narodowej z Dmowskim i Paderewskim na czele. Socjaliści i trochę skrajniejsze elementy szły za orjentacją „czynu zbrojnego“ Legjonów i Marszałka Józefa Piłsudskiego. To wprowadziło rozdźwięk do naszej pracy narodowej. Zaczęto się wzajemnie w prasie zwalczać. Jedni ciągnęli do sasa a drudzy do lasa. Gdy atoli Ameryka stanęła po stronie Aljantów, opozycja czyli „koniowcy“ — Komitet Obrony Narodowej — przycichli. Zato Wydział Narodowy z p. Smulskim na czele był poniekąd ekspozyturą wychodźtwa.

Ten okres wojenny, tworzenie armji pod wodzą generała Józefa Hallera, czas pertraktacyj pokojowych uważałbym za szczyt naszego „czynu narodowego“. Miljony zebrane i rzucone tam, gdzie było potrzeba, na utrzymanie ludzi podczas pertraktacyj pokojowych, postawienie chociażby tej stosunkowo niewielkiej siły zbrojnej po stronie Aljantów, dało Polsce prawo zasiadania przy jednym stole ze zwycięzcami. Nie czekała Polska w przedpokojach na wyrok, jaki padł na zwyciężonych! Perspektywa dziejowa ten okres pracy narodowej daleko lepiej wyświetli wtenczas, gdy jej uczestnicy i działacze zejdą z areny życia a przejdą do historji.

Odtąd zaczyna się upadek wychodźtwa i stopniowe zamieranie ducha polskiego w Ameryce.

Walki polityczne, partyjnictwo, radykalizm i chamstwo polityczne kotłujące w odradzającej się Polsce, przelało się także na wychodźtwo. Wybuchły wśród nas te same partje i partyjki, jakie w Polsce wprowadzały zamęt i nieład. Mieliśmy tu zacietrzewienie polityczne, jakiego nie było przedtem. Zjeżdżali do nas wysłannicy „witosowców“, „ludowców“, „socjalistów“, „piłsudczyków“, „endeków”, „chadeków“ i wszelkiego rodzaju — kaduków! Każdy tumanił, bałamucił, podjudzał, rozbijał, a wszyscy dolary kolektowali i dla tych dolarów po osadach i parafjach tworzyli swe komitety.

Dla nas Polska była wymarzonym ideałem, którego od wieku pragnęliśmy. Wzamian dostaliśmy tu niesnaski, obelgi, wymyślania na Kościół, księży, duchowieństwo i szkoły. Narzucano nam zamiast polskiego — czerwony sztandar! Nastąpiło rozczarowanie i zniechęcenie.

Podczas wojny zarobki były znakomite. Ludzie mieli pieniądze. Trzeba im to odebrać!

Nastąpił okres zakładania „polskich korporacyj“, spółek, i przedsiębiorstw. Wszystko szło pod hasłem — „odbudowy Ojczyzny, na polu ekonomicznem“. Każdy złodziej, szuja, matacz i skończony oszust zakładał korporacje i sprzedawał akcje.

Poprostu jeden za drugim gonił, wiecował, kolektował i... trwonił. Z tych wszystkich „korporacyj“ jak „Union Liberty“, „Mechanicy“, „Żegluga Polska” i setki pomniejszych, zostały tylko pliki zadrukowanych akcyj i miljonowe straty.

Gdyby pieniądze przez wychodźtwo utopione w złodziejskich korporacjach, zakładanych przez szujów lub skończonych bęcwałów, można było zebrać i rzeczywiście użyć podczas Konferencji Pokojowej na sprawę i propagandę polską, kto wie czy nasze granice nie obejmowałyby całego Sląska, Gdańska, a może nawet Litwy i Cieszyna? Wychodźtwo straciło w tem co najmniej sto miljonów dolarów.

Nadmienić wypada, że Żydzi, których w Polsce, o ile sobie przypominam, zamieszkuje spora gromadka, finansowo sprawy polskiej nie poparli. Trzymali się na uboczu. Może nawet nie przypuszczali, że Polska powstanie.

Owszem, zaraz po zawieszeniu broni, jeszcze w Paryżu, czytałem depesze ze Lwowa, gdzie poprostu „tysiące Żydów bezbronnych mordowano i bezczeszczono“. Myślałbyś, czytając depesze Wolfa, że w Polsce były takie pogromy, iż ani jednego Żyda na lekarstwo tam nie zostawiono. Dziś im się Hitler za tę przysługę wywdzięczył.

Pamiętam, gdy w Nowym Jorku miałem dłuższą konferencję z p. Louis Marshallem, jednym z najwpływowszych Żydów amerykańskich. Zwróciłem mu wtenczas uwagę na fakt, że Polska powstaje i pisze pierwszą stronę swej nowej historji. Jaką rolę w tym czynie odbudowy Polski zajmą Żydzi?! Był on wrogo do Polski usposobiony. Twierdził, że Polacy nie są przygotowani do samorządu. Wspominał mi Dmowskiego, że on urządził

„bojkot Żydów". Nie mógł tego bojkotu „Dwugroszówki" przeboleć. Ja mu nato: „Pamiętaj, że wiele z tych rzeczy to przesada i propaganda. Jeżeli Żydzi okażą się wrogami Polski, niech wiedzą, że to będzie zapisane na pierwszej stronie jej dziejów i tego nigdy nie wymażą". Teraz sami bojkotują Niemców.

Dobrze pamiętam „protesty" przeciwko „pogromom" w Polsce, w których nawet niektórzy biskupi katoliccy brali udział. Czy pamiętacie te komisje, które do Polski zjeżdżały badać sprawy na miejscu?...

To tylko wspominam mimochodem, aby przedstawić stosunki, jakie tu panowały i przeciwko którym walczyło wychodźtwo, odpowiądając bojkotem sklepów żydowskich. Ale krótko trwał ten niby — bojkot. Teraz już nasze gosposie kupują u Żydów jak dawniej. Skonstatować więc wypada, że do odbudowy Polski, niczem się nie przyczynili. A przecież od wieków Polska stała się dla nich przytułkiem i po dziś dzień do niej się garną. Owszem przez propagandę pogromową sprawie polskiej, czyto w samem zaraniu, czy też obojętnością do Polski a sympatją do Bolszewików podczas najazdu — przecież tam był ich nowy Jozue-Trocki, sprawie naszej szkodzili. To historja zapisze na ich niekorzyść.

O Żydach wspominam jedynie dlatego, że to przecież „obywatele polscy", tylko mojżeszowego wyznania. Niekiedy napotyka się Żydów, którzy się uważają za Polaków i to gotowych do wszelkiej pracy społecznej i narodowej. Przeważnie są to ludzie inteligentni, lekarze, adwokaci, byznesiści mówiący doskonale po polsku, o poglądach i duchu polskim, chociaż wyznania obcego. Ale niestety, to są wyjątki, które trzeba uwzględnić jako takie, ale w ogólną rachubę stosunku Żydostwa do Polski brać ich nie można.

Wracam więc do naszych wzajemnych stosunków, jakieśmy tu przechodzili koleje od powstania Polski.

Oczywiście wprowadzenie walk partyjnych, kolekty na cele polityczne i partyjne w Polsce, ogromne straty na inwestycjach i akcjach polskich, chociaż niekoniecznie przez rząd lansowanych, straszne wyrządziły szkody, nietylko finansowe, ale i moralne. Zachwiały wiarę wychodźtwa do Polski.

Wielu zlikwidowało interes i wróciło do kraju, zabierając doskonale dolarami wypełnione sakwy. Chcieli tam, jako już wytresowani „Amerykanie", rzucić się do interesu. Ludzie na miej-

scu patrzeli zezem na tych amerykańskich „dorobkiewiczów“. Zazdrościli im, a co gorsza, jeżeli tego lub owego dosłownie nie okradli, to on i tak w bardzo krótkim czasie, nie orjentując się w tamtejszych stosunkach, stracił pieniądze i goły jak turecki święty wrócił spowrotem do kochanej Ameryki. Taki nie ma jednego dobrego słowa dla Polski.

Dlatego też entuzjazm i to żywiołowe kiedyś przywiązanie do rodzinnej strzechy, gaśnie bardzo szybko. Starzy wymierają a z nimi idzie do grobu ta nić złota wspomnień, które nas z Ojczyzną łączyły. Nowych nie przybywa a starych ubywa.

Te kiedyś malownicze towarzystwa „Krakusów“, te bogate mundury dawnych wojsk polskich, te postawy marsowe, te komendy polskie, te zloty, te popisy, te musztry, których nawet Niemcy się obawiali, już należą tylko do wspomnień, a owi malowani żołnierze legli w zapomnianych grobach na ziemi Waszyngtona!...

Co będzie dalej, zapyta niejeden? Mamy przecież ekspozyturę rządu. Mamy ambasadę w Waszyngtonie, konsulaty, izby handlowe a co najważniejsze dobrą i czujną prasę polską. Przecież one powinny czuwać nad wychodźtwem i utrzymywać ducha polskiego!

Niestety, ambasada ma swe zadanie, pilnowania spraw Polski w Waszyngtonie i nie wypada, aby ambasador wciąż jeździł po wiecach, zakładał kółka literackie, bibljoteki ludowe i tym podobne załatwiał sprawy. Konsulaty tak samo mają sferę działalności wyznaczoną, przytem są co do personelu i zakresu pracy bardzo ograniczone. Więc też na nich polegać nie możemy.

A jednak należałoby tu ruszyć jakąś pracę oświatową i czyto w szkołach parafjalnych, czy przez zakony, czy też przez uświadamianie młodzieży na wyższych kursach, nie dopuścić do zupełnego zaginienia ducha. Jesteśmy jeszcze tlącem zarzewiem. Duch polski całkowicie nie zaginął! Trzeba tylko rzucić hasło, że Hitler czy inny bies grozi Polsce a odrazu odezwie się groźny pomruk całego wychodźtwa. Zgromadzą się tłumy! Rozbudzą się dusze, ku niebu popłynie pieśń polska, ale to chwilowe i znów wszystko zamiera...

Pomijając stratę moralną dla Polski w upadku wychodźtwa, zastanówmy się na momencik nad stratą finansową.

Jesteśmy ogniwem łączącem Polskę z Ameryką. Mamy miljony „kostumerów“ — klientów — odbiorców, którzy są do polskich wyrobów, towarów i przemysłu jak najlepiej usposobieni. Możnaby to wykorzystać, aby w Ameryce wzmóc zapotrzebowanie polskich wyrobów. A jednak, w tym kierunku nic poważniejszego dotąd nie zrobiono. To był tylko dyletantyzm i brak szerszego pojęcia interesu. Tamci w kraju, chcieliby się na jednej puszce grzybów zbogacić, a tu trzeba liczyć jak najniższe ceny, aby kraj z towarami polskiemi zapoznać. Mogą inni sprzedawać swe wyroby, czemużby ich nie miała sprzedawać Polska?

W wynaradawianiu wychodźtwa bardzo ważną rolę odgrywa hierarchja Kościoła katolickiego w Ameryce. Z konieczności muszę się tu ograniczyć a jednakowoż należałoby tę sprawę trochę obszerniej roztrząsnąć. Kilkadziesiąt lat wstecz Ks. Wacław Kruszka oraz kilku innych księży i ludzi świeckich czyniło starania w Rzymie o polskich biskupów. Nawet dążono do tego, aby Polacy w Ameryce mieli własną hierarchję kościelną, należącą do Rzymu, a niepodlegającą hierarchji t. zw. „amerykańskiej“. Innemi słowy, chciano tu ustalić rozdział kościoła Polskiego od innych. Ma się rozumieć Rzym na taki rozkład i zamieszanie nigdyby się nie zgodził.

Ciągłe „zabieganie o biskupów polskich“ miało to na celu, że mając swych wyższych duchownych przewódców, będziemy mogli się tem lepiej opierać zakusom innonarodowców. Po wielu zabiegach otrzymaliśmy na stu biskupów (stanowimy dwudziesty procent katolików) naszego pierwszego arcypasterza w osobie J. E. Ks. Biskupa Pawła Rhode. Obchodził w tym roku srebrny jubileusz arcypasterskiej pracy. Wielkie on wychodźtwu oddał usługi, szczególnie w okresie wojennym. Był naszym hetmanem. To się jednak innym nie podobało i z czasem przyszedł nakaz, aby więcej do spraw polskich się nie mieszał i własnej diecezji pilnował! To wiem z jak najwiarogodniejszych źródeł. Stow. Kapłanów pozbawione wodza upadło a dla sprawy polskiej to cios bardzo bolesny.

Niedawno otrzymaliśmy drugiego biskupa J. E. Ks. Stanisława Bonę w Grand Island, Nebraska, hen na prerjach. Miał on daleko więcej Polaków w swej parafji, aniżeli teraz w całej diecezji. Więc z punktu narodowościowego to jest poprostu mydleniem oczu i tak się też na tę sprawę starsi księża zapatrują. Tam

gdzie mamy dziesiątki i setki tysięcy Polaków, nie mamy biskupów, a tam gdzie ich jest gromadka rozrzucona po stepach, dano nam — polskiego arcypasterza.

Od samego początku lud polski nie szczędził ofiar i pracy na budowę kościołów, szkół, polskich zakładów wyższych, i ośmiuset parafij. Miały to być twierdze polskości. W nich przynajmniej mogliśmy Bogu serce wynurzyć, do Niego po polsku się modlić, polskie pieśni śpiewać i polskich kazań słuchać!... Ryliśmy polskie orły i napisy w twardym granicie i trwałym spiżu w nadziei, że te pomniki i twierdze wieki całe służyć będą polskim pokoleniom, zrodzonym na „wolnej ziemi“.

Niestety, grubośmy się zawiedli!...

Cóżbyście powiedzieli, gdyby Polska, na ten przykład, zbudowała szereg fortów na granicy niemieckiej lub bolszewickiej. Główną komendę nad całą linją obronną powierzyłaby jednak Niemcom lub Bolszewikom?! Cóżbyście o takiej sytuacji obronnej pomyśleli? Wiemy czemby się to skończyło. Iluż to oficerów i generałów w armji rosyjskiej było na żołdzie niemieckim?! Poprostu byli to Niemcy z Kurlandji, którzy na każdym kroku pracowali dla Niemiec, a nie dla Rosji.

Cóżbyście powiedzieli, gdyby oficerzy poszczególnych fortów i placówek obronnych, punktów strategicznych, odbywali swe przygotowanie wojskowe nie w szkołach polskich, ale w szkołach niemieckich lub bolszewickich i przez naszych wrogów byli naznaczani na ważne stanowiska? Czy możnaby polegać na takich dowódcach i oficerach, przesiąkniętych duchem państw ościennych? Każdy powie, że nie!

Jesteśmy teraz właśnie w takiem tragicznem położeniu.

Młody kandydat na kapłana, po opuszczeniu szkoły parafjalnej, idzie do kolegjum „katolickiego“ alias — ajryskiego. Do kol. Ks. Misjonarzy w Erie lub do Seminarjum Polskiego w Orchard Lake bardzo rzadko. Na chłopaków z zakładów polskich biskupi patrzą niezbyt łaskawem okiem. Mają swoje diecezjalne zakłady, więc poco inne popierać? Więc też w kolegjum chłopak rzadko kiedy się po polsku nauczy, ducha polskiego w obcym ajryskim zakładzie napewno nie nabędzie.

Po ukończeniu kolegjum, bez gruntownej znajomości nauki języka polskiego, idzie do Seminarjum. Tam to samo. Polskich kursów niema. W takiem n. p. Seminarjum w Mundelein, blisko

Chicago, jak mi mówił jeden ze starych księży, uczą trochę czytania i kaznodziejstwa, „jedno dobre pół godzinki na tydzień“. A przecież parafje chicagoskie są grubo opodatkowane na to seminarjum. To samo da się powiedzieć o wszystkich innych diecezjalnych zakładach katolickich w Ameryce. O wysyłaniu polskich kleryków do Rzymu lub uniwersytetów i obsadzaniu nimi katedr profesorskich nawet mowy niema.

Za nasze własne pieniądze młodzież polską wynaradawiają i ducha polskiego z niej wykorzeniają! To są przyszli polscy duszpasterze mówiący słabo po polsku, a myślący, a właściwie wcale nie myślący w duchu narodawym! Gdyby to jeszcze taki zamerykanizowany ksiądz polski miał szanse dostać się na proboszcza do intratnej parafji ajryskiej, to jeszcze byłoby pół biedy. Ale on nie ma szansy. Chociaż on już w trzeciem pokoleniu tu urodzony i wychowany, gdy przyjdzie do posad wpływowych, intratnych, coś znaczących, taki jegomość jest na liście „forejnerów“. Może mówi po angielsku daleko lepiej od zielonych „Amerykanów“, ale to jeszcze nic nie znaczy. Jest to „forejner“ i basta!

To samo dałoby się powiedzieć o naszych zakonach nauczycielskich. Tym poprostu ruina patrzy w oczy. Dzieci ze szkół ubywa, w ajryskich szkołach także pustki, a zakonnic ajryskich mają poddostatkiem. Jakie będzie rozwiązanie tej sprawy, która coraz bardziej staje się aktualną? Nie wiem!

To, co miało być twierdzą polskości na wychodźtwie mimowoli stało się jej grobem — to austrjacki — Przemyśl...

Nietylko, że planowo dąży się do wynarodowienia młodego kleru, ale jeszcze inne niebezpieczeństwo nam grozi i to natury ekonomicznej.

Według nowych statutów kanonicznych, Stany Zjednoczone wyszły z pod kurateli Propagandy Fidei jako „kraj misyjny“. Nie wiem, czy w Rzymie nas teraz uważają za kraj katolicki, czy protestancki, czy też pogański. W każdym razie zaliczono nas do innej kategorji.

Na podstawie skasowania kraju „misyjnego“ zaprowadzono na mocy dekretu wydanego z polecenia Kard. Ledóchowskiego w r. 1895-tym inny porządek co do samych parafij. A więc, tylko „parafje“ terytorjalne mają prawo bytu, mają określone prawa i przywileje, a inne t. zw. „parafje narodowościowe“ są tylko poniekąd tolerowane, bez praw i przywilejów kanonicznych,

obowiązki i kolekty są te same. Dekret ten ogłoszono około roku 1895.

Ajryskie parafje oczywiście są uważane za parafje — „amerykańskie", chociaż prawdziwy „Amerykanin" w kościele katolickim jest rzadkością. Więc też parafje „ajryskie" są obecnie parafjami „amerykańskiemi" a tem samem parafjami terytorjalnemi. Im bowiem biskupi już dawno wyznaczyli granice, poza któremi nie wolno ci ludzi nawracać i zbawiać. Parafje polskie, czeskie, francuskie, niemieckie i wszystkie inne są uważane za parafje „extraterytorjalne". Czyli, każdy Polak, Czech, Niemiec może iść do którego kościoła zechce. Jeżeli chce, ma prawo chodzić do parafji terytorjalnej, lub też do „amerykańskiej" alias „ajryskiej". Proboszcz parafji narodowościowej nie może się legalnie upomnieć o swych ludzi i swe prawa, bo ich poprostu nie posiada.

Na tej podstawie wolno Polakowi lub któremukolwiek innemu „forejnerowi" należeć do parafji ajryskiej, w każdym niemal wypadku — terytorjalnej. Nie wolno atoli Ajryszowi iść z chrztem, ślubem lub pogrzebem do proboszcza w polskiej parafji, chociaż to człowiek tu urodzony i wychowany, władający biegle językiem angielskim. Jest więc kanonicznie upośledzony, chociaż inteligencją, znajomością języków o głowę przewyższa sąsiada, wywodzącego swój ród z mistycznej wyspy „świętych i uczonych".

Ksiądz w polskiej czy innej narodowościowej parafji płaci te same podatki, zbiera te same kolekty na instytucje diecezjalne, głosi tę samą naukę, ale on, wraz z całą parafją, jest skazany na zagładę! Poprostu nie posiada moralnego poparcia i to nietylko „moralnego" ale co gorsza kanonicznego! Ludzie mogą bezkarnie swą narodowościową parafję porzucić i przystąpić do „amerykańskiej" z oczywistym finansowym i moralnym uszczerbkiem parafji polskiej czy innej, która tym sposobem jest skazana na zagładę i finansową ruinę!

W dodadku we wszystkich parafjach, już nietyko ajryskich, ale nawet obconarodowych, liczba urodzeń się zmniejsza. U ajryszów to już idzie od lat wielu. U nas od ostatnich kilkunastu. Za przykład niech posłuży statystyka z mojej parafji. Podczas wojny, według książek parafjalnych, były tu 272 chrzty w jednym roku, a teraz jest ich zaledwo pięćdziesiąt, chociaż liczba parafjan jest ta sama.

Więc też trzeba na gwałt ratować ajryskie parafje przed wymarciem i bankructwem. Na zachodzie byłem świadkiem, gdy starzy polscy księża, w starych farmerskich osadach, poprostu ubiegali się o to, aby ich parafje uznano za „terytorjalne". Niejeden, w kraju urodzony, chociaż kiepsko, ale z musu gadał kazanie po angielsku.

Młody kler w Ameryce amerykanizują, tępią z rozmysłem ducha. Parafje „forejnerskie" są upośledzone. Zbytni patrjotyzm i praca narodowa mogą się stać przeszkodą do dalszego awansu. W parafjach, gdzie są trzy czwarte Polaków, proboszcz Ajrysz nie umie słówka po polsku, ale to nic nie szkodzi! Gdy chcą założyć parafję polską, to się temu przeszkadza we wszelki możliwy sposób, gdyż to może być z finansowym uszczerbkiem dla ajryskiego proboszcza! Śluby, chrzty, pogrzeby polskie zabierają bez skrupułu ajrysze. Nie pytają nawet, czy ojciec i matka chrzestni są katolikami, czy nie. Takiego, co do kościoła całe życie nie chodził, bez Sakramentów Św. umarł, na Wiarę i Boga bluźnił, pochowają z asystą. Dzieci polskie bez należytego przygotowania przyjmują do Komunii św. i bierzmowania bez wiedzy i pozwolenia polskiego proboszcza!

Dlatego powstały liczne zbory niezależne. Baptyści wśród Polaków a zwłaszcza Włochów werbują sobie wyznawców, młodzież odpada i ginie. Ale to nic. Nie frasujmy się o jutro.

Wybaczcie, że przy końcu tej podróży poruszam sprawy tak drastyczne, tak bolesne, ale niestety prawdziwe teraz. Uważam jednak, że ta bolesna wzmianka o sprawach kościelnych jest konieczna do poznania naszej tragicznej sytuacji. Dla zrozumiałych przyczyn, zaledwom dotknął tych bolączek.

A teraz, niech mi będzie wolno zrobić jeszcze jeden mały, ważny i ostatni dopisek.

Jeżeliś miły czytelniku — wytrwał do końca, rozważając tę nieudolną pisaninę, ten melanż przygód, faktów, statystyki, historji i osobistych przejść, należy ci się „wieniec chwały". I tu chcę go włożyć na skronie Polski i Polaków.

Może wam zaimponowała Ameryka?! Może niejeden sobie pomyśli — chciałbym się przejechać z tym ciekawym księdzem amerykańskim po tym ogromnym, a cudownie pięknym kraju. Nie wiem, czym się należycie z zadania wywiązał. Chciałem to jak najlepiej i zajmująco napisać. Wam zostawiam sąd w tej

sprawie. Nie bądźcie zbyt surowi w waszej krytyce. Miejcie wzgląd na starego i w dodatku „amerykańskiego" proboszcza.

Chcę jednak prawdzie dać świadectwo!

Jako rodowity i tu wychowany „Amerykanin" i z tego, com pisał, wiecie, że znam cośkolwiek Amerykę, jej historję i kilkuwiekową pracę. A jednak, mojem zdaniem, to czego dokonała Polska w ostatnich kilkunastu latach, daleko przewyższa wszystko, czego dokonała Ameryka, a względnie Stany Zjednoczone w swej półtorawiekowej historji.

Gdy sobie przypomnę te „ogonki" za chlebem, za cukrem, za..... wszystkiem, gdy przed oczyma stanie ta nędza powojenna, głucha, bolesna, obdarta i goła, jaką na każdym kroku widziałem w Polsce, w styczniu 1919-go roku, to cóż za kolosalne zaszły zmiany!

Trudności, z jakiemi Polska się zmagała, były stokroć większe od bogatej, dziewiczej natury, z jaką się borykał amerykański „homesteader". W Polsce były ruiny i zgliszcza, tu natura hojnie nas we wszystko wyposażyła. Jeszcze pamiętam tych chłopów z kresów, gdy przyszli do p. Paderewskiego, nowo mianowanego premiera, prosić o drzewo na chaty, gdyż wojna im wszystko zniszczyła. Jeszcze słyszę ten szloch wstrzęsający tym twardym polskim ludem! Jeszcze widzę te łzy, jak groch, spływające po policzkach tego wielkiego Polaka-Patrjoty!...

A gdzie jest wojna bolszewicka, gdzie obrona Lwowa, gdzie Poznańskie, gdzie koleje, poczta, wojsko, gdzie szkoły i uniwersytety, gdzie Gdynia, jednem słowem, skąd się to wszystko wzięło? I to w kilkunastu zaledwo latach! Toć to największy cud pracy, energji i poświęcenia w historji narodów! Nie znam w kronikach żadnego narodu, któryby się kiedykolwiek znajdował w tak trudnych warunkach i tylu i tak wielkich dzieł dokonał, tyle trudności przezwyciężył. Toć wy nie Sarmatów, ale Tytanów plemię!

Ale nie będę was tu zbytnio wychwalał. Jest jeszcze dużo pracy przed narodem. Nie brakuje niesnasek, partyjnictwa, lenistwa i zwykłego niezdarstwa i ślamazarstwa. Ale to minie.

Gdybym na podstawie tego, co tu się widzi, miał nasuwać kilka uwag, to przedewszystkiem ostrzegałbym Polskę i Polaków, aby nie szła na niczyim pasku. Twórzcie własną polską orjentację, polski kierunek myśli i pracy narodowej!

Nie pokładajcie zbytniej nadziei i ufności w żadnym narodzie! Narodów idealistów — dziś niemasz i zdaje się, nigdy ich nie było. Ci, co szli walczyć za wolność i ideały innych, to nie idealiści, to polityczni nieucy, którzy dali się uwieść innym i dla cudzych krew swą przelewali. Piękne to, ale dało nam niewolę!

Ani Włoch, ani Francuz, ani Rzym, ani Krym Polsce przyjacielem nie był i nie będzie!! Potrzebują Polski, więc jej baki świecą. Zdarzy się inny, lepszy, silniejszy, pójdą do niego.

Ameryką trzęsą kapitaliści, wielkie konsorcja bankowe. Pozatem nici polityczne dzierży nie lud, ale tajne organizacje, jak masoni z Żydami na czele i inni. Nie dopuśćcie ani jednych ani drugich do zbytniej władzy. Lepiej mieć dużo mniejszych banków, mniejszych fabryk, aniżeli jednego lub dwa kolosy. Uważać, aby ci co rządzą mieli czyste ręce i nieskazitelne charaktery, bo od silnego, a dobrego rządu zależy przyszłość i potęga narodu!

Silnymi bądźcie i to na każdem polu!..

Tylko z siłą się liczą. „Stalowym hełmom" trzeba przeciwstawić stalowe serca, stalową i niezłomną wolę pracy i zwycięstwa! Niech praca zbożna, wydatna, na każdem polu, czy we fabryce, czy na roli, czy w szkole lub w wojsku będzie waszem hasłem i dążeniem.

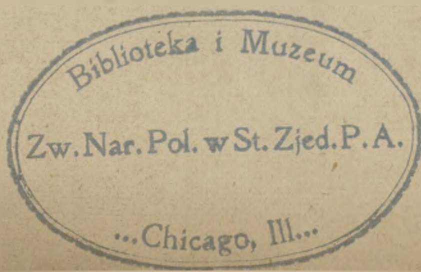
Nie zna was Ameryka jak znać powinna, ale przyjdzie czas gdy Polskę tu za oceanem, należycie ocenią, mimo wrogiej propagandy.

Dobiegamy końca naszej wspólnej podróży. Uściskiem dłoni żegnam.

My zrodzeni i wychowani w Ameryce pokochaliśmy ją całem sercem! Tu pozostaniemy i złożymy nasze kości! Jednakowoż i to mówię za tysiące mych współrodaków, zawsze w sercu nieść będziemy cześć i szacunek dla kraju „skąd nasz ród"!

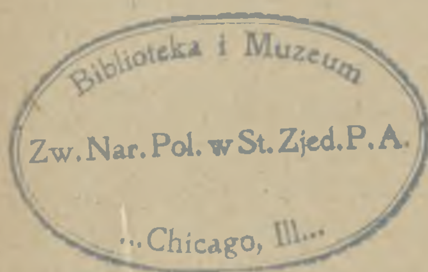
Naszym obowiązkiem jest — stać na posterunku do końca! O ile nam sił starczać będzie, to i my w obczyźnie zrodzeni i wychowani, „nie damy pogrześć mowy"! Tak nam dopomóż Bóg!!!

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

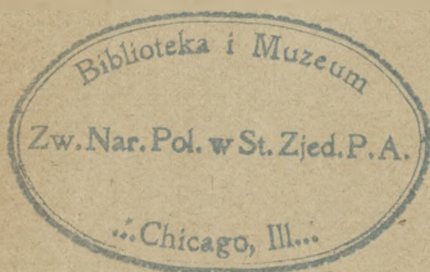


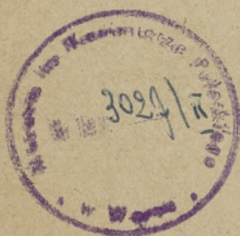
UWAGA: Szanowni Czytelnicy zapewne zauważyli, że nie wszystkie ilustracje były odpowiednio dostosowane do tekstu, a to z następnego powodu. Po wszechświatowym zjeździe Polaków w Warszawie, przybyłem do Miejsca Piastowego, zwiedzić tutejsze Zakłady Graficzne. Tu się dopiero dowiedziałem, że przysyłka zawierająca około stu ilustracyj zastosowanych do tekstu — zaginęła w transporcie. Ponieważ druk książki był już na ukończeniu, a sprowadzenie nowych ilustracyj pociągnęłoby znaczne koszta i opóźnienie, dlatego Redakcja uważała za stosowne umieścić inne zapasowe widoczki.

Ks. A. ICIEK.



SPIS ROZDZIAŁÓW:





MAPA SAMOCHODOWA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

Moja tura w niniejszej książce opisana jest na mapie zakreślona grubszą linią.



SCALE OF MILES

0 50 100 150 200 250

Mapa Dróg Samochodowych
STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OBJAŚNIENIE MAPY

Międzystanowe drogi rządowe.

Drogi stanowe.

Znaki i numery dróg rządowych.

N. P. Oznacza Parki Narodowe.

N. M. Pomniki Narodowe.

PACIFIC OCEAN

ATLANTIC OCEAN

GULF OF MEXICO

Printed in U.S.A.

9673-10-N.Y.



